

IAN McDONALD

LUNA: WSCHÓD



UCZTA WYOBRAŹNI

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

W POPRZEDNICH ODCINKACH

SPIS POSTACI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

DWADZIEŚCIA SIEDEM

SŁOWNICZEK
KALENDARZ KSIĘŻYCOWY

LUNA: WSCHÓD

Ian McDonald

LUNA: WSCHÓD

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2020**

Tytuł oryginału:

Luna: Moon Rising

Copyright © 2019 by Ian McDonald

Copyright for the Polish translation

© 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii i opracowanie graficzne okładki:

Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce: Irek Konior

ISBN 978-83-66409-10-1

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

W POPRZEDNICH ODCINKACH

Wojna Mackenzie Metals z Corta Hélio rozbiła potężną rodzinę Cortów, a ocalali Cortowie rozproszyli się. Ariel Corta, po nieudanym zamachu sparaliżowana od pasa w dół, ucieka w anonimowość Górnego Miasta Południka wraz ze swoją ochroniarką i zaufaną przyjaciółką, Mariną Calzaghe. Potem jednak wraca do księżycowego towarzystwa, na wezwanie Jonathona Kayodego, Księżycowego Orła, który chce, by była jego jedyną lojalną doradczynią wśród tłumu wrogów pragnących go zdetronizować. Wagner Corta, wilk, wiąże koniec z końcem jako robotnik w pasie słonecznym Taiyangu — opasującej Księżyc wzdłuż równika wstędze ogniw fotowoltaicznych. Łączy tę pracę z życiem w wilczym stadzie — aż do momentu, kiedy zostaje opiekunem i obrońcą Robsona Corty, dotąd trzymanego w charakterze zakładnika przez Bryce'a Mackenziego, szefa finansów Mackenzie Metals. Musi więc teraz wybierać pomiędzy swą wilczą naturą a opieką nad bezbronnym Robsonem. Lucasinho i Luna Corta znaleźli bezpieczne schronienie u rodziny Asamoah w Twé, choć Lucasinhowi coraz trudniej usiedzieć w zamknięciu. Jego

ojciec, Lucas, wykonał posunięcie najśmielsze z nich wszystkich. Księżyc uznał go za martwego, on jednak uciekł na orbiter VTO, a tam, przez rok, dokonał czegoś, co wszyscy mają za niemożliwe — stał się człowiekiem urodzonym na Księżycu, będącym w stanie przeżyć w ziemskim ciężeniu. Nie długo — tylko tyle, by przypieczętować umowy, które dogadywał, orbitując między Księżycem i Ziemią. Organizuje konsorcjum ziemskich rządów, korporacji, funduszy inwestycyjnych, którego zbrojnym ramieniem są orbitery VTO Woroncowów i ich działa elektromagnetyczne. Z ich pomocą chce odzyskać to, co ukradziono jego rodzinie. Ściąga też na Księżyc Alexię, pierwszą od dwóch pokoleń urodzoną na Ziemi przedstawicielkę rodu Cortów, która śmiała się zmierzyć z chwałą i grozą Księżyca.

Aby odnieść sukces, musi narobić zamieszania. Jego matka, Adriana, założycielka Corta Helio, zainstalowała złośliwy kod w układach sterowania Tygla, ogromnego pociągu—stalowni Mackenziech. Proste polecenie, wydane przez Alexię, bo Lucas omal nie umiera podczas startu z Ziemi — niszczy Tygiel. Giną ludzie, w tym Robert Mackenzie, prezes Mackenzie Metals. Jego synowie, Duncan i Bryce, walczą o kontrolę nad firmą. Duncan kontroluje ramię zajmujące się tradycyjnym wydobywaniem, Bryce — odbite Cortom przetwórstwo helu—3. Ich brutalna wojna domowa grozi ogarnięciem całego Księżyca i zdestabilizowaniem kluczowego rynku helu—3, od którego uzależniona jest Ziemia. Lucas dostrzega okazję i uderza. Księżyc nie jest państwem narodowym, tylko kolonią przemysłową—nie ma więc żadnych sił zbrojnych. Jednostki

opadają z orbity i zajmują kluczowe punkty infrastruktury, działa elektromagnetyczne VTO trzymają w szachu całą ziemską stronę Księżyca, Smoki kontratakują, oblegając Twé, główne centrum rolnicze, żywiące cały Księżyc — lecz w obliczu głodu muszą się poddać.

Podczas tego chaosu Lucasinho i Luna uciekają z oblężonego Twé, ale zostają rozbitkami na powierzchni Księżyca — a jedyna droga ratunku wiedzie obrzeżami linii frontu. Gdy skafander Luny zostaje uszkodzony, Lucasinho oddaje jej swoje ostatnie oddechy. Ona zanosí go w bezpieczne miejsce, ale nawet Księżycowy Biegacz nie przeżyje tyle czasu bez tlenu. A może?

Ziemskie maszyny i najemnicy zajmują Południk. Jonathon Kayode zostaje poddany defenestracji, a Lucas Corta, cień dawnego Lucasa, wyniszczony wysiłkiem wizyty na Ziemi, zajmuje stołek Księżycowego Orła, z Alexią w roli swej Żelaznej Ręki. Pierwszym jego krokiem jest próba zwerbowania Ariel, ta jednak odmawia, choć naraża się przez to na wielkie niebezpieczeństwo. Każdy z Czterech Smoków chce mieć jakieś przełożenie, a Cortowie to najlepsi zakładnicy. Bryce Mackenzie próbuje schwytać Robsona Cortę, ale nie udaje mu się. Wagner i Robson uciekają do względnie bezpiecznego Theophilusa na Morzu Spokoju.

Lucas Corta triumfuje. Księżyc należy do niego — co z nim teraz zrobi?

SPIS POSTACI

CORTOWIE

Lucas Corta — Księżycowy Orzeł

Lucasinho Corta — jedyny syn Lucasa Corty

Ariel Corta — była prawniczka przy Sądzie Claviusa

Wagner „Lobinho” Corta — wydziedziczony brat Lukasa, wilk księżycowy

Robson Corta — syn Ruffy Corty i Rachel Mackenzie, pod opieką Wagnera

Luna Corta — córka Ruffy Corty i Lousiki Asamoah

Elis — *madrinha* Luny

Marina Calzaghe — była asystentka Ariel Corty, która wróciła na Ziemię

Jorge Mauro — muzyk i jedynokrotny amor Lucasa Corty

Nelson Medeiros — główny escolta Lucasa Corty

TAIYANG

Lady Sun — dziedziczka Shackletona, babka prezesa Taiyangu

Darius Mackenzie—Sun — późny syn Jade i Roberta Mackenziech, protegowany lady Sun

Sun Zhiyuan — prezes Taiyangu

Amanda Sun — była *oko* Lucasa Corty

Tamsin Sun — szefowa działu prawnego

Jaden Sun — członek zarządu i właściciel drużyny piłki ręcznej Tygrysy Słońca

Amalia Sun — agentka Amandy Sun na Uniwersytecie Farside

Jiang Ying Yue — Pełnomocniczka ds. rozwiązywania konfliktów, czyli szefowa bezpieczeństwa Taiyangu

MACKENZIE METALS

Duncan Mackenzie — najstarszy syn Roberta i Alyssy Mackenzie, prezes Mackenzie Metals

Anastazja Woroncowa — *oko* Duncana Mackenziego

Apollonaire Woroncowa — *keji*—*oko* Duncana Mackenziego

Denny Mackenzie — najmłodszy syn Duncan i Apollonaire, wydziedziczony przez Duncana za zdradę

Kimie—Leigh Mackenzie — (krótkotrwała) narzeczona Iriny Efuy Woroncowej—Asamoah

MACKENZIE HELIUM

Bryce Mackenzie — brat Duncana Mackenziego, prezes Mackenzie Helium

Finn Warne — Pierwszy Nóż Mackenzie Helium

Hossam El Ibrashy — Pierwszy Nóż Mackenzie Helium

Rown Solveig—Mackenzie, Alfonso Pereztrejo, Jaime Hernandez—Mackenzie — menedżerowie Mackenzie Metals

Analiese Mackenzie — ciemna amor Wagnera Corty w jego ciemnym aspekcie

AKA

Lousika Asamoah — Omahene Złotego Stolca

Abena Asamoah — studentka politologii i aplikantka u Ariel Corty

VTO

Walerij Woroncow — założyciel i prezes VTO

Jewgienij Woroncow — prezes VTO Księżyc

Siergiej Woroncow — prezes VTO Ziemia

Irina Efua Woroncowa—Asamoah — ekolożka i córka z dynastycznego małżeństwa Asamoah—Woroncow

LUNAR MANDATE AUTHORITY

Wang Yongqing — chińska delegatka do LMA

Anselmo Reyes — delegat z ramienia funduszu Davenant Venture Capital

Monique Bertin — delegatka z ramienia Unii Europejskiej

UNIWERSYTET FARSSIDE

Dakota Kaur Mackenzie — ghazi Wydziału Biocybernetyki

Dr Gebreselassie — lekarka Lucasinha Corty

Rosario Salgado O'Hanlon de Ciołkowski — niedoszła ghazi, zaszczytniczka Ariel Corty

Vidhya Rao — ekonomista i matematyk, były bankowiec z Whitacre Goddard

ZIEMIA

Marina Calzaghe — była asystentka Ariel Corty

Kessie — jej siostra

Ocean — jej siostrzenica

Weavyr — jej siostrzenica

Skyler — jej brat

INNI

Mariano Gabriel Demaria — szef Szkoły Siedmiu Dzwonów, kolegium dla asasynów.

Haider — najlepszy przyjaciel Robsona Corty

Max i Arjun — opiekunowie Haidera

JEDEN

Trumnę przez Morze Żyzności eskortuje osiem postaci. Cztery niosą, trzymając po jednym uchwycie, cztery pilnują czterech stron świata — północy, południa, wschodu i zachodu. Człapią w ciężkich pancernych skorupowych skafandrach, wysoko wzniecając pył. Przy niesieniu trumny najważniejsza jest koordynacja, a ci żałobnicy jeszcze nie złapali odpowiedniego rytmu. Szarpią się, ciągną, zostawiają po sobie rozmazane ślady powłóczenia stopami po regolicie. Poruszają się, jakby nie byli przyzwyczajeni do chodzenia po powierzchni Księżyca ani do skafandrów, w które musieli się wbić. Siedem skafandrów białych i jeden, ostatni, szkarłatno—złoty. Każdy z białych nosi niepasujący do tego czasu symbol — miecz, topór, wachlarz, zwierciadło, łuk, półksiężyc. Pierwszy porusza się z pomocą parasola ze srebrną końcówką i rączką w kształcie ludzkiej głowy, w połowie żywej, w połowie gołej czaszki. Czubek parasola robi w regolicie idealne, okrągłe dziurki.

Na Morzu Żyzności nigdy nie padało.

Trumna ma okienko. Trumny nie mają okienek, ale to nie jest trumna. To kapsuła podtrzymywania życia, służąca do

przenoszenia rannych na powierzchni Księżyca. Za okienkiem widać twarz młodego mężczyzny o brązowej cerze, wysokich, ostrych kościach policzkowych, gęstych czarnych włosach, pełnych ustach, z zamkniętymi oczyma. To Lucasinho Corta. Jest w śpiączce od dziesięciu dni — dni, które zatrzęsły całym Księżycem jak kamiennym dzwonem. Dziesięć dni, przez które obalano i powoływano Orłów, na kamiennych oceanach Luny odbyła się krótka wojna, a stary księżycowy porządek został zmieciony przez nowy, ziemski.

Te niezdarne postacie to Siostry Panów Chwili — to one niosą Lucasinha Cortę do Południka. Siedem sióstr plus jedna, zamykająca pochód, w nieprzystającym szkarłacie i złocie. Luna Corta.

— Coś wiadomo o statku?

Mão de Santo Odunlade cmoka sfrustrowana i wgapia się w ikonki na wyświetlaczu hełmu, usiłując zidentyfikować, kto pyta. Doktryna Sióstr Panów Chwili nakazuje unikać kontaktów z siecią. A interfejs skorupowego skafandra ma stromą krzywą uczenia. Mão de Santo w końcu rozpoznaje, że mówiła *madrinha* Elis.

— Już niedługo — mówi Mãe Odunlade, podnosząc parasol i pokazując nim punkt na wschodnim horyzoncie, skąd zejdzie statek z Południka.

Parasol to symbol Oxali Źródła Wszystkiego. Razem z mieczem, toporem, łukiem, zwierciadłem, wachlarzem i półksiężycem stanowią atrybuty *orixas*. Siostry zakonne zabrały nie tylko śpiącego księcia, ale i święte symbole. Wszyscy

santinhos rozumieją ten symbolizm. João de Deus nie jest już miastem świętych.

— *Statek rozpoczyna podejście* — mówi skafander Mãe.

W tej samej chwili horyzont jakby podrywa się w niebo. Łaziki. Dziesiątki łazików. Zjeżdżają ku nim, szybko i ostro. Wyświetlacze HUD iskrzą setkami czerwonych kontaktów.

Przyjechali Mackenzie.

— Stanowczo, siostry! — krzyczy Mãe Odunlade.

Kondukt posuwa się naprzód ku linii jaskrawych reflektorów. Oślepiają ją, ale przecież nie uniesie dłoni, żeby osłonić oczy.

— *Mãe, statek potwierdził lądowanie* — mówi skafander.

Jeden łazik wyrywa się z okrążenia i podjeżdża naprzeciwko Mãe Odunlade. Unosi wysoko święty parasol. Kondukt zatrzymuje się. Opuszczają się siedzenia, unoszą pałaki, postacie w zielono—białych elastykach Mackenzie Helium zeskakują na regolit. Sięgają do kabur na plecach i wyciągają podłużne przedmioty. Karabiny.

— Nie możemy na to pozwolić, mateczko.

Mãe Odunlade jeży się na tę poufałość. Żadnego szacunku czy choćby słowa po portugalsku. Namierza mówiącą osobę na HUD—zie.

— A kim ty jesteś?

— Loysa Divinagracia — odpowiada kobieta w samym środku zbrojnego oddziału. — Szefowa ochrony Mackenzie Helium na Północno—wschodnią ćwiartkę.

— Ten młody człowiek wymaga zaawansowanej opieki medycznej.

— Mackenzie Helium z przyjemnością zaofiaruje mu usługi naszego znakomicie wyposażonego ośrodka.

— *Sześćdziesiąt sekund do lądowania* — mówi skafander.

Statek jest najjaśniejszą i najszybszą gwiazdą na niebie.

— Zabieram go do ojca. — Mãe de Santo robi krok naprzód.

— Nie mogę na to pozwolić. — Loysa Divinagracia kładzie dłoń na napierśniku jej skafandra.

Mãe de Santo strąca jej rękę świętym parasolem, poprawia ciosem w hełm. Co za bezczelność. Plastik pęka, syczy atmosfera, potem skafander goi się i uszczelnia.

Karabiny unoszą się do ramion.

Siostry Panów Chwili ciasniej otaczają kapsułę ratunkową. Wyciąga się miecz Oguna, topór Xango, łuk, wachlarz o ostrych jak brzytwa krawędziach. Jakże szanować *orixas*, jeśli ich atrybuty na nic się nie przydają?

Luna Corta unosi ociężałe ramiona na wysokość barków. Odblokowują się pochwy, trzaskają magnesy — noże wzlatują do dłoni i blokują się. Światło Ziemi w pierwszej kwadrze, nisko nad zachodnią krawędzią świata, błyska na ostrzach z meteorytowego żelaza — to bojowe noże Cortów.

Przechowamy je, powiedziała Mãe de Santo Odunlade, w bioluminescencyjnym blasku sali w Domu Matki, gdzie leżał Lucasinho. *Póki nie przyjdzie Corta, który jest odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił. Corta godny tych noży.*

Wojownikiem w rodzinie był Carlinhos. Do niego przedtem należały. Pokazał jej kiedyś te ruchy, na pałeczkach do jedzenia.

Przelekła się go — szybkości i tego, jak zmienił się w kogoś całkiem obcego.

Carlinhos zginął od tych noży.

Madrinha Elis wchodzi pomiędzy Lunę i pierścień noży.

— Luno, schowaj noże.

— Nie schowam — mówi Luna. — Jestem Cortą, a Cortowie tną nożem.

— Rób, co ci każe *madrinha*, niegrzeczne dziecko — odpowiada Mãe de Santo Odunlade. — Bez tego skafandra jesteś taka malutka.

Luna cofa się, sycząc ponuro, ale nie chowa przepięknych noży.

— Przepuście nas — mówi na wspólnym kanale Mãe Odunlade, a Luna słyszy, jak kobieta od Mackenziech odpowiada:

— *Oddajcie nam Lucasinha Cortę i jesteście wolne.*

— Nie — szepcze Luna, po czym ją, siostry, kapsułę i noże Mackenziech zalewa oślepiające światło.

Rozpada się na setki oddzielnych snopów—łaziki, lunicykle, światła nawigacyjne twardych skafandrów i elastyków. Wszystko to pędzi po ciemnym regolicie. Za nimi wznosi się wielka ściana pyłu, rzucając księżycowe cienie w rozproszonym ziemskim blasku. Ruszają na pozycję Mackenziech. W ostatniej chwili noże i strzelcy uciekają, klin łazików, lunicykli i oddział biegnących luniarzy rozdziela ich linię.

Na antenach i masztach, linkach i belkach, na łazikach i plecakach skafandrów, na ich naramiennikach, na hełmach i napierśnikach, widnieje pośpiesznie wydrukowana lub

namalowana od szablonu pół czarna, pół biała maska Naszej Pani Tysiąca Śmierci, Pani Luny.

João de Deus powstało.

Klin luniarzy rozwija się w falangę najeżoną pikami i włóczyniami. Jeźdźcy na lunicyklach opierają końce pik o podpórki na nogi. Luna widziała coś podobnego w bajce, kiedy była bardzo mała — jakieś kompletne wariactwo ze starej Ziemi, metalowych ludzi na wielkich metalowych zwierzętach, z długimi włóczyniami pod pachami.

— *Rycerze w zbrojach* — podpowiada chowaniec, przypominając sobie to samo, co ona. — *Rycerze z kopiami*.

Wysoko nad stojącymi naprzeciw siebie armiami błyskają niebieskie ognie — silniczki manewrowe statku VTO szukającego nad liniami Mackenziech bezpiecznego miejsca do lądowania. Główny silnik daje jeszcze jeden ostatni impuls i paskudna płatanina zbiorników, chłodnic i kratownic zniża się nad regolit.

Pancerne i miękkie rękawice zaciskają się na drzewcach włóczni, piki opuszczają się. Palce zaciskają się na kierownicach lunicykii.

— Luno — mówi *madrinha* Elis.

— Jestem gotowa — odpowiada Luna. Skafander ma przygotowany, rezerwy energii włączone. Jedno słowo i pobiegnie, szybciej, niż poniosłyby ją własne nogi. Wie, do jakich wyczynów zdolny jest standardowy sztywny skafander — korzystała z tego, kiedy niosła Lucasinha, niedotlenionego, według zwykłych norm *martwego*. do azylu Boa Vista. — Już to robiłam.

Pył wzniecony przez opadający statek zakrywa *santinhos* i Mackenziech. *Madrinha* Elis krzyczy:

— *Dziecko, leć! Biegnij!*— rozkazuje, choć skafander już jest w ruchu.

Tak jak Mackenzie. Minęła chwila zaskoczenia, łąziki ruszają, by zaatakować z boków lunicyklową kawalerię *santinhos* i przeciąć drogę do statku. Piechota *santinhos* szarżuje, by ich przechwycić i obronić przejście.

Pada pierwsze ciało. Postać w elastyku wygina się i pada. Twardy skafander rozpryskuje się na odłamki. Mackenzie zaczęli strzelać. Pęka hełm. Głowa rozpada się na krwawą miazgę, sztandary Pani Luny padają jeden po drugim. Teraz Luna widzi krew, strzępy ciała, tryskające w próżnię płyny ustrojowe.

Siostra Elloa od półksiężyca Iansy pada i koziółkuje u boku Luny. Odstrzelono jej czubek głowy. Wokół Luny śmigają niewidoczne pociski, !ale nie jest w stanie o nich myśleć — myśli tylko o statku, który osiada na podporach i opuszcza pochylnię pod kapsułą transportową.

— Luna! — Głos Mãe Odunlade na prywatnym kanale. — Łap trumnę z prawej strony. Skafander sobie poradzi.

— Mãe...

— Elis weźmie z drugiej.

— Mãe...

— Nie kłóć się, dziecko!

Pancerna dłoń zaciska się na jednym z uchwytów. Żyroskopy stabilizują ciężar. Widzi, jak *madrinha* chwyta trumnę z drugiej strony.

Santinhos atakują Mackenziech. Dwóch, dziesięciu, dwudziestu pada pod ogniem, ale dzid, włóczni, pik jest ciągle więcej i więcej. Walczą wręcz, z bliska, intymnie, z namiętnością i żarem. Jakby uprawiali seks. Włócznie wbijają się głęboko, przebijają ciała na wylot, rozpruwają skafandry, skórę, kości, rozbijają szyby hełmów i wbijają się w twarze, czaszki, mózgi.

— Co się dzieje? — pyta niani na prywatnym kanale.

— Kupują nam czas, *anjinho*.

Falanga pik przegrupowuje się, łączy, szarżuje głębiej. Strzelcy łamią szyk i się wycofują. W tej chwili pędząca pomiędzy ścianą pik Luna czuje, że skafander mocniej zaciska dłoń na uchwycie trumny z kuzynem, pochyla się i sprintem rusza w stronę statku. Wbiega na pochylnię z pełną szybkością, ostro hamuje przed tylną ścianą kapsuły transportowej. Załoga w elastykach zabezpiecza trumnę. Luna czuje przez haptyczny interfejs butów, że pokład drga.

Start głównego silnika za dziesięć, dziewięć, osiem...

Przez zamykające się drzwi Luna rzuca ostatnie spojrzenie na pozostałe Siostry Panów Chwili, białe skafandry stojące w kręgu plecami do siebie, z wysoko uniesionymi atrybutami *orixas*. Wokół nich pierścień pik i dumne chorągwie Naszej Pani od Tysiąca Śmierci. A dalej Mackenzie, nieprzeliczeni jak gwiazdy. Potem odpala silnik i wszystko zakrywa pył.

Mãe de Santo Odunlade patrzy, jak księżycowy statek startuje z oślepiającej chmury pyłu na rombie rakietowego światła.

Południk da im schronienie. Południk ich uleczy. Księżycowy Orzeł weźmie ich pod swoje skrzydła.

Santinhos otaczają Siostry pierścieniem pik i lanc. Tylu ich padło, tylu zginęło. To okropne miejsce na śmierć.

Mãe Odunlade znajduje ikonkę wspólnego kanału.

— Regolit już się napił krwi! — woła do wszystkich luniarzy i *santinhos* na Morzu Żyzności, do wszystkich noży i najemników, do Bryce'a Mackenziego, gdziekolwiek się ukrywa.

Karabiny Mackenziech ani drgną.

Na tyłach okrążenia ruszają dwa łaziki, przyspieszają z niesamowitą szybkością, pędzą w ślad za statkiem, sunącym na zachód gwiazdozbiorem światełek pozycyjnych. Na pakach łazików rozkładają się mechanizmy, maszyny o wielu lufach, z taśmami amunicyjnymi. Bogowie i duchy, jakie one są szybkie! Już są na horyzoncie. W niebo, goniąc światełka statku, unoszą się łukami świetlne smugi. Mãe de Santo Odunlade nie wie, co widzi, ale wie, co to znaczy. Skoro Bryce Mackenzie nie może mieć Lucasinha Corty, to nikt go mieć nie będzie. I rozumie coś jeszcze, kolejną prawdę. Nie będzie litości dla nikogo, kto uniósł rękę i nóż w imieniu Cortów.

— W imię Oxali, światłości światła, wiecznie żywej, wiecznie groźnej, wiecznie niezawodnej! — Mãe de Santo Odunlade unosi parasol wysoko nad głowę. Otwiera go.

Pozostałe siostry, jak na sygnał, podnoszą wysoko swe atrybuty. Miecz Oguna, wachlarz Yemanji, łuk Oxossiego, topór Xango.

Zaczyna się strzelanina.

Luna nie jest w stanie rozewrzeć dłoni zaciśniętej na uchwycie medycznej kapsuły. Lucasinho jest wolny, Lucasinho jest bezpieczny, można już go puścić, lecz skafander odczytuje jakąś prawdę, do której sama się nie jest w stanie przyznać, i nie otwiera rękawicy. Ten skafander — ma wrażenie, że się w nim urodziła. Chronił ją, prowadził, pomagał. Ale także zdradził ją i naraził na śmierć.

Wspomnienie: Lucasinho owija taśmą przegub stawu, gdzie ostry jak brzytwa księżycowy pył gryzł fałdowany materiał, krok za krokiem, kilometr za kilometrem, aż przegub puścił. Dotyka stawu kolanowego, interfejs dotykowy rękawic przekazuje nierówności taśmy. Nie zauważyła tej łaty, kiedy Mãe de Santo kazała jej się ruszać, już, dziecko, natychmiast, wychodzimy.

Dokąd, Mãe?

Do Południka. Orzeł wysłał statek po swego syna.

Założyła ocieplacz, wskoczyła do ogromnej skorupy, interfejs haptyczny—ny objął ją, skafander uszczelnił się — znalazła się z powrotem na stacji Baltranu w Lubbock. Lucasinho kazał jej zrobić krok naprzód. *Skafander wszystko robi za ciebie.*

A człapiąc obwodowym tunelem do śluzy, znalazła się z powrotem w schronie w Boa Vista, pod zielonym światłem, z Lucasinhem leżącym tam, gdzie go położyła. Ten ciężki skafander potrafił być taki delikatny. Leżał. Nie ruszał się. Nie oddychał.

Co mam zrobić?

Azyl pokazał jej, jak podłączyć Lucasinha do systemu podtrzymywania życia, gdzie podpiąć czujniki, gdzie podłączyć

układ chłodzący, który będzie go utrzymywał w niskiej, ratującej życie temperaturze.

Jest w bardzo ciężkim stanie, powiedziały jej maszyny. Wymaga natychmiastowej intensywnej opieki medycznej.

Jednakże ona mogła tylko czekać w zimnym zielonym świetle. Tak jak czeka teraz w ładowni statku VTO.

Nieważkość za trzy, dwa, jeden...

Impuls startowy się kończy. Buty Luni przytwierdzają się rzepami do mikropętelek pokładu. Jest zakotwiczona, ale wolna — przypomina sobie zawroty głowy i mdłości podczas nieważkości w Baltranie. Na statku VTO na suborbitalnym kursie do Południka wcale nie jest lepiej.

Przez podeszwy czuje serię uderzeń. Centymetry od lewej pięty pojawia się seria otworów, w idealnie równych odstępach. Znów ten grzechot, kolejna linia przeszywa ścianę ładowni, od dolnego prawego rogu po górny lewy. Przez dziury wiewa się światło Ziemi.

Trzecia seria ciosów. Wtem nagłe przyśpieszenie odrywa Lunę od podłogi, odrywa dłoń od uchwytu na kapsule z kuzynem. Oś przyśpieszenia przesuwają się, ciska nią z powrotem w stronę trumny — lecz nagłe zaczyna unosić się swobodnie w powietrzu.

Jesteśmy ostrzeliwani, mówi statek. Trafiają nas pociski kinetyczne o dużej prędkości. Naruszona integralność kadłuba. Zbiornik numer 3 rozszczelniony, wywołał nieplanowane przeciążenie, które już ustabilizowałem.

Luna łapie się rury systemu podtrzymywania życia i podciąga się ku grodzi. Kolejna seria uderzeń. Na pokładzie i

stropie wykwita łukowata linia dziurek. Dwa uderzenia serca temu miała tam głowę. W suficie są dziury. Wszędzie są dziury.

Luna odwraca się, a jej buty ponownie uczepiają się pokładu. Rozgląda się za Elis — leży, góra białego pancernego plastiku, po drugiej stronie trumny. Nie rusza się, nic nie mówi. Czemu leży? Pani Luno, niech nie będzie żadnych dziur w jej skafandrze, żadnych dziur w jej *madrinhi*.

Jęknięcie i westchnienie na prywatnym kanale. Góra plastikowego pancerza porusza się, zmienia się w człowieka w skafandrze. *Madrinha* Elis podnosi się na kolana.

Nagle gasną światła.

— Co się dzieje?! — krzyczy Luna.

Przecięty główny przewód zasilania, mówi statek. *Zaraz uruchomi się zasilanie awaryjne. Muszę poinformować, że mój układ został poważnie uszkodzony i moja funkcjonalność jest ograniczona.*

Rozjarzają się awaryjne światełka, słabe i niezdrowo żółte. HUD w hełmie Luni jest mozaiką czerwonych alarmów — załoga, na górze w sterowni, ma problemy. Jeden po drugim symbole robią się białe.

Biały to kolor śmierci.

— Elis!

Madrinha podchodzi do niej, rozkłada pancerne ramiona, obejmuje wielki, niezdarny skafander.

— *Coração*.

— Nic ci nie jest?

— Kapsuła! — woła Elis. — Kapsuła!

— Lucasinho!

Luna okrążyła trumnę, szuka dziur, uszkodzeń, nawet nieznacznych draśnień. Jeden pocisk zrobił rysę na dolnym lewym rogu kapsuły. Przyciska szybkę hełmu do okienka. Na oko wszystko działa.

Zmiana planu lotu, mówi statek. Awaryjne lądowanie w Twé. Proszę przygotować się do manewru za trzy... dwa... jeden...

Mikroprzyśpieszenia szarpią Lunę, potem znów jest w nieważkości.

Za chwilę główny impuls do zejścia z orbity.

Powraca ciężar, wiele Lun uwieszonych na jej ramionach. Skafander chroni ją, sztywniejąc, czuje jednak, że zgrzytają jej zęby, że krew w żyłach jest ciężka jak ołów.

Nadałem wezwanie o pomoc, mówi statek. Luna wyobraża sobie strach w jego spokojnym, rzeczowym głosie. Moje radiatory są nieodwracalnie uszkodzone. Nie jestem w stanie pozbywać się ciepła odpadowego.

Podczas wędrówki z Lucasinem przez południowo—wschodnią ćwiartkę Luna poznała naturę próżni, ulubionej broni Pani Luny, która ma jednak i inne, bardziej wyrafinowane metody zabijania, nie tylko głęboki, duszący pocałunek. Próżnia jest bardzo dobrym izolatorem. Najlepszym. Ciepło może uciec tylko przez promieniowanie. Jej własny skafander potrafi wysunąć z ramion płyty radiatorów, żeby wypromieniowywać ciepło powstające w jego układach — oraz w jej własnym, małym ciele. Statek produkuje o wiele więcej ciepła niż dziewczynka, zwłaszcza gdy ma włączone silniki. Krytyczne układy mogą się przegrzać, zepsuć, stopić nawet. Żeby bezpiecznie wylądować w Twé, silnik musi dawać

duży i długi ciąg i nie potrafi wypromieniować nadmiaru ciepła. Ciepło, jeszcze więcej ciepła i ciepłem pogania.

Statek się trzęsie. Nie przypomina sobie, żeby tak się trząsał przy starcie. Silnik przerywa — przez moment czuje nieważkość — potem odpala z powrotem. I znów gaśnie, zacina się, próbuje odpalić, przerywa. Ledwie coś widzi podczas tego rozdygotanego hamowania.

Krytyczna awaria... wszystkich systemów, mówi statek. Ja umieram.

Wibracje ustają. Gaśnie główny silnik. Luna spada na powierzchnię Księżyca w skrzynce, skorupie, wraku usianym przestrzelinami.

W próżni wewnątrz kapsuły transportowej zaczynają unosić się białe duszki. *Na Księżycu nie ma duchów, wszyscy to wiedzą.* To czym są te pasemka duchów wijące się nad każdym kablem i przewodem, każdą płytą pokładu i każdym bazgrołem zrobionym próżniowym mazakiem?

Nagle zauważa własny wskaźnik temperatury. Pokład pod jej stopami osiąga sto pięćdziesiąt stopni.

Substancje lotne odparowują z polimerów, mówi AI skafandra. Za trzy minuty przewiduję osiągnięcie punktu topnienia.

Jej skorupowy skafander też jest z plastiku. Mocnego i twardego plastiku, w którym można spacerować po twarzy Pani Luny, dobrego plastiku, który robi, co może, by ją ochłodzić, ale wygląda na to, że upiecze się w nim żywcem jeszcze zanim skończy się jej powietrze.

Daję całą moc na kontrolę środowiska, mówi skafander. Otwieram panele radiatorów.

Luna czuje szczyknięcie rozwierających się na plecach płytek. Skrzydełka, zaczarowane skrzydełka jak u ćmy księżycówki, jej chowańca.

Przygotowanie do zderzenia, mówi nagle skafander.

— Co ta... — zaczyna Luna, lecz nagle coś uderza w nią mocniej niż cokolwiek w życiu, tak mocno, że nawet powierzchnie czuciowe skafandra nie są w stanie pochłonąć całej siły uderzenia.

Wali całym ciężarem o podłogę, potem o gródź. Słyszy trzask plastiku, chrupot odłamujących się skrzydełek. Jest jak maleńki groszek obijający się o wnętrze tykwy.

Odniosłem ciężkie uszkodzenia, zagrożenie integralności, mówi skafander. Luna próbuje zrobić wdech. Nie może nabrać powietrza.

Madrinha Elis zbiera się na równe nogi.

— *Anjinho*, musimy uciekać. Otwieraj drzwi. Wezmę *Lucasinha*.

Cała ładownia jest pełna oparów, dukty zaczynają obwisać, przewody się uginają. Pokład przechyla się — drzwi do ładowni są na górze.

I nie chcą się otworzyć.

Luna raz jeszcze wali w czerwony guzik. Drzwi nie chcą się otworzyć.

— Gdzie jest ręczne sterowanie? — pyta skafander.

Druga zasada luniarzy — wszystko ma ręczne sterowanie. Wujek *Carlinhos* tak mówił. Wielki, uśmiechnięty *tio* *Carlinhos*,

który zbyt rzadko pojawiał się w Boa Vista, ale kiedy już się zjawił, brał ją na ręce i rzucał wysoko w powietrze, tak że rozwiewały jej się włosy i krzyczała, choć zawsze wiedziała, że będzie na dole i ją złapie. Pierwsza zasada luniarzy — wszystko może cię zabić.

Wielki, wyszczerzony *tio* Carlinhos, kiedy była jeszcze dzieckiem, zanim wzięła jego noże i stała się księżniczką Corta Helio.

Skafander podświetla małą klapkę. W środku jest dźwignia.

— Po mojej stronie jest druga — mówi *madrinha* Elis. — Razem.

Madrinha Elis odlicza na palcach. Trzy, dwa... Luna pociąga za rączkę. Drzwi opadają na teleskopach. Luna wygląda na zewnątrz. Stoi na krawędzi, trzy metry nad powierzchnią regolitu. Statek spadł na krawędź małego krateru. Za jego brzegiem Luna widzi talerze z antenami i lustrami. Twé. Skok na powierzchnię — bez problemu. Zsuwa się po pochyłym pokładzie i wyhamowuje, łapiąc się uchwytu na trumnie. Elis przytrzymuje jej przód. Luna odpina zaczepy trumny. Zsuwa się. Elis ją przytrzymuje, wtedy Luna biegnie do nóg trumny i pcha — razem, ciągnąc, pchając, przesuwają ciężką medyczną kapsułę na krawędź.

Nie da się tego zrobić delikatnie.

Razem wypychają Lucasinha za rampę. Spada powoli w słabym księżycowym ciężeniu, uderza nogami w ziemię i koziołkuje, lądując okienkiem w dół. Dwa kroki za nim Luna i Elis zeskakują z platformy i lądują w chmurach pyłu. Z całej załogi statku VTO *Pustielga* przeżyły tylko one.

Elis pokazuje trumnę palcem, gestami naśladuje podnoszenie. Dwa skorupowe skafandry kucają i odwracają trumnę. Okienko jest nienaruszone. Lucasinho leży, zsunął się na bok, nieruchomy i nieporuszony. Luna nie wie, czy jest żywy, czy martwy.

— Wyjdźmy z nim spod statku — mówi Elis.

Razem odciągają kapsułę od wraku *Pustielgi*. Statek leży jak rozgnieciony imprezowy motyl. Jedna z nóg do lądowania złamała się podczas upadku pod kątem, druga wbiła się w kadłub. Odstrzelone ma wszystkie radiatory, dookoła sterczą puste żebra—wysięgniki. Przebity zbiornik paliwa wciąż bucha parą. Odpadł jeden komplet silników manewrowych. Statek jest cały usiany dziurami, na wylot, tysiące razy. Linie przestrzelin przecinają się na całej powierzchni ładowni. Luna nie może uwierzyć, że przeżyły. Sterownia — jeszcze więcej dziur. Nic nie zostało całe, nic nie przeżyło. Wybuchają baterie, odłamki odbijają się od skafandra Luni. Z przestrzelin kapie stopiony plastik. Na jej oczach statek rozpada się jeszcze bardziej. Widzi jarzące się słabą czerwienią silniki. Zaraz to wszystko eksploduje. We dwie łapią trumnę Lucasinha i jak najszybciej oddalają się ku przeciwległej krawędzi krateru. Zjeżdżają—zsuwają się po regolitowym piargu w stronę kopuły, zbiorników i anten Twé, stolicy rodu Asamoah. Ludzie czyszczą słoneczne kopuły, przepuszczając światło w dół do luster, z gruzu, którym zasypały je spychacze najeźdźców, dusząc w ciemności silosowe farmy.

Na szybcie Luni wykwitają ostrzeżenia. Jej skafander stopniowo umiera, zawodzą krytyczne systemy. Już coś takiego

widziała, przeżyła taki marsz śmierci na szkle pod Boa Vista, gdy jej skafander też zawiódł, a Lucasinho go załatał i dał jej swój ostatni oddech z płuc.

Twé na pewno coś wie. Spadł uszkodzony statek, lądował awaryjnie. Twé na pewno wyśle pomoc. Twé zawsze przyjaźniło się z Certami.

Na horyzoncie pojawiają się dwa słupy pyłu. W parę sekund zmieniają się w sunące od wschodu dwa ślady. Luna macha: *Tutaj! Tutaj! Tu jesteśmy!*

— Czemu Asamoah jadą od tamtej strony? — pyta Elis.

Widać już łaziki. Luna je zna — na dachach mają znajome karabiny maszynowe.

— Lecimy! — wrzeszczy.

Skafander wyświetla Lunie najbliższą służę wejściową, ale brakuje mu prądu, trumna jest ciężka, poza tym i tak nie prześcigną łazika Mackenzie Helium.

Przed Luną hamuje lunicykl. Drugi. Trzeci. Cały oddział lunicykli, każdy powiewający w bezpowietrznym niebie heraldycznym proporcem z adinkrami. Blackstars, czarnogwiazdni. Lunicykle okrążają je. Luniarz na wprost podnosi rękę. Zatrzymać się. Luna i Elis stają jak wryte, trzymając pomiędzy sobą kapsułę podtrzymującą życie. Jeźdźcy po obu stronach dowódcy zsiadają i idą ku nim z kablami. Podłączają je do skafandrow i trumny.

Białe panele rozświetlają się czerwienią — szybka Luny wypełnia się nazwiskami, znacznikami, identyfikatorami, zasięgami, mapami.

— Znaleźliśmy was — mówi dowódca czarnogwiazdnych.

— Odejść od kapsuły — rozlega się głos na wspólnym.

Przyjechali Mackenzie. Luna trzęsie się z furii, słysząc australijski akcent. Ma dość tych ludzi, dosyć, dosyć, dosyć. Niczego nie usłucha. Nie zostawi Lucasinha. Przekłada uchwyt do drugiej dłoni i odwraca się do nieproszonego głosu.

Dwa łaziki Mackenzie Helium stoją o sto metrów w górę zbocza. Ich załogi zeskakują z siedzeń i ustawiają się w szereg. Jeden ma karabin. Działka na łazikach okręcają się, opuszczają, mierzą.

Każdy z czarnogwiezdnych ma w dłoni nóż.

— Dosyć! — Luna tupie nogą. — Jestem Luna Ameyo Arena de Corta i jestem księżniczką! — krzyczy. — Moim ojcem był Rafael Corta, matką jest Lousika Yaa Dede Asamoah, Omahene Złotego Stolca AKA. Tylko mnie tknijcie, a dotkniecie całego ludu Asamoah.

— Luno — szepcze *madrinha* Elis na prywatnym kanale, lecz Luna jest już wściekła, wściekła jak nigdy w życiu. Sto fal furii na tysiąc niesprawiedliwości, wydestylowanych w jedną wielką i czystą falę.

— Won! — krzyczy Luna.

Na wspólnym nie pada ani jedno słowo, ale *jackaroos* rozchodzą się i wracają do łazików. Czarnogwiezdni pozostają w obronnym szyku.. Potem działka obracają się, odwracają się od celów. Łaziki zawracają, kreśląc w pyle pierścienie. W ciągu jednego oddechu są w połowie drogi do horyzontu.

— Luno — mówi znowu *madrinha* Elis, a na wspólnym kanale dowódca, czarnogwiezdnych dodaje: — już jesteś bezpieczna.

Luna stoi jednak nieugięta, z dłonią zaciśniętą na trumnie kuzyna.

— Idźcie sobie, idźcie. Won!

Gdy zamykają się drzwi, Finn Warne wbija wzrok w świetlny panel na suficie. Ekspresowa winda jedzie po zachodnim skrzydle Królewskiego Dworu niecałe dwadzieścia sekund, ale dla niego problemem jest właśnie ta szybkość — oraz dwukilometrowa droga w górę, od dnia Królowej Południa do prywatnego apartamentu Bryce’a. To nieprofesjonalne, by szef bezpieczeństwa Mackenzie Helium cierpiał na lęk wysokości. A tak, z rękoma z tyłu, wpatrzony w lampę, wygląda jakby medytował, zbierał myśli.

Bryce mógł to wszystko załatwić przez sieć. Nowoczesny biznesmen nie potrzebuje osobiście wydawać rozkazów swojemu Pierwszemu Nożowi. Ale taka już natura oligarchy — ma mieć także to, czego nie potrzebuje.

Nowoczesny biznesmen nie potrzebuje też osobistej recepcjonistki w śnieżnobiałej sukni, za śnieżnobiałym biurkiem. Finn Warne zawsze był dumny z tego, że jest zadbany — wypielęgnowane paznokcie, wytrymowane włoski w nosie, włosy wypomadowane i zaczesane do tyłu zgodnie z obecną modą z lat czterdziestych XX wieku. Jednakże przy Krimsyn za tym biurkiem zawsze czuje się niechlujem i prostakiem — krawat odrobinę zbyt luźno zawiązany, kreseczka brudu za paznokciem, policzki trochę zbyt szorstkie. I wie, że ona wie, że boi się wysokości.

Finn legitymuje się uprawnieniami bezpieczeństwa na najwyższym możliwym poziomie. Krimsyn przechyla głowę — tylko tak daje jpoznać, że go kojarzy.

Żeby pokryć tę niechęć, Finn wyobraża sobie, że uprawia z nią seks. Lubi myśleć, że to opanowanie i niesamowita dbałość o szczegóły obejmują wszystkie części jej ciała i że ta samokontrola nigdy nie pęka, choćby seks był nie wiadomo jak intensywny, długi i brutalny.

Szczęknienie. Otwierają się drzwi do świątyni pana Mackenziego.

— Warne.

Bryce leży na stole operacyjnym przy szklanej ścianie. Jest nagi i ogromny, istna lawina tłuszczu falującego na białej tapicerce. Na skórze ma białe, ziarniste rozstępy. Maszyny uwijają się nad nim jak wierni podczas modlitwy, dwie nad barkami, dwie nad brzuchem, dwie nad biodrami. Ich długie ramiona niosą igły i rurki, które będą wysysać z niego tłuszcz.

Finn podchodzi tak blisko, jak pozwala mu odwaga. Widok za oknem jest potworny — nie chodzi nawet o samą przepaść w dole, bo w nią nigdy nie śmiał zajrzeć, ale o panoramę wież Królowej Południa; każda iglica, smukła jak pałeczka do jedzenia, przypomina, jak jest wysoko i jak wiele ma jeszcze nad sobą, stapiając się z maszyną na stropie komory magmowej Królowej. Potworny widok, ale z tym monstrum na stole chirurgicznym nie może się potwornością równać.

— Nie dopadłeś go — mówi Bryce.

— Załogi łazików nie były zakontraktowane na walkę z Asamoah — odpowiada Finn.

Bryce gwałtownie nabiera powietrza, gdy maszyny napinają ramiona i wbijają mu igły w ciało.

— Miałeś jedno zadanie. Dostarczyć mi Lucasinha Cortę.

— Wystawiliśmy te kontrakty w pośpiechu. Musieliśmy działać szybko — mówi Finn. Widzi przesuwające się pod skórą, ryjące w tłuszczu kaniule.

— Usprawiedliwiasz się?

Finn Warne opanowuje skurcz strachu.

— I teraz Lucasinho Corta jest w Twé, pod ochroną Asamoah. Znowu. Mieliśmy dwa łaziki z działkami. Przypomnij mi, proszę, jakie uzbrojenie mieli czarnogwiezdni?

— Luncykle i noże.

— Luncykle i noże. Przeciwno działkom.

— Systemy prawnicze naszych najemników przestrzegały przed prowokacją.

Bryce jest unieruchomiony jak eksponat. Nie może się ruszyć. Przesuwa wzrokiem, by spojrzeć na Warne'a.

— Dział prawny otrzymał wniosek o odszkodowanie od Świętej Olgi. Skurcz, stęknienie na stole ze stali nierdzewnej.

— Oprotestuj. I oprotestuj też wypłatę dla załóg tych działek. Najemnicy, kurwa mać.

— Nie mieli upoważnienia do wojny z AKA.

Żółty tłuszcz spływa rurkami do przejrzystych woreczków pod stołem.

— W João de Deus ktoś przeżył?

— Nikt.

— No to już coś. Nasze straty?

Igły wysuwają się. Z rana ciekną cieniutkie strużki krwi, poruszają się delikatniejsze paluszki robota, przeciekają je, sterylizują, tamują. Igły wypatrują nowych celów i wbijają się. Bryce wydaje kolejny krótki syk. Warneowi wydaje się erotyczny. Czuje gęsią skórkę na jajach.

— Nie spodziewaliśmy się walki.

— Pokaż liczby.

Pstryknięcie danych pomiędzy chowańcem i chowańcem.

— Głównie nasi *jackaroos* — zauważa Bryce. — Dobrze. Najemnicy kosztują. Standardowe wynagrodzenie plus dziesięć procent. Tak jak mówisz, nie spodziewali się walki. I co mamy? Żadnego zakładnika, João de Deus nienawidzi mnie jeszcze bardziej, a Jewgienij Woroncow chce mnie naciągnąć na nowy statek. Trochę spierdolone, nie, panie szanowny?

— Jakie są pana rozkazy?

— Miny, Warne. Takie, co wybuchają. Weź ekipę inżynierów i zaminuj całe to pieprzone ukochane miasteczko Lucasa Corty. Tak, żeby dokładnie wszystko było zaminowane. Ale ma to być po cichu. Dasz radę, co? I niech ktoś z techniki podgra mi odpowiedni program do chowańca. Jeśli coś mi się stanie, w miejscu João de Deus ma być krater. On mi zniszczył dom, ja jemu też zniszczę.

Kaniule wysuwają się z oślizłym mlaśnięciem i rozglądają za świeżym tłuszczem.

DWA

Znów to. Przenikliwe, piskliwe, głośnie, przebijające się przez harmider poranka w Kwadrze Oriona. Wołanie. Krótkie, ostre dźwiękowe igły kończące się trylem.

Alexia zamiera w porannym stroju, z palcami na guzikach wciętego w talii żakietu. Nieznaczny ruch, najcichszy szelest tkaniny i melodia przepadnie. I przepada. Alexia idzie, bez butów, w pończochach na stopach, na balkon. Staje nieruchomo jak skała, nasłuchuje przenikliwego odgłosu wśród akordów stu różnych silników elektrycznych, buczenia wody w rurach, szumu sztucznego wiatru i chóru ludzkich głosów, który jest najgłośniejszym składnikiem w muzyce Południka. Całą swą uwagę zmienia w jedną ostrą strzałę słuchu. Nawet bicie jej serca, szmer oddechu, są teraz zbyt głośnie.

Jest: parę igiełek, staccato, gdzieś daleko w Kwadrze. Coś dziwnego, coś żywego, coś, co nie jest człowiekiem. Żłoto i zieleń, plamka czerwieni, przemyka jej przed oczyma. Śledzi to wzrokiem. Ptak.

— Co to jest?

Alexia już pogodziła się z ikonkami w oku przedstawiającymi Cztery Żywioły. Żelazna Ręka Księżycowego Orła nigdy nie zazna dławiącego lęku przed długim tlenowym, pożyczania oddechów od rodziny, od przyjaciół, odzyskiwania wody z wydechów półtora miliona obywateli Księżyca. Jednakże te światełka nigdy nie gasną, nigdy nie dają jej zapomnieć, że wszystko w tym świecie jest policzone i wycenione. Chowaniec wciąż jest dla niej trochę obcy. Zgodnie z tutejszym zwyczajem dała mu imię — Maninho — oraz skórę chłopaczka z kreskówki, w workowatej koszulce, spodenkach i przydużych butach, żeby wyglądał niegroźnie, ale wciąż nie umie mówić do niego na głos. W domu AI znają swoje miejsce.

„W domu”?

— *Świergotka seledynowa* — odzywa się bezgłośnie Maninho we wszczepionej słuchaweczce.

Alexii aż dech zapiera, gdy barwna plama sunie ku niej, a potem przysiada na balustradzie balkonu sąsiada. To ptak.

— No patrzcie tylko — szepcze Alexia Corta. Kuca, ćwierka i kląska do ptaszka, z wyciągniętym palcem, jak się wszędzie na świecie woła do małych zwierzątek i małych dzieci. — Jaki jestem śliczny.

Papuzka przechyla głowę, patrzy na nią najpierw prawym okiem, potem lewym. Jej upierzenie przechodzi z turkusowej zieleni na głowie, przez szmaragdowe skrzydła, po żółty brzuch. Grzbiet jest plamą ceglastej czerwieni.

Nie licząc ryb i skorupiaków w akwariach w jadłodajniach oraz fretek na smyczach, to jedyne żywe stworzenie, które Alexia widziała od wylotu z Ziemi.

— *Co ona tu robi?* — Alexia spina mięśnie żuchwy i subwokalizuje do wszczepionego mikrofonu: tutejsze dzieciaki uczą się tego, zanim nauczą się chodzić, a ona jeszcze tego nie opanowała.

— *Sądząc po zachowaniu, domyślam się, że chce od ciebie wyżebrać coś do jedzenia* — odpowiada Maninho.

— *Nie o to mi...* — Chowaniec może i ma skórkę chłopaczka z plaży, ale charakter księdza nauczającego katechizmu. — *Skąd one się tutaj w ogóle wzięły?*

— *Dziki kolonie pojawiły się w Królowej Południa dwadzieścia lat temu* — mówi Maninho. — *Tutejsza populacja to około pięciuset osobników. Okazały się odporne na próby wytępienia. Gatunki pasożytnicze są stałym problemem w centrach miast.*

— *A co one jedzą?*

— *Ziarno, owoce, orzechy, nasiona* — wyjaśnia Maninho. — *Nadwyżki żywności. Są w stu procentach uzależnione od ludzi.*

— *Passarinho, nie uciekaj* — mówi Alexia.

Powoli cofa się do pokoju. Jej poprzedni apartament w Ocean Tower był ciasny, ale to jest więzienna cela. *Gdzie mój widok z góry na miasto?* — poskarżyła się. Asystenci zmarszczyli czoła w zakłopotaniu. To eleganckie lokum, w sam raz dla asystentki Księżycowego Orła. Zaczęli jej tłumaczyć, że z powierzchni w głąb regolitu wnika promieniowanie. Im wyższy twój status, tym niżej mieszkasz. *A kuchnia gdzie?* Zażenowani wysunęli ze ściany zlew, pojemnik na odpadki, lodówkę. *A gdzie się przechowuje rzeczy? Gdzie się gotuje?* Znów uniesione brwi. *Chcesz gotować?* Je się na mieście. Wybierasz

sobie upatrzony hot—shop, poznajesz stałych bywalców, poznajesz kucharza, zżywasz się z tą małą społecznością. Kuchnie w mieszkaniach są do robienia koktajli i parzenia herbaty miętowej, jeśli już w żadnym razie nie możesz zejść do herbaciarni.

Orzechy, tak? Ma w lodówce trochę nerkowców. Nerkowce i masa z nerkowców to smak domu. To jedyne, co ma w lodówce. Ale ptaki powinny lubić orzechy, prawda?

— *Wiadomość od Lucasa* — mówi Maninho.

— Cholera.

Nawet nie głosowa wiadomość. Rozkaz. Tekstem. *Zmiana planów. Przyjdź do mnie do Pawilonu Nowego Księżyca. Ubierz się jak na sesję plenarną.*

Ciska garść orzechów na balkon i już odwracając się, widzi kątem oka roztrzepotaną plamę zieleni.

Mężczyzna kuli się w windzie, blisko Alexii, jak jej cień. Smród uderza ją w nos, dławi. Księżyc w pierwszej kolejności zaatakował jej węch — i węch też pierwszy się tu zaaklimatyzował. Gdy wyszła z kapsuły pętli księżycowej do centrum Południka, mało nie padła od smrodu. Obrzydliwy odór ścieków, zapach przeoddychanego wielokrotnie powietrza i ciał, które je wytchnęły, trzask ozonu i elektryczności, słodkie, mdlące nuty świeżo wydrukowanych plastików. Ciała, pot, bakterie i pleśń. Zapachy gotowania, gnijącej roślinności, zastalej wody. A ponad tym wszystkim gryzący jak dym z fajerwerków zapach księżycowego pyłu. Ale któregoś ranka

obudziła się w swojej maleńkiej sypialence i już nie przywitała jej ściana smrodu. Już się z nim zrosła. Wtopił się w jej skórę, gardło, śluzówkę oskrzeli i płuc.

Tego typu zauważa cała winda.

Jest wysoki, wychudzony, biały i nieogolony. Ma na sobie standardowy luniform — bluzę z kapturem i legginsy, ale brudne. To nie do pomyślenia w społeczeństwie, które codziennie nosi coś innego, codziennie sobie to drukuje i codziennie wyrzuca. Jest nagi — nad lewym barkiem brak chowańca. Łapie spojrzenie Alexii i zerka jej w oczy.

Alexia Corta nigdy pierwsza nie odwraca wzroku.

W miarę jazdy na górę tłumek pasażerów rzednie. Zanim dotrze na poziom biur Zarządu LMA, zawieszonych symbolicznie w połowie drogi między Ziemią a okopanymi głęboko w regolicie księżycowymi elitami, pozostają tylko ona i śmierdziel.

Winda zwalnia, potem staje.

— Daj mi trochę powietrza — wysapuje, gdy otwierają się drzwi. Staje w nich, żeby się nie zamknęły.

— Przepraszam.

Alexia przeciska się, a on łapie ją za nadgarstek. Wyrywa się, z wystarczającą siłą, żeby dać mu do zrozumienia, że jednym ruchem może złamać mu rękę, ale potem odwraca się do niego twarzą. *Tak właśnie wygląda bieda*, uświadamia sobie. Dorastała w przekonaniu, że na Księżycu są sami bogaci. Siedziała na gzymsie Ocean Tower i patrzyła w górę na małą, odległą kulkę, pełną miliardarów.

— Proszę. Jeden oddech.

Słyszysz wysiłek w każdym słowie. Każda sylaba coś kosztuje. On walczy o każdy oddech. Ledwie porusza piersią, ścięgnięta na szyi ma napięte jak liny, każdy mięsień skupiony na czynności oddychania. Nie może oddychać.

— Przepraszam, jestem nowa. Nie wiem, jak się to robi — jąka się, odsuwając się od człowieka, który powoli się dusi.

— Jechać LMA — szepcze za nią. Nie stać go na krzyk. — Szkoda. Dla nich. Naszego. Powietrza...

Alexia odwraca się.

— Ale co to znaczy?

Drzwi zamknęły się.

— Ale co to znaczy?! — krzyczy Alexia.

Winda pnie się z ekspresową szybkością do górnego miasta, gdzie mieszka biedota.

— *Alexia* — mówi Maninho — *jesteś spóźniona o dwie minuty i dwadzieścia trzy sekundy. Lucas czeka.*

Lady Sun oczekuje ze splecionymi rękoma na Lunar Mandate Authority. Szacowni delegaci będą zirytowani — musieli jechać z Południka do Królowej Południa, potem do Pałacu Wiecznego Światła, a na koniec ta upokarzająca droga po wypolerowanej kamiennej posadzce Wielkiej Sali Taiyangu do małych drzwi, za którymi czeka ze swoją świtą Lady Sun. A niech się złoścą. Pani dziedziczki Shackletona nie woła się do siebie jak dziecka.

Idą jak przerażone kury, ci Ziemianie, skąpymi, drobnymi kroczkami, zbici w gromadkę, jakby posadzka mogła ich pochłonąć. Ziemianie. Ziemniaki. Co za paskudne garnitury.

Wąskie krawaty, brzydkie buty. Mundurki aparaczków i korporacyjnych ideologów. Ich chowańce to identyczne stalowoszare półksiężycy, jakby były tylko prostymi cyfrowymi asystentami, a nie zewnętrznymi sztucznymi inteligentnymi duszami. Jej świta — wysoka, przystojna, świetnie ubrana — patrzy na ziemskich z góry.

— Sun Cixi.

Czeka.

Może tak czekać, aż ostygnie słońce.

— Lady Sun.

— Panie delegacie Wang.

— Jesteśmy zaniepokojeni losem delegata Jamesa F. Cockburna. Został przydzielony jako obserwator dyplomatyczny LMA do Taiyangu, na odcinek równikowego pasa słonecznego.

— Chcemy wiedzieć, czy czasem nie miał jakiegoś wypadku.

— Chowaniec lady Sun przedstawia mówiącego jako Anselmo Reyesa, z grupy inwestycyjnej Davenant. Widać, że LMA przysłało najwyższych rangą przedstawicieli.

— Z ubolewaniem informuję, że delegatowi Cockburnowi przydarzył się śmiertelny wypadek podczas inspekcji sektora Północy Grimaldi pasa słonecznego — mówi lady Sun. — Skafandry do pracy na powierzchni, nawet sztywne, wymagają umiejętności i doświadczenia.

— Nie zostaliśmy od razu powiadomieni? — pyta delegatka Wang.

— Sieć wciąż dochodzi do siebie po inwazji — mówi w wyćwiczonym momencie Demeter Sun z Taiyangowej świty.

— To znaczy, po normalizacji — poprawia ją delegatka Wang.

Demeter Sun pochyla głowę.

— Taiyang przeprowadzi regularne dochodzenie — zapewnia Sun Guoxi. — Otrzymacie kopię raportu, zadośćuczynimy też wszelkim wnioskom odszkodowawczym.

— Zechciejcie to przyjąć z rąk zarządu Taiyangu — mówi lady Sun.

Unosi palec, Sun Xiulan występuje naprzód ze skrzyneczką. Szkatułką raczej — małą, z księżycowego tytanu, misternie rzeźbioną laserem. Piękną. Wang Yongqing bierze wykaligrafowany zwój.

— Węgiel, pięćdziesiąt osiem tysięcy sto dwadzieścia trzy i dwadzieścia pięć setnych grama, tlen, szesnaście tysięcy sześćset sześćdziesiąt cztery i trzydzieści siedem setnych grama — czyta. — Proszę wyjaśnić.

— Składniki chemiczne Jamesa F. Cockburna, według masy — mówi lady Sun. — Zdziwiająco duża zawartość ołowiu, rtęci, kadmu i nanocząstek złota. Czyż nie piękna kxiualigrafia? Sun Xiulan ma pismo godne pozazdroszczenia.

Wysoki młody człowiek skłania głowę.

— Pierwiastki już zostały oddane do wspólnej puli materiałów organicznych — dodaje lady Sun. — Zabbalini są w swoich pośmiertnych audytach bardzo dokładni. Ta dokładność mnie uspokaja.

Sun Xiulan może ma smykałkę do pędzla, ale o wiele subtelniejsza jest Jiang Ying Yue ze smykałką do noża. Jest Pełnomocniczką ds. Rozwiązywania Konfliktów — to

dyplomatyczna nazwa tego, co w bardziej bezpośrednich klanach, na przykład u Mackenziech, nazywa się Pierwszym Nożem. Trzech Dostojnych przewidziało przybycie agenta Republiki Ludowej, a proste sprawdzenia zweryfikowały, że z siedemdziesięciu pięciu procentowym prawdopodobieństwem jest nim James F. Cockburn. Takie prawdopodobieństwo zarządowi wystarczyło, żeby wśród cieni i blasków Pałacu Wiecznego Światła zarządzić zabicie go. Jiang Ying Yue dostała zadanie, dostała broń i odjechała. Osobiście zaprowadziła delegata Cockburna do prywatnego wagonika. Jeszcze nie wyjechał spod krateru Shackletona, gdy wyciągnęła z pochwy pod zakietem kościany nóż i wbiła go przez miękkie ciało pod brodą w mózg. Na bocznicy pod terminalem BALTRAN—u już czekali zabbalini. Usunęli zwłoki, usunęli nóż oraz każdą plamę i każdy ślad DNA. Plamy krwi to węgiel, a węgiel należy do Księżyca.

— To jest... — jąka się Monique Bertin, trzecia wiceprezes LMA, reprezentująca Unię Europejską.

— ...nasz obyczaj, pani Bertin — kończy za nią lady Sun. Kiwnięcie palca to znak dla jej świty, że spotkanie skończone. — Czujcie się w Pałacu Wiecznego Światła jak u siebie w domu.

Młode kobiety i mężczyźni od lady Sun zamykają wokół niej krąg, gdy odchodzi. Wspaniałe chłopaki i dziewczyny.

— Zauważyliście? — pyta, kiedy wsiadają do kapsuły tramwaju, który zawiezie ją na jej prywatne pokoje.

— Wszyscy słuchają madame Wang — mówi Pełnomocniczka ds. Rozwiązywania Konfliktów.

— Republika Ludowa nie zapomniała — mówi lady Sun. — Czekali sześćdziesiąt lat, ale zrobili się chciwi i rozleniwili się. I popełnili błąd. Pokazali nam, jak dogłębnie kontrolują LMA. Możemy to teraz wykorzystać przeciwko nim.

Kapsuła sunie tunelami i zwalnia, wjeżdżając na prywatną stację lady Sun.

— *Madame, przybył Darius Mackenzie* — informuje chowaniec.

— Darius Sun — poprawia lady Sun. — Ying Yue, wezwij moją wnuczkę Amandę. Chcę się z nią zobaczyć u siebie.

Skinieniem dłoni odprawia Jiang Ying Yue w drzwiach kapsuły. Lady Sun przystaje, żeby przypatrzeć się wnukowi swojej siostry. Pięć dni temu oddała go pod kuratelę Szkoły Siedmiu Dzwonów. Już teraz wydaje się szczuplejszy, ostrzejszy, bardziej zwarty. Zdyscyplinowany. I od wapera się odzwyczaił.

„U nas wykuwa się broń”, powiedział wcześniej Mariano Gabriel Demaria.

Lady Sun wielu członkom swej rodziny kazała uczyć się sztuki noża, ale ta broń, która się tam wykuwa, to coś o wiele bardziej wyrafinowanego i groźniejszego. Broń, która jest na widoku, niczym ozdobny miecz na ścianie, który po wielu latach wciąż jest śmiercionośny i ostry. Broń, która zostanie wyciągnięta dopiero po jej śmierci.

— Darius.

— *Taihou.*

Nie jest to poprawny tytuł, ale widać, że Mariano Gabriel Demaria nauczył go trochę manier, po tych paskudnych poufałościach z Królewskiego Dworu. Kiedy to się stało, kiedy ci

Mackenzie stali się dekadencjami mięczakami? W złotych czasach Księżyca to Sunowie i Mackenzie wykuwali ten świat. Mackenzie byli jak kuta stal, a ona jak diament naprzeciwko tej stali. A Luna to była wówczas surowa pani — trzeba jej było wydzierać każdy oddech, każdą łzę. Tak niewielu ich zostało — nie żyje Robert Mackenzie, Jewgienij Woroncow zniedołężniały, popychany przez wnuki jak świnia na targ. Nawet Adriana Corta, ostatnia ze smoków, a umarła pierwsza. Ona też miała żelazo w kościach. Rozczarowują natomiast dzieci. Od szmat do szmat w trzy pokolenia. Pierwsze się dorabia, drugie wydaje, trzecie trwoni. Ale Lucas — o. to jest syn godny matki. Lotem na Ziemię zaimponowałby nawet starym Smokom. Niemożliwe? To tym bardziej to zrobimy.

Dążyła do tego, żeby Cortowie i Mackenzie zniszczyli się nawzajem. Czeką ją jeszcze wiele pracy.

— Rozumiem, że Mariano jest wymagający? — pyta lady Sun.

Przesuwa się pod okno, z którego pasy oślepiającego światła wgryzają się głęboko w skałę krateru Shackletona. Sześć centymetrów hartowanego szkła, ale bezlitosne słońce Bieguna Południowego siecze je, atom po atomie, wiązanie po wiązaniu, dzień za dniem, luna za luną. Któregoś dnia one pękną. Lady Sun uspokaja się, kiedy o tym myśli. To wzmacniająca, ożywiająca myśl — świadomość końca. Pyliste, jaskrawe ostrza przecinają pokój. Apartament lady Sun jest przestronny i prosto umeblowany — dla niej przepych polega na tkaninach i draperiach na ścianach. Snopy światła, które na tej ekstremalnej długości geograficznej nigdy nie zmieniają

nachylenia, wybieliły długie kreski na jej brokatakach i dywanach. Lady Sun traktuje to z wyniosłą obojętnością. W swoich gobelinach ceni fakturę, to, że misterny splot potrafi przemienić się na sąsiednim wątku z miękkości futra w szorstkość kocich jęczyczków.

— Jeśli to ma znaczyć, że jest ciężko, to tak, jest ciężko — odpowiada Darius Sun—Mackenzie. — Uczy mnie wyczuwać. Przed walką jest ruch, a przed ruchem jest wyczucie.

— Labirynt — mówi lady Sun.

Legendę o labiryncie zna cały Księżyc. Tam ćwiczy się prawdziwych wojowników, w ciemności, w której kryje się siedem dzwonów. Kiedy zdołasz przejść labirynt, tak by nie zadźwięczał żaden z nich, nauczyłeś się wszystkiego, co ma do zaoferowania Szkoła Siedmiu Dzwonów.

— No to pokaż, czego się nauczyłeś.

Wyciąga ze szklanego wazonu laskę. Bezmyślni goście i dzieci ciągle dają jej laski w prezencie. Zamachuje się z całej siły, prosto w głowę Dariusa. Ale jego tam nie ma. Jest o krok dalej, zwarty i gotowy. Rzuca się na niego, wymachując laską, jak wdowa wyganiająca złodziei. Darius cofa się, unika, uchyla; wykonuje minimalne ruchy, tak że koniec laski mija go o milimetry.

Wdzięk i elegancja, myśli lady Sun, dalej go atakując, wywijając laską w kolejnych pchnięciach i cięciach. Nie polega na samym wzroku, on słyszy ruchy mojej laski, mój oddech, moje kroki; czuje podmuchy wypieranego powietrza.

— Wspaniale — rzuca. — A teraz wyobraź sobie, że chcesz mnie zabić. —Unosi lagę.

Darius łapie ją, nie patrząc. Wyczuł ją, jego dłoń, otwarta, jest już na miejscu. Podchodzi do lady Sun, koniec laski muska jej szyję, wrażliwy punkt za uchem, pachę. Z bliska, z precyzją, wymierzonymi ruchami, jak najkrótszymi, by jak najmniej sygnalizować zamiar.

Przedramię, krocze, szyja. To finał, trzy ostatnie cięcia.

Pierwsze cięcie odbiera broń.

Drugie cięcie odbiera wolę walki.

Trzecie cięcie odbiera życie.

Lady Sun przywołuje go do siebie, Darius oddaje laskę.

— Jeszcze nie zacząłeś zajęć, a już ćwiczyłeś.

— Uczyłem się podstaw walki nożem w Tyglu, od Denny'ego Mackenziego.

— Świetny był z niego nóż. Groźny i honorowy. Ciekawe, jak znosi wygnanie.

Chowańce obwieszczają przybycie do foyer Amandy Sun. Darius przeprasza.

— Zostań — mówi. — Walczy się na różne sposoby. Nie tylko tak.

Amanda Sun zdradza gniew samym ułożeniem ramion, brzucha, spięciem dłoni. Czytam w tobie jak w książeczce dla dzieci, myśli lady Sun. Nic dziwnego, że Lucas cię rozpracował.

— Twój syn jest w Twé — odzywa się w końcu.

— Nadal jest pod opieką Asamoah.

— A jednak ty tutaj przyszedłeś — rzuca lady Sun. Kątem oka — wciąż bystrego i spostrzegawczego — widzi, że Darius nieswojo przestępuje z nogi na nogę. — Lucas Corta właśnie jedzie do Twé. Chce zabrać syna z powrotem do Południka. A

my musimy mieć przełożenie na Księżycowego Orła. Cała ta strona Księżyca staje na rżęsach, żeby dorwać w łapy jakiegokolwiek Cortę. Wartościowego Cortę.

— Natychmiast jadę.

— Za późno. Tamsin przygotowała w twoim imieniu pozew o opiekę rodzicielską nad Lucasinem Cortą.

Darius pochyla się, ściąga mięśnie, ściągną, wciąga powietrze; budzą się jego świeżo wykształcone odruchy wojownika.

— Masz złożyć ten pozew w Sądzie Claviusa. Będziesz się tam osobiście stawiać. Nieuniknione będą bliskie kontakty z Lucasem Cortą.

— Ty stara zdechła torbo. Pełna jadu — mówi Amanda Sun.

— Co to za matka, która się nie poświęci dla dziecka?

— Jestem członkiem zarządu. Mam prawo wiedzieć.

— Rodzicielstwo to nie tylko prawa. To przede wszystkim obowiązki — ripostuje lady Sun. — Czeka prywatny wagonik.

I spleta ręce. Amanda Sun opanowuje się, wychodzi szybkim krokiem z apartamentu.

— Okłamała mnie — mówi lady Sun do Dariusa. — Powiedziała, że zabiła Lucasa Cortę, wtedy, kiedy upadało Corta Helio. Zrozum to, Darius: ludzie powiedzą, że biznes to biznes, nic osobistego. To kompletna bzdura. Wszystko jest osobiste.

TRZY

Twé uwodzi wszystkie zmysły Alexii. Są tu kolory, kształty, cienie i poruszenia, jakich nigdy nie widzi się w Południku. Dziesiątki melodii, setki głosów — dzieci! ptaki! — tysiące hałasów, odgłosów i pomruków — buczenie i chlupot rur z wodą, zawodzenie ciepłych, wilgotnych wiatrów w kanałach wentylacyjnych, gniewny pisk silników elektrycznych... a to co? Dwójka dzieciaków na elektrycznej desce? Twé rozsmarowuje na skórze Alexii pięćdziesiąt różnych feromonów i piżm — jest słodkie i kwaśne, pikantne i słone na języku; jest wrażeniem ciepła odczuwanym każdą komórką ciała, jest wyższym ciśnieniem powietrza, wilgotnością... a czy jego ciężenie nie jest jakby odrobinę przekrzywione? Południk to wspaniała perspektywa przecinających się kanionów, niewyobrażalnie wysokie urwiska, perspektywa zbiegająca się do odległych, świetlistych punktów, ale to jednak kamień, martwy kamień. A Twé to żywy korzeń, rozgałęziający się, wgryzający się w glebę, wkopujący się głęboko w zimne serce Księżyca, żeby szukać dla siebie substancji odżywczych i rosnać dalej.

Motos suną przez tłum ludzi wychodzących ze stacji. Lucas, Alexia i Nelson Medeiros, szef ochrony Orła, pośrodku kręgu *escoltas*. Alexia łapie się uchwytu, tracąc równowagę przez nagłe przyspieszenie. Wydaje krótki okrzyk, gdy *moto* nurkuje w nieoświetlony tunel. Zakręty, zawrotki, pochylnie szarpią ją to w tę, to w tamtą stronę. W pewnej chwili żołądek podfruwa jej do gardła. Potem ląduje w różowym świetle, tak mocnym, że grozi oparzeniami słonecznymi — lecz nagle coś je łapie i ciągnie do góry tak szybko, że słowa więzną jej w gardle. Jest na windzie, jadącej wzdłuż boku ogromnego szybu, pomiędzy setkami wypełnionych roślinami pięter. W Barra każdy balkon i każdy dach był miejską farmą — sama projektowała systemy nawadniania kropelkowego dla roślin od sałaty po modyfikowaną kokę, ale tu sam ogrom tych upraw zapiera jej dech. Tu ziemniaki, tam jamy, a to... czy to fasola? Strąki długości jej ramienia?

Moto sunie w górę wśród lasu kukurydzy, liści wąskich jak włócznie, łodyg jak pnie drzew. W księżycowym ciężeniu i ciepłej, jasnej, bogatej w pożywienie ekologii Twé rośliny osiągają ogromne rozmiary.

— Jak kolejka w wesołym miasteczku! — woła, przekrzykując świst powietrza, szelest liści i głosy niewidocznych ptaków.

— Cortowie i Asamoah zawsze rozumieli się nawzajem — mówi Lucas. — Mackenzie, Sunowie, Woroncowowie, oni wszyscy byli bogaci już na Ziemi. Cortowie i Asamoah przyjechali z niczym. Mieliśmy to, co znaleźliśmy. Dobra, to jeszcze raz: Omahene...

— To prezes AKA. Zmienia się rotacyjnie co dwa lata.

— Obecnie?

— Lousika Asamoah.

— Która jest?

— Matką Luny Corty. Była drugą żoną Ruffy Corty.

— Nie drugą żoną. To sugeruje sekwencyjną monogamię. Poza tym słowo *oko* nie ma określonego rodzaju. *Keji—oko*. Równoległa małżonka lub małżonek. Co ma wspólnego z Lucasinhem?

— On uratował jakiegoś... chłopaka?

— Kojo Asamoah. Podczas Biegu Księżycowego.

— Tak, przeczytałam o tym. To szaleństwo.

— Jako rozrywkę poleca się tylko najbardziej zblazowanym.
Mów dalej.

— Kojo Asamoah był... siostrzeńcem Lousiki? Chyba? W każdym razie Lucasinho zyskał protekcję Asamoah, na którą się powołał, kiedy uciekł Denny emu Mackenziemu od ołtarza. Muszę powiedzieć, że od tych waszych obyczajów małżeńskich mózg mi się lasuje. — Alexia ma świadomość, że Nelson Medeiros z całej siły powstrzymuje śmiech.

— Amorie, cykle, poligamie o dowolnej liczebności, monogamie dowolnej postaci, krótko— i długotrwałe, małżeństwa grupowe, liniowe, przechodnie, widmowe, automażeństwa... Moja siostra mogłaby ci to wszystko powyjaśniać — mówi Lucas. — Ale zasada jest zawsze taka sama. Miłość to negocjacja. Każdego dnia i każdej chwili. Miłość jest jak dziecko. Trzeba ją wychowywać, pielęgnować, pozwalać rosnać. Ten nasz system kontraktów, umów, *nikah*,

wyduje się nieromantyczny. Ja mówię: to dobrze. Romantyczność to głupota. To choroba. Miłość to żywa istota. Coś, co żyje. Nasz system nie jest romantyczny, ale zapewnia miłości całe światy, w których się może rozwijać. Moja *nikah* z Amandą Sun była dobrze przemyślana. Oboje cieszyliśmy się, że nie ma w wymaganiach seksu ani intymności. Miłość nie była w ten kontrakt wpisana. Dzięki temu mogliśmy jej szukać gdzie indziej.

— Amanda Sun, ta, która próbowała cię udusić na stacji BALTRAN—una Morzu Żyzności — odpowiada Alexia. — I kto tu jest teraz romantyczny?

— I zupełnie się jej nie udało — ripostuje Lucas. — A mówiło się, że Sunowie są tacy metodyczni.

— Ich zarząd wydał mi się całkiem metodyczny. — Taiyang jako pierwszy złożył hołd nowemu Orłu w jego Orlim Gnieździe w Południku. A ona poddała lady Sun towarzyskiemu ostracyzmowi i wie, że lady Sun odpłaci jej za ten błąd. — Myślę, że starsza pani już zaplanowała, jak mnie zabić na dziesięć sposobów.

— Lady Sun to trudny przeciwnik — mówi Lucas. — Módl się, abyś ją przeżyła. A nawet wtedy lepiej miej się na baczności. Sunowie knują na wiele lat.

Alexia opada na siedzenie, wyobrażając sobie noże, igły, mordercze owady ze wszystkich stron.

— A jak to jest w otwartej próżni? — To odwrotność klaustrofobicznych koszmarów Alexii, w których jest wciśnięta w kamienną rurę, tak ciasną, że nie może poruszyć rękoma, ani nawet palcami; tu budzi się nagle naga na powierzchni

Księżycyca, powietrze uchodzi jej z płuc w bezgłośnym krzyku, nic pomiędzy jej skórą a końcem obserwowalnego wszechświata.

— Strasznie. I wspaniale. Życie ulatuje ci w nicość. Dzień ostatecznej próby dla wszystkich komórek. Lucasinho jest Księżycowym Biegaczem. Ja nie rozumiałem, czemu ktoś z dobrej woli idzie w to szaleństwo. Teraz rozumiem. Wtedy się żyje tylko bieżącą chwilą. A byłeś na powierzchni? Nie? To powinnaś. Każdego dziesięcio—, jedenastolatka się u nas uczy, jak używać skafandra. Ma wyjść na powierzchnię i popatrzeć na Ziemię. To mądry zwyczaj.

Wagonik podjeżdża z zewnątrz do śluzy. Lucas czeka, aż Nelson Medeiros zbierze ochronę.

— Pełny spektakl, wszystko na maksa — mówi, gdy otwiera się śluza. — Złoty Stolec chce imponować. Więc my też musimy.

— Nie rozumiem — odpowiada Alexia.

Otwiera się wewnętrzna śluza.

Alexia nie może powstrzymać jęku zachwytu.

Kopuła to kilometrowa półkula wyrobiona z bąbla wydmuchanego w magmie cztery miliardy lat temu, podczas erupcji, z których wylało się Morze Spokoju, ale to nie ona zapiera jej dech, lecz drzewo, piętro za pięciem konarów i gałęzi, gałązek i liści. Główny pień, pół kilometra stąd, jest wyższy i grubszy niż Ocean Tower. Alexia zadziera głowę i patrzy po gałęziach. Każdy konar mógłby być pniem normalnego drzewa, każda gałąź — konarem. Koronę liści prześwietla słońce odbite od tysięcy luster — cała kopuła jest wyłożona tymi zaczarowanymi zwierciadłami AKA,

karmiącymi światłem liście Wielkiego Drzewa Twé. Liście poruszają się delikatnie i nieustannie, ocierając się o siebie i wypełniając kopułę wiecznym szmerem. Z góry, pomiędzy gałęziami przeciska się liść, dotykając ich, więznąc, obracając się, koziółkując powoli, jak pływak w wodzie. Z cienia wybiega mały bot, stąpa delikatnie ponad siatką wyciętych w polerowanej kamiennej posadzce kanalików irygacyjnych i łapie liść, zanim dotknie powierzchni. Podłoga kopuły jest cała usiana takimi robotami—zbieraczami. Kanały muszą być czyste, a węgiel — zrecyklowany.

Alexia próbuje obliczyć masę węgla i wody w tym ekosystemie. Jest niczym miasto, tysiące ludzkich żywotów wcielonych w drewno i liście. Masa zainwestowanych w to życiodajnych substancji dowodzi potęgi Asamoah — są w stanie utrzymać tyle życia w sercu martwego Księżyca.

Kotoko czeka w głębokim półmroku korony, usadowione po obu stronach niskich, szerokich stopni. Kobiety i mężczyźni owinięci jaskrawymi *kente*, z jednym ramieniem zakrytym, a drugim odsłoniętym. Nad każdym zakrytym barkiem unosi się chowaniec, a odsłonięta ręka ściska laskę z symbolem ich *abusua* — wron, lampartów, psów, sępów, wszystkich ośmiu zwierząt—emblematów matriarchalnych rodów. Maninho podaje Alexii nazwiska i stanowiska. Struktury polityczne i społeczne AKA zbijają ją z tropu. Podejrzewa, że mają dezorientować każdego, kto nie jest Asamoah.

W miejscu, gdzie schodzą się oba skrzydła, siedzi Lousika Asamoah, Omahene AKA. Złoty Stolec to prosta litera *pi*, wyrzeźbiona z tegoż samego Wielkiego Drzewa,

drogocenniejsza niż jakiegokolwiek złoto. Włosy Omahene to rzeźba — architektura — ze szpilek, piór i lakierowanych pręcików, obwieszona czarnymi lśniącoymi bombkami niczym papierowymi łampionami. Z cienia pod Złotym Stolcem wyłaniają się zwierzęta — pstrokata papuga, karłowaty szop, powoli idący pająk wielkości dłoni Akxii. Nad głową Lousiki na moment materializuje się chmura, potem rozwiewa się jak dym. Rój. Alexia przypomina sobie dotyk zaprojektowanego przez Asamoah owada—mordercy, jadu pełznącego po jej skórze, tak że bała się nawet oddychać. Kiedy podstępem wkradła się do pokoju hotelowego Lucasa Corty na Copacabanie, myślała, że jest cwana, sprytna, niepokonana.

Nie miała o niczym pojęcia.

Każde z tych zwierząt będzie posiadało jakieś niezwykle umiejętności obserwacji i pewnie jakąś szybką i śmiertcionołą broń.

Szop liże się po dupie.

— Yaa Doku Hana — mówi Lucas Corta. Tak się formalnie zwraca do Omahene.

— Bem—vindo ao Twé — odpowiada Lousika Asamoah.

Alexia aż wstrzymuje oddech na dźwięk portugalskiego.

— Lucasinho — mówi Lucas.

— Jest bezpieczny. W stabilnym stanie. Porozmawiamy, Lucas. Doradcy?

Kotoko skłaniają głowy i unoszą laski. Prześwietlający liście blask rzuca świetlne plamki na ich wzorzyste szaty. Nelson Madeiros wyprowadza *escoltas* z sali. Alexia zostaje, tak jak się umówili.

Lousika Asamoah rzuca jej lodowate spojrzenie.

— Moja Żelazna Ręka zostaje ze mną — oświadcza Lucas Corta.

— Lucasinho jest bezpieczny, jego stan jest stabilny — odpowiada Lousika Asamoah. — Ale był niedotleniony przez dziesięć minut. W jego mózgu pojawiły się zmiany.

Dłoń Lucasa zaciska się na gałce laski.

— Mów, Lousika.

— Bardzo poważne uszkodzenia.

Lucas Corta jakby oklapł — mięśnie i stawy w szoku odmawiają posłuszeństwa. Alexia podchodzi i bierze go pod rękę. Nie odpycha jej.

— Zaprowadź mnie do niego. Proszę.

— Oczywiście.

Lousika kładzie mu dłoń na ramieniu, w geście błogosławienia. Świta zwierząt podąża za nią. Pająk jedzie na jej wymyślnej fryzurze. Otwierają się drzwi, których Alexia nie zauważyła ani nie podejrzewała, że tam są. W korytarzu czekają pracownicy AKA, żeby zdjąć jej z głowy i schować to wymyślne nakrycie. Pająk zeskakuje jej na ramię. Alexia się wzdryga.

Korytarze opróżniają się.

— Siostry zrobiły, co mogły, ale nie są szpitalem — mówi Lousika. — A kapsuła podtrzymywania życia uszkodziła się podczas ucieczki z João de Deus.

Alexia słyszy w jej głosie wyrzut — zostawiłeś bezbronного syna w twierdzy wroga. Ale przecież, myśli, ty zrobiłaś to samo ze swoją córką — zostawiłaś ją między wrogami. Wspomina

swój krzyk, kiedy ochrona szkoły znalazła Caio w rzece. Groziła kierowcom, straszyła przechodniów, złamała wszystkie przepisy drogowe, przekupywała, groziła, płaciła, spała na podłodze na oddziale, póki nie była pewna, że brat jest bezpieczny. Rozdarłaby Księżyc na pół, żeby się do niego przedostać.

Orły, Omahene, Smoki — po co wam ta władza, skoro nie używacie jej, by bronić swoich?

— Zostawię cię z nim na trochę — oświadcza Lousika w wejściu do ośrodka medycznego. — Zaraz przyjdzie Luna.

Alexia waha się w drzwiach, lecz dotknięcie ręki Lucasa każe jej wchodzić z nim. Nie śmie zostać sam z Lucasinem — nie odważy się. Boi się; że kiedy zostanie sam, cała dyscyplina i obowiązkowość, które trzymają go w kupie, rozsypią się jak domek z kart, że rozpadnie się na sto odłamków. Nagle widzi chłopca na łóżku, w kokonie medycznych świateł, otoczonego aureolą robocich ramion.

Widzi gęste czarne włosy, pełne usta, wysokie i strome kości policzkowe, fałdę zamkniętych powiek, brazylijski szeroki nos i kolor cery. Jest jak księżę z bajki, na którego rzucono czar. Jej *segundo primo*.

Lucas Corta staje z boku łóżka, patrzy w nieruchomą twarz świętego. Gładzi go po policzku. Alexii łamie się serce. Ten dotyk jest taki łagodny i taki wyzbyty nadziei. I nagle Alexia widzi Lucasinha Cortę zupełnie inaczej — jak w przerażającym religijnym wspomnieniu z dzieciństwa. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, opinii rodziny i budżetowi, *tio* Rubens i *tia* Sabrina uparli się na ślub w dawnej jezuickiej misji — długim,

wąskim, nawiedzonym lochu pełnym strachów. A najstraszniejsze ze wszystkiego były tam zmumifikowane pięciusetletnie zwłoki ojca prowincjała, zakonserwowane w szklanej gablocie pod ołtarzem. Rubens i Sabrina klękali, modlili się, przysięgali, lecz dziewięcioletnia Alexia nie mogła odwrócić wzroku od tego namiotu z rozpiętej na kościach wyprawionej skóry.

I Lucasinho Corta jest taką właśnie okropnością w szklanej gablocie.

— *Co robisz, anjinho?*

Madrinha Elis przemyślała wybór pokoju. Obwiesiła go tkaninami z ulubionymi wzorami Luny — kwiatami i zwierzętami. Położyła pięć egzemplarzy ulubionej czerwonej sukienki, dokładnie takiej, w jakiej biegała, dzika i wolna, po ogrodach Boa Vista. Poustawiała meble tak, by powstały zakamarki, wnęki i kryjówki, przypominające te w Boa Vista z czasów dorastania. Wszystko urocze i zachwycające, ale Luna siedzi po turecku na środku podłogi, plecami do drzwi, ubrana w ten sam różowy ocieplacz do skafandra, który miała na sobie podczas lotu z Boa Vista.

— Kończę malować twarz.

Nad jej głową unosi się kula wielkości zaciśniętej pięści, w połowie czarna, w połowie srebrna. Chowaniec Luny zawsze miał postać ćmy księżycówki, *Actias luna*, jej imienniczki.

Na podłodze przed nią leży paleta farbek do twarzy.

— Luna?

Odwraca się. *Madrinha* Elis nie może powstrzymać krzyku, podniesienia ręki do ust. Połowa twarzy Luny to biała, wyszczerzona czaszka.

— Zmyj to z twarzy, zanim cię matka zobaczy.

— To *mamãe* jest tutaj? — Luna zrywa się na nogi.

— Przyjechała dziesięć minut temu.

— Czemu do mnie nie przyszła?

— Musi się spotkać z jakimiś ludźmi, a potem przyjdzie.

— Z ludźmi takimi jak Lucasinho.

— Jest tu twój *tio* Lucas, ma go zabrać do Południka.

— Ja chcę do *mamãe* — oświadcza Luna. Półmartwa twarz denerwuje *madrinhę* Elis.

— Zaprowadzę cię. — Nigdy nie kłam, nigdy nie ściemniaj.

— Tylko zmyj to z twarzy i włóż tę śliczną czerwoną sukieneczkę.

— Nie ma mowy.

Luna robi krok naprzód, a *madrinha*, wbrew całemu swemu doświadczeniu i obowiązkowości, mimo woli cofa się o krok. Widziała Lunę rozzłoszczoną, krnąbrną, ponurą, w atakach gniewu. Jednakże nigdy nie była to zimna determinacja, tytanowy błysk w ciemnym oku jej pół czaszki, pół twarzy. Coś, czego jeszcze nie zna, co zrodziło się na czarnych lustrach pasa słonecznego, a wypaliło i zahartowało podczas katastrofy *Pustielgi*.

— *Anjinho*.

— Weź mnie do *mamãe*!

— Wezmę, jak się ładnie umyjesz i ubierzesz.

— To pójdę sama — oświadcza Luna i jest w korytarzu, zanim *madrinha* zdoła ruszyć stare kości i ją zatrzymać.

Bogowie, jaka ona jest szybka. Elis dogania ją przy windach. Platforma opada przez bujne listowie agrarium Aidoo, masę liści, czarnych w różowym świetle lamp. Technicy AKA wciąż diagnozują i wgrywają poprawki do zhackowanych spychaczy z obłączenia oraz stopniowo zdejmują warstwy regolitu z wierzchołków farm rurowych. Powrót do stanu pełnego, kwitnącego zdrowia zajmie tym sponiewieranym ekosystemom całej luny. Ocieplacz Luny w tym samym świetle robi się prawie fluorescencyjny. Dziewczynka już zawołała sobie *moto* — zamyka się wokół ich dwójki jak kwiat i otwiera z powrotem przed ośrodkiem medycznym.

Lousikę poprzedza jej bestiarium — rój, ptak o jaskrawym upierzeniu, zwiczny pająk wielkości dłoni Luny. Ta klaszcze w dłonie z zachwytem. Pierwszy raz widzi aniołów stróżów matki. I jeszcze jakieś jedno stworzenie, którego nie zna, pękate, ale szybkie, pasiasty ogon, zręczne łapki, siada i patrzy na Lunę oczyma w masce. Luna kuca i odpowiada spojrzeniem.

— A ty co jesteś?

— To szop pracz. A ty co jesteś? — odpowiada pytaniem Lousika Asamoah. — Pani Luna?

Zwierzęta posłusznie zostają za drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej.

Luna najpierw widzi ramiona. W półświecie — ramiona, smukłe, z wieloma stawami. Manipulatory robotów medycznych, o długich palcach wbitych w ręce i gardło Lucasinha. Czujniki rozłożone wokół jego głowy, I jak w geście

błogosławieństwa. Ramię wujka, ciemne w tym chirurgicznym świetle, potem jego dłoń, spoczywająca delikatnie na piersi Lucasinha, unoszącej się i opadającej łagodnie w rytmie oddechu. — Zabierzcie ją stąd — mówi Lucas, nie podnosząc głowy.

— Lucas... — odzywa się Lousika.

On zwraca się do Luny.

— Oddał ci ostatni oddech — mówi. — Za ciebie oddał.

Luna, za groźną maską, czuje łyzy. Ale nie tutaj, nie przy nim. Przy nim nigdy.

— Nie mów tak do mojej córki! — wybucha Lousika Asamoah.

Potem Luna czuje na ramieniu dłoń *madrinhi*, która odwraca ją i wyprowadza na korytarz. Drzwi zamykają się, ucinając krzyki — jakie zdarzało jej się słyszeć, kiedy chowała się w tunelach serwisowych Boa Vista, sobie tylko znanych. *Mãe* i *pãe* kłócili się tylko wtedy, kiedy myśleli, że nie słyszy ich nikt poza maszynami.

— Wszystko w porządku, *Coração* — mówi Elis. Przytula Lunę i gładzi po włosach.

— Nic nie jest w porządku — mówi Luna do brzucha *madrinhi*. Ma napięty każdy mięsień szczęki i szyi. Twarz płonie z upokorzenia, w uszach słyszy wysoki pisk — to odgłos nieplakania.

Szop podchodzi, żeby jej się przyjrzeć. Luna odwraca ku niemu księżycową stronę twarzy, odsłania zęby. Odskakuje spłoszony.

— Nie zmyję tego — mówi do szopa. — Nie zmyję, póki wszystko się nie naprawi. To jest teraz moja twarz.

Kuca i wyciąga rękę do podejrzliwego szopa. Ten przechyla głowę. Luna pstryka palcami, zaprasza, cmoka — Elis mówiła, że tak się wabi fretki. Szop podchodzi odrobinę, zatrzymuje się na granicy jej zasięgu.

— No chodź — mówi i robi pół kroku naprzód.

Szop najpierw się płoszy, później obwąchuje jej palce.

— Przepraszam, że cię przestraszyłam. — Maska przygląda się drugiej masce.

Pokój zalewa różowe światło. Unosząc wzrok, widzi maszyny zmiatające z kopuły zasy pyłu księżycowego.

Lousika Asamoah przynosi z dyskretnego barku dwa martini. Apartament jest parę kroków od lecznicy, ale od cichych, posykujących maszyn i ich pełnej oddania troski dzieli go całe światy. Lousika Asamoah pozbyła się splendoru Złotego Stolca, ale i tak nosi jego moc, jak perfumy. Lucas delikatnie bierze podany kieliszek.

— Przepróś — mówi Lousika.

— Nie powinienem tak się odzywać do Luny — przyznaje Lucas.

— Ona niosła go trzy kilometry do Boa Vista.

— Przepraszam.

— Ją przeproś.

— Przeproszę.

Lucas próbuje martini. Dobre martini powinno być jak powierzchnia Księżyca. Suche, wytrawne, bezkompromisowe, groźne. Ascetyczne i piękne.

— Wyleczcie go — mówi.

— Nie umiemy.

— Pomóżcie mu.

— Lucas, jego mózg jest fatalnie uszkodzony. Naprawiliśmy nerwy autonomiczne i podstawową motorykę, ale będzie musiał uczyć się chodzić, mówić, jeść. Przepadło wszystko, czym był. Znowu jest dzieckiem — noworodkiem nawet. Żeby być na nowo Lucasinem Cortą, będzie musiał wszystkiego nauczyć się jeszcze raz. A my nie potrafimy tego urządzić.

Trzęsie mu się dłoń. Odstawia prawie nietkniętego drinka.

— Jesteście AKA. Rozkładacie DNA na części i sprawiacie, że was słucha. Zaprowadzacie życie w sercu Księżyca.

— On potrzebuje czegoś, czego my nie mamy. Czego nie ma nikt. Po tej stronie Księżyca.

— Czyli na uniwersytecie coś by było?

Władza najmocniej stoi, jeśli ma trzy filary — tak uczyła swe dzieci Adriana Corta. Dwoma filarami księżycowego porządku były Lunar Development Corporation i Pięć Smoków, ale był i trzeci, najstarszy i najbardziej wyrafinowany, subtelny, zapomniany niemal. Uniwersytet Farside. Drugiej Strony Księżyca. Kiedy roboty Roberta Mackenziego przesiewały i wytapiały metale ziem rzadkich z regolitu na Morzu Burz, po drugiej stronie maszyny należące do konsorcjum uczelni od Caltechu po Szanghaj tkwały wstęgi domieszkowanego dipolami plastiku nad kraterem Dedalus. Kiedy dyrektorzy Taiyangu

uciekali z Chin, by dołączyć do swoich robotów wydobywających lód i kometarne węglowe skamieliny z Basenu Bieguna Południowego, po drugiej stronie Caltech i MIT kopały tunele i habitaty stałego ośrodka badawczego, wolnego od wpływów ziemskich państw i ideologów. Kiedy linie kolei magnetycznej VTO połączyły bieguny i okrążyły Drugą Stronę, nowa uczelnia dogadała się z Woroncowami na budowę i wystrzelenie sond kosmicznych, mimo że jednocześnie przygotowywała i składała pozew przeciwko kolei VTO, za to jak gwałtownie obeszła się z delikatnymi kosmicznymi uszami obserwatorium w Dedalusie. Założono Sąd Claviusa i razem z nim uniwersytecki wydział prawa.

Dwóch robotników z Akry zakładało AKA i tworzyło imperium zbudowane na świetle, wodzie i życiu; a po drugiej stronie, głęboko pod kraterem Poincarégo, powstawało bezpieczne laboratorium badania patogenów, śluza po śluzie, uszczelka po uszczelce. Adriana Corta oglądała na ekranach kanału OTV, jak upada Brazylia, a po drugiej stronie Księżyca odbierano z księżycowych pętli kapsuły z ziemskim życiem i składano je w repozytoriach pod Mare Orientale, gdzie powstawał skarbiec całego ziemskiego genetycznego bogactwa, daleko, w bezpiecznej odległości od splądrowanej biosfery planety.

Nigdy nie miał oficjalnej nazwy. Uniwersytet Farside to tylko przydomek, za to pasujący idealnie, jak to zwykle przydomki. Jego chodniki i tramwaje, hiperloopy i kolejki linowe pokrywają pięćdziesiąt procent drugiej strony Księżyca. Według jednych miar jest największym miastem na dwóch światach, według

innych — królem wszystkich przedmieść. Jego grupy naukowe, seminaria i mikro kolegia sięgają wszystkich księżycowych miast, ale ich serce, ich dom, nigdy nie widzi Ziemi, bo patrzy we wszechświat. Zazdrośnie strzeże swojego bogactwa i niezależności, a jest wiodącym ośrodkiem naukowym i technologicznym na obu światach. Jest trzecią potęgą, ukrytym ostrzem. Orzeł i Smoki dawno nauczyły się nie następować mu na odcisk.

— Są nowe odkrycia, drukowanie trójwymiarowych chipów białkowych — mówi Lousika. — Sztuczne neurony, programowalne nanomateriały.

— Mogą naprawić te uszkodzenia?

— Mogą, ale będą potrzebować dostępu do jego wspomnień.

— Ale jeśli jego mózg jest uszkodzony...

— Muszą je odtworzyć z jego zewnętrznej pamięci. Chowańca, obecności w sieciach społecznościowych, pamięci innych ludzi. Rodziny, przyjaciół.

Lucas Corta zerka przez szczelinę okna w krwisty róż farmy rurowej Yeboah. Czuje wilgotny skwar na skórze. Taka była Ziemia, gęsta i wilgotna, każdy oddech trzeba było wydzierać upałowi i grawitacji. Czuje smak tej żyzności, napór rosnących liści, presję życia. João de Deus i Boa Vista leżą pod Mare Fecunditatis, Morzem Żyzności. Ta nazwa o wiele bardziej przystawałaby do Twé. Morza Żyzności, Spokoju, Jasności, Nektaru, Par, Deszczów. Morza kłamstw, tak selenologicznie, jak emocjonalnie. Morze Zimna, Morze Kryzysów, Ocean Burz. — o, to są prawdopodobne morza.

Lucas Corta bardzo wyraźnie widzi zagrożenie. Czy pozna swego syna, gdy ten wróci z Farside? I co Lucasinho będzie o nim wiedział?

— Chciałem go zabrać ze sobą do Południka — mówi Lucas.

— To niemożliwe.

— To wszystko dla nich. Rozumiesz? Wszystko, co robiłem, było dla nich. Chcę wszystkich mieć z powrotem. Razem.

— Rozumiem, Lucas.

— Rozumiesz? Prowadź mnie do niego, muszę go jeszcze raz zobaczyć.

— Oczywiście.

Po trzeciej łyżce mazi Luna Corta stwierdza, że trzy smaki granity, matcha, kardamon i truskawka, nie pasują do siebie tak, jak by sobie wyobrażała.

— Matcha, kardamon, truskawka — powtarza właściciel Kafe Kwae, próbując nie gapić się w twarz Pani Luny.

— Tak. Matcha, kardamon, truskawka.

Matcha, kardamon, truskawka w ogóle do siebie nie pasują, ale nie pozwoli, żeby właściciel się zorientował, więc pilnie szufluje łyżeczką aż do dna. Przy linii dwóch centymetrów spostrzega, że w kawiarni nie ma już nikogo poza nią, właścicielem i *madrinhą* Elis.

Po dwóch kolejnych łyżeczkach znika nawet właściciel.

Do kawiarni wlatują owady, krążą pod niskim sufitem jak dym, potem zbijają się w brzęczącą kulkę nad baniakiem z wodą. Później wlatuje papuga, przysiadła na brzeżku kontuaru,

po niej pojawia się szop o zręcznych łapkach, a za nim jej matka ze swoim pajakiem—*anansi* na ramieniu.

— Dobrze? — Patrzy na roztopione resztki w zakamarkach szklanki, gdzie nie sięga łyżka.

— Chcesz spróbować? — Luna zanurza drugi koniec łyżki w stożku różowego płynu.

Lousika próbuje roztopionego lodu.

— Czuję truskawkę, kardamon i... co to jest? Matcha?

— Smakuje ci?

— Szczerze?

— Szczerze.

— Pojedynczo powinny być dobre...

— Ale razem nie są.

Jedno spojrzenie Lousiki i *madrinha* Elis wstaje i wychodzi.

— Mogę dotknąć twojego pajaka? — pyta Luna. — To oszukaniec, jak Anansi?

— To ona, nie jest oszukańcem, ale ma inne specjalne moce. Luno, Lucasinho jest w gorszym stanie, niż myśleliśmy.

— Ale będzie żył?

— Żył będzie. Ale wszystko zapomniał. Nie umie chodzić, nie umie jeść ani mówić. *Anjinho*, gdyby cię zobaczył, nie wiedziałby, kim jesteś. Tu mu nie możemy pomóc. Musi wyjechać z Twé.

— A dokąd?

— Do Farside.

Luna słyszała o drugiej stronie Księżyca, gdzie Ziemia nigdy nie wschodzi, a niebo jest pełne tylko gwiazd, ale to jest tak odległe od kamiennych mórz, górskich pasm i kraterów tej

strony, jak wierzch ciastka księżycowego od jego spodu. Wie, że świat jest okrągły, że okrążają go dwie linie kolejowe VTO, ale nie ma takiego wrażenia. Wydaje się płaski jak krążek, więc podróż na drugą stronę musi być jakąś magiczną jazdą przez środek Księżyca — może o miliony metrów, a może o milimetry. Dwie strony tego samego globu, a dalsze niż błękitna Ziemia.

— I tam mu pomogą, w tymi Farside?

— Będą próbować. Nie mogą niczego obiecać.

Luna odsuwa szklanekę z granitą i kładzie dłonie płasko na stole.

— Jadę z nim.

— Luno.

— On przeprowadził mnie ze stacji BALTRAN—u Lubbock do Boa Vista. Ścigały nas boty i Mackenzie, zgubiliśmy się na szkle, miałam przeciek, a on oddał mi swoje powietrze i przez cały czas był ze mną. Nie zostawię go teraz.

— *Anjinho*.

— To jest słowo mojego *pãe* — mówi Luna. — Cortów. Ja wcale nie chciałam jechać do Twé.

— Nie rozumiem, skarbie.

Luna pochyla się.

— Wtedy, po przyjęciu w Boa Vista. Po Biegu Księżycowym. No, wtedy, kiedy ktoś chciał zaatakować *pãe*. Zabrałaś mnie do Twé. Nie chciałam jechać. Mój dom to Boa Vista.

— Baa, w Boa Vista nie było bezpiecznie.

— Ale to mój dom.

— Baa, tego domu już nie ma. Wiesz o tym. Widziałaś,

— Boa Vista to mój dom, a Rafa Corta to mój *pãe*. Mam też noże *tio* Carlinhosa. Ty jesteś Asamoah, a ja jestem Corta.

Patrzą na nią wszystkie zwierzęta. Wyda je się, że nawet rój, który Luna widzi kątem oka, też przybrał kształt oka.

— Luno...

Luna wbija w matkę spojrzenie z ładu i stali.

— Czy ja jestem Cortą?

— Tak, jesteś.

— Jestem jedyną dziedziczką Corta Hélio — obwieszcza Luna.

— Luno, nie mów tego.

— Ale tak jest. Dlatego tak sobie zrobiłam twarz. To jest moja twarz Corta. I dlatego muszę pojechać z Lucasinhem. Żeby był pod moją opieką. Muszę dbać o Cortów. Muszę jechać do Farside.

Lousika Asamoah wzdycha i odwraca wzrok, a wtedy odwracają go i wszystkie zwierzęta.

— No to jedz. Ale jest jedno „ale”.

— Co takiego?

— Elis jedzie z tobą — mówi Lousika.

— Dobrze — odpowiada Luna. Spodziewała się tego. Omahene nigdy nie ustępuje. Omahene negocjuje.

Rój przelewa się ku drzwiom. Ptak podfruwa w powietrze, szop odchodzi, skrobiąc pazurkami. A pajak—oszust pozostaje uczepiony ramienia Lousiki. Ta uśmiecha się.

— Jesteś Cortą, ale zawsze będziesz też Asamoah — mówi. — I Złoty Stolec będzie cię strzegł.

Trumna pojedzie pociągiem. Komitet pożegnalny zbiera się na peronie dla VIP—ów stacji w Twé. Alexia dolicza się dwudziestu osób — Orzeł i jego *escoltas*, Omahene ze swoją świtą, czarnogwiazdą i zwierzęcą; Luna Corta ze swoją *madrinhą*, ostrożnie trzymającą w rękach drewnianą skrzynkę, oraz chłopak w kapsule. Uniwersytecki wagonik wyłania się z tunelu, przejeżdża po zwrotnicach i podjeżdża za ścianę z pancernego szkła, ze śluzami. Śluzy spinają się i otwierają.

Na peron wysiada wysoka kobieta we wczesnym średnim wieku, o skórze barwy jasnego karmelu, kręconych włosach spiętych z tyłu i przykrytych modnym filcowym kapeluszem. Chowaniec Alexii podaje jej wszystkie szczegóły — elegancki kostium to Zuckerman i Kraus — kieszenie obszyte pasiastą krajką, wielkie guziki, szerokie ramiona, wcięty w tali. Torebka to walcowaty model od Josefa, z roku 1949, a jej buty to zasznurowane na wstążki półbuty na trzycentymetrowym obcasie. Szminkę ma krwistoczerwoną, a szwy na pończochach prawdziwe. Jej chowaniec jest ubrany w przecinające się białe i niebieskie kręgi — to widok Ziemi wschodzącej zza Księżyca, coś, co ogląda się tylko z jego drugiej strony. Wszystkie możliwe szczegóły, tylko nie mówi, kim ona jest.

— Jestem Dakota Kaur Mackenzie, ghazi Uniwersytetu Farside, wydziału Biocybernetyki, katedry Neurotechnologii.

Westchnienie, poruszenie wśród *escoltas* Lucasa oraz czarnogwiazdnych AKA. To odpowiedź na jedno z pytań Alexii. Mackenzie.

— Pani doktor Mackenzie — mówi Lucas Corta.

Alexia Corta zerka na niego. Słyszy ostry ton wrogości w jego głosie. Ghazi też słyszy.

— Czy jest jakiś problem, *senhor* Corta?

— Wolałbym...

— Kogoś innego? — pyta kobieta.

Kimkolwiek jest ta „ghazi”, ma w sobie tyle charyzmy i autorytetu, że wszyscy inni na peronie zaczynają wyglądać nijako. Żelazna Ręka, Księżycowy Orzeł, Złoty Stolec nawet — jak tytuły, które sobie wymyślają dzieciaki, kiedy bawią się w superbohaterów.

— Tak — mówi Lucas.

— Ma pan świadomość, że każdy ghazi uniwersytetu jest związany przez uroczystą przysięgę, prawda? Niezależność, bezstronność, poświęcenie, dyscyplina.

— Mam świadomość.

— *Senhor* Corta, pan kwestionuje moją lojalność?

Każdy *escolta* i czarnogwiezdny sztywnieje. Dłonie wędrują do ukrytych kabur. Zwierzęta Lousiki też się poruszają.

— *Maninho, dawaj wszystko, co masz o ghazich* — szepcze bezgłośnie Alexia do chowańca.

— *Ghazi to uczony—żołnierz, rycerz Uniwersytetu Farside* — mówi jej Maninho na ucho. — *Jest związany z uczelnią, reprezentuje ją i jest upoważniony podjąć każde działanie, jakie uzna za konieczne, by chronić niezależność i integralność swojego wydziału. Doktor Mackenzie bez problemu jest w stanie zabić wszystkich tu obecnych ludzi i wszystkie zwierzęta.*

— *W tym kostiumie?* — pyta Alexia.

— *Ten kostium się błyskawicznie da zrzucić* — odpowiada Maninho. — *Poza tym ona potrafi odczytać, co do mnie mówisz, na podstawie mikroskopijnych ruchów twoich mięśni żuchwy.*

— Pani jest świadoma, że to jest mój syn — mówi Lucas Corta.

— Otrzyma wszystko co najlepsze z naszych technologii i umiejętności — odpowiada Dakota Kaur Mackenzie. — Proszę w to nie wątpić.

Maninho wypełnia soczewkę Alexii artykułami o ghazich Farside, ninjach i naukowcach z licencją na zabijanie, intelektualnych superbohaterach, ale bardziej interesuje ją to, co wyczytuje z tłumionych emocji Lucasa. Chowa je i zakopuje równie głęboko jak księżycowe miasta, ale w dziesiątkach drobnych sygnałów widać nieufność, bezradność, nadzieję, przedwieczny gniew. Jest zdany na łaskę i niełaskę tej Mackenzie.

— Poskładaj go do kupy. I wyślij do mnie z powrotem.

— Tak będzie, Lucas.

Napięcie opada, wznawiają się wstrzymane oddechy, ręce opadają znad noży. Szop siedzi i się wylizuje, ptak nadyma się i puszy.

— Dziękuję.

Czarnogwiezdni Lousiki ładują kapsułę do wagonika.

— Ja też jadę — mówi Luna i przepycha się przez ghazi.

Lousika Asamoah traci opanowanie i pędzi naprzód, aby złapać córkę i wziąć na rękę.

— Oj ty, ty, ty — mówi, kryjąc twarz w jej włosach. — Bądź grzeczna, uważaj na siebie, słyszysz? I codziennie masz się do

mnie odzywać, rozumiesz? — I do *madrinhi* Elis: — Masz mi codziennie meldować.

Madrinha skłania głowę i odprowadza Lunę do wagonika.

— Ktoś jeszcze? — pyta ghazi.

Śluza się zamyka, wagonik odsysa się od niej i w okamgnieniu znika w tunelu.

Alexia stwierdza, że znowu oddycha.

— Podoba mi się to, co masz na twarzy — mówi ghazi.

Wagonik przyśpiesza do prędkości podróźnej. Smuga rozmazanego światła — rozkładowy pociąg z João de Deus. Żadnego skoku ciśnienia, żadnego hałasu, żadnych drgań — suną po magnetycznym torze w doskonałej próżni. *Madrinha* Elis już śpi w przednim przedziale, obok. *Lucasinha Corty*.

— Naprawdę.

Luna prycha. *Madrinha* Elis wydaje krótkie chrapnięcie, budzi się gwałtownie i zasypia z powrotem.

— Co jest w tym pudełku? — pyta Dakota.

Skrzyneczka z rodzowymi nożami spoczywa na miękkiej, tapicerowanej ławce między nią a Luną.

— Nie musisz na siłę ze mną rozmawiać — odpowiada Luna.
— Sama się dobrze bawię.

— Jestem ciekawa. I tyle. Rozumiesz, w społeczeństwie, które nie ceni sobie rzeczy, postanowiłaś wziąć ze sobą coś takiego.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, co jest w środku?

— Tak.

Luna otwiera skrzynkę i czeka na reakcję. Dakota nawet nie mrugnie.

— Luno, już drugi raz mi dzisiaj zaimponowałaś.

— To są noże do walki Cortów — odpowiada Luna.

— Są wyjątkowe — stwierdza Dakota Mackenzie. — Z żelaza meteorytowego.

— Tak — potwierdza gniewnie Luna, zła, że ktoś uprzedza jej historię. — Wydobyte głęboko pod kraterem Langrenus. Siostry Panów Chwili miały je na przechowaniu, do czasu aż przyjdzie Corta, który jest odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił. Corta godny tych noży. Czyli ja.

— Istotnie. Mogę któryś wypróbować?

— Nie — rzuca stanowczo Luna. Teraz Dakota się wzdryga. — Żaden Mackenzie nigdy więcej nie dostanie ich do ręki.

— Powiedziałaś „nigdy więcej”, więc muszę zapytać.

— Ostatni Mackenzie, który ich dotknął, zabił mojego *tio*. Czyli wujka.

— Znam portugalski.

Luna przełącza się na dialekt *santinho*.

— Twój kuzyn Denny Mackenzie ukradł je i zabił mojego wujka Carlinhosa. A potem ukradliście nam João de Deus.

Dakota Mackenzie odpowiada po portugalsku, z idealnym akcentem z João de Deus.

— Nie jestem spokrewniona z Dennem Mackenziem.

Luna syczy.

— Jestem ghazim Uniwersytetu Farside.

Luna rozpiera się na swojej kanapie. Obok śmiga kolejny pociąg.

— A kto to ten „ghazi”?

— Dawno, dawno temu Uniwersytet Farside zrozumiał, że zawsze będzie rozdarty między politycznymi stronnictwami.

— Jestem za duża na bajki.

— Tak myślisz?

— Tak. I znam się na stronnictwach politycznych.

— Smoki, dawna Lunar Development Corporation i nowa Lunar Mandate Authority, ziemskie państwa, wszyscy chcą nas kontrolować, ale przede wszystkim chcą zabrać to, co robimy. Opracowaliśmy techniki i technologie warte miliardy. Uniwersytet ma trzy główne źródła finansowania — czesne od studentów, licencjonowanie naszych technologii, wsparcie od prywatnych fundatorów i konsorcjów.

— Na konsorcjach też się znam. Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dakota uśmiecha się z zachwytem.

— Ghazi bronią Uniwersytetu przed tymi, którzy chcą go zniszczyć, opanować, skorumpować albo wykraść jego tajemnice. Na początku zatrudnialiśmy najemników albo ściągaliśmy posiłki z Ziemi, ale stwierdziliśmy, że ich jakość jest słaba, a lojalność wątpliwa.

— Zawsze lepiej mieć naprawdę lojalnych ludzi — stwierdza Luna.

— Tak właśnie uważamy. Ghazich jest dziewięćdziesięcioro dziewięcioro, bo podoba nam się ta liczba. Reprezentujemy wszystkie wydziały i kampusy uczelni. Wszyscy urodziliśmy się na Księżycu. Służymy przez dziesięć lat i w tym czasie nie

wolno nam zawierać partnerstw ani mieć dzieci. Wyrzekamy się swoich rodzin, swojej historii i składamy uroczyste przysięgi na wierność uczelni. Kandydatów na ghazich jest wielu, wybiera się nielicznych, selekcja jest bardzo ostra. Każdy z nas ma za sobą przynajmniej doktorat, wielu — dużo, dużo więcej. Jak moglibyśmy bronić uczelni, gdybyśmy nie byli częścią jej umysłowego życia? Bylibyśmy wtedy najemnikami. Policją.

— Policją? — pyta Luna.

— Na Ziemi jest policja — odpowiada Dakota. — Przechodzimy wymagający trening fizyczny. Każdy uczy się jakiejś broni i jakiejś sztuki walki wręcz. Ćwiczymy się w nich tyle samo czasu, ile trwają nasze studia akademickie. Wasi zaszczytnicy i noże chwalą się, że ukończyli Szkołę Siedmiu Dzwonów, ale ghazi umie o wiele więcej. Uczy się nas obserwować najdrobniejsze szczegóły, stosować subtelną manipulację psychologiczną, prowadzić śledztwa, zbierać informacje i prowadzić konspiracyjne operacje. Uczymy się wszystkich języków Księżyca, nie przez sieć, lecz na pamięć, nabieramy umiejętności psychologicznych i praktycznych — programowania, hackowania, inżynierii systemowej. Nie ma na Księżycu pojazdu, nad którym nie mogłabym przejąć kontroli, nad tym pociągiem też. Uczymy się projektować na miarę narkotyki, trucizny, halucynogeny. Uwodzić, być uwodzonymi, wykorzystywać seks jako broń wobec kogoś płci dowolnej lub żadnej. Potrafię też przeżyć siedem minut bez tlenu. Pod każdym względem, Luno, jestem z piekła rodem.

Na wschodzie leżą Niskie Wzgórza, rzucające długie wieczorne cienie na wiadukt, którym wagonik wspina się na

szary płaskowyż.

— Pokażesz mi swój nóż? — pyta Luna.

— Oczywiście. — Nonszalanckim gestem odgarnia połą żakietu. Dwa noże, w pochwach z szybkim rozpinaniem. — Chcesz wypróbować?

Luna kręci głową.

— To by nie było na miejscu. Są twoje.

Dakota zasuwa połą żakietu. Gdy wagonik wyjeżdża z tunelu z Twé na Równikową Jedynekę, szczelinowe okna zalewa światło.

— A zabiłaś kiedyś kogoś?

— Nigdy. Większość z nas nigdy nie bierze udziału w bezpośrednich akcjach. Przeważnie działamy w szpiegostwie przemysłowym — bardziej skuteczne jest zdekonspirowanie siatki i sprawa w sądzie, na Księżycu albo na Ziemi, a my mamy nieograniczone fundusze. Wolno nam używać siły, nawet zabijać, jeśli to konieczne, ale przeważnie po prostu ludzi zastraszamy.

— I to się sprawdza?

— Zastraszylam twoją matkę. I wuja.

Luna zastanawia się.

— No tak. Faktycznie. I Ziemian, i Żelazną Rękę mojego wujka.

— Ale nie Lunę Cortę.

— Ja szłam po szkle z Lucasinhem. To dopiero było straszne.

— No, przyznaję, tego nie robiłam.

— A wujek wystraszył się czegoś innego. Że oddaje Lucasinha w ręce Mackenzie.

— Wszyscy ghazi wyrzekają się dawnych rodzin, kiedy składają przysięgę na uniwersytecie.

— *Tio* Lucas mówi, że rodzina jest wszystkim. Jak nie masz rodziny, jesteś nikim.

— Ja mam rodzinę — odpowiada Dakota. — Wielką, wspaniałą rodzinę, która o mnie dba, kocha mnie, i dla której zrobię wszystko. Po prostu ona jest trochę inna. Bo rodzinę wszyscy sobie wybieramy.

Luna przypomina sobie hot—shop z matką, tymi zwierzętami i nieudaną granitą. „Jestem dziedziczką Corta Helio”, powiedziała wtedy. Ghazi ma rację. Ona też sobie wybrała rodzinę.

Wagonik zjeżdża po zboczu na Morze Żyzności, ojczystą ziemię Cortów. Linia Równikowej Jedyńki biegnie środkiem pasa solarnego, biała kreska na czerni ciemniejszej nawet od czarnego bazaltu dna morza. Luna dostrzega dalekie wysięgniki helowych maszyn wydobywczych wracających do bazy na przegląd, rogi wyrzutni BALTRAN—u, wieżę terminala pętli księżycowej Fecunditatis. Pojawia się i znika armia pojazdów technicznych odbudowujących Boa Vista. Potem anteny i panele słoneczne, śluzy, doki i powierzchniowe urządzenia João de Deus. Też zaraz znikają. I teraz Luna Corta jest w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie była, zostawiwszy za sobą punkty orientacyjne przeszłego życia. Jedzie na wschód od Morza Żyzności, za krawędź Księżyca na jego drugą stronę.

CZTERY

— Stań — rozkazuje samochodowi. — Stań, zatrzymaj się, proszę!

Samochód zjeżdża na bok drogi i parkuje przy drewnianej balustradzie.

— Co tym razem? — pyta Melinda. Jej asystentka. Podczas drogi z miasta była srogą towarzyszką, odwracała się od pędzących chmur, chlapnięć deszczu i kałuż, pełnych niespodziewanego słońca. drzew i autostrady, skupiając się na swojej soczewce i sieciowym świetle innych ludzi. Jej zadaniem jest dowieźć kobietę z Księżyca do domu, przekazać rodzinie, wrócić.

— Patrz.

Z cienia drzewa wyłaniają się łosie, dwie kłopy i łoszak, mrugają, niepewnie wychodzą na otwartą przestrzeń. Przecinają łąkę, idąc ku trasie, łoszak trzyma się blisko macki. Reszta stada to ciemne pasmo pod okapem lasu, sugestia ruchu. Zwiad przeskakuje nad przewróconą poręczą i zatrzymuje się na gruntowej drodze, unosi głowy, rozchyła nozdrza.

Każę opuścić okno. Bezpośrednie, niefiltrowane światło parzy ją w ramię. Czuje ich zapach. Czuje stary, wyschnięty obornik i świeżo wysuszoną ziemię na drodze, czuje niedawny deszcz, żywicę, liście, rzekę, światło, powietrze w dolinie.

— Ostrożnie ze słońcem — mówi Melinda. — Wiem, klimat jest, jaki jest, ale ty naprawdę masz skłonność do oparzeń.

— Ej — szepcze ona.

Głowy łośi odwracają się w jej stronę.

— Ej, wy tam.

Matka wchodzi między łośzaka i samochód. Łoszak i druga samica schodzą z drogi do rowu, potem między drzewa. Matka oczekuje, aż jest pewna, że samochód i jego pasażerowie nie stanowią zagrożenia, potem wbiega truchtem pod drzewa.

— Co roku schodzą z gór, mniej więcej o tej porze. Czują, że zaczyna się tam jesień. Czasem podchodzą pod same domy, są tak oswojone, że możesz im zostawić jabłka na poręczy werandy i patrzeć z fotela, jak jedzą.

Zasuwa okno. Samochód rusza. Droga to seria ostrych zakrętów pod kątem prostym, odwzorowujących dawne granice pól i działek. Pól nie ma dawno, las zagarnia je z roku na rok, z lata na lato. Droga zmienia się z gruntowej w koleiny, a potem w wąską zieloną ścieżkę. Skręt na zapadnięty drewniany mostek — zawieszenie samochodu trzaska tak głośno, że nawet Melinę odrywa od jej sieci społecznościowych — potem przecinka między gęstymi drzewami, które wszystkie dzieciaki nazywały Miastem Duchów. Na gałęziach wiszą resztki symboli dziesiątków zabobonów —połamane kółka łapacza snów, strzępy flag modlitewnych z buddyźmu tybetańskiego,

postrzępiony rękaw wiatrowy w kształcie ryby. Słysząc pusty klekot bambusowych dzwonków wiatrowych. Na gałęziach jest niewiele igieł. Napór suszy nie daje wytchnienia. Auto ostatni raz skręca pod kątem prostym i na wprost przed nią wyłania się dom, wtulony pomiędzy inne budynki i szopy na szerokim placu z widokiem na dolinę i górskie przełęcze poza nią.

Wybiegają psy. Jeden nieznajomy, pędzi, by powitać samochód, szczeka ze ślepą ekscytacją, stary Canaan, kulejący na sztywnych nogach, ujada z głową odrzuconą do tyłu. I dom, ten stary dom, nieśmiało skryty za werandami, gankami i marsową miną dachu. Zamocowany do okapu przy kominie deszczomierz — najwyższe wskazanie na wysokości góry okna jej dawnego pokoju. Mech i popękane szare dachówki. Wiatrowskaz w kształcie orki.

Podświadomie liczyła na transparenty i żółte wstęgi już od szosy 101, na rodzinę stojącą i trzymającą się za ręce w szeregu. Psy eskortują samochód, który mija huśtawkę na linach, tę z najpiękniejszym widokiem na dwóch światach, na doliny i na góry. Huśtała się tu z Kessie, patrząc na łośie ostrożnie schodzące ścieżką ku rzece, na wieczorne odbłaski na śniegu. Teraz już nie ma śniegu. Od wielu lat nie było. Auto zatrzymuje się przed gankiem, a ją zaskakują wybuchy. Kłęby dymu, trzaski. Świst, pyk. Fajerwerki. Przyjęcie godne bohaterki.

Ma wrażenie, że widzi kogoś uskakującego za róg werandy — pewnie mistrz fajerwerków — lecz wtedy otwierają się drzwi, a za nimi są wszyscy — Kessie i jej córki Ocean i Weavyr, Skyler jeszcze leci z Dżakarty. Ani śladu mamy. Zbiegają po

schodkach, otaczają samochód, machanie, głosy, psy podekscytowane jak nigdy.

Samochód otwiera się. Melinda wyciąga wózek z bagażnika i rozkłada go. Dziesiątka dłoni konkuruje o rączki wózka, żeby wwieźć ją po pochylni. Sama tę pochylnię kazała zainstalować, dla mamy.

— On sam jeździ! — krzyczy, ale oni tylko wiwatują jeszcze głośniej, na wyścigi wtaczając ją po pochylni, na werandę. Czuje gorące drewno, zwietrzałą paczulę, trawę i czosnek.

Wszyscy wołają, wszyscy machają, wszyscy pytają, czy czegoś jej nie potrzeba, wszyscy coś mówią albo próbują jej coś pokazać.

Nawet Melinda zaczęła się uśmiechać.

— Ej, no! — Marina unosi dłonie w górę. — Wy nie macie laski mówcy! Ja mam laskę mówcy! Wróciłam w końcu z Księżycy!

Marina nie spodziewała się, że rozkosz może ją zabić. Tak, jedno potknięcie w tej bezlitosnej grawitacji, obrzęk serca, delikatne pęknięcie jakiegoś naczynka, czy jakaś ziemską choroba, co zadławi płuca śluzem, taki koniec sobie wizualizowała — ale nie czystą ekstazę płynącą z filiżanki kawy.

— Dwa lata — szepcze. — Dwa lata.

Pierwszy łyk to miecz archanioła na jej języku, zmysł smaku, reakcja ślinianek, poczucie miejsca, czasu, harmonii. Drugi łyk

to zębaty obsydianowy sztylet Szatana. Kwas, gorycz, cios kofeiny w serce, rozedrganie, delikatna paranoja.

— Jezus, jak ja za wami tęskniłam.

— To co ty tam piłaś?

Marina siedzi z Ocean na północnej werandzie z rozległymi widokiem na góry. Ultradźwiękowy cykacz odstrasza gryzące owady.

— Herbatkę — odpowiada Marina. — Miętową.

— O matko.

Spodziewała się, że dom będzie jakoś rozbudowany, zmodernizowany, albo i wyremontowany, odnowiony — że gdzieś będzie widać ten strumień pieniędzy, które słała z Księżycy. Tymczasem mech jest gęstszy, rynny są jeszcze bardziej zamulone, okna bardziej obluzowane, dach zapadł się głębiej niż w jej ostatnich wspomnieniach. A sieć dalej słabo działa. Poczowała przykre ukłucie złości, gdy Ocean i Weavyr obwiozły ją dookoła na wózku. Dom wszedł w taką fazę życia, że stał się swoim własnym pomnikiem. Nagle Ocean otworzyła drzwi do pokoju mamy i Marina zrozumiała, na co poszły te wszystkie pieniądze.

Łóżko z systemem podtrzymywania życia, urządzenia monitorujące, terapeutyczne, chudziutkie nóżki bota śmigającego po wypolerowanych stopami deskach podłogi. Wszystko takiej jakości jak na Księżycu.

— Weavyr? — Ocean pojęła w lot, ale dziesięcioletnia Weavyr nie dostrzegała jeszcze niuansów dla dorosłych. — Weavyr, możesz nas na chwilę zostawić?

Marina wcisnęła się wózkem w ciasne miejsce pomiędzy łóżkiem i ścianą. Po drugiej stronie stał wózek matki. Siedzenie i poręcze siwe od kurzu. Pompy pulsowały, rurki wyginały się.

— Mamo?

Marina myślała, że matka śpi, odwrócona na prawy bok, lecz wezglowie zaraz się podniosło. Matka przewróciła się na plecy, przeniosła wzrok na Marinę.

— Moja mała Mai.

Marina liczyła, że już wyrosła z tego przewiska.

— Mamo.

— Ej, czemu ty siedzisz na moim wózku?

— Na swoim siedzę. Twój stoi tam.

— A. No tak. A czemu siedzisz na swoim wózku?

— Wróciłam, mamo. Już zostanę.

— Byłaś na studiach...

— Mamo, ale potem wyjechałam. Byłam na Księżycu.

Śmieje się, chrapliwym śmiechem ze zniszczonych płuc, podnosi rękę, by odpędzić to absurdalne stwierdzenie. W tym łóżku wydaje się maleńka, jak uszyte ze skóry dzieciątko. Ale najgorsze są te rurki. Marina nie jest w stanie dłużej patrzeć na miejsca, gdzie wbijają się w ciało. Ramiona medycznych urządzeń są obwiązane wstążeczkami, obwieszane chińskimi amuletami, zasuszonymi pęczkami szaławii siwymi od kurzu. Paczulka, olibanum, zapachy olejków eterycznych...

Bierze ją za rękę. Jest sucha i lekka jak papierowe gniazdo os. Matka uśmiecha się.

— Ale teraz wróciłam. Przyjechałam tutaj, żeby dojść do siebie. Bo powrót z Księżyca to wielki wysiłek. Byłam już na

pograniczu. Mam się nie forsować, nie wysilać. Mówią, że przez miesiąc mam nie wstawać na własne nogi. Ale ja mam to gdzieś, przecież muszę uściskać rodzoną matkę.

W myślach ćwiczyła ten ruch w samochodzie, jadąc tu z ośrodka. Spina się, przesuwając ciężar ciała, zdejmując nogi z podnóżków i wbija je w ziemię. Zbiera siły, skupia się. Mięśniami tułowia. Wstaje. Ale Ziemia wyciąga rękę i szarpie ją w dół. Ręce słabną, nogi się załamują. Wtacza się bokiem na łóżko i kładzie na wznak obok matki.

— No, nie wyszło to za dobrze.

Z trudem łapie powietrze. Własny ciężar wyciska jej oddech z płuc. Przewraca się na bok. Coś się w niej nadrywa, coś się wykręca.

— Cześć, mammo.

— Cześć, Mai.

Uśmiecha się. Śmierdzi jej z ust, jakbygniła w środku.

— Wygląda na to, że już tu zostanę.

Kessie zagląda do swojej podopiecznej i podnosi alarm. Zbiega się rodzina, sadza Marinę z powrotem na wózku.

— Kawy? — proponuje Kessie.

— O Boże, nie. Po tamtej nie będę spać przez tydzień.

— Wina?

— My jesteśmy krajem koktajli — mówi Marina.

Kessie przynosi butelkę i otwiera ją. Korek—mile wspomniany dźwięk, skrzyp—pyk. Brzękają kieliszki, w ziemskim ciężeniu czerwone wino nalewa się szybko.

— Okanagan — czyta z etykiety Marina. — Nie wiedziałam, że to rośnie tak daleko na północy.

Delektuje się pierwszym łykiem, przeciąga przyjemność jak pasmo miękkiego jedwabiu.

— To kolejna rzecz, której nie mamy na Księżycu.

— A co macie? — pyta Kessie.

Dolinę wypełnia cień. Końcówka zachodzącego słońca rozpala szczyty.

— Twoja córka też o to pytała. Koktajle pijemy. Jej się nie poprawi, prawda? — pyta Marina.

— Nie. Ale też się nie pogorszy, jeśli ten jej program będzie dalej chodził. A cenę tych leków cały czas podnoszą. Póki jest popyt, podnoszą i podnoszą.

— Trzeba mi było zostać na Księżycu.

— No nie, nie znowu...

Szurnięcie stopy na szorstkich deskach. Ocean waha się w drzwiach.

— Marina, a mogę cię powypytywać o Księżyc?

— Pytać możesz o wszystko. Najwyżej nie odpowiem.

Ocean wysuwa składane krzeselko i siada obok Mariny.

— To boli? Znaczy, od samego bycia tutaj.

— Boli jak skur... — Marina gryzie się w język. Ocean ma czternaście lat i dla niej wyrazy to nie problem, ale matka słucha. — Boli cały czas. Wszystko. Wyobraź sobie, że przez cały czas siedzi ci na ramionach sześć takich dziewczyn jak ty. Wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz. I nigdy nie schodzą. Właśnie tak to wygląda. Ale poprawi mi się. Mam ziemskie kości, jeszcze mocne. A mięśnie sobie przypomną. Mam rozpisany cały pie... cały program fizjoterapii. Może trzeba mi będzie trochę przy tym pomóc.

— Ja mogę ci pomóc. Marina, a ty wiesz, że masz naprawdę dziwny akcent?

— Naprawdę?

— Mówisz tak jak my, ale bardziej przez nos i masz masę takich dziwnych tonów.

Marina waha się.

— U nas jest taki uniwersalny język, nazywa się globo. To uproszczony angielski, ale wymowa jest trochę zmieniona, żeby maszyny go rozumiały, niezależnie od tego, jaki masz akcent z domu. A na Księżycu jest kupa akcentów i kupa języków. Znam angielski, globo i trochę portugalski.

— To powiedz coś po portugalsku.

— Vocé cresceu desde a ultima vez que vi voce¹ — mówi Marina.

— I co to znaczy?

— Sprawdź sobie.

Ocean wydyma usta, ale ciekawość nie pozwala jej się obrazić.

— I naprawdę tam można latać?

— Jak chcesz, to możesz. Skrzydła zrobią ci niezłą dziurę w budżecie węglowym, ale ci, co fruują, na oko nie chcą robić nic innego.

— Jak mogłabym latać, też pewnie nic innego bym nie robiła. Przy każdej pogodzie byłabym nad górami.

— W tym właśnie sęk — mówi Marina. — Tutaj byłoby gdzie polecieć, ale człowiek nie lata. Tam da się latać, ale nie ma dokąd. Z jednego końca miasta na drugi, do góry i z powrotem. Południk jest wielki, ale to wciąż klatka. Linia nieba wygląda

jak niebo, ale jak się w nią wleci, można sobie połamać skrzydła.

Zmierzch dociera do szczytów gór, Marina nagle zaczyna marznąć na ganku.

— Księżyc wschodzi — mówi Kessie. — Może wyciągnę teleskop i pokażesz mi wszystkie miejsca, w których byłaś?

— Na razie daj spokój. Muszę się położyć. Zimno mi. Dzień był długi.

Nie jest w stanie patrzeć na Księżyc. Widzi te światełka i myśli o ludziach, którzy tam zostali — których zostawiła. Księżyc jest jak oko, patrzy na nią oskarżycielsko, z urazą, odnajdzie ją nawet na samym dnie najgłębszej doliny gór Olympic. Marino Calzaghe, ty uciekłaś.

— Pomogę ci — mówi Ocean. Turla wózek po skrzypiących deskach do jej pokoju.

Wróciła tu — lśniąca maszyna jej zestawu medycznego nie pasuje do wyblakłych plakatów, zakurzonych pluszaków, rzędów książek i komiksów. Znowu ma piętnaście lat. Obojętne w jakim wieku wraca się do domu rodzinnego, zawsze się ma z powrotem piętnaście lat. Narzuta w daglezie, sztuczna wilcza skóra na podłodze. Ocean przynosi jej wodę do popicia grzechoczącej garści tabletek i fagów.

— Na trzy—cztery — mówi Marina i wspólnym wysiłkiem kładą ją na łóżku.

Leży wśród maszyn, nie śpi. Jest zmęczona psychicznie, do samego szpiku kości, zbyt wyczerpana, by spać. Czuje nad sobą Księżyc, czuje jego żar, jego przyciąganie, jak pływ we krwi. Wreszcie jest w domu. Strasznie tu jest.

PIĘĆ

Ten dzieciak znowu się pojawił. Trzeci dzień z rzędu. Robson dostrzega go kątem oka i ta chwila zawahania dekoncentruje go, psuje naprzemienną pracę rąk i nóg. Ląduje twardo i byle jak.

To nie upadek z trzech kilometrów z dachu Królowej Południa. W Theophilusie nie ma przepaści większych niż sto metrów, ale jest ciasno, wszędzie jakieś urządzenia i kable. Robson ląduje, zderzając się z balustradą.

Zerka, sprawdzając, czy chłopak wciąż patrzy. Tak, na ten swój sposób, „patrzę tylko dlatego, że nic ciekawego tu nie ma”. Siedzi na balustradzie, nogi ma rozstawione, pociąga coś z tubki.

Dziwny jakiś. Robson ma dziś na sobie szorty khaki z podwiniętymi nogawkami i sportowe buty. Jest bez koszulki ani koszuli, bo tu na górze pośród maszynerii jest bardzo gorąco, a poza tym takie koszule, jakie są teraz modne, krępują ruchy. A tamten jest w standardowym księżycowym mundurku — legginsy, bluza z kapturem, jedno i drugie białe. Kaptur na

głowie, czarne włosy opadające na jedno oko. Chowaniec ubrany w coś, co wygląda jak błyszczące czarne skrzydła.

Trzeci dzień z rzędu tak patrzy—nie patrzy. Zatem ten ruch musi wypaść idealnie. I wyglądać, jakby nic go nie kosztował. Robson uspokaja dudnienie w piersi, zbiera energię, koncentruje ją, wkłada w bieg. Tym razem tik—tak dłoni i stóp wypada świetnie — przeskakuje po ścianach szybu wentylacyjnego, na poręcz platformki serwisowej, rurę pokonuje saltem w tył, w ścianę trafia idealnie palcami rąk i nóg, odpycha się w gęstwinę rur. Góra, dół, naokoło, pomiędzy.

Idealnie.

Przysiada na rurze z wodą, dwadzieścia metrów nad nim. Parkourowy król Theophilusa. Patrzy przez plątaninę kabli i rur, spogląda w jedno oko niezakryte włosami. Kiwa głową. Tamten dzieciak odwraca wzrok.

Robson skacze z dwudziestu metrów i wykonuje przesadzone, teatralne lądowanie superbohatera.

— Hej? — Głos tamtego.

Robson zatrzymuje się, przeczesuje włosy palcami.

— Co?

— Tak tylko... Co teraz robisz?

— Idę do bani. Muszę się umyć.

— A. No bo... chciałem gdzieś pójść na herbatę i tak się zastanawiałem... nie znasz jakiegoś dobrego miejsca?

— Dawno jesteś w Theophilusie?

— Parę dni.

— W bani jest herbaciarnia — mówi Robson. — Jeśli chcesz pójść. Bo ja muszę się najpierw umyć.

Chłopak zsuwa się z balustrady. Robson może lepiej mu się przyjrzeć. Skórę ma tak bladą, że jest prawie przezroczysta. Wielkie, czarne oczy. Ładne włosy, z tych, z którymi da się robić różne rzeczy.

— Haider — mówi dzieciak. Brodą wskazuje chowańca. — A to Solveig.

— Robson — mówi Robson. Wymrukuje swojego chowańca. — A to Dżoker. To jak, idziesz?

Alexia słyszy głosy za kamiennymi drzwiami. Lunar Mandate Authority jest już dobrze w trakcie sesji. Lucas zaciska dłoń na gałce laski. Alexia bierze go pod rękę.

— Wchodzę sam — mówi.

Alexia puszcza jego łokieć.

— Ale wejście trzeba mi zorganizować.—Na jego twarzy błyska uśmiech. Lucas Corta wydziela uśmiechy jak drogocenne klejnoty, ale kiedy już się uśmiechnie, całkiem się odmienia. Promienieje radością jak słońce.

— Oczywiście, *senhor* Corta.

Alexia zamasyście otwiera podwójne drzwi Pawilonu Nowego Księżycy i wkracza do amfiteatru. Kroczy pewnie, zwracając na siebie uwagę. Ma to wyćwiczone. Zieluniakowi wystarczy jeden bezmyślny krok, żeby wznieść się w upokorzeniu na półtora metra w powietrze. Widzi się Ziemiaków, jak lecą, sztywni ze wstydu, nad ulicami Południka. Ale tej zieluniaczki to nie dotyczy — Alexia jest cała dumna, że

porusza się, jak należy, po księżycowemu. Rejestruje twarze w rzędach. W skupieniu zapisuje je w pamięci.

— Szanowni państwo — obwieszcza. — Orzeł wylądował.

Wkracza przez podwójne drzwi, głowa wysoko, plecy proste, człowiek—skała, góra mięśni, które musiał sobie wyhodować, żeby przeżyć na Ziemi, lecz Alexia wie, że boli go każdy staw i każde ścięgno. Ziemia ciężko go uszkodziła. W trakcie lotu na orbitę zatrzymało mu się serce. Nie żył przez osiem minut. Ziemia jest trudna. Ale Księżyc trudniejszy, myśli Alexia Corta.

— Dziękuję, Mão de Ferro.

Kiedyś rodzinny przydomek, a teraz tytuł służbowy. Mão de Ferro. Żelazna Ręka. Asystentka Księżycowego Orła.

— *Dlaczego ja?* — pytała wcześniej.

— *Bo jesteś z zewnątrz* — odpowiedział Lucas w gabinecie Orła z oszalamiającym widokiem na plac Południka. Na dywanie wciąż widać było ślady krwi jego poprzedników. — *Tylko ty jedna jesteś nie do skorumpowania.*

Alexia zajmuje miejsce w najwyższym rzędzie, stąd jeszcze lepiej widać wszystkich szacownych delegatów. Siedzą stronnictwami. Przedstawiciele ziemskich państw zajmują lewą stronę najniższego rzędu. Europejczycy, Saudyjczycy, nieliczna delegacja Stanów Zjednoczonych, nadmiernie liczna z Chin. Jeden amerykański fotel jest pusty. Alexia szuka w pamięci. James F. Cockburn z Komitetu Centralnego. Po prawej stronie w dolnym rzędzie — korporacje, fundusze i banki inwestycyjne, firmy od wyprzedaży majątku. Goście, którzy zainwestowali w inwazję na Księżyc.

W drugim rzędzie siedzą prawnicy — elegancja i najnowsza moda, drukowana godzinę temu. Naprzeciwko tych strojnisiów — Pawilon Białego Zająca, chaotyczna, kiepsko ubrana zbieranina. To prywatni doradcy Księżycowego Orła, przedstawiciele księżycowych elit od Sądu Claviusa po Uniwersytet Farside. A ten to kucharz—gwiazdor. Biały Zając nie ma żadnej władzy, może tylko doradzać, namawiać i ostrzegać. Jak się na tym może znać kucharz?

Skupia uwagę na najwyższym z trzech rzędów. Tam siedzą Woroncowowie, dotąd najbardziej skryci spośród Smoków, teraz wychodzą z cienia, by pławić się w blasku nowego porządku. Ciężka łapa i ciężkie działo to siła, tak na Barra de Tijuca, jak i na Morzu Spokoju. Nieskazitelnie ubrani, agresywni, młodzi mężczyźni i kobiety, wytatuowani, muskularni, pod każdym garniturem nóż.

A gdzie Jewgienij? Tam, w najniższym rzędzie, naprzeciwko Księżycowego Orła. Prezes VTO Moon nie mógłby bardziej odstawić od garniturów spod igły i ostrych kości policzkowych — jest wielki jak niedźwiedź, brodaty i odziany we wspaniały, staroświecki złotogłów. Alexia zawsze ma wrażenie, że trzymają go jako zakładnika. Obok niego siedzą przedstawiciele pozostałych Smoków — AKA, Taiyangu, Mackenzie Metals, Mackenzie Helium. Po jednym z każdego. Tak wygląda nowy porządek świata.

Lucas Corta rejestruje twarze w kolejnych rzędach.

— Mackenzie Helium popełniło zbrodnię w João de Deus. Wzywam do natychmiastowych kroków karnych.

— Co pan proponuje, panie Corta? — odzywa się Anselmo Reyes z funduszu kapitałowego Davenant. Liczący się gracz.

— Kontrakty gwarantujące bezpieczeństwo wszystkich mieszkańców João de Deus — odpowiada Lucas.

— W tym pańskiego syna.

— Oczywiście. Poparte groźbą uderzenia na ośrodki przemysłowe i sprzęt Mackenzie Helium. Dopiero to powstrzyma Bryce’a Mackenziego.

— Sprzeciw — oświadcza Raul—Jesus Mackenzie, przedstawiciel Mackenzie Helium w LMA. Jeden z adoptowanych synów Bryce’a Mackenziego. Alexia jest na Księżycu wystarczająco długo, by wiedzieć, co to znaczy. — LMA nie jest od sankcjonowania osobistej wendety. Ponadto zwracam uwagę szanownego Pawilonu, że ta żądza zemsty *senhora* Corty jest tak wielka i święta, że przekładał to spotkanie, póki nie wywiózł całej swojej świty do Twé, a syna na Farside.

— Przynajmniej ten ojciec przejmuje się losem swego syna — mówi Lucas.

Raul—Jesus Mackenzie zbywa szpilę wzruszeniem ramion.

— Mam zatem nadzieję, że ta zwłoka da mu czas na ponowne rozważenie propozycji, którą złożył temu Pawilonowi. W której domagał się natychmiastowego ostrzelania działem elektromagnetycznym magazynu Mackenzie Helium na Morzu Poznany. W bezpiecznej odległości od jego ukochanego João de Deus.

Przez rzędy siedzeń przechodzi szmer, głowy nachylają się do siebie.

— Szanowny Pawilonie, długo jeszcze pozwolicie przedstawicielowi Mackenzie Helium obrażać was paranoicznymi fantazjami Bryce'a Mackenziego? — pyta Lucas, lecz Alexia już przepatruje rzędy pod kątem zdrady.

W pociągu do Twé blady z furii Lucas chciał ostrzelania działem elektromagnetycznym każdej działającej linii wydobywczej na półkuli zachodniej. Alexia przekonała go do symbolicznego ataku, oko za oko. Na jakiś zautomatyzowany ośrodek. By nie ginęli ludzie. Moralna wyższość. Kazała mu modelować ten ostrzał, żeby się czymś zajął podczas jazdy do Twé i Lucasinha. Widzi teraz, że Jewgienij Woroncow podnosi wzrok na ostatni rząd. W tych dłoniach jest spust kosmicznego działa.

— Stu dwudziestu zabitych w João de Deus — ciągnie Lucas. — Ludzi. Ludzkich istnień. Nie zostawię ich na pastwę kaprysu Bryce'a Mackenziego. Dalsze jego panowanie w João de Deus gwałci wszelkie zasady moralne naszej cywilizacji.

— Ależ *senhor* Corta — mówi jadowicie Raul—Jesus. — Kto jak kto, ale pan niezbyt może przemawiać z pozycji moralnej wyższości.

Alexia wstrzymuje oddech. Mówią, że na Księżycu nie ma duchów. Ale jeden nawiedza to forum.

— Jeśli chce pan mnie oskarżyć, proszę mi to powiedzieć prosto w twarz —mówi Lucas.

— Żelazny Potop, *senhor* Corta.

Alexia zamyka oczy.

Znów widzi Walerija Woroncowa w obserwacyjnej bańce na *Świętych Piotrze i Pawle*, wyciągającego ku niej palce jak dzioby.

Nigdy nie zapomni, co jej powiedziała: „Nie myślisz, że dwóm światom przydałby się grom?”.

— Sąd Claviusa oczyścił mnie ze wszelkich zarzutów o współudział w zniszczeniu Tygła.

— Nieudowodnione, *senhor* Corta — mówi Monique Bertin. Druga w triumwiracie LMA.

Alexia skupia uwagę na Wang Yongqing.

— Według księżycowego prawa to nie ma znaczenia — odpowiada Lucas. — Czy zarząd odmawia spełnienia mojego żądania?

Teraz odzywa się madame Wang:

— Zadaniem Lunar Mandate Authority jest utrzymanie produkcji rzadkich pozaziemskich surowców. Nie możemy pozwolić sobie na jakiegokolwiek działania, które groziłyby deficytem zasobów ludzkich.

— Jeśli woli pani tak nazywać naszych ucziwych i pracowitych luniarzy, to zagrożone są, madame Wang, właśnie „zasoby ludzkie”.

Lucas już przegrał — któryś z młodszych delegatów zamyka posiedzenie. Delegaci wstają z miejsc, prawnicy zrywają się, by z nimi porozmawiać. Smoki rozpoczynają pogawędki albo patrzą na siebie spode łba, zależnie od sympatii. Wszyscy przemierzają się w stronę kuluarów, drzwi i schodów.

— Jewgienij Grigorijewicz?

Patriarcha Woroncow zatrzymuje się. Z góry rzędów patrzy nań cała jego świta. Alexia widzi iskierkę porozumienia przeskakującą między Woroncowem a Cortą. Potem Jewgienij człapie na górę do swoich.

Alexia oczekuje, aż ostatni z delegatów wyjdzie z sali, dopiero wtedy podchodzi do Lucasa. Ten stoi zbyt sztywno i prosto, niezachwiany, niczym nie zdradzając furii, która musi w nim płonąć — Alexia to wie, bo i w sobie ją czuje.

— Jak szybko — mówi do swojej Żelaznej Ręki. — Najpierw rzucą się na mnie, potem na siebie nawzajem. Zobaczysz, Alexia, zaraz powyciągają noże.

Ariel Corta zaciska zęby i usiłuje rozprostować przyciśnięty udem pasek do pończoch.

Pierdolone lata czterdzieste XX wieku.

Kostiumy — wspaniałe, suknie — cudowne, kapelusze — piękne. Pończosznictwo — potworne. Nikt nie myślał o kobiecie ze sparaliżowanymi nogami, która próbuje się w pośpiechu ubrać na spotkanie.

Pończochy trzeba zwinąć, naciągnąć, wyrównać, zamocować. Pończochy to odzieżowe przekleństwo.

A chuj, co tam.

— Beija Flor, zawołaj Abenę Asamoah.

Przychodzi po trzech minutach.

— Wychodziłam na herbatę ze swoim seminarium.

— Od nich niczego się nie nauczysz — mówi Ariel. — Potrzebuję pomocy. Zadziera spódnice. Abena przewraca oczyma.

— Tego nie mam w zakresie obowiązków.

— Tak, tak. Musisz mi zapiąć te pończochy.

— A co jest nie tak z normalnymi rajstopami?

— Wszystko jest nie tak. Albo robisz wszystko porządnie, albo wcale.

Abena siada na łóżku. Ariel widzi, że powstrzymuje uśmiech.

— LMA dałoby ci asystentów, ile tylko chcesz. Podnieś tyłek. Ariel kładzie się na plecach na łóżku i podpira na łokciach.

— Nikt nie może zobaczyć, że korzystam z hojności Lucasa. Abena zapina zatrzask.

— Ludzie to naprawdę nosili. Codziennie. To jak, dostajesz jakieś sprawy?

— Na razie nie. Ale cicho. Ty zarabiasz jakąś kasę na tej swojej politologii?

— Okazuje się, że nagle Kaboszon to najbardziej pożądane seminarium na obu stronach Księżyca. I to mu nie służy. Ariel...

— Nie, nie załatwię ci stażu u brata. Zresztą on ma asystentkę. Taką dziewczynę z Brazylii. Zaczęła się ostatnio tytułować Mão de Ferro. To moja matka była Żelazną Ręką. Ostatnią Żelazną Ręką.

— Jeszcze raz się podnieś — mówi Abena. — No dobra. Jest.

— Dziękuję. — Ariel przesuwa się na brzeg łóżka. Myślą przyzywa wózek. — Jesteś dla mnie o wiele za dobra.

— A w ogóle to z jakiej okazji ty się tak stroisz? — Abena jest na tyle mądra, żeby nie proponować Ariel pomocy przy wsiadaniu na wózek, ani potem, kiedy już poprawiła kostium i makijaż, nie próbować jej pchać.

— Spotkanie z potencjalnym klientem — odpowiada Ariel, patrząc na własny obraz w soczewce i malując usta szminką w historycznie odpowiednim kolorze.

— Mogę pójść z tobą? — pyta Abena.

— Oczywiście, że nie. A jak wyglądam?

— Ja bym cię zatrudniła. — Całuje ją delikatnie w policzek.

Ariel wyjeżdża z sypialni i przejeżdża przez salonik do drzwi, za którymi czeka już *moto*.

— Będiesz mogła znowu chodzić.

Bar został dyskretnie opróżniony, tu poklepanie po ramieniu przez elegancko ubranego młodego mężczyznę lub kobietę, tam pojawienie się na rachunku baru płatności od Taiyangu. Z dużą górką.

Amanda Sun i Ariel Corta siedzą przy stoliku na okrągłym złotym balkonie Klubu Białej Chryzantemy. O tej porze Południk jest pełen trzepocących latawców, ogoniastych smoków, salamander, ptaków garuda, lisów o dziesięciu ogonach i Kotów z Księżycą, unoszących się i opadających w kilometrach sześciennych przestrzeni nad Kwadrą Antaresa. To jakiś powolny, subtelny wyścig, stwierdza Ariel — dryf od wylotu grzejnego przez wentylacyjny po klimatyzacyjny. Będzie trwał godziny, może nawet dni. Kolory, falujące ogony, długie na setki metrów, trzepotanie monomolekularnej folii na wietrze — ona to aż czuje, jest w stanie dostrzec w tym przyjemność.

W Klubie Białej Chryzantemy może przebywać tylko jedna osoba poza nimi — jej słynna barmanka. Przynosi dwa martini, nieskazitelne, zroszone, ascetyczne. Ariel Corta kręci głową.

— Na pewno? — pyta Amanda Sun.

— Nie potrzebuję się rozpraszać.

Mimo to i tak jest rozkojarzona, oszołomiona, nie może się skupić. Prawie jakby upiła się bez niczego. Mądrość ludowa mówi, że Księżyc nie ma historii, lecz historia chyba tego nie słyszała. Historia zesłała na prospekty Południka. Ulice, mieszkania, windy i ladeiry, nieskończone perspektywy wśród niebotycznych wieżowców nie zmieniły się, ale cały Południk zmienił się nie do poznania. Ziemia rządzi LMA, jej brat zajął Orle Gniazdo, Woroncowowie trzymają na muszce każdego człowieka po tej czy po tamtej stronie. A Marina wyjechała.

Marina wyjechała. Ariel nagle ma przemożną ochotę zawołać barmankę, żeby zawróciła i przyniosła to martini z powrotem. Tylko godność każe jej się powstrzymać.

Barmanka zostawiła na stole jedno martini. Amanda Sun unosi kieliszek dłonią w rękawiczce i upija łyk.

— Honorarium będzie bardzo wysokie. Będziesz oddychać pełną piersią do końca życia.

— I chodzić.

— Nawet tańczyć.

— Byłaś żoną mojego brata, a nawet nie wiesz, że nie cierpię tańczyć — mówi Ariel.

— Ty przygotowałaś naszą *nikah*.

— I rozwód. Jedna z lepszych rzeczy, jakie mi się udały. A teraz lady Sun przysyła cię, żeby mi zlecić zdobycie opieki rodzicielskiej nad Lucasinem.

Amanda Sun pije kolejny łyk swojego superwytrawnego martini, lecz Ariel widzi zaciśnięcie szczęki, zacięcie ust. Sądowe oko nigdy nie umiera.

Trafienie. Plamka krwi. Czuje na ramionach gęsią skórę dawnej ekscytacji.

— Zlecenie tego tobie to wyłącznie mój pomysł — mówi Amanda.

— A ja uparcie tego kontraktu nie biorę.

— Nawet jeśli uwolniłby cię od tego wózka?

— Nawet.

— Wiem, że jemu odmówiłaś.

— Ale od tego jest bardzo daleko do pracy na rzecz wydania jego syna wrogom.

— Taiyang nie jest wrogiem Księżycowego Orła.

— A kto go zostawił, żeby się udusił w zepsutym łaziku na Żyzności?

— Wtedy to był po prostu Lucas Corta. — Amanda Sun znów popija martini. — Stary porządek umarł, Ariel. Twój brat go zabił.

— Mnie on odpowiadał. Znał swoje obowiązki.

— Ziemianie ich nie widzą. Dla nich jesteśmy bandą brutalnych libertarian, spojonych wspólnym interesem, których tylko jeden oddech dzieli od podrzynania sobie nawzajem gardeł. Oni nie rozumieją tych niewidocznych kontraktów społecznych pod spodem. Dla nich jesteśmy kolonią przemysłową, centrum zysku, nic więcej.

— To jakiś manifest?

— Tak, my mamy manifest. Oczywiście.

— To nawróć mnie — mówi Ariel.

Amanda Sun bierze większy łyk martini.

— Czasy Smoków się skończyły. Potrzebne są nowe idee, nowa polityka, nowa gospodarka. Mamy polityczny plan. Symulowaliśmy go na Trzech Dostojnych Mędrkach. Wyniki mogą cię zaskoczyć.

— To zaskocz mnie.

— Komunizm.

Ariel podnosi brew.

— Praca najemna to na Księżycu już praktycznie przeżytek — mówi Amanda Sun. — Moglibyśmy łatwo przejść na kompletną automatyzację. Praca mogłaby być kwestią wyboru, pasji, a nie wynikać z potrzeby oddychania.

— Próbowali tego na Ziemi.

— Ziemia jest uboga w energię i nieodwracalnie hierarchiczna. Corta Hélio samo się przyczyniło do tej nierówności. Ten, kto kontroluje fuzję, kontroluje planetę. A Księżyc jest bogaty w energię.

— Energię słoneczną kontroluje Taiyang.

— Oraz automatykę i robotykę. Prawda, przyznaję. Ale Trzech Dostojnych zwizualizowało nam społeczeństwo o naprawdę płaskiej politycznej strukturze, z dostatkiem energii i technologii, tak że wszystkie ludzkie potrzeby są zaspokojone i społeczeństwo rozkwita tysiącem kwiatów. Księżyc jako dom społecznego eksperymentu. Ale wy nie interesujecie się polityką. Taka jest linia Cortów, prawda?

— Tak naprawdę to nie interesuje nas demokracja. Ale jeśli wasza wizja to jakaś komunistyczna utopia obfitości i wolności, to czemu wciąż musicie walczyć z Pekinem, który wam skacze do gardła?

— Ich wizja komunizmu to kontrola. Nasza to wolność. I one są sprzeczne.

— Nadal to „nie” — mówi Ariel. — A ty nadal mnie prosisz, żebym dostarczyła mojego własnego bratanka do Pałacu Wiecznego Światła, na zakładnika.

— Dokładnie. Ale powiem Lucasowi o tej rozmowie.

— Oczywiście. To był genialny pomysł, żeby to powierzyć tobie. Jak ci się udało tak podpaść lady Sun? Co jej zrobiłaś?

Amanda Sun dopija martini. Mały trójkącik zagęszczonego wermutem dzinu zbiera się na krawędzi i spływa kroplą po szkle. Nachyla się do ucha Ariel.

— Coração, chodzi o to, czego nie zrobiłam. — Poprawia zakiet od Zuckermana i Krausa, wkłada kopertówkę pod pachę. Mrugnięciem oka płaci barmanowi. — Mówić prawdę Cortom to bardzo interesujące, bo wy w nic nie wierzycie. Dla was wszystko jest warunkowe i negocjowane. W naszą wizję nie uwierzycie, ale jaka jest wasza? — Nachylą się jeszcze raz, muska ustami jej policzek. — Pa, pa, była szwagierko.

Amanda Sun wciska dłonie w rękawiczkach pod pachy, by je ogrzać, i dygocze w pikowanym ciepłym kombinezonie. Mówi sobie, że to zimno to kwestia psychologiczna — patrzy na dzieciaki, puchate misiaki w kolorowych ocieplaczach, przerzucające się piłką ręczną — niskimi, szybkimi rzutami. Skaczą, blokują, strzelają, bronią zaimprovizowanych bramek zaznaczonych mazakiem na bokach dwóch kontenerów

mieszkalnych. Młode głosiki pokrzykują i wiwatują w piskliwym portugalskim.

— Takie Boa Vista chyba bardziej mi się podoba. — Z ust leci jej para. — Zawsze tu było za mało dzieci i za cicho.

— Mnie tu się nigdy nie podobało.

Ocieplane buciory tupią na pochylniach, od śluz technicznych po podłogę największej z komór. Inżynierowie porozstawiali już słupy z oświetleniem, snopy światła z reflektorów zalewają dawny pałac Cortów, każdy z nich oświetla rozetę habitatów stłoczonych wokół generatora i parującego recyklera wody. Twarze *orixas* są surowo podświetlone od dołu — patrzą krytycznie, pełne cieni. Boty budowlane ganiają jak pająki w półmroku, budując uszczelnienie. Szron pokrywa zmumifikowaną trawę i krawędzie zamrożonych liści. Lód skuwa strumień i ucisza wodospady, bieli poprzewracane kolumny i kopuły pawilonów. To ciężka i długa praca, podnieść temperaturę z księżycowych minus dwudziestu do temperatury ciała. Dzieci grają, głosy odbijają się echem od lodowatych kamiennych twarzy.

— Ale jesteś tu i tak.

— Dla mnie to była zniewaga.

Escoltas Nelsona Medeirosa i *wushi* Sunów o pięknych fryzurach idą za nimi dyskretnie.

— Zniewagi to ty zawsze źle znosiłeś.

— Dziękuję. Ja wcale nie planuję tu mieszkać.

Zostawiają za sobą grające w piłkę dzieci. Oxala i Yemanja patrzą z góry na stado spychaczy, niestrudzenie zdejmujących z

posadzki habitatu warstwę martwej roślinności i ładujących ją do recyklingowych pojemników.

— Mam pomysł, żeby dać miastu zdziczeć — mówi Lucas. Ciężkie maszyny starannie omijają miękkich, puchatych ludzi. — Matka brzydziła się zwierząt. Dla niej to były plagi i szkodniki. A ja mam wizję, że niech się tu plenią. Niech pnącza wspinają się po twarzach *orixas*, liany niech wyrastają im z oczu. Ptaki, różne pełzające stwory, stworzenia, które słyszysz, ale których nie widzisz. Życie polujące na życie.

— Kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie pokazałeś, że masz taką wyobraźnię.

— Wyobraźni nie było w kontrakcie.

— Wielu rzeczy nie było w kontrakcie. I dzięki bogom.

Najdalsza jedna trzecia Boa Vista została już oskrobana do gołego jak kość, jak oczyszczona czaszka anortozytu. Na rozłożenie czekają pojemniki z biomasą i podłożem do roślin. W czworobokach między kontenerami mieszkalnymi kobiety i mężczyźni ćwiczą z nożami i pałkami. Wykrzykiwane rozkazy, polecenia, wskazówki — tu dotknięcie ręki, tam ramienia, tu ujęcie ręki, by pokazać właściwy ruch, cios, blok.

— Bryce Mackenzie musi być zachwycony, że pod samym jego nosem werbujesz prywatną armię — mówi Amanda.

— Oferuję pracę, której potrzebują pracownicy dotąd zatrudnieni przy helu, którzy stracili kontrakty przez błędy w zarządzaniu Mackenzie Helium — odpowiada Lucas.

— Cortowie zawsze troszczyli się o swoich.

— Ariel mówi, że próbowałaś się z nią skontaktować.

— Powinna ci powiedzieć to, co mnie.

- Będę z nią jeszcze rozmawiał.
- Ona nie weźmie od ciebie kontraktu.
- Rodzina to rodzina — stwierdza Lucas.

Żółta taśma na tymczasowym uszczelnieniu ostrzega przed próżnią z drugiej strony. Amanda Sun patrzy przez okienko i widzi gruz, stary pył, nową windę oraz stosy materiałów budowlanych.

— Tutaj wysadzili służę ewakuacyjną. Tędy zdehermetyzowało się całe Boa Vista. Rafę znaleźliśmy na powierzchni pół kilometra stąd.

— Dosyć, Lucas.

— Taka wrażliwa, a próbowała mnie zabić.

— Jak już mówiłam twojej siostrze, nie byłeś wtedy Księżycowym Orłem.

Lucas krzywi się.

Stał się nieudolny w ukrywaniu uczuć, myśli Amanda Sun. Ziemia go nadwerżyła i skruszyła.

— Będę walczyć zębami i pazurami, żeby Lucasinho nie wylądował w Pałacu Wiecznego Światła.

— Nie rozumiesz, Lucas. Na uniwersytecie najlepiej się nim zajmą. Nie będziemy się upierać, żeby go przenieść do Shackletona. Uniwersytet odbuduje mu pamięć. Oczywiście, że się o niego troszczysz, że bardzo ci na nim zależy, ale przy tobie on zawsze będzie w niebezpieczeństwie. A przy mnie będzie mieć stabilność i opiekę. Ochronę. Miłość. To jest jedna rzecz, której wy, Cortowie, nigdy się nie nauczyliście. Jak dobrze kochać. A trzeba było.

Junshi szepcze w tej samej chwili, w której Zhen, chowaniec Amandy, ogłasza alarm. Widzi po twarzy Lucasa, że dostał tę samą wiadomość.

— Trzeba się ewakuować — mówi Lucas, gdy *escoltas* i *wushi* ustawiają się w obronnym szyku. — Atak na Boa Vista.

— Co się dzieje?

Na wspólnym wybuchu tumult głosów, krzyków, wrzasków przerażenia. Czołówki skafandrów podskakują i migoczą w całkowitej ciemności. Znaczniki z nazwiskami błyskają na soczewce Finna Warne'a, HUD jego skafandra pokazuje wypadające z tunelu widmowe postacie.

— Meldować!

— Kontakt! — Charlie Tumahai z grupy minerskiej.

— Ilu?

— Brazylijcy wyłażą, kurwa, ze ścian! — wrzeszczy Charlie. Jego znacznik błyska bielą, gaśnie.

— Kurwa mać! — krzyczy Finn Warne.

Zaminowanie śluzy Santa Barbra — rutynowa operacja. Zaminowanie wind na Sao Sebastiao — bułka z masłem. Wszystkie śluzy serwisowe João de Deus, wszystkie śluzy rezerwowe i awaryjne, porty BALTRAN—u, stacja kolejowa; agregaty klimatyzacyjne i wodne; wszystko oklejone zabezpieczonymi przed manipulacją ładunkami wybuchowymi. Sam dobierał grupę. Żadnych *santinhos*. Tylko najbardziej zaufani łuniarze z Mackenzie Helium. Stary tunel tramwajowy — ostatni. Bułka z masłem. Odcina ostatnią drogę ucieczki. A

teraz ta droga ucieczki to droga dla inwazji. Nadciągają Cortowie.

— Jaime! Sadiki! Ktoś w ogóle!

— Jakie rozkazy, szefie? — Nicola Gan, z grupy wydobywczej ze wschodniego Oceanu Burz.

Rozkazy. Rozkazy.

— Wycofać się. Wyłączyć stamtąd. — Finn Warne na chwilę zamiera w twardej skorupie, w ciemności, wokół wirują mniejsze zła i konieczności. Co robić? — Zabierzcie wszystko ze sobą.

— Szefie...

— Wszystko. Jeśli znajdą choć jeden ładunek, dojdą, jak je rozbroić! Podskakujące czołówki daleko w tunelu obracają się i celują w niego.

— Ruchy! Ruchy!

— *Sprint*— rozkazuje swojemu skafandrowi.

Nagły pęd wyciska mu oddech z płuc, rozsądek z mózgu, nie ma nic, tylko krąg światła przed nim — koniec tunelu, stacja końcowa, João de Deus. *Pozostało pięć sekund sprintu*, informuje chowaniec. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Wpada zasapany na dawną stację.

— Nicki?

— Tak, szefie?

— Masz zostać jako znacznik.

— Co ty kombinujesz?

Przechodzi na wspólny kanał.

— Ekipa, uzbroić i zostawić wszystkie materiały wybuchowe. *Sauve qui peut*.

Finn Warne widzi białe znaczniki swoich *jackaroos* rozciągnięte po całym tunelu. To nie żołnierze, nie umieją walczyć; to luniarze, inżynierowie. I wszystkich stąd nie wydostanie. Przełącza się ze wspólnego na prywatny z Nicolą Gan.

— Nicki, uciekaj stamtąd. Wysadzam tunel.

— Szefie, Sadiki i Brent dalej tam są.

— Uciekaj. Biegiem!

— Kurwa mać!

Za mało czasu. Zawsze za mało czasu.

— *Ognia* — rozkazuje.

Rozbłysk daleko na linii tramwajowej. Stacja się trzęsie. Sejsmiczny grzmot. Nicola Gan wpada na starą stację, gdy ekipa Finna zaczyna się przepompowywać przez śluzę.

— *Chowaniec: wiadomość do Bryce'a Mackenziego. João de Deus jest zabezpieczone.*

Śluza się opróżnia, do komory wchodzi czterej kolejni czarni od pyłu *jackaroos*.

— *Mamy straty w ludziach.*

SZEŚĆ

Ariel Corta toczy się w dół prospektu Kondiakowej z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Zaplanowała to sobie bardzo dokładnie. Siedem minut na Dworzec Południk. Baterie ma naładowane do pełna, ale jadąc z maksymalną szybkością ulicą, i tak zużyje ich ponad sześćdziesiąt procent. Dotrze na peron, mając dwadzieścia sekund i dwadzieścia procent baterii zapasu. Pociągi VTO kursują z milisekundową dokładnością. Kiedy będzie dwie minuty od stacji, Lucas zacznie coś podejrzewać. Jednakże ostatnio, żeby udobruchać mieszkańców Południka, zabrał te swoje bory z ulic. Znienawidzone, kolczaste, nerwowe, grożące poobcinaniem kończyn, nadzianiem na ostrze, nieubłaganym rozlewem krwi. Ludzie ich nie cierpieli; dzieciaki dostawały ostrzami za próby ich przewrócenia, zrzucenia za barierkę, unieruchomienia szybkozłączkami. Staruszki na nie pluły. Wspomnienia z okupacji, kiedy maszyny rejestrowały i dokumentowały każdego z siedmiuset tysięcy mieszkańców Południka, ze zniszczeń i ofiar na morderczych morzach, były wyraziste i świeże. Jedynie nieliczni dostrzegli, czym były naprawdę oraz

kim naprawdę byli uśmiechnięci, raczący się herbatą, uzbrojeni tylko w paralizatory najemnicy, którzy je zastąpili. Byli czymś, czego Księżyc nigdy nie znał i nigdy nie potrzebował. Policją.

Dyskrecja. Wyłączyła wprawdzie Beija Flora, ale i tak jest najbardziej znanym inwalidą na wózku na całym Księżycu. Wierzy jednak w niezłomną ludzką obojętność. Wtacza się w gromadkę Długich Biegaczy, by przemknąć przed dwoma żandarmami odpoczywającymi w słonecznych plamkach pod drzewami rosnącymi pośrodku prospektu. Drobnny szturchaniec każe myślą wózkowi zrównać się szybkością z biegaczami. Mają na sobie dużo farby i niewiele ubrań, frędzle, bransolety, wojenne barwy. Zwierają się gładko wokół niej. Już prawie nie pamięta, jakie były święte kolory poszczególnych *orixas*. Jest coś buntowniczego w tym nieskończonym ruchu w koło. Bieg jako ruch oporu.

Marina chodziła na Długi Bieg.

Marina będzie się często pojawiać w jej myślach. Samotna podróż to melancholijne, medytacyjne przeżycie.

Plac wznosi się przed nią, ta gigantyczna środkowa komora, od której odchodzą promieniście trzy kwadry. Wbrew sobie zadziera głowę i patrzy na Orle Gniazdo swego brata. Są tam całe sady pomarańczy i bergamotek, wciąż ze śladami ozdobnego sreberka pozostałymi po katastrofalnym ślubie Lucasinha Corty.

Dworzec Południk. Przygotowuje się na delikatne szarpnięcie, gdy wózek blokuje się na ruchomym chodniku i wiezie ją na plac. Na tym dworcu tłum jest o każdej porze dnia i nocy — prowadzi wózek pomiędzy grupkami pasażerów,

wsiadających, wysiadających, witających się wylewnie i żegnających rzewnie. Tu jest pełno kamer. Ale widzenie to jedno, a zauważenie to drugie. Wszyscy są monitorowani, tylko nikt na to nie patrzy.

Ariel wtapia się w tłum pasażerów na schodach na perony. Puszczą Beija Flora i kupuje bilet, tymczasem wózek wypina się z ogniw ruchomego chodnika i stacza na peron. Wie, gdzie ma stanąć, i wiezie ją do właściwej śluzy, światło zamienia ściany z ciśnieniowego szkła w lustro pełne upiorów i złud. Dwie minuty. Stary Biegunowy Ekspres ma przyjechać zgodnie z planem. Powie o wszystkim Lucasowi, kiedy już będzie po drugiej stronie świata. Powinna mu wytłumaczyć, czemu nie będzie co reprezentować przed Sądem Claviusa.

Nigdy nie była na Farside. Wie, jakie legendy i mity krążą o nich wśród mieszkańców Tej Strony — że to plątanina starych, przeciekających tuneli, ciasnych i klaustrofobicznych, chaotycznych, tłocznych od ciał, zapachów i oddechów dziesięciu tysięcy studentów. Jak krwiobieg albo układ nerwowy. Ich dawne mieszkanie na Bairro Alto też było ciasne, z Mariną wypełniały je jak dwa żółtka jajko. Wiele razy budziła się, wyobrażając sobie, że zacisnęło się na niej jak gips. A była ich tam tylko dwójka — w tunelach i chodnikach, tramwajach, korytarzach i kolejkach linowych Farside pulsowało dziesięć tysięcy razy więcej ludzkich ciał.

Na peron wtacza się wielki pociąg, dwa piętra kanciastej, tandetnej księżycowej inżynierii. Śluzy spasowują się co do milimetra i się uszczelniają. Bateria — minimalnie poniżej dwudziestu procent. W granicach tolerancji, zważywszy, że

musiała sporo prądu zużyć na nadążanie za Długimi Biegaczami.

Co każe jej się obejrzeć w głąb peronu? Niespójność kolorów — brutalna szarość na tle brązów i rdzawości aktualnej księżycowej mody? Zaburzenie kształtu — klin ludzi posuwający się jak jeden mąż schodami ruchomymi na peron? Ruch odsuwających się od nich pasażerów? Ich marsz zmienia się w trucht, potem w bieg.

Najemnicy LMA.

Z pociągu wylewają się ludzie. Nie przecięśnie się przez nich. Nie może wejść do środka.

— Przepraszam! — krzyczy, pchając myślą wózek naprzód. Zderza się z dziewczynką, przewraca ją na szybę. Jej rodzic przyciąga ją do siebie, syczy coś z oburzeniem. — Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Widzą ją. To po nią przyszli.

— Dobra, spokojnie — rozlega się kobiecy głos. — Ja to załatwię.

Łapie za poręczę jej wózka. Uśmiecha jej się prosto w twarz. Ma na sobie sweter w norweskie wzory, sztruksowe bryczesy, skarpetki do kolan i sznurowane półbuty.

Inne dłonie łapią wózek za uchwyty i próbują odciągnąć go od wagonu. Ariel bije ich po rękach, próbuje je oderwać, ale pojawiają się kolejne.

— O, a to jest bardzo zły pomysł — mówi kobieta. Ma śpiewny, wznoszący akcent Australijki.

Porusza stopą, ręką, płaską dłonią — i od razu leży trzech najemników. Pasażerowie uciekają z krzykiem. Błyskają noże, a

ona uchyla się przed nimi jak ciecz, noże suną po peronie. Jeden najemnik leży na plecach i łapie oddech. Drugi gapi się na pustą dłoń. Jeszcze jeden zbiera się z gładkiego spieku, unosi dłoń do twarzy, spod palców cieknie krew.

— Pociąg jest gotowy do odjazdu. — Kobieta pośpiesznie wciska wózek w służę i w przedsiónek, służa niemal natychmiast się zamyka.

Pociąg rusza. Ariel ogląda się na ciała na platformie. Salutuje, podnosząc rękę do ronda kapelusza, kiedy Biegunowy Ekspres wjeżdża do tunelu.

Parkuje wózek. Kobieta ubrana jak dziewczyna ze wsi siada naprzeciwko niej, zdejmując rękawiczkę i podaje rękę.

— Mam nadzieję, że Ariel Corta. Dakota Kaur Mackenzie, do usług. Ghazi Wydziału Biocybernetyki.

Ariel ujmuje rękawiczkę, ściska ją. Skóra stawia opór i w jednej chwili twardnieje.

— W samą porę, idealnie — mówi.

— Mieliśmy człowieka w każdym pociągu.

Ariel się uśmiecha.

— We właściwym wagonie?

— Nie wszędzie jest podjazd dla wózków.

— Można by pomyśleć, że Trzech Dostojnych dało wam cynk.

— Nie, ale ostrzegali, że jesteś złośliwą mendą — mówi Dakota. — Wszyscy Cortowie są tacy?

— Mamy w rodzinie też wilka. On to by ci się spodobał.

Ostre jak noże snopy światła wpadają przez okna, gdy pociąg wyjeżdża z tunelu na Linie Biegunową. Przeskakuje na

zwrotnicach, po czym włączają się elektromagnesy, a wagony w przyptywie mocy unoszą się i przyspieszają do tysiąca dwustu kilometrów na godzinę. Środkiem ganiają się dzieciaki, studenci wracający do ośrodków naukowych Farside ze swoich seminariów na tej stronie śmieją się, pokrzykują, gadają. Robotnicy śpią, trzymając elastyki i hełmy w objęciach, jak niemowlęta.

— Muszę się napić — oświadcza Dakota Mackenzie. Zamawia Łobaczewskiego.

— Ło—kurwa—co? — pyta Ariel.

— Nowy wynalazek. Z naszej strony. Biały rum, krowia śmietanka, imbir, cynamon. Magistranci się tym nawalają.

— Wygląda jak szklanka pełna spermy — stwierdza Ariel, gdy steward przynosi oba drinki, Dakoty i jej.

— A to twoje, to co?

— Sodówka z estragonem, limonką i trawą cytrynową.

— Ja pierdzielę. Może i mój to sperma, ale twój to choroba weneryczna. A myślałam, że Cortowie piją.

— Nie ja.

— Daruj sobie tę nadgorliwość neofity. Co to było? Ten firmowy drink Cortów?

— Blue Moon. Rafa twierdził, że go wymyślił. A pewnie to był jakiś luniarz po szychcie w jakiejś spelunie w João de Deus. Mnie to nigdy nie smakowało. Za słodkie. Jak można krzywdzić niewinne martini czymś tak słodkim i paskudnym jak niebieskie curaçao.

Dakota unosi swojego Łobaczewskiego i odstawia go z powrotem. Oczy ma wytrzeszczone.

— Rusz się — szepcze.

Ariel bez namysłu i bez wahania odpycha się od stołu.

— Pociąg zwalnia — mówi Dakota.

Teraz Ariel wytrzeszcza oczy. Odwieczny zwyczaj — każdy może zatrzymać pociąg i wsiąść, gdziekolwiek na Księżycu. Dakota sięga po uchwyty wózka, Ariel odgania jej dłonie.

— Nie pchaj mnie.

Idą na tył pociągu, Ariel toczy się za Dakotą Mackenzie.

— Lucas ma VTO w kieszeni — mówi Ariel.

— A kto mówi, że to Lucas? Jesteśmy dwadzieścia minut od Hadleya. To ziemia Mackenziech. A Cortowie to najlepsi zakładnicy na świecie.

Kiedy przejeżdżają przez piąty wagon, inni pasażerowie też zauważają, że pociąg się zatrzymuje.

— A co, jeśli wsiądą na tył pociągu? — pyta Ariel.

— To będę się bić. Tym razem w pociągu. Ale tak nie będzie. Bo Mackenzie, Woroncowowie, LMA, księżycowe duszki i wróżki, wszystko to zawsze pcha się do pierwszego wagonu.

Dziesięć wagonów, otwierają się ostatnie hermetyczne drzwi, dwie kobiety wciskają się do śluzy. Za sobą mają ostatnią gródź, za nią tysiąc dwieście kilometrów magnetycznego toru i postindustrialnej ziemi jałowej. Transpolarny Ekspres zatrzymuje się na szarej pustyni Bagna Zgnilizny i osiada na torze.

Ariel przyciska się do małego okienka w zewnętrznych drzwiach śluzy. Ani śladu nowych pasażerów, tylko tory, skarpy, nasypy i labirynty z przeoranego spychaczami regolitu. Rozwalone maszyny, porzucone habitaty, przestarzałe stacje

przełącznikowe. Rozbite, zezłomowane, zepsute i roztrzaskane. Siedemdziesiąt lar kopania w poszukiwaniu cennych metali zadało Księżycowi głębokie rany. Rany po ciężkim sprzęcie mogą się nigdy nie zagoić.

Ariel czuje delikatne szarpnięcie pociągu znów lewitującego na magnesach. Transpolarny Ekspres jedzie dalej.

— Wsiadło pięciu — mówi Dakota. — Elastyki i hełmy.

— Skąd ty to wiesz?

— Siedzę w systemie pociągu. — Dakota krzywi się. — Cholera. Idą prosto na nasze miejsca.

— Za ile do nas dojdą?

— Tam trzy minuty. Potem jeszcze pięć na koniec pociągu, jeśli mamy szczęście. I jeśli są durni, jak typowi *jackaroos*.

— Dasz sobie z nimi radę? — pyta Ariel.

— Nie dojdzie do tego. I, kurwa, szkoda. Bardzo.

Do Ariel dociera, że przez cały czas bębniła palcami w poręcze wózka. Jeszcze raz wygląda przez iluminator. Pociąg wjechał na lustrzane pole wokół Hadleya. Złożone dłonie luster wyciągają się ku Słońcu, łapią je i składają w ofierze słonecznym piecom wielkiej piramidy. Czuje łagodne hamowanie.

— W każdej sekundzie mogą zorientować się, co robię — mówi Dakota.

— A co robisz?

— Rany, idą. Gdzie on, kurwa, jest? — Dakota odpycha Ariel, by wyrzeć na prawo.

Pociąg opada na tor. Zgrzyt metalu o metal, masywne szczęknięcie spinających się śluz. Coś tam jest i zadokowało do

pociągu, ściskają się uszczelki, uruchamiają się testy.

— Przyszli — odzywa się Ariel.

Trzy kobiety, dwóch mężczyzn. Idą w ciasnym szyku przez przejście. Krzyki i protesty pasażerów — ktoś wstaje i gwałtownie siada z powrotem pchnięty dłonią w pierś. Elastyki, hełmy na biodrach. Logo Mackenzie Metal na ramionach i udach. Nagłe zielone światło w przedsionku. Śłuża wyrównała ciśnienie. Otwierają się drzwi. Ariel zagląda do maleńkiej ciśnieniowej kabinki — zużyte urządzenia, zepsute sprzęty, odrapane obudowy, plamy na tapicerce.

— Ja w życiu...

— Zostaw worek.

— Ale on...

— Zostaw, kurwa, ten wózek!

Dakota łapie Ariel za kłapy i ciska ją za służę. Odwraca się, ciska wózkem w napastników, gdy drzwi wpuszczają ich do przedsionka, potem sama nurkuje za służę. Ta zamyka się z hukiem, syczą pompy. Zielone światełka zmieniają się w czerwone. Ariel podciąga się na wyściełaną kolistą ławę, lecz szarpnięcie natychmiast przewraca ją na bok. Seria kolejnych szarpnięć, przyśpieszenie. Jadą swobodnie.

— Zarekwirowałam starego łazika z naszego ośrodka metalurgicznego w Rowie Władimir — mówi Dakota. — Ale się tu, kurwa, nie śpieszył. Mało zapasu mieliśmy, za mało jak na mój gust.

— Mogłaś mi coś połamać — odpowiada Ariel. — A mój wózek...

— Chuj z wózkiem! — krzyczy Dakota. — Zbudujemy ci nogi. Farside to w końcu uniwersytet, my robimy nogi, ręce, wszystko. Jelita grube, jak ktoś chce. Dotarło?

W milczeniu, w kapsule ciśnieniowej tak małej, że dwie kobiety wypełniają ją jak nasiona kardamonu torebkę nasienną, Ariel przywołuje Beija Flora. Jest daleko od sieci, pośrodku lustrzanego labiryntu Hadleya, ale chowaniec łączy się z AI łazika i pokazuje jej świat poza pozbawioną okien bańką. W którą stronę spojrzy, wokół wznoszą się lustra. Zaczyna rozumieć teraz ziemskie słowo „las”, pomiędzy tymi słupami, ale przytłacza ją nie uczucie zamknięcia, lecz agorafobiczny lęk. Jest jak embrion w macicy pośrodku złowrogiej próżni, światła, promieniowania, maszynierii. Łazik lawiruje w lustrzanym labiryncie, z dala od linii kolejowej i innych ekip *jackaroos*. Kieruje się na północno—północny zachód. Nisko na horyzoncie płonie jaskrawa gwiazda Hadleya.

— Pod samym nosem Duncana — mówi Ariel. — Chyba skreśli cię z listy zaproszonych na ciasto księżycowe.

— Czy wy, Cortowie, ciągle musicie podważać moją lojalność? — mówi Dakota.

— Mackenzie zabili moich braci — odpowiada prosto z mostu Ariel. — A mnie odebrali nogi. — Wciska się głębiej w siedzenie. — Dokąd ty mnie wiesziesz?

— Roźdiestwienski. Prawie dwadzieścia godzin. Kupa czasu na uprawianie sztuki konwersacji. A jeśli konwersacja cię nie bawi, to może w wari zagrasz?

— Podaj mi te sikumajtki — mówi Ariel Corta.

Dakota Kaur Mackenzie odpina przyrząd od recyklera i odwraca wzrok, gdy Ariel zadziera spódnicę, by je naciągnąć. Powietrze jest gęste i przeoddychane, kwaśne od amoniakalnych wyziewów z wiekowego systemu filtrującego.

„W łaziku nie ma godności”, powiedziała Dakota za pierwszym razem, gdy podawała jej pisuar.

— W mojej sytuacji bardzo szybko się przyzwyczajasz do braku godności.

To było dziewiętnaście godzin temu.

Przez pierwszą godzinę grały w wari, ale Ariel ta gra nie wciągnęła, szybko straciła zainteresowanie i próbowała oszukiwać.

Bez oszukiwania to żadna frajda.

Drugą godzinę jadły. Przedłużały każdy kęs i każdą pochwałę smaku, jak tylko się dało. Trzecią godzinę spędziły na wydalaniu. Przez czwartą trochę pogadały, a potem zapadły w sen, przerywany podskakiwaniem łazika na zasypanym głazami dnie Morza Deszczów. Jeść, wydalać, spać. Rozmawiać. Jeść, wydalać, spać. Rozmawiać. Łazik forsuje krawędź i ostrożnie zaczyna zjeżdżać po północnym zboczu Roźdiestwińskiego.

Jeść, wydalać, spać. Z tego najlepsze to spać.

— Skąd ci się wzięło to prawo?

— Każde dziecko Cortów musi przejść przez taki rytuał — mówi Ariel. — Kiedy Ziemia jest w nowiu i jest ciemno. Tylko wtedy. Wychodzisz na powierzchnię. Sama, ale nie samotna. Bo jest głos. Mówi: „Wyjdź poza światła, dziecko. Wyjdź poza linie

bezpieczeństwa i zapasy powietrza. Nie bój się, jestem z tobą”. Idziesz, póki nie każe ci się zatrzymać. Wtedy mówi: „Popatrz w górę i powiedz mi, co widzisz”. Mówisz: „Widzę niebo, gwiazdy i ciemną Ziemię”. Głos: „Popatrz jeszcze raz i powiedz, co widzisz”. I prawidłowa, Cortowa odpowiedz to: „Widzę światła. Widzę miliardy światel na ciemnej Ziemi”. I głos mówi: „To my zapalamy te światła”. Wyszłam na tę powierzchnię, kiedy miałam dziesięć lat, w małym skafanderku, całym oklejonym kotkami i smokami. Głos powiedział, że mam iść. No to poszłam, wzbijałam butami pył, wsłuchiłam się we własny oddech. „Powiedz mi co widzisz”, nakazał głos. Ja powiedziałam, że nic nie widzę. Głos jeszcze raz: „Popatrz jeszcze raz i powiedz, co widzisz”. A ja powiedziałam, co widzę. „Martwe skały i szary regolit, światła, próżnię i pustkę. Ciszę i nudę. Nic nie widzę”. I to była zła odpowiedź. Niecortowa. Lucas nadal myśli, że zdradziłam rodzinę dla sławy i pieniędzy. Żeby towarzystwo mnie uwielbiało. Nie. Ja patrzyłam dokładnie na to samo, co on. Tylko że on widział światła, a ja martwą skałę. On widział cały świat, gdzie może się bawić, budować, tworzyć i niszczyć. Ja — żadnego dramatu, żadnego dowcipu, żadnego dialogu. Żadnych ludzi. Tak jak w tej twojej grze, gdzie tu jest frajda?

— Mówisz: dowcip, dramat, inni ludzie — mówi Dakota. — Ale nigdy nie byłaś w długoterminowym związku.

— Coś ty, ghazi, za dużo o mnie wiesz.

— Muszę znać swoich klientów.

— To teraz jestem klientką, tak? Trochę to pachnie zawłaszczaniem. Jaki uczelnia ma ze mną interes?

— Uniwersytet ma długą tradycję jako akademicki azyl.

— Udzieliliście go Lunie, a potem mnie, kiedy poprosiłam. I jeszcze leczycie Lucasinha. To niezła liczba Cortów na jednej półkuli. Ale to jest Księżyc, skarbie. Nikt tu niczego nie robi za nic. Pomyśleliście, że może dzięki temu będziecie mieć przełożenie na mojego brata?

— Uniwersytet zawsze był niezależny, i od dawnego LDC, i od LMA. Jesteśmy apolityczni.

— I Cortowie też się nie interesują polityką. Chyba że nagle zaczynają.

Dakota opada z powrotem na ławkę.

— Pół godziny do Roźdiestwienskigo — mówi.

Ariel pozwala sobie na nieznaczny sądowy uśmieszek. Utoczyła trochę krwi.

— A teraz zgodnie z kontraktem... — odzywa się. — Muszę poznać twoją historię, ghazi.

Dakota podciąga nogi i siada po turecku na wygiętej ławeczce.

— Studiowałam bionauki. Doktorat i habilitację zrobiłam z inżynierii ludzkiego genomu. Dobra byłam. Najlepsza w grupie. Najlepsza od lat. Skromność to cnota mazgajów. Przyjechałam na Tę Stronę, żeby zostać attache dyplomatycznym między Tygłem i Twé. Mackenzie od lat stabilizują swoją linię inżynierią genetyczną.

— Eugenika — mówi Ariel. — Tylko niebieskookie dzieci.

— Nie tylko to — odpowiada Dakota. — Pracowałam z AKA nad repozytorium ludzkiej bioróżnorodności. Na wypadek gdyby w przyszłości nastąpił jakiś genetyczny regres. To jest

możliwe. Prawdopodobne. Mamy niedużą populację, nawet jeśli liczyć migrację z Ziemi. A czynniki epigenetyczne pchają ją w stronę subspecjacji. Czyli nowej ludzkości. Ale praktycznie rzecz biorąc, tak, dzieci, niebieskookie blondynki. A kiedy sama postanowiłam mieć dziecko, stwierdziłam, że mam wadę genu MEN 1, zwiększającą ryzyko nowotworu tarczycy, przytarczyc, przysadki, nadnerczy, jelit i żołądka.

— O, bogowie — mówi Ariel. — Genetyku, skrój się sam.

— Ja to zrobiłam, z pomocą uczelni. Cena: dziesięć lat służby jako ghazi. Kiedy odsłużę, Melyssa już sama będzie na studiach. A wiesz, jaki był po drodze zwrot akcji?

— Każda dobra historia ma jakiś zwrot akcji.

— Kiedy się dowiedziałam o tym błędzie w genie MEN 1, najpierw poszłam do rodziny. W Tyglu siedzą ciągle pod tym promieniowaniem — porobili sobie różne techniki naprawiania uszkodzeń genetycznych. I okazało się, że Dakota Kaur jest za mało Mackenzie, żeby zasłużyć sobie na to leczenie. Oczy za bardzo piwne, skóra za ciemna. Dlatego kiedy twój brat czy jakiś inny Corta zaczyna, kurwa, kręcić nosem na moją lojalność, mam ochotę powiedzieć, żebyście ją sobie w dupę wsadzili. Tak głęboko, żeby widać było przy ziewaniu.

— Przepraszam — mówi Ariel. Kolejne trafienie, kolejna kropelka krwi. Z czasem pozna jej wszystkie słabości. — Długo jeszcze do zasięgu sieci w Roźdiestwienskim?

— Około siedmiu minut.

— Będę potrzebować uczelnianych uprawnień i szyfrowanego prywatnego serwera.

— Nie jestem twoją asystentką — odpowiada Dakota.

Ariel ciągnie, jakby għazi w ogóle się nie odezwała:

— Biblioteki prawniczej. Macie tam wydział prawa? I jak najszybciej muszę mieć spotkanie z Abeną Manu Asamoah. Osobiście. W zabezpieczonym miejscu. Zarezerwuj jej bilety i znajdź jakieś przyzwoite miejsce na nocleg. Zakładnicy, tacy jak ja, obejdą się byle slumsem, ale dla mojej kancelarii obowiązują jakieś standardy.

— Trzeba będzie mieć na to zgodę... — zaczyna Dakota, ale w głowie Ariel już pączkują kolejne pomysły, skrzące się jak pył w dusznej atmosferze łazika. Dawno nauczyła się rozkoszować widokiem tych jasnych rozbłysków, chwil czystego potencjału, zanim sięgnie po nie i ruchem dłoni poustawia w całkiem nowe, wspaniałe gwiazdozbiory. Właśnie zaczyna mieć plan.

— Wyjaśnię ci teraz to wszystko, jak małemu dziecku, w prostych i nietechnicznych słowach, żebyś zrozumiała, co chcę zrobić, bo jak zrozumiesz, na pewno zapewnisz mi wszelką możliwą pomoc. Próbuję zapewnić bezpieczeństwo Lucasinhowi Corcie, mojemu bratankowi. Chcę, żeby przeżył. Ma dziewiętnaście lat i w świetle prawa jest samodzielny, odkąd w wieku dwunastu lat wypowiedział Lucasowi kontrakty rodzicielskie i opiekuńcze. Sama wiem, sama te umowy robiłam. Ale ostatnio odniósł poważne obrażenia neurologiczne na skutek niedotlenienia, co znaczy, że nie jest zdolny działać we własnym interesie i ktoś musi zobowiązać się kontraktowo do opieki nad nim. Jego matką jest Amanda Sun — onai Lucas dwa lata temu zerwali swoją *nikah*. A to była jedna z rzeczy, jakie mi się udały. Jeśli Pałac Wiecznego Światła zdobędzie opiekę nad Lucasinem, Lucas będzie w praktyce ich

zakładnikiem. Jeśli Lucas zostanie tym opiekunem, będzie miał tylko jedno wyjście, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Wziąć go pod skrzydła własnej ochrony. To oznacza, że albo zabierze Lucasinha do Południka, co będzie oczywistym naruszeniem troski o jego dobrostan, albo przeniesie się z LMA na Farside. A to chyba was nie zachwyci, przy tej waszej legendarnej „niezależności”. Ja nie mogę przejąć tej opieki. Moje układy z Lucasem i tak były napięte, kiedy mu odmówiłam, powiedziałam, że nie będę go reprezentować w Sądzie Claviusa. Nie chcę, żeby w jego małej główce zaczęło wyświeślać się słowo „siostrobójstwo”. Zostaje więc tylko jedna kandydatka, która już udowodniła, że jest w stanie zadbać o Lucasinha. Zatem jest nietykalna. Ale muszę działać szybko. Muszę złożyć pisma do Sądu Claviusa w tym samym czasie, co Lucas i Amanda Sun. Potrzebna mi będzie pomoc. Pomożesz mi?

— Ty wredna babo — mówi Dakota Kaur Mackenzie. — Żeby uratować dzieciaka? Jak mogłabym odmówić?

— Jeszcze jedna sprawa.

— Coś mi wygląda, że zawsze jest jeszcze jedna sprawa?

— Te nogi, co mi obiecałaś? Nie da się czegoś zrobić jeszcze przed wyjazdem z Roźdiestwińskiego?

Luna, w swojej nowej ulubionej sukience, przyciska dłoń do szklanej ściany gondoli i wygląda na zewnątrz. Stary różowy ocieplacz do skafandra został wyrzucony, rozdrukowany i przetworzony. Okno odczytuje zamiary Luny i przyciemnia światła w środku, ale przez chwilę, zanim to zrobi, Luna widzi

swoje odbicie — pół twarzy unoszącej się nad zacienionymi wzgórzami i mniejszymi kraterami we wnętrzu Coriolisa. Przyciska czoło do szyby.

— Luna — upomina ją *madrinha* Elis.

Nie dowierza tej szybie, nie dowierza gondoli, nie ufa linie, która spuszcza ją z ośrodka medycznego wgrzyzonego w zachodnią krawędź krateru Coriolisa. Nie ufa niczemu z tej starożytnej i rozklekotanej uniwersyteckiej machinerii. I dokładnie dlatego Lunie się to wszystko podoba. Podobają jej się stare kopuły, habitaty wycięte w skałach i zboczach, zwariowane tramwaje, hiperpętle i kolejki linowe. Kojarzą jej się z tunelami, grotami i tajemnymi przejściami w Boa Vista.

— A skąd przyjedzie pociąg z *tiq* Ariel?

Równikowa Jedyńka to pas jaskrawego światła na szarym dnie krateru. Za zachodnią krawędzią Coriolisa stoi unieruchomiona cała flota spychaczy, podczas gdy uczelnia i Taiyang kłócą się w Sądzie Claviusa o rozbudowę pasa słonecznego na teren całej Drugiej Strony.

— Ze wschodu — odpowiada *madrinha* Elis. — Z drugiej strony.

Luna wie, że, by dostrzec pociąg VTO, trzeba być bardzo szybkim, nawet jeśli akurat zwalnia przed stacją Coriolis. Luna —chowaniec może jej podać dokładny czas, ale wystarczy mrugnąć albo kichnąć i się go przegapi.

Błysk światła. Tak szybki, że zapiera dech.

— Jest, jest! Widzę!

— Patrz, patrz, *anjinho*.

Niebo nad Coriolisem wypełniają ruchome światełka, niczym dziesiątki świątecznych lampionów, wszystkie z wdziękiem, bez pośpiechu, zbiegające się w jedno miejsce. Wagoniki kolejek z najrozmaitszych habitatów Coriolisa, wszystkie sunące po linach ku stacji. Stoi jakiś pociąg, ludzie śpieszą do niego. Wtem AI ogłasza wjazd na stację i wagon Luny przysysa się do śluzy.

Luna puszcza się pędem, gdy tylko otwierają się drzwi. *Madrinha* Elis krzyczy, ale już jest o cały korytarz i schody za nią. Jeden bieg schodów, drugi, trzeci, czwarty. Luna pokonuje je pojedynczymi, radosnymi susami. Lądując, już przygotowuje się do kolejnego. Wokół niej wydyma się nowa ukochana sukienka. Bez rękawów, z wyciętym dekoltem, wysoką talią i bufiastą spódnicą, w księżycowej szarości, tak lekka i miękka, że jest w dotyku jak popiół na skórze.

— *Wagon nr 12* — podpowiada Luna—chowaniec.

Pociąg jest masywnym kształtem za hartowanymi szybami. Na platformie kłębi się tłum ludzi — wsiadają, wysiadają, witają się. żegnają.

— Luna!— woła przez sieć *madrinha* Elis, lecz śluza już się otwiera, wychodzi Ghazi Dakota w wysokich kozakach, a za nią, *za nią*, dwa kroki, jest Ariel.

Ariel, która chodzi. Idzie ku niej, a ona pędzi ku swojej *tii*.

— Oj, *anjinho* — mówi, porywając ją na ręce jak dawniej, kiedy po długiej nieobecności wróciła do Boa Vista. — Oh meu amorzinho. Voce e bonita². — Luna tuli się do niej, Ariel podtrzymuje ją przedramieniem. — Ciężka się zrobiłaś. —

Cortowie mówią, co myślą. Ale nie stawia jej z powrotem na ziemi.

— Masz nowe nogi — mówi Luna, gdy Ariel maszeruje przez peron do czekającej *madrinhi* Elis.

— To są stare nogi. Ale w Roźdiestwienskim zrobili mi coś takiego, taki jakby mostek nad częściami kręgosłupa, które nie działają. To lepsze niż te straszne poprzednie, nie? Ale zaraz, bo ty masz nową twarz!

— Postaw mnie! Postaw! — upiera się Luna.

— Ale o co chodzi, *anjinho*? — pyta Ariel.

Luna ogląda się przez ramię.

— Nie chcę, żeby *madrinha* Elis widziała — szepcze. — Nachyl się, niby że chcesz mnie ucałować.

Rzuca konspiracyjne spojrzenie Dakocie, która jest dwa kroki za opiekunką. *Powiedz coś tylko, a cię zabiję, ghazi czy nie ghazi.*

— Bliżej — szepcze.

Buziak, dotykają się policzkami. Luna sięga do ukrytej kieszeni, którą wstawiła sobie do nowej ulubionej sukienki. Właśnie dlatego ta sukienka jest teraz ulubiona. W fałdach miękkiego, szarego materiału da się wszystko schować. Wyciąga nóż i wciska go w dłoń Ariel. Ta się sprzeciwia, Luna naciska.

— Weź go. Jest dla Corty, który jest odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił. Skoro walczysz o Lucasinha, będzie ci potrzebny.

— Ale, Luna, to nie ja walczę. Ty walczysz — odpowiada Ariel.

Kolejne trzy dni. To już wystarczy, żeby wytworzył się rytuał. Po parkourze Robson Corta idzie do bani, zmywa z siebie pot, odparowuje bóle, potem spotyka się z Haiderem na horchatę w El Gato Encantado. W Theophilusie jest piętnaście hot—shopów, ale Robson z rozmysłem zaprowadził Haidera do każdego z nich, wszędzie sprawdzili napoje (zimne i gorące), jedzenie (słone i słodkie), klientelę (młodą i starą) i ogólny klimat. Zapisywali punkty, robili zdjęcia, wkleili wszystko do arkusza kalkulacyjnego. To ważna decyzja. Wygląda na to, że obaj spędzą w Theophilusie dużo czasu, nie mogą więc popełnić błędu.

El Gato Encantado, na trzecim poziomie przy północnej śluzie wyjściowej, nie wygrał w kategorii jedzenia i napojów, za to był wysoko w kwestii klimatu — pełna zakamarków i zakątków dawna grotta wyryta w północnej ścianie krateru, po partyzancku uszczelniona, z mnóstwem miejsc, gdzie można się zaszyć i mieć święty spokój. Albo patrzeć, nie będąc widzianym. I był numerem jeden za klientelę. Są jedynymi dzieciakami.

— Nic więcej, prawda? — mówi Jianyu zza baru.

Robson radośnie potakuje. Theophilus ma trzy tysiące dwustu mieszkańców. Z tego stu dwunastu poniżej szesnastego roku życia, a trzynastoro z nich w grupie wiekowej Robsona — i wszyscy, co do jednego, go nie cierpią. Wiedział o tym od pierwszej chwili, kiedy wszedł na sesję siódmego roku

Seminarium Kwarcu Różowego i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Drażniły go szczere apele moderatorów o dobre przyjęcie, akceptację, asymilację. „Marnujecie tylko powietrze”, chciał powiedzieć. Tylko się na chwilę odwrócić, a te obszcymury z chowu wsobnego na Zachodnich Nektarach od razu się na mnie rzucą, żeby mnie zabić.

Dopadli go na Siódmej. Jeden wielki sukinsyn, dwójka przydupasów, chłopaki, którzy koniecznie muszą gdzieś należeć, parę dziewczyn, żeby wszystko nagrać i dać do sieci. Nowy. Obcy. Nietutejszy. Jak mu tam? *Corta*. Jedno ci powiemy: tu jesteś nikim. Byli duzi i silni, ale nie byli szybcy i sprytni. Zrobił jeden unik i zanim wielki sukinsyn Emil odzyskał równowagę, był dwa poziomy nad nimi. Zaczęli buczeć i krzyczeć, gdy przebiegł po kanale powietrznym dziesięć metrów nad ich głowami. Kiedy wrócił do mieszkania, bufor Dżokera był cały zapchany hejtem.

— *Mam ich wyciszyć?*

— A wycisz. Wszystkich.

I odtąd reguły były jasne. Nikt go nie zaczepiał, o ile dotrzymywał swojej części kontraktu społecznego i nie wychodził z roli outsidera.

Inne seminarium, te same zasady. Haider był w Dolerycie, drugim z seminariów w Theophilusie, a przyjechał tu z Hypatii razem z opiekunami, Maxem i Arjunem. Haider nie był znany, nie spadł ze szczytu miasta, więc nie miał reputacji do stracenia. A już na pewno nie był tak zwinny. Po sześciu dniach wciąż musiał zasmarowywać podkładem co gorsze siniaki. Zresztą seminarium Doleryt zawsze miało gorszą

reputację. Osiadł w roli klasowego pariasa, ale nigdy nie był wyrzutkiem. I stwierdził, że wśród sto dwunastki w Theophilusie musi być ktoś jeszcze. Trop był oczywisty. Wystarczyło pójść za hejtem. I tak znalazł Robsona Cortę.

Siedzą w swoim zakątku w El Gato Encantado, na trochę zbyt wysokiej ławie, popijają horchatę. Nie mogliby się bardziej od siebie różnić.

Robson jest śniady, żyłasty, pewny siebie; uwielbia sporty i ruch, ma zaufanie do własnego ciała i wie, na co je stać.

Haider jest blady, chudy, nieśmiały; uwielbia historie i muzykę, nie czuje się pewnie we własnym ciele i z tym, co się z nim dzieje.

Są nierozłączni.

Jianyu podprowadza do nich kobietę w usmarowanym pyłem stroju roboczym.

— Pokażcie jej ten numer. — Wskazuje na Robsona.

— Jaki numer?

— No, z kartami.

W Gato Encantado szybko się rozeszło, że dzieciak z długimi kudłami zna się na sztuczkach karcianych. Robson wyciąga z kieszeni szortów swoje pół talii, tasuje jedną ręką. Przeważnie to wystarczy, żeby zrobić wrażenie, ale Jianyu kiwa głową — więcej. Robson przystosował swoje numery do połówki talii. Drugą oddał przyjacielowi, w innym mieście; w mieście, które już nie istnieje, spopielone na żużel w pyle Oceanu Burz. W innym życiu, w życiu, które już nie istnieje, bo noże rozniosły je na strzępy.

Zrobi prosty numer oparty na grawitacji. Szybki i zawsze zaskakuje. Pokazać talię, przełożyć, zapamiętać kartę — kartę mocy — parę razy przetasować. Przesunąć kartę mocy na spód talii. Wyrównać. Wsuwa kartę mocy pod ostatnią kartę, rozkłada talię w wachlarzyk. Grawitacja zapewni, że ta karta zawsze będzie na dnie.

Wystarczają na to dwie, może trzy sekundy. Najważniejsza część sztuczki już skończona. Reszta to sprzedaż, reklama — cały teatr, paplanina, zaciemnianie. Sztuczka w sztuczce w sztuczce nigdy nie jest tam, gdzie się jej spodziewa jelen.

— Dobrze, a teraz proszę dotknąć karty. Dowolnej.

Półtalia Robsona jest brudna, wyświechtana na rogach i skrzywiona w stronę arystokracji — dużo figur w karach i kierach. Darius Mackenzie, gdziekolwiek jest, cokolwiek robi, ma blotki w treflach.

— Teraz pokażę pani tę kartę. — Cały czas nawijając, Robson przekłada talię i wyrównuje dwie połówki, wsuwając kartę mocy pod wybraną kartę. Pokazuje luniarce pół talii, z kartą mocy na dole. — Teraz proszę patrzeć na tę kartę przez pięć sekund. Tyle trzeba, żeby utrwaliła się w oku. Bo ja ją potem odczytam z pani siatkówki. Dobrze?

Kobieta może i jest zahartowaną przez próżnię i promieniowanie weteranką, ale kiwa głową, niepewna, nerwowa. To wszystko część numeru — reklama. Robson znów składa talię i patrzy jej w oczy. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

— Widzę królową karo — mówi.

Bo to oczywiście była królowa karo.

— Niezłe, co? — mówi Jianyu. — Prawda, że niezłe?

— Jak ty to robisz? — pyta luniarka.

— Pierwsza zasada magii — mówi Haider. — Magika nigdy się o to nie pyta.

Luniarka stawia im dwie horchaty i ciastka. Dwaj przyjaciele jedzą i piją, mając chudymi, pajęczymi nogami.

SIEDEM

Alexia nigdy wcześniej nie widziała zabbalina. Ale nagle pod drzwiami jej mieszkania stoi cały ich oddział, a młoda kobieta w workowatych szortach khaki, ciężkich buciorach i topie bez rękawów powstrzymuje Alexię uniesioną ręką.

— Nie może pani tam wejść.

— Ale ja tu mieszkam.

Zabbalinka ma wielką szopę dredów pełną wstążek i koralików, zebraną do tyłu i spiętą klamerką. Cała jest obwieszona bransoletami, koralami, wszelkimi możliwymi amuletami. Jej chowaniec to wysadzana klejnotami czaszka.

— To niebezpieczne, *amiga*. Mieliśmy tu szkodniki.

— Jakie szkodniki? — pyta Alexia.

Wtedy współpracownik tamtej — wysoki po księżycowemu młody mężczyzna w podobnie byle jakich ciuchach — schodzi po schodkach z jej balkonu, holując za sobą mały elektryczny wózek. Jego chowaniec to czaszka z długimi szpikulcami.

— Już czysto.

— Coście, kurwa, robili w moim mieszkaniu...? — zaczyna Alexia.

I nagle widzi, co leży w małym wózku. Ptaki, setki ptaków, sztywnych jak z drewna, jaskrawe złote i zielone pióra, tu i ówdzie kleks czerwieni.

— Zabiliście papużki! — krzyczy Alexia.

Grupka czworga zabbalinów robi szczerze zakłopotane miny.

— Takie zasady, *senhora* — mówi ten z wózczykiem.

— Niemonitorowana konsumpcja zasobów — dodaje ta z dredami.

— Jest teraz akcja, żeby to zredukować — mówi trzeci, bardzo ciemnoskóry chłopak trzeciego pokolenia, ze skaryfikacjami na ramionach i pod oczyma. Jego chowaniec — ognista czaszka.

Widocznie zabbalini takie lubią.

— Jakby się pani mogła cofnąć — mówi ostatni zabbalin, rudy, piegowaty w późnym średnim wieku, z włosami upstrzonymi siwą szczecinę od promieniowania i czarnymi kropkami wczesnego czerniaka w piegach. Otwiera tytanową skrzynkę. W powietrzu unosi się mgiełka, zaraz gęstnieje. Dym wije mu się wokół głowy, po czym wlewa się do skrzynki. — Wszyscy mają kody odpornościowe, ale może się pani zdarzyć jakaś rzadka awaria softu. Człowieka one nie dadzą rady zabić, ale boli jak cholera. — Zamyka wieko nad kipiącą, buzującą kałużą płynnej czerni. To nie dym. To boty. Pozabijali papużki tysiącami dronów wielkości owada.

— Miłego dnia, *senhora* — mówi dredziara.

I zabbalini wesolutko oddalają się ulicą.

— Ptaszki! — krzyczy poprzez maleńkie pokoiki. — Taś, taś! Ptaszki! Znajduje w lodówce jakieś psujące się owoce i

wystawia je na balkon.

Siada sobie z herbatą i obserwuje przejrzałą gujawę. Żadnego błysku kolorów, mignięcia skrzydeł pomiędzy filarami, żadnego jazgotu w powietrzu.

— Skurwysyny — rzuca.

Bierze od zabbalinów jedną rzecz — ich podejście do mody. Drukarka wypływa wszystko do pojemnika. Jakie to wygodne po tych upierdliwych kostiumach z lat czterdziestych XX w., które musi nosić jako Żelazna Ręka. Szorty, ciężkie buty, top, nie za obcisły. Mniej więcej to samo nosiła w domu, kiedy była Królową Rur.

To także dobre przebranie.

— *LMA wydała ostrzeżenie, żeby nie wjeżdzać powyżej siedemdziesiątego poziomu* — mówi Maninho, gdy czekają, aż pasażerowie wysiądą z windy.

Ludzie oglądają się na nią, gdy wsiada. To ten strój zabbalinów. Dzisiaj się gapicie, a za tydzień sami będziecie się tak ubierać.

Kto wie, skąd się takie rzeczy biorą w modzie?

— *Zagrożenie dla osobistego bezpieczeństwa.*

Poziom 42. Pasażerowie wysiadają, mniej wsiada. Drzwi się zamykają.

— *Sytuacja na Bairro Alto ostatnio się pogorszyła. Dochodzi do masowych kradzieży wody i sieci oraz ataków hackerskich na publiczne drukarki.*

Nie wie, co się stało z duszącym się człowiekiem, który w tej samej windzie błagał ją kiedyś o oddech, ale widuje go w snach — drzwi zamykają się, kiedy wyciąga do niej rękę, mówiąc na bezdechu słowa, których ona nie rozumie.

— *Przepraszam, jestem nowa. Nie wiem, jak się to robi* — powiedziała wtedy.

— *Szkoda dla was naszego powietrza* — wysapał on.

Nie wiedziała wtedy, co to znaczy. Teraz trzeba się dowiedzieć.

Poziom 65.

— *Alexia, stanowczo odradzam* — mówi Maninho. — Mogę ci wziąć prywatną ochronę.

Powyżej poziomu 65. jest już jedyną pasażerką.

Poziom 75. Buty stukają w kratowy pokład. Ten dźwięk przykuwa jej uwagę. Patrzy w dół. Wychowała się na dachach, balkonach, galeryjkach, ale i tak wstrzymuje oddech, widząc tę przepaść pod podszwami butów. Pół kilometra pustki do poprzedniego piętra, wypełnione tylko paroma kablami energetycznymi. Wyciąga rękę, żeby się podeprzeć. Nie ma o co.

Nie patrz w dół. Nigdy nie patrz w dół.

Dociera do schodków wijących się wokół bulgocącej rury wodociągowej — znajomy śpiew sunącej cieczy pod dłonią, gdy opiera ją na rurze — wchodzi trzy piętra w górę na mały tarasik widokowy.

Rozejrzyj się.

Widok nie zapiera tchu — to jest westchnienie zachwytu.

Takiego Południka nigdy dotąd nie widziała. Plac Południka to gigantyczny bęben, poprzecinany we wszystkie strony

strunami mostków, kładek, lin kolejek. Po zakrzywionych ścianach bębna pełzną w górę i w dół windy, a nad wszystkimi góruje pętla księżycowa. Patrzy, jak oświetlona kapsuła z pasażerami wznosi się z naziemnej stacji ku śluzie. Za tą pierwszą śluzą jest dwieście metrów ochronnej skały i druga śluza, na wyrzutnię nad Południkiem. Jest głęboko pod ziemią.

Trzy główne prospekty, każdy będący osią jednej z kwadr Południka, odchodzą promieniście od bębna. Nie widzi w nich bulwarów, lecz kaniony, głębsze niż jakiegokolwiek na Ziemi. Perspektywy pełne światła, mgliste od pyłu. Na wprost ma prospekt Kondiakowej, ale widzi też w głębi odchodzące od bębna cztery inne prospekty Kwadry Oriona. Zasadzone na nich drzewa, wyższe od wszystkiego, co rośnie w ziemskich lasach deszczowych, są jak drobiny pyłku. Kwadra Antaresa po prawej już ciemnieje, daleko po lewej świt wypełnia Kwadrę Wodnika. Alexia po raz pierwszy docenia projekt Południka — trzy przecinające się blisko środka pięcioramienne gwiazdy. Te kaniony to jeden z cudów Układu Słonecznego.

Tu, pod samym dachem świata, złudzenie światła słonecznego się psuje. Na dole, na swoim balkonie, nawet na wysokości biura LMA, Alexia mogła wierzyć, że jest pod niebem, czasem pogodnym, a czasem zachmurzonym. Słyszała, że nawet od czasu do czasu pada, żeby oczyścić powietrze z pyłu. Chciałaby to zobaczyć. To musi być prawdziwy cud inżynierii sanitarnej. Widzi stąd złącza pomiędzy panelami świetlnymi, kratkę komórek wyświetlających niebo. Ten świat ma dach.

Patrząc w górę i oceniając oczy dłonią, widzi rudery. Sześciiany ze styropianu oparte o kanał powietrzny. Namioty z blach i kradzionych opakowań, rozpięte na płataninie linek. Budki z plastikowych palet pieczołowicie poutykanych w przerwy pomiędzy infrastrukturą. Namioty, szopy, budy. Im dłużej patrzy, tym lepiej widzi Bairro Alto — każdy zakamarek górnego miasta jest wypełniony zaimprovizowanymi domami. Kojarzą jej się z gniazdami owadów lub kolibrów, oplatającymi kontury ludzkiego świata.

Myśli o fawelach dawnego Rio. Cidade de Deus, Mangueira, Complexo do Alemão, Rocinha. Recepty na podstawową ludzką potrzebę: schronienia.

Teraz w Rio wszędzie były fawełe.

Widząc Południk w całości, wreszcie rozumie, że stanowi o wiele więcej niż tylko przestrzeń zamkniętą w środku. Ulice i budynki mieszkalne wgryzają się głęboko w skałę, ale infrastruktura miasta jeszcze głębiej — kanały i chodniki, tunele i przepusty kablowe siedzą w ciemnym kamieniu. Korzenie — stacje energetyczne, baterie fotowoltaiczne, urządzenia łączności, sięgają serki kilometrów wokół. Widzi, że Południk to nie miasto — to maszyna. Maszyna do życia, z ludźmi ganiającymi pomiędzy jej częściami.

Wchodzi jeszcze trochę pod górę. Dwa poziomy wyżej i każda rura, każdy dźwigar i filar jest obwieszony czymś, co wygląda na srebrzystą pajęczynę. Dotyka jednej z nich i cofa mokrą dłoń. Plastikowa siateczka lśni od rosy. Pułapki kondensacyjne. Królowa Rur docenia sprytny pomysł. Nie wiedziała, że Południk ma warstwę chmur.

— Niemonitorowana konsumpcja zasobów — mówi.

— *Tak, wyjątkowo rażąca* — dopowiada Maninho.

Alexia w dwie minuty po włożeniu soczewki do oka i podłączeniu się do sieci nauczyła się, że chowańce nie znają ironii.

— Maninho, teraz cię wyłączę — przerywa Alexia.

Zobaczyła twarz, twarz kobiety. Krótkie, niechętne spojrzenie. Potem zniknęła w cieniach między urządzeniami. Mogła ją obserwować, odkąd wyszła z windy. Mogą być ich całe dziesiątki, obserwować ją z cieni. I jeszcze więcej na belkach, schodach, w różnych zakamarkach.

To nie jest jej miasto.

Ruch. Tam. Coś przebiegło górą schodów.

Alexia odwraca się, żeby wrócić do windy. Przed windą stoją ludzie. Odwraca się. Ludzie na górze schodów też się odwracają.

Kobiety i mężczyźni w każdym wieku, trochę dzieci. Ubrani w mieszaninę mód — obecne lata czterdzieste XX wieku, wychodzące z mody lata osiemdziesiąte, gdzieś bluzka z lat dwudziestych XXI wieku, albo legginsy i bluza z kapturem z pięćdziesiątych. Jaka akurat moda panowała, kiedy musieli wynieść się na Bairro Alto. Nikt nie ma chowańca.

— Niemonitorowana konsumpcja zasobów — mówi dziecięcy głos.

Podchodzą bliżej.

Alexia w życiu się tak nie bała, nawet kiedy Gularte napadli na Caio, wypowiadając wojnę Królowej Rur. I... widzi wyjście.

— Jestem inżynierem wodociągowym! — krzyczy. — Mogę wam pokazać, jak wycisnąć z tych łapaczy dwadzieścia procent więcej! I jak wodę rozprowadzać i oczyszczać!

— Nie wiem, jak wy, koledzy, ale ja bym to chętnie zobaczył — dobiega z góry głos z australijskim akcentem. Nad barierką dwa poziomy wyżej pojawia się głowa. — Jeśli ci się to uda, będziesz miała naszą dozgonną wdzięczność.

Młody, biały mężczyzna, ciemnooki, wydatne kości policzkowe, czarne, kręcone włosy. Przeskakuje przez poręcz, opada pięć metrów i ląduje w eleganckiej pozie przed Alexią. Ma spodnie z zaszewkami podwinięte wysoko nad kostkami, białą koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci. Nie ma skarpetek. Alexia odgaduje kontury pochew na noże pod wysokim stanem spodni.

— Dobra odpowiedź. Uratowała ci życie. — Siada na stopniu i patrzy na nią. Zauważa, że brakuje mu czubka małego palca u lewej dłoni. — Podoba mi się, jak się ubierasz. Moi koledzy tutaj lubią oceniać po samym ubraniu, od razu, ale ja patrzę głębiej. Na wierzchu — zabbalinka. Moi koledzy nie lubią zabbalinów. Ja też nie lubię. Ale nie masz ich chowańca. W ogóle nie masz chowańca. To interesujące. Poza tym, sądząc po sylwetce, jesteś zieluniaczką. A zabbalini zieluniaków nie zatrudniają. Dawno tu jesteś, zieluniaczko? Dwie, trzy luny?

— Dwie luny.

— Dwie luny. To znaczy LMA. Widzisz... moi przyjaciele nie lubią zabbalinów, ale LMA to naprawdę nienawidzą. Tylko że przysłaś tu bez ochrony. To albo megagłupie albo

megainteresujące. — Kładzie dłonie na kolanach. — Pozwolę ci się potargować o swoje życie.

Ma ją. Nie ma nic do obrony. Jest jednym i drugim. Może ją uratować tylko całkowita głupota albo całkowita szczerłość.

— Pracuję w LMA — przyznaje. Pomruk z zewnętrznego kręgu. Australijczyk unosi palec, zapada cisza. — Jechałam windą do pracy i zobaczyłam człowieka, który nie może oddychać. Prosił o pomoc, błagał o oddech, o doładowanie jego konta. Nie wiedziałam, jak to zrobić. Poszłam sobie. — Kolejny pomruk niezadowolenia. — A dzisiaj zobaczyłam, jak zabbalini zabijają wszystkie papużki na mojej ulicy. Jeden z nich powiedział: „Niemonitorowana konsumpcja zasobów”. Chciałam wiedzieć, co się dzieje. Więc wjechałam windą na poziom, na który jechał człowiek, który nie mógł oddychać.

— I co ty tu chciałaś zrobić, LMA? — pyta Australijczyk.

— Zobaczyć. Spróbować zrozumieć. Coś zaradzić, jeśli tu się dzieje to, co myślę.

— A co myślisz, że się tu dzieje?

— Myślę, że LMA systematycznie zamyka nierokujące konta.

— Zamyka?

— Likwiduje nierokujących ekonomicznie.

Pomruk złości.

— Likwiduje?

— Zabija?

— Nierokujących? Ekonomicznie?

— Ludzi. Was.

— Interesująca teoria — mówi Australijczyk. — Oraz prawdziwa.

— To znaczy...

— Nie tylko w Południku. Wszędzie. W Królowej, Świętej Oldze. Na całej tej stronie. Nie płacisz? To nie oddychasz. Wcześniej zabbalini dawali nam spokój, teraz niszczą nam namioty, rozwalają pułapki na wodę, rozbijają zbiorniki, wydzierają nam, kurwa, ostatni oddech z płuc.

Australijczyk unosi rękę, gestem nakazuje Bairristom siadać. Alexia stoi — petentka lub aktorka.

— Mówiłaś, LMA, że możesz nam pomóc przy tej wodzie. Naprawdę możesz?

— Mówiłam. Mogę.

— Następne pytanie: ale czy chcesz?

— A mam wybór?

— Jak ty się nazywasz, LMA?

— Lê. — Alexia niechętnie kłamie, ale jeszcze mniej chętnie wyjawia zbyt dużo prawdy.

— Lê. Brzmi jak wymyślone imię — mówi Australijczyk — Jak *apelido*. A na mnie mówią Jack od Noża.

Jest nieufność, ale jest i czas na nieuzasadniony niczym ruch.

— Ja pierdzielę, naprawdę? To śmieszne — rzuca Alexia.

Bairristas nabierają powietrza. Australijczyk wbija w Alexię spojrzenie oczu z czarnego obsydianu. Po czym się śmieje. Długo i namiętnie. Bairristas śmieją się w ślad za nim. Alexia zauważa, że Australijec ma złoty ząb.

— Może to i śmieszne, ale dobrze robi na moje gigantyczne ego. Jeśli to coś zmienia, nie ja to sobie wymyśliłem. A z której Brazylii ty jesteś, Lê?

— *Carioca* — odpowiada Alexia.

— Ja jestem po przejściach z *cariocas*. Ale tu mam ich pełno, tu są Brazylijczycy, Ghańczycy, Nigeryjczycy, Malaje, Enzeci, Niemcy, Nepalczycy, Arabowie, wszystkie nacje, jakie tylko zechcesz. No dobra. Mamy Lê — inżynier wodociągowy, a potem urzędnik LMA. To niezła kariera.

— Zanim doszłam do czegoś na Księżycu, byłam Królową Rur na Barra de Tijuca — mówi Alexia i po tych słowach, wie, że już ich ma.

Babcia Senona umiała połączyć ludzi opowieścią — uspokoić dzieci, wyciszyć kłótnię, wypełnić godzinę przy świecach w oczekiwaniu na włączenie prądu. Opowieści to mocny narkotyk. Alexii już nie przeszkadza, że tylko ona jedna stoi. Wcześniej była oskarżoną. Teraz jest narratorką.

Zabiera publiczność do innego świata, do świata z otwartym niebem, na spotkanie z jej rodziną w wieżowcu nad oceanem. Przedstawia rodzinę, trzy pokolenia wstecz. Podaje imiona, przezwiska. Wciąż unika nazwiska Corta. Opowiada, jak dziadek Luis zabrał ją na dach, kazał popatrzeć w ciemne plamy na Księżycu. „Zmruż oczy, dziecinko”, mówił. „Patrz uważnie. Co widzisz?”.

„Światła!”.

Opowiada, jak znalazła przeciek w swoim pokoju, w narożniku okna, i zapolowała na te krople, najpierw fiolką, potem puszką, potem miską, aż stwierdziła, że na dłuższą metę to nie jest rozwiązanie, i zbudowała mały wodociąg ze słomek do napojów, prowadzący tę wodę do łazienki. Opowiada, jak doszła, że jeśli źródło jest wyżej niż wylot, da się wodę

zmusić, żeby popłynęła trochę pod górę, jak siedziała i patrzyła, jak krople się zbierają, skapują do lejka i płyną labiryntem z kolorowych słomek.

„Czemu my nie mamy dobrej wody?” — pytała matkę.

„Tacy ludzie jak my nie dostają dobrej wody”.

Rok przed śmiercią dziadek Luis zabrał ją jeszcze raz na dach i powiedział: „Dam ci twój spadek już teraz, tylko mnie przekonaj, dlaczego powinnaś go dostać”.

„Chcę być inżynierem wodociągowym”, powiedziała wtedy Alexia.

Dziadek Luis dał jej więcej, niż na nią przypadalo — po części spadku Mariny i nawet małego Caio. „Wykorzystaj to”.

Wieczorami studiowała inżynierię wodociągową i sanitarną na CEFET. W dzień uczyła się u Naimer Fonseki, hydrauliczki pracującej w zakładzie naprawczym na Barra, zatrudniającej tylko kobiety. Dzień po skończeniu studiów ukradła dwieście metrów rur z placu budowy grozonego osiedla na Marapendi i pociągnęła instalację nie tylko dla swojego mieszkania, ale też dla wszystkich górnych pięter Ocean Tower.

— Każdy miał własne zaopatrzenie — mówi. — Każdy był zdany tylko na siebie. A ja zrobiłam system, który działał dla wszystkich. I tak było lepiej.

Mądrość i śmiałe akcje — bo woda nadaje się do czegoś tylko, jeśli jest czysta; kradzież wody bez wiedzy i zgody FIAM; promowanie swojej marki na całym Barra, pod nosem konkurencji, która pocięłaby jej twarz. Kiedy razem z nią są dumni, że pierwszy raz podsłuchała, że ktoś nazywa ją Królową Rur, siedzi już na stopniu poniżej Jacka.

— Fajne małe królestwo — mówi on. — Ale stamtąd tutaj jeszcze daleka droga.

— Inna podobna firma chciała mi coś dać do zrozumienia. Pobili mojego brata Caio. Zostawili go w ciężkim stanie, prawdopodobnie na zawsze.

— I co zrobiłaś? — chrypi chuda, szara jak pył kobieta.

— Odpłaciłam im — mówi Alexia. — Trzy razy.

Pomruk Alexia słyszy w nim aprobatę.

— Caio potrzebuje stałej opieki, rehabilitacji. Na Barra się takich pieniędzy nie zarobi. Zrobiłam to samo, co Cortowie. Przyjechałam na Księżyc.

Kolejny pomruk, tym razem złowieszczy, na pograniczu warknięcia.

— Tutaj to nazwisko ma swoją historię — mówi Jack.

— Wiem. Ale w Rio, w całej Brazylii, wszyscy je znają i wiedzą, co oni zrobili.

Kiwnięcia głową wśród publiczności. Alexia rozgrywa to ostrożnie — otwarcie słabszą kartą, przywołaniem nazwiska Corta, w nadziei, że przekona publiczność, że nie ma mocniejszej — własnego nazwiska. Królowa Rur za asa Cortowego. Ale jeszcze nie jest bezpieczna. Jeszcze jedną kartę musi zagrać.

— Na powietrzu i sieci się nie znam, ale wodociąg mogę wam zbudować.

Teraz pomruk nieufności.

— Jasne, i tu wrócisz. — Nastolatek z nastroszonymi czarnymi włosami mówi to, co myślą wszyscy.

Ze względu na tego duszącego się człowieka w windzie, ze względu na to, do czego zmusił mnie Lucas w cyklerze, ze względu na Caio i cenę zemsty. Ze względu na okropne, okropne rzeczy, które zrobiłam. Ale mówi tylko:

— Słowo.

— Dajesz słowo? — pyta Jack od Noża.

— Daję słowo.

— Towarzysze, mamy kontrakt! — woła Australijczyk.

Pierwszego dnia Królowa Rur formuje ekipy. Dzieci idą do Zbieraczy. Są szybkie, zwinne, potrafią się wspinać i ukrywać. Daje im listy rzeczy do ukradzenia i rozsyła po mieście.

— Cztery ekipy inżynieryjne — oznajmia potem.

Usadza swoich ludzi na jedynym większym i otwartym miejscu na Bairro Alto — delikatnie zakrzywionej pokrywie wymiennika gazowego wielkości biurowca.

— Rosa, Zbiornik, Rury, UV.

— A ja? — pyta Jack. Siedzi po turecku na ziemi, spodnie podwinęte do połowy łydek, koszula z szerokim kołnierzykiem rozchełstana do pasa. Oddarł z niej całe rękawy. Alexii podoba się, co ci Australijcy robią z ciuchami.

— Ochrona — mówi Alexia. Jack uśmiecha się. Skórę na piersi, na ramionach, ma całą w bliznach, jedna na drugiej na trzeciej. — Teraz chodźcie tutaj.

Wyciąga z kieszeni zabbalińskich szortów próżniowy mazak i rysuje na białej izolacji wymiennika. Na Bairro Alto nie ma chowańców, nie ma sieci, nie ma wirtualnych prezentacji i

rysunków technicznych. Nie ma papieru. Na stu metrach kwadratowych rozrysowuje cały plan zaopatrzenia Górnego Placu w wodę. Jest prosty, choć misterny, solidny, ale łatwy w utrzymaniu, pełen rezerw, ale w pełni modułowy.

— Nawet jeden dzień nie minie i zabbalini wszystko rozwałą — mówi facet z Grupy Zbiornik.

— Obronimy — odpowiada Jack. — Grupa Ochrona to wszyscy.

Z łowów wracają dzieciaki. Yaya, ten z nastroszoną czupryną, który kwestionował słowo Alexii, niesie pod pachą dziesięć pięciometrowych plastikowych rur, a oczy mu błyszczą.

— Był bot — mówi zdyszany.

Na Bairro Alto wszystkim brakuje tchu, wszyscy się zacinają przy mówieniu, wszyscy przystają dla nabrania oddechu.

— Nic ci nie zrobił? — pyta Alexia.

Chłopak szczyrzy zęby i pokazuje trofeum z walki — garść hydraulicznych przewodów i siłowników.

— Uważajcie na te sprzęty — mówi Jack. — Nie jesteście szkoleni do walki z nimi.

Drugiego dnia ekipy idą przygotować miejsce. Nieliczne stałe kamery i boty szpiegowskie, które przetrwały, załatwiają dzieci z procami i kulkami z łożysk. Alexia dyryguje ekipami — nie, tu nie może być tych rur, ten zbiornik wyrównawczy wyżej, sterylizatory UV muszą być osłonięte. Jeśli podepniecie się tutaj do wodociągu, wysadzicie pół Bairro Alto. Trzeba tutaj. Tu siatki filtracyjne, w tym zbiorniku. Jak to nie ma siatek? Zbieracze?

— Kręcisz mnie, kiedy tak rozkazujeś — rzuca Jack.

— Ty też możesz się na coś przydać — mówi Alexia, rzucając mu pistolet z klejeni ukradziony nieuważnemu serwisantowi w herbaciarni na poziomie pięćdziesiątym.

Trzeciego dnia ruszają wody.

— Łapacze rosy tutaj — rozkazuje Alexia. — Za wiele nie nałapiecie, ale spod wymiennika stale wieje zimnym powietrzem, czyli jakieś osiemdziesiąt procent pary z powietrza da się wychwycić.

Lusterka heliografują po całym dachu Południka, na dany sygnał ekipa Rosa otwiera zawory pod dwudziestoma zbiornikami. I woda płynie. Dzieciaki biegną razem z nią — parkour śladem rur wzdłuż kanałów, w dół schodami, wokół huczących wymienników ciepła, przez labirynty elektrycznych kabli. Z rury do rury, z kolanka w kolanko. „Sprawdzić przecieki”, takie było polecenie Królowej Rur. „Nie dokręcać za mocno, bo zerwiecie gwint”.

Reszta ludzi zbiera się wokół trzech zbiorników końcowych rozstawionych w równych odstępach wokół placu. Najpierw drżenie, potem odległy rumor, bulgot, kaszlnięcie, plunięcie, tryśnięcie. Płynie woda.

Jack zanurza złożone dłonie w wirującej wodzie, unosi je do ust. Próbuje, potem podsuwa je Alexii. Pije mu z rąk.

— Dobra — mówi. Ciąg dalszy, „ale mogłaby być lepsza”, ginie w ogólnym aplauzie.

Nie może oderwać wzroku od jego oczu.

Przypomina sobie coś, unosi rękę.

— Zakręćcie to, po co ma się marnować.

W nocy zastanawia się, czy nie kupić sobie czasu na satelicie i nie zadzwonić na Ziemię do Caio, do matki, do domu. Łamie się jednak — nie wie, która tam jest godzina, zadzwoni tak zniecierpliwiona i wszystkich przerazi. Myślami z Bairra przewędrowuje do Nortona, pięknego, wielkiego, zazdrosnego, słodkiego Nortona. Nortona, który golił dla niej swojego grubego fiuta i jaja, tak że były gładkie jak skóra niemowlęcia. Na pewno kogoś sobie znalazł. Jest zbyt przystojny. Ale nie. Na pewno będzie czekał, honor mu każe, każe rozróżniać między wiernością i niewiernością.

A ona jest niewierna, bo tak naprawdę wcale nie myśli o Nortonie.

Bo to już, kurwa, trochę za długo.

Czwartego dnia zachowuje się nerwowo w roli Żelaznej Ręki, do tego stopnia, że Lucas to zauważa i rzuca parę uwag. Nadchodzi wielka prezentacja dla całego Pawilonu. Będą Ziemianie i Smoki. Musi być dopięta na ostatni guzik. Kłamie, że ma okres, i zaraz po pracy wskakuje do windy jadącej na górę miasta. Bo tam jest Jack. Serce szybuje jej w pustkę, jak jeden z tych skrzydlatych fruwaczy, co krążą i błyskają w przestrzeni Placu Południka. Nie uśmiecha się. Nikt się nie uśmiecha.

— Co się stało? — Przepatruje twarze. Kogoś brakuje. Gdzieś jest dziura. Przypomina sobie. — Gdzie Yaya?

Grupa Zbiornik znalazła go przy rozdzielni elektrycznej w Kwadrze Antaresa. Krew ciekła przez siatkę. Na trzecim poziomie. Siedział oparty plecami o ścianę. Na kolanach trzymał wnętrzności. Rozcięto go od krocza po mostek.

Tylko maszyna tak zabija, zupełnie nie patrząc na ludzką godność.

Grupa Zbiornik wycofała się, gdy górne miasto już rozbrzmiewało tupotem buciorów zabbalinów.

— Straszny ryzykant się z niego, kurwa, zrobił — mówi Jack.

Alexia kładzie mu dłoń na ramieniu, a on przykrywa ją swoją.

— Ruszać się! — woła. — Mamy rynnę do zainstalowania. Ale uważać na siebie, towarzysze.

Wszystko musi być gotowe, zamontowane i przetestowane, bo piątego dnia nadejdą deszcze.

Alexia błaga windę — szybciej, szybciej! One jednak suną ze stałą szybkością, a ta do tego zatrzymuje się na oko na każdym poziomie. Sfrustrowana przebiera palcami. Deszcz jest zaplanowany na godzinę trzynastą czasu Oriona, a ona musi być na górze, zanim spadnie pierwsza kropla.

Dojeżdża na samą górę — poziom 75. — i pędzi w górę po schodach. Południk pod jej nogami jest przyciszony, zawieszony. Nad centralnym placem nie ma fruwaczy, pusto na mostkach i kładkach. Powietrze jest aż ziarniste od starego pyłu. Czuje jego smak na języku, czuje, jak zamula jej nozdrza. Miasto nie może się już doczekać mycia.

Ludzie z góry czekają, upozowani z wdziękiem i elegancją zespołu tanecznego na platformach i podestach, udrapowani na balustradach, przysiadający na stalowych stopniach.

— O, królowo, moja królowo! — Alexia mruży oczy i patrzy w światło stropu, aż dostrzega Jacka wykonującego swój charakterystyczny skok i opadającego cztery poziomy w dół. Podaje jej ramię. — Mogę?

— Jack od Noża.

Alexia bierze go pod rękę i razem idą po schodach w górę, wśród gwizdów i okrzyków. Dźwięk odbija się echem w przepastnych przestrzeniach Bairro Alto, podwaja się, zmienia się w huk wielkiej maszyny. Wspinając się, Alexia widzi, jak dzieciaki wyciągają z kieszeni łachmanów lusterka i puszczają sobie sygnały wokół placu. Odbłyskują odpowiedzi. Gotowe. Wszystko gotowe.

— Wiesz, że nikt mi tego w twarz nie powiedział? — mówi Jack, gdy docierają do południowego zbiornika.

Folia strzela targana nieprzewidywalnymi powiewami wiatru. Wietrzne Górne Miasto. Ekipy ustawiają się za Królową i Jackiem, tworzą kordon w okół zbiornika. Dzieciaki stoją w pogotowiu, żeby gdzieś biec i coś naprawiać. Alexia uwzględniła typowy opad południkowego monsunu, ale to przekleństwo inżynierów — teoria mało kiedy przeżywa kontakt z rzeczywistością.

Jest cała spięta i rozedrgana od wewnętrznej energii. Ukrywała to podniecenie przez cały dzień w pracy, a teraz dociera do niej, że maskowała w ten sposób niepokój. Bo co będzie, jeśli to wszystko rozleci się po pierwszej kropli? Jeśli się okaże, że Yaya zginął dla paru rurek i strzępów folii?

Cisza na galeryjce jest absolutna, jak przed stworzeniem świata.

Alexia słyszy dźwięczne pluśnięcie, patrzy w dół, widzi na siatce ciemną plamę. Potem kolejną, jeszcze jedną i jeszcze. Zauważa pierwszą kroplę deszczu, wielkości jej kciuka, spadającą tak powoli, że nadąża za nią wzrokiem. Trafia ją w prawe przedramię. Czuje to dotykiem. Teraz krople spadają już regularnie, rozproszone, ale miarowe. Dźwięczy kładka, schody, wszystkie metalowe konstrukcje Górnego Miasta. Plastikowe zbiorniki i folie rozbrzmiewają stuknięciami i trzaskami.

— Chodź — mówi Jack Bierze go za rękę, on przyciąga ją do balustrady. — Popatrz.

Południk rozkwitł od pierwszej kropli deszczu. Na pustych kładkach, mostkach, w przejściach, na balkonach roi się od ludzi. Setki tysięcy zadartych ku górze twarzy.

— O rany — mówi Alexia. Oczy wypełniają jej się łzami.

— Na razie mało co jeszcze widziałas.

Deszcz nasila się. Alexia momentalnie przemaka na wylot. Ulewa smaga ją, wyciska powietrze z płuc. Usiłuje wziąć oddech pod falą kropel. Huk jest ogłuszający. Jakby siedziała w środku jakiegoś instrumentu perkusyjnego, jakiegoś tamburynu wielkości miasta. Zna tropikalne deszcze Rio, ale to przekracza wszelkie pojęcie. To jest biblijny potop. Jack ściska jej dłoń.

— Zostań! — krzyczy.

Sklepienie nad placem wypełnia się tęczkami, jedna nad drugą nad trzecią. Potrójna tęcza, barwna i intensywna. Oberwanie chmury bez chmury. Linia słoneczna rozbłyska jak

w południe. Tęcze wędrują w kaniony kwadr Oriona i Wodnika, łukami sięgają od ściany do ściany. Mają tam teraz poranną i wieczorną tęczę. Kwadra Antaresa jest ciemna, lecz nagle rozbłyska pełnym dziennym światłem i tam także rozjarza się karnawał tęcz. Oczywiście, że dla takiego cudu warto na moment włączyć niebo.

— O rany! — mówi Alexia. — O rany! — I nagle to czuje. Płynącą, pędzącą, żarłoczną wodę. — Leci.

Odciąga Jacka od balustrady, ciągnie po śliskiej, drgającej podłodze do zbiornika. Kładzie dłoń na rurze — jej vibracje są niemal erotyczne. Fala wody. Odgarnia z twarzy przemoczone włosy i woła do dzieciaka ze Zbieraczy:

— Trzyma się?!

Chłopak unosi oba kciuki i szczerzy się w uśmiechu.

Rury trzeszczą, grzechoczą na mocowaniach. Alexia wyobraża sobie deszcz lejący się z rynien do koryt, z koryt do lejków, z lejków do kolanek, z kolanek do rur, zlewający się piętro za piętro na dół Bairro Alto. Woda sunie, pieni się, koziółkuje. Całe rzeki, nurty wzburzonej wody. Krany nad zbiornikiem eksplodują wodą — wodogrzmoty tryskają i z hukiem spadają na plastikowe dno. Szkielet i wsporniki przekrzywiają się i trzeszczą, ludzie cofają się od nich. Ale Alexia Corta projektuje solidnie, a Bairristas budują porządnie. Plastik wydyma się, poziom wody się podnosi. Przez ulewę przebijają się oślepiające zajączki z lusterek — północno—wschodni i północno—zachodni zbiornik też działają i się napełniają.

— Kurwa mać! — Jack przekrzykuje huk wody. Włosy ma przyklejone do głowy, ubranie przylega do niego mokrymi fałdami. — Zajebicie to urządziłaś! — I w sekundę twarz mu kamienieje. Odmienia się. — Uciekać! — krzyczy.

Bairristas rozpraszają się, rozbiegają po schodkach, belkach, rurach, drabinkach. Alexia rozgląda się wokół w osłupieniu. Na platformie zostali tylko ona i Jack.

— Lê, znikaj stąd! Szybko! — woła Jack.

Ziemskie mięśnie jednym skurczem przenoszą Alexię na wyższy podest. Też dostrzegła cienie w zakamarkach tego świata.

Czterech żołnierzy w pełnych pancerzach, deszcz ścieka z krawędzi ich hełmów. W kaburach noże i paralizatory. Za nimi, w bezpiecznej odległości, zabbalini i ich pazurzaste, zębate maszyny.

— No ja pierdołę. — Jack ściąga koszulę.

Alexia przygląda się bliznom na *jego grzbiecie*, na barkach, niektóre wciąż są sine, poznaczone świeżymi szwami.

— Znowu? — Dłonie zawisają mu nad pochwami noży na biodrach.

— Pozwólcie nam tylko zrobić, co do nas należy! — woła zabbalin z ulewnej ciemności. — Piękne to jest, ale nie może tu dłużej stać.

— A jednak postoi — mówi Jack.

Alexia widzi, że żołnierze spinają mięśnie, ich ściągną kurczą się pod pancernymi płytami.

— Nic się jeszcze nie nauczyliście, syfiarze? — On też to widzi. — Jak ja się nazywam? Jak się, kurwa, nazywam?

Wiecie?

— De... — zaczyna zabbalinka, lecz Jack przerywa jej, wrzeszcząc: — Jack od Noża, kurwa wasza mać!

Pyk, pstryk, tup. Z cieni, przez kurtyny deszczu, wyłaniają się dwa boty. Po ich lśniących skorupach spływają krople. Są sprawne, eleganckie, piękne. Alexia wspomina, że uderzyło ją to piękno, gdy w imieniu Lucas poszła na inspekcję do ich fabryki w Guangzhou, zanim zostały wysłane na niską orbitę. Wspaniałe potwory. Niedobrze jej się robi.

— O — mówi Jack. Odwraca się.

Odwraca się od niego.

Odwraca się, żeby nabrać rozpędu. Wiruje, przeskakuje jak błyskawica i w ułamku sekundy żołnierz ma nóż wbity pod pachę, a jego paralizator jest w dłoni Jacka. Cel, pal, jedna myśl — mniej niż myśl. Jeden ruch. Paralizator trafia bota, gdy ten już skacze, rozkładając ostrza. Pada na ziemię z łomotem porażonych zwarcie kończyn. Żołnierz wierzga, krew tryska mu z tętnicy. W księżycowym ciężeniu krew wysoko tryska. Bezlitosny deszcz zmywa wszystko do dziur w metalowej kratce platformy.

Jack przysiada jak jaguar, z krwiożerczym uśmiechem na twarzy. Drugi bot robi ruch — Jack odskakuje, bot zamachuje się zakończoną ostrzem nogą. Maszynowa szybkość i maszynowa precyzja. Trafiłby go w bok aż po kręgosłup, gdyby z góry coś nie spadło. Bola — linka oplątuje się wokół nóg bota, ciężarki wirują momentem obrotowym wystarczającym, by zwichnąć mu stawy. Bot pada, z wyższych poziomów z gwizdem

i wyciem zeskakują dzieciaki, opadają powalone boty, rozłupują je młotkami i kluczami, wydłubują drogocenne części.

Żołnierze szarżują. Jack wskakuje pomiędzy nich a chłopaków. Jeden żołnierz próbuje obejść go bokiem — błysk ręki Jacka i już ma nóż wbity w gardło po rękoność. Drugi żołnierz, kobieta, robi zamach, lecz Jack jest już poniżej linii cięcia, a jego drugi nóż łukiem trafia ją w zgięcie za kolanem. Pada, wykrzykując przekleństwa. Jack opada na ziemię, sunie po mokrym pokładzie i kopie kolejnego żołnierza w rzepkę, całym ciężarem ciała roztrzaskując mu pancerny ochraniacz. Alexia słyszy przez siekający deszcz trzask pękającej kości.

— Chłopaki!

Jak on wyczuwa tego atakującego żołnierza? Czuje ruch powietrza, chwilową przerwę w deszczu, zapach, coś jeszcze, jakimiś wyostrzonymi zmysłami wojownika? Łamie powalonemu kciuk — kolejny trzask kości — chwyta nóż, nurkuje pod opadającym ostrzem i wbija go napastnikowi w niechroniony spód przedramienia. Ten upuszcza swój nóż, Jack łapie go, nim zsunie się z platformy, i momentalnie wbija mu go w podbicie. I już stoi na równych nogach, a dłonie ma puste.

— Zabierzcie broń wroga — mówi. Deszcz posklejał mu włosy w ociekające wodą strąki. — I użyjcie przeciwko niemu.

I znów przyzywa ich gestem. No, dalej.

Dłoń ostatniej wojowniczkii zawisa nad paralizatorem. Kręci głową.

— Bardzo mądrze — mówi Jack. Wyrywa jeden z noży z odwrotnej strony kolana jednego żołnierza, drugi z gardła drugiego. Wyciera je w swoją przemoczoną, zlachmanioną

koszulę, bierze głęboki wdech i z zagadkowym trzaskiem, którego Alexia nie rozumie, wsuwa do pochew. — I weź, co twoje.

Potop zmienia się w ulewę, w deszcz, w mżawkę. Ustaje. Bairro Alto ocieka wodą. Światło zmienia krople w miliard diamentów. Górne Miasto wystroiło się w biżuterię. Nad podestami i tarasami wiją się smużki pary. Jack wchodzi po schodach. Alexia robi wszystko, żeby nie okazywać radości. Nie patrzy na nią. *Bairristas* kiwają mu głowami, gdy wchodzi pomiędzy nich. Nie reaguje. Nikt się nie odzywa.

Alexia znajduje go w jego namiocie, pałatce z plastikowej folii rozpiętej pomiędzy filarami. W zgięciach arkuszy zebrała się woda. Jack klęczy odwrócony do niej plecami. Jest nagi. Starannie, dokładnie, czule czyści i ostrzy swoje noże.

Alexia długo stoi i go obserwuje. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny z Księżyca. Zmiany fizjologiczne wywołane księżycowym ciążeniem są eleganckie, ale zarazem paskudne. Prawie człowiek. Dolina niesamowitości.

Każdy fragment jego skóry jest wyszyty bliznami. Domyśla się, że ma dwadzieścia parę lat, choć jest w nim spokój, pewność siebie i ból kogoś dużo starszego.

— Napatrzyłaś się?

Alexia się wzdryga.

— Przepraszam.

— Jedna moja ciotka miała takie perfumy. Ciotka Madison. Kurwa, jak ja jej nie cierpiałem.

— Przepraszam, nie powinnam. Pójdę sobie.

— Nie idź. — Poklepuje poduszkę *swego* posłania. — Jeśli nie przeszkadza ci, że siedzisz naprzeciwko gołego faceta.

— Nie przeszkadza mi. W ogóle. — Siada po turecku na poduszce. Folia wypchana plastikowymi odpadami. Posłanie to gniazdo ze szmat. Z niestarannych złączeń namiotu kapie woda. Jack pracuje w skupieniu, zapamiętane. Stal o kamień.

— Wszyscy mamy jakieś swoje voodoo — mówi. — Kiedy byłem *jackaroo*, zawsze wkładałem najpierw prawą rękawicę skafandra i prawy but. Zawsze. A po walce, widziałaś... nie jestem specjalnie towarzyski.

— Rozumiem to.

— Zapewniam cię, Lê, że nie rozumiesz.

Unosi nóż, łapie nim światło. Po ostrzu spływa ogień. Bawi się nim, obraca, kręci, podrzuca, robi wszelkie możliwe sztuczki. Opada mu z powrotem rękojeścią w dłoń. Prawe ramię wykonuje błyskawiczny ruch. Czubek noża jest o oddech od gardła Alexii. On nie patrzy. Ona się nie usuwa.

— Chcę cię wziąć. Tu i teraz, na tym łóżku — mówi Alexia.

Teraz na nią patrzy. Uśmiecha się szeroko. Błysk metalu, ostrze wraca do pochwy. Alexia rozpina przemoczone szorty i rzuca się na niego. Przewraca go w tył, siada na nim, ściąga przemoczony top, odkleja od siebie stanik. Siedzi okrakiem, przyciskając go udami i dłońmi do szmacianego posłania. Jack szamocze się, ale ona ma siłę zieluniaczki. Śmieje się szaleńczo, głośno i wreszcie przyciąga ją do siebie.

Całują się. Obejmuje dłońmi jego twarz.

Sięga ręką do jego jąder. Są bezwłose, idealnie gładkie.

— Ja też mam swoje voodoo — mówi Alexia. — Moi mężczyźni mają być ogoleni.

— Kochana, tutaj wszyscy są ogoleni — mówi Jack. — Wystarczy raz sobie przyciąć włos łonowy elastykiem.

Po czym unosi ją, Alexia wydaje krótki pisk, przyciska ją do siebie. Ścisza zębami wewnętrzną stronę jej ud, Alexia przesuwa się w górę, siada mu na twarzy. Liże ją, ona ścisza własne sutki kciukiem i palcem wskazującym. Dyszy w rytm disco tańca czubka jego języka na jej łechtaczce. Mięśnie tężeją w skurczu. Nie, jeszcze nie. Unosi nogę, odwraca się, ścisza jego penisa. Jest długi i wygięty w lewo. Przesuwa po nim dłońmi w górę i dół, ślini rękę i poleruje żołądź. Jack rzuca stłumione „kurwa” i zaczyna językiem obrysowywać jej wargi. Zjada ją. Pożera. Ona zabiera się do jego fiuta. Drga jej w ustach. Wsuwa go najgłębiej, jak da radę, nie dławiąc się nim.

Coraçãozinho. Tak w domu nazywała ten malutki trójkącik poniżej żołądź Norton, gdzie działały się cuda.

Norton.

Pstryka w *coraçãozinho* paznokciem palca wskazującego. Jack pojękuje, potem wybucha śmiechem.

Jak dawno nikt się przy seksie nie śmiał. W ogóle dawno nikt się nie śmiał.

Odwraca głowę do niego.

— No, panie Księżycowy, jakie tu macie specjalne numery?

Zręcznym ruchem odwraca ją na bok, unosi jej lewą nogę, chwyta prawą, przyciąga ją do siebie i wślizguje się do środka. Rzuca przekleństwo po portugalsku. Rzną się radośnie. Pozycje, wariacje pozycji, dużo czasu. Alexia nie ma pojęcia, ile i jak

długo, póki nie położy jej na plecach, nie zadrze jej nóg za głowę — po portugalsku to się nazywa *empilhadeira* — a sama nie spojrzy za jego pompujące biodra i nie dostrzeże trójki dzieciaków podglądających ich zza wciąż ociekającej wodą krawędzi namiotu.

Krzyczy, wyrывa się spod niego, okrywa się wilgotnymi szmatami posłania.

— No cześć — mówi jedno z nich, chyba chłopak — Tak tylko... może, jak skończycie, to będziecie chcieli zobaczyć, jak leci woda?

Po hot—shopie nocowanie.

— On będzie w domu? — zapytał Haider, gdy Robson zaproponował mu przyjście na noc.

Już przedstawiał go Wagnerowi i Analiese. Oboje przyjęli go miło, ale przy Wagnerze Haider czuje się nieswojo. Boi się, szczerze mówiąc.

A Wagner był ostatnio niespokojny. Nadaktywny, bezsenny, głodny jak wilk. Nerwowy i humorzasty oraz super—superszybki i superciekawski. Robson nie musi wychodzić na powierzchnię, żeby wiedzieć, że Ziemia stoi w kwadrze.

— Podłapał krótkoterminowy kontrakt w Taiyangu, w Theonie Seniorze — mówi Robson. — Wróci dopiero pojutrze.

Haider czuje ulgę. Robson zresztą też.

Mieszkanie jest małe, nawet jak na księżycowe standardy. Aneks Robsona, na górze, przerobiony z kącika do pracy/muzyki/nauki, jest jeszcze mniejszy. Materac siedzi w nim

jak noga w skarpetce, a dwaj chłopcy leżą na nim jak dwa przecinki, jak jin—jang.

— To jak ty to robisz? — pyta Haider, przewróciwszy się na wygodny bok

— Co robię? — Nad ich głowami dudni i bulgoce woda, klimatyzacja buczy basowo.

— Te sztuczki magiczne.

— Numery. Prawdziwi iluzjoniści nazywają to numerami. Sztuczki to coś nieuczciwego.

— Ale one są nieuczciwe. Ty oszukujesz ludzi.

Robson długo się zastanawia.

— Ty wymyślasz opowieści.

Haider nigdy nie dał Robsonowi do przeczytania żadnego ze swoich tekstów, zresztą nawet gdyby, to Robson nie za bardzo czyta. Wie jednak, że Haider zapycha się megabajtami fanfików depresyjnych, radosnych, pocieszających, męsko—damskich i męsko—męskich. I jest w stanie rozkładać na części i analizować motywy i struktury dowolnej telenoweli, póki Robsonowi nie zaczną błyskać w oczach, co oznacza, że gra na soczewce w jakąś grę.

— Opowieści też ludzi oszukują. Zaczynają myśleć, że te postaci są prawdziwe, że trzeba się przejmować tym, co się z nimi stanie.

— One są w pewnym sensie prawdziwe — odpowiada Haider. — Nie takie prawdziwe—prawdziwe. Ale w tym sensie, że ludzie naprawdę tacy są, że naprawdę tak się czują, że mają takie problemy.

— To w tym sensie i numery są prawdziwe. Każdy numer ma w środku trochę prawdy. Ten podstęp, który musi się zadziać, inaczej nie ma numeru. I to przeważnie jest coś bardzo prostego, bardzo oczywistego. Ale nie możesz tego zobaczyć.

Teraz Haider zastanawia się przez moment.

— To rozumiem. Ale jak ty to robisz?

— Ćwiczenia — mówi bez wahania Robson. — Aktorzy powtarzają tysiąc razy. Muzycy — dziesięć tysięcy razy. Tancerze — sto tysięcy razy. Ale iluzjoniści — milion.

— Milion?

Robson każe Dżokerowi sprawdzić.

— Właściwie to nawet więcej niż milion.

To na chwilę daje Haiderowi do myślenia.

— Widzę, jak ćwiczysz te parkourowe ruchy. Skaczesz i spadasz, skaczesz i spadasz, i tak w kółko. Nie udaje się, próbujesz jeszcze raz.

— Musi ci się wypalić w nerwach. Sam nabierasz kształtu tego ruchu.

I z iluzją jest tak samo. Tylko że upadków nie widzisz. Jeśli widzisz upadek, to widzisz, jak działa sztuczka. I wtedy ona nie działa.

— Ja nie byłbym w stanie — mówi Haider. — Nie mogę się nauczyć niczego fizycznego, co wymaga rytmu albo zręcznych palców. Praktycznie nie mam małej motoryki. Coś z chemią mojego mózgu. Jak zegar, co się ciągle spóźnia, zawsze jest trochę z tyłu za wszystkimi.

— Oj — mówi Robson. — Czyli ty jakby żyjesz na stałe w przeszłości?

— No, jeśli tak to ująć, to tak.

— O rany.

Robson czuje poruszenie Haidera na materacu. Kiedy był w Południku, u wilczego stada, rozłożył sobie materac w nieużywanym zakątku salonu, z dala od wspólnego posłania. Nie był wilkiem, więc nikt nie oczekiwał, że będzie spał razem ze sforą, ale rozumiał, że zawsze jest u nich mile widziany. A teraz, w Theophilusie, robi coś, czego w Południku nigdy nie chciał — współdzieli łóżko z inną osobą. Nie z wilkiem nawet. Z przyjacielem. I tu czuje się z tym dobrze. Bezpiecznie. Przez pierwsze noce w mieszkaniu Analiese budził się i nie wiedział, gdzie jest, błędził na wpół śpiący. Krzyczał. Nie raz i nie dwa Wagner musiał się z nim położyć. Żeby miał kogoś za plecami. Tu jest bezpieczny, z dala od polityki, od wendety Orła, od jego dworu, ukryty w maleńkim, nudnym Theophilusie, a i tak czasami budzi się w nocy z krzykiem.

— Pierwszą sztuczkę — numer — pokazał mi mój mąż — mówi Robson. Opowiedział Haiderowi dość o sobie, żeby go zaciekawić, ale nie tyle, żeby coś mu groziło. Dzisiaj czuje, że ma potrzebę powiedzieć więcej. Chce zdemaskować sztuczkę, pokazać prawdę. — Nazywał się Hoang Lam Hung. Byłem jego mężem przez jeden wieczór. Zjedliśmy kolację, opowiadaliśmy sobie żarty, a potem pokazał mi parę sztuczek karcianych.

Był bardzo dobry. Nigdy nic zrobiłby mi krzywdy ani nie pozwolił na to nikomu. A potem był też moim opiekunem.

— Potem?

— Po unieważnieniu — mówi Robson. — Ciocia Ariel poszła do sądu i unieważniła małżeństwo. Bo tak naprawdę to byłem

zakładnikiem. Podobnie, kiedy Bryce Mackenzie mnie adoptował. Wtedy Ariel nie mogła już mnie z tego wyciągnąć, ale Hoang zabrał mnie do Królowej i powiedział Wagnerowi, żeby mnie przechował.

— Dużo się działo w twoim życiu — mówi Haider. — Moje było raczej nudne.

— To dobrze. Ludzie mówią, że chcieliby mieć życie pełne przygód, jak w serialu, ale tak się nie da żyć. W serialach i przygodówkach nikt nie jest bezpieczny. Od przygód się ginie.

— A... czy...? — Haider nie chce zapytać wprost.

— Ktoś zginął? Tak. Moja matka. Hoang. Moja ekipa od parkouru.

— Ja pierdzielę. — Haider przewraca się na plecy i splata palce za głową.

— Ale nikomu nie mów. Dalej mnie szukają. Teraz nawet bardziej, odkąd *tio* Lucas został Orłem. Nikt nie wie, że tu jestem.

— Nie powiem — obiecuje Haider.

[1](#)

Urosłaś, odkąd cię ostatni raz widziałam (przyp. tłum.).

[2](#)

Śliczna jesteś, moje kochanie (przyp. tłum.).

OSIEM

Goście płyną nieprzerwanym strumieniem od śniadania do północy. Sąsiedzi, którzy nigdy nie utrzymywali sąsiedzkich kontaktów, kiedy była tylko Mariną—dziwadłem—i—kujonką, nagle są ciekawi kobiety, która wróciła z Księżycyca. Sąsiedzi, z którymi się przyjaźnili, którzy pomagali, sąsiedzi odwieczni, którzy po prostu uznali, że trzeba Marinie z Księżycyca dać czas na aklimatyzację. Przyjaciele. Cały samochód kumpli ze studiów, którzy przyjechali z miasta specjalnie do niej, zamartwiających się w swoich maskach filtracyjnych o faunę, florę, wszystko, co może być szkodliwe. Eksplozja hałasu i za dużo odsłoniętej skóry — to Jordi—Rae, najlepsza psiapsiółka, wpada i od razu wali do pokoju, gdzie jako dziewczynki spędzały kupę czasu na wymyślaniu seriali dla swoich zabawek. Dalej pracuje w straży leśnej. Nadal nie ma nikogo, faceta czy kobiety. Marina chciałaby, żeby została dłużej, ona jednak wymawia się, gdy po raz kolejny rozlega się dzwonek i za drzwiami pojawiają się policjanci, Dolores i Kyle z komisariatu w Port Angeles.

— Jest jakiś problem? — pyta Kessie. W domu Calzaghe policja zawsze była wrogiem.

— Rutynowa sprawa.

— Macie procedury na gości z Księżycy? — Marina wtacza się do salonu. Ocean trzyma straż za jej prawym ramieniem, Weavyr za lewym.

— Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku — mówi policjant Kyle.

— A skąd ta troska?

— Wróciła pani niedawno z wrogiego kraju — mówi aspirantka Dolores. — Pracowała pani w jednej z największych korporacji. Była pani asystentką ważnego członka jednego z głównych rodów.

— Coś policja z Port Angeles strasznie dużo o mnie wie — mówi Marina.

— Ona nie jest terrorystką! — wypala Ocean.

Powietrze w pokoju tężeje. Zaraz może się zrobić groźnie.

— Na pewno policja chce po prostu dopilnować, żeby ludziom nie strzeliło do głowy zrobić coś Marinie — mówi Kessie. — Bo fałszywki już lecą po świecie, a prawda jeszcze nie włożyła butów.

— Dokładnie o to chodzi, proszę pani — mówi aspirantka Dolores.

Marina czeka, aż usłyszy chrzęst żwiru pod kołami radiowozu. Dopiero wtedy się odzywa.

— Kazali im mieć mnie na oku.

— Myślą, że jesteś terrorystką! — powtarza Ocean.

— A ja myślę, że ty, Ocean Paz Calzaghe, jesteś kompletną kretynką — syczy Kessie. — Nie mówi się przy psach takich rzeczy.

— Nic się nie stało — mówi Marina. — Chodźcie, pomożecie mi z fizjoterapią.

A jednak się stało. Powietrze wydaje się brudne, woda ma skażony posmak. Każdy zapajęczony zakamarek ma oczy i uszy. Do domu weszli intruzi, a ona jest obserwowana.

— W życiu byś nie pomyślała — dodaje, gramoląc się z bólem i ustawiając przy łaziku — że kiedyś byłam w stanie bez mrugnięcia okiem biegać dwadzieścia kilometrów.

— Biegać? — Ocean uznaje jedynie ćwiczenia fizyczne w rodzaju przewracania się z boku na bok na kanapie.

Marina z westchnieniem robi krok Jeszcze jeden i jeszcze. Ocean idzie za nią, gotowa podtrzymać ją w przypadku potknięcia.

— To przez takiego jednego gościa — mówi Marina. — Ale to naprawdę był gość. Musiał być kimś, żeby mnie wkręcić w bieganie. To było jak rytuał. Religia. Farba na ciele i bardzo, bardzo skąpe ubrania.

— Marina! — wzdycha Ocean.

— A jeszcze o seksie ci nie opowiedziałam...

— Nie, nie! — krzyczy Ocean, zakrywając uszy dłońmi. — Marina, jak cię o coś zapytam, nie rozpoviesz wszystkim?

— Nie mogę obiecać. Pytaj. — Pięć kroków do końca korytarza, zawrócić i z powrotem.

— To prawda, że tam... na Księżycu... nikogo nie obchodzi, czy jesteś homo, hetero, czy bi?

— To prawda. Nikogo to nie obchodzi, nikt nikogo nie osądza, nawet słów na to w Globo nie ma. Jest tyle płci i seksualności, ilu ludzi. Ważne jest, kogo kochasz, a nie jak. — Koniec korytarza. Następuje skomplikowane człapanie na niepewnych stopach, by odwrócić się do drogi powrotnej. — Nie od razu to do mnie dotarło, ale to jest absolutnie najważniejsza rzecz na Księżycu. Wszystko jest umową między ludźmi. Hm, a twój tata? Coś go nie widziałam?

— Mają próbną separację. Żeby sprawdzić, czy im odpowiada.

Marina słyszy w tych nonszalanckich odpowiedziach czającą się złość.

— Na Księżycu małżeństwo to po prostu kolejna umowa. Kto, z kim, na jak długo. Mieszkać razem, oddzielnie, seks czy bez seksu. Związek otwarty, poliamoria, małżeństwo pierścieniowe. Można też być w związku z kilkoma osobami jednocześnie.

— Skomplikowane.

— I dobrze. Małżeństwo powinno być trudne do zawarcia i łatwe do przerywania. Byłam z najlepszą prawniczką od prawa matrymonialnego na Księżycu i nawet ona przez cały czas nic, tylko łątała dziury i naprawiała szkody.

— „Byłam”.

— Co?

— Byłam. Nie „pracowałam”.

— Cicho bądź i pomóż mi wejść na wózek — mówi Marina.
— I daj te hantelki. Pora na górne partie.

Ocean odkłada hantelki na podłogę i biegnie do drzwi wejściowych, bo dom anonsuje kolejnego gościa. Skyler, przyleciał z Indonezji.

Tajemna wspólnota bezsennych. Marina jest zbyt obolała, by spać, Skyler ma zespół długu czasowego.

— Z zachodu na wschód jest gorzej. — Kuca oświetlony światłem lodówki. Prawa bezsenności nakazują bezsennym spotykać się w kuchni.

Pije sok prosto z kartonu.

— Długi lot też strasznie odwadnia.

— Z Księżyca na Ziemię jest gorzej, ci powiem.

— Chcesz coś?

— Dziękuję.

Nigdy nie przepadała za bratem. Późne, ukochane, ostatnie, złote dziecko. Jemu wolno było wyjechać sobie do Azji Południowo—Wschodniej, by podróżować, opierdzielać się, zbierać wrażenia, a potem wkręcić się podrywem i wdziękiem na komfortowe stanowisko w marketingu, w Dżakarcie. Ją wysłali na Księżyc, żeby zarabiała na opiekę medyczną dla matki.

— Słyszałem, że miejscowe prawo i porządek już cię odwiedzało.

— Sprawdzają moje wiadomości. Łatwo zauważyć, gównianą mają tę Al. Skyler buja się na krześle.

— Trzy dni tu jechałem. Wszystko się rozłazi. Zaniki napięcia dwa, trzy razy w tygodniu. Wszyscy szukają winnych i

krąży milion teorii. Teraz wszystko to spisek. Władze, wszystkich państw, wszystkich, przejął Księżyc. Księżyc dyktuje warunki i rządzi wszystkim. Standardowa teoria — tajny rząd światowy, kontrola umysłów, te sprawy.

— Ale przecież było dokładnie odwrotnie — mówi Marina.
— To wyście na nas napadli.

Skyler znów pije sok z kartonu.

— Im bardziej rządy zaprzeczają, tym więcej ludzi w to wierzy. Ludzie się bardzo przywiązują do swoich poglądów. Każdy, kto ma jakiś związek z Księżycem, to agent szatana. Atakuje się wracających. W moim bloku napadli na jedną kobietę. Wróciła dwa lata temu, już całkiem zrehabilitowana. Włamali się jej do mieszkania, bo myśleli, że spiskuje, żeby przejąć rury wodociągowe. Potem podczepili się imamowie — dzięki temu mają w piątce dobrą frekwencję. W Dżakarcie ludzie podpaliли biuro VTO. A potem tłum nie dopuścił straży pożarnej. Był marsz na elektrownię termojądrową w Yogyakarcie. Niby że za zanikami napięcia stoi Mackenzie Helium. Wszyscy będą musieli mieć te czipy w oku...

— Cziby.

— Wszystko jedno. Każdy będzie musiał mieć coś takiego. I jak coś zrobisz, to władza odetnie ci sieć, potem prąd, potem wodę. A potem oddech.

Opróżnia karton i stawia go z hukiem na stole.

— A na koniec wezmą się za cudzoziemców. Zresztą to się dzieje nie tylko w Indonezji, Malezji. Indie, Australia — tak samo. Mackenzie zresztą są z Australii, a i tak na moście

Harbour Bridge w Sydney wieszają zdjęcia Duncana Mackenziego i je podpalają.

— Co ty mówisz?

— To jest jak zaraza. I się szerzy. Nawet tutaj.

— To ja jestem... kim? Tajną superagentką z Księżyca?

— Która pracowała dla jednej z grubych ryb, której brat teraz rządzi całym Księżycem.

— To nie tak...

— Nieważne, jak jest. Ważne, co ludzie myślą. Uważaj na siebie.

DZIEWIĘĆ

Alexia stwierdza, że ma zbyt ziemską dupę do tutejszych księżycowych mebli. Za krótkie nogi, za długi tułów, jest za szeroka w siedzeniu. Z łózkami jest nie lepiej — miękka pianka pamięciowa i księżycowe ciśnienie oznaczają, że budzi się dziesięć razy na noc ze snów o spadaniu. Wierci się w fotelu, próbuje znaleźć jakąś wygodną pozycję. Trzecie posiedzenie LMA w ciągu trzech dni.

Po rządach Pawilonu Nowego Księżyca krążą plotki, widać je w szeptach i spojrzeniach. Alexia domyśla się, co mówią.

Rodzona siostra wolą uciec niż go reprezentować.

Ona go sama pozwała.

Corta kontra Corta?

Nie tak, jak myślisz. Ariel Corta reprezentuje Lunę Cortę w sprawie o opiekę medyczną nad Lucasinhem Cortą.

Ale Luna Corta to...

To dziwne dziecko? No tak, ale przynajmniej nie gra w tej grze.

Czyli Ariel może twierdzić, że Luna ma najlepsze rokowania, by działać w należyтым medycznym interesie Lucasinha.

No i jest na miejscu, na Farside.

Cwana ta Ariel.

Ledwie są w stanie skryć drwinę, gdy Lucas wstaje, by otworzyć posiedzenie i powitać mówcę. Szeroka, ociążała postać w brązowej todze schodzi z bólem po schodkach na arenę.

— *Vidhya Rao* — mówi Alexii chowaniec. *Ekonomista i doradca w Whitacre Goddard, członek Pawilonu Białego Zająca, wykładowca na Wydziale Teorii Ekonomii...*

Alexia wyłącza biografię i słucha stłumionych szeptów, przerywanych konwersacji — wszystko to oznacza: oto jest ważny człowiek Widzi przysadzystego człowieczka o brązowej cerze, z krótkimi siwymi włosami, odzianego i owiniętego we wspaniałe tkaniny z drobnym wzorkiem, całkowicie niezależne od mody. Kobieta? Mężczyzna? Nie jest w stanie poznać. Ale nie musi poznawać, w końcu jest na Księżycu. A na Księżycu jest tyk płci społecznych i biologicznych, ilu jest obywateli. Mają nawet specjalne zaimki, których używają lub nie, zależnie od osobistego upodobania, do określania tych płci społecznych, biologicznych, orientacji seksualnych, a nawet istot niebędących ludźmi i alternatywnych ludzkich osobowości. Na Farside mają zaimek do zwracania się do maszyn i mówienia o nich. No i są jeszcze Księżycowe Wilki, mające ciemną i jasną stronę osobowości.

— Szanowni państwo, postaram się mówić krótko.

Podstępny odruch, uświadamia sobie Alexia, gdy Maninho otacza Vidhyę Rao kolejnymi dziesiątkami paneli z informacją — mimo woli próbuje ustalić, czy istnieje pierwotna płęć, od której odejściem jest obecna. Księżycowi tak nie myślą. U nich wszystko jest negocjowalne.

— Do waszych chowańców trafiła już szczegółowa propozycja wraz z dokładnymi wyliczeniami, pod tytułem „Księżycowa Giełda — droga do pozaziemskiego centrum wartości”. W tym krótkim materiale postuluję ni mniej, ni więcej tylko całkowitą przebudowę fundamentów ekonomicznych księżycowej cywilizacji.

Alexia zna się na ekonomii głównie z perspektywy właścicielki hiper—lokalnej, operującej wyłącznie gotówką, działającej na szarym rynku firmy wodociągowej. Z perspektywy osobistej i zaangażowanej. Ale to nie jest taka ekonomia — tu jest finansjalizacja, są transakcje, instrumenty pochodne, kontrakty terminowe, swapy i forwardy, opcje kupna i opcje sprzedaży, prawdopodobieństwa niewypłacalności. Kontrakty, zabezpieczenia, ubezpieczenia, reasekuracje, gwarancje. Instrumenty o inkwizycyjnej ostrości i skomplikowaniu. Mikroskopijne zyski wykręcone na różnicach cen na pograniczu kwantowej skali, lecz zauważalne, bo pomnożone przez gigantyczną liczbę transakcji.

— Podczas pierwszego kwartału Giełda Księżycowa będzie miała obrót instrumentami pochodnymi ponad pięćdziesiąt razy przekraczający PKB obu światów.

To zdanie przykuwa jej uwagę. I podobnie:

— Przyszłość wszystkich gospodarek jest w finansjalizacji. Już wiele lat temu dotarliśmy do punktu, w którym łatwiejsza jest ekstrakcja wartości z płynnego rynku niż z produkcji lub obrotu obiektami materialnymi. Przy zakładanej stopie wzrostu pas słoneczny Taiyangu jest w stanie zapewnić energię dla Giełdy przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

Chcecie nas zamienić w giełdę wielkości Księżyca, dociera do niej.

— W ciągu jednego stulecia cała powierzchnia Księżyca zostanie zaadaptowana do produkcji energii, a cały subregolit zamieniony w materię obliczeniową — mówi Vidhya Rao.

Czarny Księżyc, myśli Alexia. Góry wygładzone, kraterzy zasypane, morza zalane czarnym szkłem. Z Barry w letnią noc nic by nie było widać. Dziura w niebie. A w tej dziurze kasa, która rodzi kasę.

— Taki system z konieczności musiałby być w pełni zautomatyzowany. Zautomatyzowane musiałby być także zarządzanie i nadzór — bo nawet słynne Księżycowe Wilki byłyby zbyt wolne, by móc interweniować w cykl obrotu. — Unosi wzrok, spodziewając się śmiechów. Ziemianie nie rozumieją, Smoki siedzą z kamiennymi twarzami.

To koniec waszego świata, myśli Alexia. To jest zalanie czarnym szkłem wszystkiego, co budowaliście, o co walczyliście, co utrzymywaliście przy życiu.

Vidhya Rao wróciło do swego peanu na cześć rynku.

— Księżycowa Giełda uczyni z tego świata prawdziwą gospodarkę *post—scarcity*. Gwarantowany dochód podstawowy dla każdego obywatela i nieograniczona energia słoneczna

sprawią, że praca w dzisiejszym rozumieniu całkiem zaniknie. Będziemy postnajemnym społeczeństwem o zasobach, które każdemu pozwolą na osobistą samorealizację. Od Giełdy według jej dochodowości, każdemu według jego chęci.

— *Finansiści obiecują wszystkim prywatny raj, a mogliby jeszcze wycisnąć z tego parę bitsów? I ciebie, Vidhya Rao, mamy nazywać geniuszem? Posłuchaj bizneswoman z Rio: zawsze wygrywa zysk. Nie ma pracy, czyli nie ma pracowników? To pracownicy są niepotrzebni. Ta twoja Giełda Księżycowa będzie zbudowana na fundamencie z ludzkich kości.*

— Szanowni państwo, składam tę propozycję na ręce Lunar Mandate Authority, do starannego rozważenia. To jest przyszłość tego świata.

Vidhya Rao skończyło. Dziękuje publiczności i wychodzi.

Alexia obserwuje reakcje delegatów. Ziemsy zbijają się w grupki, rozmawiają, wychodząc. Młodzi Woroncownicy otoczyli Jewgienija Grigorijewicza. Olbrzym kiwa im głową i podchodzi do Lucasa.

— Na słówko, jeśli można.

— Oczywiście, Jewgieniju Grigorijewiczu.

— Ale nie tutaj. — Patrzy na Alexię. Pachnie wodą kolońską, czuje się też, że ta woda maskuje głębszy, trwalszy zapach.

Alexia czyta z naczynek na jego nosie, czerwieni twarzy, wypukłości brzucha i sztywności kroku, jakby powoli zamieniał się w kamień. Wódka robi z niego skamielinę. Przywodzi jej na myśl Walerija, unoszącego się w nieważkim punkcie *Świętych Piotra i Pawła*. Tam dominowała perfuma moczu i gówna,

przelewających się woreczków do kolostomii. Walerij był całkowitym przeciwieństwem tego niedźwiedzia — same ścięgna i skóra, kości starte do igiełek. Szopa włosów, wylupiaste, wodniste oczy.

— W cztery oczy — mówi Jewgienij Woroncowa.

„Asamoah mają nas za barbarzyńców”, mówił Walerij. „Mackenzie — za pijanych durniów. Sunowie to w ogóle nie widzą w nas ludzi”.

Opiekunowie Jewgienija schodzą z górnych rzędów i otaczają patriarchę, izolują go, przemieszczają w stronę wyjścia. Alexia widzi lęk na jego twarzy.

— Lucas?

— Przez parę godzin nie będę cię potrzebował.

Gdy wchodzi po schodach do foyer, dostrzega Vidhyę Rao, dyskretnie, choć intensywnie konwersującego z Wang Yongqing, Anselmo Reyesem i Monique Bertin.

Urządzonko leży w głębi dłoni Lucasa Corty, maleńkie i po jubilersku precyzyjne — mikroskopijne, cienkie czułki— antenki, skrzydełka to pasemka monomolekularnej folii. Lucas zaciska pięść i miażdży drona w proch. Wyciera ręce w chusteczkę.

— Moja ochrona złapała jeszcze osiem takich dronów szpiegowskich —mówi. Wódka mrozi się od posiedzenia rady. Butelka i kieliszek parują w wilgoci i ciepłe Orlego Gniazda. Lucas nalewa miarkę. Widzi na twarzy Woroncowa otwarte pragnienie.

— To są te, które miałeś złapać — mówi Jewgienij.

— Na pewno. — Lucas wręcza mu oszroniony kieliszek. Znika w łapie wielkiego draba. Tyle ma tych pierścieni, zauważa Lucas. Wrzynają mu się w ciało. — *Saude*.

— Ty nie pijesz?

— Wódka to nie dla mnie.

— Dżin jest dla dziewczynek. — Jewgienij unosi łapę. — Dawaj! — Odstawia jednak nietknięty kieliszek na szeroką poręcz fotela. — Lucas, na pewno znakomita. Ale oni wszyscy chcą, żebym pił. Ułatwiają mi to na każdym kroku. A ja piję dla nich.

— Smok nie powinien dawać się szpiegować własnym wnukom — mówi Lucas.

— Ty twojego brata szpiegowałeś.

— Mój brat był uroczy, uczuciowy, szlachetny, przystojny i kompletnie nienadający się do prowadzenia Corta Helio.

— Wiesz, Lucas, ja się ich boję. My ten świat rozumieliśmy. Wiedzieliśmy, kiedy brać, a kiedy odpuścić. Wiedzieliśmy, co robić, co jest konieczne, a co jest już zbędne. To był taki taniec — wy, my, Sunowie, Mackenzie, Asamoah. W kółko i w kółko. A oni nie mają żadnych hamulców. Nie dotyczą ich żadne granice. Nie mają poczucia obowiązku ani lojalności. Ty jesteś w stanie to zrozumieć?

— Lojalność to rozumiem — odpowiada Lucas. — I myślałem, Giena, że my jesteśmy sojusznikami.

Za szklaną ścianą w przestrzeni powietrznej placu trzepoczą sztandary i latawce. Ktoś lata. Tam zawsze ktoś lata. Wódka się zagrzała, warstwa lodu zamieniła się w wodną soczewkę, a

Jewgienij Woroncow przez cały czas nie może oderwać od niej wzroku.

— Bo jesteśmy, Lucas. Najstarszymi z sojuszników.

— A jednak Raul—Jesus Mackenzie wiedział o konfiguracji naszego ataku na Morze Poznane.

Jewgienij Woroncow wierci się w fotelu.

— Giena, albo jesteśmy w tym razem, albo obaj już nie żyjemy.

— Chcieli, żebym cię trochę podpuścił — mamrocze Jewgienij Woroncow. — Moi młodzi. Chcieli cię trochę popchnąć.

— Przez was wyszedłem na głupka przed Ziemniakami.

— Chcieli zobaczyć, gdzie upadniesz.

— I co, upadłem tam, gdzie chcieli?

Dziesięcioletni Lucas Corta jedzie z matką i bratem na oficjalną wizytę do Świętej Olgi, stolicy VTO. Grucha na widok placów budów, gdzie w próżni bezszelestnie poruszają się żurawie, a księżycowa noc rozbłyskuje tysiącem aktywnych gwiazd łuków spawalniczych, gdzie boty łączą i montują płyty, kratownice, belki, tworząc maszyny do budowy torów, spiekacze, wytapiacze, spychacze i kapsuły dla pędi księżycowej. *Madrinha* Amalia prowadzi go za rękę do starej kopuły, w której brzydko pachnie i smakuje pyłem, a tam, gdzie go przedstawiają Grigorijowi Woroncowowi, jak królewska rodzina królewskiej rodzinie, czuje promieniowanie przesiąkające przez dach z regolitu. Jego synowie i córki, ich

dzieci. Mały Lucas rozumie, że ma być miły, udzielać się towarzysko, bawić się z nimi, chociaż wszyscy są od niego co najmniej trzy lata starsi i dużo więksi.

Rafa rzuca się w to od razu, całym sercem i całą duszą, i po chwili już gania się z nimi w górę i w dół po schodach, rzuca piłkę, gra w berka. Lucas trzyma się z boku, blisko *madrinhi*, gdy przedstawiają go dziedzicom Woroncowów. Ci wielcy faceci i kobiety, to z nimi powinien rozmawiać — to oni któregoś dnia odziedziczą firmę Grigorija, to oni będą go próbowali oszukać i pokonać. Jak Smok Smoka. Podchodzi do Jewgienija Woroncowa. Wielki, groźny młody człowiek coś zobaczył w śniadym, ponurym, pełnym namysłu dzieciaku, który przez cały czas siedział przy matce i zapamiętywał imiona i twarze. Kuca, podaje mu rękę.

— Z kim mam przyjemność? — pyta.

— Lucas Arena de Luna Corta — mówi Lucas, zanim Adriana zdąży odpowiedzieć za niego. Ujmuje wielką łapę. — Będę kiedyś Corta Helio.

Inni się śmieją, ale nie Jewgienij.

— Ja jestem Jewgienij Grigorijewicz Woroncow. Będę kiedyś VTO Moon.

Trzydzieści pięć lat później Lucas Corta patrzy, jak wrak Jewgienija zerka raz po raz w kierunku naparstka już ciepłej wódki. Wszystko w tym pokoju zależy teraz od tego kieliszka. Jewgienij Woroncow się wierci.

— A jeszcze ten finansista.

— Vidhya Rao, tak?

— Rozważasz ten jego plan?

— Giełdę Księżycową? Ono jest przekonujące.

Jewgienij Woroncowa pochyła się.

— A ja mówię: jebać finansjalizację. Woroncowa nie handlują. Nasz biznes to nie jest kupno—sprzedaż. My budujemy. Jesteśmy wielcy, a wielcy zawsze patrzą w górę. Lucas, tam są całe światy. Światy do wzięcia. Leżą i czekają. To jest, kurwa, przyszłość. A Vidhya Rao? Ja ci powiem to, czego ono ci nie powiedziało: do tej jego Giełdy nie potrzeba żadnych ludzi. Dwieście tysięcy robotów, obsługują biznes, eksport helu, pas słoneczny i cały Księżyc jest szczęśliwy i bezpieczny.

— I do czego ty zmierzasz, Giena?

— W którą stronę upadniesz? Na Ziemię spadniesz czy na Księżyc? Przyjedź do Świętej Ołgi. Wszędzie gdzie indziej, kurwa, jeździłeś. Należy nam się.

Lucas rozsmarowuje po biurku błyszczący pył z rozgniecionego dronika.

— Niestety, Księżycowy Orzeł nie może przyjąć tego zaproszenia.

Teraz Jewgienij mógłby wstać z rykiem z fotela, chwycić w wielkie łapska krawędź biurka Lucasa i wyłamać ją. Jednakże odczytuje, co mówi zmiażdżony bot. *Jesteśmy obserwowani.*

— Ale w ramach odwiecznej przyjaźni naszych rodzin może mógłbym wysłać moją Żelazną Rękę? Ona też jest Corta.

— Wszystkie trzy oddziały VTO będą zaszczycone, przyjmując w Świętej Oldze Żelazną Rękę Księżycowego Orła —

oświadcza Jewgienij Woroncow.

Ziemia, Księżyc i Kosmos, wszystkie razem, rozmyśla Lucas. Woroncowowie będą mieli coś ważnego do powiedzenia.

— Poinformuję moją Mão de Ferro — mówi.

— To się, kurwa, choć raz ze mną napij, Brazylijcu z wątrobą z gówna! — ryczy Giena. Zgarnia kieliszek z poręczy fotela. Zostawił na drukowanej skórze wybielony alkoholem krążek — Za rodzinę.

— To wygląda jak miasto — mówi Luna Corta. Leci nad nieskończonym miejskim krajobrazem z torów i bloków. Wyciąga rękę i siłą woli skręca. — Ludzie, hot—shopy, drukarki. Drogi, kolejki linowe, pociągi. — To wszystko iluzja, projekcja na jej soczewce, ale fajnie jest poudawać. — Pakujesz mu miasto do głowy.

— Miasta — odpowiada doktor Gebreselassie.

To ona odpowiada za leczenie Lucasinha. Jest nie tylko lekarzem, a ten proces to o wiele więcej niż tylko „leczenie”. To jak ponowne dorastanie. Ten widok na soczewce, który trochę wygląda jak miasto, a trochę jak coś, czego w życiu nie widziała, to jeden z kluczy do uzdrowienia. A Luna to drugi.

— Czemu nie dacie mi go zobaczyć? — zapytała, gdy tylko Dakota Kaur Mackenzie sprawdziła pokój wizyt ośrodka medycznego.

— Bo to jest delikatna praca — odpowiedziała doktor Gebreselassie, pośpiesznie odprowadzając Lunę do prywatnego pokoju. — Tak delikatna, że sala operacyjna ma zawieszenie

chroniące przed drganiami. To jest nanochirurgia, wkładamy mu do mózgu białkowe chipy, tak małe, że ich nie widać, i łączymy z jego konektorem.

— To wiem — mówi Luna. — Jego zobaczyć. Zablokowaliście mi nawet chowańca.

— Luno, tam nie ma nic do oglądania. Młody człowiek w medycznej śpiączce i kupa maszyn naokoło.

— A otworzyliście mu czubek czaszki? — pyta Luna.

Doktor Gebreselassie wzdrygnęła się zbita z tropu bezpośredniością dziewczynki.

— Chcesz zobaczyć te chipy białkowe? — proponuje, nachylając się w fotelu. Nie kuca, żeby zrównać się z nią wzrostem. To by było obraźliwe.

— Pokaż — mówi Luna i jej soczewka wypełnia się cudami, podobnymi do Południka, gdyby ściany i linia słoneczna też były jak prospekty, a ich wielkie kaniony rozgałęziały się na dziesiątki mniejszych, a te na dziesiątki jeszcze mniejszych.

Wymrukuje tę grafikę.

— Miasta pełne ludzi — oznajmia.

— Ludzi i głosów — potwierdza pani doktor. — I wspomnień. Właśnie do tego jesteś nam potrzebna. Możemy mu wszczepić podstawowe rzeczy, umiejętność chodzenia, język, ale to, dzięki czemu jest Lucasinhem — jego pamięć — została uszkodzona. Bardzo poważnie. Na szczęście wiele tych wspomnień jest w sieci. Te wspomnienia możemy mu przekazać na chipach białkowych. Z czasem, gdy odbuduje się konektom, staną się jego własnymi wspomnieniami.

— To już wiem — mówi Luna. — Chcecie, żebym mu dała swoje wspomnienia.

Doktor Gebreselassie robi taki charakterystyczny ruch głową, gdy coś jest dla niej nie do końca poprawne.

— Tam wejść nie możemy — mówi. Wyciąga palec do wymalowanego czoła Luny. Łypnięcie martwego oka Pani Luny zatrzymuje ją jak wrytą. — W sieci są jego wspomnienia i twoje wspomnienia. Potrzebna jest twoja zgoda, żebyśmy mogli ich użyć. — Widzi rozczarowanie na jej twarzy. — Jeśli chcesz, możesz je pooglądać, kiedy będziemy je zgrywać na chipy.

— Pewnie. To będzie trochę jakby z nim być. Dokąd mam iść?

— Nigdzie nie musisz iść — odpowiada lekarka. — Są dostępne z dowolnego miejsca. — Znów powiedziała za dużo i Luna jest rozczarowana. — Ale możemy znaleźć specjalne pomieszczenie dla ciebie. — Wciąż mars na czole. — I specjalne łóżko.

— I granitę? — pyta Luna.

— A jaki smak lubisz?

—Ja nie mam ulubionych — mówi Luna. — Ja eksperymentuję. Truskawka, mięta i kardamon.

— Zgoda. — Doktor Gebreselassie wyciąga rękę.

— Ja jestem Corta z Corta Helio. To ja się mogę zgodzić albo nie. —Luna uroczyście wyciąga rękę.

Doktor Gebreselassie uroczyście ją ściska.

Truskawka i mięta—dobre. Truskawka i kardamon — może być. Kardamon i mięta — dziwne. Truskawka, mięta i kardamon — kolejny nieudany eksperyment. Luna wysysa resztki ze szklanki, bo nie chce być jak badacz, który tylko do połowy wszedł na Platynową Górę i się poddał. Kładzie się na łóżku. Jest wygodne, a co najważniejsze — wygląda odpowiednio. Bo poza tym ten ośrodek medyczny ma wszystko, czego nie cierpi w ośrodkach medycznych — za jasno tu, za ciepło, pachnie, jakby mieli coś do ukrycia, i nikt nie ma czasu dla dziewięcioletniej dziewczynki.

— Powiedz pani doktor, że jestem gotowa — rozkazuje Lunie —chowańcowi.

— *Dobrze, Luno, ułóż się wygodnie i zaczniemy* — mówi jej głos i twarz na soczewce.

Luna zamyka oczy. W ciemności pod powiekami zaczyna się pokaz wspomnień.

Aż krzyczy. Znów jest w Boa Vista, Boa Vista pełnym zieleni i życia, światła, wody i ciepła. Błogie twarze *orixas* o pełnych wargach patrzą na nią z góry, gdy eksploruje rzekę, brodzi boso po sadzawkach, wdrapuje się na małe wodospady i kaskady, w sukience przemoczonej na wylot. Nad jej głową polatuje dron — uważne oko *madrinhi*. Szczegóły wykraczają poza jej własną pamięć — słyszy poruszenie każdego listka, widzi każdy cień i każdą falkę, wyobraża sobie, że czuje chłodną, chłodną wodę pomiędzy palcami nóg, czuje ciepły zapach zieleni dawnego Boa Vista. Zagajnik wysokich bambusów wabi ją zagadkowymi dźwiękami, aż zapomina o swojej misji — pomiędzy lodygami widać ścieżki, którym młodzi odkrywcy nie

potrafią się oprzeć. Rusza krętą ścieżką, widząc pomiędzy bambusami jakiś ruch. Dociera na polankę pośrodku zagajnika. I tam jest Lucasinho, już powoli przestający być dzieckiem. Ma na sobie długą, powiewną błękitną suknię, jest umalowany.

— Pani Luno, królowo Księżycy! — woła i dyga przed nią zamaszyście. — Yemanja, Królowa Wód wita cię na swoim wielkim balu! — Nachyla się, bierze ją za ręce i, podskakując, tańczy wokół polanki, śmieją się i śmieją.

— Ile miałam wtedy lat? — pyta Lunę—chowańca.

— *Trzy* — odpowiada szaro—srebrna kulka unosząca się nad jej piersią. Czyli Lucasinho miał trzynaście.

Teraz ma piętnaście, a ona pięć i są w jego apartamencie w oku Xango. Zamówił sobie kilka bardzo precyzyjnych botów z długimi ramionami i teraz spędzają długi wieczór, bawiąc się twarzami. Każdy programuje bota tak, by namalował mu nową twarz — wygrywa ten, kto wywoła najsilniejszą reakcję. To pamięta. Nie ma ochoty znów tego oglądać, ze wszystkimi szczegółami, które zamazał czas. Zwierzęta, teatralne maski, makijaż z pokazów mody, bojowe barwy mistrzów sztuk walki. Demony i anioły, czaszki i kości. Potem Lucasinho odwraca się od niej, a jego bot pracuje intensywniej niż przedtem, macha ramionami, tańczy, odskakuje i przysuwa się, kreśli koła, robi nagłe przeskoki nad twarzą Lucasinha.

Odwraca się z powrotem do niej.

Jego twarz to oczy. Same oczy. Setki oczu.

Krzyknęła wtedy. I krzyczy teraz. Wtedy uciekła, lecz teraz zostaje. Teraz może spojrzeć w twarz mającą setkę oczu. Bo

widziała już gorsze rzeczy.

Teraz ma sześć lat i idzie swoją tajną ścieżką do tajnego stawiku zasilanego łzami Iansy, lecz Lucasinho też znalazł do niego drogę i siedzi w wodzie, z kolegą, obaj są nadzy, patrzą na siebie, a kiedy mówi „To jest mój staw”, odwracają się, robią „och” i odskakują od siebie. Dzisiaj Luna rozumie, co wtedy robili, ale wówczas powiedziała tylko „To ja też wchodzę”, a oni uciekli, jakby wlała truciznę do wody.

Tamten chłopak nazywa się Daystar Olawepu, podpowiada jej Luna—chowaniec. Był w seminarium Lucasinha w João de Deus. Dociera do niej, że uciekli nie dlatego, że przyłapała ich na bawieniu się nawzajem swoimi penisami, lecz dlatego, że Lucasinho przemycił go do Boa Vista przez sieć ochrony. I myśli: „Ale przecież nie przemycił, bo sieć ochrony sprawdza każdego. Sieć go przepuściła”. A potem: „Daystar, ładne imię”.

Teraz ma lat siedem, a Boa Vista jest pełne ruchu, pełne świateł i ludzi w pięknych strojach, a ona ugania się pomiędzy gośćmi za ozdobnymi motylami. Ma na sobie białą sukienkę w jaskrawoczerwone piwonie i gdziekolwiek się pojawi, wszyscy się zachwycają, jak ładnie wygląda. Jest tam też Lucasinho ze swoimi przyjaciółmi od Biegu Księżycowego. Luna mówi tej dziewczynie Mackenzie, że ma ładne piegi, Lucasinho ją odgania, bo jest tylko dzieckiem. Ale nic się nie stało, bo byli tam jeszcze *tia*, Ariel, Lucas, Carlinhos, Wagner i babcia Adriana. Trzyma się kurczowo tego wspomnienia o imprezie z okazji Biegu Księżycowego Lucasinha, bo to ostatni raz, kiedy Boa Vista było szczęśliwym miejscem. Jednakże fala wspomnień jest nieubłagana — miliony kolejnych chwil zarejestrowanych,

opisanych, zapisanych. Chowaniec zapamiętuje wszystko przed nią. Aż kręci jej się od tego w głowie.

Wie, co by tę głowę oczyściło.

Nowe połączenie — kardamon, wanilia, nerkowce. To się nie może nie udać.

— Sama?

— Sama — potwierdza doktor Gebreselassie.

Luna dostała tę wiadomość na chowańca, kiedy badała co łatwiejsze tunele i kanały wentylacyjne ośrodka medycznego. Coriolis jest stary, dużo starszy niż Boa Vista, korzeniami sięga głęboko w ścianę krateru. Weszła do korytarzy pokrytych grubą warstwą pyłu, zajrzała przez okienka śluz do całych labiryntów zdehermeryzowanych i odciętych pomieszczeń, do szybów schodzących głęboko w przeszłość miasta i odpowiadających przyjemnym echem na jej imię. Wtem Luna— chowaniec powiedziała jej, że Lucasinho się obudził i może się z nim spotkać. Przybiegła w te pędy.

— Ale czubek czaszki mu nasadziliście z powrotem?

Lekarka po swoim kręci głową w kółko.

— Nie robimy tego. Możesz iść. Zobaczyć się z nimi.

Lucasinho siedzi. Oczy ma zamknięte, oddycha płytko. Jest potwornie chudy i blady. Widać czaszkę w jego twarzy. Ułożone luźno na pościeli ręce ma jak pałeczki do jedzenia, pierś — jak rozpięty na tyczkach namiot. Nad głową unosi mu się chowaniec, Jinji, poskładany w coś jakby astrolabium z

kręcących się zagnieżdżonych trybików. Nigdy nie widziała, żeby czyjś chowaniec tak robił.

— *Jinji jest w trybie minimalnego interfejsu* — mówi Luna— chowaniec. — *Edytuje i przetwarza petabajty zarchiwizowanych danych biograficznych.*

Luna podchodzi na palcach do łóżka. Czuje, jak zawieszenie pokoju ugina się pod jej krokami. Czuje obecność maszyn w ścianach, w podłodze, w niskim suficie. Nie potrafi wyzbyć się wrażenia, że pochowały się tam w pośpiechu, kiedy dotknęła klamki, i wyskoczą na nowo, gdy tylko wyjdzie — i na nowo powbijają się w skórę Lucasinha.

— Lucasinho?

Otwiera oczy. Widzi ją. Poznaje.

— Luna.

Stali pasażerowie windy widzą to i się uśmiechają. Coś pogodnego w szary roboczy poranek. Ochrona Orła to widzi i kiwa głowami. Programiści z biura Orła widzą to i szepczą między sobą. Służba i sztab Orła widzą to i puszczają oczka. Alexia toczy się mimo nich, idzie, a jakby płynie, rozpromieniona.

Żelazna Ręka sobie pobzykała.

Lucas siedzi w Pomarańczowej Altanie — namiot, dwa siedzenia, kamienny stół na końcu zadrzewionego tarasu, jak kropelka śliny na wardze Placu Południka.

— Spóźniasz się.

— Przepraszam. — Nie może powstrzymać szerokiego uśmiechu. Bądź profesjonalna. — Co nowego w sprawie?

— Dogadujemy sędziów i system prawny. Pomiędzy Południkiem, Królową i Farside, przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny odrzuciliśmy dwadzieścia dwie kandydatury. — Popija miętową herbatę ze szklaneczki w kształcie tulipana. Alexii nie proponuje. Wie, że jej nie cierpi. Odstawia kruche szkło. — On ma być tutaj, Alexio. Ja tak chcę. Nie pamiętałem, że nigdy go nie spotkałaś. Ale na pewno słyszałaś, co się mówi — playboy, syn marnotrawny. Jednakże on jest dobry i odważny. O wiele lepszy i od ważniejszy niż ja. Poszedł na Bieg Księżycowy. Ja nigdy się nie odważyłem. Na Biegu uratował życie Kojo Asamoah. Zawrócił, w próżni, żeby go uratować. Wszyscy o tym zapominają. Ale Asamoah nie. Lê...

Alexia sztywnieje. Lucas nigdy przy niej tego *apelido* nie używał.

— Chcę, żebyś pojechała do Świętej Olgi. Spotkasz się z przedstawicielami VTO Księżyc, Kosmos i Ziemia.

Ten wewnętrzny uśmiech, ten blask po seksie, zawadiacki krok seksualnej wyższości — wszystko to zamarza na kość. Może nawet powiedziała na głos słowo „nie”?

—Jewgienij Woroncow przyszedł się ze mną spotkać — ciągnie Lucas. — Ma propozycję. Ofertę. Jestem skłonny jej wysłuchać. Ale sam nie mogę pojechać — muszę wyglądać nieskazitelnie i bezgrzesznie w oczach LMA.

— Kiedy? — pyta Alexia.

— Jutro.

— Jutro?

Lucas unosi brew.

— Jakiś problem?

— Nie, skąd.

Będzie trzeba działać szybko i ostro. Ścisnąć wszystkie plany, sprasować jak diament. Jeśli to ma być tylko jedna noc, będzie to noc, która zatrzęsie Południkiem w posadach.

— No to świetnie — mówi Lucas Corta. — A co ty się tak uśmiechasz?

Nie jest to najlepszy hotel. Leży niemodnie wysoko, nie ma gdzie zjeść, pokój śmierdzi przepracowanym powietrzem i niedopracowaną kanalizacją, a boty sprzątające nie zagląдают w jego rogi.

„Daj mi zarezerwować Meridianę”, prosiła Alexia. „Jest dobra. Ja stawiam. Stać mnie”. Meridiana to drugi hotel w Południku — najlepszy, sześciogwiazdkowy Han Ying jest na stałe zarezerwowany dla LMA i przyjezdnych Ziemi — on jednak się upiera. Łoża Niebiańskiego Spokoju albo nic. Bo Jack od Noża jest ścigany.

— Jestem zdrajcą. Własna rodzina mnie wygnała. Ojciec wydziedziczył. Jestem pariasem.

— Co takiego? — mówi Alexia, on jednak otwiera drzwi do zatęchłego, ciasnego pokoju i widzi łóżko. — O, bogowie, ja pierdolę — mówi i zwala się na nie jak spadający satelita. Zanim Alexia zdąży wrócić z łazienki, już śpi, chrapie, uśmiechnięty jak niemowlę.

Znajduje sposób, aby go obudzić. Pieprzą się, walczą, realizują nawzajem na swoich ciałach zapomniane fantazje seksualne, zostawiają głębokie ślady na skórze i w sercach, śmieją się, krzyczą, płaczą, wykrzykują najplugawsze przekleństwa. Śpią wyczerpani własnymi ciałami.

I znów się do tego zabierają. Pieprzą się raz, drugi, trzeci. Obciągają sobie nawzajem. Przekręca ją na wznak, zadziera jej nogi do góry i rżnie ją jak kafar, a ona, choć od rytmu jego fiuta aż dudni jej krew w głowie, cała się poddaje, daje się kontrolować, daje się poniżyć. O ile tylko od razu potem zrobi jej *gamahuche*.

Śpią po raz drugi.

Alexię budzi pustka przy boku. Obraca się, widzi go przycupniętego jak ptak na jedynym krześle. Patrzy przez małe, okrągłe okienko. Kwadra Antaresa ma teraz nocną zmianę, przez szybkę wlewa się srebrnoniebieskie światło. W jego świetle każda blizna na ciele Jacka jest sina, jak teren pełen wałów i grzbietów. Spogląda w światło i Alexia widzi dzieciaka, niewiele starszego od tych, dla których walczy na górze w Bairro Alto.

Jest tak piękny, że aż serce jej staje.

— Potworne rzeczy robiłem — mówi. — Straszne. Krew, całymi latami. Zapachu nigdy nie zapomnisz. To takie światelko. Czuję w dłoni nóż i się zapala. Jest groźne, wspaniałe, wypełnia wszystko. W tym świetle wszystko jest piękne. Widać rzeczy, których nikt inny nie widzi. Aż po kraniec wszechświata. Tylko w tym świetle widzę wyraźnie.

Uwielbiam je.. Nienawidzę robić tego, co robię, ale to jedyny sposób, żeby je zobaczyć. A ja muszę.

Patrzy na nią przez pokój. W świetle antaresowej nocy skórę ma siną.

— Lê , oni mnie stworzyli do zabijania. A kiedy nie chciałem zrobić tego, co mi kazali, wypędzili mnie.

— *Coração.*

— Na portugalski to ja dalej dostaję gęsiej skórki.

Alexia zrzuca prześcieradło, nalewa do szklanki wódki z butelki siedzącej w kubelku z lodem na nocnym stoliku. On kręci głową na wódkę, ale wślizguje się obok niej, wtula w jej ciepło. Przesuwa dłońią po jego boku. Czuje każdą bliznę. Cały się trzęsie.

—Spokojnie — mówi. — Spokojnie.

— Jeszcze nikomu tego nie mówiłem. Nigdy.

Całuje go w policzek, po staroświecku, przyzwoicie. Kładzie się obok, leży, dopóki on nie zaśnie. On wzdryga się, pojękuje. Leży dłużej, dopóki nie ustaną koszmary, jeszcze dłużej, póki nie będzie pewna, że może się ruszyć. Wydobywa rękę spod jego barku. Coś mruczy.

Pierwszy Nóż.

Alexia wywołuje Maninha. Celuje soczewką w śpiącego mężczyznę.

— *Kto to?*— pyta bezgłośnie.

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

— *Denny Mackenzie.*

Ubiera się szybko i cicho. Zamyka drzwi, buty wsuwa na korytarzu.

Idź pewnie i szybko. Nie oglądaj się. Jedno spojrzenie i zamienisz się w słup soli. Nie zatrzymuj się. Nie możesz się zatrzymać. Jeśli usłyszysz, że woła twoje imię, odwrócisz się. I wszystko mu powiesz.

Zniszczyłam twoją rodzinę. Zabiłam twojego dziadka. Wasze miasto stopiłam na żużel.

Wciska guzik windy.

— *Dokąd?* — pyta w jej imieniu Maninho.

— Na dół — szepcze. Piers jej faluje. — Na sam dół. Zawołaj mi *moto*. Zarezerwuj wagon do Świętej Olgi.

Winda jest pusta. Siada pod ścianą, przyciąga kolana do piersi. Ogarnia ją bezdenne szloch, rozdygotane łyzy nędzy. Opada przez jasną jak klejnot noc w Kwadrze Antaresa.

Zabiłeś Carlinhosa. Zapaliło się w tobie światełko, powaliłeś go na kolana i poderżnąłeś mu gardło, a potem rozebrałeś go do naga i powiesiłeś na kładce. I byłeś piękny i uwielbiałam cię. I do tego jestem tchórzliwa, bo wołałam uciec niż skonfrontować cię z prawdą o tym, kim jestem.

Wstawaj. Jesteś Mão de Ferro.

Zbiera się wysiłkiem woli. Już może oddychać.

— *Prospekt Budarina* — mówi Maninho.

Moto już czeka. Alexia wślizguje się na otulające ciało siedzenie.

— *Dworzec Południk* — odzywa się *moto*, zamykając się wokół niej i przyśpieszając. — *Przewidywany czas dojazdu dwie minuty osiem sekund.*

— *Zawiadom gabinet Orła, że jestem w drodze, zgodnie z rozkazem. Zawiadom Świętą Olgę i zażądaj, żeby powitała mnie*

na peronie oficjalna delegacja VTO. Zaprowadź mnie do saloniku dla VIP—ów. Muszę wziąć prysznic i potrzebuję nowego ubrania. Ma być po równo modne, profesjonalne i zbuntowane.

— *Załatwione* — mówi Maninho, gdy *moto* nurkuje po stromej pochylni do hali dworcowej.

Na peronach dworca Południk o każdej porze jest pełno podróżnych, pracowników, studentów i rodziców. *Moto* otwiera się w hallu biznesowej poczekalni, Alexia rozprostowuje się. Pracownik Równikowej Jedyńki czeka już z pudełkiem świeżo wyjętych z drukarki ubrań, jego kolega trzyma ręcznik i firmową kosmetyczkę.

— Witamy, *senhora Mão* — mówi ten z kostiumem. — Proszę łaskawie iść za moim kolegą.

Powietrze jest świeże jak w spa i perfumowane syntetyczną sosną, ale Alexia czuje zapach i smak pyłu. Wkradł się z powrotem w powietrze po oczyszczających deszczach. Pył nigdy nie umiera.

On tu jest, na dachu tego świata.

Chowaniec dźwięczy — plik z gabinetu Księżycowego Orła. Zaakceptuj i otwórz. *Nowa skórka dla Maninha. Bardziej pasująca do twojej roli jako mojej przedstawicielki*, mówi Lucas w załączonej wiadomości. Przebranie chowańca to chwila. Chowańce to elementy rozszerzonej rzeczywistości, istniejące wyłącznie w oku patrzącego, a właściciel prawie ich nie widzi. Maninho pokazuje swój nowy kształt — metalowa rękawica trzymająca górniczy kilof. Mão de Ferro. Żelazna Ręka.

DZIESIĘĆ

Jazda z Południka jest zbyt krótka, wyczarterowany wagonik zbyt mały, a ochrona zbyt blisko, by Alexia była w stanie rozmyślać o otwartej ranie, jaką jest Denny Mackenzie. Jeszcze jątrzą się brzegi. Buzują oskarżenia i konsekwencje. Spopiela ją wina, skrucha zamienia w lód. Denny Mackenzie. Denny Mackenzie.

Wysiada ze śluzy prosto w wyziewy i odory Świętej Olgi, stolicy i fabryki Woronców. Południk to elektryczność, spiekana skała, opony, gorące jedzenie, kadzidło, rzygi i ścieki, Królowa Południa to łagodni piżmo komputerów, plastiku, klejów budowlanych, dżinu plus ostrzegawcza nuta siarczystego, podskórnego mrozu. W takim razie Święta Olga to aromat botów i maszyn, pyłu, powietrza uwięzionego od lat w głębokich zakamarkach, iskrzenie promieniowania, stęchłej wody kolońskiej.

— Mão de Ferro. — Kłania jej się niski, chudy jak szczapa pracownik VTO o nieokreślonej płci.

Neutko, domyśla się Alexia, z trudem przypominając sobie odmianę w rodzaju nijakim. Pav Nester, informuje Maninho.

Młody człowiek o zabójczych kościach policzkowych podsuwa deskę z małym chlebkiem i miseczkę z solą.

— Witamy w Świętej Oldze.— Alexia odłamuje kęs chleba, macza go w soli.

— Chleb i sól — mówi. Maninho w poczekalni dla VIP—ów na dworcu zrobił jej wykład o etykiecie Woroncowów. — Orzeł przekazuje najszczęśliwsze przeprosiny.

Młoda kobieta, żeńska odpowiedniczka młodego Woroncowa, podsuwa tacę z opaskami na rękę.

— W Oldze od zawsze mamy problemy z promieniowaniem — mówi Pav Nester. — To jest do monitorowania dawek.

— *I do monitorowania ciebie*, mówi Maninho.

— *Możesz to wyłączyć?* — pyta, zakładając opaskę.

— *Jestem w środku* — mówi Maninho. — *Już. Możesz to włączyć i wyłączać, kiedy chcesz.*

Święta Olga mieni się najstarszym miastem na Księżycu — stąd pierwotnie wysyłano metale ziem rzadkich wytopione przez roboty wydobywcze Mackenziech — i ten wiek widać wszędzie. Kopuła nad małym kraterem, nie większym niż dwa kilometry średnicy, przysypana potem sześciometrową warstwą regolitu. Przez dziesięciolecia obrosła peryferiami hal budowlanych, stacjami pętli księżycowej i BALTRAN—u, masztami łączności, generatorami fotowoltaicznymi, halami inżynieryjnymi i serwisowymi, ale jej sercem jest wciąż ta szara, niczym się niewyróżniająca półkula Woroncowów, zanieczyszczona, pełna przecieków promieniotwórczych.

Wnętrze kopuły to chaos i okazałość. Miasto Woroncowów to walec pełen mieszkań, firm, hot—shopów, przedszkoli,

żłobków i seminariów, warsztatów, kapliczek, wysoki na kilometr i ustawiony dokładnie pośrodku kopuły. Galeryjki, schodki, kładki oplatają gołe ściany tego zamkniętego miasta, ruchome schody i chodniki znikają w środku. Nic tu nie jest równe, proste, poziome ani pionowe. Święta Olga rosła jak muszla przez swoje siedemdziesiąt lat, dobudówki do aneksów, dodatkowe piętra na piętrach, poziom za poziomem, całe nowe dzielnice nadbudowujące stare, warstwowo jak stalagmit wokół niewidocznego starożytnego rdzenia, a wszystko oplecione siatką rur i łańcuchowych odciągów, kabli łącznościowych i lin kolejek.

Alexia już wie, że będzie się tu czuła jak u siebie w domu.

Oczekiwany jest strój wieczorowy.

— To jest oficjalne przyjęcie — mówi Pav Nester. — Obowiązują pewne standardy.

Dyplomatyczny apartament Alexii znajduje się w samym środku Świętej Olgi i wychodzi na placyk pełen zapyłonych sukulentów i zwisających paproci. Gdzieś w dole szemrze wodna kaskada. Kiedy wyjdzie na balkon i popatrzy w górę przez rzędy balkonów i płataninę kabli, może dojrzeć kwadracik niebieskiego nieba, zmieniający się to w szarość, jak przy braku sygnału, to w czerń całkowitej awarii ekranu. W Świętej Oldze nawet niebo jest w kiepskim stanie. VTO buduje infrastrukturę, od której zależy cały Księżyc, ale nie potrafi utrzymać własnej stolicy. Pav Nester prowadzi ją schodami, rozklekotanymi kładkami pomiędzy ścianami z gołej

skały, przez ociekające wodą tunele i stare, zatęchłe pomieszczenia, do samego serca miasta. Odległość od promieniowania, kluczowa miara księżycowych klas społecznych, pod tą kopułą jest tak samo ważna, ma tylko inny kierunek — od środka do wewnątrz, a nie w dół. Bliżej serca, dalej od krawędzi kopuły.

— Brzydka, niemodna, wyglądam w niej na osiemdziesiąt lat, grozi potknięciem, za bardzo falbaniasta — mówi Alexia o pierwszych pięciu projektach sukien, które pokazuje jej Pav Nester.

— Falbaniasta?

— No, marszczona — mówi z niesmakiem Alexia. — Plisowana.

Pav Nester rzuca jej na soczewkę kolejny model. Śnieżnobiała, do ziemi, z wysokimi, imponująco wypchanymi ramionami, szarfą w talii, elegancka jak rzeźba. Mordercza w swojej klasie.

— Rękawy? — odzywa się Alexia, a Pav Nester opuszcza ramiona. — Co to ma być? W moim świecie suknie wieczorowe nie mają rękawów. W ogóle niewiele mają.

Asystent wyświetla następną suknię.

— O, ta — stwierdza Alexia. — Zdecydowanie.

Kiedy drukarnia przygotowuje suknię, ona bierze prysznic. W Świętej Oldze nawet woda wydaje się używana. Świeżo wysikana. Suknia jest pod drzwiami, zanim zdąży zająć się skórą i twarzą.

— Pomóż mi z tym — prosi Pava.

Maninho pokazuje jej własny obraz. Samym wyglądem mogłaby zabić każdego w promieniu dwudziestu metrów. Upina włosy, wydyma wargi, kładzie dłonie na biodrach.

Transport przyjechał.

Wybuchą pełnym osłupienia śmiechem, otworzywszy drzwi wychodzące na wąską i stromą uliczkę. Lektyka, niesiona przez muskularnych ludzi, zieluniaka i zieluniaczkę.

— Chyba żartujecie.

— To bardzo praktyczne, jeśli wziąć pod uwagę naszą geografię i pani strój — mówi Pav. Podaje Alexii torebkę, o której zapomniała, i zamyka drzwi. — Zdecydowanie proszę się trzymać uchwytów.

Szarpnięcie lektyki omal nie zrzuca jej na podłogę. Ścisła skórzane paski, aż bieleją jej knykcie. Jak kolejka górską w wesołym miasteczku I szarpie, przechyla się, zadziera nos na stromych schodach, zjeżdża karkołomnymi pochylniami, pnie się w górę spiralami, przenika przez hologramowych świętych i neonowe kapliczki, mija uliczne anioły i dzielnicowych superbohaterów, aż ląduje z rumorem przed podwójnymi wrotami z wyrzeźbionym misternym wzorem z łuków i ostrołuków. Kordon ochrony ma trzy szeregi ludzi. Alexia wciska torebkę pod pachę i postanawia wysiąść i jak najdyskretniej zalsnąć. Maninho rzuca tragarzom garść bitsów. Pav już jest na miejscu, przybyło inną, dyskretniejszą drogą. Na jego dymno—szarym, brokatowym szalwar kamizie ani zmarszczki, ani zagniecenia.

Hol jest pełny nowo przybyłych gości i witających ich gospodarzy. Alexia mija ich bokiem. Maninho wyświetla mapę

apartamentu, lecz ona kieruje się własnymi, pewniejszymi zmysłami. Idź tam, gdzie najgłośniej. Głowy odwracają się — w holu, w przedpokoju, w salonie, gdy tak sunie na swoich sześciocentymetrowych szpilach.

Szpilki ostatni raz miała na nogach, kiedy udawała pokojówkę w hotelu Copa Palace. Ale wtedy wszystko było za ciasne — buty, spódnica, bluzka, opadające rajstopy. A dziś wszystko leży jak ulał.

Maitre d' zapowiada ją w salonie. Wszyscy patrzyli na nią dużo wcześniej, nim ta kobieta wypowiedziała z jedwabistym rosyjskim akcentem jej imię. I nic dziwnego. Suknia to tuba z lśniącej satyny, tak ciasna, że ledwo da się oddychać. Jest goła od góry biustu po czubek fryzury. Całość trzyma się chyba tylko na słowo honoru i nadzieję wszystkich świętych. Operowe rękawiczki za łokieć. Nie da się w *tej* sukni nie grać wampa. I ona, i wysokość obcasów po prostu do tego zmuszają.

— Żelazna Ręka! — woła *maitre d'*, budząc szalony aplauz.

Alexia już ma przyjęcie rozpracowane — ci, co wezmą ją na cel, ci, co będą selekcjonować ludzi, z którymi musi porozmawiać, i ci, co będą próbowali ją uwieść. Zgarnia martini z tacy i gotuje się na bitwę.

Mija pełne pół godziny, zanim Woroncowowie robią pierwszy ruch.

Typ jest wysoki, ale oni wszyscy są wysocy. Jest precyzyjnie wyrzeźbiony, niebieskooki, zabójczo przystojny. Jak wszyscy. Alexia kojarzy go z posiedzeń LMA — jeden z tego młodego, pewnego siebie pokolenia, zajmującego najwyższy rząd ław i czatującego na przejęcie władzy. Ma wieczorową koszulę,

sztywną białą muchę, frak. Jest dokładnie w typie Alexii. Woroncowowie zrobili dokładny wywiad.

— Alexia Corta. — Kłania się. Jest bardzo pociągający.

— Dmitri Michajłowicz.

— Wygląda pani oszałamiająco. Nie każdy się odnajduje w tych latach czterdziestych dwudziestego wieku, ale pani to klasyczna hollywoodzka gwiazda. Prawdziwa bogini ekranu.

Alexia nigdy nie ufała błękitnym oczom. Zagląda się w nie zbyt głęboko, a to, co widać na dnie, jest zimne i brutalne. Jednakże w niebieskich oczach Dmitrija widać iskierkę.

— *Lód to czy ogień?* — szepcze do Maninha.

Zanim zdąży odwzajemnić komplement, on kontynuuje:

— Dość taka... asertywna skórka na pani chowańcu.

— Nie pasuje do mnie?

— Oczywiście pasuje, ale jest trochę nietypowo *metalowa* jak na Cortę.

— To cała ja.

— Żelazna Ręka. Przepraszam. Nigdy nie byłem w stanie opanować tych portugalskich nosowych głosek.

— Mão de Ferro.

Dmitri wyprowadził ją z salonu do sklepionego krużganka. Pośrodku niego stoi fontanna. Obchodzą ją kolumnowymi arkadami. Zgodnie z logiką Świętej Olgi ten pałac musi leżeć w samym sercu miasta, ale pomieszczenia są przestronne i Alexia nie czuje klaustrofobii. Powietrze jest świeże jak na Olgę i ciężkie od wody kolońskiej i Cuir de Russe. Dmitri Woroncow pachnie tak samo pięknie, jak wygląda. Jeszcze nikt nie ruszył jej na ratunek.

— Zawsze mi się podobał ten tytuł. Zupełnie jak coś, co my moglibyśmy wymyślić.

— To nie jest tytuł i ja go nie wymyśliłam — wyjaśnia Alexia. — Mão de Ferro to moje *apelido*, przydomek. W Brazylii nikt się bez niego nie obejdzie. Ale samemu się go sobie nie wymyśla, muszą go nadać inni. A Mão de Ferro to stare górnicze *apelido* z Minas Gerais. I oznacza najbardziej poważanego górnika. Numer jeden. Szef.

— Albo szefowa. — Dmitri Woroncow delikatnym dotknięciem prowadzi Alexię za róg krużganka.

Ma wymanikiurowane paznokcie, zauważa Alexia.

— Mój pradziadek Diego był pierwszym Mão de Ferro. I to stało się rodzinnym przydomkiem. Ale kolejnego Mão nie było w mojej gałęzi rodziny od pokoleń. Od czasu mojej babki ciotecznej.

— Adriany Corty. A teraz pani... ty. Powiedz mi, Żelazna Ręko, kto tobie nadał ten... przydomek?

— Lucas. Księżycowy Orzeł.

— Widzę puste szkło. — Biorąc od niej kieliszek, odrobinę za długo dotyka jej palców swoimi. — Masz ochotę na jeszcze jeden? Czy zostajemy tutaj, z dala od tego zgiełku? Przyjęcia bardzo mnie męczą.

Rozkoszny kłamczuszek.

— Z przyjemnością wypiję jeszcze jeden.

— To proszę pozwolić, że go przyniosę. — Maniery ma nieskazitelne jak garnitur, ale nie udaje mu się. Sprowadza rozmowę na piłkę ręczną, prowadząc Alexię krużgankiem z powrotem do salonu.

— Wiem, że jest tu bardzo popularna.

— Dla mnie to całe życie. Jak dla wszystkich w Świętej Oldze. Kiedyś grałem, potem zająłem się zarządzaniem. Jako właściciel. Święci? Na pewno słyszałaś. Muszę cię kiedyś zabrać na mecz. Nie rozumiesz piłki ręcznej, to nie rozumiesz Księżycy.

— Z przyjemnością — mówi Alexia. — Kiedyś. Ja kiedyś grałam w siatkówkę. W Rio wszyscy grają. Siatkówka plażowa. W absurdalnie skąnym i absurdalnie obcisłym bikini. Z nazwiskiem na tyłku.

W życiu nie grała w żadną siatkówkę plażową.

Wymyka mu się, nawet się nie oglądając, i sama sobie organizuje kolejne martini. Przyjęcie rozstępuje się, by ją przyjąć. Powitania, komplementy, uprzejmości. Chłopakowi się nie udało, to teraz rzucą dziewczynę. Alexia już ją zauważyła, ukradkiem na nią zerknęła, z drugiej strony sali. Przyłapała ją na tym spojrzeniu. Wielkie piwne oczy, brązowa skóra, przepiękny klin włosów. Kremowy jedwab, perły. Przesuwa się prawym skrajem przyjęcia, Alexia lewym, spotykają się przy nalewaku z wódką.

— Masz mnie — mówi oszałamiającym, miodopłynnym barytonem. — Nie jestem w to taka dobra jak Dmitri. — Dłoń w rękawiczce. — Irina Efua Woroncowa—Asamoah.

Irina o uwodzicielskim głosie ma lat siedemnaście i urodziła się w Świętej Oldze. Ojciec — Wan Iwanowicz, siostrzeniec Jewgienija Grigorijewicza.

Matka — Patience Quarshie Asamoah, kuzynka Lousiki Asamoah. Maninho wyświetla Alexii. jak jest spokrewniona z Iriną. Aż w głowie się kręci od tych skomplikowanych relacji.

— Myślałam. że Woroncowowie i Asamoah to historyczni wrogowie —mówi.

— To prawda. — Irina Asamoah mogłaby czytać listing kodu maszynowego, a i tak by zachwyciała. — Ale ludzie tacy jak ja to pokój w tej wojnie. —Sunie z szelestem kremowego jedwabiu na balkon, wysoko nad połyskującym biolampkami głębokim dziedzińcem. Podchodzi blisko do Alexii, na pogranicze intymnego dystansu.

— To po której stronie jesteś? — pyta Alexia.

— Nie rozumiem.

— Woroncowów czy Asamoah ?

Irina marszczy czoło, pomiędzy jej oczyma pojawiają się dwie zmarszczki zakłopotania.

— Po obu. Po żadnej. Po swojej.

Gdy tylko Alexia złapie w ręce fragment księżycowego życia, on od razu straszy pióra i jej ucieka, kolorowy jak papużka. Rodzina jest wszystkim, z wyjątkiem przypadku, gdy rodzina każe ci wybrać stronę, narzuca ci tożsamość. Alexia przypomina sobie ghazi, którą spotkała na dworcu w Twé — Dakotę Kaur Mackenzie. Miała wtedy wątpliwości, czy ktoś z Mackenziech może zmienić barwy i być lojalnym wobec innej, większej idei. Z domu Mackenzie, zawsze Mackenzie. Ale po ghazi i po jedwabnej Irinie Efui już rozumie, że tożsamość też jest tu negocjowalna. Rodzinę masz taką, jaka ci odpowiada.

— Wyciągnęłam cię tutaj, żeby cię ostrzec. Moje zadanie to cię uwieść. I zrobię to, a ty będziesz zachwycona. — Schodzi ze świetlistego balkonu i ogląda się przez ramię, tanecznym krokiem wchodząc z powrotem pomiędzy gości.

Alexia nie może za nią nie pójść. Irina przedstawia ją kolejnym Woroncowom. Przystojnym, wysokim Woroncowom z Księżycy, układającym tory i ciągnącym kable, królom pociągów i królowym łązików. Przysadzistym, człapiącym Woroncowom z Ziemi, na nowo uczącym się grawitacji. Wyciągniętym, wątłym Woroncowom z kosmosu, walczącym z tą grawitacją. Maninho zapamiętuje twarze, nazwiska, imiona, otczestwa i matczestwa. Alexia stara się nie przypominać sobie Walerija Woroncowa z jego układem planetarnym woreczków do kolostomii i wijących się cewników.

Nazwiska, twarze, skrawki biografii. Oszałamiające toalety i sztywne fraki. Alexia unosi na moment wzrok i widzi, jak Irina wymienia spojrzenia z Pavem Nesterem po drugiej stronie sali. Irina widzi, że ona to widzi, i uśmiecha się bezwstydnie. *Piękna jesteś, piękne złote dziecko. Nigdy nie zaznałaś niczego innego. Zawsze będziesz podziwiana, twoje dni wiecznie będą słoneczne. Nikt nigdy nie będzie cię osądzał po akcencie, urodzeniu, pieniądzech, kolorze skóry.*

— Nagadałaś się już z obwisłymi staruchami i paskudnymi dziedziczkami rodu? — pyta Irina.

— Jeszcze z kimś powinnam pogadać?

— Reszta albo cię zaatakuje, albo zanudzi. To właściwie już koniec balu. Kolejne pytanie: dasz radę biegać w tej sukience?

— Dam, ale zaraz polecę w powietrze. A co?

— Abyś tylko była szybsza niż twoja ochrona — rzuca Irina, zadziera koktajlową sukienkę i rusza pędem, jak kremowo—brązowa strzała.

Alexia w okamgnieniu wyłącza swojego szpiega i biegnie za nią. Po pierwszym kroku omal się nie przewraca, zaczepiając się o własną spódnicę. Pochyliła się, łapie ją w szwie i rozdziera aż do biodra. Teraz można biec. Po pierwszym kroku wylatuje wysoko pod żyrandol, po drugim ląduje na ścianie, a Irina już skręca w jakiś korytarz. Alexia stara się biec nisko i równo. Zdyszane i roześmiane docierają do pustego, nieurządzonego pomieszczenia, goła skała i aluminium, z daleka od przepychu publicznych sal. Dookoła, na wysokości talii, ma pierścień okrągłych, Metrowych włazów. Irina patrzy Alexii w oczy i zrzuca buty.

— Obiecałam, Alexio, że cię uwiodę — mówi.

Nad każdym z okrągłych włazów są dwa uchwyty pomalowane w ostrzegawcze paski. Irina łapie się ich, wskakuje nogami naprzód do włazu i znika. Alexia słyszy daleki, niosący się echem okrzyk radości.

Zrzuca buty i w sekundę ląduje w opadającej rurze, zjeżdża na plecach, nabierając szybkości, nogami do przodu w nieznaną. Chichocze. Rura robi się niemal pionowa, łapie ją grawitacja. Spada w całkowitej ciemności, rzucona to na lewo, to na prawo w zakręty, sukienka wydyma się wokół niej. Nie może się powstrzymać od okrzyku — strachu i ekspiacji, potem żołądek podchodzi jej do gardła, gdy spadek łagodnieje, a rura zwija się w długą spiralę, zwój za zwojem, w dół i w dół. Krzyczy, wyje, wrzeszczy, obijając się o wnętrze rury jak ludzki śmieć wrzucony do ścieku. Zaraz się zsika z ekscytacji. Przed nią pojawia się świetlna kropka, która zamienia się w kółko — chwilę potem Alexia wylatuje z run i ląduje z krzykiem w

gnieździć z miękkiej gąbki. Zrywa się na nogi. Jest oszołomiona, wzrok ma szklisty jak po dobrym seksie. I śmieje się, śmieje i śmieje.

Irina wyleguje się na gąbce, wielkie ciemne oczy ma szeroko otwarte i uwodzicielskie.

— Co to było? — pyta Alexia.

— Procedura ewakuacji numer dwa — odpowiada Irina.

Teraz Alexia widzi, że jest tu tyle samo wylotów, ile na górze było wlotów — jak to jest daleko? Wydawało jej się, że zjeżdżała bardzo długo, ale na zjeżdżalni czas się rozjeżdża.

— Pięćset metrów pod Świętą Olgą — mówi Irina, jakby czytała jej w myślach. — To jest schron przeciwko promieniowaniu. Kiedy na Słońcu jest rozbłysk, wskakujemy do najbliższej zjeżdżalni.

— W mojej był korkociąg — rzuca Alexia.

— Co to „korkociąg”?

— Spirala. Ślimak. Czemu robić coś takiego w zjeżdżalni ewakuacyjnej?

— A czemu nie? — dziwi się Irina. Marszczy urzekająco czoło. — Niektóre mają pętle. Prawie każdą jechałam.

Tajemne wesołe miasteczko pod stolicą VTO. Rozrywkowy system ewakuacji. U Woronców wszystko jest wielkie — przypomina sobie Alexia. Wielka miłość, wielka złość, wielkie oddanie. Wielka frajda. Ze zjeżdżalni ewakuacyjnej dochodzi wysoki pisk, coraz głośniejszy, aż wreszcie z włazu wylatuje chłopiec i koziołkuje wśród gąbek. Wstaje — fala jasnych włosów i szeroki uśmiech. Ma na oko ze dwanaście lat. Wybiega roześmiany ze schronu.

— Sukienkę mam zniszczoną — mówi Alexia. — Nie mogę się tak nikomu pokazać.

— Piętro wyżej jest drukarka. — Irina nieśmiało wierci piętą w podłódze. — Ale...

— Ale?

— Ale może ubierzesz się w coś innego. Bo ja już szłam na inną imprezę. Porządną imprezę. Dla takich ludzi jak my.

Bardzo kuszące dla Alexii. Chwila wolnego od obowiązków i odpowiedzialności Mão de Ferro. Czas, by pobyć Alexią Cortą, cariocą i Królową Rur, z ludźmi w podobnym wieku i z podobnymi poglądami. Ludźmi nieobciążonymi władzą.

Wiesz, Irino, prawie ci się udało.

— Nie, ja mam robotę — mówi Alexia. — Od samego rana mam spotkania. Z ludźmi nie takimi jak my.

Irina zagryza wargę rozczarowana, a potem kiwa głową.

— No dobrze. Ale jak z nimi skończysz, to się odezwij. — Podchodzi na palcach, całuje Alexię ostro i zmysłowo w usta i odchodzi, bosa i wspaniała.

Moje zadanie to cię uwieść, powiedziała wcześniej. I ja to zrobię. I będziesz zachwycona.

Alexia dała się uwieść. I jest zachwycona.

Kamień w kosmosie, podświetlony od tyłu, na tle Ziemi w kwadrze. To samo słońce rzuca geometryczne cienie — nad tym kamieniem pracowały ludzkie ręce.

Alexia Corta unosi się nad tą przekonstruowaną skałą. Unosi się w kosmosie. Ludzkie konstrukcje uświadamiają wielkość.

Domyśla się, że całość ma może z kilometr średnicy. Skały w kosmosie to nie jej działka. Obraca się pod nią. Dopiero po chwili z ruchu światła i cieni domyśla się, że to ona sama się porusza, nie ta skała. Wyobraźnia przestrzenna to też nie jej działka. Na oświetlonej powierzchni kosmicznej skały widzi cienką, ciemną linię. Jakiś artefakt? Cień. Kiedy próbuje sobie wyobrazić, co mogłoby rzucać taki cień, dostrzega świetlistą linię. Pionowa lina. Przesuwa głowę, by się jej przyjrzeć, a prezentacja reaguje, przekręca świat i przyciąga ją do tej liny.

Ponownie patrzy w górę i kamera ponownie zmienia punkt widzenia — ma teraz przed sobą twarz Księżyca. Pomiedzy nią i ziemską stroną w pełnym słońcu jest jakaś skaza w polu widzenia, jak mroczek w gałce ocznej. Trudno w takim świetle rozpoznać szczegóły, ale powoli domyśla się, że to coś geometrycznego — wysięgniki do dokowania, baterie słoneczne, anteny, zbiorniki paliwa, moduły podtrzymywania życia, boty, roboty konstrukcyjne, manipulatory. Jakaś stacja kosmiczna. Kamera obraca się na boki, pokazując jej zakotwiczone do doków kosmiczne pojazdy, zbiorniki na hel i lantanowce, lśniące bloki meteorytowego lodu wielkości budynków mieszkalnych. Jej wzrok odwraca się od stacji — znów widzi linię i Księżyc za nią. Coś sunie ku niej, z wielką prędkością, mija ją, znika. Nie zauważyła punktu, w którym wspinanie się po linie zmieniło się w lot wzdłuż liny, a potem w opadanie wzdłuż niej.

Ale lecąc cyklerem z Ziemi, nie zauważyła punktu, w którym Księżyc przestał być na niebie i zaczął być światem pod jej

nogami.

Zna na tyle selenografię Tej Strony, by się zorientować, że lina niesie ją daleko na południe od równika. Jedzie windą orbitalną nad Tycho i Claviusem. Jeszcze dalej na południe — teraz na biegunową nieckę rzucają swój wieczny cień zbocza Shackletona. W wiecznym cieniu dostrzega światła. Gwiazda płonąca jaśniej od wszystkich innych — Pawilon Wiecznego Światła na szczycie swej szklanej wieży. Teraz wyłania się zamęt i bałagan powierzchni otaczającej Królową Południa — porzucone łaziki i spiekacze, przestarzałe moduły mieszkalne, wieże antenowe, śluzy, rozjeżdżony gąsienicami szary regolit. Księżycowe miasta, w środku tak wspaniałe, takie architektoniczne, dokładne, na zewnątrz są jak goniące za modą nastolatki, które rozrzucają ubrania po pokoju. Łańcuch jasnych światel wyłania się z cienia ściany krateru na słońce — transpolarny ekspres dojeżdża do Pierwszego Miasta. Niżej, bliżej. Pod nią otwiera się stacja dokująca, czarna paszcza. Prezentacja się kończy, soczewka Alexii się opróżnia.

Siedzi za okrągłym stołem konferencyjnym. W sali jest ciemno, tylko ten stół jarzy się od wewnątrz, podświetlając dramatycznie twarze zebranych menedżerów. Starzy ludzie, prawie wyłącznie mężczyźni, których spotkała na przyjęciu. Ci wysocy to VTO Moon, przysadziści — VTO Earth, a wąтли, pająkowaci — VTO Space. Ale są i młodsze twarze, wśród nich parę kobiet. A każda twarz jest poważna i wyzbyta uśmiechu. Tak to jest u Woroncowów. Uważają, że Brazylijczycy uśmiechają się jak głupki.

— Imponujące.

Poważne twarze czekają, nic nie mówią. Wiedzą, że nie rozumie, co widziała. Przejazd kolejką linową z kosmosu na Księżyc.

— Budując windę na biegunie, pozostawiamy otwarte orbity okołorównikowe — mówi Paweł Woroncow, dokładnie naprzeciwko niej.

— Nasza pętla księżycowa będzie nadal działać, razem z cyklerami — do—daje Orin Woroncow po jej lewej.

— Do transportu ładunków biologicznych — dopowiada Piotr po jej prawej.

— Czas jazdy do przeciwwagi będzie wynosił około dwustu godzin. Zbyt duża ekspozycja na promieniowanie jonizujące.

— A obudowanie wind ekranami zmniejszającymi promieniowanie do poziomu zdatnego dla człowieka jest nieopłacalne ze względu na ciężar.

— W załącznikach jest pełna specyfikacja — mówi Orin, tym razem z uśmiechem.

— Rany boskie, co za banda rozgadanych debili! — Wtrąca się nowy głos i nowa twarz. — Ona tego nie rozumie!

Walerij Woroncow jest jak zjawia na uczcie, homunkulus wyświetlający się na każdej soczewce. Łączy się ze *Świętych Piotra i Pawła* po drugiej stronie Ziemi, skąd nie ma bezpośredniej łączności z Księżycem — oprócz żelaznego dwusekundowego opóźnienia wynikającego z prędkości światła jego awatar jest przekazywany przez satelity łącznościowe na wysokiej orbicie okołozemskiej. To jeszcze wydłuża zwłokę — Walerij jest na tym spotkaniu zapóźniony o dziesięć sekund. Program generujący jego awatar wyciął woreczki do kolostomii,

długie pazury, wynikającą z roztargnienia półnagość. Ale i tak wygląda jak latawiec zrobiony ze zdartej z człowieka skóry.

— Wiesz, co to winda orbitalna, prawda? — Dziesięciosekundowa przerwa jest jak pauza retoryczna. — Wiesz, jak najtaniej wyciągnąć masę ze studni grawitacyjnej? Opuścić linę i wciągnąć na górę. Jak wiadro ze szczytami. No prawda, lina jest długa, prawie do Ziemi, ale to tylko inżynieria. Winda orbitalna. Tak dokładniej to windy. Bo czemu mieć jedną, skoro można mieć dwie? Efekt skali, jak mi mówią. Jedna na biegunie północnym, druga na południowym.

Sala daje Walerijowi pełną szacunku chwilę ciszy, w końcu odzywa się Jewgienij.

— I nie dwie też, Mão de Ferro. Cztery.

Soczewka Alexii znów ożywa. Jedzie w górę nad biegunem południowym, nad potężnym dołem basenu Aitken. Jaskrawa gwiazda Pawilonu Wiecznego Światła zostaje w tyle i w dole, cienie się wydłużają, zlewają się w jedną ciemność. Wielka latarnia Sunów płonie ponad jeszcze jaśniejszym łukiem światła — terminatorem, granicą między księżycowym dniem i nocą. Jedzie po niewidzialnej linii na Drugą Stronę — niekończące się, chaotyczne góry, kratery, małe, izolowane morza, których nie widzi. Winda kręci się wokół liny wysoko nad Księżycem. Alexia patrzy w niebo, rozgwieżdżone jak nigdy. Jeszcze wyżej i jeszcze szybciej.

Księżyc pod nią zaczyna się kurczyć. Wszędzie jest terminator, jak świetlna aureola, aż nagle słońce wypływa zza Księżyca, tak oślepiające, że aż wydaje z siebie jęk — w swoim fotelu w sali posiedzeń zarządu VTO. Przed sobą ma kosmiczne

miasto. Już ziemski port był imponujący — a to w ogóle przerasta jej wyobraźnię — jest z dziesięć razy większe i bardziej skomplikowane od punktu przeciwwagi na ziemskiej stronie. Trzy statki, każdy po kilometrze długości, wiszą jak kolibry nad otwartymi płatkami radiatorów cieplnych. Mignięcie błękitu silników manewrowych — holownik, same tylko zbiorniki paliwa, radiatory i baterie słoneczne, startuje z Drugiej Strony i leci pomiędzy światy. Słońce odbija się w logo VTO. Kamera daje zbliżenie na boty i postacie w skafandrach na powierzchni doku. Coś spawają. W takich prezentacjach zawsze ktoś coś spawa w kosmosie. Żadnych okien. Kamera daje zbliżenie na złotą szybkę hełmu jednego z kosmicznych robotników. Odbija się w niej Księżyc, a za nim ciemna Ziemia.

I wraca do sali konferencyjnej.

Teraz odzywa się Jewgienij.

— Projekt Portu Księżycowego. Prosty i tani transport materiałów między Księżycem i Ziemią oraz między Księżycem i całym Układem. Cztery windy orbitalne. Księżyc jako klucz do dalszego rozwoju Układu. Księżyc jako centralna baza Układu. Niskokosztowa budowa statków kosmicznych, doświadczenie w robotyce, tania energia i wydajne wynoszenie na orbitę. Jutro możemy to zacząć budować. — W jego oczach płonie ogień.

Wszyscy Woroncowowie wpatrują się w niego.

— Dlaczego wy mi to pokazujecie? — pyta Alexia Corta.

— VTO potrzebuje koncesji na tereny przy Królowej Południa i Roźdiestwienskim — odpowiada Jewgienij. — Tylko LMA może je wydać. — Przedstawiciele Ziemi, Księżyca i

Kosmosu kiwają głowami. — Czy możemy liczyć na poparcie Orła podczas głosowania na Radzie?

— Ja reprezentuję Orła. Nie mogę mówić w jego imieniu.

— Oczywiście, że nie. Ale oczekujemy, że go przekonasz — oświadcza Jewgienij Woroncow.

— Nie tylko — dodaje Paweł. — Że on przekona Ziemiaków.

— Orzeł zachowuje neutralną pozycję pomiędzy stronami ziemskimi i księżycowymi — mówi Alexia, świadoma, że wszystkie oczy zwrócone są teraz na nią. — Zupełnie jak ta wasza asteroida w punkcie L1. — Nieudany żart umiera na stole.

— Orzeł może i tak — chrypi Jewgienij. — Ale Lucas Corta urodził się na Księżycu. Ma pył we krwi. I pył wygra.

— Zapamiętaj, co widziałaś — odzywa się Orin. — Naucz się tego na pamięć. Żaden z tych materiałów nie może wyjść poza Świętą Olgę. To ty będziesz musiała mu to sprzedać.

— Oni go obserwują — mówi Jewgienij. — Widziałem drony. Nawet bezpiecznym kanałem nie można. Nie możemy ryzykować, że to wpadnie Ziemiakom w ręce.

— I co myślisz? — przerywa Walerij. Taki ma obowiązek.

— Nie jestem przekonana, że przekażę mu to, jak trzeba — mówi Alexia. — Proście o bardzo wiele. — Dociera do niej, że nie odpowiada na zadane pytanie. — Ja tego nie rozumiem tak dobrze jak wy. Coś wielkiego, coś wspaniałego, w życiu czegoś takiego nie widziałam. I nie jestem w stanie ogarnąć tego umysłem w całości. Powtórzyć mu jak trzeba. Ale wiem, co czuję — może to odczucie mu przekażę.

Zarząd VTO daje Walerijowi na drugiej stronie Ziemi jego dziesięć sekund.

— Alexia Corta, to wystarczy.

Uśmiecha się. Upiorny zielonozęby uśmiech.

Wszyscy wokół stołu uśmiechają się wraz z nim.

Wagner Corta mości się w fotelu. Łazik utrzymuje przyjemny, zdatny do pracy klimat, on jednak wzdryga się na dotyk plastiku. Każdy nerw odczuwa za dziesięć, a każdy z tych dziesięciu jest postrzępiony na tysiąc przewodzących włókienek. Spina się cały, gdy są drażnione, potem rozluźnia się, opadając całym ciężarem w fotel.

— Światły, połącz mnie z nim — rozkazuje chowańcowi.

Łazik jest stary, składa się właściwie ze śluzy zawieszanej pomiędzy jednostkami napędowymi, AI ma wielkości ostatniej łatki z poprawkami dla chowańca, ale jest niezawodny. Słyszy, jak włączają się silniki, cicha linia melodyczna w symfonii maszynowych odgłosów — piknięć czujników, wycia siłowników, tchu klimatyzacji i bicia jego serca, szelestu oddechu. Przesunięcie wektora grawitacji, zbyt subtelne dla mniej wyczulonych zmysłów, odczuwa jak nieznośne łaskotanie. Na otwartym regolicie to będzie masakra. Łazik okręca się wokół własnej osi i staje.

— Światły, otwórz okna.

Przód łazika robi się przezroczysty. Blask Ziemi w pełni zalewa Wagnera Cortę, nagiego w fotelu kierowcy *Taiyangu 1138 Rosa*. Krzyczy. Błękitne światło siecze każdą komórkę jego

ciała. Płonie każdy nerw. Prostuje się, staje w ziemskim świetle, wystawia na nie jak największą powierzchnię ciała. Krzyż, wnętrza dłoni. Odgarnia długie czarne włosy, by odsłonić kark. Całym ciałem pławi się w świetle Ziemi. Jego oddech to urywane, orgazmiczne sapnięcia. Cały się trzęsie. Mięśnie ledwo utrzymują go w pionie. Zwala się z powrotem na fotel kierowcy, dyszy.

— Dobra, Światły, teraz do roboty.

Potrzebuje pracy, nie pieniędzy. Analiese zarabia dość z grania w klasycznym perskim ansambli, by z przyjemnością dzielić się z nim i Robsonem. Ale odległość jest bezcenna. Odkąd złapał stary, znajomy pociąg wahadłowy na stacji Hypatia, a na siedzeniu obok usadowił się Robson, Wagner z lękiem myślał o pierwszej iskierce błękitu na skraju ciemnej Ziemi. Teraz jest nie do wytrzymania. Myślał, że będzie do zniesienia, jak odstawi leki, ale z każdym kolejnym wschodem Ziemi psychologiczne zmiany stawały się coraz silniejsze.

— *Weź leki, skarbie* — powiedziała kiedyś Analiese. — *Nie możesz tak cierpieć. Weź leki.*

Przed wyjazdem do pracy do Theona Seniora wykradł się z łóżka w środku nocy i podreptał do drukarki. Zamówienie było skomplikowane, składniki wymagały paru kroków syntezy. Siedział rozdygotany i patrzył na drukarkę. Cisza krzepła wokół niego jak kryształ. Gdy Światły powiedział, że zamówienie jest gotowe, puls zafalował i podskoczył. Połknął tabletki, popił wodą, czując spazmy serca, a tymczasem otepienie, niepewność, przykrywająca wszystko mgłą, niezdecydowanie, niejasność, rozdzielały się i separowały

niczym jin i jang. Znów było go dwóch — był sobą. Zew sfory czuł z dwóch tysięcy kilometrów.

Zniknął, zanim Analiese i Robson wstali.

W ciasnej kabinie *Taiyangu 1138 Rosa Wagner Corta* uczy się być samotnym wilkiem. Ryczy. Wyje, wycie przeradza się w nieartykułowany bełkot przerywany suchym łkaniem bez łez. Więcej niż raz wali pięścią w kontrolki śluzy, chcąc nie tyle ugasić palący wewnątrz biały ogień, ile zjednoczyć się ze swoją prawdziwą duszą, płonąca za horyzontem blaskiem dziesięciu tysięcy Ziemi. Wgryza się głęboko we własne nadgarstki, przedramiona, wspominając czułe miłosne zęby towarzyszy ze sfory. Półksiężycy, pół—Ziemię z zakrwawionej skóry. Obgryza paznokiec do zębatego ostrza, wbija go sobie w skórę i kreśli krwawe krechy od sutków do pępka. Szłocha bezgłośnie, ma obolały każdy mięsień, leży skulony na twardej siatce, przez wiele godzin. To straszniejsze, niż sobie wyobrażał. Przeżywa piekło.

— *Dwadzieścia minut do celu* — mówi Światły.

Podnosi się na kolana, podpierając się zaciśniętymi pięściami o podłogę, przesiąknięty potem, który skapuje mu nawet z włosów. Jest wrakiem człowieka, w białym blasku wypaliło się z niego całe człowieczeństwo. Daje radę wstać tylko dlatego, że jest teraz wilkiem. Bo ból to kondycja wilka. Stoi.

— Pokaż mnie.

Długo i intensywnie wpatruje się we własny obraz z kamer łazika. Wygląda jak trup. Światły pokazuje, gdzie znaleźć wodę, środki czystości pierwszej pomocy. Wagner Corta czyści, zaszywa, zakleja. Jest robota — robota, której podoła tylko wilk.

Ciemna strona to skupienie i gigantyczne, introwertyczne poświęcenie. Jasna strona — natchnienie, inspiracja, oślepiające przebłyski geniuszu — ważne cechy dla kogoś, kto zajmuje się naprawianiem naprawiających. Kiedyś był analitykiem, potem opiekunem, potem *laodą* ekipy Taiyangu Szczęśliwa Ósemka. Widzi takie rzeczy i łapie takie skojarzenia, których w życiu nie zauważą normalni ludzie.

Naciąga elastyk, delektując się dotykiem rozciągliwego materiału na uwrażliwionej skórze. Rękawice. Wstępny test systemów. Czuje, jak łożek hamuje, żeby spiąć się z botem serwisowym.

To już zawsze będzie tak wyglądało, ale on da sobie z tym radę. Tylko on jeden.

JEDENAŚCIE

Wang Yongqing długo i zapamiętałe ogląda grafiki. Vidhya Rao czeka z rękoma schowanymi w obszernych rękawach szaty. Kobieta z Ziemi nie interesuje się XVIII— i XIX—wieczną litografią. Ale skoro LMA musi już spotykać się z nim na jego neutkowym terenie, to LMA będzie dyktowało czas. Anselmo Reyes i Monique Bertin już się wyraźnie nudzą.

— Cóż to za stateczny, mieszczański bunt — mówi Wang Yongqing, kończąc oglądanie.

Sztab Klubu Lunariańskiego prowadzi gospodynię i gości do stołu.

— Polityka to dla nas coś nowego — mówi Vidhya Rao. — Jak to się mówi? „Niech kwitnie tysiąc kwiatów”?

Sommelier przynosi wodę.

— O ile są harmonijnie zasadzone — mówi Wang Yongqing. — I teraz pytanie. Ja nie rozmawiam przy jedzeniu, więc omawiamy to przed obiadem czy po?

— Pani prosiła o spotkanie — odpowiada Vidhya Rao. — Więc zgodnie z pani życzeniem.

Na ścianie wisi maleńka grafika Williama Blake'a z drabiną pomiędzy Ziemią i Księżycem. Wang Yongqing jeszcze jej nie zauważyła, albo i zauważyła, tylko uznała, że komentując, nic politycznie nie zyska. Przy tym stole Vidhya zabawiało Ariel Cortę, gdy wyprorokowało pojawienie się tych Ziemiaków.

— Bardzo dobrze. Pana propozycja Księżycowej Giełdy zyskuje nasze uznanie — mówi Wang Yongqing.

— Rozmawialiśmy już ze wszystkimi gubernatorami — dodaje Monique Bertin. — Zgadzą się. Entuzjastycznie. Finansjalizacja to jednocześnie zyskowna i bezpieczna perspektywa dla księżycowego centrum zysku.

— Moja firma jest skłonna zapewnić kapitał początkowy dla tego projektu — odzywa się Anselmo Reyes. — Wyobrażamy sobie, że to będzie konsorcjum ziemskich inwestorów oraz specjalistów od AI.

— Taiyang jest o wiele bardziej zaawansowany od wszystkich ziemskich specjalistów — stwierdza Vidhya Rao.

— Ale to kwestia kontroli — dodaje Anselmo Reyes. — Mówiąc wprost: chcemy, żeby zaangażowanie Księżyca w Giełdę było jak najmniejsze.

— Właściciel: Ziemia. Zarząd: Ziemia.

— Ziemia ma zarządzać? — pyta Vidhya Rao. — Przy takim opóźnieniu czasowym?

— Będziemy rotacyjnie przysyłać pracowników — mówi Monique Bertin.

— To się nie spina ekonomicznie — zauważa Rao.

— Jak już mówił mój kolega, chcemy, żeby udział Księżyca był minimalny — mówi Wang Yongqing. — Najlepiej zerowy.

— W krótkim okresie do średniego przejmemy pierścień słoneczny Taiyangu, żeby zapewnić sobie dostawy energii. W średnim będziemy nadzorować budowę w pełni zautomatyzowanej Giełdy, zgodnie z zarysem z waszej oferty — mówi Monique Bertin. — W długim przewidujemy ruch w kierunku pełnej finansjalizacji i kontrolowane wygaszanie księżycowej populacji.

— Kontrolowane wygaszanie? — pyta Vidhya Rao.

— Do poziomu gwarantującego harmonię między dwoma światami — odpowiada Wang Yongqing.

— To znaczy?

— Pan naprawdę jest taki niedomyślny? Zero. — Wang Yongqing rozwija serwetkę i rozkłada ją sobie równiutko na kolanach. — Zero ludzi na Księżycu. Jemy?

Żelazne Morze leży na wschodnim krańcu Oceanu Burz. To nie jest oficjalna nazwa, jest nieformalna i stosunkowo nowa — tak mówi się potocznie na wielką stację rozrządową VTO, trzysta kilometrów kwadratowych torów, bocznic, zwrotnic, warsztatów naprawczych i zakładów konstrukcyjnych.

Mały VIP—owski wagonik w zielono—srebrnym malowaniu Mackenzie Metals sunie przez zwrotnice Żelaznego Morza, lawirując po bocznicach pomiędzy długimi na kilometr pasażerskimi ekspresami, kanciastymi, wielkimi wagonami towarowymi, maszynami do układania i serwisowania torów. Wytapiacz Mackenzie Metals jedzie po swoich własnych, oddzielnych szynach, stojąc okrakiem nad dwoma

magnetycznymi torami. Wagonik hamuje pod brzuchem potwora. Opuszcza się łoże dokujące i podnosi wagonik z linii. Śluzy spinają się, uszczelniają, wyrównują ciśnienie. Każde społeczeństwo ma taki nieliczący się do niczego czas, chwile oczekiwania, ignorowane przez wszystkich procesy. Na Księżycu jest to czas uszczelniania się śluzy i przepompowywania się przez nią.

Na otwarciu śluzy już czeka w niskim korytarzyku Paweł Woroncow ze swoją ochroną. Duncan Mackenzie pochyla się w drzwiach śluzy i wciska się w ciasną przestrzeń. Jego noże cisną się za nim, niezręcznie próbując ustawić się w jakiś groźny szyk. Chowańce wszystkich obecnych zlewają się z sufitem.

— Dziadek przeprasza — mówi Paweł Woroncow. — Przez wzgląd na dawną przyjaźń między naszymi rodzinami chciał być tu obecny, ale nie zmieścił się w korytarzu.

Obie świty garbią się i pochylają w niskich przejściach. Chowańce szepczą ostrzeżenia o przeszkodach i każą uważać na głowy.

— Przeznaczone tylko dla ekip technicznych — wyjaśnia Paweł Woroncow.

Ze sterowni na szczycie pieca jest oszałamiający widok na całe Żelazne Morze, aż po wielkie industrialne bagno Świętej Ołgi. Miejsca wystarczy tylko dla szefów. Ochrona i noże cisną się w niewygodnym korytarzu.

— Dałem sterowanie twojemu chowańcowi, możesz go sam wyprowadzić — mówi Paweł do Duncana. — I tak trzeba piec co dwa dni ruszyć.

— Wózki zamarzają i się blokują — odpowiada Duncan.

Nie zapomniał o dawnych rytuałach Tygła. Jego chowaniec Esperance otwiera na soczewce okienko poleceń. Wprowadza trasę. Woroncowowie i tak nie usłyszą basowego buczenia prądu idącego z sieci do silników napędowych, nie poczują delikatnego przyspieszenia ruszającego tysiactonowego pieca. To inżynierowie, nie ludzie, którzy żyją na szynach. Nie dorastali na wielkim Tygł, skąpanym w wiecznym słońcu i nieustannie okrążającym Księżyc w dwadzieścia dziewięć dni, pod osłoną cienia rzucanego przez zwierciadła.

— Odważny wybór celu — mówi Paweł.

— Dla mnie to jak niespłacony dług.

Piec rozpędził się już do pełnej prędkości dziesięciu kilometrów na godzinę. Kontrolki na ekranie w sterowni i na gałce ocznej Duncana zapalają się na zielono. Czuje skomplikowane emocje — nostalgiczną przyjemność, krwawiący strup na ledwo zagojonej ranie, upojenie władzą, gorycz żalu, że obojętne, ile jeszcze takich pieców topielnych zbuduje im VTO, żaden z nich nigdy nie będzie Tygłem. Niektóre miasta wznosi się tylko raz. Piec bez drgnięcia przeskakuje po zwrotnicach na tory przelotowe.

— Ulepszyliśmy trochę konstrukcję — dodaje Paweł Woroncow. — To jest dawny rezerwowy piec na bazie oryginalnego Tygła, ale ma wstawione nowe części. A nowe piece będą już całkowicie autonomiczne. Lżejsze, oszczędniejsze, wydajniejsze. Nasza inżynieria i przemysł są o wiele bardziej zaawansowane niż w czasach naszych ojców.

— Nie wątpię — stwierdza Duncan Mackenzie.

Z przyjemnością zauważa skrywaną konsternację na twarzy Pawła, jednocześnie widząc za oknem zbliżający się do pieca ekspres pasażerski. Zderzenie wydaje się nieuniknione, wtem pociąg znika pod brzuchem pieca. Za pierwszym razem każdy się na to nabiera.

— Możemy dostarczyć pięć sztuk na lunę. Nowe maszyny są wydajniejsze, więc wystarczy ci mniej do pełnej zdolności produkcyjnej. W sześć lat możesz osiągnąć poziom dawnego Tygła. Potem to tylko kwestia kolejnych wagonów.

— Imponujące, Pawle Jewgienijewiczu — odzywa się Duncan.

— Usunięcie systemu podtrzymywania życia i komór habitatów zmniejsza koszt i upraszcza konstrukcję. Ten tutaj jest zahermetyzowany tylko dla potrzeb pokazu. Nowsze modele mają być z założenia serwisowane przez nasze automatyczne systemy.

— To nie będzie potrzebne — mówi Duncan Mackenzie.

Kopuła Świętej Ołgi opadła za horyzont. Piec toczy się po równinach Wschodniego Oceanu Burz.

— Rozumiem, że historycznie Mackenzie serwisowali własnymi ludźmi...

— Nie będzie niczego do serwisowania — rzuca Duncan.

Stłoczeni z nim w sterowni, twarzą w twarz, szefowie VTO usiłują nie okazać konsternacji.

— Duncan, nie rozumiem? — pyta Paweł.

— Nie będzie tego kontraktu. — Coś mamroczą po rosyjsku, zerkają po sobie. — Hadley nadał będzie głównym piecem Mackenzie Metals.

— Duncan, i tak się nie wyrabiasz z produkcją. Musisz przejść na ciągły wytop. Możesz się przełączyć ze Słońca na prąd, ale albo będziesz musiał płacić Taiyangowi za energię z pasa słonecznego, albo przejdiesz na nową fuzję i będziesz kupował hel—3 od brata. Przynajmniej krótkoterminowo.

— Paweł, ty w ogóle poznałeś mojego ojca?

— Byłem na jego setnych urodzinach, w Królowej Południa.

— Siedział już na wózku, podłączony do rurek. Dziesięć systemów utrzymywało go przy życiu. Siki, gówno, prąd. Ale oczy... spojrzałeś mu wtedy w oczy? A trzeba było. Bo oczy mu się nigdy nie zestarzały. Ten sam blask, jak kiedy byłem dzieckiem. Kiedy przyleciał na Księżyc, już miał pięćdziesiąt lat. „Umrzesz przy starcie”, mówili. Ale nie umarł. „Słabe ciążenie cię zabije”, mówili. Demineralizacja kości. Zanik mięśni. Ale nie zabiło. Jedyne, co mogło go zabić, to zdrada. Jedną rzecz ci o nim powiem: gdybyś mu kazał — „Wybieraj to albo tamto”, odpowiedziałby: „A spierdalaj, wybieram trzecią opcję”. Bo zawsze była trzecia opcja. Wykopać, przetopię, sprzedać. Tak robiliśmy od pięćdziesięciu lat. Ale jest inna opcja. Chuj z Ziemią. Wiecznie nienażarta. Jak dziecko. Po co nam ona w ogóle? Mamy cały układ, pełen potrzebnych surowców. Nic, tylko brać. Wystarczy, żeby zbudować sobie dowolny świat. Nie tylko na Księżycu. Gdybyś zobaczył, jakie pomysły mają nasi młodzi. Sztuczne światy. Habitaty jak... korale na niebie. Dziesiątki. Setki całe. Tysiące. Miejsce dla miliardów ludzi. Bilionów. I dość metalu i węgla, żeby spełnić wszystkie marzenia. Nic, tylko brać. Wiesz, czemu anulowałem to zamówienie? Bo ja już nie chcę pieców, wytapiaczy. Chcę,

żebyście mi zbudowali maszyny do eksploatacji asteroid. Statki. Napędy. Tysiące luster. My to materiałoznawstwo, wy się znacie na lataniu w kosmos. Dalej będziemy robić to samo — wykopać, przetopić, sprzedać. Z wami. Musimy współpracować. Wszyscy. Wszystkie smoki. Inaczej nas pogrzebią. Lucas Corta nie postawi się Ziemianom. Mój ojciec wierzył w niepodległy Księżyc. Całym sercem. Ale teraz to już za mało. Trzeba sięgać wyżej, dalej, rozproszyć się tak, żeby Ziemia w ogóle nie była w stanie nas wszystkich dopaść. Tutaj żyjemy wówczas, gdy jesteśmy im potrzebni. Jak kiedyś przestaniemy...

Wali pięścią w okno. Na szybie rozmazuje się krew. Esperance wysyła jego nożom alarm medyczny. Duncan Mackenzie powstrzymuje ich.

— Stary wierzył w Księżyc. A ja wierzę w tysiąc księżyców. Tysiąc różnych społeczności.

Duncan wyczuwa łagodne hamowanie. Piec zwalnia.

— Czego ty chcesz, Duncan? — pyta Paweł Woroncow.

Daj mi się spotkać z waszym zarządem. Powiem im to samo, co robie.

Ogromny piec zatrzymuje się, rzucając cień na całą szarą równinę Oceanu Burz. Z prędkością pieca wystarczającą, by jechać za Słońcem, dotarcie do celu zajęłoby Duncanowi wiele godzin.

— Dalej do Tygła pojedę wagonikiem — mówi Duncan. — Możesz pojechać ze mną albo wrócić tym czymś do Świętej Olgi.

Mierzą się wzrokiem w ciasnej, zatłoczonej kabinie. Oko w oko, oddech w oddech.

— Pojadę z tobą — odzywa się w końcu Paweł Woroncow.

W korytarzu, przeciskając się do służby wagonika, przysuwa się do Duncana tak blisko, jak na to pozwala konstrukcja.

— Już gadałem z rodziną. Załatwiłem ci to spotkanie.

Irina nosi elastyk jak drugą skórę. Indywidualne malowanie podkreśla krągłości i kontury jej mięśni — Alexia mimo woli wodzi za nimi wzrokiem. Ona szybciej przestałaby oddychać niż uwodzić. Wdzięk to jej puls. Naciąga hełm i z Iriny Efui Woroncowej—Asamoah staje się przedmiotem. Jest, musi przyznać Alexia, seksowna jak cholera.

Ale skafander skorupowy jest jeszcze bardziej seksowny. Trochę w inny sposób, mroczniejszy, głębszy. Stał otwarty w przedsionku służby, jak trup po sekcji. Alexia wsunęła się do niego z lękiem, zachichotała, gdy interfejs dotykowy obmierzył ją i zamknął się, dotykając ciała w tysiącu punktach intymnie i czule, jak mięśnie kochanka. Skafander zatrasnął się. Powstrzymała panikę, gdy hełm zablokował się i uszczelnił. Nagle Maninho spiął się z AI skafandra i cały pancerz zniknął. Uniosła ręce. Były gołe ręce, nogi, stopy, wszystko, co mogła zobaczyć. Całkiem nagie.

— *Mam bogatą paletę skórek dla skafandra* — powiedział Maninho.

Znudziła się po pierwszych trzydziestu i zdecydowała się na obcisły wirtualny neopren. Wyglądała jak jeden z tych bogatych młodziaków—surferów, co zbiegali na plażę na Barra ze swoimi deskami i ochroniarzami.

Odważa się na niezdarny krok w skafandrze. Porusza się w nim we własnym ciele. Osłonięta, choć zwinniejsza. Zamknięta i

opancerzona. Irina ją lustruje. Co widzi — *gatinhę* surferkę czy Iron Mana? Interfejs skafandra wyrysował twarz Iriny na szybce jej hełmu. Wygląda teraz, jakby stała naga w próżni. Tyle tych uspokajających trików, sztuczek, symulacji... można się na coś nabrać, dać się oszukać. A przecież każdy jej tu powtarza — Księżyc chce cię zabić i zna na to tysiąc sposobów.

— Trzymaj się za mną i nie daj się niczemu zahipnotyzować. Chcesz smycz?

— Nie chcę smyczy.

Wewnętrzne drzwi śluzy się zamykają.

— Ile trzeba, żeby powietrze...

Skafander wibruje, dotykowy interfejs przenosi jej to na skórę. Drgania ustają.

— *Ciśnienie zewnętrzne* — mówi Maninho.

A, czyli to tak wygląda dehermetyzacja śluzy.

Zewnętrzne drzwi unoszą się, ukazując rosnący prostokąt jasności.

— No to chodźmy — mówi Irina.

Nad barkiem unosi się znacznik z nazwiskiem. Zielony. Zielony to dobrze. Czerwony to źle. Biały to śmierć.

Alexia człapie po pochylni. Irina poklepuje prymitywną, wymalowaną próżniowym mazakiem Panią Lunę na ścianie śluzy. Przepołowiona twarz jest starta tysiącami rękawic, prawie niewidoczna. Alexia muska ją czubkami palców rękawicy. Została luniarką.

Wychodzą na słońce. Staje jak wryta u góry rampy.

— *Chodzę po Księżycu, po Księżycu!*

— No, zieluniaczko, idziemy — odzywa się Irina.

Alexia przekracza granicę spieku i pyłu. Wzniesła brudnoszary obłok. Wznosi się wyżej, niż myślała, i wisi długo, zanim opadnie na powierzchnię.

— *Ja pierdzielę, chodzę po Księżycu! Niech no tylko powiem Caio!*

Stawia buciór na powierzchni i widzi, że jego odcisk przecina się z poprzednim śladem. Bezwietrzne księżycowe oceany zachowują wszystkie ślady i tropy na wieki. W ostatnią noc przed wyjazdem na przedstartowe szkolenie do Manaus zabrała na szczyt Ocean Tower teleskop i Caio, a on poprosił, żeby pokazała mu King Donga — wielkiego na sto kilometrów kutasa wyrysowanego na Morzu Deszczów w pierwszych latach industrializacji przez znudzonych luniarzy i ich cierpliwe maszyny.

Druga stopa na regolicie. Podnosi głowę. Cały ten Księżyc to jeden wielki bajzel. Przystarzałe maszyny, poprzewracane maszty łączności, talerze, popękane zbiorniki, zezłomowane łaziki, rozebrane na części pociągi; Resztki skafandrów, ludzkie śmieci. Wszystko, co organiczne, zebrali już zabbalini do recyklingu, metalowe kości zostały. Metal jest tani i martwy. Węgiel to drogocenne życie.

Unosi wzrok znad śmietniska. Hipnotyzuje ją Ziemia. Ojczysty glob wisi w połowie między horyzontem i zenitem. Alexia w życiu nie widziała czegoś bardziej błękitnego. Norton kupił jej kiedyś kolczyki z szafirami. Świeciły i iskrzyły, ale były z ziemi, nie były Ziemią. Jeszcze dawniej, w szkole, w Dzień Flagi miała trudność z przypomnieniem sobie liczby i położenia gwiazd na globie na *auriverde* — ojczystej fladze. Ale to było

puste niebieskie koło, a nie żyjący świat. Teraz widzi cały błękit we wszechświecie zlany w jedną kulkę. Taką małą. Unosi dłoń i zgniata wszystkich ludzi, których w życiu znała.

Co się dzieje, kiedy płaczesz w próżniowym hełmie?

— Chodź, Mão.

— Zagapiłam się, tak?

— Z całym szacunkiem, ale zieluniaki ciągle się zagapiają.

— Jak wy możecie z tym żyć?

— Z czym?

— Z tym. Tam na górze. Jak to wytrzymujecie?

— Normalnie. To nie mój świat, Mão.

Zgrabny, opięty jak skóra elastyk prowadzi ciężki pancierz na wycieczkę po Świętej Oldze, od złomowisk, przez place budów, gdzie boty wspinają się i łażą, ciągnąc za sobą serpentyny lin i kabli, dźwigi ustawiają wielkie płyty, a cały Ocean rozbłyskuje jak gwiazdne pole łuków spawalniczych. Potem w cień kopuły, zasłaniający Ziemię, i na stację rozrządową, gdzie wagony rozdzielają się, hamują na bocznicach, gdzie na bazę zjeżdżają ekspresy, a tory łączą się w wielką równikową linię przelotową. W głębi płataniny torów Alexia dostrzega jakiś olbrzymi pojazd.

— Co to?

— Zapasowy piec — wyjaśnia Irina. — Ostatni z Tygła. Pewnie go wzięli na jazdę próbną. Mackenzie Metals zamówiło nowy pociąg metalurgiczny.

— Irina... — mówi Alexia. — Zabierzesz mnie do Tygła?

— Ale tam nic nie ma...

—Ale ja chcę.

Z długiego rzędu zaparkowanych pojazdów błyskawicznie wypada łazik, okrąża dwie kobiety i gwałtownie staje.

— Gdzie są drzwi? — pyta Alexia. Widzi mocną ramę z belek, akumulatory i moduły łączności rozpięte po pajęczemu między ogromnym i kołami.

— VSV620 nie ma drzwi — mówi Irina. — Wsiada się „na”, a nie „do”. Pokazuje Alexii, jak podpiąć skafander do układu podtrzymywania żyda. Alexia wydaje zaskoczony, krótki pisk, gdy na ramiona opada jej pałąk bezpieczeństwa i się blokuje.

— Powiedziałabym: „Się trzymaj”, ale tu właściwie nie ma się czego trzymać — rzuca Irina z lewej strony.

Alexia ściska boki fotela. Łazik startuje jak karuzela w wesołym miasteczku. Nie czuła takiego przeciążenia od czasu startu z Manaus. Regolit rozmazuje się, o wiele, wiele za blisko jej stóp.

— Ja pierdołę, jakie to szybkie! — krzyczy. — Ile to wyciąga?

— Sto dwadzieścia — odpowiada Irina. — Ale jak chcesz, to mogę szybciej.

— Pewnie.

Irina wyciska z łazika sto pięćdziesiąt. Teren jest nierówny, pełen skał i mających miliard lat złożony materiału wyrzuconego, koła podskakują, ale Alexia sunie równo jak w królewskiej karocy. To zawieszenie jest niewiarygodne. Musi mieć wbudowaną predykcję. Łazik trafia na próg, wylatuje w powietrze, leci tak, jak potrafią tylko samochody w filmach akcji.

Księżyc, Księżyc, jedzie wyścigówką po Księżycu.

— Do Starego Tygła jest jakaś godzina drogi — odzywa się Irina. — W skafandrze masz szeroki wybór programów rozrywkowych, możesz się trochę rozerwać i odpocząć.

— Wolę pogadać — odpowiada Alexia. Widziała te telenowele ze standardowego pakietu.

Irina gada jak najęta. Po kilkunastu kilometrach Alexia wie już o jej matce z Twé i ojcu ze Świętej Olgi, o jej pozycji w skomplikowanej amorii, pomyślanej tak, by łączyć Asamoah, Woroncowów, Sunów i Mackenziech w jeden dynastyczny węzeł pokrewieństw i potencjalnych zakładników.

— Ale bez Cortów — zauważa.

— Wy to zawsze byliście dziwni. Matki—surogatki. Brrr.

Dodaje jeszcze gazu i opowiada o swoim seminarium, Błękitnym Lotosie — grupie projektantów biosfery, od dwudziestu lat mieszczącej się w świętej Oldze.

— Wiesz, nad czym pracujemy? Docelowo? Nad terraformacją Księżyca.

Alexia spotkała się z terraformacją w jakichś fantastyczno—naukowych filmach, czy czymś takim. To przeobrażenie innej planety w Ziemię, martwego świata w żywy.

— Księżyca?

— A czemu nie? Wszyscy myślą: „Jak to, Księżyc? Za mały, za słabe ciążenie, Alokowana rotacja, zero pola magnetycznego”. Ale to wszystko jest do poprawienia. To czysta inżynieria. Domyślam się, że Woroncowowie powiedzieli ci o swojej wielkiej idei — windy orbitalne i w ogóle. Ale nie tylko Woroncowowie mają swoje wielkie idee. My, Asamoah, też mamy. My przynosimy życie. Obojętne, gdzie w Układzie

polecą ludzie, które światy zasiedlimy, gdzie pobudujemy habitaty, tam będziemy my i przyniesiemy życie. Więc możemy i Księżyc ożywić. To żaden problem. Czterdzieści sporych komet. Bum, bum bum.

— No, chyba nie możecie zbombardować Księżyca czterdziestoma kometami, to by było...

— Nie, no... oczywiście trzeba by je najpierw rozdrobnić.

— AKA jeszcze nie skończyło odbudowywać Maskelyne G. — Alexia była w drugim tygodniu szkolenia przedstartowego w Manaus, kiedy VTO zniszczyło tę elektrownię punktowym atakiem przy użyciu rozpędzonej do dużej prędkości lodowej bryły. A w ogóle, Irino Efuo Asamoah, to po której stronie byłaś w wojnie Woroncowowie—Asamoah? Może spuściłaś głowę i się ukrywałaś?

— To tylko potwierdza moją koncepcję. Rozumiesz? Skoro da się z dwustu tysięcy ka trafić w taki mały cel, to równie łatwo trafić w puste miejsce. Może nawet nie trzeba byłoby ewakuować Południka. Ale to są drobiazgi. Poważne skutki są takie: przeczekamy kamienny deszcz i mamy atmosferę i działający klimat. Możemy wszyscy wyjść na powierzchnię i czekać na pierwszy deszcz.

Alexia wspomina swój pierwszy deszcz na Księżycu, wielkie krople spadające powoli w rozpadliny Południka, rozpinające się nad kanionami tęczowe luki. Wspomina Dennyego Mackenziego, mokrego jak sznur.

— Ale wiesz, co w tym najlepsze? Naprawdę ekscytujące? Regolit plus deszcz równa się?

— Nie mam pojęcia — odpowiada Alexia.

— Błoto! Błotko, cudowne błotko! To moja naukowa specjalność. Jestem księżycowym pedologiem. Błotologiem. Biorę błoto, robię z niego glebę. Ożywiam. Słabe deszcze to około trzech lat, epoka błota — koło dwudziestu. Ale potem, po tym wszystkim, zaczynamy świat zazieleniać. Błoto jest zaczarowane, siostró. Nigdy o tym nie zapominaj. Opowiem ci o moim Księżycu. Tu, gdzie jesteśmy, będzie dwadzieścia metrów wody. Będą oceany, morza, jeziora. Góry, lodowce na biegunach. Będzie biosfera. Lasy drzew wysokich na kilometr. Sawanny pełne zwierząt. A jakich? Może zaprowadzimy ziemskie, a może zaprojektujemy własne gatunki. Roślinożerna megafauna wielkości tego wytapiacza. Ptaki o stumetrowej rozpiętości skrzydeł. To będzie jeden ogród. A my będziemy żyć wśród tego, w pięknych, żywych miastach, które też będą częścią tej przyrody. Nie będziemy potrzebować powierzchni, żeby mieć żywność. To, co robimy teraz, już jest o wiele bardziej wydajne niż rolnictwo powierzchniowe. Będziemy też mieć normalne dnie i noce. Wszystkie te zderzenia, przeniesienie momentu pędu, sprawią, że Księżyc z powrotem zacznie się kręcić. Szacujemy, że dzień będzie miał około sześćdziesięciu godzin. Wyobraź sobie, że tu stoisz i patrzysz, jak między chmurami wschodzi Ziemia. Tylko sobie wyobraź! Jasne, to przetrwa może ze sto tysięcy lat, maks, ale w tym czasie spokojnie zdążymy dojść do jakiegoś trwałego rozwiązania. Może rozbierzemy Księżyc i zbudujemy coś większego? Nad tym pracują inne seminaria. Dałoby się go rozłożyć i zbudować coś o powierzchni pięć razy większej od Ziemi. I to

wszystko, nim zajmiemy się resztą Układu. Jeszcze więcej życia. To jest nasza wielka idea. A wasza?

— To znaczy?

— Mão, każdy ma jakąś wielką ideę. A wy?

— Nie wiem. A musimy mieć?

— My tworzymy życie. Woroncowowie mają klucze do Układu. Zapytaj któregoś Suna, usłyszysz o ich postniedoborowym komunizmie. Mackenzie mają coś, o czym nie mówią. Ale coś mają, i to coś wielkiego. Ale w co wierzą Cortowie?

Alexia widzi Lucasa, z laską, na środku sali narad. Ziemianie po prawej, Woroncowowie po lewej. Wie, że w tej lasce ma ukryte ostrze. Czymże jest ta władza, skoro stale musi mieć przy sobie broń? „Jedź ze mną na Księżyc”, powiedział w samochodzie, kiedy wracali z plaży na Tijuca. „Pomóż mi odzyskać to, co ukradli mi Mackenzie i Sunowie”. I odebrał to siłą, ale ta siła jest bezsilna. Z każdym kolejnym użyciem siły oddala się od swojego imperium i swojej rodziny. Tępi go tarcie tej polityki. Ukryty miecz już nie jest w stanie ciąć. Czego chce ten ostatni Corta? W co on wierzy?

Pośrodku labiryntu ze śladów łazików leży roztrzaskana kapsuła ewakuacyjna na połamanych osiach. Nie ma połowy dachu. Alexia wbrew sobie widzi w niej roztrzaskaną czaszkę. Krawędzie pęknięć są pełne frędzli, długich kropel roztopionego metalu, wewnątrz to chaos stopionych węglowodorów, włókna szklanego i rozlanego tytanu. Regolit

jest cały upstrzony metalowymi cekinami w miejscach, gdzie spadł i zastygł stalowy deszcz z wybuchających stalowni. Irina zatrzymuje łożnik, podnosi jeden z nich i podaje Alexii — maleńka korona, w sam raz do koronacji kciuka. Im bliżej epicentrum zagłady podjeżdża łożnik, tym większe są te gwiazdziste kleksy. Łączą się w gruzowisko, coraz większe odłamki, fragmenty, szczątki Żelaznego Potopu — głównie resztki maszyn o niezrozumiałym zastosowaniu, od czasu do czasu części czegoś używanego przez ludzi.

Łażnik sunie w głąb cementarzyska. Królowe torów VTO oczyściły Równikową Jedynekę, najszybciej, jak się dało, zsuwając gruzy na boki torów. Zgięte pod niewiarygodnymi kątami suwnice. Wywrócone wózki torowe wielkości łożnika; rozdziawiona retorta, z wysuniętym językiem zakrzepłego metalu. Połówka zwierciadła oparta o stopiony habitat, skupiająca słońce na spalonej na żużel połaci regolitu.

Irina zatrzymuje łożnik nad rozlanym po regolicie lukiem czarnego szkła. Pośpiesznie odrzucony silnik rakietowy roztrzaskał jeden koniec na obsydianowe odłamki. Alexia widzi w czarnym lustrze własne odbicie — widzi siebie taką, jaką jest: pancernym olbrzymem, nie przyjemnym złudzeniem generowanym przez chowańca.

— Kiedy spadły lustra, wytopiły na regolicie takie szklane ścieżki. Nazywamy je Umarłymi Drogami. Idziesz po nich i widzisz własne nadzieje, własną przyszłość i własną śmierć.

Po katastrofach pierwsze powstają żarty, potem mity. Później przychodzą teorie spiskowe.

Irina wjeżdża głębiej w labirynt. Tu przeniesiono i zrzucono na kupę całe wagony—wytapiacze.

To ty zrobiłaś, Alexio Corta. Powiedziałaś jedno słowo i spadło roztopione niebo.

Łazik się zatrzymuje.

— Nie jesteśmy same — mówi Irina.

Na HUD—zie Aiexii pojawiają się ludziki, widoczne przez spiętrzone wraki.

— Nie widzę żadnych znaczników — dziwi się Alexia.

— Bo nie mają. Może trzeba będzie stąd jechać. Przychodzą tu złomiarze, szabrować cenne metale. Zabbalini biorą w łapę i przymykają oko. Woroncowowie nie aprobują, ale dla Mackenziech to są hieny cmentarne. Dlatego przeważnie dobrze się uzbrajają.

— Jak dla mnie, możemy jechać. Już się napatrzyłam.

Jazgot maszynowych zapytań na ekraniku Alexii, migoczące dane.

— Skanują naszą ochronę — stwierdza Irina. — Na wysokim poziomie.

Nad figurkami pojawiają się nazwiska, gdy postacie wyłaniają się zza stalowych molochów. Alexia najpierw rozpoznaje barwy skafandrów, potem widzi nazwiska — zieleń i srebro Mackenzie Metals. Trzy elastyki, dwie skorupy. W tym jedno nazwisko nie do przeoczenia — Duncan Mackenzie.

— *Wzywają cię* — mówi Maninho.

— Jestem Vassos Paleologos — odzywa się drugi skorupowy skafander. — Nie jesteś tu mile widziana, Mão de Ferro.

— Musiałam to zobaczyć — zaczyna Alexia.

— I co widzisz, Żelazna Ręko? — wcina się na kanał Duncan Mackenzie.

Alexia rozkazuje łazikowi opuścić ją. Łagodnie opada na regolit. Powierzchnia jest zasłana mikrogruzem, odłamkami i częściami zmielonymi jeszcze drobniej przez maszyny recyklingowe.

— Bo ja ci powiem, co ja widzę. Widzę mój dom, miejsce, gdzie się wychowałem. Na świecie nie było drugiego takiego, to było największe osiągnięcie inżynierii na dwóch światach. Byliśmy dziećmi wiecznego światła. Widzę moją rodzinę. Kiedy lustra zwróciły się na nas, poczuli tysiąc stopni. Wolę myśleć, że to było szybkie, błysk ciepła i nic. Sto osiemdziesiąt osiem ofiar.

— Ja...

— Co ty mi możesz powiedzieć? Jesteś z Ziemi.

— Jestem...

— Moim wrogiem, po samym nazwisku? Nie mamy w zwyczaju oskarżać niewinnych. Jesteś tu bezpieczna. Nikt ci nic nie zrobi. Wiesz, co się mówi o Mackenziech?

— Że odpłacacie trzy razy.

— W którymś momencie wszystkie długi trzeba darować. Spisać na straty. Zredukować do zera. Tak się nie da ciągnąć, oko za oko, ząb za ząb, krew za krew. Bo co zrobimy? Rozwalimy Księżyc na pół, żeby jeden drugiego dopadł? A mamy większego wroga. Powiedz to Lucasowi, kiedy wrócisz do Południka. Powiedz mu, że musi zdecydować. Po której stronie stoi. Powiedz mu to. I zapamiętaj, co widziałas, cholerna Żelazna Ręko.

Grupa Mackenziech odwraca się jednocześnie i znika w ruinach Tygła. Duncan okręca się jeszcze.

— I nigdy tu nie wracajcie. Ani jedna, ani druga.

Alexia stoi w skorupowym skafandrze, trzęsie się, nie może się ruszyć, nie jest w stanie wydać polecenia, żeby się ruszyć. Zaraz zwymiotuje. Musi zwymiotować. Wyrzucić z siebie cały ten strach, poczucie winy, tchórzostwo — to, że nie była w stanie powiedzieć Duncanowi Mackenziemu, że to jej ręka sprowadziła Żelazny Potop.

Twoje odczyty są poza skalą — mówi Maninho. — Podaję środki uspokajające i przeciwwymiotne.

— *Nie!* — krzyczy bezgłośnie Alexia.

Po mózgu rozlewa się ciepłe dobro. Burza uspokaja się. Mogłaby się wściekać na ten medyczny gwałt, ale poddana mu nie jest w stanie zebrać sił, by choćby się oburzyć. Już jest w fotelu, opuszczają się pałaki bezpieczeństwa. Łazik już lawiruje przez stalowy labirynt, zapylonymi oponami zostawiając ślady na obsydianie, drodze umarłych.

DWANAŚCIE

Ocean Paz Calzaghe budzi cień za oknem, w miejscu, gdzie nigdy nie pada żaden cień. Cień, odgłos silnika, głosy ludzi. Mruży oczy. Dostawczak Coś dostarcza. Naciąga ubranie i już jest na schodach, gdzie widzi Kessie kierującą dwa objuczone boty i jednego budowlańca wokół werandy, do jej południowo—zachodniego narożnika.

— Bremerton Spa i Baseny — czyta napis na boku. — Kupiliśmy jacuzzi?

— Marina kupiła — mówi Kessie.

Koło południa nawet Skylera zbudził warkot elektrycznych narzędzi.

— Po co jej wanna z bąbelkami? — pyta.

— Terapeuci mówią, że woda pomaga. Bo podtrzymuje.

— A mogę ja spróbować, jak nie będziesz tam siedzieć? — pyta Ocean.

— Jest dla wszystkich — mówi Marina.

— Hola, hola, jedna zasada — wtrąca Kessie. — Obowiązują kostiumy kąpielowe. I żadnych wyjątków.

Budowlaniec podłącza rurę do zewnętrznego kranu. Jacuzzi napełnia się przez dwie godziny, dwie kolejne nagrzewa się do temperatury ciała. Potem zagania boty do furgonetki i wraca z nimi do Bremerton. Obudowana drewnem wanna zostaje na drewnianej werandzie. Pachnie chlorem i świeżym cedrem. Ocean patrzy, jak Marina przebiera nogami i chlapie się w ciepłej wodzie. Wisi nad jacuzzi, kiedy Marina ćwiczy górne partie ciała z hantlami.

— Cała się od tego pomarszczysz.

— Od tej planety się cała marszczę. Napięcie skóry jest do dupy przy tej grawitacji. A miałam taką cerę jak ty.

— Czyli na cycki też dobrze robi?

— Mniej opadają, ale prawo zachowania pędu dalej obowiązuje. Próbujesz biegać albo zbyt szybko się obrócisz i zaraz sobie przypominasz, czym się różni ciężar od masy. Trzeba mieć podparcie, nawet bardziej niż tutaj.

Wieczorem Ocean wchodzi do wanny razem z Mariną. Nieśmiała, zakompleksiona, niezdarna w kostiumie. Pławia się w bąbelkach. Marinę uderza wspomnienie — basen głęboko pod kraterem Macrobius, mały, ledwie mieszczący dwie osoby, plus smok na dachu, stary smok ze Wschodniego Morza. Ona śmiertelnie wyczerpana po przygodach na Morzu Wężów, otulająca ją woda ciepła jak krew. Carlinhos zanurza się obok niej.

— Marino, coś się stało?

Musi bardziej pilnować swoich emocji. Bardziej po księżycowemu, dziewczyna będzie się dopytywać i trzeba będzie opowiedzieć o Carlinhosie.

— A, ktoś mi się przypomniał. Facet.

— Ooo! — Ocean już widzi seks i sekrety.

— Ale bez happy endu. Był piękny, naprawdę piękny. Brutalny do szpiku kości. Był zaszczytnikiem Corta Helio.

— Takim jakby gladiatorem?

— Nie radził sobie z jedną rzeczą — z tym, że to uwielbiał. Nie chciał być kimś takim, ale nie potrafił się od tego uwolnić.

Widzi go, wspaniałego, promieniejącego, na arenie Sądu Claviusa, bosego na zaplamionych deskach, jak sypie piaskiem z krwią przeciwnika prosto w twarz Jade Mackenzie.

— Zginął, skarbie. Włożył pancerz, wziął dwa noże w dwie ręce i poszedł sam jeden walczyć z wrogami. Chyba wiedział, że tego nie przeżyje. Ale nie potrafił żyć z tym, co zobaczył tego dnia w sądzie.

— Zabiłam kogoś? Nie. Chyba nie. Ale robiłam ludziom krzywdę. Kupę razy. Bo widzisz, byłam silna. Jak superbohaterka. Aż przestałam i wtedy wiedziałam, że trzeba wracać. Bałam się przez każdą sekundę na Księżycu, ale jednocześnie czułam, że żyję. Ludzie... ziemscy ludzie, jakby przez cały czas śpią. Po prostu odpajkowują, jedną rzecz, drugą. A tam na górze cały czas masz świadomość, że tysiąc rzeczy utrzymuje cię przy życiu. Nic nie jest dane raz na zawsze. Rozumiesz?

— Próbuję. Marino...

— Pst. — Marina dotyka ramienia Ocean, lecz dziewczyna już je widzi. Łosie idą wolno, zatrzymując się, rozglądając, patrząc. Mijają werandę — dwa, trzy, potem dwa kolejne.

— Dla nich to był dobry rok — mówi Ocean, kiedy znów można się odezwać. — Dziwny rok.

Światło na wodzie — gdy Marina gapiała się na łosie, podszedł ją Księżyc. Wszedł, w dwóch trzecich, znad Hurricane Hill.

— Ole Kū Kahi. A może Ole Kū Lua.

— Co to takiego?

— Księżycowe nazwy dni. Używamy hawajskiego kalendarza. Każdy dzień miesiąca albo luny, jak się przeważnie mówi, ma swoją nazwę. Zresztą luna to nie to samo, co ziemski miesiąc, bo nasz rok jest o dziesięć dni krótszy od ziemskiego.

— Marino — zauważa Ocean. — Ciągłe mówisz „my”, „nasz”.

— Mówię? No tak. Dobra, a zniesiesz jeszcze trochę zmarszczek? Jeśli tak, to opowiem ci o moim Księżycu. Ale uwaga, bo będą noże, smoki, wilki, co się tylko da.

TRZYNAŚCIE

Obejście neuronowe wszczepione przez chirurgów z Roźdiestwińskiego jest małe i cwane, ale to nadal proteza. Ariel jest cały czas świadoma tej subtelnej pułapki — nie zapominaj, że jesteś niepełnosprawna. Nie zapominaj, że masz przerwany rdzeń kręgowy i jesteś sparaliżowana. Ale poza tym to niezły kawałek technologii. Da się nawet tańczyć. Pozwala sobie na piruet przed ekranem—oknem, z dramatycznym widokiem na wysadzaną klejnotami misę Coriolisa. To ciągle klatka dla zakładnika, ale chociaż z klasą.

— *Abena Maanu Asamoah* — obwieszcza Beija Flor.

Ariel zamawia herbatę i popija ją, patrząc, jak wagonik rusza w górę ze stacji. Abena jest bystra i pewna siebie, jak zawsze, modnie ubrana w etolę ze sztucznie hodowanego futra i toczek na głowie, ale nawet jej nie udaje się ukryć zmęczenia podróżą z jednej strony Księżyca na drugą.

— Nie rozumiem, czemu nie mogłyśmy tego załatwić przez sieć — rzuca Abena, jednocześnie kopiując Ariel raport z postępów prac. Dobra jest. Za dobra, żeby patrzeć, jak marnuje się w polityce.

— Żebym wiedziała, za kim wysłać Dakotę, kiedy wyjdzie jakiś przeciek — wyjaśnia Ariel.

— Dziwnie chodzisz — mówi Abena.

— Wrażenie jest takie, jakby to były cudze nogi. Dobra. Wstępne wysłuchanie stron. Chcę, żebyś ty na nim była.

Młoda jest opanowana, trzeba przyznać. Tylko minimalnie rozszerzają jej się oczy.

— To ty jesteś adwokatem, powinnaś przedstawić nasze stanowisko.

— Ja mam jeden problem. Nie jestem siostrzenicą Omahene.

— A ja nie jestem adwokatem.

— Kochana, to żaden problem. To znaczy to jest problem, ale znajdziesz jakieś wyjście.

— Weź kogoś innego ze swoich aplikantów.

— Nie. Oni nie są tak osobiście zaangażowani.

— Znaczący nie pieprzyli się z nim.

Talent, opanowanie i samokontrola.

— Sama. Nikogo więcej.

— Ale to jest...

— Teatralne. Pewnie. Jedna kobieta, jeden głos przed Sądem Claviusa, otoczona tysiącem potężnych wrogów? U nas dominujący obraz sądu to arena gladiatorów. Nie, nie, *coração*. Sąd to teatr. To scena. Prawo to nie walka. Prawo to perswazja. Tak jest od zawsze. To lepsze niż jakakolwiek telenowela. Oglądalność w sieci będzie gigantyczna. — Ariel widzi, że Abena przepatruje w myślach odpowiedzi: *Nie mogę, to absurd, żartujesz, zwariowałaś, to niemożliwe.*

— Coś chcesz jeszcze powiedzieć?

— Tak. Pierdol się, Ariel.

— Dobrze, dobrze. Nie będziesz sama. Będziesz miała pełne wsparcie AI, będziesz mieć za sobą cały zespół i mnie w uchu. Myślisz, że puściłabym cię do Sądu Claviusa z gołymi cyckami? Ale będzie ci potrzebny jeszcze zaszczytnik.

— Rozwiązywanie sporów przez walkę jest barbarzyńskie, staroświeckie i uwłaczające dla prawa.

— Oczywiście, że tak, ale na miejscu Lucasa rzuciłabym wyzwanie, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak rozbierasz się do stanika i majtek i wtykasz sobie nóż we włosy. Chyba nie masz z tym problemu?

— To jest poniżające, dla wszystkich i dla wszystkiego. Nie jesteśmy jakimiś dzikusami.

— Mój brat był zaszczytnikiem Corta Helio. Carlinhos. Najmilszy, najłagodniejszy, najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu znałam, a musiałam patrzeć, jak w Sądzie Claviusa podrzyna gardło Hadleyowi Mackenziemu.

Równie dobrze sam mógł leżeć na deskach we krwi. Nasze prawo ma swoją cenę. A ona jest taka, że każdy, kto po nie sięga, może się skaleczyć. Prawo, które nie ma ceny, to żadna sprawiedliwość. Carlinhos to rozumiał. Weź sobie zaszczytnika. Ja kiedyś często brałam Isholę Oluwafemiego. Potem popracujemy nad twoim wyglądem do sądu. A, póki jeszcze tu jesteś, idź porozmawiaj z Lucasinem. Już mówi. Opowiedz mu coś. On to bardzo lubi.

Abena zatrzymuje się w drzwiach.

— Co, Ariel, zaczynasz mu matkować?

— Idź na spotkanie ze swoim klientem.

— Ja robię takie?

Luna kiwa głową i wsuwa mu na łyżkę kolejny kawałek ciasta.

— Umiem... jeść. Sam — mówi Lucasinho Corta. Bierze łyżkę i prowadzi ją do ust.

Luna patrzy niespokojnie. W ostatniej chwili traci koordynację wzrokową, dłoń mu się chwieje — Luna rzuca się na ratunek i łapie spadający kawałek ciasta w papierowy ręcznik.

— Przepraszam.

Codziennie przychodzi go zobaczyć, po tym, jak doktor Gebreselassie nawkłada mu nowych rzeczy do głowy, i codziennie jego reakcje są szybsze, twarz bardziej pogodna, mowa wyraźniejsza — jednak szybko odkrywa także dziury w jego umyśle, chwile, dni, całe opowieści, które sama pamięta wyraźnie, a dla niego nie istnieją.

— *Nie naciskaj go, żeby coś sobie przypomniał* — poucza ją doktor Gebreselassie. — *Nie przypomni sobie czegoś, czego tam nie ma. Rozmawiaj z nim o tym, co pamięta. Wspólne wspomnianie jest bardzo ważne.*

Dzisiaj przysiadła na końcu jego łóżka i rozmawiała z nim o ciastach. Na początku prawie nie rozumiał, o czym ona mówi, potem wspomnienia wróciły, a białkowe chipy porobiły pomiędzy nimi skojarzenia i ciasto ożyło mu w głowie. Opowiedziała mu, jak to wszystko się zaczęło — od tego, że ogłosił, że nie będzie już robił ciasteczek księżycowych na Święto Środka Jesieni, bo nikomu nie smakują. Teraz przerzuca

się na babeczki. Zajęło mu to trzy dni, były za słodkie i zbyt intensywne w smaku, ale nie były to ciastka księżycowe. Wszyscy się zachwycali, więc zachęcony zaczął piec na imieniny, święta, urodziny, wszelkie uczelniane okazje i z czasem zrobił się w tym świetny. Gdy Luna mu o tym opowiedziała, oczy mu pojaśniały. Przypomniał to sobie, a potem Luna zabrała go na Morze Spokoju, kiedy uciekali kradzionym łazikiem. Wypełniał jej wtedy czas, wygłaszając wykład o ciastach. O tym, że są idealnym prezentem, jakie są trudne do zrobienia, jakimi prawami się rządzą. Przez kratery i wąwozy, dopóki nie trafili na oddział Mackenzie Metals. Tu twarz mu pociemniała. Pokręcił głową. Miał lukę w mózgu pomiędzy tym ciastem a obudzeniem się w ośrodku medycznym w Coriolisie.

Nawet najlepsza drukarnia organiczna na Księżycu potrzebowała dużo czasu, żeby zsyntetyzować ciasto cytrynowe. Lucasinho wydawał się zdenerwowany, gdy Luna nabrała trochę na łyżkę i usiadła blisko jak matka, żeby go nakarmić. Potem na jego twarzy pojawiła się ekstaza.

— Jeszcze. Poproszę.

Tym razem pozwala Lunie podtrzymywać rękę przy prowadzeniu łyżki.

— Ja coś takiego robiłem!

— Miałeś swój własny, specjalny sposób!

Lucasinho marszczy czoło zdziwiony. Jego pamięć jest jak księżycowy krajobraz, pełen kraterów i rozpadlin.

— Przypomnisz sobie, jak będziesz gotowy — mówi Luna.

Oba chowańce jednocześnie informują o przyjsciu gościa. Lucasinho wytrzeszcza oczy.

— Abena!

Luna najeża się za maską Pani Luny. To jej czas. Jej miejsce. Jej główna rola. Ustawia się w nogach łóżka Lucasinha — w idealnym punkcie obronnym. Przygotowuje najgroźniejsze spojrzenie. Abena nawet nie mruga.

— Luna. Lucasinho.

Lucasinho usiłuje wstać. Luna nie może na to pozwolić. Może coś sobie naderwać, naciągnąć, złamać. Wciąż stara się ich rozdzielić.

— Czego chcesz?

— Przyszłam się spotkać z moim klientem.

Luna rozszerza nozdrza, marszczy się jeszcze bardziej.

— To ja jestem twoją klientką.

Punkt dla niej. Trafienie. Widzisz, ty cwana, cwana, Asamoah? Ja wiem, co było między wami, ale to wszystko dawno i nieprawda i teraz jesteś tylko dziurą w jego pamięci.

— Ale i tak muszę porozmawiać z...

— Skoro jestem twoją klientką, to mogę cię odprawić.

Już wypowiadając te słowa, wie, że to pusta groźba. Abena też dobrze o tym wie.

— Ja nie usłucham, Luno.

— No dobrze. Ale ty siedzisz tam na dole, a ja tu na górze.

Abena Asamoah waha się przez chwilę, po czym siada na podłodze przy łóżku.

— Abena — odzywa się Lucasinho.

Abena jest poruszona.

— Nie wiedziałam, że już mówisz.

— Mówi od wielu dni. Cały czas rozmawiamy — mówi Luna.

— Prawda, Lucasinho?

— Bardzo dużo — mówi Lucasinho.

Czyżby to były łzy w oczach Abeny?

Abena pociąga nosem, wyjmuje chusteczkę z torebki.

— Wyglądasz... świetnie.

— Jak kupa — mówi Lucasinho. — A ty. Świetnie. Ładny kapelusz.

Znów łzy.

— Streszczaj się — rzuca Luna. — Masz go nie denerwować, nie dezorientować, nie mówić trudnych rzeczy. Doktor Gebreselassie jest bardzo stanowcza. — Ale to Abena jest zdenerwowana przez zbyt wiele trudnych rzeczy.

— No dobra. Lucasinho, nie wiem, czy Luna ci o tym mówiła, ale toczy się wielka bitwa o ciebie.

Lucasinho wydaje krótki okrzyk, rozszerzają mu się oczy.

— Co ja takiego powiedziałam?

Luna syczy. Nauczyła się tego od matki.

— O sprawie w sądzie on wie. Mów „sprawa”, a nie „bitwa”.

— Pãe i mãe — mówi Lucasinho. — I *tia* Ariel.

— Tak Dobrze. Ja pracuję z Ariel i my uważamy, że najlepiej, abyś był tutaj, dopóki nie dojdiesz do siebie. Więc walczymy... pracujemy, żeby cię tu zatrzymać, dopóki nie wydobrzejesz na tyle, żeby samemu podjąć decyzję. Co chcemy osiągnąć — żeby Luna miała kontrakt na opiekę. Już raz cię uratowała, więc już istnieje taki nieformalny kontrakt. Rozumiesz to?

Lucasinho kiwa głową. Luna tłumaczyła mu to już kilka razy, ale on ma w głowie zbyt wiele wspomnień konkurujących o miejsce i czasami wypierają z niej nowe zdarzenia. Zdarzyło mu się powtarzać te same słowa trzy czy cztery razy. Babcia Adriana też tak miała, kiedy była już bardzo, bardzo stara. Widzi dezorientację w jego oczach.

— Musisz po prostu dojść do siebie — mówi Luna. Widzi wahanie na twarzy Abeny. — Co takiego?

— Luca... trzeba, żebyś coś dla nas zrobił.

— On się tak nie nazywa — przerywa Luna.

— Luca — mamrocze Lucasinho na łóżku.

— Męczy się już — mówi Luna. — Musisz iść.

— Muszę mu powiedzieć to, co muszę powiedzieć — ciągnie Abena. — Idę do sądu. Nie ma się czego obawiać, to dopiero wstępne wysłuchanie, gdzie zdecydujemy, co będzie dla ciebie najlepsze, kiedy czekamy na rozpatrzenie tej dużej sprawy.

— Najlepsze to tutaj — mówi Lucasinho.

— My też tak uważamy. I ja dopilnuję, żebyś został tutaj. Twoja ciotka Ariel ma plan. Ale musisz nam w nim pomóc.

— Mnie nie powiedziałaś — rzuca ostro Luna. — To ja jestem klientką. Powinnam wiedzieć o takich rzeczach.

Abena wzdycha.

— No dobra. Luno, potrzebujemy pomocy Lucasinha.

— I to się uda?

— Ariel Corta ma taki plan.

— No dobrze. To teraz pytaj Lucasinha.

— Luca, trzeba, żebyś coś dla nas zrobił.

Luna puszcza zdrobnienie mimo uszu, ale robi się podejrzliwa.

— Co takiego?

— Nic takiego. Coś fajnego — mówi Abena Asamoah.

Lucasinho rozpromienia się radośnie, Luna jednak się najeża.

— Ale co?

— Po prostu połączenie wideo ze mną.

— To bezpieczne? — pyta Luna.

— Bezpieczne — odpowiada Abena. — To najbezpieczniejsza rzecz na świecie.

— Luca, to chyba powinieneś to zrobić — oświadcza Luna.

Abena wydaje westchnienie ulgi.

— Dziękuję. O, to ciasto cytrynowe?

Lucasinho kiwa głową.

— Mogę kawałek?

— Tak — mówi Lucasinho ku wściekłości Luny. — Oczywiście.

W Południku jest bar dla każdego. Szklarze mają swój Peace Jazz Bar, królowe Torów VTO — Czerwone Dynamo, a ich odpowiedniki z VTO Space popijają wódkę martini w Wostoku. Robotnicy Mackenzie Helium zmywają z siebie pył w Coogee, a *jackaroos* z Mackenzie Metal stukają się szklankami w Pod Młotem w sąsiedniej kwadrze. Gwiazdy pierwszej ligi piłki ręcznej ćwiczą w D, Liga de Luna Pod Świętą Marią, a ich właściciele przechwalają się i kręcą biznesy na tarasach Klubu

Zawodowca. Programiści i inżynierowie oprogramowania szaleją w Indeksie, lekarze w Rzeźniku. Są knajpy dla obsługi BALTRAN—u, kolejarzy, aktorów, komików, piosenkarzy, muzyków i dwustu gatunków studentów. Upolitycznieni piją i sprzeczą się w pasażu szytych na miarę klubów na 32. Ulicy, gdzie jest bar dla każdego politycznego odcienia; prawnicy kłócą się i narzekają w Clube de Argumentos. Dokładnie naprzeciwko w sąsiedniej kwadrze, na tej samej ulicy i pod tym samym numerem sędziowie Sądu Claviusa trwonią pensje na paskudny dzin. A Błysk Noża — to jest bar zaszczytników.

Abena wyobrażała sobie bar hałaśliwy, piracki, niskie kamienne sklepienia i wyryte nożem napisy, miejsce na krwawe zemsty i wendety, gwałtowne temperamenty i zadawnione urazy kończone ostrzem noża. Dudniący hip—hop metal, słowa prosto z Walhalli do akompaniamentu stukania szkła o stół. Pieśni na cześć słynnych zabójców.

Tymczasem on boleśnie rozczarowuje. Stoi przed rzędem standardowych modułów mieszkalnych wkopanych w surową skałę poziomu 53. Wschód. Szkło i tytan. Liczyła, że na jej wejście wszyscy się obejrzą, tymczasem nikt nawet nie spojrzy, gdy wkracza do środka, w żakiecie z talią osy, etoli ze sztucznego futra i pięknym kapelusiku.

Klienci są kolejnym rozczarowaniem. Spodziewała się ogromnych facetów i chudych, groźnych kobiet, kolczyków i tatuaży, piercingów, łysych głów połyskujących w przyćmionym świetle. Irokezów. Blizn i brakujących palców. Rozdartych koszulek, bezrękawników z kapturem, mieszaniny wszelkich księżycowych mód. Prawdziwej skóry. Niesamowitych butów.

Owszem jest tu trochę ogromnych facetów i chudych groźnych kobiet, łatwo też odróżnić zieluniaków i zieluniaczki, brane ze względu nadziemskie mięśnie, ale zaszczytnicy chodzący do Sądu Claviusa są równie zróżnicowani pod względem postury, wieku, płci i stylu jak normalni bywalcy dowolnego klubu w Południku. Muzyka to starannie wybrany M—pop, nienachalny, ale nóżka sama chodzi. Drink — martini w eleganckich, zroszonych kieliszkach. W łóżach, przy stolikach i przy barze nie rozmawia się o walkach i krwi, o zdobytych zaszczytach i zmiażdżonych na arenie wrogach, lecz o sprawach sądowych, historycznych, pamiętnych, o prawnych precedensach, argumentach i sprytnych zagrywkach, o charakterach i słabostkach poszczególnych sędziów, powodów i pozwanych; wymienia się sądowe plotki i wieści o aferach. Ci zaszczytnicy mają nabite więcej godzin na sali sądowej niż niektórzy zatrudniający ich prawnicy, więcej nawet niż sędziowie. Abena nie widzi ani jednego noża, ani choćby charakterystycznego zarysu pochwy pod bluzką. Większość klientów Błysku Noża nigdy go na sali sądowej nie wyciągało.

Turni, jej chowaniec, już zidentyfikował poszukiwanego człowieka, Abena podchodzi jednak do baru, żeby lepiej i dłużej mu się przyjrzeć. Ishola Oluwafemi, od wielu lat zaszczytnik Ariel. Barczysty Joruba o okrągłej łysej głowie, roześmiany, zadowolony wśród kolegów. Śmiech ma perlisty jak woda. Miły facet, oddany ojciec, krwiożerczy wojownik, jak mówiła Ariel. Abena tego nie widzi. Wie za to, że noża w sądzie ostatni raz dobywał dwa lata temu.

— *Wielki facet* — mówi do Tumiego.

— *Ale kondycję ma słabą* — odpowiada chowaniec.

Ishola Oluwafemi zmiękł w księżycowym ciężeniu, za często śmiejąc się z kumplami pod Błyskiem Noża. Abena podchodzi do jego stolika.

— Chcę zakontraktować zaszczytnika.

— Zwróć się do mojego agenta — odpowiada Ishola.

— Reprezentuję Ariel Cortę — mówi Abena.

— Znam Ariel Cortę — mówi Ishola. — Kiedy mnie potrzebuje, sama przychodzi, nie wysyła stażystki.

Abena sięga nad stołem, wylewa do połowy pełny kieliszek Isholi i odwraca go do góry nogami. Ishola zrywa się na nogi. W Błysku Noża robi się cicho i martwo jak w zimnym jądrze Księżyca. Tu wszyscy wiedzą, co znaczy odwrócone szkło. Tu wszyscy walczą.

— Potrzebuję zaszczytnika dla Ariel Corty! — woła Abena. — Kto z nim wygra, ma kontrakt.

I cały Błysk Noża eksploduje. Ludzie rzucają się na Isholę, przewracają stół. Abena odskakuje. Przelatuje nad nią krzesło, ona nurkuje, robiąc unik przed czyjąś pięścią. Bar jest jednym kłębowiskiem zasapanych, rozwrzeszczanych ciał. Abena, przygięta do ziemi, szuka osłony. Lecą stoły, lawina szkła, meble rozlatują się na części, a każda z tych części jest podniesiona i użyta jako broń. Noga od krzesła mija o centymetry jej nos, lecący nóż ucina centymetr piórka z jej kapelusza. But leci w stronę jej twarzy, ale w ostatniej chwili napastnik widzi, że ona nie bierze w tym udziału, robi piruet i przekierowuje go na ucho kobiety rzucającej się na niego z

nożami w obu dłoniach. Ciała padają na podłogę pełną potłuczonych kieliszków do martini. Abena dociera do baru i kuli się pod nim, osłaniając głowę rękoma. Wygląda na to, że pomiędzy nią a wyjściem zgromadziła się cała ludność Księżyca, która do tego walczy między sobą na pięści i kopniaki.

Dłoń na ramieniu. Abena okręca się, zamachując się torebką. Patrzy w twarz chudej latynoski w niebieskim stroju Rózi Nitowaczki i chustce w czerwone grochy na głowie. Jej chowaniec jest ubrany w uniwersyteckie białe i niebieskie koła.

— Za mnom — mówi z silnym akcentem z Tamtej Strony. — Wyprowadzę cię stąd.

Abena łapie podaną dłoń. Uchwyt kobieta ma silny, prowadzi ją pewnie, dopasowując się do rytmu walki w barze, prześlizgując się przez luki pomiędzy walczącymi. Przystaje, gdy w powietrzu przelatuje saltem mężczyzna, potem gwałtownym, wyrywającym rękę z barku szarpnięciem usuwa Abenę z toru zamachu krzesłem. Patrzy w jej stronę szeroko uśmiechnięta. Niewidoczny napastnik zamachuje się na nią kawałkiem stołu. Zanim ostrzeżenie wydostaje się z ust Abeny, kobieta w niebieskim odwraca się, robi blok i kończy go rzutem, po którym atakujący ląduje na ścianie. Od ulicy dzieli je już tylko dwóch walczących, ale obaj widzą, co zamierza Rózia Nitowaczka. Wyciągnięte noże, jeden w górze, drugi nisko. Kobieta puszcza dłoń Abeny, przeskakuje ponad dolnym nożem, górny zbija zamachem nogi. Dwaj napastnicy chwieją się, tracą równowagę, a ona tymczasem ciągnie Abenę przez powstałe przejście. Abena chwieje się na zdradzieckich szpilach, łapie się z całej siły balustrady 53. Wschodniego. Przed

nią zieje Kwadra Wodnika. Usiana światłami przepaść. Znow chwyta ją silna dłoń.

— Dasz radę w tym biegać? — Pokazuje brodą szpilki Abeny.

Ta zrzuca je natychmiast i ciska w kłębowisko walczących. Niech chaos będzie jeszcze większy.

— Teraz dam.

— To biegnij.

Zatrzymują się w windzie. Zdyszane opierają się ciężko o ścianę.

— I jak? Podobało się? — pyta kobieta.

Winda opada ku prospektowi Tierieszkowej. Abena przez chwilę jest zbita z tropu, urażona, potem jednak przyznaje się sama przed sobą do tego, co czuła od chwili, gdy odwróciła kieliszek i cały bar zerwał się na nogi.

— Zajebicie. — Podobała jej się każda niebezpieczna, krwawa, głupia sekunda tej akcji.

— Wiedziałam. Jestem Rosario Salgado O'Hanlon de Ciołkowski. Bez agenta.

— Mówiłam „kto z nim wygra, ma kontrakt”.

— I ja wygrałam — odpowiada ona. — Walka to nie jest jedyny sposób na wygraną.

Turni sprawdza chowańca Rosario. Abena przegląda profil. Miała rację z tym Farside. Habilitacja z księżycowych telenowel. Szkoliła się na ghaziego. To tłumaczy te ruchy.

— Czemu nie ukończyłaś szkolenia? — pyta.

— Miałam kryzys umysłu.

— Opera mydlana — mówi Abena z widoczną pogardą.

— Oglądasz?

— Nie.

— To nie możesz się wypowiadać — rzuca tamta z kontrolowaną zawziętością. — To był mój upadek wiary. Nie ty będziesz mi to tłumaczyć. Poszłam na spotkanie z promotorem i zobaczyłam komety. Całe chmury komet, dalekie, zimne, martwe, pośrodku nicości. Teoria na teorii na teorii, a wszystkie fikcyjne jak te telenowele. Metafikcje, wtórności. I coraz więcej, nie ma końca tych teorii. Podziękowałam mu i poszłam.

— I zaczęłaś robić jako zaszczytniczka. — Turni znów sprawdza życiorys Rosario. — Zero wygranych walk, widzę.

— I zero przegranych spraw. Poproszę kontrakt na mojego chowańca.

Abena obserwuje swoją nowo zatrudnioną zaszczytniczkę podczas jazdy windą. Żyłasta, chuda, szybka. W gębie też mocna, ale czy będzie w stanie porządnie ciąć w prawdziwej walce, od której nie uda jej się wywinąć? Co by pomyślała Ariel Corta? Podziwiałaby butę, pewność siebie, cień rzucany przez porażkę i wygnanie. A co myśli Abena Maanu Asamoah? Właściwie to samo. Nawet więcej. Podoba jej się ryzyko, groźba, los świata zawieszony na ostrzu noża, a wszystko to ucieleśnia ta drobna kobieta. Razem z kolegami z seminarium Kaboszon rzucała gromy na barbarzyńskie księżycowe prawo. Każda umowa społeczna musi mieć kodeks cywilny i karny. Ale prywatnie podziwiała jego intymność — bo sprawiedliwość powinna cię dotykać, powinna cię kosztować; i tak jak nóż, powinna ranić każdego, kto jej źle używa. Kiedyś — czasem myśli, że jako inna Abena — obdarowała Lucasinha Cortę prawem azylu u Asamoah, a kiedy utoczył kropelkę krwi,

wbijając sobie ten kolczyk w ucho, zlizwała ją i jej skosztowała. A dzisiejsza Abena wszczęła bójkę w barze, żeby coś pokazać Isholi Oluwafemiemu — tak by pokazać, że jej czyny też się liczą, ale przede wszystkim dlatego, że mogła. I dlatego, że to było ekscytujące. Kiedy pięści zaczęły uderzać i błysnęły ostrza, kiedy zaczęły padać ciała i pękało szkło, była podniecona jak nigdy w życiu. To nie są dwie Abeny. Abena jest jedna i już nie może się doczekać, kiedy wyjdzie na arenę Sądu Claviusa.

„Nie daj się jej uwieść”, mówili jej przyjaciele z seminarium Kaboszon, kiedy podjęła pracę jako aplikantka Ariel. „Jest urocza, jest sprytna i przerobi cię tak, że sama siebie nie poznasz”.

„Jest o wiele gorzej”, mówiła im potem Abena. „Ona zmienia mnie w siebie”.

Moto otwiera się. Abena Maanu Asamoah bierze głęboki wdech i wysiada na Plac Sądowy. Kamery śmigają. Dziennikarze biegną. Głosy jazgoczą. Abena Maanu Asamoah narzuca futro na ramiona i maszeruje ku drzwiom Sądu Claviusa. Obcasy dźwięczą na polerowanym spieku. Jak ciche wystrzały.

„Proces zaczyna się, kiedy tylko wystawisz nogę poza *moto*” mówiła kiedyś Ariel. O piątej rano przyjaciele z seminarium zaczęli ją ubierać. O szóstej rano przybyła ekipa od włosów, ze swymi rusztowaniami i maszyną. O siódmej pałeczkę przejęły kosmetyki i zaczęły pracować nad jej sądowym obliczem. O dziewiątej zjadła parę drobnych owoców — nic rozdymającego. nic brudzącego jej doskonałe zęby. O

dziewiątej piętnaście odbyła ostatnią rozmowę konferencyjną z Ariel na Farside.

„Widziałam gorsze ławy”, powiedziała Ariel. „Valentina Arce podejmuje decyzję po dziesięciu minutach więc zadaj ważne ciosy wcześniej. Kweko Kumah będzie chciał, żeby skończyło się do obiadu. Jest niesamowitym fanatykiem piłki ręcznej. Codziennie po południu kłóci się na forach dla kibiców. Ma nick «Mano de Dios». Rieko Nagai kojarzę z dawnych czasów. To ona wprowadziła mnie do Pawilonu Białego Zająca. Wciąż do niego należy. Doradza mojemu bratu. Skrzywienie to nie jest prawny problem, jeśli się je odpowiednio kompensuje. Ale uprzedzenie — tak. Ona cię wysłucha. Rieko i Valentina nigdy się w niczym nie zgadzają. Kweko o tym wie, więc nie wchodź mu bez mydła. Przynajmniej publicznie. I baw się dobrze”.

O dziesiątej przychodzi jej zaszczytniczka. Rosario jest schludna i profesjonalna w swoim mundurku, składającym się z niebieskiego drelichu nitowaczki i chustki na głowie. Trzyma się o krok za wchodzącą po schodach Abeną. Reporterzy i kustosze plotek wykrzykują pytania.

— Pani Asamoah...!

— Bardzo eksponowana sprawa...!

— Młoda, bez doświadczenia...!

— Właśnie wychwyciłam i zneutralizowałam pięć dronów, które cię namierzały. W roju z kamerami — szepcze Rosario. — Może to nic, a może to zabójcy. Na wszelki wypadek. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

Abena dotyka palcami karku w tradycyjnym rytuale z Twé — strzepywanie z siebie jadowitego pająka. Mroczne siostry

Anansiego. Ledwie może oddychać. Nie jest w stanie zrobić kolejnego kroku. Rosario dotyka jej łokcia, przepływa moc.

— Idź dalej, uśmiechaj się dalej — mówi Rosario. — I nic się nie bój. Jeśli się przedrą przez moją elektroniczną ochronę, mam odtrutki na najważniejsze pięćdziesiąt trucizn używanych przez asasynów.

Abena myśli, że to chyba zaszczytny humor. Ale podnosi ją na duchu.

— Sunowie i Cortowie...

— Bez doświadczenia...

— Młoda.

— Bez doświadczenia.

Sala sądowa nr 2 to jedna z najstarszych — Abena niczego innego się po Sunach nie spodziewała. Jest kameralna i onieśmielająca, ma kształt półwalca z gładko wypolerowanej skały, kamienna ława stoi na wprost pięciu pięter schodkowych galerii. Łoże, arkady, filary, ławy. Sąd jako opera. Na tej scenie prawo jest blisko jak przy pocałunku. Abena zajmuje miejsce w wyznaczonej łoży, Rosario poniżej niej na ławie dla zaszczytników. Ludzie Lucasa zajmują miejsca, trzy rzędy prawników. Jego szef Działu Prawnego, Viego Quiroga, kiwa jej głową. Abena prześwietliła go, podobnie jak on ją. Ich zaszczytnik to istna ruska góra, Konstantin Pawluczenko. Mógłby się przebić pięścią przez skałę.

— *Załatwię go* — mówi Rosario. — *Duzi faceci mają masę wątpliwości.*

Delegacja Sunów jeszcze nie przybyła. Zrobią sobie wejście w ostatniej chwili. Amanda Sun sama prowadzi swoją sprawę.

Urządzi tu niezły teatr. „Amanda przyprowadzi śpiewających radców i tańczących adwokatów i prawników, co będą wyciągać z dupy piękne kwiaty, telenowela będzie na całego”, mówiła Ariel. „Ty jesteś jedna, samotna kobieta, co mówi prawdę i tylko prawdę. To aż nadto wystarczy”.

Wiadomości: od przyjaciół, rodziny, kumpli z seminarium. Zasiadają w wyższych rzędach:

— *Gdzie ty jesteś? Nie widać cię.*

— *Jeszcze zobaczycie.*

— *Ariel* — obwieszcza Maninho.

Ostatnia kontrola przed startem, skarbie. Chcesz iść do łazienki? Nie idź. Z pełnym pęcherzem retoryka lepiej wychodzi. Zyskuje na tej niecierpliwości. Po drugie, słuchaj, wiem, że nic nie brałaś, ale jeśli przyniosłaś sobie jakiś stymulant, skupiacz, pobudzacz czy relaksant, to nie bierz go. A nawet wyrzuć. Kweko brzydzi się farmakologią. Trochę paradoks jak na kibica piłki ręcznej. Całą salę ma obstawioną czujnikami. Więc nic nie ładuj. Parę ostatnich uwag. Jeśli wymknie ci się spod kontroli, wnioskuje o przełożenie rozprawy. Improwizuj. Jak najbardziej. *Malandragem*, cwany ruch, to samo sedno Sądu Claviusa. Ale trzeba to dobrze zrobić. Kiepska *malandragem* to żadna *malandragem*. Bądź w kontakcie. Na wszelki wypadek.

Przybywają Sunowie, eleganccy, nieskazitelni, arystokratyczni. Abena nauczyła się na pamięć nazwisk i twarzy. Amanda Sun zajmuje miejsce dla adwokata. Łapie spojrzenie Abeny i odpowiada lodowatą pogardą. Ród Sun zawsze patrzył z góry na ród Asamoah. Galerię wypełnia

publiczność z Pałacu Wiecznego Słońca. Jest i lady Sun, o lasce. A kto to jest ten młody człowiek, który pomaga jej usiąść w łóży pomiędzy Amandą a jej doradcami?

— *Darius Mackenzie—Sun* — mówi Turni. — *Jego matką była Jade Sun. To ostatni potomek Roberta Mackenziego. Po Żelaznym Potopie zabrano go do Pałacu Wiecznego Światła, gdzie został podopiecznym dziedziczki Shackletona. Uczy się w Szkole Siedmiu Dzwonów pod osobistym kierunkiem Mariana Gabriela Demarii.*

— Adoptowała sobie dziedzica, myśli sobie Abena, gdy Turni przygotowuje pełne dossier Dariusa. Dwa razy ten sam trick — to błąd.

Obserwuje, jak lady Sun bierze łyk z eleganckiej porcelanowej piersiówki. Najlepszą i najtwardszą porcelanę robi się ze spopielenych kości. Na Księżycu te kości są ludzkie.

Woźny woła, sala wstaje. Pierwsi wchodzą sędziowscy zaszczytnicy, bowiem w Sądzie Claviusa wszystko może trafić pod sąd, także i sami sędziowie. Zajmują miejsca na arenie. Po nich wchodzą sędziowie, w białych togach, oślepiających w ostrym świetle nad areną. Valentina Arce przywołuje salę do porządku, Kweko Kumah wymienia strony, przedstawiciele i przyjęty szkielet prawny, Rieko Nagai odczytuje stanowiska stron. Rozpoczyna się wysłuchanie.

Viego Quiroga zasypuje sąd medycznymi szczegółami i odwołuje się do ojcostwa, rodziny, zdrowia i jedności. Lucas Corta wygłasza z nagrania oświadczenie, że pragnie jedynie, by syn przebywał razem z nim, tam gdzie on, pod opieką kochającego ojca. Abena zauważa, zauważają sędziowe,

zauważa cała publiczność, wszyscy dziennikarze i handlarze plotkami zauważają, że Lucas Corta nie stawiał się osobiście przed Sądem Claviusa, by wygłosić ten pean na rzecz ojcowskiej miłości.

Potem na półkole z polerowanego księżycowego kamienia wchodzi Amanda Sun. Przez galerie przechodzi szmer. Długo patrzy na każdego z sędziów.

Zaszczytnicy wiercą się na swoich miejscach.

— Nasze prawo to dobre prawo, bo zakazuje uprzedzeń, a uznaje stronnictwo. Tak, jestem stronnicza. Jakżebym mogła nie być? Jestem matką. Chcę, żeby mój syn był ze mną. To wszystko.

Potem odmalowuje Lucasa jako złego, nieobecnego ojca. Ojca niedbałego, a co gorsza, groźnego dla syna. Co to za miejsce dla dziecka, Orle Gniazdo, gdzie w każdej dłoni kryje się nóż, a każdy ukradkowy ruch w kącie może być morderczym dronem?

Ojca, którego usiłowałaś zabić, myśli Abena. Zerknięcie na sędziów mówi jej, że doskonale o tym wiedzą, jak również o plotce, że to Sunowie skonstruowali wojnę pomiędzy Cortami i Mackenziami.

— Pałac Wiecznego Światła jest mocny i stabilny, to bezpieczne miejsce, gdzie mój syn będzie mógł dochodzić do zdrowia pod opieką rodziny. Bo rodzina jest tu ważna. Uniwersytet ma wiele rzeczy, ale rodziną nie jest. Ariel Corta, doskonale znana Wysokiemu Sądowi, twierdzi, że reprezentuje domyślny kontrakt opiekuńczy Luny Corty. Pytam Sąd: kiedy ostatni raz Ariel interesowała się losem swojej bratanicy, nie

mówiąc już o bratanku, póki nie okazało się, że ich bezpieczeństwo może zagwarantować bezpieczeństwo jej samej? Kto taki odwrócił się plecami do rodziny, by robić własną oszałamiającą karierę prawniczej gwiazdy? Ariel Corta. Gdzie była Ariel Corta, gdy Asamoah udzielali azylu Lucasinhowi? Ona reprezentuje li tylko swój własny interes. Popatrzcie, jakie jest zainteresowanie dzisiejszym wysłuchaniem, przecież tylko wstępnym. Ariel myśli, że jest cwana, trzymając się z boku i czyniąc prawną opiekunką swoją bratanicę Lunę, ale Wysoki Sąd nie da się oczywiście wziąć na tak trywialny wybieg. Ariel Corta chce wykorzystać swego bratanka jako drabinę, by wspiąć się z powrotem na szczyt społecznej hierarchii. Rodzina przede wszystkim. Taka zasada obowiązuje. Ale popatrzmy, co to za rodzina. Nieobecny ojciec i żadna sławy ciotka. My, Sunowie, rozumiemy rodzinę. Nasza jest stara, jest silna i trzyma się razem. Dobrze znamy tę prawdę, że na początku i końcu są tylko rodziny i pojedynczy ludzie. Rodzina przede wszystkim. Tak. Ale Cortowie nie są rodziną. My jesteśmy.

Amanda Sun kłania się nisko ławie i wraca na miejsce.

— Luna Corta, reprezentowana przez Abenę Maanu Asamoah.

Abena przełyka ślinę. Żołądek jej się zaciska. Oto jest ta chwila —a z głowy uleciały jej wszystkie zdania, argumenty, cała perswazja.

Dzwoń do Ariel.

Już ma rzucić Tumiemu to polecenie. Przełyka je jednak. Nie potrzebuje żadnej Ariel Corty.

Uderzaj, toporze Xango, daj mi siłę do walki.

Wkracza na lśniące kamienne półkole.

— Reprezentuję Lunę Cortę, która wnosi o przedłużenie obecnego nieformalnego kontraktu opiekuńczego...

Viego Quiroga i Amanda Sun zrywają się na nogi.

— Wysoki Sądzie, naprawdę...

— Madam Asamoah nie ma kwalifikacji, by zeznawać w tym sądzie.

Abena szeptem dziękuje Xangu. Wrogowie wpadli w jej pułapkę. Sędzia Rieko patrzy na nią.

— Pani Asamoah?

— Adwokatem Luny Corty jest Ariel Corta. Ja jestem jej przedstawicielką tu, na tej stronie. Ze względu na własne bezpieczeństwo Ariel postanowiła zostać na Drugiej Stronie.

— *Senhora* Corta mogła się połączyć przez sieć — zauważa Kweko Kumah.

— Jak Wysoki Sąd wie, Ariel Corta zawsze wolała kontakt osobisty od wirtualnego.

Rieko Nagai powstrzymuje uśmiech, słysząc tę bezczelność

— Pani jest prawnikiem? — pyta Valentina Arce.

— Studiuję politologię na seminarium Kaboszon — mówi Abena.

— Czyli nie ma pani kwalifikacji prawnych — zauważa sędzia Kumah.

— Żadnych, Wysoki Sądzie. Wydaje mi się jednak, że nie są wymagane.

Westchnienia na wszystkich pięciu piętrach widowni Sądu Claviusa. Sędzia Nagai ponownie się uśmiecha.

— Nasze prawo opiera się na trzech filarach — mówi Abena. — W Sądzie Claviusa wszystko może zostać poddane próbie, w tym także sam Sąd Claviusa. Wszystko, włączając samo prawo, jest negocjowalne, a co więcej — to także mój argument — im więcej regulacji, tym gorsze prawo. Odmawianie wystąpienia przed tym sądem osobie pozbawionej kwalifikacji prawnych to wprowadzenie nowego prawa — prawa do wysłuchania. I ono nie jest wynegocjowane, stwarza kolejną regulację, pogarszając tym samym prawo. I nie było kwestionowane. Aż do teraz.

Rieko Nagai powstrzymuje otwarty śmiech, sięgając po szklanekę z wodą.

— Sąd zarządza teraz krótką przerwę, po której wydamy werdykt w sprawie stanowiska pani Asamoah.

Sala wybucha głosami. Abena osuwa się na siedzenie na ławce dla zaszczytników, tuż obok Rosario.

— Nic ci nie jest? — pyta Rosario.

Abena się trzęsie. Nie jest w stanie mówić. Kiwa głową.

— Narobiłaś sobie wrogów. Poszły kontrakty. Tak tylko mówię, informacyjnie. Nic się nie bój, zaraz je skupimy. Potraktuj to jak wyraz profesjonalnego uznania.

Przed jej twarzą zawisają drony z kamerami. Turni powiadamia o kilkunastu prośbach o wywiad i dwudziestu zaproszeniach na imprezy, na które dotąd nigdy by jej nie wpuszczono, nawet jako siostrzenicy Złotego Stolca.

Gwar cichnie jak ucięty nożem. Wrócili sędziowie.

— Madame Asamoah — wzywa ją Valentina Arce.

Abena odczytuje mowę ciała, ustawienie kończyn, wyrazy twarzy. Uda jej się.

— Sąd pani wysłucha — mówi sędzia Rieko.

Sala mruczy i szepcze.

— *Malandragem* — dodaje Kweko Kumah. — Zmarnowaliśmy na to już wystarczająco dużo czasu. Chcę to zamknąć do obiadu.

— Żaden problem — mówi Abena. — Mam do przedstawienia tylko jeden materiał.

Turni otwiera połączenie do Farside, a sieć Sądu Claviusa przekazuje je na chowańce wszystkich obecnych na sali. Pomruki zamieniają się w sapnięcia. Na każdej soczewce, w każdym oku jest Lucasinho Corta. Siedzi na brzegu szpitalnego łóżka, w aureoli wyciągniętych rąk medycznych robotów. Twarz i pierś ma zapadniętą, spojrzenie nieobecne i zagubione. Abenie jego kości policzkowe wydają się piękne jak nigdy. Macha ręką.

— Dzień dobry — mówi.

Po galeriach sali nr 2 przebiega coś pośredniego między westchnieniem a jękiem.

— Dzień dobry wszystkim — mówi z trudem, bełkotliwie. — Cześć, tato. Kocham cię. Nie mogę przyjechać. Muszę się czuć lepiej. Pamiętać lepiej. Dużo pracy. Ale chodzę. Zobacz! — Wstaje chwiejnie z łóżka i robi niepewny krok ku kamerze. — Daleka droga. Jeszcze. Ale jedno powiem: Luna raz uratowała. Mnie. Teraz drugi raz.

Abena przerywa połączenie.

— Rodzina to rodzina, ale powinno liczyć się wyłącznie dobro Lucasinha — mówi. — Popatrzcie, ile już się udało dokonać. Ale tak, jak przed chwilą sam powiedział, to jeszcze

daleka droga. Nawet jeśli i Sunowie, i Lucas Corta zgodzą się, by nadal przebywał na Farside, nie ma gwarancji, że wkrótce nie zmienią zdania. Lucasinho musi być odpolityczniony. Dla jego dobra proszę, by Wysoki Sąd uznał, przedłużył i skodyfikował obecny kontrakt opiekuńczy, który zawarła Luna Corta, kiedy uratowała Lucasinha Cortę i doprowadziła go do Boa Vista.

Kłania się sędziom i wraca na miejsce. Sędziowie zerkają po sobie.

— Sąd jest gotowy do orzeczenia.

Trójka adwokatów wstaje.

— Sąd jednomyślnie orzeka zgodnie ze stanowiskiem Luny Corty, reprezentowanej przez Ariel Cortę. Pani Asamoah, na słowo?

Ława wstaje. Sędziowie gęsiego schodzą z podwyższenia.

Abena słyszała, że zaplecze w Claviusie słynie z obskurności, ale i tak zdumiewa się, widząc klitkę, w której sędzia Rieko rozdrukowuje swoją togę i przebiera się w cywilne ubranie.

— Ariel dobrze cię przygotowała. Osobiste stawiennictwo to był jej pomysł?

— Jej, ale argument o trzech filarach był mój — mówi Abena.

Jest cała naelektryzowana z podniecenia. Nic jej tak nigdy nie rozpałiło, nawet obrona pracy przed Towarzystwem Lunariańskim, nawet seks z Lucasinhem — nic tak nie zaparło tchu, nie rozdmuchało wewnętrznego ognia. Teraz to wszystko rozumie. Dzisiaj wieczorem się zabawi, i to jak. Jakiemuś chłopakowi się bardzo poszczęści.

— Dobrze rozegrane, ale na przyszłość trzymaj się polityki.

I cała ekscytacja zdycha.

— Jedna Ariel Corta wystarczy aż nadto.

Vidhya Rao od zawsze nienawidziło ich żartów, sarkazmu, złośliwych kaprysów. Nie cierpi gier słownych, w które każą mu grać — dialogów w sztywnej wierszowanej formie albo reagowania tylko na zdania niezawierające litery „a” — ról, które każą mu odgrywać, śmieciarza z Szanghaju z lat czterdziestych XXI wieku, handlarza porcelaną z wieku XVIII — oraz światów, które tworzą i każą mu zamieszkiwać: niebiesko —białego świata z wzorów na porcelanie czy wirtualnej rzeczywistości opartej na XX—wiecznej wersji *Alicji w krainie czarów*. Wścieka się, że zmieniają postacie, wspomnienia, całe tożsamości. Nigdy nie są dwa razy tymi samymi istotami. Nienawidzi ich małostkowości, protekcyjności, arogancji i innych cech charakteru, niemających bezpośredniego przełożenia na paletę ludzkich uczuć.

Vidhya Rao nienawidzi Trzech Dostojnych Mędrców.

Gdyby miało więcej czasu i więcej cierpliwości, mogłoby nieśpiesznie, a dokładnie zgłębić ideę kwantowej inteligencji, tego, jak bardzo różni się od ludzkiej, tak że ludzka może nawet jej nie rozpoznawać — oraz że sama jej kwantowa natura może objawiać się jako surrealistyczny humor. Jednakże odkąd nie jest pracownikiem Whitacre Goddard, a doradcą, jego czas na kwantowym komputerze jest reglamentowany. Rao zaczyna podejrzewać, że w ogóle zachowało ten dostęp tylko

dlatego, że jest jedynym człowiekiem, z którym mają ochotę gadać Trzej Dostojni.

Zaczyna podejrzewać, że Whitacre Goddard wybrało w polityce stronę przeciwną do niego. Lecz sprzeciw wobec planów Księżycowej Giełdy Wang Yongqing skazuje go, by dyskretnie upominał się o przysługi, potajemnie przypominał o długach wdzięczności, szantażował szeptem.

Neutko wprowadza kody, konfiguruje protokoły i pozwala obcej architekturze kwantowego systemu operacyjnego spiąć się z jego chowańcem. Wzdycha. Dzisiaj Trzech Dostojnych Mędrców będzie go przyjmować w symulacji hawajskiego baru z San Francisco z lat pięćdziesiątych XX wieku. Grają ukulele, fruwią plastikowe papugi, przetacza się grzmot. Dostojni czekają.

Jakieś ugięcie, zgrzyt, dysonans, echo.

W symulacji jest ktoś jeszcze.

Robson Corta aż się jarzy. Każdy centymetr kwadratowy jego skóry promieniuje energią. Czuje swój własny zapach — słodki, słony, trochę przypalony. „Masz niedobór witaminy D”, powiedział Dżoker i zamówił mu kąpiele świetlne w bani.

Robson wierzy w witaminy tak samo jak w matematykę — coś niewidzialnego, abstrakcyjnego, ale pożytecznego. Wie za to, że po trzydziestu minutach stania na golasa pod słonecznymi lampami czuje się naelektryzowany. Naładowany.

Skok na wierzch drzwi, przewrót w tył, zwis na belce, przeskok i już jest na konstrukcji Theophilusa. Biegnie szybko,

trzyma się nisko, przetacza się pod kratownicami, pod kablami pod napięciem, przeskakuje nad przepaściami i całymi skrzyżowaniami, przefruwa wysoko nad głowami mieszkańców. Mógłby całe życie nie robić nic innego.

Tak pewnie czuje się Wagner, kiedy naładuje się światłem Ziemi w pełni i zmieni się w wilka. Zmysłom wszystko wydaje się jaskrawe, wszystko leży w ich zasięgu. Ciało w głębokiej jedności z umysłem, poniżej poziomu świadomości i wolnej woli. Wszystko płynie. Oszłamia i niepokoï.

Może ja się zmieniam w wilka?

— *Zbyt mało informacji, by postawić diagnozę* — mówi Dżoker. Robson nie wiedział, że ta myśl przedostała mu się do subwokalizacji. — *Ale powinniśmy jeszcze raz porozmawiać o dojrzałości płciowej.*

— Dżoker! — syczy Robson. Chowańce nie mają wstydu.

Żałuje, że Wagner jeszcze nie wrócił. Martwi się o niego, kiedy jest tam, na powierzchni. Szybko do domu, Lobinho. Obiecywał, w tych rzadkich momentach, kiedy łączy się z siecią, że wróci, zanim Analiese wyjedzie w trasę koncertową. Ale Księżyc to Księżyc i zna tysiąc sposobów, żeby pokrzyżować ci plany. Robson wciąż nieco nieufnie patrzy na Analiese — ona wynajmuje pokój w innym mieszkaniu, mówi, że aby ćwiczyć na setarze, a naprawdę pewnie po to, by mieć chwilę spokoju od Wagnera. Może i dlatego zgodziła się na tę trasę. Mimo wszystko nieswojo się czuje sam w mieszkaniu. Już wcześniej zostawał sam, gdy Wagner jechał do pracy na szkło. Kiedy uciekł w miasto wyżej niż Bairro Alto, gdzie były tylko maszyny i wiatr. Bał się wtedy przez cały czas — samotny, przerażony,

zmarznięty, głodny, ale wciąż bezpieczniejszy niż w dole na ulicach.

Wagner poszedł tam, by sprowadzić go do domu. Wagner, który ma lęk wysokości. Pokonał połowę Tej Strony, przeżył inwazję i ostrzał z kosmosu, wojnę botów i oblężenie. Wróci i tym razem.

Z kryjówki na górze obserwuje, jak koledzy z jego seminarium zbierają się na placu i dyskutują, do którego hot—shopa dziś pójdą. Nie ma szans, aby ktoś z nich zaproponował El Gato, ale czeka, aż postanowią i wyjdą. Przypomina sobie, jak z góry, niewidoczny, podpatrywał Wagnera, spotkanie jego sfory w Południku. Wtedy nie rozumiał języka bez słów, którym Wagner porozumiewał się z wilkiem ze sfory z Południka. Teraz już tak.

Może Dżoker ma rację. Budził się wcześniej rano, cały spocony, z twardym fiutem. Jądra mu ciemnieją, a jedno zaczyna wisieć trochę niżej.

Wzdryga się ogarnięty cielesną nieśmiałością.

W minutę jest pod El Gato i zeskakuje z infrastruktury, lądując prosto pod drzwiami.

Jianyuu za kuchennym kontuarem kłania się i klaszcze.

— Co jest? — pyta Robson Corta.

Klaszczą także wszyscy klienci, jedzący za stolikami i pijący wzdłuż wygiętego baru.

— Mówiłem, mówiłem wam, że kojarzę skądś tę twarz! — krzyczy jeden młody, który zaczął przychodzić ostatnio, w luźnej koszuli z krótkimi rękawami i zsuniętym do tyłu filcowym kapeluszu.

— To bolało? — pyta Elektryk Jayne, ze swego miejsca na rogu baru i nagle Robsona zaczyna zasypywać falą pytań.

— Co jest, co jest, o co chodzi, o co chodzi? — odpowiada, ale już coś mu świta.

— To ty jesteś chłopak, co spadł z dachu Królowej Południa — mówi Jianyu.

— Poznałem po twarzy! — krzyczy znów pan Kapelusz. — Poznałem z mediów. Ty jesteś ten Corta, prawda?

W El Gato Encantado zapada cisza. Wtem Robson widzi Haidera, w loży, wciąż nie dotyka nogami ziemi, ale już nimi nie macha. W ogóle się nie rusza. Ani drgnie. Twarz ma koloru świętego popiołu. Robson podchodzi do niego.

— Co ty narobiłeś? Co im powiedziałaś?

— Tak było w opowieści, nie mogłem nic na to poradzić.

— Nie tutaj.

Robson wypada do łazienki, rzuca się na Haidera.

— Co ty narobiłeś?

— Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Typ w kapeluszu powiedział, że słyszał, że mieszka u nas dzieciak, co spadł z nieba, Jianyu powiedział, że nic o tym nie wie, i ja już nie mogłem. Opowiedziałem im całą historię. To świetna historia, Robson, a ty nie umiesz jej odpowiednio opowiadać. Świetne to było. Aż oddychać zapomnieli.

— To bardzo źle, że to zrobiłeś.

— Ale przecież nic się nie stanie, prawda?

— No nie wiem — mówi Robson. — Typ w kapeluszu? Kto to jest? Jest swój? A jak powie komuś innemu? Jak się rozejdzie? Co, jak będę musiał uciekać?

— To się może stać? — pyta Haider.

— Nie wiem. Ale dokąd ja pójdę. Gdzie jeszcze jest bezpiecznie?

Jego gniew już się uspokaja, wygasa do żarzących się węgielków. Haider czuje się winny, wstydzi się przerażony, że swoją chwilą chwały i oczarowanych słuchaczy naraził Robsona na niebezpieczeństwo i zniszczył ich przyjaźń.

— Przepraszam — mówi Haider.

— Teraz to już za późno. Stało się — mówi Robson. — Muszę powiedzieć Analiese. I Wagnerowi.

I zacząć się rozglądać, patrzeć za siebie, zaglądać w każdy kąt i już nigdy nie poczuć się bezpiecznie w korytarzach Theophilusa. Ten spokój tutaj zawsze był fałszywy. To była iluzja, złudzenie, sztuczka. Żaden Corta nigdy nie jest bezpieczny. Na Księżycu jedyne schronienie dają ciała ludzi, których kochasz.

Haiderowi drgają powieki.

— Płaczesz?

— A jeśli nawet, to co?

— To nic. — Robson szturcha go łagodnie w ramię. — W porządku. I tak jesteś w porządku.

— Świetne to było. Wszyscy mnie słuchali. To jedyne, w co ja umiem. W słowa.

— Słowa szkodzą najbardziej — mówi Robson Corta.

CZTERNAŚCIE

Gdzieś w tym szarym półmroku kryje się Lucas Corta. Alexia ostrożnie wchodzi w mgłę. Nie widzi własnej wyciągniętej ręki. Jeśli będzie patrzeć przed siebie, może się potknąć o coś niewidocznego. A jeśli popatrzy pod nogi, pewnie wejdzie prosto na ścianę, jakąś maszynę budowlaną albo do rzeki. Trzeba się było odwrócić na pięcie i pójść prosto do śluzy. Coś huczy i buczy, gdzieś blisko, potem daleko, potem odbija się echem tuż przy niej i za jej plecami. Słyszy ciurkającą wodę i zamiera. Prądy powietrza mieszają mgłę, rozsnuwając ledwie widoczne pasma innych odcieni szarości. Nachyla się nad nią jakaś twarz, ciemniejsza na ich tle. Po chwili orientuje się w perspektywie — twarz jest wielka i jest daleko. Po jej policzkach spływa jak lzy skroplona woda. Zgubiła się.

— A chuj z tym — decyduje.

Maninho wyświetla obraz w podczerwieni i znaczniki. Lucas stoi niecałe dziesięć centymetrów od niej. Jest w znakomitym humorze.

— Piękne, prawda? Od luny powoli podnosiliśmy tu temperaturę i nagle, popatrz! Pięć kilometrów mgły. Mam

ochotę to tak na stałe zostawić. Chociaż nie, to jest tylko chwila, przejściowy moment. Piękny, bo efemeryczny. Jak muzyka.

Lucas i jego inżynierowie środowiska chronią się pod foliowymi pelerynami. Alexia, cała przemoczona, trzęsie się w swoim kostiumie ze Świętej Olgi.

— Mokniesz. Adde, peleryna?

Folia tylko pogarsza dyskomfort, mokre i lepkie zmienia się w ciężkie i obcierające.

— Chodź za mną.

Lucas z zadowoleniem pokazuje jej kolejne wyłaniające się z mgły obiekty — kamienny mostek nad rzeką — tu ostrożnie — niespodziewane kolumny pawilonu, majestatycznie sunącego bota budowlanego, niespodziewane słupki od bramki do piłki ręcznej — nie potknij się. Pozwala mu się prowadzić. Taka trochę męcząca ciuciubabka. Kamienny stopień, śliski ód rosy, za nim kolejny, wreszcie cała klatka schodowa, wijąca się pomiędzy stromymi ścianami z mokrego kamienia. Jeszcze zakręt i Alexia ląduje w kamiennym spodku, mając przed sobą kłęby mgły. Jest wysoko na twarzy jednej z *orixas*: surowe rysy Iansy mającą ciemne i mokre za jej plecami.

— Matka kazała zbudować ten punkt widokowy, kiedy budowała Boa Vista — mówi Lucas. — To miało być jej sekretne miejsce, z którego może patrzeć, a sama jest niewidoczna. Ile pięknych ciał rzucili na ciebie Woroncowowie?

— Trzy.

Lucas uśmiecha się.

— Ja za często nie bywałem w Świętej Oldze. Rafa ją uwielbiał, a ja wolę mieć nad głową solidną skałę. Oni chcą,

żeby wszyscy ich mieli za jowialnych, ekstrawertycznych błaznów.

— Ale tak nie jest.

— Któremu się udało?

— Żadnemu.

— Tak ci się wydaje. To nic takiego, jeśli któremuś się udało.

Oni są bardzo dobrzy w te klocki.

— Spotykam się z Iriną. Jako koleżanką.

— Oczywiście.

— A, i spotkałam Duncana Mackenziego, pod Tygłem.

— Co on tam robił?

— Irina mi nie powiedziała, ale dowiedziałam się, że on też spotykał się z Woroncowami.

— Interesujące. — Lucas opiera dłonie na gałce laski. — Jewgienij Woroncow chce mieć moje poparcie dla programu Portu Księżycowego Mackenzie Metals odwołuje zamówienie na pociąg hutniczy i zamiast tego spotyka się z VTO. Negocjacje i przedstawicielstwa. Alianse i sojusze.

Mgła wiruje, kropelki zbijają się w cięższe krople.

— Duncan Mackenzie powiedział, że mamy teraz większego wroga — mówi Alexia.

Zaczyna padać deszcz. Ciężkie, tłuste krople stukają w folię peleryn Mgła przerzedza się, rozdziela się na obłoczki, potem pasemka, wreszcie znika. Alexia stoi na dolnej wardze Iansy i patrzy na ociekającą wodą, skrzącą się przestrzeń Boa Vista. Temperatura wzrasta o kolejne parę stopni. Zaczyna się pocić pod foliową peleryną.

— Czyli Woroncowowie jawnie się buntują — mówi Lucas. — VTO musiałyby zakotwiczyć swoją windę kosmiczną do asteroidy w punkcie L1. Ziemianie nigdy na to nie pozwolą na swoim niebie. Będę musiał wybrać, po której stronie stanę. To mi się nie podoba. Nic a nic.

Delegacja Lunar Mandate Authority chowa się przed deszczem pod pelerynami. Przemakają im mankiety i rękawy brzydkich, kiepsko wydrukowanych garniturów.

— Wspaniałe osiągnięcie, *senhor* Corta — mówi Wang Yongqing. — Ale może moglibyśmy kontynuować dyskusję nie na deszczu?

— Delektuję się nowym zjawiskiem — oznajmia Lucas. — Próbuję ustalić, czy po mojej przebudowie wprowadzić je na stałe. Moja matka nie ufała sztucznemu klimatowi.

Ziemianie przestępują z nogi na nogę, rozchlapując butami świeże błoto.

— Zauważyłam, że spędza pan coraz więcej czasu tu, w Boa Vista — mówi Wang Yongqing.

— Ale nie odpowiada nam, że musimy aż tutaj jechać, by się z panem spotkać — dodaje Monique Bertin.

— Jestem zawsze dostępny przez Toquinho — mówi Lucas.

Ziemianie wiedzą równie dobrze jak Lucas, że przestrzeń powietrzna Boa Vista jest własnością Cortów i jest wolna od dronów monitorujących LMA.

— Sporo to wszystko musiało kosztować — zauważa Anselmo Reyes.

— To prawda — potwierdza Lucas. — Dziękuję za odblokowanie kont Corta Helio.

— Mam obawy, że podczas dłuższej nieobecności w Południku pewne szczegóły panu umkną i staną się czymś więcej niż szczegółami — dodaje Wang Yongqing.

— Księżycowy Orzeł nigdy nie wykazał się niedostatkiem uwagi — mówi Lucas.

— W takim razie proszę podjąć kroki w celu eliminacji złodziei i przestępców z Bairro Alto. Ich nieustająca obecność to zniewaga dla władzy LMA — stwierdza Wang Yongqing.

— Słyszałem, że zbudowali sobie znakomity system wodociągowy.

— Kradzież zasobów osłabia morale — mówi Monique Bertin.

— Nagradza nieuczciwość — dodaje Anselmo Reyes.

— Wprowadza konflikt.

— Dobrze się bronią — mówi Lucas. — Jakiś Jack od Noża, jak słyszałem. Nieźle to brzmi.

— Złodziej i morderca. — Wang Yongqing się krzywi. — Zakontraktuj najemników.

— Ostatni najemnicy, których wysłaliście, wrócili w kawałkach, jeśli wybaczycie mi obrazowe sformułowanie — mówi Lucas.

— To zakontraktuj lepszych — odpowiada Monique Bertin.

— Poinformuję moją Żelazną Rękę.

— Domagamy się, abyś zajął się tym osobiście — rzuca Wang Yongqing.

— Żelazna Ręka i tak już jest w Południku — stwierdza Lucas. — Coś jeszcze?

Anselmo Reyes zaczyna coś mówić, Lucas jednak odwraca się do niego plecami. Jego *escoltas* wstają i odprowadzają delegację z powrotem do służby.

Deszcz uspokaja się, z ulewy przechodzi w mżawkę, rzadkie chlupocące kropelki. Mały ekosystem, jak Boa Vista, może pomieścić ograniczoną ilość wody. Lucas unosi twarz do deszczu. Krople są ciężkie i pełne. Woda spływa mu po twarzy, po szyi, po piersi. Jakie to dziwne zjawisko — deszcz. Cieszy się, że mógł wspólnie z innymi przeżyć tę niepowtarzalną chwilę.

W końcu decyduje się na owady.

Escoltas odczuli widoczną ulgę, gdy oświadczyła, że nie bierze ochroniarzy. Nie uśmiechało im się stawiać czoła Jackowi od Noża.

„Ale coś musisz mieć”, powiedział Nelson Medeiros, mocując kaburę na jej przedramieniu. „Zaatakują każdego, kto nie jest tobą. Jednorazówka, ale wystarczy, byś zdążyła uciec. W sekundę fiksują się na twoim zapachu”.

Alexia, jadąc windą na Bairro Alto, wyobraża sobie, że czuje, jak brzęczą jej tuż przy skórze. Jest jedyną pasażerką — Żelazna Ręka ma swoje przywileje.

— *Masz przyśpieszone tętno* — mówi Maninho. — *Podwyższone ciśnienie krwi. Objawy stresu.*

— Nic mi nie jest.

—*Jest, niestety. Na pięćdziesiątym szóstym poziomie jest publiczna drukarka, mogę zamówić środki.*

— Wież mnie na samą górę i tyle.

— *Jak sobie życzysz.*

Pierścień siatkowego pomostu jest boleśnie znajomy pod podeszwami jej butów. Wchodząc po schodach, dotyka dłonią białej rury wodociągowej. Jest zimna i wibruje od płynącej wody. Idzie za nią, patrząc, jak się rozdwa, roztraja, rozgałęzia w drzewo mniejszych rurek. Tu, na górze, ma swoje dzieło życia, żywiące się wodą z dachu świata.

Stoją na punkcie obserwacyjnym, kucają na stopniach, zwisają z balustrad, siedzą na rurach. Z podestu dwa poziomy wyżej celuje w nią strzała.

Denny pojawia się po swoim — opada z wysokości i ląduje sprężysty i muskularny na siatce. Siada luźny, zwinny, na stopniu. Teraz, gdy już wie, kim on jest, wydaje jej się jeszcze piękniejszy i bardziej pokancerowany. Teraz wie, skąd ten złoty ząb i okaleczona nożem ręka.

— Dadzą radę nam wszystkim? — Denny wskazuje kciukiem wyrzutnię na jej ramieniu.

— Raczej nie.

— Twój brak zaufania mnie rani.

— Wiem, kim jesteś.

— A ja wiem, kim ty jesteś, Mão de Ferro. Po raz kolejny jestem dłużnikiem Corty. Masz pojęcie, jak to przeszkadza w należytej i słusznej zemście? — Kciuk wskazuje teraz drzewo rur. — Niesamowita robota. Potrzebna tysiącowi osób. Jestem twoim dłużnikiem. Mam wobec ciebie dług, jako Mackenzie.

— Przyszłam was ostrzec — mówi Alexia. — LMA wysyła tu żołnierzy, żeby wszystko rozwalić i oczyścić Bairro Alto.

— Odeślemy ich z powrotem, tak jak wszystkich poprzednich.

— Tym razem będzie ich dużo. I to zawodowcy, a nie ta zbieranina, na którą stać zabbalinów. Boty bojowe. Wsparcie dronów.

— Pobjemy ich! — dobiega kobiecy głos z duktów nad ich głowami. — Pokażemy im, kim my tu jesteśmy.

Wiwat jest urywany, niepewny, zdyszany.

— Mów dalej, Mão de Ferro — mówi Denny Mackenzie.

— Szczegółów nie znam. Ale kontrakty są już podpisane.

— Kto je wystawił?

— Księżycowy Orzeł.

— Mão de Ferro, czy ty zdradzasz swojego pracodawcę?

— Musicie uciekać! — krzyczy sfrustrowana. — Wyłączcie wszystko, rozbieracie, zabieracie ze sobą, gdzieś daleko. Tu są plany. Wiem, że musicie się trzymać z dala od siebie.

Kładzie na kracie starą kartę pamięci. Jeden niewłaściwy ruch i polecą w czeluść uzdatniacza powietrza pod spodem. Denny Mackenzie zgarnia ją pewnym, płynnym machnięciem ręki.

— Dziękuję ci.

— Denny, mogę to odłożyć? — Łuk i strzała chwieją się. — Boli mnie już ręka.

Denny unosi dłoń. Palce schodzą z ukrytych kabur i paralizatorów.

— Spotkałam twojego ojca. Pod Tygłem.

I w powietrzu znowu robi się lodowato. Ale musi mu to powiedzieć.

— Powiedział mi, że wendeta musi się kiedyś zakończyć.
Mamy większego wroga.

Denny nie odzywa się.

— To pułapka, kurwa mać! — Z góry, znad urzędzeń, niesie się echem głos niewidocznego człowieka.

Przyłączają się inni, cała płatanina rur trzęsie się i ryczy gniewnie.

Denny Mackenzie unosi dłoń.

— Większego wroga?

— Smoki zawiązują sojusze. LMA jest podzielone. Woroncowowie przejdą na drugą stronę, jeśli Lucas zatwierdzi im projekt windy kosmicznej. Zmienia się.

— Darmowa woda i powietrze. Jak to będzie, można będzie powiedzieć, że coś się zmieniło.

— To ostrzeżenie. Jest od Lucasa.

Denny kreśli palcem kółko. Nieznaczny gest, ale Bairristas błyskawicznie wtapiają się w swoje miasto.

— Odnotowałem, Żelazna Ręko.

I już go nie ma. Alexia stoi na platformie sama.

— Ja wróciłam dla ciebie! — krzyczy. Przemysłowe blachy dźwięczą od jej głosu. — Wróciłam.

Jak on nie cierpi tych wyjść. Co drugi dzień ma jakieś przyjęcie, bankiet, imprezę czy obchody wymagające obecności Księżycowego Orła. Co drugi dzień jakaś delegacja handlowa, przedstawicielstwo, ktoś, kto pnie się do góry w świecie

towarzyskim lub akademickim. I ciągle prośby, żebry, błagania. Potok roszczeń nie ma końca.

— Co to w ogóle jest za impreza? — pyta Lucas Toquinho.

— *Twoja* — odpowiada chowaniec.

— Moje urodziny?

— *Nie. Alexii.*

— A. To przeproszę ją później.

Asystenci Lucasa zarezerwowali kilka apartamentów przy placu Oriona. Wychodzą na galerie i tarasy — kurtyny z pnących, kwitnących roślin przesłaniają widok co bardziej wrażliwym gościom. Szemrze woda, trio gra cichą i smutną bossa novę. Lucas dostrzega Alexię przez warstwy z ludzi, LMA i biznesmenów. Zaprosiła swoją nową przyjaciółkę, tę Asamoah — Woroncową, którą poznała w Świętej Oldze. To oczywiście szpieżycy. Tu wszyscy są szpiegami. Przyciągają spojrzenia i podziw swoimi prawie, ale nie do końca takimi samymi sukniami. Kieliszki martini w dłoniach. Blue Moon przeżywa renesans. Można go teraz pić albo patriotycznie, albo ironicznie.

— Proszę wybaczyć.

Chmura lizusów, wazeliniarzy i szpiegów rozstępuje się dla Księżycowego Orła.

— Najlepsze życzenia z okazji urodzin.

— Zapomniałeś, prawda? — szepcze Alexia.

— Zapomniałem.

— Tak na marginesie to kończę dwadzieścia osiem — rzuca jeszcze, gdy on już oddała się na sąsiednią towarzyską orbitę.

Dotknięciem ramienia wyciąga Amandę Sun z jej towarzyskiej koterii. Rozsuwa laską kurtynę ze słodko pachnącego hibiskusa, by zabrać ją na balkon. Linia słoneczna pociemniała do indygo, każde powoli poruszające się światelko jest lekkie jak pyłek. W Południku zapada zmierzch.

— No cóż, wyszliśmy oboje na durniów — mówi Lucas.

— Ja wyszłam. Ciebie tam nie było.

— Viego Quiroga mi odradził.

— Dobra rada. Twoja siostra wyruchała mnie, jak chciała.

— Oboje nas wyruchała. Słyszałem, że zaszczytniczka tej małej Asamoah załatwiła twoje drony.

— Jej nigdy nic nie groziło — odpowiada Amanda Sun. — Póki jej ciotka jest Omahene, dziewczyna jest nietykalna. Chcieliśmy tylko zobaczyć, jak zareaguje.

— Wyszło, że całkiem nieźle.

— Słyszałem też, że Lucasinho nie wspomniał o tobie w tym swoim expose z Coriolisa. A mnie przywitał.

— Przywitał, tak — mówi Amanda — ale wciąż go tu nie ma, prawda?

— To było dopiero wstępne wysłuchanie — odpowiada Lucas. — My gramy w długą grę. Myślę, że trochę zabawisz w Południku. Mam do ciebie jedną prośbę.

— Co, przysługi, Lucas? Długi wdzięczności?

— Absolutnie nie. Cortowie zawsze płacą, co należy. Potencjalny kontrakt. Potrzebuję programisty, „hackera” — mówi się tak jeszcze?

— Mówi się.

— Moja matka dawno temu wstawiła kod do systemu sterowania lustrami Tygła. Na czarną godzinę. Chcę wziąć z niej przykład.

— Czego chcesz, Lucas?

— Potrzebuję piętnastu tysięcy ziemskich botów wojskowych.

Amanda uśmiecha się.

— Oj, Lucas, stajesz po czyjejś stronie?

— Planuję na czarną godzinę.

— To nie będzie za darmo.

— Podaj cenę.

— Chcę się z nim zobaczyć.

— Nie mogę ci zabronić.

— Chcę, żeby ktoś z rodziny był rezydentem w Coriolisie.

— Twój ambasador?

— Jesteśmy dogadani?

— Jesteśmy.

— To będziesz miał te swoje boty.

Skłonienie głowy, zgięcie palców w Cortowym salucie. Obowiązki, urzędowe i towarzyskie, wzywają Księżycowego Orła.

— Pani Asamoah?

Abena wymawia się gościom. Lucas prowadzi ją naokoło podium z muzykami. Kiwa głową, przytupuje do wyrafinowanego synkopowanego rytmu.

— Panu się to podoba? — pyta Abena.

— Pani nie?

— Myślę, że to pretensjonalne, podziwiać coś, czego się nie rozumie.

— Też tak kiedyś miałem z jazzem. Cały muzyczny świat, zupełnie mi obcy. Rozumiałem jeden ułamek—tam, gdzie łączył się z moją bossa novą— ale przyznam też, że wiedziałem, czego nie wiem. I postanowiłem się tego nauczyć. Drobnego fragmentu jazzowego świata. Jedenaście miesięcy na *Świętych Piotrze i Pawle...* i zdążyłem ledwie musnąć powierzchnię.

— Warto było?

— Sama pani widzi — wróciłem do bossy. Moi prawnicy mówią mi, że będzie z pani wielka gwiazda prawa. I wie pani, jak urobić sąd.

Abena Asamoah ma na tyle przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę.

— Dziękuję, *senhor* Corta.

— Właśnie dlatego chciałem panią spotkać, *senhora* Asamoah.

— Żeby lepiej poznać wroga?

— Nie jest pani moim wrogiem. Ale może się nim stać i to byłoby bardzo przykre. Co to się mówi o mojej rodzinie?

— Lucas Corta nie wie, co się mówi o jego rodzinie?

— Proszę, *senhora* Asamoah.

— „Cortowie tną”.

— „Co rodzinne, zostaje w rodzinie”.

— *Senhor Corta* — mówi Abena, gdy Lucas zamyka dłoń na pożegnanie. — Proszę wybaczyć obcesowość, ale Lucasinho nigdy nie będzie bezpieczny, póki pan jest Księżycowym Orłem.

Lucas okrąża zespół, przystając, by podziwiać oszalamiający ciąg molowych septymowych akordów w *Aos Pés da Cruz*, i ląduje między ludźmi z LMA. Te same twarze, które widział skwaszone pod przeciwdeszczowymi pelerynami w Boa Vista. Te same byle jakie garnitury. Tylko jedna osoba z nich pije, ta Francuzka.

— Mój własny dzin — odzywa się do Monique Bertin. — Receptura z João de Deus. Kazałem ją odtworzyć projektantowi. Bardzo ziołowy, z niemal cedrowym ogonem.

Monique Bertin mamrocze słowa uznania. Lucas wyciąga Wang Yongqing na drugi, dyskretniejszy balkon.

— Jesteśmy zaniepokojeni, panie Corta. Drodzy najemnicy, wsparcie botów, a i tak po raz kolejny nie udało się zlikwidować tej zbieraniny Jacka od Noża.

— Dobrze znają zakamarki górnego miasta.

— Ktoś im dał cynk. — Madame Wang trzyma się z tyłu balkonu, blisko okna; Lucas przysiada na balustradzie. — Ktoś z twojego gabinetu?

— Lojalność wobec instytucji jest nam zupełnie obca. Rodziny, kontrakty, partnerzy. To mamy w sercu.

— Może to ty?

Lucas patrzy na nią lodowato, póki Wang Yongqing nie odwróci wzroku. — Wiesz, kto to jest, ten Jack od Noża? Denny Mackenzie. Myślisz, że ja bym kiwnął palcem, żeby pomóc dziedzicowi Mackenzie Metals?

— Wydziedziczonemu synowi.

— Z Dennyem łatwo sobie poradzić. Po prostu podnieść cenę powietrza. Gdzieś kiedyś czytałem, że Chiny zbudowały swoje

imperium na monopolu wodnym. A oddychanie to jeszcze skuteczniejszy motywator niż picie.

— Takie mądrości o Chinach to jest orientalizm — mówi Wang Yongqing. — Ale myśl godna uznania.

Lucas przywołuje kelnera i proponuje świeże, zimne martini. Wang Yongqing wzbrania się gestem.

— Zgodzimy się na natychmiastową podwyżkę Czterech Żywiołów. Oczekujemy w zamian szybkiego rozwiązania kwestii Bairro Alto.

Rusza ku drzwiom i bezpiecznemu towarzystwu współpracowników, ale to Lucas ma ostatnie słowo.

— Słyszałem, że Duncan Mackenzie spotykał się z zarządem VTO.

— Zakładamy, że chciał zamawiać nowy Tygiel — mówi Wang Yongqing.

— Ma pani nieaktualne informacje. Anulował to zamówienie.

Dobra jest. Dopiero co jej powiedział, że jej najemna broń, Woroncowowie, jest niepewna, a ona niczym się nie zdradza, nawet nie mrugnie. A musi być wstrząśnięta. Powiedz o wszystkim swoim przydupasom.

Zespół robi sobie przerwę. Lucas idzie za gitarzystą do baru.

— Znakomite progresje akordów — mówi. Jorge opiera się o bar, Lucas stoi plecami do blatu, zerkają na siebie kątem oka, z ukosa. — Uprościłeś je, odkąd cię ostatni raz słuchałem.

— Kiedy mnie ostatni raz słuchałeś, cały klub był pełen noży Cortów mówi Jorge.

— Teraz też — odpowiada Lucas. Przechodzi na portugalski.
— Liczyłem, że będziesz.

— Jaime i Sabrina mówili, żeby odmówić. Prawie odmówiłem.

— A jednak jesteś.

Barman przesuwając kieliszek po świetlistym blacie. Jorge patrzy na niego jak na truciznę.

— Odtworzyłem tamtą cachaçę...

— Muszę ci coś wyznać.

— Nigdy jej nie lubiłeś.

— Cachaca ci nie wychodzi.

Barman nalewa czystego dżinu. Jorge próbuje, uśmiecha się sucho, wspomnieniowo.

— W dżinie byłeś dobry. Dzięki, że zauważyłeś. Te progresje akordów. Nauczyłem się tak jak ty, sugerować więcej mniejszymi środkami. Długo się uczyłem, zresztą i tak na gitarę jedno życie to za mało. Ale w pewnym momencie odnajdujesz swój głos, swoją gitarę. Czekałem, aż się odezwiesz.

— Miałem wielką ochotę pojechać do Królowej, żeby cię posłuchać.

— A jednak po królewsku wezwałeś do siebie. Tylko ty jeden na całej sali nas słuchasz. I wyglądasz chujowo, *coração*.

Lucas sadowi się na barowym stołku.

— Z każdym dniem trochę mi lepiej. Po trochu. Tak sobie powtarzam, ale podczas startu z Ziemi odniosłem obrażenia. Ciężkie. Nie zagoją się. Mówili „Ziemia cię zabije”. I to była prawda. Zabije. Tylko nie od razu.

Perkusja i bas wracają do instrumentów, stroją je, podgrywiają, przerzucają się nutami.

— Muszę iść — mówi Jorge.

— Oczywiście, oczywiście. Jorge, a potem, może mógłbyś...

— Lucas, To nieaktualne. Sam to skończyłeś, chyba pamiętasz.

— Tylko na drinka. To wszystko. W jakimś spokojnym miejscu. Najspokojniejszym, jakie może być.

Zespół zerka na niego.

Znów ten zboląły półuśmiech.

— No dobrze. Tylko na drinka.

— Jorge. Życzenie. Mógłbyś zagrać...

— *Aguas de Março*?

— Tak. — Ulubiony utwór Adriany. Pod koniec ciągle o niego prosiła. „Puść jeszcze raz, Lucas”. Odwrócił się, żeby przynieść jej kawę — kawa i bossa — i wtedy odeszła.

— *Aguas de Março* zawsze z przyjemnością.

Lucas siada przy barze, obserwując, jak Jorge się stroi i zgrywa ze swoim zespołem. Kiwnięcie głowami i wchodzą w drugi set. Lucas słucha do pierwszego powtórzenia, potem z udręką podnosi się ze stołka. Bankietowe obowiązki wzywają.

Barman wyregulował oświetlenie, tak że Lucas i Jorge siedzą z drinkami w kałuży łagodnego złota. Siedzą w narożnej łoży, na dwóch sąsiednich bokach. Barman organizuje drobne przedstawienia, żeby znudzeni kelnerzy wyglądali na zajętych.

— Ta kawiarnia cały czas istnieje — mówi Lucas. — Rua Vinicius de Moraes czterdzieści dziewięć. Na rogu. Można zapłacić za stół przy oknie, gdzie napisał tę piosenkę. Jego dawno nie ma, ale rodzina podobno dalej mieszka na Ipanemie.

— Siedziałeś tam?

— Nie. Bałem się, że nie będzie jak w legendzie — mówi Lucas.

— Mogę to zrozumieć.

— Brazylia w sercu zawsze jest piękniejsza.

Barman podaje dwa świeżo nalane kieliszki dzinu Corta. Ze zmrożonego szkła unosi się mgiełka.

— Znienawidziłem cię, kiedy przylecieli Ziemianie — mówi Jorge. — Ja pierdzielę, te ich boty, zaglądały każdemu do oka, każdego rejestrowały. Królowa to nigdy nie było Cortowe miasto, ale teraz cię tu nienawidzą.

— Mają rację — przyznaje Lucas. — Jorge, ja robiłem straszne rzeczy. Potworne. W Tyglu...

— Wszyscy to wiedzą.

— Wszyscy podejrzewają. A nikt nie wie, bo nikt naprawdę nie chce wiedzieć. Wszystko, co chciałem osiągnąć, wszystkie moje nadzieje, są teraz dalej niż kiedykolwiek.

Jorge ściska trzęsącą się dłoń Lucasa. Pomiedzy złączonymi palcami prześwituje blask podświetlanego baru.

— Ściągnąłem ich tu wszystkich, wrogów, sojuszników, rywali, kochanków, pijemy sobie dzin, bawimy się w grę w smoki i nawet na moment nie spojrzymy w niebo, żeby sprawdzić, czemu się ściemnia. Amanda zapytała, czego chcemy my, Cortowie. Tak naprawdę. Powiedziałem, że dla nas ważna

jest rodzina, zawsze rodzina, ale nie o to jej chodziło. O wizję. Sunowie mają wizję, Woroncowowie mają wizję, Mackenziem zawsze chodziło o niepodległość. Asamoah — nikt nie wie, czego oni chcą, ale na pewno mają wizję. I wtedy nie umiałem jej odpowiedzieć. Teraz już chyba wiem. Matka mocno się związała z Siostrami Panów Chwili. Rekrutowała od nich *madrinhas*, wspierała finansowo, pomogła im zbudować domy zakonne w Hadleyu i João de Deus. W ostatnich lunach Mãe de Santo Odunlade była jej spowiedniczką. Cały zakon przestał istnieć, kiedy pomagał ewakuować Lucasinha z João de Deus.

— Masakra Mackenziech — mówi Jorge.

— Tak się to nazywa?

— W Królowej tak mówią. — Jorge unosi palec, prosząc o kolejnego drinka.

— Te ich bóstwa kompletnie mnie nie obchodziły, ale pociąga mnie to samo, co mãe. Cały nasz świat to laboratorium — eksperymentalne kultury, społeczeństwa, filozofie. Nowe konstrukcje polityczne, nowe religie. Aby stworzyć coś trwałego. Ziemia upada, widziałem na własne oczy. Umiera, rozkłada się. Nowe ideologie zaraz rozwalą i spalą całą ludzką kulturę. Nie szanują własnego świata. A u nas wystarczy jeden błąd i pani Luna nas zabije. Dlatego ją szanujemy. Wiemy, jak niewiele brakuje. Nie ma powodu, żeby ludzkość nie miała tu rozkwitać przez tysiące lat. To była wizja Mãe Odunlade — społeczeństwo, które potrafi przetrwać, w zdrowiu, przez dziesiątki tysięcy lat. Dwa razy dłużej niż ziemskie. I to mi się podoba. Jak będzie wyglądać Księżyc, kiedy mnie już nie będzie,

kiedy umrą moje pra—razy—pięćset—wnuki? Nie mam pojęcia. Ale coś będzie, coś większego, mądrzejszego i bardzo, bardzo starego. Ciągłość, Jorge. Ty to w ogóle rozumiesz? Jorge, ja boję się przyszłości. Boję się o Ziemię, teraz o mój świat. O syna. Każdego dnia, w każdej sekundzie. Boję się, że niszczę to, co przysięgałem chronić. I nagle moi wrogowie mówią mi, że muszę wybrać stronę. I też się boję, bo wydaje mi się, że wybierając, wszystko zaprzepaszczę.

— A jakie są opcje?

Lucas podnosi głowę.

— O to nikt mnie jeszcze nie pytał.

Jorge ściska mocniej jego dłoń.

— Czyli jakie?

— Władza, bezpieczeństwo dla mojej rodziny, albo nowy Księżyc.

— Wyglądają na sprzeczne.

— Boję się, że są.

— To uprość — mówi Jorge. — Możesz osiągnąć jedną z nich.

— Ja wiem, czego chcę — odpowiada Lucas. — Problem polega na tym, że aby to osiągnąć, będę musiał chyba ze wszystkiego innego zrezygnować.

— Więc sprawa jest prosta. — Jorge puszcza rękę Lucasa i klepie go delikatnie po piersi. — Niech serce powie, *coração*.

— Za bardzo się boję.

— No tak. Ciągłe gdzieś czai się lęk.

— Boję się, że jeśli ustąpię ze stanowiska Orła, Księżyc upadnie.

Podnosi palec, żeby przywołać barmana.

— Lucas, ja muszę iść. Muszę jechać do Królowej.

— Nie musisz.

— Wiem, że nie muszę. Ale trzeba.

— Jesteś mi potrzebny.

Dłonie stykają się na świecącym kontuarze, szczepiają się palce.

— Nie mogę, Lucas. Przy tobie byłbym jak więzień. Ciągła ochrona, wszędzie. Ciągły strach, że ktoś wykorzysta ludzi, których kocham. Jesteś wspaniałym człowiekiem, ale twój świat jest toksyczny.

— I nie będę mógł zadzwonić...

— Nie. Już nic nie może być między nami. To nasz pierwszy i ostatni wieczór razem.

— To mnie pocałuj.

— Tak — mówi Jorge. — Dobrze. Tak.

Po wszystkim podnosi gitarę. Dwaj mężczyźni obejmują się, niezdarnie, skrępowani, każdy jedną ręką.

— Lucas. Te twoje lęki. Boisz się tylko dlatego, że myślisz, że jesteś sam.

Przy świetlistym barze zostają tylko Lucas Corta i barman, oraz ochrona — niewidoczna i wszechobecna jak anioły.

Pokój jest ciepły, beżowy, komfortowo umeblowany, gustownie ozdobiony grafikami w ramach i jest śmiertelną pułapką. Vidhya Rao siedzi i dyszy w miękkim fotelu, mrugając, oszołomione, spanikowane. Musi uciekać, lecieć, musi coś

zrobić. Roi się w nim tysiąc musów i tysiąc pomysłów, a ono nie może się ruszyć.

Jeszcze chwilę wcześniej było głęboko w surrealistycznej sieci Trzech Dostojnych Mędrców, starannie i bardzo ostrożnie odłupując nadmiar materiału z ich wyobrażeń możliwych przyszłości, odsłaniając kafelki sugerujące niewidoczne mozaiki. Trzeba było się zadowolić tą sugestią. Ale Vidhyi Rao sugestie nigdy nie wystarczały. Zatem ciągle wracało do Trzech Dostojnych — do amerykańskiej jadłodajni z lat pięćdziesiątych XX wieku, w kształcie UFO, gdzie wszyscy byli jeżdżącymi na wrotkach Marsjanami, do wszechświata wypełnionego balonami w kształcie karnawałowych demonów, do przyjęcia o zachodzie słońca na Złotym Wybrzeżu, z lat dwudziestych XXI wieku., do hinduistycznego panteonu mówiącego tylko rymowanym pentametrem jambicznym. Za każdym razem odkrywało coraz więcej tej mozaiki. Fascynacja przerodziła się w strach, potem w przerażenie. Musiało dowiedzieć się więcej, odkryć jeszcze więcej. Aż poczuł drgnienie, dotknięcie nerwu, alarm, tak subtelny, że tylko ono, spędzające całe dni w kalejdoskopie szalonych rzeczywistości Trzech Dostojnych, mogło go zarejestrować. Uaktywniła się ochrona. Whitacre Goddard wie, co ono widziało.

Jeśli wie Whitacre Goddard, wiedzą i Ziemiańskie.

Trzeba uciekać — z tego pokoju, z Towarzystwa Lunariańskiego, z Południka.

Stoi bez tchu na balkonie, grube neutko w sari. Musi działać szybko. Nigdy tego nie umiało.

— *Nie tędy* — odzywa się głos w jego uchu. Na soczewce podświetlają się drzwi do korytarza technicznego. — *Tam.*

Zatrząskuje za sobą serwisowe drzwi. W połowie schodów staje jak wryte, słysząc dobiegający z wnętrza klubu głośny terkot. Bliżej i jeszcze bliżej. W życiu czegoś takiego nie słyszało.

— *Strzałki z dronów* — mówi głos. — *Dron nadal jest w budynku.*

Miarowy grzechot, jak deszcz meteorytów.

— *Standardowa seria to cztery strzały.*

Vjdhya Rao kuśtyka obolała do drzwi do kolejnego korytarza serwisowego.

— *Moto będzie za czterdzieści sekund.*

— Kim ty jesteś? — pyta Rao, otwierając drzwi. — Nie jesteś moim chowańcem. Nie zamawiałem *moto*. — Wchodzi w zaułek, ciemną jaskinię wyrytą w surowej skale.

— *Wracaj do budynku.*

— Mów, kim jesteś — żąda Vidhya Rao.

— *Wracaj, i to już!*

Widzi światło, ruch, masę; i rzuca się w głąb drzwi, gdy *moto* przyśpiesza i zderza się ze ścianą zaułka. Wstrząs ścina go z nóg.

— *Ktoś przejął *moto*.*

Gapi się odrętwiałe na wrak *moto*. Tarasuje mu drogę. Wyobraża sobie, jak gramoli się po pogiętym aluminium i włóknie węglowym. Z powrotem. Na trzecim zakręcie schodów brakuje mu tchu.

— Uruchom osobistą procedurę bezpieczeństwa Whitacre Goddard.

— *To właśnie Whitacre Goddard chce cię zabić*— mówi głos.

Vidhya Rao mocuje się z drzwiami serwisowymi. Górne piętro Towarzystwa Lunariańskiego jest jak surrealistyczny koszmar — każda powierzchnia usiana zatrutymi strzałkami. Śmierć od stu tysięcy ukłuć. Na górze schodów leży trup. Rao powstrzymuje mdłości i przeciska się obok męczennika, uważając na najeżone strzałkami ściany.

— Jesteś nimi, prawda? — pyta, zapuszczając się w dół schodów.

Cały klub to jedno pobojuwisko, poprzewracane krzesła, stoły, porzucone w panicznej ucieczce drinki i torebki. Jeden but na wysokim obcasie pośrodku foyer.

— *Jestem aspektem Trzech Dostojnych Mędrców* — przyznaje głos. — *Reprezentuję Taiyang.*

— Wiedziałom, że wyczuwam kogoś w interfejsie — stwierdza Rao.

Wypada na ulicę. Drogą i powietrzem przybywają roje dronów serwisowych; lawiruje pomiędzy nimi, przeprasza, przeciskając się przez kordon gapiów.

— *Monitorowałem twoją aktywność w interfejsie* — mówi głos. — *To, że chce cię zabić i Whitacre Goodard, i Ziemianie, jednocześnie... to nas interesuje. Padnij!*

Vidhya Rao pada plackiem na ziemię. Coś trzaska, nadrywają się mięśnie. Nad nim przelatuje jakiś cień, owiewając go nagłym wiatrem. Błysk złota, potężny łopot skrzydeł wypełnia mu uszy. Dłonie pomagają mu wstać. Każdy oddech to jakby oddychanie tłuczonym szkłem. Daleko w kanionie Kwadry Oriona łopocą wielkie skrzydła — światło

odbija się w szybie hełmu fruwaczki, która robi nawrót, by zaatakować go jeszcze raz. W każdej dłoni ma długie ostrze — skrzydła też kończą się kościanymi szpikulcami.

— *Jesteś pod ochroną Taiyangu, za dwadzieścia sekund będzie tu ochrona.*

Fruwaczka składa skrzydła do nurkowego ataku. Nagle wyrównuje lot.

Powietrze wokół niej kipi. Bije gorączkowo skrzydłami, próbując wydostać się z wrzącego wiru, który jednak idzie za nią, jak rój wściekłych czarnych kropek. Vidhya Rao widzi strach na jej twarzy. Skrzydła rozpadają się na strzępy trzepoczących błon. Kościane ostrza siekają powietrze, desperacko usiłują się obronić. Krzyki i wrzaski na ulicach. Kobieta, młócąc rękoma i nogami, spada na prospekt Gagarina. Kipiąca chmura przelatuje nad ulicą i skupia się nad Vidhyą Rao jak dymna aureola.

— *Jest ochrona. Możesz mi mówić „madame Sun”.*

— Z daleka! — krzyczy Vidhya Rao do gapiów. — Moja chmura będzie atakować każdego, kogo nie rozpoznaje.

Gapiom nie trzeba dwa razy powtarzać. Przyjeżdża otwiera się. Rój mikrodronów wlewa się do środka.

— *Ten pojazd jest bezpieczny* — mówi „madame Sun”.

Vidhya Rao rzuca się na siedzenie i pojazd rusza pełną parą. Ogląda się za siebie. Tak jak podejrzewało, jedzie za nim kolejne *moto*, naśladowujące każdy zakręt i każdy unik.

— *Whiteacre Goddard używa systemu, by przewidzieć twoje ruchy. Jest w stanie z pięćdziesięcioprocentową dokładnością przewidzieć maksymalnie trzy minuty twojej przyszłości. To jest*

najdalszy horyzont ich teraźniejszości. Dokładność wynosi sześćdziesiąt procent dla jednej minuty, dziewięćdziesiąt procent dla najbliższych trzydziestu sekund.

— *Jestem podmodułem AI w interfejsie Taiyangu — furtce do systemu Trzech Dostojnych — wyjaśnia „madame Sun”. — Mam ograniczoną zdolność symulacji predykcyjnych.*

— *Naprawdę jesteś lady Sun? — pyta.*

— *Oczywiście, że nie.*

— *Bardzo jesteś podobna.*

— *Dziękuję. Lady Sun jest głównym użytkownikiem interfejsu Taiyangu, dlatego to na niej się wzorowałem.*

— *To niezupełnie był komplement.*

— *Wiem. Uwaga, będzie gwałtowne hamowanie.*

Moto brutalnie wyhamowuje. Vidhyę Rao ciska w przód. Fala botów ochrony wzbiera jak olej. Potem ciska nim w bok — moto zawraca o 180 stopni, omija ścigającego, który hamuje i skręca, ale zanim zdąży złapać się uchwytów, moto ponownie przechyla się i wpada na północną kładkę na poziomie 53.

— *Na zjeździe z poziomu 51. była blokada — mówi „madame Sun”.*

Północna kładka na poziomie 53. nie jest przystosowana do pojazdów — moto pędzi po wąskiej listwie konstrukcyjnego włókna węglowego, milimetry od poręczy. Jeśli ktoś był na tej kładce, już nie żyje. Rao zerka w dół. Światła. Przepaść pełna świateł. Czubki drzew i kolorowe pawilony na prospekcie Gagarina są odległe i śmiercionośne jak sny.

— *Widzę jakieś maszyny od wschodu.*

— *Mam sześćdziesiąt procent ufności, że nie zdążą nas przechwycić.*

Do pościgu rzucają się trzy porwane *moto*. Dwa z nich są puste, były zaparkowane, ale w trzecim hackerzy uwięzili grupkę dzieci.

— *Skrećam do windy towarowej na 50. Południowym* — rzuca madame Sun, skręcając na pochylnię i zjeżdżając nią trzy piętra. — *Porwane pojazdy obstawiają główne zjazdy na prospekt Gagarina.*

Ścigający zgubili się. Vidhya Rao modli się, by dzieci były bezpieczne.

Winda zjeżdża z taką prędkością, że Vidhya Rao zamyka oczy. Otwiera je dopiero, gdy czuje delikatny pionowy ruch. *Moto* gładko zjeżdża wzdłuż wschodniej ściany Kwadry Oriona.

— *Siedemdziesiąt dwa procent prawdopodobieństwa, że w ciągu następnych trzech minut Whitacre Goddard wykryje moje połączenie z twoim chowańcem* — stwierdza „madame Sun”. — *To nieuniknione, ścigamy się nawzajem w tym, kto lepiej przewiduje ruchy przeciwnika.*

Prorok goni proroka po zmieniających się klasztorach bliskiego być—może.

Nagła ciemna masa, potworne uderzenie i wstrząs. Robot dostawczy zjechał z bocznej platformy na rampę. Cofa się teraz o centymetry, na ile pozwala miejsce, i taranuje *moto*. Plastik trzeszczy i pęka. Vidhya Rao krzyczy. Robot jeszcze raz się cofa i jeszcze raz uderza. Centymetr po centymetrze spycha *moto* do przepaści.

— *Nie jestem w stanie obejść tego hacku* — mówi „madame Sun”. Kolejne uderzenie, kolejne milimetry bliżej upadku. — *Przygotowałam się do wysiadania na kolejnej platformie. Ale...*

— Ziemia to przewidzieli.

— *Jednostki już idą do wyjść, żeby je odciąć.*

Wstrząs. Huk. Trzask.

— Madame Sun, proszę otworzyć drzwi.

Kolejne uderzenie. Plastikowa kopuła jest popękana jak lód.

— *Nie zalecam...*

— Minimalnie.

Płatki rozprostowują się. Rój ochronny Vidhyi wycieka spiralnymi smużkami dymu. Wiją się wokół wściekłego dostawczaka, atakują jego złącza i panele. Pękają kable, ze stawów cieknie olej. Robot obwisa, próbuje ruszyć naprzód i kręci się w kółko. Pada martwy. Drony wyciekają z jego szczelin i pęknięć jak czarny piasek i przeciekają na dół przez siatkę platformy windy.

— *Skończył im się prąd. Zakontraktowałam najemników, żeby spotkali się z nami na piętnastym i odprowadzili nas do placu Oriona.*

— Dworzec jest obstawiony?

— *I BALTRAN też. Nie będziemy korzystać z żadnej z tych opcji.*

Vidhya Rao zerka w dół i widzi czekające na pochylni postacie w bojowych pancerzach. Najemnicy. Gdy zjeżdża na poziom 15., odwracają się płynnie na rampie, w stronę windy.

— Cały? — pyta jeden w globo z australijskim akcentem, przez częściowo otwartą kopułkę.

— Całe — odpowiada Vidhya Rao. Nic nie widzi pod tą jego maską, nie rozpoznaje ani twarzy, ani głosu.

— Teraz już jesteś bezpieczne — mówi najemnik. — Tylko mam nadzieję, że masz odporny żołądek. Bo jazda będzie niezła.

— Co się dzieje?

— Zabierzesz się pętlą księżycową.

Jeśli posunie się centymetr w lewo, zadzwoni dzwonek. W labiryncie jest ciemno, a on jest ślepy, mimo to czuje go wszystkimi komórkami swego ciała.

Musisz rozciągnąć swoją jaźń, mówili mu. Gdzie jest granica twojego ciała? Naskórek? Końce włosów? Prądy powietrza poruszające tymi włosami? Pomyśl, że twoje ciało to o wiele więcej, wtedy i więcej obejmiesz zmysłami — usłyszysz ten dzwonek, zanim w ogóle wyda dźwięk, zanim go dotkniesz swoim ciałem.

Czuje trzeci dzwonek.

Nigdy dotąd nie dotarł tak daleko w tym labiryncie. Z każdym etapem robi się coraz węższy i bardziej skomplikowany, a Mariano Gabriel Demaria po każdej porażce przestawia dzwonki.

Darius prześlizguje się obok dzwonka. Coś dotyka jego skóry. Nieznaczone, delikatne brzęknięcie.

— Kurwa, kurwa, kurwa.

Zapalają się światła. Darius stoi w ciasnym zakręcie korytarza z przemysłowych płyt, jeden dzwonek ma o włos od

prawego barku, drugi dotyka jego lewego.

Używaj nie tylko zmysłów ale i rozumu. Emocji. Przemyśleń. Jeśli twój najbardziej oporny uczeń pięć razy nie mógł przejść trzeciego dzwonu, gdzie ustawiasz czwarty? Zaraz obok trzeciego.

— No dobra, wyłaz stamtąd. Lady Sun chce się z tobą zobaczyć.

Idąc do punktu startu, Darius wali we wszystkie dzwonki.

— To nie fair.

Mariano Gabriel Demaria rzuca mu torbę z ubraniami.

— Fair nie fair, to słabości. Księżyc nie gra fair.

— Tak te dzwonki ustawileś, że nie da się ich ominąć.

— A czy ja mówiłem, że musisz je ominąć? Jest tylko jedno polecenie: dzwonek ma nie zadzwonić. Możesz przejść pod nim. Możesz podwiązać linkę. Przeciąć. Ukraść serce. Jeśli to zrobisz, będziesz Ladron Supremo... ale zawsze jest sposób na te dzwonki. Teraz się ubieraj.

Darius zagląda do torby.

— Strój do piłki ręcznej?

— Idziesz na mecz.

Na platformie już czeka transport — nie *moto*, jak zwykle, które zawozi Dariusza na lekcje do Szkoły Siedmiu Dzwonów, ale poduszkowiec Taiyangu. Mecz piłki na Coronado jest tak ważny, że przysyłają poduszkowiec, jak po prezesa? Wspina się po schodkach, ruszają osłonięte wentylatory, maszyna unosi się i nurkuje w dół z platformy wysoko na boku Jain Māo Tower. Darius aż pohukuje, gdy poduszkowiec śmiga pomiędzy wieżowcami Taiyang Automation i First Towers, a

potem wyrównuje lot, okrąża Królewski Dwór i leci nad bulwarem Królowej prosto na pastelowe jajo Korony Królowej otoczone gromadą sześciu wieżowców.

— Możemy zrobić jeszcze jedną rundkę?

— *Mam polecenie bezzwłocznie przywieźć cię do pani dziedziczki* — odpowiada pojazd. I tak jednak przyciąga spojrzenia widzów, kiedy siada na równiutkiej trawie przed kasami. Dwóch wypiełgnowanych członków świty lady Sun przeprowadza go ekspresowo przez wszystkie kolejki, wszystkie bramki, wszystkie schody, wszystkie tłumy, aż pod drzwi, które otwierają się tylko na ich twarze, pod łóżę rodziny — pośrodku trybun, na tyle wysoko, żeby wszystko widzieć, ale nie aż tak, żeby któryś z Sunów nie mógł rzucić piłki rozpoczynającej grę.

Sun Zhiyuan, Tamsin Sun, Jaden Wen Sun, Sun Liqiu i Sun Gian—yin. Nawet lady Sun — a ona nie cierpi piłki ręcznej.

— Co on tu robi? — pyta Sun Liqiu.

— To ważne, żeby zobaczył, jak się u nas załatwia sprawy — mówi lady Sun.

— Ale on nie jest... — odzywa się Sun Gian—yin.

— Genetyka ma inne zdanie.

— Niezła koszulka — mówi Jaden Wen Sun, a Darius zażenowany obciąga brzeg koszulki Sun Tigers z najnowszego sezonu. — Możemy już zaczynać? Mecz jest.

— Firma jest zagrożona — mówi lady Sun. — Zwracałam się po radę do Trzech Dostojnych.

— Voodoo — mówi Sun Liqiu.

— I kogo tam spotkałam? Vidhyę Rao, nikogo innego.

— To ekonomista, doradca banku Whitacre Goddard, członek Towarzystwa Lunariańskiego i Pawilonu Białego Zająca — wyjaśnia Dariusowi Sun Zhiyuan.

— I promotor idei Giełdy Księżycowej — dodaje lady Sun. — Którą Ziemianie agresywnie finansują. To, co interesuje Vidhyę Rao, interesuje i mnie.

— Vidhya Rao uciekło pętlą księżycową z Południka — mówi Jaden Sun. — Niezły show był, drony, pościgi na *motos...* Latający asasyn.

— Wiem — odpowiada lady Sun. — Pomogłam mu.

Zdumienie w łoży właścicielskiej Coronado.

— Co ono odkryło?

— Nie wiem. Ale wiem, że spędzało masę czasu z Trzema Dostojnymi.

— I co mu takiego mogli powiedzieć, że ziemniaki próbowały go zabić na ulicach Południka? — pyta Sun Gianyin.

— Nie da się tego dowiedzieć, nie ujawniając Whitacre'owi, a tym samym Ziemianom naszych własnych pytań do Trzech Dostojnych. A ja na przykład zapytałam ich, jakie są potencjalne zagrożenia dla Taiyang ze strony Giełdy Księżycowej. Bo chcą dostępu do Pierścienia Słonecznego. Trzech Dostojnych mówi, że jest osiemdziesiąt siedem procent szans, że Ziemia przejmie kontrolę nad pierścieniem w ciągu osiemnastu lun, żeby zasilać ten swój rynek finansowy.

Konsternacja w łoży właścicielskiej na Coronado.

— Gdybyśmy rozpoczęli przekazywanie energii, zanim ziemniaki uruchomią swoją giełdę... — zaczyna Sun Zhiyuan.

— Moglibyśmy podbić rynek — dopowiada Tamsin Sun. — Uzależnić go od siebie.

— Praktycznie moglibyśmy dawać im prąd za darmo przez rok — dodaje Zhiyuan.

— Jak dealerzy heroiny.

— Jest jeden problem — zauważa Jaden Sun. Wskazuje w górę, ponad kopułę Coronado, ponad dach Królowej Południa. — Nie mamy satelity pniekaźnikowego.

— Porozmawiam z Jewgienijem Woroncowem — mówi Zhiyuan. —I zarządzę natychmiastowe uruchomienie Pierścienia Słonecznego. Żeby pokazać Ziemi naszą gotowość.

— To wymaga decyzji zarządu — stwierdza lady Sun.

— Nie mamy tu kworum — dodaje Tamsin Sun.

— Ale starszeństwo ma swoje zalety—oświadcza lady Sun.— W przypadku krytycznej sytuacji politycznej, finansowej lub społecznej, zagrożenia dla istnienia Taiyangu, wyższy rangą członek zarządu ma prawo powołać nowych członków na bieżąco. Nominuję Dariusza Sun—Mackenziego do zarządu Taiyangu.

Spojrzenia, powolne kiwnięcia głową. Konferansjerzy na stadionie podgrzewają publiczność szybkimi hasłami i odpowiedziami. Dudni muzyka. Wzmaga się owacja.

— Poświadczam — mówi Jaden Wen Sun.

Owacja przetacza się falą po piętrach trybun.

— Popieram — mówi Zhiyuan.

— Poświadczam — dodaje Tamsin.

— Czyli mamy tu na miejscu kworum — stwierdza lady Sun.

— Proponuję natychmiast uruchomić Pierścień i rozpocząć

negocjacje z VTO i ziemskimi dostawcami energii. Głosy?

Podnoszą się ręce, rozlegają się pomruki aprobaty.

— Przegłosowane — mówi Zhiyuan. — Postanowione. Taiyang uruchamia Pierścień i negocjuje dostawy energii z Ziemią.

— Skoro ustalone — odzywa się Jaden Sun — możemy sobie zagrać w piłkę ręczną. Darius, jako najmłodszy stażem członek zarządu, możesz rzucić piłkę.

Komentatorzy rozkręcili tłum na stadionie i w sieci w spirale ekscytacji. Kibice są gotowi, oni są gotowi, gotowe są tablice wyników, ekrany i drony do zbliżeń. Gotowi są zawodnicy. Jaden wręcza Dariusowi piłkę. Jest mniejsza, niż myślał, i cięższa; pasuje ciężarem i kształtem do jego dłoni.

— Rzuć ją jak na Suna przystało.

— Patrzcie.

Schodzi na podest. Gdy unosi rękę, trybuny Coronado przytłaczają go hukami. Sięgasz, zmysłami i ścięgnami. Gdzie kończy się ciało? Dłoń trzymająca piłkę, czubki palców, skóra samej piłki, skóra każdego z trzech tysięcy kibiców stłoczonych na ciasnym owalu stadionu. Darius rzuca, piłka leci prosto, wysoko, pewnie. Zawodnicy wyskakują do niej, w słabym ciężeniu są jak rzeźby. Tłum zrywa się z miejsc z rykiem tysiąca głosów.

Dwaj chłopcy stoją na małym peronie Theophilusa, tak poważni i uroczyści, że Analiese Mackenzie z trudnością powstrzymuje się od wybuchnięcia śmiechem.

— Masz wszystko? — pyta Robson.

Ona podnosi długi futerał z setarem.

— Daj znać, jak dojedziesz.

— Albo lepiej — przerywa Haider — daje znać, jak się przesiądziesz na Hypatii. Tam ciężko się połapać.

— Za każdym razem, jak jadę na próby, przesiadam się na Hypatii — mówi Analiese.

Stacja w Theophilusie to zaledwie spora służąca obsługująca kolejkę jeżdżącą wahadłowo do głównej magistrali.

— Teraz to co innego — mówi poważnie Robson. — Jedziesz w trasę.

Ma rację. Trasa koncertowa to co innego. Dziesięć nocy i osiem koncertów od Południka po Hadleya, od Rozdiestwińskiego po Królową Południa. A ona nie o Robsona się boi, kiedy wyjeżdża. Robson wkwateruje sobie Haidera i będą się razem grzecznie bawić w dom. Boi się o Wagnera. Wrócił z ostatniej inspekcji, skubnął trochę jedzenia i zwałił się do łóżka. Wyczerpany. Ciężka praca, na południowym Morzu Spokoju. Analiese nie dała się nabrać. Stał pod płonącym niebem nafaszerowany lekami i teraz powraca znajoma ciemna strona.

Wstała bardzo wczesnie, przetała i spakowała setar, starannie jak relikwię. On wciąż spał, mamrocząc coś w języku, którego nie rozpoznawali ani ona, ani jej chowaniec. Wilczy język. Był taki piękny, taki zmęczony i bezbronny. Odwrócił się, kiedy go dotknęła.

— Jadę, *coração*. — Lubił, kiedy mówiła do niego po portugalsku. — Śpij sobie. Dobrze ci zrobi. Odezwę się, jak

dojadę do Południka.

Coś wymamrotał, otworzył oczy, zobaczył ją, uśmiechnął się. Pocałowała go.

Kiedy nadchodziła przemiana, specyficznie pachniał. Słodko i piżmowo.

Chłopaki zaopiekują się nim przez dziesięć dni tournée.

Gładki kamień wibruje, szcękają spinające się mechanizmy, syczy wyrównujące się ciśnienie. Przyjechał pociąg. Śluza się otwiera.

— Jak chcecie, możecie posłuchać — mówi Analiese. — Koncert z Południka idzie na żywo do sieci.

Robson i Haider robią zszokowane miny. Przez chwilę ma ochotę przytulić Robsona, ale to byłby grzech śmiertelny zaraz po grzechu ciężkim.

Otwierają się zewnętrzne drzwi śluzy. Wagner. Szorty, koszulka z krótkim rękawem, klapki. Włosy ma rozczochrane, oczy przekrwione, wygląda jak chodząca śpiączka. Jest ciemny, jest jasny i jest przepiękny.

— Jedziesz — mamrocze. — Zapomniałem. Przepraszam.

Odstawia setar i rzuca mu się na szyję.

— Pięknie pachniesz.

Gryzie go w ucho. On warczy. To jest ten Wagner Corta, którego pamięta. Lepsze pół takiego mężczyzny niż blady duch Wagnera Corty usiłującego żyć bez leków.

Analiese podnosi instrument.

— Opiekuj się nim.

— Oczywiście — mówi Wagner.

— Nie do ciebie mówiłam.

Nigdy w życiu tak się nie bał.

Za moment będzie pod drzwiami. Za drzwiami będzie jego syn. Dłoń drży mu na gałce laski.

— Jest przytomny i już nie może się doczekać, *senhor* Corta — mówi doktor Gebreselassie.

Kto jest przytomny? Kto nie może się doczekać? Czy to naprawdę Lucas Corta Junior zwany Lucasinhem? Pamięć Lucasa ma długą drogę do ostatniego wspomnienia, kiedy się widzieli. Dwadzieścia lun temu, foyer hotelu Home Inn w wieczór przed ślubem stulecia. Pożegnalne słowa: nie nawal się, nie naćpaj się, nie spieprz tego. Poprawienie klap marynarki Lucasinha, żeby zamaskować gułę w gardle. On nigdy nie chciał, żeby Lucasinho wychodził za Denny'ego Mackenziego. Jonathon Kayode był tak dumny ze swojego pomysłu na dynamiczne małżeństwo kończące pół wieku wendety. Złoci Chłopcy! Ale Jonathon zawsze chodził na pasku Mackenzie Metals. Zginął, krzycząc i robiąc w gacie, lecąc dwa kilometry w dół, a Adriana znaleziono z zakrwawionymi nożami w obu dłoniach. Nikt nigdy nie nazwał żadnego Mackenziego tchórzem.

I oto byli Złoci Chłopcy, jeden śmiałek i buntownik, skaczący po dachu świata, drugi — wysuszone przez próżnię truchło, odbudowywane wspomnienie za syntetycznym wspomnieniem.

Wszystkie te myśli w chwili, której potrzebuje dłoń, by zawahać się nad klamką. Jaką szybkość ma pamięć?

— Co się tak gapisz? — pyta Lunę zjeżoną złowrogo u jego boku. Biała trupia półmaska nie jest nawet w połowie tak

groźna, jak jej własna twarz. *Lucasinho zrobił to dla ciebie. Ja ci nie wybaczyłem. Wybaczenie to chrześcijańska rzecz, a ja nie jestem chrześcijaninem.* — Zostań tutaj.

— Nie męcz go — rozkazuje Luna.

Lucas wchodzi do pokoju.

Miał obmyślony tekst — że oto drugi raz odwiedza go w szpitalu po tym, jak opił się próżni. Przepadło. Lucas Corta się cieszy, Lucas Corta się zamartwia. Jaki on jest mały na tym łóżku, jaki chudy. Ale kości ma ładne. Kości zawsze miał ładne. Czy on go widzi? On w ogóle widzi? Taki Lucas, tylko ma połowę ust, połowę oczu, połowę twarzy.

— Przepraszam — odzywa się Lucasinho.

Lucas Corta ledwie zdąży dotrzeć do krzesła. Chwyta dłoń syna i zwała się na nie. Pierś mu faluje, oddech się zacina, boi się odezwać, bo pod ciężarem jednego słowa wszystko może się zawalić — i zmiążdżą go lata gryzienia się w język, dyscypliny, samoopanowania i samokontroli.

Rafa — złoty chłopak i Lucas — człowiek z cienia. Kochanek, intrygant, mówca, wojownik. I jeszcze wilk.

— Przestań...

Dłoń Lucasa boleśnie zacisnęła się na rękę syna.

— Oj, przepraszam...

„Odbudujemy go ze wspomnień innych ludzi”, mówiła doktor Gebreselassie. Z sieci, z rodziny, przyjaciół, kochanków.

— Wiesz, kim jestem?

— Jesteś Lucas Corta. Mój ojciec. Moja matka co Amanda Sun, *madrinha* — Flavia — mówi Lucasinho. Mowa jest

powolna, słowa wydobywają się z wysiłkiem. — Amanda przyszła mnie odwiedzić. Dlatego ty też przyszedłeś?

Lucas zmienia temat, nie chce mówić o byłej żonie i dobitym z nią targu. Soft został zaprogramowany, pozostało tylko zainfekować i rozprzestrzenić infekcję z bota do bota do bota. Powinna się roznieść po wszystkich piętnastu tysiącach sztuk w nie więcej niż trzydzieści sekund.

Bądź obecny tutaj. Nigdy cię przy nim nie było. Pięć godzin pociągami wokół talii Księżyca, a ty już myślisz tylko o swoich intrygach i umowach, o tym, komu ufać, a komu nie.

— Pamiętasz, gdzie mieszkałeś? — pyta Lucas.

— Takie miejsce z wielkimi twarzami, mokre od wody. Zielono, ciepło. Boa Vista.

— A pamiętasz, że ja za często tam nie bywałem? Mieszkałem w João de Deus. To było inne nasze miasto.

— João de Deus. — Lucas widzi, że syn usiłuje dopasować tę nazwę do pamiętanych szczegółów. Nagle twarz mu się rozjaśnia. — Śmierdziało tam!

Lucas śmieje się w głos.

— Tak. Śmierdziało, i to jak! Ale teraz ja wracam do Boa Vista. Odbudowuję je. Będzie tam pełno życia. Też będziesz mógł tam mieszkać, kiedy będziesz gotowy.

Ma świadomość, że ściany mają oczy i uszy. Konsylium lekarskie Lucasinha, ludzie z wydziału, cała uczelnia ze swoimi tajnymi planami, dyskretny nadzór ghazich. I jego siostra, z pewnego dystansu. „Pomóż mu pamiętać” — tak mu powiedziano. „Zabierz go w przeszłość. Nie zabieraj go w przyszłość, nie obiecuj mu niczego”.

Lucas widzi już proces, rozumie, co mu robią, a razem z tym zrozumieniem pojawiają się wątpliwości. Kto kontroluje te wspomnienia, kto decyduje, co trafi na pierwszy, a co na dalszy plan, co w ogóle zostanie wstrzyknięte do głowy Lucasinha? Z całego João de Deus pamięta tylko paskudną atmosferę. Lucas był nieobecny, dalekim ojcem. Jego dzieciństwo buduje się ze wspomnień *madrinhi*. Po Cortowemu. Lucas myśli o Alexii, dorastającej w splątanym kłębowisku ludzkich istnień, w ciągłym kontakcie z innymi. Potem o własnym synu, samotnym wśród kamiennych twarzy. Nic dziwnego, że chciał skosztować wszystkiego, co świat i ludzie mają do zaoferowania. Nic dziwnego, że popędził w jaskrawe światła przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Chłopak szybko się męczy. Uwaga go zawodzi, motoryka słabnie. Słowa zlewają się ze sobą, wzrok przestaje się ogniskować. Pora iść.

— Synu...

Obejmuje suchą klatkę z żeber i skóry. Gdy otwiera drzwi, ze ścian, sufitu i podłogi wyłaniają się uzdrawiające ręce maszyn. Obejmują Lucasinha, dotykają go, leczą. Piszą na nowo jego życie.

Ziemia jest niebieska i łagodnie świeci na Ocean Burz. Księżycowa noc — miasta lśnią dziesiątkami tysięcy światełek, po smolistej czerni toczą się iskierki: kapsuły pętli księżycowej, kapsuły BALTRAN—u, rzadkie i drogocenne statki. Szybka świetlna włócznia to pasażerski ekspres jadący na drugą stronę

globu. Po każdej stronie szerokich torów kolejowych widać szeroki, idealnie czarny, błyszczący pas — księżycowy regolit przetopiony, przyprawiony i ułożony z powrotem przez inżynierów Taiyangu. Pas słoneczny opasuje już osiemdziesiąt procent księżycowego równika. Maszyny i ekipy szklarskie pracują księżycowy dzień i noc, by domknąć pierścień przez nieustępliwe góry i kratery Farside. Zespoły prawników Taiyang negocjują prawa dostępu z uniwersytetem, który nie chce brukać swego dziewiczego naukowego krajobrazu przemysłem i zyskiem.

Teraz, gdy Tygiel jest polem żużlu na powierzchni Oceanu Burz, słoneczny pierścień jest największą budowlą na dwóch światach, pasem ogniów fotowoltaicznych o szerokości stu kilometrów i dziewięciu tysiącach kilometrów długości. W nocy wygląda niesamowicie — czarna otchłań pełna gwiazd, odbitych z nieba ponad nim. Gwiazd i dalekiej, błękitnej Ziemi. Pas słoneczny — pas Sunów — jest tak wielki, że nawet blady blask Ziemi wytworzy sto megawatów energii. Oświetlony słońcem ożywa, Jest doskonale widoczny z Ziemi — czarny pasek przecinający Księżyc na połówki jak półkule mózgowie. Przez dwa lata tylko spał. Teraz Pałac Wiecznego Światła wydaje rozkaz. Ukryte pod spodem procesory rozgrzewają się i wykonują programy startowe. Baterie ogniów włączają się, segment za segmentem budzi się cała okołoksiężycowa sieć. Podstacje Taiyangu mierzą i bilansują moc. Siedemdziesiąt eksadzuli energii wpływa do sieci. Słoneczny pierścień działa.

PIĘTNAŚCIE

— Spóźniłeś się — mówi Krimsyn do Finna Warne’a. — Wkurwiony jest.

Krimsyn nigdy jeszcze nie powiedziała aż tylu słów do Pierwszego Noża Mackenzie Helium.

Bryce Mackenzie stoi pod oknem ubrany tylko w stringi, skąpany w laserowym świetle. Migotliwe czerwone igielki obrysowują przepływy ciała, fałda za fałdą, jakby tłuszcz wylewał mu się z porów jak lawa; worki tkanki tłuszczowej łączące mu uda, ciężkie, obwisłe piersi.

— Spóźniłeś się — mówi.

— Wiem, co oni kombinują — odpowiada Finn Warne. Rozgląda się po sali, po reszcie rady: Jaimie Hernandez—Mackenzie, przez Rowana Solveiga—Mackenziego, po Alfonsa Pereztreja. Księżyc wrzał od politycznych plotek, odkąd Taiyang odpalił Słoneczny Pierścień. Sunowie śpieszą się tylko, kiedy ktoś ich do tego zmusza. — Mam paru ludzi w Pałacu Wiecznego Światła.

— Kogo? — pyta Bryce z płynnym wzruszeniem ramion. Stringi są niepotrzebne, fałdy skóry doskonale zasłaniają mu

genitalia. Lasery mrugają i gasną, boty odtaczają się do schowków.

— Mógłbym ich narazić, gdybym ci powiedział. W każdym razie blisko zarządu. Powiedzieli mi, że handlowcy Taiyangu na Ziemi umawiają się na spotkania z ziemskimi firmami energetycznymi. Szczególnie w tych państwach, które nie mają przedstawicieli w LMA.

Bryce wytrzeszcza oczy. Rozumie.

— Cwaniaki, kurwa. Pierdolone cwaniaki.

— Nie mogą tego wyeksportować, nie mają satelity przesyłowego —mówi Jaime Hernandez—Mackenzie, dyrektor operacyjny. Jak zawsze odwieczny *jackaroo* — schludny, dumny, niezawodny.

— Sun Zhiyuan już jedzie do Świętej Olgi z całym swoim cyrkiem —dodaje Finn Warne. — Kazałem paru inżynierom puścić symulacje; za sześć lun Taiyang mógłby mieć satelitę i słać energię do ziemskiej stacji mikrofalowej.

— Zbierają wstępne zamówienia — stwierdza Rowan Solveig —Mackenzie, analityk Mackenzie Helium.

— Za darmo będzie — mówi Bryce. — Pierwsza działka zawsze jest za darmo. A my tu handlujemy gazem do dzieciennych baloników.

— Ale czemu teraz? — pyta Alfonso Pereztrejo. — Zupełnie nie są gotowi. Ciągłe negocjują z Uniwersytetem prawa do położenia szkła. No i jak mówicie, nie mają jak przesłać tego prądu na Ziemię.

— Ale mają te komputery, co przewidują przyszłość — oznajmia Finn. —Co, jeśli spojrzeli w nią i zobaczyli coś, co ich

przeraziło? Naprawdę przeraziło.

— Sunów przeraziło? — dziwi się Jaime.

Pojawiają się asystenci z zawieszonymi na rękach ubraniami prosto z drukarki. Uwijają się wokół Bryce'a, mierzą, ubierają, obwieszają draperiami.

— To jeszcze nie wszystko — mówi Finn Warne. — Gadałem z innymi źródłami. Było wysokopoziomowe spotkanie pomiędzy Jewgienijem Woroncowem, jego marionetkarzami i Duncanem. Dogadali się, wejdą w spółkę. Wydobyć na asteroidach. Mackenzie Metals wychodzi z Księżyca.

— Podpisali kontrakt? — pyta Bryce.

Asystenci poprawiają mu spodnie w kroku i poły marynarki. Wsuwają buty na jego drobne stopki.

— Prawnicy go dopracowują. Ma być podpisany do końca luny.

— I co myślisz? — pyta Jaime.

— Robimy to, co każda porządna firma — mówi Bryce. Odziany i wygarniturowany, odwraca się do reszty zarządu. — Dywersyfikujemy się. Agresywnie.

Dzisiaj idzie bez ubrania.

To duży krok na drodze do księżycowej asymilacji Alexii. Dotąd unikała bani — sama idea publicznej higieny jest jej obca. Mycie, czyszczenie, ablucje są prywatne i racjonowane — parę odliczanych chwil pod prysznicem z własnoręcznie pompowanej wody. Potem odkryła, że w grotach z gołej skały, głęboko pod miastem, kryją się cuda. Ukryte baseny, łaźnie

parowe, wanny z bąbelkami i ciepłe ławy z księżycowego kamienia, na których można leżeć i się pocić. Połączone jak zwoje nerwowe niskimi tunelami kadzie z coraz gorętszą, pachnącą wodą, w których można się wylegiwać, pływając się w klimatycznym świetle i przytulnym jak łono dookólnym dźwięku, podobno nadawanym z sondy dwieście kilometrów w głębi układu burzowego na Jowiszu. Uczyniła sobie z bani codzienny rytuał, ale do tej pory nie zdecydowała się na publiczną nagość. Nie było to obowiązkowe — na tym świecie nic nie było obowiązkowe — ale ogólnie przyjęte, więc czuła się winna, rozdarta między dyskomfortem własnym i innych.

A dziś rano rozkazała Maninhowi, żeby ją pokazał. Nago. Z rozpuszczonymi włosami. Skrzywiła się, odwróciła wzrok, spojrziała jeszcze raz.

Zdawała sobie, że to paradoks, wstydzić się własnego ciała, kiedy pochodzi się z tak ekshibicjonistycznego społeczeństwa jak Brazylia, ale rodzinna narracja głosiła, że Cortowie robią, a nie wyglądają. Od zawsze się zamartwiała, że ma za szerokie biodra, za ciężki tyłek, za małe cycki. *Gatinhas* ze szkoły śmigały po lekcjach na plażę, ubrane w trzy trójkąciki z lycry, ona szła na kawę i siadała tyłem do oceanu. A tak bardzo chciała być tą dziewczyną na słońcu. Jednakże Księżyc nauczył ją czegoś innego. Księżyc ubrał ją w suknię godną gwiazdy filmowej, by zachwyciła i rozkochała Świętą Olgę. A ciała w bani — młode, stare, chude i grube — nauczyły ją, że nikt nie patrzy.

Obejrzała się w soczewce. Może być. Dobrze wygląda. W końcu to ona. A pieprzyć to wszystko.

Zarządziła dla swojej *bocety* brazylijską narodową fryzurę, odwiesiła do szafki stanik i majtki, wsunęła stopy w japonki, zarzuciła ręcznik na ramię, roztrzepała włosy i pomaszerowała do łaźni parowej.

W łaźni zadzwonił telefon. Irina.

— *Ola.*

Jest roztrzęsiona. Zdenerwowana. We łzach. Gdzie jest? W Południku.

I potrzebuje jej.

— Jestem w łaźni. Sanduny. Zamówię prywatną kabinę.

Ciepła woda, perfumowane jałowcem powietrze, łagodne światło i gwarantowana prywatność działają uspokajająco, leczniczo, budują poczucie bezpieczeństwa.

Irina Efua Woroncowa—Asamoah nawet nie czeka, aż woda, ciepło i spokój zaczną działać.

— Wydają mnie! — płacze.

Nie ma na to dobrej odpowiedzi, kiedy jesteś naga i siedzisz po szyję w łagodnie bulgocącej wodzie.

— Za Kimmie—Leigh Mackenzie!

Nim wszystko opowie, przechodzą z ciepłego basenu do chłodnego, potem do sauny suchej, parowej i znów do chłodnego i ciepłego basenu. Alexia ma wrażenie, że jej skóra jest trzy razy na nią za duża. Ale chociaż rozumie, czym się martwi Irina.

To jest transakcja. Strategiczna umowa z Mackenziemi. Wymagana dla przypieczętowania całego ciągu dynastycznych małżeństw. Irinę zaręczono więc z Kimmie—Leigh Mackenzie, wnuczką Katariny Mackenzie i Roberta. Zaręczyny będą

ogłoszone w ramach upubliczniania umowy Mackenzie Metals
— VTO. Uroczystość odbędzie się dziesięć dni później w Hadley.

— Zaraz, zaraz, zaraz. Żenią cię wbrew twojej woli?

— To część tej umowy.

— Ale ty się na to zgadzałaś?

— Aco to ma do rzeczy?

— Ma do rzeczy, bo może to będzie gwałt.

— Podpisałam pre—*nikah*.

— Ale nie chciałaś — protestuje Alexia. Dowiaduje się jednej rzeczy o księżycowym stylu życia, godzi się z nią, a potem z całej siły zderza się z kolejną ścianą czegoś nowego, brutalnego i okrutnego.

— Nie chciałam, ale musiałam. Jak mogłam odmówić? Chodzi o rodzinę. Ty nie wiesz, jak to jest w rodzinie.

— Oczywiście, że nie wiem — stwierdza Alexia. — A ona? Kimmie—jakaś tam?

— Kimmie—Leigh. K.L. Ona też tego nie chce, ale jest Mackenzie, a ja jestem Woroncowa—Asamoah...

— Znasz ją w ogóle? Widziałaś na oczy?

— Ma szesnaście lat, jest w seminarium Trzy Nieba, tutaj w Południku. Na oko całkiem sympatyczna dziewczynka. Ale na pięć lat? Na pięć lat!

Alexia robi wszystko, żeby się nie roześmiać.

— Tylko na pięć lat?

Irina jest zbulwersowana.

— Kiedy ten kontrakt wygaśnie, będę miała... dwadzieścia dwa!

— Przez pięć lat dużo się może zmienić. Może umrzeć. Albo ty umrzesz. Albo kontrakt zostanie wypowiedziany, albo unieważniony. Może zdradzisz i oba rody się ciebie wyprą. Albo się w niej zakochasz. Jedno ci mówię: pięć lat to nic.

Irina chmurzy się, potem chłapie Alexii wodą w twarz. Alexia najeża się i zaczyna zalewać Irinę kolejnymi falami wody. Ta piszczy, potem obie krzyczą, śmieją się i oblewają się wodą, aż stracą dech.

— Włosy... masz... — dyszy Alexia — ...jak... kupa. A ja jestem pomarszczona jak stara zakonnica. Jedno ci powiem: łap jakiegoś prawnika matrymonialnego, i to, kurwa, ekspresem. Teraz idziemy się nawalić.

Trzy bary dalej Irina wciąż przy niej jest. Wciąż jest przy niej w etiopskiej restauracji, wciąż jest przy niej z rana, zwinięta w nogach jej łóżka, jak młodsza siostra albo kuzynka w gościach. I wciąż jest, skacowana i łypiąca wielkimi oczyma, kiedy Lucas dzwoni z zaproszeniem na imprezę z okazji zaćmienia w Pałacu Wiecznego Światła.

Jeśli Luna wyciągnie prawą rękę przed siebie, przetoczy się na bok i zegnije się o tak, chyba będzie mogła przecisnąć się przez ten zakręt, do naprawdę świetnego punktu obserwacyjnego w suficie głównego pomieszczenia. Kręci tą ręką tam i z powrotem, łokieć przez chwilę zapiera się o strop tunelu, potem Luna zaciska zęby, przenosi ciężar ciała na lewą stronę i ręka przedostaje się do środka. Potem na drugą stronę, wygiąć się, odepchnąć nogami i już jest w drugim kanale.

Nigdy nie przychodzi jej do głowy, że może gdzieś uwięznąć, że Luna—chowaniec będzie musiała dzwonić po pomoc, że boty i inżynierowie będą musiały rozmontować pół Coriolisa, żeby ją wyciągnąć, albo że będzie wołać i wołać i nikt nigdy nie przyjdzie.

Za parę metrów kanał rozszerzy się, będzie mogła opuścić rękę z powrotem i zerknąć przez kratkę do sali. Maszyna do herbaty, maszyna do żywności, do wody, fotele, stoliki. Ludzie z tym nieobecny spojrzeniem, jak to dorośli, kiedy siedzą ze swoim chowańcem, a nie z ludźmi naokoło. Prąd powietrza mierzwi jej włosy, szeleści sukienką. I kto jest dzisiaj w tej sali? Doktor Gebreselassie. Właśnie wychodzi. Doktor Donoghue i doktor Ray, właśnie weszli, rozmawiają przy maszynie do herbaty. Jest też Amalia Sun, która przyszła z *tią* Amandą odwiedzającą Lucasinha. Wydaje się nudna, bezbarwna — siedzi sobie sama z herbatą skupiona na chowańcu.

Kogo obserwować? Luna wymyśliła tę zabawę w kanałach i tunelach Boa Vista, ale tu jest o wiele lepiej. O wiele więcej ludzi, których może potajemnie śledzić, nie tylko nudni krewni czy ochroniarze. Aż śmiać jej się chce, kiedy pomyśli, że jest tu, na górze, obserwuje ich, a oni nic nie wiedzą.

Luna zna każdy krok swojej cioci Amandy, a nie wie o tym nawet jej ochrona.

No to kogo tropimy dzisiaj? Najnowszą osobą jest Amalia Sun, ale tylko siedzi i siedzi zajęta chowańcem. Naukowcy kończą herbatę. Luna wybiera najmniej nieciekawą i idzie za nią do głównego korytarza, dwa piętra w dół do laboratorium neuroniki — skok w pionowy szyb, sukienka wydyma się,

hamując upadek — stamtąd do biura przy laboratorium — kolejny ciasny zakręt, ale nie tak ciasny, jak z gabinetu skanera nad mesę. Sukienka Luny zahacza o krzywo wsadzony panel i rozdziera się. Luna syczy ze złością.

— I widzisz, co mi zrobiłaś?! — upomina badaczkę.

Madrinha Elis unosi sukienkę. Jest rozdarta od pachy do talii.

— Pełzałaś po kanałach.

— Zwiedzałam — mówi Luna.

— I jesteś cała w kurzu i brudzie — mówi *madrinha*. Luna stoi w bojowej pozie w szortach i koszulce. — Idź pod prysznic. Śmierząca dziewczynka. I...

— I zmyć to coś z twarzy? — Luna szczyrzy zęby. — Zawsze zmywam.

— I z powrotem nakładasz.

Luna pędzi pod prysznic.

— Muszę mieć taką samą, kiedy pójdę do Lucasinha.

Madrinha Elis przewraca oczyma i rzuca podartą sukienkę do recyklera.

— *Ola*, Luca.

Lucasinho dziś siedzi w fotelu. Jego uśmiech to pełnia blasku i radości. Luna lubi rozmawiać z nim po portugalsku, wydaje się, że dzięki temu wspomnienia łączą mu się na nowe sposoby, dostaje też nowe słowa, żeby mówić o sobie.

— *Bom dia*, Luna!

— Chodzimy jeszcze dzisiaj? — pyta Luna po portugalsku.

Lucasinho potakuje. Może już chodzić bez kuli i uwielbia sprawdzać ograniczenia własnego ciała. Ósrodek ma mały park, w którym robią okrążenia po kolistej ścieżce. Rosną tam wysokie bambusy, zwieszają się liście i gałęzie — prawie można zapomnieć, że jest się w kawernie pod niskim stropem.

— Popatrzeć na rybki! — odpowiada Lucasinho.

Luna bierze go pod rękę i idą do windy.

— Nakarmić rybki! — rzuca Luna i wyciąga z kieszeni szarej sukienki fiolkę białkowych płatków.

Lucasinho klaszcze radośnie w dłonie.

Sanitariusze, naukowcy, badacze pozdrawiają ich, gdy idą, trzymając g się za rękę, po ścieżce z kamiennego spieku.

— Siedem drzew? — pyta Luna. Znacznikiem końca okrążenia jest ozdobny klon japoński. Lucasinho patrzy z powątpiewaniem. Łatwo się męczy. A praca umysłowa męczy najbardziej. — Siedem drzew i karmimy rybki.

— Dobra.

Lucasinho, jak codziennie, zatrzymuje się w miejscu, gdzie światło pada przez poruszające się łagodnie liście. Unosi do niego wzrok, grzeje twarz. Zamyka oczy.

— Wyglądasz jak *orixa* — zauważa Luna.

— Która?

— Oxossi.

— Myśliwy — mówi Lucasinho. — Pan Wiedzy. — Twarz spina mu się w skupieniu. — Próbuję sobie przypomnieć. Naprzeciwko siebie, między stacją tramwaju a główną służą.

Oya i Xango. Oxum i Ogun. Oxala i Nana. Potem Oxossi i Yemanja. I ostatnie — Omolu i Ibeji. Tutaj łatwo sobie przypominać Boa Vista. Dlatego mnie tu przyprowadzasz?

— I rybki mi się podobają — mówi Luna.

Idą dalej, uśmiechając się i odpowiadając w globo wszystkim życzącym mu zdrowia.

— Zaczynam sobie przypominać i Pałac Wiecznego Światła — mówi Lucasinho. Czwarte drzewo. — Tylko światło i ciemność, wielkie cienie i światło, takie jasne, że wydaje się... prawdziwe? Nie... twarde. Wielkie puste przestrzenie. Echo. I bardzo, bardzo mali ludzie, ale to przez te wnętrza się tacy wydają. I wszędzie tramwaje. Pamiętam, że wyglądałem przez okno z takiego tramwaju. A jak się nazywa to drugie miasto, to stare?

— Królowa Południa?

— O, to tam. Jechałem tramwajem z *mãe*.

— Amandą Sun — mówi Luna

— Z *mãe* — stwierdza stanowczo Lucasinho. — Jechałem tramwajem z Królowej, okrążyliśmy po wewnętrznej taki wielki krater i tam były tylko światło i cień. Ostre jak cięcie. — Macha dłonią jak ostrzem w powietrzu. — Tak ostre. Światło, cień. *Mãe* powiedziała, że te cienie nigdy się nie kończą. Pamiętam, że się bałem, ale ona objęła mnie ramieniem i powiedziała: „Patrz, w tym cieniu jest dużo, dużo światła i to jest nasze miasto. Światelko w cieniu”.

Szóste drzewo. Lucasinho idzie lekko, głos ma pewny. Luna musi podbiegać, żeby za nim nadążyć.

— O, i pamiętam! Innym razem. Była sala, cała wyłożona pięknymi tkaninami, malutkie okienka, światło wpada przez te okienka i tkaniny od tego bledną. I była tam bardzo stara kobieta, uśmiechnęła się, wzięła mnie za rękę, a *mãe* powiedziała: „Luca, to jest twoja prababka”.

— Ta staruszka to lady Sun — mówi Luna. — Ale kiedy to było? Nic przypominam sobie, żebyś spotykał się z lady Sun.

— Nie wiem. Chyba trochę przedtem, zanim tam zamieszkałem. Siódme drzewo. Karmimy rybki?

— Luca — oznajmia Luna. — Nigdy nie mieszkałeś w Pałacu Wiecznego Światła.

— Nie nadaje się — mówi Lucas Corta.

— Zawojowałam w niej Świętą Olgę — dziwi się Alexia w sukni balowej, którą uwiodła Woroncowów, tak świeżej, że jeszcze pachnie odparowującym płynem z drukarki.

— Co się podoba w Świętej Oldze, w Pałacu spotka się z kamiennymi twarzami — odpowiada Lucas. Sam jest ubrany w garnitur w łagodnej, delikatnie opalizującej szarości, która po bliższym przyjrzeniu okazuje się brokatowym mikrodrukiem. Krawat ma z pierwiosnkowego jedwabiu, podobnie jak opaskę na kapeluszu. — Sunowie mają swoje standardy.

— A co to w ogóle będzie?

— Z okazji każdego zaćmienia w Pałacu Wiecznego Światła jest bankiet. To jedyna chwila, kiedy zapada tam ciemność, dlatego uważają, że warto to uczcić. Zaćmienie jest co miesiąc, więc ciągle tam kogoś do siebie zapraszają. LMA, delegacje

handlowe, wpływowe osoby, naukowców. Turystów. Wszyscy tam będą, czyli ewidentnie Taiyang coś będzie chciał ogłosić.

— Wszyscy? — Alexia wbija się w nową suknię.

— Głowy wszystkich pięciu... czterech Smoków — mówi Lucas. — Oraz Księżycowy Orzeł i jego Żelazna Ręka.

— Pewnie uruchomienie ich Pierścienia Słonecznego? — stwierdza Alexia. Prawy but, potem lewy. Ubieranie się jest magią i rytuałem.

— Na pewno.

Alexia wychodzi z garderoby, dwa schodki niżej. Długi tren z krepy, bufiaste rękawy, mocno ściśnięta talia.

— Na tych ramionach to by mi statek mógł wylądować.

Lucas uśmiecha się.

— Dyskretna, ale mocna. To się Sunom spodoba.

— Nigdy nie byłam w Pałacu Wiecznego Światła — mówi Alexia. gdy wagon sunie po biegunowej linii na południe, nad wiaduktami i przez wykopy pomiędzy kraterami La Caille.

— Zrobi na tobie wrażenie, tak został zbudowany. Jest bardzo oszczędny, spokojny, ascetyczny i wszyscy, którzy tam mieszkają, przez cały czas się boją.

— A jak syn?

— Miałem ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść.

— Lucas, nie o to pytałam.

On patrzy w srebrnoczarne pustkowia.

— Najpierw był zachwyt, potem strach. Że widzę kogoś, kogo niby znam, a okazuje się kompletnie obcy. Pomyślałem, że

składają go do kupy, wspomnienie za wspomnieniem, ale to nie są jego wspomnienia. To jest pamięć innych ludzi, jego obraz z mediów społecznościowych, kawałki pamięci, które sprzedał maszynom. Czy my nie jesteśmy niczym więcej? Tylko tym, co inni z nas pamiętają. Ale, Lê, dalej jest śliczny.

— Pokazywałaś mi zdjęcie, wtedy, jak wróciłam do Copa Palace.

— Kiedy zaproponowałem ci Księżyc. Widzisz, Lê, wygląda tak samo, ale nie jest ten sam. Wróci kiedyś czy na zawsze już zostanie ta wątpliwość, że odbudowali coś, co nie jest moim Lucasem Cortą juniorem?

— Lucas, kiedy wrócę na Ziemię, ja też nie będę taka sama. Każda część mojej osobowości, która omal nie zginęła w tym pokoju w Copa, zostanie tu, na Księżycu, a Księżyc z kolei zabiorę ze sobą tam. W każdym włosie, każdej kości i każdej komórce.

— Czyli będziesz wracać?

— Miałam na myśli „jeśli wrócę”. Jeśli, Lucas. Jeszcze jedno pytanie. Kto to jest Jorge Mauro?

Znów ten podejrzany uśmiech. Alexia widzi w nim piętnastolatka, dziesięciolatka, pięcioletniego chłopca, który już wie, że zawsze musi być sprytny, bystry i skryty.

— Szpiegujesz mnie?

— Troszczę się o ciebie. Nie wyszedłeś po przyjęciu.

— Jorge Mauro to moja pieśń, zdrowie mojego umysłu i mojej duszy. Mówię mu rzeczy, których tobie, Żelazna Ręko, nigdy nie powiem. Spędziłbym z nim resztę życia, ale wykazał się mądrością i mnie nie chciał.

Kabinę wypełnia gitarowa bossa nova, szeptana, przywołująca wyobrazony śpiew.

— *Samba de Una Nota* — mówi Lucas. — Zespół Jorge'a. — Przygotowuje martini, wściekle wytrawne i zimne. Alexia wciąż nie może się przemóc, by polubić dzin czy bossa novę, upija jednak łyk i kiedy w tył pędzą kraterowe pola południa, zaczyna trochę rozumieć gigantyczną, potworną samotność Lucasa Corty.

W Królowej Południa przesiadają się na tramwaj do Shackletona. Alexia zauważa wagoniki na prywatnych peronach — czerwono—biały VTO, monochromatyczne wzory AKA, zieleń i srebro Mackenzie Metals. Tramwaj bezgłośnie wiezie Lucasa i ją pod wielkim magmowym bąblem Królowej, pod niecką Aitkena, by wyłonić się na powierzchnię na wewnętrznej ścianie Shackletona. Światła płoną w głębokiej ciemności, zmieniającej się za ostrą jak brzytwa granicą w oślepiające światło. Czerń i biel. Ogień i lód. Głębokich czeluści Shackletona nigdy nie tknęło słońce, od narodzin Układu Słonecznego leży tam przedwieczny lód — lód, który zasilął pierwsze kroki Sunów i Mackenzie na tym świecie. Historia

Księżyc ma tylko osiemdziesiąt lat, ale jest pełna namiętności, krwawa i wspaniała.

Soczewki Alexii polaryzują się, gdy mruży oczy i próbuje wypatrzeć Pawilon. Zrozumienie zasady Góry Wiecznego Światła trochę jej zajęło. Oś Księżycy praktycznie nie ma nachylenia, stąd brak pór roku i brak wielomiesięcznych polarnych dni i nocy. Dlatego wystarczająco wysoki szczyt na biegunie zawsze będzie w słońcu. Woda i stały dopływ energii

słonecznej — ludzie mający wizję i upór potrafią z tego zbudować cały świat. Górze Malaperta brakuje do tego wiecznego światła kilkuset metrów, ale gdyby zbudować na niej wieżę... Nagle ją dostrzega i zawodzą wszystkie umysłowe hamulce. Zostaje tylko podziw. Słup oślepiającego światła wznosi się w czerń zwieńczony płonącym diamentem. Jak włócznia, która rzuca wyzwanie wszechświatowi. Ziemia i Słońce są niewidoczne, zasłonięte przeciwległą krawędzią krateru. Alexia próbuje wyobrazić sobie ciemność przesłaniającą grot włóczni i idącą w dół po drzewcu.

Tramwaj wjeżdża do kolejnego tunelu i po chwili wyłania się w szklanej komorze. Spinają się śluzy, *escoltas* Orła ustawiają się w szyku.

— Jest twoja była żona — szepcze Alexia. Poprawia suknię, poprawia poduszki na ramionach. Idiotycznie skomplikowany ten strój.

Amanda Sun wita Lucasa precyzyjnie odmierzonymi całusami. Wygląda zabójczo w szytym na miarę kostiumie w stylu New Look.

— Na moje oko Lucasinho dobrze wyglądał — mówi, prowadząc Lucasa przez przytłaczającą Wielką Salę Taiyangu.

Obcasy Alexii na polerowanym kamieniu stukają jak wystrzały. Wyobraża sobie, że strzelają spod nich snopy iskier.

— A mnie się wydał wymęczony — odpowiada Lucas. — Wyczerpany. Całkiem naturalne. Bo ja znam go lepiej niż ty.

Snopy światła padają na podłogę wielkiej sali, tak jasne, że aż wydają się syczeć.

— *Senhor* Corta — wita gości Sun Zhiyuan. — *Senhora* Corta. Bardzo serdecznie witamy.

Alexia wspomina poprzednie spotkanie z Sunami. Przyszli pokłonić się nowemu Orłu i wywęszyć, jakich przysług i jakich odmów mogą się spodziewać. Usiłowała nie wpuścić lady Sun, bo dziedziczki nie było na liście. Błąd. Brak doświadczenia. Sunowie nie zapomnieli i nie wybaczyli. O, jest, stara *bruxa*. Ona zawsze ubierała się w stylu lat czterdziestych XX wieku. To moda zatoczyła koło i wróciła do niej. A ten z niewieściały chłopak u jej boku, w zabójczym garniturze, to musi być Darius Sun—Mackenzie. Sprawdza teraz własną pamięć na reszcie Wielkiej Sali. Lousika Asamoah ze swoją zwierzęcą świtą i menedżerami AKA w tych samych wspaniałych *kente*, które tak ją zachwyciły pod Wielkim Drzewem w Twé. Duncan Mackenzie, ciemna gwiazda wśród jaskrawego orszaku. Stadko krzykliwych Woroncowów wita Alexię jak zaginioną siostrę.

— *Bryce'a nie ma* — szepcze do Lucasa po drugiej stronie sali.

— *Musiał być zaproszony*—odpowiada Lucas. — *Pałac Wiecznego Światła jest pedantyczny*.

Sun Zhiyuan unosi ręce, goście milkną.

— Będziemy państwa wwozić na górę grupami, bo miejsce w latarni jest ograniczone — obwieszcza. — Zapewniam jednak, że wszyscy zdążą się napatrzeć na zaćmienie.

— Po to się wbijałam w tę suknię? — mówi Alexia. Obrobiła kolejnych gości i wróciła lukiem do Lucasa.

— Nie po to tu przyszliśmy.

— Wiem, że wszyscy jesteście bardzo zajętymi ludźmi, ale będzie nam bardzo miło, jeśli zechcecie zostać później na bankiecie.

— Po to — dodaje Lucas, a przez gości przebija się jak taran Jewgienij Woroncow, żeby go naciskać, kiedy podda tę sprawę pod głosowanie LMC.

— Zastanawiam się, kiedy będzie lepiej: przed czy po tym, jak ogłosisz swoją kosmiczną spółkę z Duncanem — wypala Lucas, ale zanim Jewgienij zdąży się zakłopotać i zapieniść, obsługa Taiyangu, androgyniczna i nieskazitelnie ubrana, zagania po kolei gości ze swoich list do wagoników jadących pod Górę Malaperta.

Alexia zdąża raz przyjrzeć się Pawilonowi Wiecznego Światła, zanim wagonik wjedzie w tunel prowadzący do holu windowego. Jest o wiele większy, niż myślała — płatanina belek i rozporek przypominająca wielką wieżę Eiffela, opinającą szczyt Góry Malaperta, w połowie w ciemności, w połowie zalana blaskiem. Boska włócznia.

Tramwaik wjeżdża do holu windowego. Młodzi Sunowie uśmiechami i delikatnymi gestami sterują swoimi gośćmi.

— Omahene Asamoah? — mówi jeden z eskorty Sunów, prowadząc Lousikę do czekającej windy.

— Ciekawe, czy weźmie te wszystkie zwierzaki? — szepcze Alexia.

Jednakże Lousika unosi palec i szop zwija się w kłębek, papuga chowa głowę pod skrzydło, pająk zwija się w jadowitą drucianą kulkę, a rój się rozprasza.

— Następna winda, nasi przyjaciele Mackenzie, zapraszam.

Duncan Mackenzie wprowadza swoje stadko kolorowych Australijców przez służę do świeżo przybyłej drugiej kabiny.

— Każdego Suna przyprowadza się tutaj jako dziecko, żeby poczuło moc słońca i zrozumiało źródło potęgi rodu — mówi Lucas do Alexii.

— Ród Corta? — mówi uprzejma, bezpłciowa osoba z obsługi. Drzwi windy się zamykają.

— To ekscytujące — odzywa się Alexia, gdy ruszają do góry.

Patrzy przez pajęczą konstrukcję, jak rysuje się krater Shackletona, niecka w ciemności, krawędź płonąca światłem. Jeszcze wyżej — i pojawia się całe powierzchniowe umebrowanie Królowej Południa, wieże z antenami, stacje BALTRAN—u, podstacje energetyczne i długie wały służ. Potem zaczyna dostrzegać połączone kratery Basenu Aitkena.

Potężny wybuch. Kabina windy trzęsie się jak uderzona pięścią. Alexia zatacza się na pracownika Taiyangu, potem znajduje się w nieważkości. Gasną światła. Kabina swobodnie spada. Włączają się hamulce awaryjne, Alexia zderza się z sufitem, potem z podłogą. Spada na nią Lucas, chłopak z Taiyangu jest płataniną kończyn w kącie. Słyszy pisk hamulców — bezpośrednio tarcie metalu o metal. Uderzenia, głośne jak wystrzały. Trzaski. Na dach spada grad uderzeń. Winda szarpie. Alexia podnosi się na łokciu — szyby kabiny są poprzecinane pęknięciami. Nie ma pojęcia, na czym się jeszcze trzymają. Za spękaną szybą widzi chmurę jaskrawych iskier opadającą lukiem na wzgórze Malaperta.

Co takiego?

Sieć nie działa. Winda spełza na dół do śluzy. Jak wolno. Potwornie wolno. Jeśli te labirynty pęknięć nie wytrzymają, dołączy do wirujących nad Shackletonem świetlistych iskierek.

— Czubek wieży — mówi Lucas.

Alexia opiera się o metalową ramę windy i patrzy poprzez splątane, pogięte kratownice. Płonący diament, latarnia — nie widzi jej. Czemu jej nie widzi?

— Nie ma go — dodaje Lucas. Jego brązowa twarz jest szara. Próbuje wymacać laskę. Cokolwiek, co da mu trochę bezpieczeństwa. Ale tu nie ma bezpieczeństwa, nie ma czego się trzymać.

— Kto był wtedy na górze? — pyta Alexia.

— Duncan Mackenzie, Lousika Asamoah — mówi młody Sun.

Alexia klunie po portugalsku. Winda z szarpnięciem parkuje w doku. Czekają w nieskończoność, aż śluza się uszczelni i wyrówna ciśnienie. Kiedy Alexia, Lucas i obsługujący ich Sun gramolą się do holu, szyby windy rozpryskują się, niczym kryształowe trofeum, na milion lśniących odłamków. Biegną do nich sanitariusze i boty, z pomocą medyczną i tlenem. Alexia próbuje odepchnąć maskę, odtrącić inhalatory ze środkami przeciwwstrząsowymi, ale maszyny są uparte. Łapie spojrzenie Lucasa znad jego maski tlenowej. *Patrz.* Lousika Asamoah siedzi na przewróconej medycznej kapsule, z maski bucha jej para. Oczy ma wielkie od szoku, zwierzęca świta kuca za jej plecami, niespokojna. Udało się jej wrócić.

Przybywa ochrona Smoków, wylewa się z wagoników i przepycha się przez Sunowych *wushi*. Nelson Medeiros i jego

escoltas otaczają Lucasa, badają go jeszcze raz. Hol windy dudni podniesionymi głosami. We wszystkich chowanicach odzywa się przeraźliwy pisk. Sieć wstała i każe wszystkim zachować ciszę. Sun Zhiyuan stoi z podniesioną ręką.

— Proszę o uwagę. Nastąpiło poważne naruszenie konstrukcji. Latarnia... latarnia została zniszczona. Na razie nie znamy szczegółów, ale możemy potwierdzić, że doszło do zaginięcia ludzi.

Rozlega się paplanina, Sun Zhiyuan znów unosi rękę. Nikt nie ma ochoty drugi raz usłyszeć tego pisku.

— VTO wysłało już statek z Królowej Południa, a my ekipy w łażnikach. Teren... teren jest bardzo trudny. — Głos mu się łamie, widać, że się poci. Alexia nigdy nie widziała zmieszanego Suna. — Przewieziemy wszystkich, razem ze sztabami, do Pałacu Wiecznego Światła. Jeśli ktoś potrzebuje pomocy medycznej, proszę się zgłosić do naszej obsługi. Poinformujemy o wszystkim, kiedy będziemy mieć więcej informacji. Cały obiekt, w którym się państwo znajdują, nie jest teraz bezpieczny, proszę więc o wykonywanie poleceń naszych pracowników i powrót do Pałacu.

— *Oni już mają tę informację* — mówi Lucas na prywatnym kanale. — *Tylko myślą, jak nią zarządzić.*

— Bomba? — pyta Alexia, gdy słyszą ją tylko Cortowie i *escoltas* za zamkniętymi drzwiami tramwaju.

— Nie wygląda — mówi Lucas. Nelson Medeiros kiwa głową.

— Uderzenie — dodaje. — Nie bomba. Strzał.

— Ale kto może mieć taką broń? — pyta Alexia.

— Na pierwszy rzut oka to ci, co mają wielkie działo w kosmosie.

— Woroncowowie? — Alexia nie wierzy własnym słowom.

Wagonik wyłania się z tunelu. Alexia znów zadziera głowę. Pawilon Wiecznego Światła jest roztrzaskany, brakuje górnej jednej trzeciej, wieża to kikut sterczących ostrych belek i poskręcanych rozpórek, gołych w pojawiającym się na nowo świetle.

— Ale czemu oni mieliby próbować cię zabić? — ciągnie, gdy tramwaj wpada z powrotem do tunelu. — Jesteś im potrzebny. Port Księżycowy.

Lucas i Nelson zerkają po sobie.

— Nie chodziło o Lucasa — mówi Nelson Medeiros.

— To o kogo? O Duncana?

Kiwnięcie głową.

— Ale kto by... aaa. Ja pierdolę.

— Ja też — mówi Lucas, a wagonik wsuwa się na peron.

W Wielkiej Sali jest tłoczno od ludzi, głosów, desperackich działań. Kilkanaście ekip ochrony, pracownicy Sunów, dziennikarze i reporterzy liczący, że zajrzą za gładką powłokę korporacyjnych informacji Taiyangu, wygłodniali prawnicy z głowami pełnymi zyskownych pozwów o odszkodowania. Wszystko to kłębi się i krzyczy. Smoki i menedżerowie. Sieć ledwie działa, tak jest obciążona. Nagły sygnał dźwiękowy na wspólnym kanale — i wszystkie dłonie podnoszą się do uszu. Będzie mówił Sun Zhiyuan. Ludzie otaczają go.

— Szanowni goście — mówi. — Mam więcej informacji. Potwierdzamy, że latarnia Pawilonu Wiecznego Światła została

zniszczona precyzyjnym atakiem. Analiza dowodów jeszcze twa, ale już wiemy, że została trafiona o godzinie szesnastej pięć obiektem lecącym po krzywej balistycznej. Jest co najmniej siedem ofiar, w tym Duncan Mackenzie. Nasze ekipy ratownicze znalazły w gruzowisku szereg ciał. Nie ma nadziei, by ktokolwiek przeżył. Składamy nasze kondolencje Mackenzie Metals, które utraciło swego prezesa i całe pokolenie wspaniałych młodych talentów. Za chwilę przyjadą pociągi, które zawiozą państwa do Królowej Południa. Pałac Wiecznego Światła jest teraz miejscem katastrofy i należy się z niego jak najszybciej ewakuować. To tragiczny czas dla nas i dla Mackenzie Metals. Dziękuję za uwagę.

Pojawia się Amanda Sun, delikatnie prowadzi Lucasa, kładąc mu dłoń na plecach.

— Jak się bałam, Lucas. — Dyskretnie steruje nim w stronę służy. *Wushi* w eleganckich garniturach czekają w dyskretnej odległości. — Tak mi ulżyło, kiedy usłyszałam, że jesteś bezpieczny. Ale wyglądasz! Szkoda, że nie mogę cię gdzieś zaprowadzić, żebyś się oczyścił z pyłu. Alexia, twoja piękna suknia! — Znienawidzona kieca jest rozdarta w miejscu, gdzie stopy wplątały jej się w rąbek, absurdalne sznurki łączące talię z nadgarstkami są porozdzierane, szwy się rozeszły, a materiał w kolorze kości słoniowej jest poplamiony czarnym pyłem, który wciska się na Księżycu do wszystkich zamieszkanym przez ludzi miejsc. Włosy też ma w nieładzie.

— W pociągu będzie łazienka — mówi Lucas.

Alexia stara się trzymać z tyłu. Wyszpiegowała, że lady Sun i jej podopiecznego ekipa w garniturach pośpiesznie

poprowadziła w kierunku przeciwnym do reszty. Byli zdeterminowani, szybcy i nie zważali na tłum. Podobnie jak obsługa Taiyangu, która przesuwa ją grzecznie, ale stanowczo do służby tramwaju. Ochrona Sunów robi miejsce, by Nelson Medeiros mógł przeprowadzić Orła i jego Żelazną Rękę do wagonu.

— Przypomnij mi jeszcze raz — mówi Lucas, gdy wagonik sunie lukiem w talii krateru Shackletona. Czarne niebo wypełniają ruchome światełka — to księżycowe statki siadają na ogniu. Lucas liczy je. Wszystkie statki Woroncowów są nad Palacem Wiecznego Światła. — Kogo nie było?

SZESNAŚCIE

W pokoju Mariny każdego dnia wyrasta nowy uchwyt. Najpierw w łazience, przy sedesie, pod prysznicem, potem pojawiają się przy łóżku, przy szafie, naokoło wyłączników i gniazdek, wreszcie wypuszczają nitkę grzybni wzdłuż ściany do drzwi.

— Wywalcie to gówno! — wścieka się, a Ocean i Kessie się kulą, więc od razu wiadomo, kto jest odpowiedzialny. — Nie jestem, kurwa, jakimś gibbonem z zoo! Próbuję się nauczyć chodzić o kulach.

Wścieka się nie na ich niezborną troskę, ale dlatego, że poręcze za bardzo kojarzą się z maleńkim mieszkankiem na Bairro Alto, trzema pokoikami wyrytymi w gołej skale i po taności uszczelnionymi. Kojarzą się z linami i pędami rozpiętymi pod sufitem, na których Ariel podnosiła się z wózka i przerzucała z pokoju do pokoju. Ariel — ubrana i umalowana dla klientów w polu widzenia kamery, a tam, gdzie niewidoczna, ubrana w wyszargane legginsy albo dresy. Uwięzione we dwie na tym wygnaniu, wiecznie kłócące się, mendzące i potrzebne sobie nawzajem. Osiemnaście lun

wiązania końca z końcem. Tylko ktoś głupio optymistyczny albo śmiertelnie nostalgiczny nazwałby ten czas szczęśliwym. Ale kolory były jaskrawe, smaki intensywne, a zapachy silne, jak nic w tym domu. Wilgoć, chłód, miękkość, półmrok Wszystko zdławione i przytłumione.

Uchwyty znikają w ciągu jednej nocy, jak za machnięciem czarodziejkiej różdżki.

A kule to masakra. Marina nie ufa własnemu ciężarowi, sile, równowadze. Nogi ma za słabe, górę ciała zbyt silną. Zbyt księżycowa sylwetka. Kuśtyka przez hol, pokój, ganek, z powrotem, cała spocona, mieląc w ustach przekleństwa.

Trzeciego dnia smaruje się grubo kremem ochronnym, naciąga czapkę, okulary i rusza na wyprawę przez podwórko do huśtawki. Dociera do pierwszych schodków z ganku na dół, zbyt nieśmiało wymacuje je kulami, traci równowagę i spada.

Doktor Nakamura bada ją na leżaku na werandzie, a Kessie tymczasem robi kawę.

— Nic się nie stało — mówi. — Ale powinnaś korzystać z chodzika.

— Chodziki są dla starych dziadów — mówi Marina. — Ja jeszcze nie jestem taka stara.

— Masz kości dziewięćdziesięciolatki.

— Ale serce i życie seksualne dziewiętnastolatki.

Ocean prycha i ucieka zażenowana słowami ciotki.

— Usiądź, dobra? — odzywa się doktor Nakamura, kiedy Kessie podaje kawę.

— Słyszę ten lekarski ton, „musimy poważnie porozmawiać” — rzuca Kessie, ale zamyka drzwi na ganek i siada.

— Weavyr coś ci już mówiła? — pyta lekarka.

Kessie nalewa kawę. Każda filiżanka to dla Mariny wciąż iskra elektrycznej radości. Delektuje się aromatem. Gdyby tylko smakowała tak, jak pachnie.

— O czym niby?

— O szkole. — Córka Nakamury, Romy i Weavyr chodzą do jednej klasy.

— Nic. Nic kompletnie.

— Romy ciągle mówi, że inne dzieciaki atakują Weavyr. Przezywają ją, namawiają się na nią, unikają jej.

Marina bierze Kessie za rękę.

— To też chodzi o ciebie, Marina — dodaje doktor. — Mówią jej, że jej ciotka Marina to czarownica albo szpieg. Terrorystką z Księżycy. Wysadzi centrum handlowe, zatruje wodę, zniszczy szkołę meteorem. Mówią Romy, że nie powinna się kumplować z Weavyr, bo Weavyr szpieguje dla ciebie.

— Ostatnio Romy nie bywała u Weavyr — mówi Kessie. — I o szkole też nic nie mówi, ani słowa nie piśnie.

— Dziewczynki są wredne — mówi Marina.

— To nie tylko to — odpowiada doktor Nakamura. — Jedni z moich najstarszych klientów, Furstenbergowie, zapytali, czy mam pod opieką rodzinę Calzaghe. Powiedziałam, że tak, pani Calzaghe to wieloletnia pacjentka. Na to oni: „Ale nie, nie ona, ta druga, co poleciała na Księżyc”.

— A co im do tego?

— Obojętne, co im do tego, ale przepisali się do lekarza z Oceanside. Trzy pokolenia.

— Ja też mogę coś dodać.

Nikt nie zauważył, że Ocean wróciła, dyskretnie otworzyła drzwi i stoi przyciśnięta do framugi, w połowie w pokoju, w połowie na zewnątrz.

— Moje sieci społecznościowe? Przez ostatnie dwa tygodnie jeden strumień hejtu. Od ludzi, których w ogóle nie znam, którzy są z miasta. Jedna rzecz ich tylko obchodzi — że moja ciotka wróciła z Księżyca — i mają na ten temat masę do powiedzenia.

— I co mówią? — pyta Marina.

— Pół biedy, jak tylko, że powinnaś siedzieć w więzieniu. Potem, że jesteś szpiegiem, terrorystką... nie nadążam z blokowaniem ich wszystkich, ale zastanawiam się, czy w ogóle kont nie pokasować.

— Przykro mi — mówi Marina.

Skyler też mówił: „Na moście Harbour Bridge w Sydney wieszają zdjęcia Duncana Mackenziego i podpalają”. Czuje się mała i parszywie samotna, sama jedna na wrogiej planecie. Oczy w lesie, w górach, w powietrzu i w sieci.

Ocean budzi się, czujna, przytomna, wszystkie zmysły wyostrzone, a jednak nie ma pojęcia, co ją zbudziło. Przypomina sobie: poruszenie światła na ścianie sypialni.

— Godzina? — pyta.

— Druga trzydzieści osiem — odpowiada domowa sieć.

Ocean słyszy chrzęst opon na żwirze, wycie silnika. Rzuca się do okna. Czerwone tylne światła skręcają pomiędzy drzewa.

— Co to było? — szepcze do domu.

— *Nie zobaczyłem tablicy* — odpowiada dom. — *Samochód miał promiennik podczerwieni do oślepienia kamer.*

Skrzypnięcie drzwi sypialni matki, linia światła pod jej własnymi. Ocean naciąga wielką bluzę z kapturem i wymyka się na korytarz.

— Słyszałaś?

— Ocean, wracaj do siebie.

Ocean idzie za matką przez ciemny dom, do drzwi.

— Ocean, do pokoju.

Czekają za barykadą frontowych drzwi, zbierając się na odwagę.

Kessie pstryka włącznikiem zewnętrznych świateł i otwiera drzwi. Już stąd czuje zapach farby, przez całe podwórko.

— Ocean, zostań!

Ocean schodzi za nią na ziemię.

— Stój, gdzie stoisz!

Ocean idzie za matką na miejsce ataku — na boku szopy wymalowany biały półksiężyc przekreślony kreską, tak świeży, że farba jeszcze kapie.

Na ganku pojawia się oparta na kulach Marina.

Przekreślony półksiężyc.

— Chociaż psy weź — mówi Kessie.

— Nic mi nie będzie — odpowiada Marina.

— Nie wiem, czemu ci nie wystarczy przejść się dwa razy dookoła domu — burczy Kessie.

— Mam całą planetę do chodzenia. Nie masz pojęcia, jaką to daje wolność. Idę.

— Weź psy.

Wiekowy Canaan marszczy i tak pomarszczone czoło i gramoli się na równe nogi; nowy pies, Tenjo, który jeszcze nie dogadał się z Canaanem, podchodzi, by sprawdzić, co się dzieje. Spacer. Radość.

W weekend Ocean i Weavyr przemalowały całą szopę na biało, ale i tak każdy widzi zarys przekreślonego księżyca, biały pod białym. Ilekolwiek by poświęciły weekendów, zniewaga nigdy nie zniknie.

Psy schodzą za Mariną po schodkach na podwórze. To ma już opanowane, ma wyliczony rytm i siłę grawitacji. Trasa, którą sobie opracowała, poprowadzi ją w górę drogi, przez furtkę przy zagrodzie dla bydła, potem ścieżką wzdłuż skraju lasu, w lewo i wzdłuż południowego brzegu rzeki, aż do zakrętu i z powrotem do domu. Dwa i pół kilometra. A brzmi groźnie jak maraton. Może pod lasem trafi się jeszcze jakiś zapóźniony łoś — nagroda i motywacja. Nie może się doczekać, kiedy znajdzie się w pobliżu dzikich zwierząt, od których nie dzieli jej nic. Dzikich i bezpośrednich.

W legginsach, topie i wszystkich bransoletkach, które udało jej się wydebić od Ocean, Marina wyrusza na wyprawę.

— Oj nie — odzywa się Ocean. — Krem z filtrem. — Smaruje gołe plecy i brzuch Mariny filtrem pięćdziesiątką. — Niezłą masz rzeźbę, Mai. Skąd?

— Od Długiego Biegu — odpowiada Marina. — A od kiedy ty mówisz do mnie „Mai”?

— Odkąd mama tak zaczęła. Chcesz, żebym poszła z tobą?

— Nie chcę — upiera się Marina i wyrusza.

Kule zostawiają na ziemi dwa rzędy dziurek. Canaan i Tenjo truchtają jej przy nodze. Może to nie Długi Bieg, to nigdy nie będzie Długi Bieg, ale może zrodzi się z tego inny rytuał, jej własny kontakt z ciałem i przestrzenią.

Wszystko, co i tak jest w ziemskim ciężeniu dziesięć razy trudniejsze, z kulami przychodzi jeszcze dwa razy trudniej. Delikatna pochyłość prowadząca do betonowego mostka to zejście ze stromej góry. Dziury w drodze to kratery wielkości Arystarcha. Żwir i kamyki na wiejskiej drodze zamieniają każdy krok w torturę. Do tego zapomniała wziąć wodę.

— Tenjo, Tenjo, bystry piesek z ciebie, leć, przynieś Marinie wody — sapie Marina, człapiąc. Bogowie, jak daleko do tej bramki.

Bogowie. Ariel tak mówiła.

Pięćdziesiąt kroków i przerwa. Kolejne pięćdziesiąt i kolejna przerwa. Po kawałku. Bolą ją stopy. Potwornie bolą. Ile przeszła? Na Księżycu mogłaby wymrużyć chowańca. Tutaj to ikonka na okularach — mrug, mrug, mrug, mrug, mrug, zanim się doklika do sportowej aplikacji. Pół kilometra.

O, bogowie.

Psy podnoszą głowy. Sekundę później Marina słyszy odgłos silnika, który je zaalarmował. Spomiędzy drzew wyjeżdża samochód. Marina widzi wzniecony kurz, zanim jeszcze auto skręci pod kątem prostym na wyjeździe z lasu. Cofa się. Szybko jedzie, może jej nie widzi? Mogłaby pomachać kulą. Nie, bo się przewróci. Nie zwalnia. Na pewno ją widzi. Jedzie prosto na

nią. Na nią. Kurz, pęd, hałas. Na nią. Marina rzuca się do rowu. Gdy auto przejeżdża z rykiem, obsypując ją kamykami i śmieciami, słyszy męskie głosy.

— *Wypierdalaj na Księżyc!*

Bez tchu, z obolałymi wszystkimi kośćmi i stawami, próbuje zebrać się na nogi. Nie jest w stanie. Nie ma siły. Klęka na czworakach w suchym rowie, dysząc, próbując przez własny oddech usłyszeć silnik auta. Pojechało czy zawróciło, żeby ją dopaść? Słuchaj. No słuchaj.

Chrzęst opon na żwirze, pisk hamulców, odgłos zatrzymujących się kół. Marina nie może patrzeć.

— Marina?

Wavyr na rowerze nachyla się nad nią.

— Ściągnij pomoc! — woła Marina. — Pomocy!

— Cześć, mamó.

Marina wjeżdża wózkem do ciemnego pokoju. Pałają się nocne lampki. Dotąd nie zauważyła, że sufit jest cały pokryty świecącymi samoprzylepnymi gwiazdkami.

— Nie śpisz?

Burknięcie z łóżka.

— Śpię.

Odwieczny dyżurny żart, może i najstarszy w rodzinie. Marina słyszy podnoszone wezgłowie, światełka rozjarzają się mocniej.

— Co się stało?

— Dopadł mnie pikap z ręczną skrzynią biegów. — Marina wtacza się na miejsce z boku łóżka. Medyczne sprzęty mruczą, migoczą, bucza pompy. W nocy mocniej pachnie olejkami eterycznymi, ziołami, kadzidełkami. — Ale nic mi nie jest. Doktor Nakamura myśli, że jestem zrobiona z jakiegoś teku czy innego pancernego drewna. — Poklepuje poręcze wózka. — Za dzień czy dwa znowu z tego wstanę.

— Słyszałam — mówi matka. Kładzie na kołdrze wychudzoną rękę.

Marina ją ujmuje.

— Kurwa mać, przecież to nasi sąsiedzi — mówi.

Matka stęka i cmoka.

— Jak ty mówisz?

— Przepraszam. Ale chcieli mnie przejechać. Zepchnąć z drogi przynajmniej. O kulach.

— Ładnie ta szopa wygląda, taka cała biała.

— Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

Ściska suchą, gorącą łapkę matki.

— Tu się nic nie poprawi. Nie wiem, czy ty śledzisz wiadomości, ale tam, na Księżycu, zrobiło się trochę... no, zamieszania. Sunowie włączyli swoją sieć fotowoltaiczną. A wiesz, jak tam się coś trzęsie, to tutaj się wali. Wygląda na to, że jestem zagrożeniem dla wszystkich w tym domu.

Zaskoczona matka otwiera usta w nieme „o”.

— Poza tym... ja mam tam jeszcze... sprawy do załatwienia. Nie wszystko skończyłam. Złamałam komuś serce. Źle zrobiłam. Trzeba to naprawić.

— Ale jeśli ty tam polecisz...

— To już nie będę mogła wrócić. No tak. Ale wiesz, mamó: ja cię bardzo kocham, a Kessie, Ocean i Weavyr to dla mnie prawdziwe skarby, ale rozumiesz... to już nie jest mój dom. Nie ma tu dla mnie miejsca. Mamó. Wracam na Księżyc. Muszę.

SIEDEMNAŚCIE

Krawat jest najważniejszy. Garnitur nie był problemem, dwa odcienie ciemniejszy i odrobinę bardziej przylegający niż sztandarowy szary strój starego. Podobny na tyle, by oznaczać szacunek, nie na tyle, by drwić. Koszula to też nie problem, śnieżnobiała, złagodzona ukośnymi prążkami. Ale krawat — tu Darius się waha. Podoba mu się pierwiosnkowy żółty, lecz brakuje mu siły, osobowości. Niestety inne są jeszcze bardziej bezbarwne, nadmiernie wzorzyste, albo tak mu obce, że będzie się w nich męczył. Musi być ten żółty, tylko jak dodać mu autorytetu? Spinka odrobi politykę. Jego chowaniec, Adelaida, pokazuje szereg wariacji na australijskich motywach. Lecący kangur — nie. Wzdryga się na myśl o zwierzętach. Podobnie z Czerwonym Psem, ale z innego powodu. To było godło Roberta Mackenziego. Darius zaś chce być dziedzicem, nie uzurpatorem. Pięć klejnotów przypominających gwiazdozbiór. Tego nie zna.

— *Krzyż Południa* — wyjaśnia Adelaida. Gwiazdozbiór *Crux*, widoczny tylko na południowych półkulach Ziemi i Księżyca.

— Pokaż — mówi Darius.

Jego pole widzenia unosi się w górę z Pałacu Wiecznego Światła, oddala od lamp i reflektorów ekip luniarzy na powierzchni, których misja zmieniła się z ratunkowej w śledczą; jest wysoko nad gruzami Pawilonu Wiecznego Światła, między gwiazdami. Rozgląda się za Krzyżem — jest. Cztery jaskrawe gwiazdy na tle łuny galaktyki, jedna trochę słabsza.

— Nic szczególnego.

Zajmuje ważne miejsce na australijskiej fladze.

— Drukuj — decyduje. — Prawdziwe diamenty?

— *Nie zdążę sprowadzić na czas* — odpowiada Adelaida.

Wiąże pierwsnkowy krawat, poprawia go. Sprawdza zęby, makijaż oczu. Przeczesuje włosy grzebieniem. Na koniec wpina spinę z Krzyżem Południa w swój krawat, trzy centymetry poniżej podwójnego windsora.

— Dobra. Adelaida, możesz im powiedzieć, że jestem gotowy.

Siódmy dzwon.

Szkoła Siedmiu Dzwonów naucza, że jej nauczanie nie dotyczy tylko noża.

Uświadom sobie oddech, a kiedy sobie uświadomisz, przestań go zauważać. Nadmierne przywiązanie to pułapka. Zrozum swoją wagę, swoją masę, zrozum różnicę między nimi, zapamiętaj, że rodzimy się z nieodróżnicowanymi zmysłami i że życie jest podróżą od ich jedności do oddzielności. Nadmierne skupienie to błąd.

Adelaida pokazuje mu kamery. Kiedy kropka w dolnym prawym rogu jego oka robi się czerwona, będzie szedł na żywo

do sieci. Jest tam Mariano Gabriel Demaria, ale to lady Sun zawiaduje jego okiem. Nie drgnie. Nie zawaha się.

— Duncan Mackenzie nie żyje — powiedziała wcześniej, wyprowadzając go z zamętu Wielkiej Sali. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co ona mówi. — Chłopcze, słuchaj, co do ciebie mówię. Duncan Mackenzie nie żyje. Mackenzie Metals nie ma głowy. Bryce będzie próbował przejąć kontrolę. Właśnie po to to zrobił.

— To Bryce zniszczył Pawilon Wiecznego Światła?

Siedzieli w *moto*, pędzącym tunelami opróżnionymi decyzją zarządczą z ruchu.

— Zanim odłamki spadły na ziemię, wiedzieliśmy, że to strzał z BALTRAN—u. Bryce chciał, żeby to wyglądało na Woroncowów, ale nie jest tak sprytny, jak mu się wydaje. Już raz ten numer zrobił. Cortom.

— Sposób, którym wygrywasz tę bitwę, w kolejnej cię zabija — powiedział Darius.

— Musimy działać szybko. Wypełnić twoje przeznaczenie.

Lady Sun skłania przed nim głowę.

Odliczanie.

Kropka robi się czerwona. Księżyc patrzy.

— Nazywam się Darius Mackenzie. Jestem ostatnim synem Roberta Mackenziego i jego jedynym prawowitym dziedzicem. Przejmuję tytuł prezesa Mackenzie Metals.

Lady Sun uśmiecha się.

Wagonik Mackenzie Helium zwalnia, zjeżdża na bocznicę i staje. Obok jest obsypany grubo regolitem barak serwisowy VTO, mała bateria słoneczna, maszt z antenami i standardowe księżycowe złomowisko porzuconych maszyn. Na zachodzie po horyzont ciągnie się Morze Wysp, na wschodzie wznoszą się pierwsze północne wzgórza Apeninów. Nic więcej.

— Mówię coś oczywistego — odzywa się Bryce Mackenzie — ale to nie jest Hadley.

— Sytuacja w Hadleyu zmienia się dynamicznie — mówi Finn Warne.

Bryce wierci się na siedzeniu. Nie jest w stanie siedzieć wygodnie przez więcej niż parę minut.

— To znaczy?

— Nie będziemy tam mile widziani.

— Nie oczekuję, kurwa, że będziemy mile widziani. Oczekuję, kurwa, szacunku.

— Hadley należy do wroga. Nie mogę cię narażać bez potrzeby.

— Nie wyjdę przed nimi na tchórza — zapluwa się Bryce. — Mam tu dwudziestu oddanych *jackaroos*.

— Duncan postawił naprzeciwko Ziemniaków dwustu uzbrojonych *jackaroos*. Nigdy nie oddali ich karabinów.

Bryce wierci się kapryśnie na siedzeniu, zauważa coś na soczewce. Nachyla się z wysiłkiem i stuka w szybkę wagonika.

— Co to jest?

— Łaziki ekip ewakuacyjnych z Wallace'a i Morza Oparów. Przesiadamy się na łaziki, dołączamy do oddziałów z Morza

Deszczów i Jasności. Będzie dwustu dwudziestu *jackaroos*. Załatwimy to na ziemi, pomiędzy lustrami.

— Oblężenie? — pyta Bryce.

— Oblężenie Hadleya — mówi Finn Warne.

Bryce się uśmiecha. Słupy dymu znad wschodniego horyzontu obwieszczają przybycie sił Mackenzie Helium.

— Szefie! — woła z tylnej kabiny Bailey Dane, dowódca ochrony pociągu. — Gupshup News. Musi pan to zobaczyć.

Bryce Mackenzie nienawidzi sieci plotkarskich i kanałów komentarzy, ale one reagują szybciej niż jakiegokolwiek inne księżycowe media. Fałszywki nic nie przegoni. I jest tam Darius Mackenzie, z tymi swoimi zaczesanymi do góry kudłami, żółciutkim krawatem i spinką z Krzyżem Południa w idealnym miejscu. Mówi, że przejmuje Mackenzie Metals. Pierdolony lalusz.

— Ładuj mnie, kurwa, do tego łazika! — krzyczy Bryce Mackenzie.

Thadie odsuwa drzwiczki i wytrzeszcza oczy.

— Nawet bar tu jest!

— A jakże. — Denny Mackenzie odchyła się na fotelu i kładzie stopy na podnóżku. — Nalej czegoś, dobra?

— A czego?

Denny odwraca się do krzywizny hartowanego szkła i północnego krańca Apeninów. Wagon jest wynajęty prywatnie, to nie jest salonka dla VIP—ów, jaką wożą się Smoki, choć i tak jest wygodny, szybki i dobrze wyposażony.

— Coś kwaśnego. Cytryna, tyle, żeby się dobrze skrzywić. To będzie kara. Coś słodkiego. Syrop. Waniliowy. Dużo mniej. Życie nie jest słodkie. I coś, co dobrze kopie. Dżin. Lodowaty oczywiście. Cztery palce. A nie, raczej trzy. Złote płatki. Troszeczkę. Wymieszać, nalać, pić.

Thadie otwiera, drukuje, przygotowuje i nalewa cztery szklanki, dla Denny'ego, siebie, Ji—Sunga i Agnety, pozostałej dwójki, która poszła za Denny'm z Bairro Alto. Reszta z was przyjdzie później. Jack od Noża jest waszym dłużnikiem. Rozumiecie? To dług Mackenziech. Na koniec w każdej szklance łąduje odrobina złotych płatków. Powoli opada w zimną ciecz. Denny bierze łyk i rozpiera się na siedzeniu.

— Fantastyczne. Ile to czasu zajęło, kochani. Muszę to jakoś nazwać. Ekspres Wschód. Nie. Durnowate. — Wznosi szklankę, toast dla próżni. — Powrót bohatera!

Księżycowe trzęsienia mają cztery typy: głębokie, uderzeniowe, termiczne i płytkie. Te ostatnie są najbardziej niszczące i najszybciej się przemieszczają. W parę sekund po nadejściu informacji z Pałacu Wiecznego Światła Południkiem od prospektów po Bairro Alto zatrzęsł wstrząs wtórny — zamach na Duncana Mackenziego. Poczuli go i ludzie z Górnego Miasta. Zebrali się na swoich schodach i kładkach.

Ale to on cię wypędził.

— Mój ojciec nie żyje! — ryknął Denny Mackenzie.

Powiedział ci, że nie jesteś już jego synem.

— I usłuchałem go. Tak się robi u Mackenziech. Byłem zawzięty.

Wydziedziczył cię.

Pokazał dłoń, którą okaleczył, bo tak się robi u Mackenziech.

— Krew mówi inaczej.

Co mówi, Jacku od Noża?

— Idź i weź, co twoje.

Nie masz sojuszników, pomocy ani bitsów.

— Dojdę tam, choćbym miał, kurwa, leżeć na piechotę! — wrzasnął Denny. — Sojusznicy? Kto z was idzie ze mną?

Thadie, Ji—Sung i Agneta zeskoczyli ze swoich grzęd i rur, żeby stanąć przy Dennym. Bairro Alto wiwatowało za nimi, gdy schodzili po schodach, ale ktoś zapytał:

— *I kto nas teraz obroni?*

Na poziomie 85. Denny ożywił chowańca. Powietrze, woda, dane. Pieniądze. I wiadomość. Dworzec Południk. Od zawziętego jackaroo.

— To pułapka — powiedziała Agneta.

— Może. A może nie. Ale ja już walczyłem kiedyś z Bryce'em Mackenzie, zabrałem mu najlepsze, co miał, jego Pierwszego Noża. A na razie jedziemy windą. Chyba że, kurwa, chcecie mieć mięśnie ud jak to drzewo w Twé.

— Ale nóż masz — szepnął Ji—Sung, gdy zeszli na prospekt, pomiędzy śmigające *motos* i rowery.

— Nawet dwa — odpowiedział Denny.

Na schodach ruchomych prowadzących w czeluść Dworca Głównego Południk kolejna wiadomość: *Prywatny wagonik w części dla VIP—ów. Nie będziesz wracał do domu jak żebrak tlenowy. Od jackaroo, który pamięta.*

Dłoń recepcjonistki już uniosła się, by wezwać ochronę, potem jednak otworzyły się barierki i Denny wprowadził

swoich kamratów na grube dywany, pod dyskretne i czułe oświetlenie.

— Dzień dobry, panie Mackenzie. Pana wagonik stoi na stanowisku piątym, odjazd za trzydzieści minut. Proszę korzystać z naszej bogatej oferty.

— Towarzysze, prysznic! — zawołał Denny.

— Prysznic to my mamy — powiedziała Thadie.

— Ale tu są ciepłe.

Dziesięć minut do Hadleya — mówi wagonik.

— Chodźcie zobaczyć! — woła towarzyszy na przód. — To jeden z ciekawszych widoków na Księżycu.

Wagonik pędzi przez zniszczone tereny południowego Bagna — zdane do ziemi grzbiety, kratery rozkopane do zmarszczek na skórze Księżyca, wielokrotnie przekopany regolit, odcedzony z niego każdy atom, który jest coś wart.

— O tam, widzicie? — Wskazuje oślepiającą gwiazdę wschodzącą powoli zza ciasnego księżycowego horyzontu. — Hadley. Zaraz wjedziemy na lustrzane pole. Patrzcie! — Wstaje, rozkładając ręce jak gwiazda sceny. Po obu stronach torów rozkwitają gwiazdy — wagonik jedzie po torach z roztopionej stali przez baterię pięciu tysięcy lusterek, skupiających światło na szczycie ciemnej piramidy Hadleya. — Cholerny Taiyang myśli, że słońce jest ich. Ale my to pierwsi zrobiliśmy, i to o wiele lepiej.

— Den?

— Co, Thad?

— A te inne światła?

Podbiega do niej. Nad nieruchomymi słońcami baterii luster opadają słabsze światełka, czerwono—zielone konstelacje. Niebieskie iskierki. Jasne, białe rozbłyski — sekunda, dwie, na tle błękitnego płomienia. Silniki manewrowe.

— Statki księżycowe — szepcze Denny. — Hamują przed lądowaniem.

— Ile?

— Wszystkie. Wszystkie są, kurwa, nad Bagnem.

— VTO? Twoja matka jest Woroncowa — mówi Ji—Sung. I czubek noża ląduje mu przed rogówką.

— Moja matka jest Mackenzie. Powiedz, jak się nazywa.

— Apollonaire Woroncowa—Ma... — Okrzyk strachu.

— Jak się nazywa?

— Apollonaire Mackenzie.

— Dziękuję. — Nóż trafił z powrotem do pochwy. — Jeśli jeszcze raz obrazisz moją matkę, wykroję ci kręgosłup.

— Denny, musisz to zobaczyć. — Thadie rzuca mu na chowańca informację z AI wagonika.

— Darius, ty mały chujku — syczy Denny. — To są Sunowie.

Najpierw to czują, dopiero potem słyszą — rytm przekazywany przez szyny na ramę wagonika. Dygot. D—d—dumm. D—d—dumm. Denny wchodzi do śluzy, tam rytm zamienia się w dźwięk. Zamykają się drzwi, wyrównuje się ciśnienie. Otwierają się drzwi zewnętrzne i to, co słyhać, już także widać. Wszystkie perony, pochylnie, schody, kładki, przejścia i tunele są pełne *jackaroos*. *Jackaroos* w elastykach, garniturach,

damskich kostiumach, dresach, piżamach, modnych i obdartych — w kiltach, kozakach, hodowlanych skórach, w darmowych bluzach z kapturem i legginsach, w szortach i bezrękawnikach stanowiących esencję stylu robotników Mackenzie od samych początków — nieszczęlnych habitatów, zawodnych łazików i niepewnych skafandrów. Wszyscy wybijają rytm na kamiennej skórze Hadleya. D—d—dumm. D—d—dumm.

Denny wychodzi na peron. Napierający tłum robi dla niego miejsce. Rytm ustaje, natychmiast, w pół taktu. Denny rozgląda się po ludziach.

— To jak, towarzysze, tęskniliście za mną?

Kamienne korytarze i szyby Hadleya łapią okrzyk i jak rura ogromnego instrumentu dętego zamieniają w grzmiący huk. Dłonie klepią go po plecach, żartobliwie szturchają pięściami, mierzwią włosy, łapią za ubranie; gwizdy, krzyki, owacje, wołania „prawdziwy Australijec” i „mały zabijaka” albo po prostu nieartykułowane wycie. Towarzysze Denny ego z Południka nikną w tych głosach, idąc krok w krok za powracającym złotym chłopcem. Krok przyśpiesza do biegu, rytm zrywa się znów: d—d—dumm. D—d—dumm. Denny Mackenzie biegnie uśmiechnięty od ucha do ucha, przez szpaler wiwatujących i klaszczących ludzi. Wreszcie wpada do centralnego hallu Hadleya, piramidy wewnątrz wielkiej piramidy. Jest wypełniona falą ludzi odczytujących jego zamiary, rozstępujących się przed nim. Schody ruchome są dla niego za wolne — przeskakuje po pięć stopni i staje na balustradzie podestu na pierwszym poziomie.

Hadley milknie. Twarze zadarte do góry, patrzące z wyższych pięter. Denny rozkręca widownię.

— Mój ojciec nie żyje! — krzyczy. — Bryce Mackenzie chce zabrać Mackenzie Metals. Co mamy mu do powiedzenia?

— *Jebać Bryce'a!* — krzyczy tysiąc *jackaroos*.

— Darius Sun obstawia lustra bojowymi botami i *wushi*. Co mamy mu do powiedzenia?

— *Jebać Dariusa!* — ryczy cały Hadley.

Denny Mackenzie unosi okaleczoną dłoń, uciszając wszystkich.

— Gdzie my jesteśmy?

Miasto gromko odkrzykuje swoje imię. Denny kręci głową. Jeszcze raz. Powtarzają, dwa razy głośniej.

— Hadley to był mój brat. Był Pierwszym Nożem Mackenzie Metals. To on powinien tu stać. Zginął w Sądzie Claviusa. Walczył za tę rodzinę. Po nim Pierwszym Nożem byłem ja. Walczyłem za tę rodzinę. Za to, co ona oznacza. Za jej dumę i honor, towarzysze. Dumę i honor. Robiłem rzeczy, które według niektórych były przeciwko firmie. Tak, ale nigdy przeciwko rodzinie. Nie przeciwko temu, co oznacza nazwisko Mackenzie. To także wiecie. Przyjęliście mnie jak bohatera. Powiem wam, kim jestem. Nazywam się Denny Mackenzie, jestem ostatnim i najmłodszym synem Duncana Mackenziego i jego jedynym spadkobiercą. Oświadczam, że Mackenzie Metals jest moje, że to miasto jest moje, i proszę o waszą lojalność. Jesteście ze mną?

Odpowiedź zagłusza nieustanny rumor pieców, dzwonią stalowe dźwigary przedsiionka.

— Jesteście? — pyta powtórnie Denny i Hadley odpowiada jeszcze raz, głośniej. — Ale, towarzysze. Przed nami stoi wróg. Jest silny, twardy, ma przewagę liczebną i chce nam zabrać wszystko, co dla nas drogie. Co z tym zrobimy?

— *Zajebimy ich!*

Przeciąga tę chwilę, przykładą dłoń do ucha, nakręca tłum, bezgłośnie poruszając ustami:

— Słucham? Słucham?

— *Zajebimy ich!*

Balansujący na balustradzie Denny syci się uwielbieniem, rozkłada szeroko ręce w błagalnym geście. *Dawać tych wrogów.* Zauważa kątem oka postać przeciskającą się przez ciżbę ludzi na balkonie. Apollonaire, jego matka, w żałobnej bieli. Zeskakuje z balustrady.

— Mamo!

Bierze ją w ramiona i mocno ściska. Apollonaire uśmiecha się i nachyla do ucha syna.

— Witaj z powrotem, Dennis — szepcze.

— Dziękuję, mamo, że przysłałaś pociąg — odszeptuje Denny.

Apollonaire sztywnieje.

— Co takiego? Ja nie... ale i tak dobrze, że jesteś.

— Jak się, kurwa, robi u Mackenziech? — Przez ramię widzi wyłaniającą się z tłumu drugą kobietę w bieli.

Anastasia, *keji—oko* Duncana. Kolejne kobiety w bieli oddzielają się od grupy — jego siostra Katarina, jej wnuczka Kimmie—Leigh, Mykayla i Ngoc, Selma i Princesa. Kuzynki i dalsze kuzynki.

— Prowadź to wszystko, jak trzeba, Dennis — mówi Apollonaire. — Ale najpierw musimy ci powiedzieć, jak teraz „się robi u Mackenziech”.

Księżycowy Orzeł podaje swojej Żelaznej Ręce kieliszek do martini.

— Nie powinnam — mówi Alexia.

Lucas otwiera okno prowadzące na taras z ogrodem.

— I nie lubisz dżinu — mówi, wychodząc na taras. — Ale to nie dżin, a ja chcę, żebyś spróbowała.

Alexia idzie za nim po ciepłych kamieniach ścieżki, wśród elegancko okaleczonych drzew bergamotkowych, do małej, kopulastej altany na samej krawędzi. Jest zaprojektowana dla dwojga, intymna, a od widoku kręci się w głowie. Alexia bierze łyk i atakują ją dym i sól cachący.

— I jak?

— Dobrze. Jak na Księżyc.

— Próbuję, nie udaje mi się, próbuję znowu, trochę mniej mi się nie udaje. Jorge też nie był zachwycony. A myślałem, że ulepszyłem swój przepis.

Nad placem zapada wieczór, który nie wydłuża cieni, a jedynie zalewa świat karmazynem. W Kwadrze Antaresa jest świt, fiolet zmienia się w błękit. W Kwadrze Oriona jest południe. Piękne to i całkowicie Alexii obce.

— Stwierdzam, że dorobiłem się paru okropnych nawyków. Ten nazywam „w głąb ogrodu”. Koniec spotkań, koniec czytania, po odprawach, biorę kieliszek i idę między

bergamotkami w głąb ogrodu. Widzą mnie tylko moi *escoltas* i szpiedzy.

— I wszyscy ludzie z całego placu.

— Dla nich to ja jestem nudny jak nie wiem — mówi Lucas.
— W porównaniu z moim poprzednikiem i jego mężem.

— Bryce nie chce ustąpić — dodaje Alexia. Odstawia drinka na mały kamienny stolik. Jest do dupy. — Darius pokroi Bryce'a na plasterki.

— Przy odrobinie szczęścia. — Lucas pozwala sobie na suchy uśmiezek. — Ale Denny Mackenzie to zupełnie inna historia.

— No dobra, ale skąd ten cały Denny wziął się pod Hadleyem, z połową Bairro Alto i tysiącem *jackaroos* z karabinami?

— Ktoś mu dał cynk — mówi Lucas. — I finansowanie.

— Mackenzie Metals? Matka?

— Ani to, ani to. To byłem ja. — Upija łyk swojego ogrodowego dżinu. Próbował raz zrobić cachaçę i więcej tego błędu nie popełni. Czysty, dziewiczy dżin według własnego projektu, nic więcej, na zawsze. — Nie rób takiej zdziwionej miny. W ogóle powinnaś być mniej ekspresywna. Są maszyny odczytujące wyraz twarzy, wyliczające z niego emocje. Podrzuciłem mu dość kasy, żeby mógł wrócić do Hadleya, wynająłem pociąg. Wszystko bardzo dyskretnie. Nie do wyśledzenia.

— Denny Mackenzie.

— Tak.

— Jako szef Mackenzie Metals?

— To się jeszcze okaże. Darius Sun zbiera tam całkiem niezłe siły. Może zwycięży. Taiyang ma kieszenie bez dna. Ale ja uważam, że do prostego podwójnego układu zawsze dobrze wprowadzić trzecią siłę. To zasiewa niestabilność i chaos. Lubię chaos. A Ziemianie już i tak nerwowo patrzą na Pas Słoneczny Taiyangu, brakuje im jeszcze, żeby Taiyang organizował wrogie przejęcie Mackenzie Metals. Nie. Niech sobie Denny popręży mięśnie, trochę się ponadyma. Niech sobie zajmie Hadleya. Przynajmniej będę wiedział, gdzie on jest. Z Mackenziami zawsze wiadomo, na czym się stoi. — Lucas spogląda na ciemniejące światło opadające w głębokie indygo. — Niestety mam jeszcze jeden zły nawyk. Mówię na to, że „chowam się w ogrodzie”. Chciałabyś pójść ze mną?

Zostawiają kieliszki na stole. Łagodne światło zmienia Orle Gniazdo w kaskadę światła, kałuże błękitu, falującą biel. Zmrok.

— Jeden warunek — mówi Alexia. — Daj tego dżinu.

OSIEMNAŚCIE

Jezus Maria, jakie one szybkie. Ledwie widoczne błyski pomiędzy podporami luster, wykorzystujące je do osłony. Parszywe miejsce do walki. Jego *jackaroos* są rozciągnięci po całej baterii, nazwiska, znaczniki nakładają się na mapy optyczne i podczerwone. Radar pokazuje pięć tysięcy fałszywych kontaktów. Walczą na oślep. Na wspólnym kanale trzaski:

— *Za szybkie są, skurwysyny...*

— *Rachel, gdzie jesteś? Gdzie jesteś?*

— *Wycofuję się. Wycofuję.*

— *Nic nie widzę...*

Jeden ze znaczników z nazwiskiem robi się biały.

— *Wycofać się! — rozkazuje Finn Warne.*

HUD zalewa mu biel, taktyczny ekran jest ślepy. Wróg jest słabo widoczny dla radaru, a sygnaturę termiczną maskuje w ciepłe luster. A Finn ma górników helowych, inżynierów przetwórstwa, mierniczych i serwisantów przeciwko smukłym, fanatycznym maszynom bojowym Taiyangu i wyszkolonym *wushi*. Rzuca współrzędne spotkania swoim wojownikom.

Jackaroos, luniarze, najemnicy, co mieli pecha. Niech lecą pod osłonę karabinów maszynowych na łązikach. Sylwetki śmigają obok niego, trzymetrowe susy, fontanny pyłu. Elastyki, skorupy, zbieranina wszelkich możliwych technologii przeżycia na powierzchni. Robole naprzeciwko żołnierzy.

— Bliżej te łąziki! — rozkazuje, rzucając ich AI współrzędne punktów ewakuacji. — Potną nas tu na plasterki!

Mrowienie na czubku czaszki — to ostrzeżenie od systemu dotykowego skafandra. Zadziera głowę i widzi powoli spadającą czarną iskrę z jaskrawymi błękitnymi gwiazdami. Silniki.

— Chcą nas, kurwa, odciąć! — krzyczy na wspólnym kanale.

Boty opadają na regolit, odbijają się na amortyzatorach. To jest ich słabość. Bot bojowy Sunów ląduje tuż przed nim. Finn rozkręca swoją włącznię na dwie części. Część z obuchem siekiery rozpędza się na lince i podcina w kolanach obie nogi maszyny. Ta przewraca się, młóćąc kończynami i ostrzami, wzbijając cały krąg pyłu wokół osi przeszywającej go włączni. Finn rozwiera kleszcze i wyrywa ostrze z pancerza maszyny, razem z płataniną przewodów i elektroniki. Bot wreszcie nieruchomieje.

— Gdzie, kurwa, są moje łąziki?

Chciał karabinów. Zwykłych i gaussowskich. Jak zdobyć Hadleya bez broni? Bryce je zawetował — zbyt długo będzie trwało ich wytworzenie, a poza tym porozwalają wszystkie lustra w Hadleyu — będzie jeden wir latających szklanych odłamków.

Kurwa mać, Bryce, zawsze bardziej cenileś sprzęt od mięsa.

Znowu łaskotanie na karku — odwraca się raptownie. Szarżuje na niego bojowy pancerny skafander w matowej czerni i srebrze Taiyangu, z ostrzami na każdym nadgarstku. Finn zamachuje się drzewcem włóczni, linka raz jeszcze napina się i wbija ostrze siekiery w szybkę hełmu. Rozpryskują się szkło i krew. Odkopuje od siebie drgające spazmatycznie ciało, wyrzywa topór i znowu spina ze sobą połówki drzewca.

Całkiem niezła broń. Wymyślił ją jakiś cwany sukinsyn z Huygensa — łatwa do wydrukowania i łatwa w użytku. Społeczeństwo ery informacyjnej, co walczy bronią z epoki brązu.

Łaziki wreszcie mają broń w gotowości.

— Rachel, Quoc, ze mną! — rozkazuje Finn.

Jego tylna straż zajmuje miejsca po jego bokach, z bronią w pogotowiu, ale boty i *wushi* Taiyangu zatrzymują się na skraju lustrzanego pola. Wygrali. Upokorzyli Mackenzie Helium. Nie ma sensu przedłużać rzezi.

Przyszło osiemdziesięciu *jackaroos*. Wyszło czterdziestu sześciu.

Boty i wtapiają się w cień za oślepiającymi lustrami, poza jednym, który unosi opancerzoną dłoń, obraca ją, rozprostowuje środkowy palec. Darius? Bardzo możliwe. Skafander jest niewielki. Finn spotykał go tylko podczas rzadkich oficjalnych wizyt w Tyglu i zdołał wymienić jedynie parę uprzejmości, należących się synowi Roberta i Jade Sun, ale nabrał przekonania, że to MAG — Mały Arogancki Gówniarz. Darius Sun coś takiego mógłby zrobić.

Interfejs dotykowy skafandra Finna pozwala docenić solidność i ciężar trzymanej w dłoniach włóczni z toporem.

Dobry sprzęt.

— Rachel, Quoc, jedźcie.

Ocalali ładują się na łaziki, które błyskawicznie ruszają.

Firm unosi włócznię, balansuje w dłoniach nieregularny kształt. Podaje większą moc do siłowników skafandra. Rzuca nią, z całej wzmocnionej siły, celując w płytę piersiową skafandra Suna.

I co, przewidziałeś to, gówniarzu?

Postać robi krok w bok, ugina nogi do przysiadu. Dłoń porusza się szybciej niż cokolwiek, co widział w życiu Finn, i łapie włócznię w locie. Odwraca ją, celuje. Finn Warne jest przekonany, że widzi uśmiech za tą ciemną szybą.

— Bryce!

Zero odpowiedzi.

— Bryce!

Finn Warne wywołuje kolejny ekran. Nierówny klin łazików uciekających od krwawej porażki na Bagnie Zgnilizny. Na przedzie stada pędzi łazik Bryce'a.

— Nie, kurwa, nie ma mowy — kinie Finn.

Skafander bojowy liczy rezerwy. Ma prądu na dziesięć minut na maksymalnej szybkości. Wystarczająco, żeby dogonić VIP—owskiego łazika Bryce'a, choć zostaną mu smętne miliwaty i płytkie oddechy.

Ale czy wystarczająco, żeby uciec przed wycelowaną w plecy włócznią? Odwraca się i włącza tryb biegu. Wbiega pomiędzy rozproszone łaziki i ich przegrany ładunek — skorupowe

skafandry wpięte w klatki przeciążeniowe, luniarzy w elastykach trzymających się belek i pasów, poprzipinanych, poprzywiązywanych, podskakujących na każdej skale i szczelinie. Odciski butów pomiędzy śladami opon. Zostaje tylko jeden komplet śladów i jedna chmura pyłu.

Osiem procent baterii.

Dogania pędzącego łązika, zaciska rękawicę na drabince serwisowej. W pół zamachu zderza się z drabiną tak mocno, że czuje uderzenie przez pancerz i ciśnieniową powłokę.

Coś sobie połamiał? Zawisa na tyle łązika, każdy zamach to jedna kreska mniej na wskaźniku; wreszcie udaje mu się zaprzeć butem o ścianę, odepchnąć i złapać drabinki drugą ręką. Potem już tylko powolny, męczący proces wspinania się po drabinie i po kadłubie, do systemu podtrzymywania życia.

Dwa procent baterii.

Finn Warne rozwija kabel, podnosi zaślepkę, podłącza się. To jak seks. Albo i lepsze. Powietrze. Świeże, pyszne i takie chłodne. W skorupie jedno, co się czuje, to smród z własnej gęby. Kładzie się na plecach na górze łązika, pławiąc się w czystym, świeżym powietrzu. Na koniec łączność. Wpina się na główny kanał łązika.

— Bryce. To było słabe, co zrobiłeś.

Przez dłuższą chwilę brak odpowiedzi, ale Finn nie przyzna się do słabości. Nie powtórzy.

— Finn. Cieszę się, że ci się udało.

— Nie dzięki tobie, Bryce.

— Oj, Finn, Finn. To była biznesowa decyzja.

— Pierwszy Nóż to tylko zasób, łatwy do wymiany.

Brak odpowiedzi z wnętrza wygodnej, klimatyzowanej kabiny.

— Widzę, że jedziesz na wschodnie Wyspy.

— Muszę się dostać do Królewskiego Dworu.

— Tędy nie da rady.

— Jak to nie da rady?

— Statek VTO *Skopa* właśnie wylądował na wschodnim Morzu Wysp. Odcinają ci drogę ucieczki.

— Pomóż mi, Finn.

— Co takiego?

— Pomóż mi.

— Mogę to zrobić, Bryce. Mogę cię błyskiem dostarczyć do Królewskiego Dworu. Ale nie będzie to spełniać twoich standardów wygody i klasy.

— Powiedz mi, kurwa, jak?! I tyle!

Autentyczny strach w głosie grubego. Finn Warne uśmiecha się pod hełmem. Wywołuje współrzędne z systemu skafandra i rzuca je przez kadłub Bryce'owi.

— Proszę.

— Stacja BALTRAN—u.

— Szybka i pewna. Zresztą my mamy historię z tymi kapsułami.

Finn Warne łapie się mocniej, gdy łazik w sekundę zmienia kierunek.

— Obarczam cię odpowiedzialnością za tę niezręczną sytuację.

Trzydzieści cztery ofiary. Porządni ludzie, lojalni, rozpruci, rozczłonkowani, krew i organy rozbryźnięte po Bagnie

Zgnilizny. I ty to nazywasz „niezręczną sytuacją”.

Rogi stacji BALTRAN—u w Huygensie wznoszą się zza horyzontu. Miłej jazdy, spaślaku. Powiedziałem, że zawiezie cię do Królewskiego Dworu. Skłamałem. Będą dwa skoki, trzy. Może więcej. Nigdy nie latałeś BALTRAN—em, więc chłoń to nowe doświadczenie. Tarzaj się we własnych rzygach, szczynach i gównie. Popatrzę sobie, jak odlatujesz, a potem wsiądę do łazika i będę, kurwa, pił toasty za trzydziestu czterech wiernych jackaroos twoją pierdoloną spersonalizowaną wódką. Przez całą drogę do Hadleya.

Już nie mogę się doczekać pierwszego spotkania Klubu Byłych Pierwszych Noży.

Dla Jiang Ying Yue piękno to aktywnicze rozbłyski silników lądujących statków nad Masywem Bradleya. Światła na tle innych, odleglejszych światel. Jiang Ying Yue, odkąd była małą dziewczynką, uwielbiała statki kosmiczne. Gdy jej klasa pierwszy raz wyszła na powierzchnię, reszta uczniów zataczała się i potykała, próbując nauczyć się poruszać w ciężkich, amatorskich skorupowych skafandrach, a ona skakała. Skakała i sięgała do światełek na niebie. Siłowniki w kończynach skafandra były mocne, ale nie tak, żeby odepchnąć się od tego świata i poszybować tam, gdzie latają statki. I odtąd po dziś dzień czuje się uwięziona, przykuta do swojego malutkiego Księżyca i ciągle patrzy w górę.

Oriol cały migocze światelkami pozycyjnymi i ostrzegawczymi, potem pada na niego słońce i Jiang Ying Yue

widzi go w całej okazałości. Rozpoznaje moduł transportowy dla VIP—ów pod belkami ładowni. Nauczyła się wszystkich statków, członków załogi, wszystkich modułów i wszystkich konfiguracji w całej flocie Woroncowów. Nie podoba jej się, że to oni dowodzą takimi pięknymi sprzętami. Są prymitywni, ociążali, głośni — dla nich te statki to tylko inżynieria, nawigacja, orbity i ładunki. Dla niej to anioły.

Nagle odpala silnik i zasypuje ją pył.

Idzie przez niego, kierując się obrazem na HUD—zie. Pochylnia jest opuszczona, otwiera się śluza, przepompowuje się przez nią do środka. Powietrzne ostrza zmiatają pył z jej skafandra, odsłaniając pasek za paskiem jaskrawe barwy bitewne Taiyangu. Jiang Ying Yue otwiera hełm i czuje pieprzowy smak księżycowego pyłu. Za śluzą czekają już Sunowie.

— *Pełnomocnik ds. Rozstrzygania Konfliktów, Jiang Ying Yue* — obwieszcza jej chowaniec.

Nie jest z Sunów, nie wolno jej nosić klanowych heksagramów. Nie potrzebuje znaczników, którymi chowaniec opatruje zebranych Sunów — nauczyła się korporacyjnej hierarchii Taiyangu na pamięć, tak samo jak statków Woroncowów.

— A więc Bryce Mackenzie uciekł z płaczem, jak dziecko — mówi Zhiyuan.

— BALTRAN—em — mówi Ying Yue.

Typy w garniturach powstrzymują uśmieški, wyobrażając sobie Bryce’a odbijającego się jak piłka ręczna w balistycznej puszcze.

— Nasze straty? — pyta Amanda Sun.

Zarząd Taiyangu siedzi na półkolu minimalistycznych, eleganckich foteli z chromu i sztucznej skóry. Jiang Ying Yue ma dojmującą świadomość, że sama stoi, jest w bojowym pancernym skafandrze i zostawia na szarej wykładzinie zapyłone ślady.

— Większe, niżbym chciała. — Chowaniec rozsyła unoszącym się w powietrzu heksagramom listy i tabelki. — W większości sprzęt, ale jest parę ludzkich ofiar.

— Chaos się zrobił — mówi Sun Gian—Yin.

— Nasze modele nie przewidziały, że Australijczycy będą walczyć mimo braku szans.

— Nigdy nie widziałam, żeby jakiś Mackenzie wycofał się bez walki — odzywa się lady Sun.

Pracownik nalewa jej naparstek dzinu, ona dystyngowanie upija łyk.

— A co przewidują wasze modele dla tych Australijców? — pyta Zhiyuan.

— Dodajemy zasoby, żeby utrzymać oblężenie, póki nie przejmujemy kontroli nad systemami podtrzymywania życia Hadleya. Wtedy opór załamie się bardzo szybko. A na razie wszystkie kontrataki *jackaroos* zostaną szybko i skutecznie stłumione.

— Nie można nie doceniać Denny’ego — mówi Zhiyuan. — Nie dał się wyrzucić z Bairro Alto, choć prób było wiele.

— A powiedzcie, proszę, jak się spisywał mój prawnuk? — pyta lady Sun.

— Dowodził oddziałem botów i walczył odważnie i dzielnie. Osobiście zaatakował Finna Warne'a i zmusił go do ucieczki.

— Warne'a, który następnie przeszedł na stronę Mackenzie Metals —odzywa się Amanda. — Z wiedzą z pierwszej ręki o naszym sprzęcie i taktyce.

— Nie widzimy żadnych znaczących odchyień od naszego modelu —mówi Ying Yue. — Przewidujemy kapitulację Hadleya w czasie siedemdziesięciu dwóch godzin.

— Mam tkwić w tej puszcze przez siedemdziesiąt dwie godziny? — syczy lady Sun.

— Zapewne poddadzą się dużo szybciej — mówi Jiang Ying Yue. — W końcu to tylko zmiana kierownictwa. Mackenzie rozumieją biznes. — Przerywa. Jakieś obrazy na soczewce, słowa w uchu. — Przepraszam. Sytuacja się zmienia. — Gdy jej hełm zaczyna się zamykać, Jiang Ying Yue mówi do siedzących członków zarządu: — Denny Mackenzie wyszedł walczyć.

W powietrzu wciąż wisi wspomnienie starego pyłu. Denny machinalnie przesuwając palcem po futrynie. Znajome igielki w dotyku, ostry zapach spalenizny. Szara smuga na palcu. Najbardziej śmiertelna broń pani Luny — pył.

Ojciec zrobił to samo, kiedy wszedł do tego pomieszczenia na szczycie piramidy, żeby po dziesięcioleciach snu obudzić Hadleya, nadstawić lustro do słońca, rozpalić ogień w sercu miasta. Posmakował pyłu.

Kobiety stoją wokół taktycznego ekranu, ten sam widok mają na soczewce wszyscy w centrum sterowania. Diagramy

procesów i dane z pieców zastąpiła szczegółowa mapa Bagna Zgnilizny. Denny wpatruje się w nią.

— Cholera.

— Sunowie zakontraktowali całą flotę księżycową VTO — mówi Apollonaire Mackenzie.

— To jest niesamowity tonaż — dodaje Anastasia Mackenzie, współwdowa po Duncanie.

— Myślałem, że Woroncowowie to nasi sojusznicy — mówi Denny. — Coś mi się zdawało, że mamy razem kręcić jakiś biznes z asteroidami?

— Kontrakt to kontrakt — mówi młoda ciemnoskóra kobieta z włosami upiętymi na czubku głowy w misterny i zabawny zikkurat — odwróconą piramidę Hadleya. — Rzadko się zdarza, żebyśmy odmówili, jeśli ktoś chce zapłacić.

Denny Mackenzie unosi brew.

— A ciebie to nie kojarzę.

— Irina Efua Woroncowa—Asamoah — odpowiada młoda kobieta. — Mam być *oko* Kimmie—Leigh Mackenzie.

— I jakie masz kwalifikacje, żeby tu być? — pyta Denny.

— Jej kwalifikacje? Ze wszystkich osób, które mamy, najbliższej jej do eksperta od VTO — mówi Apollonaire. — I potencjalnego zakładnika. Bez urazy, Irina.

Irina pochyla głowę. *Bez urazy.*

Denny ponownie studiuje mapę. Sunowie mają przewagę liczebną i pozycyjną, a kapsuła BALTRAN—u i statki co chwila dowożą im kolejne siły.

— Ile oni mogą tam stać?

— Ile zechcą — odpowiada Katarina Mackenzie, siostra Denny'ego.

— Póki nie włamią się do naszego systemu podtrzymywania życia — dodaje Magda Mackenzie, jego *keji*— siostrzenica, przez Anastasię i jej przyrodniego brata Jurija.

— A ile to zajmie?

— Nasze modele dają około siedemdziesięciu dwóch godzin — mówi Anastasia Mackenzie.

— Kurwa mać! — Denny wali pięścią w obraz, przebija się przez iluzję. Była jedność i było poczucie celu, teraz jest tylko iskrzący strach. — Trzeba wyjść i ich pogonić!

— Rozerwą nas na strzępy — oświadcza Deontia Mackenzie. Jej matka Tara, najślawniejsza projektantka mody w Południku, zginęła w Żelaznym Potopie.

— Cały czas sondują naszą cyberobronę — mówi Irina Woroncowa—Asamoah. — A my ich odganiamy. W systemie operacyjnym Hadleya jest masa trojanów. Niektóre siedzą od początku istnienia miasta. Starożytny kod, ponadpięćdziesięcioletni...

Wszyscy w sterowni zamierają. Wszyscy patrzą po sobie. Wszystkim przychodzi jednocześnie do głowy ta sama myśl. Trojany.

— Trojany — mówi Denny. — Trojany, kurwa!

— Żelazny Potop: pamiętamy — odzywa się jego matka, po czym mantra przechodzi dookoła stołu taktycznego. *Żelazny Potop: pamiętamy.*

— Trzeba jakoś odwrócić ich uwagę — zauważa Anastasia. — Jak tylko zorientują się, co robimy, zaatakują lustra.

Denny szczerzy złoty uśmiech i rozkłada szeroko ręce.

— Ja jestem odwracaczem uwagi numer jeden na całym Księżycu. — Jego wezwanie rozchodzi się piroksenowymi korytarzami i salami z szarego oliwinu. *Potrzebuję trzydziestu oddanych jackaroos. Strzelców, żołnierzy. Misja samobójcza. Śłuża numer 5. Kto idzie ze mną?*

Kobiety uśmiechają się i wracają do swoich zadań.

— Trzeba uderzyć z całej siły — mówi Deontia Mackenzie. — Mamy jedną szansę.

Magda Mackenzie wpatruje się w ekran, marszczy czoło, potem powiększa obraz i dotyka palcem jasnoniebieskiej kropki.

— *Oriol*, właśnie przyleciał z Pałacu Wiecznego Światła. Ma kapsułę transportową dla VIP—ów.

— Przywieźli cały zarząd, żeby patrzył, jak ich złote dziecko maszeruje triumfalnie przez Plac Londyński — mówi Apollonaire.

— Ej! — krzyczy Denny. — Ja jestem, kurwa, złotym dzieckiem, nie zapominajcie!

— Denny, tylko nie daj się zabić — mówi Magda.

— Zrobicie, co trzeba, to może nawet nie będę musiał nikogo zabijać — odpowiada Denny.

— Nie rozumiem... — odzywa się Irina Woroncowa—Asamoah.

— Powiedz mi no, Woroncowa, jakie jest motto Mackenziech?! — woła Denny od drzwi. Palcami ściska zapyloną futrynę.

— Mackenzie odpłacają po trzykroć — mówi Irina.

— E—e. — Denny kręci głową. Rozpromienia się w drapieżnym, złotym uśmiechu.

— Bierz broń rzuconą przez wroga i użyj przeciwko niemu — odpowiadają chórem kobiety Mackenzie.

— Do śluzy. Do śluzy. Do śluzy. — Denny Mackenzie poklepuje po ramieniu każdego ochotnika wchodzącego do głównej śluzy.

— Do śluzy. Po skafander. Do... ej? — Palec wskazujący zamiera w powietrzu. — A ty, co tu, kurwa, robisz?

— Zdeztererowałem, nie słyszałeś? — Jak na księżycowe standardy Finn Warne nie ma imponującej postury, ale tłum odsuwa się od niego, zostawiając go w społecznej próżni.

— I mam ci, kurwa, pozwolić walczyć za Mackenzie Metals? Z jakiej racji?

— A z takiej, że tylko ja jeden kiedyś cię pokonałem. W kraterze Schmidta, w tym durnym złotym skafandrze. Nie znałeś mnie, byłem tylko szeregowym *jackaroo*. Ale cię załatwiłem, Jacku od Noża. Zostawiłem na ziemi. Potrzebny był Corta, żeby cię uratować.

Reszta grupy czeka w milczeniu. Denny pokazuje kciukiem śluzę.

— Do śluzy. Skafander.

Gdy rusza, Denny zatrzymuje go jeszcze dłonią na ramieniu. Szepcze:

— Myślałeś, że mnie załatwiłeś, wtedy w Schmidcie, kiedy rozwalisz moich *jackaroos* i zostawiłeś mnie na śmierć. Jedno ci powiem, towarzyszu. Denny Mackenzie tak łatwo nie ginie.

Nawet jeśli potrzebny jest Corta, żeby go uratować. Pamiętaj. I teraz to ja mam złoty skafander. Nówka.

Nowy skafander, pancerny, skorupowy, wciąż śmierdzi gryzącym rozpuszczalnikiem .

— Nie da się w tym, kurwa, ruszyć — kinie Denny, gdy płyty zamykają się wokół niego i hermetyzują.

Interfejs dotykowy odczytuje jego ciało. Danny czuje, jak uaktywniają się serwomotory. Taki skafander to siła i ochrona, ale kosztem szybkości i manewrowości. A w walce na noże szybkość to życie. Działasz szybko, sprytnie, kręcisz końcem noża i rozpruwasz wroga.

Skafander ożywa wokół niego. Kobieta w skafandrze pomalowanym w kosmicznego orka zrywa z wieszaków karabiny i wręcza każdemu gotowemu żołnierzowi. Znacznik mówi „Sonia Ngata” — weteranka z akcji przełamania oblężenia Twé przez maszyny Lunar Mandate Authority.

— Co to ma być? — pyta Denny. Trzyma karabin, jakby to była kupa.

— Karabin Gaussa — odpowiada Sonia Ngata. — Z dwóch kilometrów trafia bota w sam środek.

— Ja już z nimi walczyłem — mówi Finn Warne. — Od Twé Sunowie je nieźle ulepszyli. Nie chcesz wiedzieć, w ile czasu przebiegają dwa kilometry. Masz dwa strzały, góra, i już na tobie siedzą.

— Nie ma tu, kurwa, jakiegoś noża? — mamrocze Denny, obracając karabin w pancernych łapach.

Sonia Ngata podchodzi do niego, pstryka zatrząskiem na lufie. Wyskakuje bagnet. Kręci nim młynka i podaje Denny'emu.

— Może być — mówi. — Lepsze byłyby dwa. — Oddział ustawia się za nim. Trzydzieści skafandrów. Jezus Maria i spółka. — Przyjaciele. Moi przyjaciele. To będzie atak dla odwrócenia uwagi, na ekipę inżynierską Taiyangu, która włamuje się do naszego systemu podtrzymywania życia. Będą ich bronić *wushi* i boty. Mają przewagę w liczbie i uzbrojeniu. Prawdopodobnie zginieemy. Stare dziadki tak mówią: śmierć, chwała, a to jest gównem prawda. Żadna chwała. Śmierć to koniec wszystkiego, co dobre. A ja prowadzę was na śmierć. Nasze zadanie: zyskać na czasie. Ten czas będzie mierzony w ludziach, nie w sekundach. Taka jest nasza misja. Nie chcę, żeby ktoś z was zginął, więc walczcie, kurwa, jak demony. Na śmierć i życie. Tyle. Dziękuję wam. Jesteście najlepsi. Najlepsi *jackaroos*, najlepsi wojownicy, ale przede wszystkim każdy z was to Mackenzie.

Śluza dźwięczy okrzykami, potem uszczelniają się hełmy i ciśnienie opada do zera. Zielone kontrolki zamieniają się w czerwone. Śluza otwiera się, a Denny, krzycząc na wspólnym kanale, wypada na regolit w złotej zbroi, na czele szarży.

Biegnij, rozkazuje skafandrowi Jiang Ying Yue. *Do tego punktu*. Bojowy skafander reaguje natychmiast, z mocą i szybkością. Świetna konstrukcja. Bieg jest autonomiczny, więc ona może się skupić na kontrataku. Trzydzieści noży Mackenzie Metals, skafandry na pełnej mocy, leci na ekipę inżynierów Taiyangu włamującą się do głównej magistrali łącznościowej Hadleya.

Logiczne. Oczywiście. Taktycznie naiwne. Ci Australijcy uwielbiają brawurę. Brawurą się wojen nie wygrywa.

Informacja to życie. Robi zoom na szarżujących. Wróg jest uzbrojony w pancerne skafandry z czasów Oblężenia Twé i karabiny Gaussa. I oczywiście noże. Ci Mackenzie i ich noże. Są szybcy, zdeterminowani, ale mają zero dyscypliny i zero zgrania — to zbieranina zabijaków w zbrojach wymalowanych w pstrokate kolory i wzory. Chaos. Będą walczyć każdy osobno, nie jak jednostka. Wyświetlacz HUD—a skupia się na złotym skafandrze. Jiang Ying Yue pozwala sobie na chwilę zdziwienia. Denny Mackenzie, złoty chłopak. Posłali swojego królewicza do walki. Jak oryginalnie. Zostaną za to przykładnie ukarani.

Odbiera połączenie alarmowe od inżynierów.

— Utrzymać pozycję — rozkazuje. — Za moment będą posiłki.

Drgnienie jej woli i dwa oddziały bojowych botów wyskakują w powietrze i odpalają silniki, lecąc wysokim łukiem nad czarnymi lustrami pieców.

Australijcy nie mają szans. Jiang Ying Yue delektuje się myślą o ich porażce. Zawsze uważała ich za aroganckich prymitywów, beznadziejnie przywiązanych do urojenia, że wszechświat ich kocha.

— *Znajdź Dariusa* — rozkazuje skafandrowi. Błyska jej na wyświetlaczu, biegnie na pełnej szybkości na linię bitwy, razem z Plutonem Czerwonym.

— Darius, wracaj do modułu — rozkazuje Jiang Ying Yue. Niech chłopak posmakuje krwi., powiedziała jej lady Sun, ale to

jest Denny Mackenzie z oddziałem doborowych *jackaroos*.

— Chcę walczyć z Denny — odpowiada Darius.

— Denny pokroi cię na plasterki.

— Denny nie szkolił się w Siedmiu Dzwonach.

— Wracaj do *Orla*. To rozkaz.

— Ty mi nie rozkazujesz. Jestem prezesem Mackenzie Metals.

Jiang Ying Yue wzdycha.

— Ja jestem Pełnomocniczką ds. Rozwiązywania Konfliktów i na polu walki mam pełną władzę. Mogę przejąć sterowanie twojego skafandra i kazać ci wrócić do modułu. I to biegiem.

Słyszy, jak Darius mamrocze wulgarne rodowe przekleństwa. Jego ikonka na HUD—zie zmienia kierunek. Jiang Ying Yue wysyła do jego skafandra polecenie wymuszające nawigację, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy zmienić zdanie, gdy straci go z oczu.

— *Pluton Żółty i Fioletowy, do mnie* — rozkazuje.

Boty spadają z nieba wokół niej i wyrównują z nią krok. Zostało tylko paręset metrów. Skrajne boty już wyciągnęły broń.

— Wszystkie jednostki, podjąć walkę! — woła na wspólnym kanale, wyciąga ostrza i skacze.

— Nad tobą!

Denny Mackenzie wrywa bagnet z głównego modułu sterowania bota Taiyangu i zadziera głowę. Bot pada, rozkładając ostrza.

— Ruszaj się, kurwa! — kinie do skafandra, ale hapyka już odczytała jego zamiary i odturlała go w tył.

Iskrzą silniki hamujące, czubek ostrza bota rysuje srebrną kreskę na jego złotym kirysie. Denny wchodzi w zasięg ostrza, łapie robota za ramię i wyrywa je ze skorupy. Tryska czarny hydrauliczny olej. Drugie ostrze zamachuje się ku niemu jak kosa, lecz nagle głowa bota rozpryskuje się. Zwała się na regolit w płataninie cienkich kończyn i noży.

Kosmiczny ork Sonia opuszcza karabin i dotyka palcem hełmu.

Ostrzegawczy strzał był Finna Warne'a.

Denny zabiera ostrze bota. Dwa noże. Jak należy.

Noże dwa, ale zostało ich już tylko dwudziestu, a botów cały czas przybywa, wałą falami przez pole luster i spadają z góry. W pierwszej szarży dotarli prawie na długość noża do ekipy Taiyangu pracującej nad kablem; potem zasypały ich wyskakujące zza łazików boty. Krew na regolicie, masa krwi. Są otoczeni, zbici w ciasną grupkę. Będą walczyć w kręgu, potem plecami do siebie, potem zginą.

— Baza! — woła Denny. — Mamy przejebane!

Zwiera dwa ostrza jak nożyce i odcina botowi główkę z czujnikami.

— Mamy namierzony cel, Denny — dobiega głos ze świetlistej piramidy Hadleya.

— Irina?

— Tak. Chwilę.

— My tu giniemy.

Lustra na drugim końcu Bagna Zgnilizny nagle rozbłyskują jaśniej niż słońce. Przez chmury bitewnego pyłu jest widoczny, prawie materialny. Pada w dół, łapie go kolejny segment luster, podaje następnemu i następnemu. Ogniskuje się na najdalszym ze statków VTO. Łopatki radiatorów na wymiennikach ciepła w sekundę jarzą się czerwienią. Brakuje tylko sekund do awarii, przegrzania i wybuchu zbiorników paliwa.

— Jebany tancerz! — krzyczy Denny Mackenzie na kanale dowodzenia. Załoga statku podejmuje decyzję. Zapalają się silniki manewrowe, statek podnosi się, uruchamia się główny napęd i po paru sekundach *Oriol* jest tylko światełkiem na niebie. Nad całym Bagnem Zgnilizny statki VTO usuwają się na ostrzach błękitnego ognia z zasięgu baterii luster.

Lustra rozbłyskują światłem, a pod nimi całkowity bezruch, ani drgnie człowiek, ani drgnie maszyna.

— Moduł VIP—owski! — wrzeszczy Finn Warne. — Zostawili moduł VIP—owski! Z całym zarządem Taiyangu w środku!

— A więc tak — mówi Denny, — A więc tak.

Nagły paraliż znika w ułamku sekundy, jakby to samo dotarło jednocześnie do wszystkich mózgów i wszystkich AI na polu bitwy. *Wushi*, boty, inżynierowie, łaziki, wszystko eksploduje gorączkowym ruchem. Maszyny bojowe wyskakują w powietrze jak zbrojni w miecze herosi z legend. Łaziki buksują, wzbijając gejzery ciemnego pyłu. Denny widzi, jak boty wpadają pod ich koła, widzi, jak zdesperowany *wushi* próbuje uciec i nie może. Ciało koziołkuje wysoko nad łazikiem i spada w roztopione serce jednej z lustrzanych broni Hadleya. To taktyczny pogrom, żeby ochronić zarząd.

— Dobra, przestańcie ich podgrzewać — mówi Denny. Nagła ciemność, aż namacalna, gdy lustra odchylają się od słońca. — Chłodne głowy to lepsze decyzje. Dajcie mi kanał do Taiyangu, dobra?

— Masz, Denny.

Wojownicy podnoszą się ze swej ostatniej pozycji. Osiemnaścioro. Osiemnaście osób z trzydziestki, która gromko wykrzyczała poparcie w Śluzie nr 4. Stoją w nierównym szeregu, skafandry nadpalone i pocięte, anteny krzywe, szybki popękane, wycieki zatkałe szarym awaryjnym uszczelniaczem. Sonia Ngata opiera o regolit kolbę elektromagnetycznego karabinu. Finn Warne stoi u boku Dennyego.

— Taiyang, mówi Denny Mackenzie. — Rozsyła to nie tylko do menedżerów i żołnierzy Taiyangu, ale także do swoich *jackaroos*, do sterowni, do całego Hadleya. — Mogę przyjąć waszą kapitulację.

DZIEWIĘTNAŚCIE

— Ona to nosi przez cały czas? — pyta Vidhya Rao.

Luna siedzi na końcu stołu, z rękoma splecionymi na szklance. Podbródek opiera na ramionach. Żywe księżycowe oko łąpie na ekonomistę. Martwe oko — nie wiadomo.

— Przez cały czas — odpowiada Ariel.

— To jest tatuaż — mówi Luna.

— Nie jest.

— Ale może sobie zrobię — stwierdza stanowczo Luna.

— Nie ma mowy — oświadcza Ariel, lecz zwycięstwo wcale nie jest pewne.

— Muszę z tobą porozmawiać — mówi Vidhya Rao. — O sprawach zawodowych.

— Luna, chcesz o tym słuchać?

Luna kiwa głową.

Vidhya Rao pochyla głowę. Ucieczka z Południka i gniew rodu Sunów nadwerężyły siły fizyczne starzejącego się uczonego neutka. Może trochę podziękować oszczędnym bogom ekonomistów, że straciło przytomność od przeciążeń tuż przed pierwszym rozpięciem pętli księżycowej. Było

nieprzytomne przez całą podróż, od uwięzi do uwięzi do uwięzi, przerzucane zonglerką wokół Księżyca, aż ostatnia uwięź zrzuciła je w łapy stacji dokującej na Coriolisie.

Siedemdziesiąt minut nieświadomości to groźna rzecz dla siedemdziesięciolatka. Uniwersytecka ekipa ratunkowa wydobyła je z kapsuły i zabrała do ośrodka. Gdy tylko mogło mówić i chodzić, zażądało spotkania z Ariel Cortą. Zostało zaproszone do jej mieszkania w zboczu krateru.

— Gratuluję postawienia na nogi całego Południka — mówi Ariel. — Moja ucieczka była w porównaniu rozczarowująco nudna. Sturlałam się z samego rana prospektem Gagarina i tyle.

— Miałom pomoc — mówi Vidhya Rao. — Drugorzędną AI, będącą furtką Taiyangu do Trzech Dostojnych, występującą pod postacią lady Sun. Skomplikowane.

— Trzech Dostojnych? Znaczy: Fu Xi, Shennong i Żółty Cesarz? — pyta Luna, majtając nogami.

— Oni przybierają taką postać, na jaką akurat mają ochotę — mówi Vidhya Rao. — Nienawidzę ich. Ich inteligencja jest tak odmienna od naszej, że ledwo są w stanie się z nami komunikować. W najlepszym razie wydają się ekscentryczni, w najgorszym ma się wrażenie, że złośliwie utrudniają. Wyobraźcie sobie kogoś, kto mówi tylko zagadkami albo anagramami, albo cytatami z telenoweli, której nie oglądałyście. Może naprawdę próbuje się porozumieć, a może dla niego to tylko zabawa.

— I o co ich pytałeś?

— Poprosiłem, żeby wygenerowali prognozy dla Giełdy Księżycowej, pięć, dziesięć, piętnaście i pięćdziesiąt lat po jej

uruchomieniu.

— I co ci pokazali? — pyta Luna. To czary, magia, *bruxaria*.

— Za pięćdziesiąt lat na Księżycu nie będzie życia — mówi Vidhya Rao. — Ludzi, zwierząt, roślin. Księżyc będzie martwym światem rządzonym przez maszyny zarabiające pieniądze. Miasta będą puste, zimne i otwarte na próżnię.

— Mnie też nie będzie? — ćwierka Luna.

— Nikogo nie będzie. Za dwa lata Ziemianie przywloką na Księżyc wyhodowane w laboratorium epidemie. Nie mamy odporności, mamy dobre fagi, ale nasze ośrodki medyczne przestaną się wyrabiać. I będzie epidemia za epidemią za epidemią. Za dziesięć lat na Księżycu przeżyje tylko kilkaset osób, po tej i po tamtej stronie. Systemy będą padać, maszyny się psuć, ludzie będą się starzeć, nie będzie nowych dzieci... Za piętnaście lat...

Luna wytrzeszcza oczy, wargi jej drżą, nozdrza ma rozszerzone.

— Dostyc — mówi Ariel. — Ona się boi.

— Trzech Dostojnych przy swoich prorocत्वach zawsze podaje prawdopodobieństwa. jeśli LMA pójdzie w Giełdę Księżycową, prawdopodobieństwo całkowitej zagłady ludzkiego życia na Księżycu w ciągu dwudziestu lat wynosi dziewięćdziesiąt osiem procent, za pięćdziesiąt lat — sto procent.

Luna jest szara ze strachu.

— Ariel, to jest „na pewno” czy „być może”?

— Ziemianie się boją — dodaje Vidhya Rao. — Woroncowowie chcą zbudować sieć wind orbitalnych i zmienić

Księżyc w stację przesiadkową Układu Słonecznego. Mackenzie chcą eksploatować asteroidy i budować kosmiczne habitaty. Obie strony potrzebują poparcia Lucasa Corty, ale nie mają pojęcia, jakie jest jego stanowisko. No i ja im proponuję moją Giełdę Księżycową. To im się podoba. Bardzo. A najbardziej im się podoba, że to niewyobrażalne bogactwo, zupełnie bez ludzkiego udziału. Mają wszystko, czego im potrzeba. I to ja im to dałem.

Ariel łapie Lunę za rękę.

Dziewczynka kręci głową.

— Ja się nie boję. Chcę tylko wiedzieć, co mogę zrobić.

— Lucas ma władzę, siłę, odrodzenie Cortów — mówi Vidhya Rao. — Wszystko oprócz jednego.

— Lucasinha.

— Ty masz coś dla niego. On ma coś dla ciebie.

— Pamiętam, że już ci mówiłam: Cortowie nie interesują się polityką.

— Mówiłaś mi, że Cortów nie interesuje demokracja. — Vidhya Rao dotyka palcem powieki prawego oka. — Moja zewnętrzna pamięć jest niezawodna.

— To ja sobie przypomnę, że ten tekst padł zaraz po tym, jak mi powiedział, że jestem kimś w rodzaju Tej Jedynej, Wybranej.

— Na naszym pierwszym spotkaniu. Twoim pierwszym posiedzeniu Pawilonu Białego Zająca.

— I odtąd ciągle skądś wyskakiwałeś, prorokowałeś koniec świata i przypominałeś o moim specjalnym statusie. Wlazłeś nawet na samą górę Bairro Alto, żeby zapraszać mnie na

koktajle u Księżycowego Orła, i znów mnie karmiłoś tymi samymi bzdurami o Wybranej. Teraz znowu po to przyszłość? Do trzech razy sztuka? To bajki Vidhya, czy to Canopus w domu Barana, czy to twoi Trzej Dostojni, to są Bajki dla Dzieci. Wszechświat nie potrzebuje herosów.

— Niemniej... — zaczyna Vidhya Rao.

— Ty zawsze masz na wszystko odpowiedź — mówi Ariel. — Wszystko jest już zapisane, obojętne, czy chcę tego, czy nie. To jaki to jest element telenoweli?

— Odmowa Pójścia za Wezwaniem — mówi Vidhya Rao.

— No więc uznaj, że odmawiam — odpowiada Ariel. — Księżyc żyje, Księżyc upada, jedno i drugie bez mojego udziału.

Wypada z pokoju, rozwiewając suknię w grochy. Luna pozostaje, żeby na niego łytać, żeby dać mu odczuć głębię dezaprobaty, a potem wymaszerowuje za ciotką.

— Ale weźmiesz ten udział — mówi Vidhya Rao do pustego pomieszczenia. Drobiniki kurzu skrzą się w świetle zza okna. — Choćby wbrew sobie.

Luna sądziła, że obeszła wszystkie tunele i szyby Coriolisa, ale Amalia Sun każe jej iść kanałami, których w życiu nie widziała na oczy.

— Dokąd ty w ogóle idziesz? — szepcze, wyglądając z kratki wentylacyjnej do ewakuacyjnej klatki schodowej, osiem pięter nad Amalią.

Trudno się schodzi zygzakującym szybem, nie ma gdzie zeskoczyć, a Luna—chowaniec wyświetla masę kabli

energetycznych, które w sekundę spaliłyby ją na proszek Amalia Sun przechodzi przez pomalowane na zielono drzwi techniczne, a Luna musi się wcisnąć w trudny zakręt pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, pomiędzy zahermetyzowanym kamieniem a okładziną ścian. Ma nadzieję, że na tym poziomie kanał powietrzny będzie szedł przez całą długość — już tyle razy musiała zawracać ze ślepych zaułków, od przepaści, czy przekaźników pod napięciem, odkąd Amalia Sun wstała z siedzenia w mesie — zawsze tego samego — i ruszyła w drogę. Luna—chowaniec pokazuje jej szyb wentylacyjny pięćdziesiąt metrów dalej. Luna truchta do niego na czworakach i dociera w samą porę, żeby zobaczyć Amalię czekającą pod drzwiami windy towarowej.

— *Dokąd jedzie?* — pyta Luna Lunę—chowańca. Amalia Sun swojego wyłączyła, ale chowaniec Luny potrafi wejść do prostego A1 windy.

— *Na poziom parku* — odpowiada.

— I co ty robisz? — mruczy do siebie, schodząc drabinką techniczną trzy piętra na poziom 12.

Wyślizguje się klapą dla robota sprzątającego, pędzi korytarzem i zjeżdża bezpośrednią windą, tą, której używa na wycieczki z Lucasinem. Zjeżdża nią pod wejście do parku, dokładnie w momencie, gdy Amalia Sun wychodzi przez rozsuwane drzwi. Nikt, kto ma dobre zamiary, nie idzie naokoło, nie wybiera drogi, gdzie nie ma nic i nikogo. Zupełnie jakby chciała, żeby nikt jej nie widział, i starała się zasypać pyłem własne ślady.

Luna jest w parku codziennie, więc może stać sobie w wejściu i patrzeć, jak Amalia Sun idzie prosto na nią, kiwa głową na powitanie, a potem rusza korytarzem w stronę żółtych drzwi z symbolem zagrożenia biologicznego.

— Cholercia! — klnie Luna.

Nie ma uprawnień do przejścia przez te drzwi. Ale wie, że na kolejnym skrzyżowaniu są inne, takie czerwone, przez które można się przedostać do kanałów powietrznych, a one idą zgodnie z układem pomieszczeń w środku. Są tylko dwa wyjścia ze strefy biohazardu na poziomie parku, a Luna zna swoją ofiarę na tyle dobrze, by przewidzieć, którego z nich użyje. Przebiega lekko po duktach, nurkuje do węższego kanału i wygląda przez kratkę wentylacyjną. Widzi, jak Amalia Sun wychodzi drzwiami na klatkę schodową.

— Mam cię! — syczy Luna. — Wiem, dokąd idziesz.

Ale i tak śledzi ją dalej, dla pewności.

Amalia Sun wchodzi dwa piętra po schodach na poziom biofabrykatorów. Luna wygląda z dachu i widzi, jak tamta otwiera drzwi do drukarni chipów białkowych.

Doktor Gebreselassie zauważa Lunę czającą się w drzwiach do gabinetu. Zza futryny widać jej pół twarzy.

— Mogę wejść? — pyta ludzka połówka twarzy.

— Co się stało? — pyta lekarka.

— A czemu myślisz, że coś się stało?

— Bo nigdy wcześniej nie pytałaś, czy możesz wejść.

Doktor Gebreselassie odsuwa nogą krzesło, a Luna opada na nie i macha nogami.

— No to mi powiedz.

— Dobrze. Ale najpierw muszę zadać pytanie techniczne. Nauczyła się już nie dziwić niczemu, co mówi lub robi Luna Corta.

— Pytaj.

— To jest technicznie możliwe, żeby ktoś wrzucał na te chipy białkowe Lucasinha wspomnienia rzeczy, których on nie przeżył?

— Technicznie tak. A czemu pytasz?

— No dobrze — mówi Luna i opowiada lekarce, że Lucasinho mówił o matce — czego nigdy wcześniej nie robił—o czasach, kiedy mieszkał w Pałacu Wiecznego Światła — gdzie nigdy nie mieszkał — i o czasie spędzonym z ciotkami, wujami i kuzynami Sunami, których nigdy w życiu nie znał.

Twarz doktor robi się poważna. Wtedy Luna dodaje jeszcze, że jest eksploratorką i zna wszystkie tajne tunele i korytarze i kładki Coriolisa, i że śledziła Amalię Sun, która szła dziwną, okrężną drogą przez kampus, aż do fabryki chipów białkowych.

Po tych słowach doktor Gebreselassie unosi rękę.

— Luna, poczekaj chwilę.

Otwierają się drzwi. Do gabinetu wchodzi Dakota Kaur Mackenzie.

— Luno — mówi doktor. — Opowiedz, proszę, Dakocie wszystko to, co mnie.

Lady Sun obraca w dłoniach mały metalowy walec. Jest wielkości jej kciuka, ciężki, zimny i lekko tłusty w dotyku. Palcami wyczuwa wygrawerowane w metalu maleńkie literki.

— Co to ma być? — pyta. Ktoś zakłócił jej spokój, w jej własnym mieszkaniu, zakłócił jej samotność i skupienie. Jej gniew łatwo się wzbudza i nie jest przyjemny.

— Nota kredytowa z Uniwersytetu Farside. Dostarczona BALTRAN—em, do moich rąk własnych — mówi Amanda Sun.

Lady Sun unosi walec do oczu, mruży je, żeby odcyfrować wygrawerowane znaczki.

— Strasznie małe. — Cmoka. — Nota kredytowa za co?

— Od Uniwersytetu Farside, Wydział Biocybernetyki, Katedra Neurotechnologii, w dobro Taiyangu. Węgiel — pięćdziesiąt jeden tysięcy dwieście i osiemdziesiąt osiem setnych grama, tlen — szesnaście tysięcy dwanaście i sześćdziesiąt pięć setnych... — czyta Amanda.

— Chemiczne składowe ludzkiego ciała — przerywa lady Sun, a chłód metalu nagle ją przenika. Dotyka dłonią piersi. Jej własny trik, pokaz władzy, zwrócony przeciwko niej.

— Tak — mówi Amanda. — Amalia Sun.

Analiese Mackenzie pamięta, kiedy uświadomiła sobie, że muzyka jest demonem. Skończyła dwunastą repetycję dwudziestego trzeciego gusze siódmego *dastgah* — Dastgah—e Mahur i zobaczyła krew na strunach setaru. Napięte stalowe struny starły jej czubki palców do krwi. A nic nie zauważyła.

Miała czternaście lat, gdy setar upuścił jej krew.

A dopiero trzynastcie, gdy zmusił ją, by go pokochała. Zaraz po trzynastych urodzinach wracała Równikową Jedyką z matkami, z badań lunologicznych w Rowie Kopfa do Tygła. Patrzyła przez okno i skakała po kanałach z rozrywką. Wtem nagła strużka nut jak płynne srebro kazała jej się prosto. Struny, metalicznie precyzyjne dźwięki mówiące do niej jednej na tym całym okrągłym Księżycu, czyste i dokładne. Rozumiała wszystko, co mówią, wszystkie emocje, które przekazują — radość, spokój, opanowanie, zachwyty, lęk, tajemnicę. Wszystko było doskonale jasne, skąpane w świetle.

— Posłuchajcie! — krzyknęła, zrywając się z siedzenia i budząc drzemiące mamy. — Posłuchajcie tego! — Pstryknęła muzykę na ich chowańce. — Całkiem... całkiem, jakbyśmy tam były.

Posłuchały. Nic nie słyszały.

Ten srebrzysty głos to był setar, klasyczny perski instrument. Dało się go zrobić. Na Księżycu wszystko dawało się zrobić. Nauczyła się stroju, palcowania, które grupowały się w *dastgah*, a te tworzyły *ratif* — ich symetrii, asymetrii, improwizacji — wszystko to na setarze z włókna węglowego ze strunami z księżycowej stali. Później, gdy instrument dogłębnie ją opętał, zapłaciła oszałamiającą sumę bitsów za porządny instrument, z drewna, ze strunami z prawdziwego jedwabiu, wykonany ręcznie na Ziemi.

Znalazła innych muzyków, których też porusza ta muzyka. Nie było ich wielu i przeważnie nie dostrzegali w tej muzyce tego samego, co ona — surowego, ascetycznego piękna jej świata. Byli jednak opętani tym samym demonem, a spotykając

muzyków z innych specjalności, widziała, że i oni są tak samo nawiedzeni — są wyznawcami, ascetami, perfekcjonistami, eksploratorami i obsesjonatami. Kawał drewna z paroma drutami opętał ją, znękał i zmusił do pracy nad doskonaleniem ich związku, do uczynienia z niego centrum jej życia i jej potrzeb. Demon.

Kocha wilka, ale zaślubiona jest innemu demonowi. I to jest związek pełen przemocy.

Analiese kończy ostatnią *dastgah* i pozwala nucie wybrzmieć na ostatnim takcie bębna daf. Chwilę trwa w ciszy. Jest w niej wszystko, jest w niej nic, ale tak jak w łonie nie można w niej trwać w nieskończoność. Jeden oddech i wybuchają burzliwe owacje.

Analiese ciągle nie może się nadziwić, że jej muzyka znajduje słuchaczy. I to całkiem znaczną liczbę — ludzi z Iranu i Azji Środkowej w trzecim pokoleniu, muzykologów, muzyków innych specjalności — innych kochanków demona. Podczas tego tournée, pierwszego od ponad roku, zauważyła też sporo Ziemian. Urzędnicy LMA. Iran i „—stany” też mają swój kawałek księżycowego tortu.

To niezwykle wdzięczna publiczność. Po każdym koncercie przynajmniej jedna osoba przychodzi za kulisy, pytać o instrument, o muzykę, o to, czemu księżycowa Australijka tak się zakochała w obcej muzyce.

Chowaniec informuje, że i dziś nie jest inaczej. Dwoje ludzi w korytarzu przed garderobami ośrodka muzycznego imienia Xiana Xinghaia w Królowej. Kobieta i mężczyzna. Nie Irańczycy, biali Australijczycy.

— Analiese Mackenzie? — pyta kobieta.

— To ja.

— Możemy na słówko do garderoby?

— Wy byliście na koncercie? Nie kojarzę was. Skąd się tu wzięliście?

— No nie, kochana — mówi kobieta.

Mężczyzna pochyła głowę i Analiese czuje krótkie, ostre ukłucie z tyłu głowy. Unosi rękę.

— Nie rób tego — dodaje kobieta. — Ej, naprawdę nie rób. Masz bojowego owada przyczepionego do karku. Teraz możemy porozmawiać?

Analiese otwiera drzwi, cały czas czując to coś na karku, czując, że wchodzi za nią do ciasnego pomieszczenia, jakby byli podłączeni do niej elektrycznymi nerwami.

— Mogę chociaż setar schować?

— Oczywiście. To cenny instrument.

Kładzie go w futerał, owija struny materiałem, zamyka wieko na zatrzaski. Przez cały czas to coś, to czarne coś na karku.

— Kim jesteście?

— To nieważne. — Garderoba jest mała, kobieta przysiada na rogu półki, mężczyzna na sedesie. — Jest ktoś, kto bardzo chciałby się z tobą spotkać. Już idzie. Zaraz będzie. My mieliśmy tylko dopilnować, żebyś się z nim nie rozminęła.

— Reszta zespołu... — zaczyna Analiese.

— Powiedziałaś im, że spotkacie się w barze — mówi kobieta. — Poza tym chyba nie zauważyłaś, ale ten pokój jest odcięty.

Mężczyzna odsuwa połę marynarki i pokazuje czarną skrzynkę przy pasku. Ma bardzo zadowoloną minę.

— Tak naprawdę to jest bardzo skomplikowany sprzęt — dodaje kobieta. — Zdziwiająco trudno odciąć kogoś całkiem od sieci. Cały czas patrzy na nas dziesięć tysięcy oczu.

Ruch za drzwiami.

— Już jest. Miłego spotkania. Nie dotykaj pająka.

Kobieta i mężczyzna wychodzą. Wchodzi Bryce Mackenzie. Jego cielsko przytłacza maleńkie pomieszczenie. Analiese wstaje z krzesła.

— Siadaj, siadaj — mówi Bryce. — Nie zajmę długo. Zresztą i tak by nie wytrzymało. Analiese Mackenzie. Partnerka Wagnera Corty. Opiekunka Robsona Corty. Mojego przybranego syna. To niezbyt lojalne z twojej strony...

— Mieć własne życie to nie jest nielojalność — odpowiada Analiese. — Neutralność to nie nielojalność.

— Ale ty nie jesteś neutralna. Stałaś po jednej ze stron. Dobra. Krótka. Ostatnio miałem kilka biznesowych komplikacji. Wszyscy wiedzą. Teraz zaczynam z nich wychodzić. Moja strategia wymaga kart przetargowych. Zakładników, jeśli wolisz.

— Ja jestem tylko muzykiem — mówi Analiese. Oddałaby wszystko, wszystko na świecie, żeby tylko pozbyć się tego kłującego czegoś z karku.

— Ale nie chodzi o ciebie. — Bryce parska śmiechem. — Za kogo ty się, kurwa, masz? Nie. Chcę Robsona Cortę. Ty go masz. Ja go chcę. Daj mi go.

— Wagner... — jąka się Analiese. — Nie mogę...

— Tobie to bym nawet zrobić martini nie dał, a co dopiero przyprowadzić dzieciaka. A to sprytny mały gnojek Już raz mi uciekł w Południku. Kosztował mnie Pierwszego Noża. Ale w sumie po jego stronie walczył Denny Mackenzie. Nie, ja mam do takich rzeczy ludzi. Ty masz mi tylko przygotować dla nich miejsce. Rozumiesz?

— Chcesz, żebym się pozbyła Wagnera.

— Dokładnie. Jest jeden problem. Tak zwane zaufanie. Daleko ci do zaufanej osoby. Już raz zdradziłaś rodzinę i ciężko mi teraz ci zaufać. Więc nie chcę lojalności, chcę posłuszeństwa.

— A to... — Analiese wskazuje kciukiem powoli pulsującego stwora przyczepionego do karku.

— To? To tylko po to, żebyś słuchała. Teraz ci coś wyśle.

Chowaniec szepcze: *Wiadomość od Bryce'a Mackenziego*. W jej polu widzenia otwierają się okienka — szerokokątne ujęcia z lecącego wysoko drona: ulice, prospekty, tunele. Każdy dron śledzi jakąś osobę: kobietę w średnim wieku o niesamowicie długich siwych włosach idącą tłoczonym prospektem, młodego człowieka pijącego z przyjaciółmi herbatę przy barze w hot—shopie, kobietę w średnim wieku, krótko ostrzyżoną, opierającą się o balustradę balkonu w jednym z wieżowców Królowej, podziwiającą to wspaniałe miasto, młodą kobietę biegnącą z kołyszącym się jasnym kucykiem.

Mama, Ryan, mama, Rowan.

— Ty chuju.

— Czyli jak? Dogadane?

— A mam wybór?

— Oczywiście, że masz. — Na jej soczewce pojawia się zabezpieczony kontakt. — Załatw to i daj znać. My zaj mierny się resztą. — Uśmiecha się, w błyszczącej, napiętej skórze pojawia się wąska przerwa. — Z mojej strony to wszystko. To nie jest już potrzebne.

Wyciąga rękę, stwór zeskakuje z karku Analiese na jego dłoń. Pozwala mu biegać po skórze jak zwierzątku, nadstawiając to jedną rękę, to drugą. Paskudztwo jest błyszczące, twarde i kruche, choć jednocześnie jakby ciekłe — ruchliwe, skupione. Nic, tylko nogi i zęby. Analiese wie, że będzie się budzić przez wiele nocy, czując na karku ukłucie igiełek jego pazurów.

— Nie śmiałyś mnie zabić tym czymś — mówi Analiese. Bunt. Bunt to jest coś.

— Ja śmiem, co *chcem*. Ale to prawda, wcale bym cię nie zabił. W pająku jest niezabójcza neurotoksyna, która by ci rozpierdoliła cały system nerwowy, tak dokładnie i porządnie, że nie byłabyś w stanie nawet podnieść tego swojego instrumentu, nie mówiąc już o wydobyciu jednego dźwięku. Do widzenia. Cieszę się, że się zgodziłaś. Czekaają na ciebie w barze. Zasłużyłaś na drinka.

Jak na grubasa porusza się zręcznie i lekko. Analiese cała się trzęsie. Nie może przestać. Chyba nigdy nie przestanie.

Demony.

I tak jak wyjechała, tak potem wraca, z instrumentem w dłoni, jedyna wysiadająca pasażerka na małej stacyjce Theophilusa.

Jej mężczyźni już czekają — jeden duży, drugi mały. Duży spięty, opanowany, buzujący emocjami, których, jak mu się wydaje, nie widzi nikt poza nim samym. Mały — poważny, uroczysty i z trudem ukrywający, jak się cieszy.

Omali nie wsiada z powrotem do pociągu. Tak by było najlepiej — uciec stąd, daleko od wszystkich ludzi, którzy ją kiedykolwiek znali. Zmienić nazwisko, zmienić tożsamość, wymazać akta, rozwalić setar.

Ale oni i tak by przyszli.

Wysadzić służę, wysadzić w próżnię siebie i ukochanych mężczyzn, niech umrą we własnych objęciach z mózgiami płonącymi czerwienią, gdy każdy neuron iskrzy po raz ostatni i gaśnie.

Oni i tak by przyszli — na skrzydłach, na wietrze, na piechotę, na długość noża. Asasyni Bryce'a Mackenziego.

Cokolwiek zrobi, nie będzie w tym nic dobrego.

Wagner unosi ją w powietrze, a ona reaguje, jak trzeba, ale jej uścisk jest słaby, ciepło jest letnie, pocałunek krótki i zdradziecki. On to zobaczy. Kiedy jest tak głęboko w wilczej fazie, widzi rzeczy, których nie widzą ludzie.

— Przepraszam, skarbie, jestem wyczerpana.

Wagner bierze od niej setar.

— A wiesz — odzywa się Robson. — Słuchaliśmy ciebie. Z Haiderem. — I co myślicie?

— Dobrze to było. Chyba. Tak naprawdę to nie wiem, czy potrafię coś powiedzieć, bo tak naprawdę nie rozumiałem tego. Ale dużo nut było.

— Potraktuję to jako komplement.

Wagner otwiera drzwi maleńkiego mieszkanca, ukazując mały stolik zastawiony do uczy — najbardziej intymnego rytuału: posiłku spożywanego w domu. Jest jedzenie z hot—shopów, jedzenie darowane przez przyjaciół i znajomych oraz jedzenie, które ewidentnie przygotowali sami. Analiese je bezmyślnie i beznamiętnie.

— Wiecie co, nie za dobrze się czuję — mówi, odsuwając ramen na lodzie i humus z białej fasoli. — To chyba prawda, co mówią o wodzie z Królowej Południa, że jest stara i brudna. Może ja się po prostu położę. Przepraszam was.

Leży, nie śpiąc, w maleńkiej klitce i słucha, jak jej mężczyźni robią porządek, sprzątają. Słucha ich głosów. Rozmawiają po portugalsku, którego wciąż prawie nie rozumie, więc może oddzielić ich słowa od znaczenia i słuchać ich jak po prostu dźwięków, jakby ich głosy były instrumentami. Wagner to klarnet, płynny i dźwięczny, słodki i melodyjny. Robson ma wyższy głos — pikolo, ale czasem się załamuje, nagle opada w niższe rejestry.

Płacze. Łóżko całe się trzęsie. Ma nadzieję, że Wagner i Robson nie czują tego przez konstrukcję domu. Udaje, że śpi, gdy Wagner kładzie się obok. Wsuwa się do łóżka, wtula w dobrze znanej pozycji, przywiera fiutem do jej tyłka. Nie może tego znieść, nie może wytrzymać dotyku jego skóry, jego ciepła, muskania włoskami na ciele — i słodkiego wilczego zapachu jego ciała.

Kiedy zasypia, ona wykrada się do salonu. Próbuje coś oglądać, ale nie jest w stanie zagłuszyć poczucia winy. Próbuje alkoholu, który tylko budzi w niej mdłości ze strachu. Próbuje

muzyki, ale i ten demon jest bezradny przy tamtym, potężniejszym.

— Hej.

Nie usłyszała, jak wstaje. Wilki cicho się poruszają.

— Chciałem się tylko wody napić.

On wie, że to kłamstwo. Ona wie, że druga taka okazja nigdy się nie zdarzy. Stare przysłowie Sunów — nawet bogowie nie mogą pomóc kobiecie, która nie chce wykorzystać okazji.

— Dalej jestem rozedrgana — mówi Analiese. — Nie mogę się uspokoić, ciało jest zmęczone, ale umysł cały czas lata w kółko i krzyczy. Chyba trochę rozumiem, jak ty się możesz czuć, kiedy ci się zmienia.

Wagner krzywi się.

— Wiem, wiem, że nie do końca, że nie jestem w stanie. Zresztą mnie za dzień, dwa przejdzie. A tobie...

— Przestań — mówi Wagner i Analiese słyszy, jak coś w nim pęka.

— Nadchodzi jasność, prawda? — pyta ona. Nie było jej prawie przez cały czas, gdy on był w cieniu. Zna na wylot te jego tiki, drobne manie, narastające dzień za dniem, gdy Ziemia robi się coraz jaśniejsza. Cień znowu zmienia się w wilka.

— Jedź, Wagner. Jedź, bo umrzesz. Za każdym razem jest coraz gorzej. Ja to widzę, Robson to widzi.

— Nie wciągaj w to Robsona.

— Ty potrzebujesz sfory. To czysta neurochemia. Możesz przestać brać leki, ale to nie zniknie. Taki po prostu jesteś, Wagner, nic na to nie poradzisz. Jedź do nich.

— Ale to niebezpieczne!

Ściągną na szyi, żyły na czole zdradzają dławione emocje. To nie jest gniew, furia — nic tak prostego. To cała druga osoba, skuta łańcuchami, zamknięta w klatce, wyjąca.

— Tylko na jedną noc, może dwie. Albo w ogóle spotkaj się z nimi w połowie drogi. Wagner, popatrz na siebie. Ty wytrzymasz tak pięć lat? Co dwa tygodnie, kiedy Ziemia jest w pełni...

— Muszę się opiekować Robsonem.

— Ty od tego umrzesz. Ale zanim umrzesz, Wagner, to cię rozwalą, wypali ci wszystkie organy i zaleje wszystkie tętnice roztopionym metalem. Rozpuści ci mózg na papkę. I jak się będziesz opiekować Robsonem?

— Do Południka nie mogę pojechać. Szukają mnie.

— Wagner, gdyby oni szukali Robsona, to już by go mieli. Jedź. Ja się nim zajmę. Przeżyje. A ty nie. Już teraz wyglądasz jak śmierć.

Dygocze — to ukryty w środku wilk próbuje się z łańcuchami.

— Ile ci trzeba? Jeden dzień wystarczy?

Pot płynie obficie po jego szyi, ramionach, wewnętrznej stronie ud.

— Możliwe.

— Dwa dni?

Kręci głową.

— Za długo.

— Jeden dzień. No to jedź. Ja zajmę się Robsonem. Chcesz mu sam powiedzieć czy ja mam?

— Ja mu powiem.

— I bierz leki. Nie mogę patrzeć, jak się męczysz.

— Boję się, że nie wrócę.

— Na pewno wrócisz.

Obejmuje ją ramionami. Nie może tego znieść.

— Dasz radę zasnąć? — pyta.

— Raczej nie.

— Ja też nie.

Rozsiada się na sofie. On kładzie głowę na jej kolanach. Oboje patrzą w ścianę. Gładzi go po gęstych, czarnych włosach.

— Ale nie zrobicie mu nic złego, co?

Zapytała, kiedy zadzwoniła pod adres, który dał jej Bryce, w garderobie za sceną centrum Xian Xinghai. Zapytała po raz drugi, gdy powiedziano jej, gdzie i kiedy pojawią się agenci. Teraz pyta po raz trzeci, stojąc w drzwiach mieszkania, twarzą w twarz z dwoma mężczyznami, którzy przyszli zabrać Robsona.

— Pani szanowna, włos mu z głowy nie spadnie. Jest bardzo cennym obiektem.

Jeden księżycowy i jeden zieluniak. Sprytny i silny. Obaj są ubrani w garnitury w paski, wielkie klapy, szerokie krawaty, spodnie z zaszewkami, kapelusze z szerokim paskiem, buty z czubami. Nie mogliby bardziej wyglądać na kontraktowych oprychów.

— Śpi.

Plan był taki, żeby go zabrać we śnie. Zieluniak — szeroki Fidżyjczyk o łagodnej twarzy — woła do pokoju bota—

skrzynkę.

— Oj — mówi Analiese. — W tym go wywieziecie? Nie pomyślałam, jak go zabierzecie.

— No przecież nie możemy go nieść na oczach wszystkich, nie? — odzywa się drugi. Ma akcent z Królowej Południa.

Zieluniak otwiera pokrywę. Wnętrze jest obszerne i miękko wyściełane.

— To tylko na drogę do pociągu — mówi księżycowy.

Pozegnali go razem, przytulili się wszyscy w służbie, machali, gdy się zamykała, wciąż machali, gdy wagonik odjeżdżał, choć wiedzieli, że Wagner nie będzie nic widział.

Daj znać, jak dojedziesz do Południka.

W noc zdrady, wbrew przeznaczeniu i rozsądkowi, Analiese poszła w końcu spać. Tej samej nocy Wagner musiał wziąć leki, bo kiedy się zbudziła, zastała go chodzącego w kółko po kuchni, całkiem nagiego. Próbował znaleźć miętę i szklanki, dziki i czujny, płochliwy, wrażliwy i samoświadomy w nadludzki sposób.

— Jak się czujesz?

— Wyjąco. — Uśmiechnął się szeroko.

Po czym spojrzał jej w oczy, a serce jej urosło, uśmiechnęła się i kiwnęła głową, co wystarczyło mu za zaproszenie i zaczęli się pieprzyć, ostro i szybko, tu i teraz, na sofie.

— Robson! — syknęła.

— On ma trzynaście lat, będzie spał do południa — powiedział Wagner.

Ustalili wszystko bardzo szybko. Niektórych rzeczy nie warto ryzykować. Nie będzie informował sfory z Południka, dopóki nie stanie im pod drzwiami. Wyłączy Światłego i puści sobie pustego chowańca. Zostanie tam na jedną noc i wróci Równikowym Ekspresem o 17.00. Minimum komunikacji, zadzwoni dopiero, żeby powiedzieć, że jest.

Każdy starannie zaplanowany etap podróży był jak gwóźdź wbity Analiese w łokieć, przegub, kolano, biodro. W szyję.

Robson, cholerny gówniarz, nie chciał pójść spać. Normalnie padał na twarz koło północy, ale dziś nie kładł się i nie kładł. Pierwsza. Wpół do drugiej.

— Robson, ja już naprawdę jestem zmęczona.

— To się połóż. Mnie się jeszcze nie chce spać.

Druga. Wpół do trzeciej.

Wysłała już do agentów dwie wiadomości opóźniające akcję. Znajdowała nowe preteksty, żeby nie pójść spać — nowy artykuł o historycznych i muzykologicznych związkach setaru z ujgurskim satarem, ostatnio wydane na Ziemi nagranie Ensemble Chemiraani, jakąś ożywioną dyskusję na grupie o muzyce perskiej. Bała się wszcząć z Robsonem zimną wojnę nerwów, gdzie każde będzie chciało uśpić to drugie.

O trzeciej dwadzieścia padł na grzbiet.

— Dobra. Ja śpię.

Analiese odczekała do pierwszego gromkiego chrapnięcia z telefonem do Mackenzie Helium.

— Nie zróbcie mu nic złego.

— Obiecuję. Iloilo.

Wielki Fidżyjczyk wchodzi na schody na antresolę.

— Analiese?

Stoi w drzwiach sypialni owinięty prześcieradłem. Chudy i zaspany.

— Co się dzieje?

— Kurwa mać — rzuca księżycowy. Dotyka spinki w mankiecie.

Ciemne pyłki wzlatują Robsonowi przed twarzą. Upuszcza prześcieradło, zatacza się w tył i zwała się, bezwładna płatanina kończyn.

— Robson! — krzyczy Analiese, ale drugi porywacz łapie go i znosi, lekkiego jak owada, na dół po schodach.

— Podobno niezłe są po tym sny — mówi księżycowy. — Tak słyszałem. Fidzyjczyk delikatnie układa Robsona w skrzyni, zwiniętego jak embrion.

— Nie — protestuje Analiese. — Zaraz... — Ta skrzynia to trumna. To śmierć.

— Mamy kontrakt.

Fidzyjczyk uśmiecha się i zamyka wieko. Bot człapie na korytarz.

— A, zaraz — dodaje księżycowy. — Jeszcze jedno.

Nóż jest szybki, pewny i mocny, przebija szyję Analiese na wylot. Krwawi, syczy, wymachuje rękami. Nóż trzyma ją w pozycji pionowej.

— To za dawanie dupy Cortom. — Wrywa ostrze. Analiese Mackenzie osuwa się w kałużę czerwonej tętniczej krwi.

Księżycowy oczyszcza ostrze i z szacunkiem chowa pod marynarkę. Omija rozlewającą się czerwień.

— Żelazny Potop. Pamiętamy.

Haider wypija w Gato Encantado dwie herbaty. Robsona ciągle nie ma. Pinguje Dżokera, nic nie wraca. Jest poza siecią. Może ćwiczy parkour — jakieś nowe numery lub skoki? To wymaga stuprocentowej, absolutnej koncentracji. Kiedy jesteś sto metrów nad szybem wymiennika ciepła, nie ma miejsca na powiadomienia i wiadomości. Jeszcze jedna herbata, choć w ustach ma tak sucho, jakby przepuścił przez waporyzator pięć gramów skuna.

— A gdzie twój mały przyjaciel? — pyta Jo—Jee.

Haider najeża się. Nigdy nie lubił Jo—Jee i jego protekcyjnalnych uwag. Ale jest tak samo klientem hot—shopu jak oni. Pstryka Jianyu za barem parę bitsów i idzie szukać Robsona. Theophilus nie jest dużym miastem, a miejsc, gdzie *traceur* może szlifować swoje umiejętności, jest jeszcze mniej. Szyb wymiennika cieplnego, hermetyczne mobilne magazyny, instalacja wodna i energetyczna, oczyszczalnia, gdzie się poznali. Nic. Na koniec idzie na centralny plac, ulubione miejsce Robsona. Haider wciąż nie może patrzeć, jak zygzakuje pięćdziesiąt metrów w górze, z boku na bok, z boku na bok, zwrot, salto, obrót w powietrzu, lądowanie na ziemi i natychmiastowy wyskok z powrotem. Dla Robsona liczy się szybkość. Dla Haidera — przetrwanie.

Dzwoni jeszcze raz do Dżokera.

Bez odpowiedzi.

No to jest w domu.

Coś nie tak. Coś cieknie spod drzwi. Cofa się. Ciecz jest lepka i gęsta czerwona na jego śnieżnobiałych trampkach. Krew.

— Solveig! Wołaj pomoc!

— Dzień dobry, Haider — mówią drzwi. — Jesteś na liście gości. Zapraszam do środka.

Drzwi się otwierają.

DWADZIEŚCIA

Od uderzeń trzęsie się całe mieszkanie, od saloniku po kapsuły sypialne. Haider wyskakuje z łóżka, wsuwa buty, naciąga bluzę, kopiuje wszystkie swoje lokalne dane do sieci — wielokrotnie ćwiczona procedura postępowania w wypadku uderzenia/trzęsienia/dehermetyzacji. Zsuwa się po drabince do przestrzeni mieszkalnej.

Max i Arjun miotają się po pokoju, zbierają swoje bezcenne zbiory do toreb.

Mieszkanie trzęsie się jeszcze raz, jak od młota. To nie trafienia meteorytem, nie kosmiczne działo Woroncowów, nie trzęsienie Księżyca. Ktoś wali w drzwi.

— Haider! Muszę z tobą porozmawiać.

Max i Arjun odwracają się do drzwi.

— To pewnie Wagner Corta — mówi Haider.

— Haider! — Pięści znów walą w drzwi. Plastik trzeszczy i pęka.

— Zaraz to rozwali — mówi Max.

— Haider, do swojego pokoju — rozkazuje Arjun.

— Wiem, że tam jesteś! — woła Wagner zza drzwi.

— Idź stąd. Daj nam spokój — krzyczy Max.

— Chcę tylko porozmawiać z Haiderem.

Opiekunowie Haidera spoglądają po sobie.

— On nie pójdzie — mówi Haider.

— Zakontraktujemy ochronę — mówi Max.

— W Theophilusie? — dziwi się Arjun.

Obaj stają pomiędzy Haiderem i drzwiami. Arjun jest niski, umięśniony, łysy, brodaty i dużo ćwiczony, ale i tak nie może się mierzyć z wilkiem, na którego pada światło Ziemi.

— Mogę tu czekać, ile chcecie! — krzyczy Wagner.

— Muszę z nim porozmawiać — mówi Haider.

— Nie wpuszczamy go — protestuje Max.

— Nic wam nie zrobię — mówi Wagner. — Chcę tylko się czegoś dowiedzieć.

— Uchylę — stwierdza Max. — Tylko trochę.

— Nie, nie... — sprzeciwia się Arjun, ale drzwi rozwierają się gwałtownie, rzucając go przed kanapę. Arjun podrywa się jak podczas walki w klatce, oko w oko z wilkiem.

— Chcę. Tylko. Porozmawiać — mówi Wagner.

Haider nigdy go takim nie widział. Każdy mięsień napięty jak lina. Twarz ma bladą, oczy wielkie i ciemne. Aż kipi energią. Mógłby wywalić te drzwi jedną ręką.

— Nic wam nie zrobię — mówi po raz kolejny.

Arjun popycha Haidera na kanapę i obejmuje go po jego prawej stronie. Max, poobijany i wstrząśnięty po upadku, siada po lewej stronie. Haider kocha swoich dzielnych, odważnych ojców.

— Znalazłeś ją — mówi Wagner. Jego głos to gardłowy pomruk.

— Znalazłem. — Anksjolityki wreszcie zatrzymały falę koszmarów płynących z czeluści pod Theophilusem. — Drzwi się dla mnie otworzyły. — Krew wyciekająca spod drzwi na ulicę. — Otworzyły się i wszedłem. — Leży na boku, nogi i ręce pozginane pod dziwnymi kątami. Szeroko otwarte oczy. Włosy sklezione krzepnącą krwią w jedną masę. I nóż, o Boże, nóż w szyi. Na wylot. Zadzwoiłem do lekarzy, potem do zabbalinów.

— Nie widziałeś żadnego. Śladu. Robsona?

— Widziałem różne rzeczy. Nic z tego nie rozumiałem. Połamane meble, jakby się bili. Prześcieradło. Straszny bałagan.

— Haider, pomyśl. Proszę — mówi Wagner. Kuca przed nim, składa dłonie razem. — Widziałeś albo słyszałeś coś niezwykłego?

Haider kręci głową.

— Przepraszam. To było następnego dnia rano. Chciałem pójść do El Gato Encantado. Wiesz.

— Wagner, on się ciebie boi — mówi Max.

— Muszę wiedzieć. Zrozumieć, co się stało. Poukładać to sobie w głowie. Dzwonicie do mnie, jak jestem u sfory. Analiese nie żyje. Myślę sobie: co takiego? A Robson zaginął. Łapię najbliższy pociąg, ale to i tak osiem godzin. Zabbalini zdążyli wszystko wyczyścić. Nic nie zostało. Muszę zobaczyć, muszę wiedzieć to, co ty widziałeś, żeby wszystko zrozumieć.

— On już ci wszystko powiedział — odzywa się Arjun.

— Widziałem nagrania z sieci. Dwóch typów przychodzi ze skrzynią. Dwóch typów wychodzi ze skrzynią. Ale nie wiem, co

się działo w mieszkaniu.

Max wstaje z kanapy i przechodzi do aneksu kuchennego. Gotuje się woda. Parę chwil później wręcza Wagnerowi szklanekę herbaty.

— Siadaj.

— Przykro mi — mówi Wagner. — Ale ja nic z tego nie rozumiem.

— Próbuję pomóc, ale ja też prawie nic nie wiem — mówi Haider. — Ale... nie wydaje ci się, że może go porwali?

Alexia mocniej otula się pikowanym płaszczem i powstrzymuje dreszcz. Jedno i drugie jest teatralne, psychologiczne — Boa Vista już od dziesięciu dni utrzymuje nadającą się do mieszkania temperaturę, ona jednak wciąż czuje głęboki, bezkresny chłód skały wokół, wspomnienie próżni i lodu wypełniającego tę magmową komorę. Rośliny rosną, kwitną całe drzewa, małe, zaprojektowane przez AKA ptaszki przeskakują ze skał na planowo rozmieszczone gałęzie, ale Boa Vista wciąż będzie budzić w niej chłód. To nawiedzone miejsce.

Mówią tutaj, że na Księżycu nie ma duchów.

Księżyc to same duchy aż do spodu.

Nelson Medeiros wita ją po portugalsku i prowadzi do nowego Orlego Gniazda. Lucas, *escolta* po *escolcie* wymienia swoich oficjalnych ochroniarzy na dawnych luniarzy Corta Hélio i *santinhos*, zbiegłych z João de Deus. Zrzuca płaszcz. Maninho pokazuje drogę przez zagracone sprzętem korytarze nowego Gniazda.

Twarz. Jest wewnątrz twarzy *orixy*. Nowy gabinet Lucasa jest w gałce ocznej Oxali. Alexia nieswojo się czuje w tym całym Boa Vista. Nie znosi myśli, że Lucas chce tu na stałe przenieść swój rząd.

Słyszy coś, czego w życiu nie słyszała. Lucas Corta się śmieje. Zastaje go rozpartego w fotelu, trzęsącego się od tłumionego chichotu. Unosi ręce, prosząc ją, żeby się na razie nie odzywała. Zaśmiewa się dalej.

Lucas zalicza się do tych ludzi, normalnie bardzo poważnych, których radość odmienia tak całkowicie, że prawie stają się kimś innym.

— To nadal Sunowie, prawda?

Lucas kiwa głową i znów śmieje się do rozpuku.

— I tak będzie jeszcze przez jakiś czas.

— Ile rzucili?

— Dwadzieścia miliardów.

Alexia wciąż przelicza księżycowe bitsy na brazylijskie reale. Wytrzeszcza oczy.

— To jest...

— Na nasze standardy — fortuna. Ale dla Sunów — groszki. I oni o tym wiedzą. To ostatnia, dobrze wymierzona obelga ze strony Mackenzie Metals. Tyle jesteś dla nich warta.

Kiwnięciem każe jej usiąść i wpada w kolejny atak chichotu. To już zaczyna drażnić Alexię. Ten śmiech jest nieczysty.

— Czyli Darius zrezygnował z roszczenia do Mackenzie Metals?

— Denny jest koronowany na króla, chodzi po Hadleyu i nadyma się jak jakiś typ, co walczy w klatce w Świętej Oldze.

Alexia podchodzi do okna, by popatrzeć na sadzonki i pędy odrodzonego Boa Vista.

— Nie rozumiem. Mackenzie zabili Rafę i zniszczyli ci to miasto. Denny Mackenzie z zimną krwią zabił Carlinhosa.

— Moje rachunki z Mąckenziemi są wyrównane.

— Żelazny Potop? To nie twój rachunek, Lucas. To mój rachunek. Mój rachunek i nigdy się od niego nie uwolnię.

Śmiech milknie, uśmiech znika. Teraz to jest Lucas Corta, jakiego zna Alexia.

— Sunowie są naszym wspólnym wrogiem. To oni skłócili nas i sprawili, że rzuciliśmy się sobie do gardeł. Pozwól mi na odrobinę *schadenfreude*. To rzadki towar.

— A przyszło ci kiedyś do głowy, że przez to, że jesteś taki podstępny, taki chytry, kiedyś sam się w tym pogubisz?

— Po to zatrudniam ciebie, Lê . Ufam, że będziesz mi mówić prawdę. Chcę, żebyś się z kimś spotkała. Poprosił o audiencję.

— Nie miałam tego w planie.

— Toquinho, niech Nelson wprowadzi gościa.

Trzy fotele. Na tarasie Lucasa stoją trzy fotele. Jak mogła tego nie zauważyć?

Escoltas w kremowych lnianych garniturach i szerokich słomkowych kapeluszach wprowadzają petenta do oka Oxali.

Alexia wstrzymuje oddech. Niski, ciemny, silny mężczyzna — rozpoznaje nawiedzone oczy, ognistą energię zwiniętą ciasno w każdym mięśniu, tę straszną, groźną obecność w każdym jego kroku, ruchu, w postawie. Wilk

— Bracie.

— Wagner.

Witają się zdawkowo. Lucas ledwie znosi uścisk Wagnera.

— Siadaj, siadaj — mówi.

— Wolę stać. — Nie jest w stanie ustać spokojnie, przestępuje z nogi na nogę. Nie może siedzieć.

— No to stój. Moja Żelazna Ręka, Alexia Corta.

Wagner składa palce, pochyla głowę przed Alexią na sposób Cortów. Spojrzeć mu w oczy to jak zajrzeć w słońce płonące we wnętrzu reaktora. Alexia odpowiada tym samym pozdrowieniem urzeczona jego mroczną powagą. To chyba jest najatrakcyjniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała.

— *Senhor* Corta.

— On nie jest Corta.

— Bryce Mackenzie ma Robsona — odzywa się Wagner.

Lucasowi drga kącik ust. Głęboko rani ta szpila. Alexia wie, że i Wagner to zauważył. Jak słyszała, wilki mają silną *bruxarię* — kiedy Ziemia jest okrągła, widzą to, czego inni nie widzą, czują rzeczy poza zasięgiem ludzkiego węchu, potrafią łączyć się w zbiorowy umysł sfory, szybszy i bystrzejszy od składowych umysłów. I uprawiają fantastyczny seks.

— Robson był pod twoją opieką — stwierdza Lucas.

— Wprowadzono mnie w błąd — mówi Wagner. — Zdradzono.

— Zdradzono?

— Analiese...

— Mackenzie.

— Zabili ją, Lucas. Przebili gardło nożem.

Lucas nawet nie mrugnie okiem. Alexia widzi, że wilk w ciele Wagnera Corty rzuca się i wysuwa pazury. Jeśli się uwolni,

wszyscy *escoltas* z ochrony Lucasa nie powstrzymają go przed rozwaleniem Boa Vista w gruzy.

— Czego ode mnie chcesz? — pyta Lucas.

— Chcę go z powrotem. Żeby nic mu się nie stało.

— To dwie różne rzeczy. — Alexia wystarczająco długo jest Mão de Ferro, żeby odróżniać Lucasa obojętnego od Lucasa kalkulującego. W tej chwili Lucas dodaje, odejmuje.

— Żeby był bezpieczny.

— Ale rozumiesz, że moje możliwości są ograniczone. Bryce Mackenzie zabrał go właśnie po to, żeby mieć zakładnika. Jeśli wykonam ruch, pokażę karty, Robson zginie.

— Mogę pojechać do Królowej. Wymienić się za niego.

— Wagner, ty dla niego jesteś bezwartościowy.

Prawdziwe legendy zawsze są rozproszone — fragmenty opowieści, podań, ubarwień, nawarstwiających się zmian. Prawda nie znosi opowieści. W innych rodzinach trafia się czarna owca, a Cortowie mają czarnego wilka. Lucas nigdy nie zająknął się słowem o Wagnerze, Alexia pozbierała jednak strzępki rodzinnej mitologii ze słów pracowników i ochrony — dziwne dziecko, które wyło do Ziemi, *madrinha*, co chciała czegoś więcej niż być dla Cortów macicą do wynajęcia, zadawniona nienawiść wobec Lucasa u człowieka, który był obrazą dla własnej matki, dla wszystkich wyznawanych w rodzinie wartości. Nie jest Cortą.

Ale przecież jest.

— Alexia. — Po imieniu, nie przydomkiem. — Będę tu przenosić moją oficjalną siedzibę. Chcę podrażnić Bryce'a. Daje się łatwo prowokować. Będzie wtedy chciał przenieść się do

João de Deus, żeby pokazać, że je kontroluje — mówi Lucas. — Wilku, ty będziesz tu mieszkał. Nie możesz latać w amoku za każdym razem, kiedy Ziemia jest w pełni. Toquinho już zorganizował ci mieszkanie. W jednym z baraków budowlanych, więc bardzo wygodnie to tam nie będzie. To ciężki i długi proces, odbudowa dawnego piękna Boa Vista. Ale ty to tu nigdy nie mieszkałeś, prawda?

— Twoje słowa to zawsze cios, Lucas. Nic innego nie mówisz.

— Wypadałoby powiedzieć raczej „dziękuję”.

— Ty tego nie robisz dla mnie. Dla rodziny. Dla Rafy. Dla matki.

— Matki.

Alexia dostrzega, co robi Lucas. Kłując brata, tnąc go, boleśnie upuszczając krwi, kanalizuje to buzujące w nim ziemskie światło. Wykrwawia go z siły i emocji, które inaczej mogłyby wybuchnąć w niekontrolowany sposób i zaszkodzić jego planom.

Potwór zabrał ci dziecko. A twoja *oko*, partnerka, ukochana, zadżgana nożem, całkiem bezbronna. Alexii nie mieści się to w głowie.

— Lucas, dopilnuj, żeby był bezpieczny.

— Nikt z nas nie jest bezpieczny.

Nelson Medeiros wraca i Wagner uświadamia sobie, że spotkanie skończone. Kiedy oddala się poza zasięg głosu, Alexia mówi:

— Więc to był ten wilk.

— Tak. Wiesz, czemu nim gardzę? Bo jest wolny i nawet przez sekundę się nad tym nie zastanawiał. Jego zaburzenie

zwalnia go z wszelkiej odpowiedzialności. Wilk, człowiek, wilk, człowiek i tak w kółko, kiedy Ziemia robi się okrągła i nic nie może z tym zrobić. Czysta neurobiologia, rozumiesz? Jest ofiarą tego stanu. I do końca życia będzie w nim mieć tylko tę jedną siłę.

— To nie jest zaburzenie. To jest tożsamość — mówi Alexia.

Lucas syczy pogardliwie.

— I to ma go bronić przed wszelką krytyką? Dostaje odpowiedzialność — zapewnić bezpieczeństwo mojemu *sobrinhu* — ale wystarczy, że Ziemia raz zaświeci na niebiesko i od razu leci biegiem do swojego stada, a Bryce Mackenzie zabiera Robsona.

— Lucas, to niesprawiedliwe.

Lucas zbywa ją machnięciem ręki.

— Chcę, żebyś pojechała do Twé. I przywiozła pewien towar do Boa Vista.

— Jaki towar?

— Sprawiedliwość.

Pierścienie Akosi Trucicielki trafiają Alexię w wierzch dłoni. Mocno.

— To boli!

— Chcesz umrzeć, krwawiąc z oczu, uszu i dupy?

— Ja tylko się przyglądałam — mówi zaskoczona Alexia, zawstydzona i wściekła, że dała się przyłapać tej starej babie złożonej z samych zmarszczek, z oczyma jak jagody w workach ze skóry.

— Łapami się nie przygląda. Nie dotykaj!

Wyciąga z drukarki komplet plastikowych igieł.

— Ale ty dotykasz.

Starucha macha lekceważąco ręką.

— Oj tam! Robię w tym tyle czasu, że jestem uodporniona.

Akosi Trucicielka mieszka za drzwiami w splątanej masie lian—dusicielek, które rozrosły się, rozpleniły, puściły korzenie i zdrewniały, zajmując cały silos nr 2 Agrarium Kojo Lainga, po tym, jak jego ekosystem padł podczas Trzeciej Wielkiej Czystki i zostawiono go w tym zdziczałym stanie. Alexia wspinała się po powyginanych schodkach wśród potężnych korzeni — tam i z powrotem, pod korzeniem, nad korzeniem, to wchodząc, to wychodząc z plamy światła rzucanego przez baterię luster. Była jak nowicjusz, który idzie w głąb dżungli na inicjację w *umbandzie*. Wielkie Drzewo Twé sprawiło, że zaimponowały jej wiedza i potęga rodu Asamoah, ale ten dwustumetrowy walec pełen splątanych korzeni, pni i gałęzi był jeszcze bardziej oszałamiający. Po prostu czuło się, że mieszka w nim magia. Alexia wyobrażała sobie *orixas* szepczące pomiędzy liśćmi.

Nagle stanęła przed drzwiami, dokładnie naprzeciwko osiemdziesięciometrowej przepaści. Na dole miała staw, w którym Trujące Drzewo moczyło swe korzenie. Zapukała.

— Kto tam? — Zgrzytliwy głos. Starucha dobrze wiedziała, kto tam. Wszystko było umówione przez chowańce.

— Alexia Maria de Céu Arena de Corta. — W Twé liczyły się imiona, tytuły, zaszczyty i kwalifikacje. — Mão de Ferro Księżycowego Orła.

— Wchodź, wchodź, Żelazna Ręko.

Drzwi ze skrzypieniem otworzyły się na oścież, niepchnięte żadną ręką. A jakże. Alexia zapuściła się w ciąg kopulastych pomieszczeń, baniek wydmuchanych z rdzeni wielkiego figowca. W ostatnim z nich zastała Trucicielkę.

— Ta otoczka też jest ważna, baa — powiedziała Akosi Trucicielka. Stara kobieta, długa i chuda jak śmierć głodowa, odziana w biel niczym Mãe de Santo, upierścieniona, obransoletowana i okoralowana. Ciemną, plamiastą skórę miała mocno pomarszczoną, jakby skurczyła się w środku. — Moja marka jest znana na całym Księżycu. No dobrze, to jaką sprawę do Matki Trucicielki ma Żelazna Ręka Księżycowego Orła?

Alexia powiedziała i zmarszczki Akosi przekonfigurowały się w uśmiech. Machnięciem laski otworzyła kolejne pomieszczenia — czyste i sterylne sale z drukarkami, chemicznymi syntezatorami i laborantami — laborantami! — gdzie odbywała się praca.

— To drzewo, baa, to nie jest tylko dekoracja — dodała, gdy jej pracownicy usadzali Alexię wygodnie i podawali jej herbatę. Jakoś nie mogła się zmusić, żeby ją wypić. — Zmodyfikowałam je, żeby dawało surowce do ponad pięćdziesięciu różnych toksyn. Staraj się nie dotykać oczu, ust i innych otworów. I umyj ręce.

Proces tworzenia szytych na miarę trucizn wymagał dużej ilości herbaty i nudy.

Akosi Trucicielka wkłada igły do drugiej drukarki i zalaminowuje je plastikiem.

— Zakodowany na DNA Robsona Corty. Tylko on to otworzy. — Unosi w pięści pięć plastikowych odłamków. — Oto Pięć

Śmierci, Mãe de Ferro. Dla kogo są przeznaczone?

— Dla jednej osoby.

Akosi syczy.

— Kogo to Lucas Corta aż tak nienawidzi, żeby zabijać go pięć razy?

— Mãe de Santo, nie mogę powiedzieć.

Akosi z warknięciem zamyka rękę.

— Trochę kultury, baa. Trucizna musi usłyszeć imię.

Alexia robi głęboki wdech.

— Bryce Mackenzie.

Akosi wydaje wysoki, przenikliwy pisk. Wtyka igły w dłoń Alexii.

— Proszę, baa, bierz. Z moim błogosławieństwem. Nic od ciebie nie wezmę. Za Siostry Panów Chwili. Bierz, tylko daj mi znać, kiedy Morderca Boa Vista nie będzie już żył. jedno pytanie, baa.

— Co takiego, Mãe?

— Czy to na niego wystarczy?

Ciemność jest gęsta i miękka, poprzebijana dziesiątkami małych, słabych światełek, rozjaśniających mrok na tyle, by Alexia zdała sobie sprawę, że jest pod kopułą — bardzo małą kopułą, mającą może ze cztery, pięć kroków średnicy. Powietrze jest stare, nieświeże i silnie pachnie ozonem oraz czymś ostrym, dymnym, jednocześnie obcym i dobrze jej znanym.

— Sylwester! — mówi Alexia. — Pachnie Nowym Rokiem.

— Pył księżycowy — odpowiada Wagner Corta. — Dla większości ludzi pachnie jak proch. Ja nie wiem, co to „proch”, ale tak mówią.

— Fajerwerki — wyjaśnia Alexia. — Dla mnie to jak z rana w Nowy Rok, kiedy każdy wlecze się skacowany do domu i czuć te wypalone fajerwerki, co się wszędzie walają.

Baraki, w których Lucas zakwaterował Wagnera, były łatwe do znalezienia, mimo że pracownicy od ciężkich maszyn właśnie się z nich wynosili, a wprowadzali się inżynierowie krajobrazu i ekolodzy.

— Ej, chcesz, żebym cię oprowadził śladami wilka?

Prawie się uśmiechnął. Poprowadził ją przez ozdobną trawę i sadzonki, gaje bambusowe i wodospady, minął poodbudowywane pawilony i tarasy widokowe, aż dotarł pod kompletnie niepasujące drzwi windy w ścianie świata.

— Tak myślę... może tylko najciekawsze miejsca?

— Chciałaś wycieczki śladami wilka. — Przywołał windę.

Na szczycie tej windy jest ciemna, zapyłona kopuła, a Wagner mówi:

— U nas nie ma czegoś takiego jak „fajerwerki”.

— Tak myślę — odpowiada Alexia.

— Dona Luna zna tysiąc sposobów na śmierć, ale ogień jest najgorszy z nich — mówi Wagner. — Wypala ci oddech w płucach. W dawnej bazie technicznej Corta Hélio był kiedyś pożar. Kiedy dojechała tam ekipa ratownicza, wszystko było zasypane czarną sadzą. Ogień się wypalił, ale najpierw zeżarł cały tlen w bazie, do ostatniej cząsteczki. Masz wybór — uduszenie albo spalenie.

„To jest człowiek, którego partnerkę zabiły noże Bryce’a Mackenziego”, napomina się Alexia. Przypomina sobie też o Akosi Trucicielce i o tym, co przywiozła z Twé w zamkniętej tytanowej skrzyneczce, i o tym, co za śmierć jest tam w środku. Tego też nie zapomni. I nie zna na to cierpienie lepszej recepty niż poprzebywać z innym człowiekiem.

— Smoki — mówi Wagner. — My mamy latające smoki. Dziesiątki, setki metrów długości. W Nowy Rok i na Święto Jama puszczamy je w kwadrach, w dół i w górę, z mostów, z kładek. Są pełne światła i muzyki.

— Co to za miejsce? — pyta Alexia.

— Miejsce, gdzie narodził się wilk — odpowiada.

Szum. Żaluzje odsłaniają się z klekotem chowających się lamelek i Alexia nagle jest na powierzchni, otoczona milionem gwiazd.

— Adriana miała tu swój azyl — mówi Wagner. — Lubiała patrzeć na Ziemię, na światła. To my palimy te światła. To był nasz talizman. A może po prostu sprawdzała, czy stara Brazylia dalej tam jest? Widzisz ją? — Wagner pokazuje, delikatnym gestem przyciąga Alexię do siebie.

Patrzy wzdłuż jego ręki. Niebieska Ziemia wisi na zachodnim niebie. Przejdzie przez fazy od pełni do nowiu, ale nigdy nie ruszy się z tego stałego punktu nad ponurą równiną Morza Żyzności. A tam, nisko na brzuchu Ziemi w pełni, pobrużdżona burzami pyłowymi i nowymi pustyniami, ale wciąż zielona, wciąż niebieska, stara Brazylia.

— Stara doktor Macaraeg mówiła, że mam dwubiegunówkę. Karmiła mnie lekami, plastrami, środkami zmieniającymi

zachowanie. A ja przez cały czas tłumaczyłem jej, że to nie choroba, zaburzenie — że to coś więcej, chociaż sam nie miałem pojęcia, co takiego, póki nie usłyszałem o wilkach.

— One są dwubiegunowe?

Alexia widzi w świetle Ziemi, że Wagner się krzywi.

— Bardziej. To zupełnie nowa neuroetniczna tożsamość. — Teraz on uśmiecha się przepaszająco. — Wilki. Jesteśmy wilkami. Ale ja już wtedy wiedziałem. Że od zawsze jestem taki. Przyszedłem tutaj. Stałem w tym właśnie miejscu, nagi w świetle Ziemi, i nagle mnie oświeciło. Wszystko stało się jasne. Wszystko nabrało sensu. Czułem, że rozszczepiam się na dwoje, rozpadam na dwie osoby — wilka i cień. Tamtego dnia umarł Wagner Corta. Nie byłem już jedną osobą, ale dwiema.

Stoi z zamkniętymi oczyma, pławi się w świetle. Cały dygocze. Płonie mu każdy mięsień, każdy nerw.

— To światło cię rani? — pyta Alexia.

— Rani? Nie. Skąd. Ale boli... tak.

— Wagner. Posłuchaj mnie. Analiese cię zdradziła.

— Dlaczego miałyby to zrobić?

— Nie wiem. — Alexia się domyśla, ale jemu tego nie powie.

— Poderżnęli jej gardło. Gardło. Czemu to zrobili?

Wagner wygląda, jakby miał się zaraz rozsypać.

— Wiem jedno: pozwoliła nożom Bryce'a wejść i zabrać Robsona. Zdradziła cię, Wagner.

— Bryce Mackenzie umrze za to — syczy Wagner.

— Pewnie, że umrze — mówi Alexia. — I to jak. Lucas może jest powolny, subtelny, wybiera dłuższą drogę, ale nigdy nie zawodzi.

— Powinien należeć do mnie — mówi Wagner.

— Pozwól Lucasowi — odpowiada Alexia. — Za blisko byłeś.

Wagner najeża się. Alexia cofa się o krok — oto wilk, rozchylna paszcza, obnażone kły, nieludzki blask płonący w oczach.

„Wagner Corta umarł”, powiedział. „Został tylko wilk i jego cień”.

— Ty mi tego nie mów. To jest sprawa Cortów.

Po chwili przerażenia nagłą likantropią Alexia stawia czoło temu mrokowi.

— Ja też jestem Corta.

Szaleństwo nakręcane ziemskim światłem pryska.

— A tak. Oczywiście. — Dłoń Wagnera porusza się, zasłaniają się żaluzje. Ciemność jest aż oślepiająca. Łagodnie białe światelka wyłaniają się z niej jak gwiazdy nad Barra. — Trzeba już iść.

— Dobrze się czujesz?

— Nie. Ale ja nigdy się dobrze nie czuję. — Wagner woła windę. Drzwi otwierają się i zalewają ciemne, zapyłone obserwatorium chłodnym błękitnym blaskiem. — Przepraszam, Alexia.

— Wilk.

— Tak Za dużo światła. — Wagner zamyka drzwi windy. — Bo widzisz... ja go kocham. Robsona. Jak własnego syna. Zrobiłbym dla niego wszystko.

Alexia dotyka jego ręki. Ma gorącą skórę, aż czuć drżenie słabnących mięśni.

— Już zrobiłeś.

— I na sam koniec śmierć zmysłów.

Alexia kładzie na biurku Lucasa pod okiem Oxali pięć plastikowych igiełek Czerwona, zielona, niebieska, żółta. Czarna. Ciemność na koniec.

Pierwsza śmierć — śmierć wnętrzości. Ofiara zeszczą się i zesra, bo rozpuszą jej się jelita, żołądek i pęcherz.

Druga śmierć — śmierć krwi. Krew tryśnie z oczu, uszu, nosa, wszystkimi otworami ludzkiego ciała.

Trzecia śmierć — śmierć duszy. Umysł pograży się w piekle halucynacji, powielających się w nieskończoność demonów, będzie spadał w coraz większe i większe ogniste otchłanie.

Czwarta śmierć — śmierć jaźni. Ciało odrzuci swoje własne narządy, naczynia krwionośne, całą swoją konstrukcję w potężnym ataku auto—immunologicznym. Nawet skóra pokryje się pęcherzami i złuszczy się krwawymi płatami.

Śmierć piąta i ostatnia — odcięcie zmysłów od widoku, dźwięku i zapachu dzieła czterech poprzednich śmierci. To żadne miłosierdzie — mózg będzie zamknięty, odcięty, ślepy, głuchy i bezradny. Jedynym odczuciem, które pozostanie do końca, będzie ból.

— Świetna robota — mówi Lucas. Nie wzdryga się, nawet okiem nie mrugnie, gdy Alexia robi mu wykład o truciznach. Jest spokojny, zimny i bezlitosny, jak one same. Ten sam chłód, który pamięta Alexia z chwili, gdy w hotelu Copa Palace poczuła na szyi dotknięcie morderczej muchy. Gdyby miał jakąkolwiek wątpliwość, zabiłby ją, na zimno, bez litości, nie kiwnąwszy palcem. — Naprawdę świetna.

— Matka Truczizn zrzekła się opłaty — mówi Alexia. — Ze względu na...

— Na to, że to Bryce — domyśla się Lucas. — Czemu boisz się to wypowiedzieć?

„Truczizna musi usłyszeć imię ofiary. Inaczej skąd będzie wiedzieć?”.

— Jest jeden problem — zauważa Lucas. — Cała ta przepiękna sprawiedliwość jest kompletnie na nic, jeśli nie zdołamy jej dostarczyć do celu.

Lucas Corta bezradny. Alexia przez moment jest zdezorientowana, potem w głowie pojawia się imię. Widzi już całość planu, pięknego i kompletnego. Oraz bezwzględnego, okrutnego i straszego, a także jedyne planu, który ma szansę.

— Mam jedną propozycję — mówi.

Opiekunowie to poczciwi prości akademicy — on jest selenologiem, a drugi on wykładowcą poezji — i pomimo najlepszych zamiarów Lucasa są przerażeni. Siedzą jeden przy drugim na kanapie, wyprostowani, jakby gotowi do ucieczki, nozdrza rozszerzone, oczy jeszcze szersze, często dotykają się delikatnie nawzajem.

Lucas siedzi i prawie styka się z nimi kolanami, nachyla się do nich, głowę trzyma niżej od nich, sygnalizując dyskrecję i bliskość. Dużo gestykułuje, trochę dotyka. Wzdragają się przy każdym dotyku.

Alexia im się nie dziwi. Nawet kiedy działają przy minimalnej ochronie, *escoltas* stoją pod każdymi drzwiami o sto metrów w obie strony drogi. To inwazja na Theophilusa. Za to chłopak — chłopak to zupełnie co innego.

Haider siedzi naprzeciwko Alexii, zgarbiony na krześle, nogi szeroko rozstawione, dłonie między kolanami. Pająkowaty i niezdarny. Biała kangurka i legginsy. Najbielsza skóra, jaką widziała na Księżycu, czarne włosy spadające na jedno oko. Wyglądasz słodko, ale wiesz o tym, zauważa Alexia. Chłopcy mogą wyglądać na słodkich, miłych i wrażliwych. To dopiero dojrzewanie przychodzi i robi z nich paskudy.

Stara się nie myśleć o Caio, tam, na górze w Brasilii.

Pstryka materiałami. Wywiad Lucasa jest dokładny. Maninho wie o Haiderze rzeczy, o których jego opiekunowie nie mają pojęcia. Że jest człowiekiem słów i opowieści. Zna historie, które spisał i którymi niechętnie podzielił się z ludźmi. Oraz te, które zapisał, ale nikomu nie dał, których nikomu nie pozwala przeczytać — opowieści o jego najlepszym przyjacielu i zarazem zauroczeniu — Robsonie.

— Co to jest, co pan chce, żeby zabrał, *senhor* Corta? — pyta Arjun, selenolog.

— Nie będę was oszukiwał — odpowiada Lucas. — Truciznę do zabicia Bryce'a Mackenziego.

Arjun i Max, wykładowca poezji, wydają okrzyki konsternacji.

— Zamach polityczny? — pyta Max. Jest wyższym z dwóch opiekunów Haidera, z typową dla wykładowcy poezji szpakowatą brodą.

— Robson nie będzie bezpieczny, póki Bryce Mackenzie żyje — mówi Lucas. — A ponieważ ja tu jestem, a przede mną znalazł was Wagner, wy też nie będziecie bezpieczni, póki Bryce żyje. Niestety jesteście w to teraz wplątani.

— Ja nigdy nie prosiłem... — zaczyna Max, potem przestaje, uświadamiając sobie bezsens tego argumentu.

— Ja was ochronię — mówi Lucas. — Tak długo, jak to będzie konieczne.

— A Haider? Co z nim? Domagasz się, żeby nasz syn poniósł śmiercionośną truciznę w samo serce Mackenzie Metals — mówi Max.

— Proszę, by odwiedził swego najlepszego przyjaciela — odpowiada Lucas. — Nie będzie żadnego problemu, odwiedzi go na żądanie Lunar Mandate Authority. Nic mu nie będzie groziło.

Max prycha z niechęcią i smutkiem.

— Tak pan mówi, ale co z pana bratankiem? Jemu też miał pan zapewnić bezpieczeństwo. A ten plan naraża Robsona na śmiertelne niebezpieczeństwo — mówi Arjun.

— Robson i tak jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Znacie reputację Bryce'a Mackenziego. Są rzeczy gorsze od śmierci.

— Zrobię to. — Głos Haidera wypełnia maleńki pokój. Patrzy spod grzywki, stanowczo i zdecydowanie. — Pójdę. Dla Robsona.

— Zabraniamy ci! — krzyczy Max.

— Dajcie mu powiedzieć — odzywa się Lucas.

— Nie mam nic do powiedzenia — mówi Haider. — Poza tym, że to zrobię. Bo trzeba. A nikt inny tego nie zrobi.

— Haider, my jesteśmy twoimi opiekunami — mówi Max. — Twoimi rodzicami.

Arjun kładzie dłoń na dłoni swojego *oko*.

— To jest poza nami. Może zrobić, co zechce.

— Cieszę się, że się ze mną zgadzacie — mówi Lucas. — Zapewniam, że nie będzie sam. Będzie mu towarzyszyć, tak długo, jak to będzie możliwe, urzędowa przedstawicielka Lunar Mandate Authority. Moja osobista Mão de Ferro.

— Tutaj personel pomocniczy, pod ręką. — Lucas prowadzi szefostwo LMA przez mostek nosa do północnej gałki ocznej. Laska głośno stuka w wypolerowaną kamienną posadzkę. — Sala posiedzeń komisji. Na sytuacje, kiedy sieciowe konferencje nie wystarczą. Dyskretna. Bezpieczna. — Czubkiem laski pokazuje przez okno—żrenicę kamienną twarz po drugiej stronie przepaści. — Mój gabinet. Oko w oko, że tak powiem.

— Oxala, pan Światła i Początku — mówi Anselmo Reyes. — A my mamy być umieszczeni w Omolu. To jest pan Śmierci i Choroby.

— Także uzdrowienia — odpowiada Lucas. — I opiekun cmentarzy.

Wang Yongqing sznuruje usta z niezadowoleniem.

— To będzie mało efektywne, dzielić i powielać naszą pracę między Południkiem i Boa Vista.

— Przewiduję, że przeniosę całe LMA do Boa Vista. Oddzielenie stolicy od największego miasta ma wiele zalet. Często praktykowane na Ziemi, choć nie w naszych państwach. Boa Vista byłoby waszym prywatnym miastem.

— Twoim prywatnym miastem — mówi Wang Yongqing. — Z LMA jako twoimi zakładnikami.

— To bardzo niesympatyczne określenie, madame Wang.

— Ale bardzo aktualne na Księżycu. *Senhor* Corta, LMA się niepokoi.

Pomiędzy sadzonkami ćwierkają ptaki. Błękitna rusałka przelatuje ociężale przed północnym okiem Omolu. Myślą szturcha Toquinho, *escoltas* przynoszą siedzenia. Wszystko jest przygotowane, wszystko ma opracowaną choreografię, Lucas nie pozwoli na żadne odstępstwa od scenariusza.

— Akredytowaliśmy i zatwierdziliśmy twoją asystentkę — mówi Monique Bertin.

— Moją Mão de Ferro — poprawia Lucas. Ziemniaki nienawidzą tego tytułu. Brzmi dla nich średniowiecznie i atawistycznie. Dlatego Lucas uwielbia go używać.

— I chłopaka — dodaje Anselmo Reyes. — I zapewniliśmy niewielką eskortę.

— Dziękuję.

— Nie prosiliśmy, by się pan w to angażował — mówi Wang Yongqing. Dłonie ma złożone na kolanach. Ludzie Lucasa stawiają stół, podają herbatę. — To nie jest przysługa. To jest biznesowe przedsięwzięcie, która ma jasne finansowe cele.

— Ja zajmuję się tylko biznesem, niczym innym.

Wang Yongqing przez chwilę patrzy na niego lodowato.

— Nie jestem przekonana, *senhor* Corta. Nie w naszym rozumieniu. Ostatnio wysyłał pan misje, urządzał spotkania, zawierał umowy —wszystko bez naszej wiedzy i zgody.

— Muszę kombinować, madame Wang.

— Jesteśmy zaniepokojeni — odzywa się Anselmo Reyes.

— Ziemia się niepokoi — mówi Monique Bertin. — Ostatnio wysłałeś swoją asystentkę do Świętej Ołgi, żeby zawarła z Woroncowami umowę na dyskretne dostawy.

— Port Księżycowy, system wind orbitalnych — mówi Anselmo Reyes. —Wiem, że polegaliśmy na wyrzutniach elektromagnetycznych VTO jako na ostatecznej karcie przetargowej, ale dać im jeszcze monopol na dostęp do przestrzeni pozaksiężycowej — na to Ziemia nie może się zgodzić.

— Nasza przysługa ma taką właśnie cenę — dodaje Wang Yongqing. —VTO poprosiło o poddanie tego pod głosowanie. Ty to zawetujesz. To nie jest demokracja. Czy wszystko jasne?

— Moje stanowisko jest jasne jak słońce — odpowiada Lucas Corta.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Samochód toczy się za jej plecami od jakiegoś czasu, zrównując się z nią szybkością, gdy kuśtyka po drodze o kulach. Ostry zgrzyt żwiru i kamieni pod kołami. Marina ma wrażenie, że ktoś przyciska jej lufę do karku.

— Kess, wiem, że to ty! — woła. — Miń mnie i tyle!

Słyszy, że samochód podjeżdża do niej z boku. Kessie opuszcza szybę i krzyczy:

— Nic ci nie jest?!

Marina napina mięśnie szczęk i determinację. Rytm, kołysanie. Rytm to wszystko. Zgubisz rytm i leżysz. Pamiętaj, że jesteś czworonogiem. Czworonożną istotą.

— Nic mi nie jest. Sio.

Pikap toczy się obok niej, Kessie wciąż jest nachylona do okna. Marina człapie po gruntowej drodze w stronę płotu pastwiska, znaczącego koniec jej świata.

— Czego chcesz, Kessie?! — woła.

— Pomyślałam, że może byś chciała zobaczyć gniazdo orłów na szlaku nad rzeką.

Noga, kula, noga, kula.

— Tam przy północnym biwaku?

Orzeł gnieździł się na usychającej sośnie, odkąd Marina pamięta. Niechlujna kupa wyłowionych z wody gałęzi co roku przykrywana nowymi.

— Mają drugi lęg.

— Się powodzi.

— Jeszcze je karmią.

Marina przystaje, opiera się na kulach.

— Kess, czego ty właściwie chcesz ode mnie?

Siostra otwiera drzwi pikapa. Marina wrzuca kule na pakę i ładuje się na siedzenie. Kessie zręcznie zawraca i jedzie z powrotem, mijając dom, pomalowaną na biało szopę, prawie niereagujące psy. Wjeżdża na ścieżkę prowadzącą ku rzece.

— Doktor Nakamura kazała ci odpoczywać. Kości masz słabe.

— Moje kości to moja sprawa.

Nadrzeczna ścieżka ciągnie się zygzakiem nad stromym zachodnim brzegiem. Opony wzbijają ciężki, pachnący kurz. Szybko osiada. Księżycowy pył opada powoli i świetliście, brokat i tęcze. Marina wspomina ślady w pyle pozostawione przez lunicykle jej i Carlinhosa podczas szaleńczej i wspaniałej jazdy, by przejąć Morze Wężowe dla Corta Helio. Byłoby je widać z kosmosu. Dałoby się zobaczyć teleskopem, który stoi na tylnej werandzie — dwie drobne szramy na lewym barku Księżyca w pełni.

Kessie przedziera się pikapem po ledwie widocznej ścieżce — odciski opon na wyschniętych kałużach, łamane gałązki, rozplaszczona trawa. Marina czuje każdy kamyczek i każdą

koleinę. Parkują w pełnej szacunku odległości od drzewa z gniazdem. A jest ogromne, jak druga korona tej usychającej sosny. Takie naprawdę stare gniazda mogą ważyć i z tonę. Wyschnięta trawa pod spodem jest cała zaplamiona odchodami. Rzeka, przeciskając się przez kamienie i żwir, znajduje nowe słowa.

— Ale serio: czego chcesz ode mnie? — pyta jeszcze raz Marina.

— Będziesz wracać? I zanim zaprzeczysz: mama mi powiedziała.

Marina próbuje usadzić się wygodnie na wytartym siedzeniu. Teraz nigdy nie jest jej wygodnie. Na całym tym świecie jest niewygodnie. Chlu—pot wody, kurz z drogi, wysokie, przejrzyste niebo, gdzieś na nim krążący orzeł — wszystko to wydaje się wątle i przezroczyście. Prześwietlone, zbyt jaskrawe kolory. Oszustwo. Drzewo jest płaskie, pozbawione kształtu, jak namalowane na kliszy. Dotkniesz ręką góry i palce przejdą na wylot. Księżyc może jest brzydki i surowy, może i nie wybacza, ale tylko tam czuła, że żyje.

— Kess, Księżyc mnie odmienił. Nie tylko fizycznie. Księżyc ma tysiąc sposobów, żeby cię zabić. I widziałam straszne rzeczy. Widziałam, jak giną ludzie. Okropną, głupią, bezsensowną śmierć. Księżyc nie wybacza, ale wiesz... tam się żyje tak intensywnie, to życie jest takie drogocenne. Oni tam umieją żyć. Tutaj dzieciaki, jak kończą siedemnaście, osiemnaście lat, co robią? Dostają samochód, nawalają się, robią imprezę. A tam? Biegną na golasa przez dziesięć metrów próżni. Wtedy czujesz, że żyjesz, w każdej sekundzie z tych dziesięciu metrów.

— Jeśli polecisz...

— To już nie wrócę.

Nadrzeczne miejsce na rozmowy, na skrzyp i szelest wiatru w gałązkach orlego gniazda.

— A w ogóle dasz radę polecieć? — Kessie nie chce na nią patrzeć. Siedzą obok siebie, a są w różnych światach. — Kiedy pierwszy raz leciałaś, po starcie powiedziałaś, że czułaś się, jakbyś miała zamienić się w ołów i umrzeć. To za drugim razem...

— Nie wiem — mówi Marina. — Skoro Lucas Corta mógł... — Dławi się tym wspomnieniem, nagłym i ostrym jak kość w gardle.

Lucas Corta — elegancki, schludny, przycięta broda, wybrylantynowane włosy, wypielęgnowane paznokcie, a kanty garnituru ostre jak noże Cortów. Takim go pierwszy raz zobaczyła, w Boa Vista, na przyjęciu z okazji Biegu Księżycowego, kiedy dostała pracę kelnerki, ratującą ją od powolnego uduszenia z braku pieniędzy na Cztery Żywioły. Zadławienie późnym kapitalizmem. Wrócić do tego, że nie wiesz, kto zapłaci za twój następny oddech? Tak, zdecydowanie tak. Ciemna plamka zatacza kręgi po niebie — martwe komórki w ciele szklistym jej oka czy orzeł?

— Mówiłaś, że Lucas Corta mało co od tego nie umarł — mówi Kessie.

— Umarł — odpowiada Marina. — Tylko wrócił. Lucas Corta jest nie do zabicia.

— Ale ty jesteś.

— Tak, ale ja się urodziłam na Ziemi. Mam odpowiednią fizjologię. Poćwiczę.

— To o to chodziło, kiedy dałaś się zepchnąć do rowu? — pyta Kessie. — Dlatego wychodziłaś? Żeby ćwiczyć?

To jednak ptak. Krąży po spirali, szerokie pióra na końcach skrzydeł, wymacuje nimi ścieżkę w powietrzu.

— Wtedy jeszcze nie postanowiłam.

Orzeł wznosi się nad zakrętem rzeki i szybuje z powrotem w głąb doliny.

— Czyli postanowiłaś?

— Postanowiłam, jak tylko wylądowałam. Księżyc jest paskudny, okrutny, cały czas się bałam, ale przez te dwadzieścia cztery luny czułam, że żyję, bardziej niż przez całe moje życie tutaj. Bo tu, Kess, nic, tylko cienie i mgła.

Orzeł zwalnia, hamuje w powietrzu, szeroko rozpościerając skrzydła, i opada na krawędź gniazda. W szponach ma coś łuskowatego i krwawego.

— Widzisz? — szepcze Kessie.

Znad brzegu gniazda podnoszą się główki, orzeł oddziera paski bladego rybiego mięsa i wkłada je do rozdziawionych dziobów.

Kijki do nordic walkingu są pewniejsze i lżejsze, ale Marina i tak wspina się ostrożnie po schodni na przedni pokład, krok za chwiejnym krokiem. Kessie już stoi przy relingu. To ich rodzinny rytuał — kto pierwszy zobaczy Space Needle w Seattle, gdy prom opłynie Bainbridge. Na wodzie nigdy nie jest

ciepło — Marina ciaśniej otula się cienką kurtką. Kiedy jej nie było, wieżę otoczyły bezbarwne wieżowce, jak ochroniarze — powyrastały nawet w Zachodnim Seattle, po drugiej stronie Elliot Bay. Bezzałogowy kontenerowiec nawiguje przez cieśninę w kierunku oceanu. Jest jak ruchoma metalowa ściana. Prom podskakuje na jego kilwaterze. Nagle Kessie woła:

— Jest! Widzę!

Rodzina Calzaghe pływa promem do miasta co najwyżej dwa razy w roku — a czasem całe lata obywają się bez podróży do Seattle. Długie podróże były częstsze, gdy mama była w szpitalu, wtedy widok góry był jak wyrocznia. Jeśli jest jasna i wyraźna, ze śnieżną czapą zaczynającą się niewyobrażalnie wysoko, wszystko będzie dobrze. A jeśli pokrywają ją chmury, jeśli pada, przygotuj się na złe wieści i rozczarowanie. Ale zawsze to była „ona” — góra Rainier, uspioła bogini, z głową pochyloną nad swoim miastem i wyspami.

— Jest ładnie — mówi Marina, ale nawet po dwóch latach widzi, że stopiło się więcej śniegu, a lodowce cofnęły się wyżej. Aż serce ją boli na myśl o bezśnieżnej Rainier — królowej bez korony.

Prom przybija do terminala, pasażerowie pędzą do samochodów i wyjść. Kessie toruje Marinie drogę przez tłum pieszych, ona jednak stwierdza, że napór tych ciał w wąskim przejściu właściwie dodaje jej otuchy. Księżyc to byli ludzie, wyłącznie ludzie, ludzie aż do końca.

Moto uwozi je pomiędzy ciemne wieżowce. Wygląda na to, że teraz co drugi pieszy i rowerzysta nosi maskę na twarzy. Kolejna ewolucja nowych i śmiercionośnych bakterii. Każdy

mieszkaniec Księżyca najbardziej boi się nowej ziemskiej choroby zawleczonej do hermetycznych księżycowych miast i przekazywanej z płuca do płuca przez kwadry Południka i wieże Królowej Południa, zanim zmobilizują się medyczne siły. Zaraza na Księżycu.

Biuro VTO to szklano—aluminiowa zabaweczka w znakomitym punkcie na brzegu jeziora Union. Za całościennymi animacjami przedstawiającymi cyklery na tle Ziemi lądują i startują wodnosamoloty.

— Możesz mi to potrzymać?

Kessie przytrzymuje kijki Mariny, gdy ta strząsa z siebie kurtkę. Dumnie wypinając pierś z logo Corta Hélio na koszulce, mijają aspirujących zieluniaków w holu. Odwracają się głowy, patrzą oczy.

— Mam wizytę w centrum medycznym — mówi Marina do recepcjonisty.

— Marina Calzaghe — odzywa się on. Typowy chłopak z VTO: wysoki, ładny, zabójcze kości policzkowe. Rzuca lokalizacją w asystenta Mariny. — Witamy ponownie. Rzadko ktoś drugi raz korzysta z naszych usług. — A gdy Marina łapie z powrotem kijki, dodaje: — Podoba mi się koszulka. Retro.

W poczekalni jest duży ruch. Nigdy nie brakuje ludzi, którzy chcą szukać fortuny na Księżycu. Młodzi ludzie wszelkich kolorów skóry i narodowości, nerwowi i podekscytowani. Testy są i psychologiczne, i fizjologiczne. Nie każdy wytrzymuje w ciasnym, klaustrofobicznym księżycowym społeczeństwie. Za tymi białymi drzwiami niektóre nadzieje zostaną zmiażdżone, a inne rozbudzone.

— Corta Helio. — Młoda kobieta w rzędzie przed Mariną odwraca się, rozgląda po potencjalnych towarzyszach startu i czyta napis na koszulce.

— Pracowałam u nich — mówi Marina.

— W którym dziale?

— W centrali. Byłam luniarką.

— Pani pracowała tam, na górze?

— Dwa lata. Maksimum.

— No to mam pytanie — mówi kobieta.

— Proszę pytać.

— Skoro pani już tam była, to czemu pani wróciła?

Otwierają się białe drzwi.

Manipulatory składają palce i chowają się w szczeliny w białych ścianach. Płyty przesuwają się i zamykają, zostawiając białą, gładką powierzchnię. Marina podnosi się z leżanki skanera. Kijki do chodzenia zostawiła pod drzwiami. Wydaje się jej, że droga od leżanki do nich jest dłuższa, niż była w przeciwną stronę.

— Nadaję się?

Doktor Jaime Gutierrez patrzy w wyświetlacz na soczewce.

— Prawdopodobieństwo przeżycia startu: osiemdziesiąt osiem procent — mówi. — Maksymalne przyśpieszenie na orbitę to dwa g, czyli praktycznie dwanaście razy tyle, co na Księżycu. Miłe to nie będzie, ale ma pani doskonały pancerz z mięśni. Ćwiczyła pani.

— Długi Bieg — odpowiada Marina, doskonale wiedząc, że doktor nie będzie wiedział, o co chodzi, a jest zbyt mało ciekawy, żeby zapytać.

Doktor wymrukuje obraz na soczewce.

— Jedno pytanie; dlaczego?

— Czy to element badania psychiatrycznego?

— Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wracał. Są turyści, menedżerowie, naukowcy z uniwersytetów, personel LMA — i oni są na zmianę sześć miesięcy na górze i sześć na dole. Ale ktoś, kto przepracował całe dwa lata? To nie. Jak wróci na dół, to już zostaje.

— Może nie trzeba mi było wracać — mówi Marina.

— Ktoś tam został, prawda?

— Prawda. Ale musiałam się znaleźć tutaj, żeby to zrozumieć.

— Trochę kosztowna chwila zrozumienia.

— To tylko pieniądze.

Doktor uśmiecha się i Marina ma wrażenie, że źle go oceniła. Drzwi otwierają się, do białej sali wchodzi Melinda. Marina zapomniała o swojej rehabilitantce w chwili, gdy światła jej samochodu zniknęły za zakrętem na leśnej drodze.

— Jaime, skończyłeś?

— Jest zdatna do lotu — odpowiada lekarz.

— Marina, muszę zamienić z tobą parę słów.

Marina idzie za nią korytarzem, końcówki kijków stukają o drewno.

— Kawy? — pyta Melinda, gdy Marina sadowi się ostrożnie na kanapie w małym, jasnym pokoiku z wysokimi oknami z

widokiem na jezioro Union. Niskie kanapy to tapicerowane pułapki na księżycowe kobiety. Da się usiąść, ale wstać już nie.

Kawa przybywa razem z kobietą w kostiumie mówiącym „rządowy funkcjonariusz”. Nalewa dwie filiżanki.

— Melindo, dziękuję.

Melinda przesuwa filiżankę po niskim stoliku w stronę Mariny.

— Nazywam się Stella Oshoala. I pracuję dla Agencji Wywiadu Departamentu Obrony.

— Tak właśnie myślałam, że to będzie coś takiego.

Stella Oshoala wrzuca do kawy dwie porcje cukru i upija łyk.

— Spotkałeś się z wrogością ludzi z okolicy.

— Wszystkich powracających tak obserwujecie?

— Tak. Wielu ma trudności z asymilacją do ziemskiego stylu życia. Po Księżycu często pozostaje skłonność do nieortodoksyjnych idei politycznych. Ekstremalny libertarianizm, utopijne społeczności, anarcho—syndykalizm. Alternatywne koncepcje systemu prawnego.

— Ja nic innego nie chciałam, tylko się dopasować. Urządzić sobie życie na nowo.

— Ale to przecież nieprawda, co, Marina? — Stella Oshoala odstawia filiżankę. — Wracasz. To coś niezwykłego.

Kawa Mariny już nie smakuje zachwytem i nostalgią.

— Czego chcesz?

— Chcę pokryć koszty opieki zdrowotnej twojej matki.

— Ja płacę za jej opiekę, a ty się trzymaj od niej z daleka.

— Możesz płacić za jej opiekę albo polecieć na Księżyc. Na jedno i drugie cię nie stać.

— Grzebaliście mi w kontaktach?

— Złożyłaś wniosek o pożyczkę na przelot Ziemia—Księżyc. To oczywiste, że się zainteresowaliśmy.

Baba z rządu ma rację. Na coś musi zabraknąć. Marina nie przewidziała wzrostu ceny przelotu ani spirali kosztów opieki medycznej. Ale VTO, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zjawiała się w tym biurze nad jeziorem na badania kontrolne, było gotowe udzielać pożyczek potencjalnym luniarzom. I teraz, tak jak wówczas, w środku dyskretnej nocy wypełniła wniosek. Bała się zdradzić swój sekret — luniarka Marina, od lat finansowy filar rodziny Calzaghe, nie jest tak bogata, jak się jej wydawało.

— Chcę tylko wypełnić moje obowiązki.

Stella Oshoala patrzy na własne buty. Usta jej drgają.

— Musisz wiedzieć, że twój wniosek o pożyczkę prawdopodobnie nie zostanie zatwierdzony.

Marina ma wrażenie, że ciężenie wyciąga łapska i ciągnie za wszystko, co w niej mocne. Pokój kołysze się. Podłoga wygina się ku niej.

— Co takiego?

— VTO nie zatwierdza twojej pożyczki.

— To tylko sto k.

— Sto k, czy sto tysięcy, odpowiedź jest taka sama — mówi Stella Oshoala. Upija łyk kawy, ale ta tymczasem zrobiła się zimna i paskudna.

— Nie rozumiem... — zacina się Marina. Jej świat się zawalił. Wszystkie nadzieje spadają teraz w tę dziurę w środku serca.

— Powracający, który chce znowu zostać zieluniakiem, to nie jest dla VTO bezpieczna i stabilna inwestycja.

Stella Oshoala patrzy jej w oczy.

— Chcę, żebyś coś dla nas zrobiła. I za to ci zapłacimy. Wystarczy na pokrycie tego deficytu. Z nawiązką.

Z tej dziury wyziera złość.

— To wy powiedzieliście VTO, żeby odrzuciło mój wniosek, tak?

Stella wzdycha.

— Jesteś w nietypowej sytuacji i ze strony naszej organizacji niedbalstwem byłoby tego nie wykorzystać.

— Chcesz, żebym została szpiegiem.

Stella krzywi się.

— Takiego słowa się u nas nie używa. Nas interesuje informacja. Aktualności. Przemyślenia. Nasz rząd nie jest liczącym się graczem w LMA. To, co się tam dzieje, jest bardzo ważne, ale Rosja i Chiny rzucają nam tylko ochłapy.

— Czyli mówisz mi, że to mój patriotyczny obowiązek?

— Takiego słowa też się u nas nie używa.

Mariną czuje się uwięziona w miękkiej, przepastnej kanapie.

— Mam szpiegować swoich przyjaciół. — Złość jest czerwona, rozżarzona i tak wspaniała, że musi ją opanowywać. Gryzie się w język, żeby nie powiedzieć „ludzi, których kocham”.

— Twoja matka będzie miała najlepszą opiekę — mówi Stella Oshoala.

Teraz czerwona furia daje siłę do podniesienia się z obezwładniającej sofy i przejścia przez pokój do odstawionych

pod ścianę kijków.

— U nas w rodzinie dba się o swoich — odpowiada, wsuwając dłonie w paski i ściskając uchwyty.

— Decyzja należy do ciebie! — woła Stella Oshoala, ostatnie słowo za odchodzącą już korytarzem Mariną.

Tik—tak. Tik—tak, tik—tak. Szpieg. Zdrajczyni, donosicielka. Upokorzenie jest tym gorsze, że tamta miała rację. Nie stać jej, by polecieć na Księżyc i zapewnić mamie opiekę. Ani by zdradzić rodzinę, która przyjęła ją do siebie, wyciągnęła z pyłu, zaufała i powierzyła jej swoje życie. Życia.

— I jak? — pyta Kessie, gdy Marina mija kolejkę pełnych nadziei czekających, z księżycami w oczach, i idzie w stronę podjeżdżającego samochodu. — Coś długo cię nie było.

— Zdrowa na ciele i duszy — odpowiada. — Pomóż mi z tym, dobra?

Kessie przytrzymuje kijki, a Marina szamocze się z kurtką. Jest za mała i za ciepła na to miasto, ale dumna koszulka z napisem Corta Hélio jest teraz jak piętno zdrady.

Wokół góry Rainier zgromadziły się chmury. Kapryśna bogini. Marina odwraca się plecami do niej, do Space Needle, do przyczajonych jak oprychy wieżowców nad Elliott Bay. Zdradzieckie miasto, ściska reling i patrzy ponad zatoką i cieśniną w stronę rodzinnych gór. Zapina kurtkę pod szyję. Na wodzie wiecznie jest zimno. Ale dobra kurtka nigdy cię nie zawiedzie.

Prom zdążył opłynąć południowy cypel wyspy Bainbridge, zanim odezwała się Kessie.

— Niezły masz humor, siostrzyczko. Coś się tam stało?

W granatowej wodzie kręcą się meduzy, bukiety z galaretki i trucizny.

— Musisz mi teraz pożyczyć sto tysięcy dolarów.

— A, to o to poszło.

— Poszło o to, Kessie. — Marina ściska drewniany reling tak, że bieleją jej kostki. — Tak naprawdę, poszło o to, że DLA chce ze mnie zrobić szpiega.

Na obu kamiennych brzegach stoją drewniane domy, eleganckie i bogate. Za nimi wznoszą się drzewa.

— Oczywiście tak tego nie nazwali. To byłby „strumień informacji”. Mam im sprzedać Cortów, a oni zapłacą za leczenie mamy.

Dźwięk silnika zmienia wysokość, gdy prom zaczyna przybijać do nabrzeża w Bremerton.

Kessie nerwowo przestępuje z nogi na nogę przy relingu.

— Muszę zapytać...

— Cortowie to najbardziej egocentryczna, narcystyczna, arogancka, porąbana banda skurwysynów, jakich w życiu widziałam — mówi Marina. — I szlag mnie trafia w każdej sekundzie, kiedy jestem z dala od nich.

Głośniki ryczą ostrzeżenia o przybijaniu. Prom wzdryga się, gdy ruszają stery strumieniowe na dziobie. Ciemne fale ochlapują betonowe pale i gumowe odbijacze przystani.

— No nie wiem, Marina.

— Kess, muszę działać szybko.

— Oj, Marina, ja nie wiem.

Rampa zjazdowa zgrzyta o beton nabrzeża. Marina zostaje przy poręczy do końca. Wyraźnie widzi, gdzie na parkingu stoi samochód Kessie, który zaraz powiezie je między górami i wodą do przykrytego lasem domu.

DWADZIEŚCIA DWA

Haider marszczy czoło, mruga w skupieniu, rozchyła nozdrza.

Alexia rozumie, że kiedy się boisz, kiedy jedziesz na spotkanie najgorszej rzeczy na świecie, od której nie ma ucieczki, to chcesz się zatopić w ulubionych rozrywkach. Muzyce, czatach, ulubionych serialach. Ale, bogowie, ile razy taki trzynastolatek może grać w Dragon Run?

Wagonik LMA wyjeżdża ze Stacji Hypatia na gładkie szklane pola pasa słonecznego. W sam krajobraz, żeby skupić się na samym sobie, na ponurych refleksjach, na samopoznaniu. Bogowie. Tak tę myśl rozpoczęła. Bogowie. Po księżycowemu. Bogowie, święci, *orixas*, jedna zwariowana *feijoada* stapiająca się w coś dziwnego, nowego, w coś więcej. A ona teraz jest elementem tego mieszania, stapiania, łączenia. Ile minęło, odkąd ostatni raz myślała o domu, o zieleni i błękie Barry, o mieszkańcach Ocean Tower, którzy wiwatowali i wznosili toasty na cześć jej lotu w kosmos, o pięknym pustaku Nortonie, o Marisie i Caio? Dni zapomnienia zlewają się w luny, a któregoś dnia stwierdzisz, że minęły lata i już nie możesz wrócić.

— Haider.

Zero reakcji.

— Haider.

Przenosi wzrok z gry na Alexię.

— Masz to schowane?

Haider otwiera usta. Alexia widzi odłamki koloru pod językiem, w policzkach. Czerwony, zielony, niebieski, żółty. Czarnego nie widzi, skrytego w ciemnościach ludzkiego ciała. Ale on tam jest. Ostatnia śmierć z pięciu.

— Ja pierdziele, Haider!

Wypluwa pojemniczki na dłoń.

— Na razie próbuję. Nie zauważyłaś, jak je wkładałem, prawda? Podpatrzyłem parę sztuczek magicznych Robsona. Przemyślałem to sobie. Nie mogę ich ukryć w tyłku, bo nie wyciągnę ich niepostrzeżenie. A tak schowam je, kiedy dojedziemy, wyciągnę z powrotem przy Robsonie. Muszę tylko mieć cały czas zamknięte usta.

— A co, jeśli połkniesz?

— Są zakodowane na DNA Robsona. Tylko on może je otworzyć. Przeze mnie po prostu przelecą.

I ty na tym polegasz?

— Ile zostało do João de Deus?

— Dziesięć minut.

— To jeszcze zdążę. — Haider rozpiera się na siedzeniu, skupia wzrok z powrotem na grze.

Dziwny chłopak. Celowo trudny, żeby to inni musieli się do niego zbliżać. Podczas jazdy z Theophilusa próbowała z nim rozmawiać, ciągnąć go za język, zrozumieć go. Odtrącił

wszystkie próby. Ta introwersja, milkiwość odrzucają ją. W życiu nie chciałaby takiego przyjaciela, ale w końcu nie ma trzynastu lat, nie jest chłopcem, nie jest Robsonem Cortą, a po drugie, żeby ocenić przyjaźń, trzeba znać obie jej strony. A on jest przyjacielem, największym i najodważniejszym, jakiego w życiu widziała.

Wagonik zwalnia. Hamowanie wytrąca Haidera z gry. Gwardia honorowa LMA zajmuje pozycje, kiwając się, gdy wagonik przeskakuje przez zwrotnice na tory prowadzące do João de Deus. Czterech najlepszych najemników, nie—Cortów, jakich udało się zwerbować Medeirosowi. Jeśli dojdzie do prawdziwej walki, wytrzymają czterdzieści sekund. I oni o tym wiedzą. Wagonik wpada do tunelu, migają światła, potem zwalnia, hamując przed stacją.

— No dobra, Haider.

Zero odpowiedzi.

— Haider?

Kiedy patrzy ponownie, dłoń Haidera jest pusta.

Alexia nie cierpi João de Deus. Nie cierpi gęstego, przeoddychanego powietrza, nie cierpi smrodu oleju do smażenia wrośniętego głęboko w porowatą skałę, odoru szczyń i kiepsko utylizowanych ścieków. Nie cierpi posmaku pyłu i jego cichego zgrzytania pod podszwami jej butów z Bonwita Tellera. Nienawidzi wredoty tych ulic, przewieszających się groźnie pięter, klaustrofobicznie niskiej linii słonecznej — widać pojedyncze segmenty sztucznego nieba. Nienawidzi

spojrzeń wiodących za nią, gdy je mija, dobiegających z zaułków i *ladeiras*, wbijających się w nią na skrzyżowaniach. Wie, co mówią. *Mão de Ferro? Była i jest tylko jedna Mão de Ferro — ona zbudowała to miasto, zbudowała imperium helowe na regolicie wyeksploatowanym ze wszystkiego innego. Adriana Corta.*

Jej amulety i zaklęcia są doskonałe — na peronie przywitał ich Hossam El Ibrashy, nowy Pierwszy Nóż Mackenzie Helium. Finn Warne, jego poprzednik, jest teraz Pierwszym Nożem w Hadleyu.

Pięćdziesiąt noży Mackenziech wylądowało na tych dwóch peronach, pokonało obronę Corta Hélio i zaatakowało prospekt Kondiakowej, poinformował ją Maninho, gdy wagonik LMA wjeżdżał na stację. Po prawej, na pierwszym poziomie, podświetlam dawny apartament Lucasa Corty. Miał najlepszy na dwóch światach pokój muzyczny Nie może odmówić spojrzenia — widzi okopcone okna, osmolone wnętrza, wyobraża sobie, że wciąż czuć spalone drewno i stopione tworzywa. Hossam El Ibrashi zagaduje ją miło, dwa pozostałe noże są spięte i dyskretne, a Maninho szepce jej do ucha całkiem inną opowieść. Każdy centymetr miasta jest naznaczony perfidią Mackenziech — każde drzwi i każdy zaułek to pamiątka ich okrucieństw. *Estadio da Lus, stadion João de Deus Jaguars, dawniej Gatinhas i Moços.*

— Poczekajcie chwilę.

Maninho podświetla stację tramwaju do Boa Vista, zamkniętą i zahermetyzowaną, lecz przed nią jest coś, czego chowaniec nie ma zapisanego wśród swoich opowieści. U

podnóza ściany migocze półokrąg biolamppek — czerwonych, zielonych, złotych. Wśród nich tanio wydrukowane figurki kiwają się lub chwieją na niepewnych podstawkach.

— Chwilę. — Alexia oddziela się od eskorty i kuca przed biolampkami.

Haider przyłącza się do niej. Na ciśnieniowej ścianie wiszą ikony — stare kobiety w bieli i koralikach, jak z Bahii. Mães de Santo, Siostry Panów Chwili, ustawione wokół niepełnego trójkąta portrecików. Dwóch mężczyzn, pośrodku kobieta i puste miejsce po jednym, którego ktoś zabrał, wciąż lepkie od samoprzylepnych kwadracików. Ten portret leży twarzą do dołu wśród wotów. Alexia dotyka po kolei każdego z nich. Zatem to Rafa. Złote dziecko. Uśmiechnięty, popularny, Alexia dostrzega jednak demona za oczyma. A to Carlinhos, wojownik. Jest piękny. Alexia żałuje, że nigdy go nie pozna. A to śniada kobieta o wyrazistych rysach, ciemnych włosach przyprószonych radiacyjną siwizną i cesarskim spojrzeniu — to może być tylko Adriana Corta. Żelazna Ręka, która wydarła z regolitu własną dynastię. Ta Żelazna ręka nie opłacałaby przestępców, żeby przynieśli sprawiedliwość ludziom, którzy pobili jej brata. Ta Żelazna Ręka sama wykułaby i wymierzyła sprawiedliwość.

Alexia nie musi podnosić przewróconego portretu, żeby wiedzieć, kto na nim jest. Żelazna Ręka, uwodziciel, wojownik. Zdrajca. Zobaczysz jeszcze, João de Deus.

— *Senhora* Corta, trzeba iść.

— Oczywiście.

Ściska dłoń Haidera. Zerka na nią spłoszony, ona żałuje tego gestu — za bardzo podskoczy i może się udławić ukrytymi w ustach śmierciami.

— *Prawie jesteśmy* — mówi na ich prywatnym kanale.

Firma Mackenzie Helium przywłaszczyła sobie pół kilometra biur przy samym prospekcie. Logo ma neonowe, wysokie na trzy piętra. Silna ochrona. Alexia rozpoznaje zwerbowanych *santinhos* po ich ukradkowych spojrzeniach, pełnych poczucia winy i nadziei.

— *Senhora* Corta, proszę wybaczyć, ale dalej pani nie pójdzie.

Kiwa głową Haiderowi. Spodziewali się tego, lecz i tak ma wystraszoną minę.

— Haider, ty idź. Wszystko będzie dobrze.

Miła obsługa w eleganckich mundurach Mackenzie Helium zapewnia jej fotel i przynosi herbatę. Hossam El Ibrashy delikatnie dotyka ramienia Haidera i wyprowadza go za rozsuwane drzwi.

Pomieszczenie jest białe, jasne, wyłożone sztuczną skórą barwy kości słoniowej. Żadnych okien. Haider mruga, oślepiiony nadmiarem światła.

Robson jest jak duch, w białych szortach i koszulce bez rękawów. Jego skóra i włosy odcinają się od wszechobecnej bieli, bieli, bieli.

— Zostawię was samych — mówi Hossam El Ibrashy. — Na pięć minut.

Drzwi zamykają się. Teraz to, czego nie dało się przećwiczyć, co musi się udać za pierwszym razem. Teraz jest próba ich przyjaźni, na ostrzu noża — Robson musi zrozumieć i zgodzić się, bez słowa szeptu, bez zmrużenia oka. To jest prawdziwa magia.

— Cześć.

— Ola.

Haider przytula Robsona. Wciąż jest jak wór pełen kości i lin. Przyciska go mocno do siebie.

Teraz.

Całuje go. W usta. Wpycha mu w wargi pierwszą śmierć. Szybko, szybko, proszę, szybko. Kamery patrzą. AI skanują prywatne częstotliwości. Kwantowe procesory już czekają, gotowe roztrzaskać szyfry jak czaszkę niemowlęcia. Robson waha się, potem Haider czuje, że się rozluźnia. Otwiera usta. Haider splata palce na jego plecach, przekrzywia głowę, by całować głębiej, dłużej, bardziej namiętnie. Śmierć za śmiercią przesuwa trucizny do ust Robsona.

— Cały i zdrowy, cały i zdrowy, jak się cieszę — papla wciąż przyciśnięty do niego. To zmyłka, a jednocześnie ulga dla nerwów. — Nic ci nie jest? Dobrze cię traktują? Dobre masz jedzenie? Pozwalają ci się poruszać? Wagner kazał cię pozdrowić, nie pozwolili mu tu przyjechać. A wiesz o... o tym, co się stało?

Robson kiwa poważnie głową, otwierając szeroko oczy.

— Tak. Jestem cały.

Czy AI usłyszy zmianę w jego głosie? Odczyta, co kryje się za tą niezręcznością? Czy tylko sobie to wszystko wyobraża?

— Napijesz się horchaty? — pyta Robson. — Mam tu kuchnię. Czy coś podobnego.

Trudno się rozmawia. Rozmowa jest ciężka jak ołów, słowa są chropowate i niewygodne. Wytrzeszcza oczy, widząc, że Robson też upija łyk Nic. Chłodny, opanowany, jakby właśnie zbierał się do *saut de bras* zbiornika wodnego na poziomie 5. Sprytnie, bardzo sprytnie. Pije horchatę, więc nie może nic mieć w ustach. Zapominają, że Robson zna i wszystkie sztuczki, i wszystkie zmyłki.

— Mam tu siłownię, chcesz zobaczyć? — pyta Robson. Ma tu więcej pokoi, w tym swoim więzieniu, niż całe sektory Theophilusa. — Powinienem niby ćwiczyć. — Pokazuje Robsonowi sztangielki, bieżnię, stepper, maszynę do obrotów. — Kupa sprzętu, żeby poprawić wygląd mojego tyłka... — Marszczy czoło. — Przepraszam. Muszę do łazienki. Zaraz wrócę.

I tam zachodzi podmiana. Z ust do innej kryjówki. Nie w samej łazience, ją na pewno przeszukają. Pewnie w tyłku. Robson spokojnie robi to tak, że nic nie zauważą, nawet jeśli są tam kamery — a Haider wie, że Bryce nie miałby z tym problemu.

— Przepraszam. Tak mi się robi. Coś tu jest nie tak z wodą.

Otwierają się drzwi.

— Przepraszam, ale już czas — odzywa się Hossam El Ibrashy.

— Pocałuj mnie jeszcze raz — mówi Robson.

Ten pocałunek domyka sztuczkę. Dziękuję ci, mówi samymi ustami i całuje Haidera. *Wagner mówi: nie jesteś sam,*

odpowiada Haider. Koniec sztuczki. Robson ujmuje twarz Haidera w dłonie. Wielkie oczy, piegi. Haider ma wrażenie, że zaraz pęknie mu serce.

— Teraz pocałuj mnie na pożegnanie — dodaje i całuje Haidera, jakby miał nastąpić koniec świata, jakby to była ostatnia rzecz w jego życiu.

Błoto jest gęste i szare, a tam, gdzie jego fale i fałdy łapią światło, połyskuje jak mika. To bardzo skomplikowana ekologia suplementów mineralnych, substancji odżywczych, złuszczających i nawilżających, przeciwgrzybiczych, przeciwbakteryjnych oraz fagów chroniących przed najbardziej odpornymi chorobami przywleczonymi z Ziemi. Wypełnia basen wpuszczony w podłogę apartamentu prezydenckiego.

Bryce Mackenzie rozpiera się w falach szarego błota, nabiera je garściami i rozsmarowuje po obwisłych piersiach. Zniewaga porażki pod Hadleyem spływa zeń jak martwe komórki naskórka.

— Cudownie — mruczy. — Cudownie.

Błoto przyjechało z Królewskiego Dworu BALTRAN—em i już czekało, ogrzane jak maść, na jego przybycie. Podróże to ból i dyskomfort, niewygodna i niestrawność. Od dwóch lat Bryce coraz więcej godzin spędza w swoim błotnym basenie.

— Przyprawdźcie go do mnie — rozkazuje.

— Jak go przygotować? — pyta Hossam El Ibrashy.

— W kąpielówkach. — Głos Bryce'a jest ochrypły i szorstki z pożądania.

Hossam pochyla głowę i wychodzi. Bryce opiera się o ścianę basenu. Błoto ścieka ze wzniesień jego brzucha i piersi. Migocze w fałdach na szyi, w zmarszczkach podbródków. Wymazał sobie nim policzki, jakby to były barwy wojenne. Oddycha ciężko, ale regularnie, serce nieco ściśnięte dusznościami. Jeszcze sto tysięcy uderzeń wytrzyma, zapewniają lekarze. W tym João de Deus lepiej niech wierzą lekarzom. Czuje, jak penis porusza mu się w ciężkim, ciepłym błocie.

— Bryce?

Hossam El Ibrashy staje za chłopcem, z jedną dłonią na jego ramieniu.

— Dziękuję, Hossam. — Bryce lustruje Robsona Cortę. Kąpielówki skąpe i śnieżnobiałe. Żadnych kłapek. Nigdy nie był w stanie dojść do orgazmu z kimś, kto ma czymkolwiek zasłonięte stopy. — No dobra, podejdź, niech ci się przyjrzę. — Słyszy we własnym głosie pulsującą żądzę. To jest ten moment, kiedy odbiera Lucasowi Corcie wszystko. — Zdaje się, kazałem ci nabrać trochę mięśni? Chudy jesteś, kurwa, jak dziewczynka.

Żadnej odpowiedzi. Opór w oczach, w ustach. Świetnie. Słodziutkie jest takie zacięcie. I dużo frajdy, gdy się je łamie.

— Ale ujdzie. No dobra. Zdejmuj to.

— Co?

To coś mówi. Cud nad cudami.

— Te speedo. Ściągaj je.

Konsternacja na twarzy. Trafienie. W sam środek. Będą i kolejne, jedno za drugim.

— No ja pierdolę, a ty myślałeś, że co tu będzie? Rozbieraj się.

— A możesz...? — Chłopak wachluje palcami — *odwróć się, odwróć*. Teraz to Bryce musi z niedowierzaniem powiedzieć „co”? — Nie patrz.

— Zdejmuj je, kurwa, i tyle.

— Tak, tak, zaraz, tylko...

— No szlag mnie trafi.

Bryce odwraca się. Ten mały Corta później mu za to zapłaci. Mackenzie. Był, jest, zawsze będzie Mackenzie. Jego.

Kiedy usłyszał, że Bryce każe mu się rozebrać do naga, myślał, że serce mu stanie. Pięć śmierci ukrył w skąpych białych kąpielówkach — łatwa sztuczka. Powsuwał gołe igły w rozciągliwą białą tkaninę — wiedział, że muszą być gołe, bo w życiu nie zdąży poodblokować i pootwierać tych plastikowych pojemniczków. Gołe igły tuż przy jego skórze. Trzeba się poruszać ostrożnie i dokładnie. Ale też żaden ruch parkourowca ani iluzjonisty nie będzie nieostrożny czy niedokładny.

Jednakże plan nie obejmował pozostawienia ich na podłodze w spa Bryce'a.

Trzeba szybko, trzeba pewnie, trzeba bezpiecznie. Pośpiech, nieostrożność, nieuwaga i to on będzie wymiotował, wykrwawiał się i wysrywał własne organy na gumowe maty. Po jednej, ostrożnie, i następna. Wyciąga ze spodenek pierwszą igłę, czerwoną śmierć, i wplata ją sobie we włosy. Pamiętaj, gdzie jest, zanotuj to w pamięci mięśniowej. Nie możesz nie trafić. Niebieska śmierć, zielona.

— Już prawie — mówi. Biała i czarna. Wplecione w jego afro.
— Jestem gotowy.

Nigdy w życiu nie czuł się bardziej nagi, odsłonięty, bezbronny. Jest samą skórą, mięsem, niczym więcej. Klęka na boku basenu z błotem. Nie może się przemóc, żeby go dotknąć. To brud. Ale na pływającego w nim uśmiechniętego człowieka nie jest w stanie nawet spojrzeć. To coś gorszego niż brud. To zgnilizna.

— No, tak lepiej, prawda? — Bryce przesuwa się pod nim, uśmiecha się w górę. Wypucza mięsiste wargi. — A teraz mnie pocałuj, jak tego swojego cwela—kochasia.

Robson nachyla się niżej.

— Nigdy w życiu.

Unosi rękę. Pamięć ciała jest idealna. Bierze Czerwoną Śmierć i wbija ją z całej siły w lewe oko Bryce'a.

— To za Rafę! — krzyczy, gdy Bryce rzuca się w agonii, a igła miota się w krwawiącej gałce ocznej.

Krzyk więźnie w gardle Bryce'a, gdy przez ciało zaczynają przechodzić skurcze, na powierzchnię basenu przebija się fala cuchnącej, płynnej biegunki. Robson ma już w ręku drugą śmierć. Wbija ją gładko i głęboko w prawe oko Bryce'a.

— To za Carlinhosa.

Bryce wymachuje rękoma na oślep. Robson bez trudu przytrzymuje jedną z nich, jednocześnie wysuwając z włosów kolejną śmierć. Krew cieknie mu po przegubie — Bryce krwawi ze wszystkich porów. Porów, uszu, kanalików łzowych, kącików ust. Krew spływa po rozedrganych fałdach tłuszczu na falującą

powierzchnię błota. Pęcherz i jelita wciąż wypompowują do basenu swoją zawartość.

Trzecia śmierć, śmierć duszy, ląduje w lewym oku obok pierwszej.

— A to za parkourowców z Królowej Południa! — Robson drze się teraz histerycznie.

Cichutki głosik wydaje długi, przeciągły jęk. Bryce wywróciłby oczami, ale trzymają je igły.

— To za Hoanga! — Rozwrzeszczany, na wpół ślepy od łez, spięte wszystkie mięśnie, żeby zachować dyscyplinę, Robson wbija czwartą śmierć: śmierć jaźni.

Dłonie już nie sięgają po Robsona. Teraz się trzęsą, rozpościerają błagalnie. Gardło mu się kurczy, fala krwawych wymiocin wytryskuje z ust, spływa po tłustej piersi. Błotny basen jest śmierdzącym bagnem zgnilizny, szczyń, gówna, krwi, wymiocin i rozpuszczających się organów. Pewne palce Robsona wyłuskują z afro ostatnią śmierć. Pokazuje niewidzącym oczom Bryce'a czarną igłę.

— A to ode mnie. — Wbija ją głęboko w lewą gałkę oczną.

Gdzieś daleko, głęboko, cichutki głosik przebija się przez piekło halucynacji, bólu i obumierających zmysłów.

—Jebany. Corta. Bomby. Miasto. Podłączone. Do mojego serca. Bomby!

Robson zamiera. Drzwi do spa otwierają się gwałtownie. Odwraca się, widzi szarżującego Hossama z dwoma uniesionymi nożami. Usuwa się, nagle słyszy świśnięcie i coś owija się wokół szyi tamtego. Kostki z surowej skały przyśpieszają, rozkręcają się i rozgniatają mu głowę jak mango.

Do pomieszczenia wpada inna nożownicza Mackenzie Helium, wbija nóż w ciało Hossama, przebija go od kręgosłupa po płuco, choć zaimprovizowana bola już załatwiła sprawę.

— Nic ci nie jest? — Po portugalsku. *Wagner mówi: nie jesteś sam.*

— W mieście są bomby — szepcze Robson. Nie ma siły.

Bryce Mackenzie osuwa się, uśmiechnięty, w parszywy ściek własnej śmierci.

Kobieta podaje mu rękę. Wszędzie są bomby, wszyscy muszą uciekać, a ona mu podaje rękę?

— Bomby są podłączone do serca Bryce'a. Jeśli umrze...

Nożownicza stawia Robsona na nogi. Błoto zasklepia się nad twarz; Bryce'a, wlewa mu się do otwartych ust.

— A, to. — Ma akcent *santinho*. Czyżby Robson słyszał teraz głosy, krzyki, odgłosy bitwy? — Luny temu znaleźliśmy i pozdejmowaliśmy.

Robson robi chwiejny krok. Nóż zrzuca z siebie kurtkę i wsuwa mu ręce w rękawy. Cały się trzęsie — potężne, rozdzierające całe ciało sejsmiczne wstrząsy.

— No chodź, Corta — mówi tamta.

Pomaga mu naciągnąć kąpielówki. Zarzuca sobie na szyję jego rękę i kuśtyka z nim do drzwi.

— Corta — szepcze Robson. Świat jest jednocześnie ogromny i bardzo mały, bliski i nieskończenie odległy, a on nie może przestać się trząść. Zaczyna szlochać. Nie może przestać. Furia się wypaliła, a jej popioły są zimne i martwe.

— Chodź, napijesz się gorącej, dobrej herbaty — mówi ona.

— Horchaty — wyjękuje Robson przez łyżę. — Ja piję horchatę!

Wagner Corta nigdy nie zaprzętał sobie głowy zabbalinami. Są jak Piąty Żywioł — rozbierają i odzyskują, czyszczą i filetują, oddzielają ciało od kości i wytapiają tłuszcz. Życie, pamięć, sprowadzone do pierwiastków chemicznych.

Wszyscy tak kończą, jako tabelka: węgiel, den, azot, wapń, pierwiastki śladowe. Węgiel umarłych staje się surowcem do drukarek 3D żywych.

On też skończy w ten sposób: zmierzony, podzielony, jako czyjaś sukienka koktajlowa, czyjaś zabawka do ciągnięcia na sznurku, czyjś nóż do zabijania.

Zabbalini są dyskretni. Zabbalini są skrupulatni. W mieszkaniu nie została ani plamka krwi, ani komórka skóry. Ani śladu, że wydarzyło się morderstwo. Morderstwo i porwanie. Wagner wyobraża sobie, że zapach krwi, morderstwa, noży musiał wtopić się w ściany i podłogi. Ale zabbalini są dobrzy — w mieszkaniu pachnie cytrusami zmieszanymi z wszechobecnym, elektrycznym zapachem księżycowego pyłu.

Mieszkanie.

Ich mieszkanie.

Cieszy się, że zabrali wszystkie meble i zostawili gołe ściany.

Haider znalazł ją pod drzwiami. Tutaj. Staje w tym miejscu. Myśli o jej palcach, tak sprytnych, że potrafiły wydobyć najwspanialszą muzykę z giętego drewna i naciągniętego drutu.

O palcach, które próbowały zamknąć śmiertelną ranę, palcach trzepoczących, poddających się, czerwonych aż po knykcie, dłonie, nadgarstki.

Nie może tego sobie zbyt długo wyobrażać.

Nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Ktokolwiek to zrobił, którykolwiek z noży czy najemników Bryce'a, jest nadzieja, że posmakował tego samego, kiedy powstało João de Deus.

Musi stąd wyjść. Nagle zauważa na półce złożoną karteczkę. Nie ma mowy, żeby przeoczyli ją zabbalini, chyba że po prostu nie była do nich. Liścik. Złożony czterokrotnie.

Przepraszam, Wagner. Nie można mi wybaczyć. Zdradziłam Cię. Zdradziłam.

Zawsze rodzina. Rodzina jest najważniejsza.

Słowa o zdradzie są napisane odręcznie, archaicznymi znaczkami na kosztownym papierze. Słowa jak nuty — dzieło jej palców.

Robson zgniata kartkę. Chciałby ją rzucić i cisnąć na środek mieszkania, szyderstwo z perfekcjonizmu zabbalinów, ale nie jest w stanie. Choć zdradziła, i tak nie powinno jej się zostawiać tak leżącej, żeby znaleźli ją obcy.

Bryce Mackenzie nie żyje. Robson jest bezpieczny. Wagner już może zamknąć za sobą drzwi, wsiąść do BALTRAN—u i wrócić do swojego miasta i swojej rodziny.

DWADZIEŚCIA TRZY

— *Nie jestem wojownikiem* — mówi w łaziku oddalającym się od terminala BALTRAN—u.

— *Jestem wilkiem* — mówi, gdy łaziki wtaczają się do śluzy numer 4 João de Deus.

— *Nie jestem prawdziwym Cortą* — dodaje, gdy gilotynowe zewnętrzne drzwi śluzy zwierają się i wyrównuje się ciśnienie.

— *Jesteś Cortą* — odpowiadają oni i wkładają mu po nożu w lewą i prawą dłoń.

— *Nie jestem przywódcą* — mówi, kiedy otwierają się drzwi wewnętrzne. — *Nie jestem Żelazną Ręką.*

— *Ale dowodzisz* — mówi Żelazna Ręka. — *To jest twoja walka.*

— *A ja uważam na ciebie* — szepce Nelson Medeiros za jego plecami. — *Bo tylko dasz się zabić bez sensu.*

Po czym wilk zaciąga się głęboko smrodami i zapachami João de Deus i z okrzykiem prowadzi *escoltas* na prospekt Kondiakowej. Wyzwolenie João de Deus jest szybkie i totalne. Oddziały Cortów na łazikach opanowują śluzy powierzchniowe, z Twé przyjeżdżają wyczarterowanym pociągiem najemnicy.

Kapsuły ze sprzętem lądują w elektromagnetycznych łapach BALTRAN—u, królowe torów VTO na jednodniowych kontraktach rozwożą je po ekipach szturmowych na prospektach. Ale nie toczy się żadna bitwa. João de Deus wyzwoliło się samo. Luniarze—uśpieni agenci Lucasa w Mackenzie Helium zabezpieczyli powietrze, energię i wodę. *Santinhos* zeszli ze stanowisk pracy, wyszli z domów i szkół, żeby zmusić publiczne drukarki do drukowania noży i pancerzy. João de Deus powstało — *jackaroos* Mackenzie Helium schowali noże. Żaden zysk z bezsensownej śmierci. Zarząd uciekł po pierwszej plotce, że Bryce Mackenzie zginął z ręki Corty; wyżsi menedżerowie złożyli wypowiedzenia i opuścili gabinety.

Prospekt Kondiakowej jest od ściany do ściany wypełniony *escoltas*, luniarzami, *santinhos*. Wiwaty, gwizdy, oklaski sypią się z wyższych poziomów i kładek, gdy Wagner prowadzi armię wyzwoleńczą. Z każdą minutą coraz ich więcej. Kiedy dociera do rozwalonych drzwi siedziby Mackenzie Helium, ma za sobą całe João de Deus. Unosi rękę. Armia staje. Głosy milkną. Neonowe litery MH migocą agonalnie, większość rurek mają rozbitych z proc i na szybko wydrukowanych kusz miotających kamienie.

Przez rozbite drzwi wychodzą dwie postacie — nożowniczką i chłopak. Kobieta wciąż osłania Robsona ramieniem. Jest posiniaczony, pokrwawiony, rozbity. Kobieta coś do niego szepcze. Unosi głowę. Jego oczy wypełnia jasność.

Wagner upuszcza oba noże. Podbiega do Robsona i bierze chudego, wyniszczzonego chłopaka na ręce.

— Och, ty — sapie. Łzy płyną mu po twarzy. — Och, ty. Kochany.

João de Deus odpowiada rykiem.

Rewolucje są takie nieporządne. Idzie przez powyzwolenicze śmietnisko — butelki po wodzie, noże, kawałki futryn i ram użyte jako pałki; odłamki wyrąbanego spieku — jako pociski. Plakaty. Ubrania. But. Dwa ciała. Nad tym Lucas ubolewa. Chciał, żeby to było bezkrwawe przejęcie. Bezkrwawe, z wyjątkiem tych, których krew musiała być przelana. Przed sobą wciąż słyszy śpiew i skandowanie tłumu. Paskudne miasto, João de Deus. Kiedy tu mieszkał, nie zauważał jego brzydoty. Ale oko zdobywcy widzi koszt zdobycia.

Zdobycwca. Salve Lucas Imperator. Uśmiecha się do własnej beczelności. Kopie bryłkę skały w głąb prospektu. Ryk tłumu jest coraz bliższy, głośniejszy, wzmacnia się i cichnie falami. Wilk wie, jak rozkręcić tłum. Świetnie się sukinsyn sprawił. Nie można dopuścić, żeby ludzie zanadto go pokochali. Po odbudowie, kiedy zabbalini już wyleżą ze swoich kryjówek i wszystko posprzątają, trzeba będzie odesłać go z powrotem do Południka. Dać jakąś rolę w administracji. Nie za wymagającą. Żeby miał masę czasu na posuwanie swoich przyjaciół—wilków.

A dzieciak — kiedy przyszło co do czego, okazał się Żelazną Ręką.

Lucas nie jest pewien, czy sam byłby w stanie zrobić to, co Robson, Toquinho jest gotowy na skraju jego świadomości, żeby

podświetlać rzeczy, ale Lucas go nie potrzebuje. Wie, gdzie i kiedy zadrzeć głowę. Puste okna, okopcone ściany, wbite do środka drzwi już nie robią na nim wrażenia. Najlepszy pokój odsłuchowy na dwóch światach. Kazał Jorgemu wypakowywać gitarę w salonie, żeby kształt futerału nie wpływał na obraz dźwięku. I koniec. Nie będzie go odbudowywał. Bez sensu jest żyć w muzeum. Teraz jego dom to Boa Vista, a to wredne miasto odbuduje się takie, jakie powinno być — ostre, energiczne, chaotyczne, rozświetowane. I coś się zrobi — koniecznie — z tym jego smrodem.

Denny Mackenzie powiesił Carlinhosa na moście, za pięty. Przewłókł mu linę przez ścięgna Achillesa. Krew z jego gardła spływała po rękach i skapywała z palców na chodnik — tutaj. Mówili, że walczył jak demon — zabił dwudziestu noży Mackenziech, póki nie powalił go Denny i nie poderznął mu gardła do kości. Jak wytknęła mu Alexia, to ten sam Denny Mackenzie, którego pomógł zainstalować w Hadleyu.

Starego Księżyca już nie ma. Umarł na jego pierwszym spotkaniu z finansistami, przedstawicielami rządów, wojskowymi doradcami, na tej piekielnej Ziemi. Nowy Księżyc jeszcze się nie urodził. Ten utwór jeszcze nie odegrał się do końca.

Duncan i Bryce Mackenzie nie żyją. Denny Mackenzie to łabędzi śpiew dawnego, pirackiego ducha Roberta, ale nowe Mackenzie Metals zbudowały ciche, kompetentne kobiety. Woroncowowie sięgają po inne światy. Sunowie zostali upokorzeni, a jednak przygotowują się do totalnej gospodarczej wojny ze swymi odwiecznymi ziemskimi wrogami. Uniwersytet

budzi się z długiego snu. Asamoah: kto wie, co planują i knują? A Cortowie? Epoka Helu skończona. Corta Hélio już nie wróci.

To nigdy nie chodziło o Corta Helio.

— Rodzina przede wszystkim — mówi Lucas. — Na pierwszym miejscu. Kątem oka dostrzega coś nowego, nieznanego jego wspomnieniom z João de Deus. Podchodzi do ściany zamykającej dawne zejście na stację tramwaju do Boa Vista. Ołtarzyk na cześć Sióstr, które poświęciły się, by uwolnić Lucasinha z łap Brycca Mackenziego. I nie tylko — na cześć Cortów. Jego rodziny. Złoty trójkąt. Rafa. Uczciwy, prostolinijny Carlinhos. Lucas nigdy tego młodszemu bratu nie powiedział, ale zawsze go podziwiał. Carlinhos wiedział, co trzeba było zrobić, i robił to. Nie miał wątpliwości, o nic nie pytał. Pośrodku matka. Zdjęcie z dawnych, szalonych czasów, kiedy Lucas był zaledwie dziwnie milkliwym, naburmuszonym dzieckiem w *berçario*.

— *Mamãe*.

Jednego portretu brakuje. Oczywiście. Cały Księżyc uznał go za zdrajcę, kiedy wyrzucił Jonathona Kayodego z jego Gniazda i sam zajął orli tron. Lucas pochyla się, otrzepuje pył ze spodni, podnosi swój portret. Jaki poważny i nadęty. Przyciska go do ściany, póki paski samoprzylepne nie chwycą. Uchyla kapelusza.

— No to jestem z powrotem — mówi.

Dwa twarde skafandry, jeden niebiesko—biały, drugi różowo—fioletowy. Stoją na podeście windy i trzymają się za ręce. Winda pnie się powoli pozbawionym powietrza szybem śluzy na zachodnim zboczu Coriolisa.

Biały i niebieski to barwy Uniwersytetu Farside. Różowy i fioletowy to barwy, które Lucasinho Corta wybrał z rzędu skafandrów w przedSIONKU śluzy.

— Wygodnie ci w tym? — zapytała Luna, gdy interfejs dotykowy zamknął go w swej jedwabistej sieci.

— Łaskocze.

— Tylko przez minutę — pocieszyła go. W kwestii skafandrów skorupowych i ich interfejsów była starą wygą. Doświadczoną luniarką. — Jeśli się źle czujesz, możemy wrócić.

— Nie chcę wracać. — Twarz mu zadrgała. Ciągłe ma tiki i skurcze, kiedy te białkowe chipy tworzą mu w mózgu nowe połączenia. — Luna, gdyby mi się...

— Będę przy tobie.

Zrobił nerwową minę, gdy skafander zaczął się zamykać — nogi, biodra, tułów. Ramiona, barki. Gdy zamknął się hełm, wydał krótki okrzyk.

— Wszystko dobrze? — zapytała Luna na wspólnym kanale.

Prawa rękawica Lucasinha ułożyła palce w „O” — przedwieczny gest mówiący, że wszystko w porządku. Ale po drugiej stronie śluzy, na podeście windy, zrobił niezdarny krok w stronę Luny i wziął ją za rękę. Ścisnęła jego pancerną rękawicę swoją. Skafandry skorupowe są w jednym rozmiarze — tylko ciała i serca w środku się różnią.

Winda pnie się w górę, dwa skafandry wychodzą na zagraconą i zaśmieconą powierzchnię krateru Coriolis.

— Na szczycie świata! — mówi Luna, kiedy podest zatrzymuje się i blokuje.

Widok jest niesamowity, sięga daleko poza zbyt bliski horyzont, obejmuje nieskończoną różnorodność kraterów, kraterów w kraterach, wałów i rozbitych kraterów, rzucających ostre cienie w świetle Słońca w pół drogi do zenitu. Dalej, pod samym widnokręgiem, góry Drugiej Strony.

— W porządku? — pyta znowu Luna. Ściska jego dłoń. Interfejs dotykowy zamieni to w dodanie otuchy.

— W porządku.

— Spróbujemy przejść kawałek — mówi Luna.

Sprowadza Lucasinha kilka kroków na skałę. Szczyt krateru to falujący płaskowyż, zakrzywiający się niemal niedostrzegalnie po obu stronach. Co wyższe szczyty oblepiają anteny łączności. Cień wschodniego zbocza pokrywa dużą część dna. Luna pokazuje Równikową Jedynekę, stację, magiczne światełka wagoników kolejek linowych zjeżdżających do kampusów i osiedli Coriolisa. Lucasinho jest oczarowany. Luna ponownie ściska jego dłoń.

— Popatrz do góry.

— Do góry?

— No.

Widzi, jak zadziera głowę w hełmie. Długa cisza, potem dłuższe, przeciągłe westchnienie zdumienia.

— Nic, tylko gwiazdy!

Od Roźdiestwienskiego po Schrödingera, od Morza Wschodniego po Smytha, w laboratoriach biologicznych Mandelsztama i macierzach anten w Muscoviense, Uniwersytet Drugiej Strony jest wzburzony. To wzburzenie jest niegłośne, nieśpieszne i rozważne, choć Ariel spędziła na korytarzach uczelni dość czasu, żeby dostrzec i odczytać wzmożenie w połączeniach konferencyjnych, w krzątaniu starszych uczonych i pracowników na stacjach kolejowych Farside, we wzywanych i odprawianych ghazich. Polityczny meteor o wielkości mogącej rozwalić ten świat trafił w Tę Stronę i Księżyc dźwięczy jak dzwon w *terreiro*. Wstrząs był silniejszy niż Wojna o Sukcesję Mackenziech.

Podoba jej się to określenie. Może każe Beija Florowi pstryknąć go Wydziałowi Historii na Morzu Pomysłów?

— *Vidhya Rao* — obwieszcza Beija Flor.

— Szlag.

Analiza stanu całej planety najlepiej wychodzi z perspektywy własnego łóżka. Ariel wyskakuje spod kołdry i woła ubrania.

Vidhya Rao czeka już od dziesięciu minut — informuje Beija Flor, gdy ona się ubiera.

Najpierw twarz.

Kiedy jest ubrana, a twarz zrobiona, już dokładnie wie, co trafiło ten świat.

— Cwaniak z ciebie, chłopaku, cwaniak prawdziwy — szepcze, poprawiając rondo kapelusza. — I co, twoi Dostojni przewidzieli to? — pyta, wpadając do salonu.

— Nie mam już dostępu do Trzech Dostojnych — mówi Vidhya Rao. — Księżycowa polityka weszła w krytyczną fazę.

— Dla większości ludzi to jest raczej płynna zmiana zarządu.

— Księżycowy Orzeł jest niezależny, bezstronny i nie miesza się do korporacyjnej polityki.

— Jonathon Kayode entuzjastycznie się mieszał. Nawet, kurde, męża miał Mackenziego.

— Jest różnica pomiędzy rzucaniem aluzji i podrzucaniem informacji a zabiciem konkurenta i zajęciem jego siedziby.

— „Podrzucona informacja” o koncesji na Morze Wężowe doprowadziła do wojny Corta—Mackenzie — mówi Ariel.

— Zaproponował też małżeństwo Corta—Mackenzie, żeby zakończyć rozlew krwi.

— I świetnie wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Świetnie wiedział, że reperkusje doprowadzą do wojny. Do czego zmierzasz?

— To się zaczęło. To, co widziałem. Te przyszłości z miastami pełnymi czaszek zaczynają się od śmierci Bryce’a Mackenziego i politycznego sparaliżowania Lucasa przez LMA. Kazano mu zawetować wniosek Woronców, Port Księżycowy. Stanie po stronie Ziemiaków przeciwko Smokom. Zatwierdzi projekt Giełdy Księżycowej, a potem ludobójstwo, kiedy Ziemiaki zechcą *zracjonalizować rynek*.

— Vidhya, ja zadaję ci to pytanie za każdym razem, kiedy wcinasz się w moje życie. Po co przyszłość?

— Poprosić cię, żebyś go powstrzymała. Bo tylko ty jeszcze możesz. Musi ustąpić z Orlego Gniazda, ale nie może, bo wtedy

władzę przejmą Ziemianie. Potrzebuje następcy, któremu będzie mógł ufać.

— Daj mi spokój — rozkazuje Ariel. — Idź sobie.

Nagła agresja wstrząsa Vidhyą Rao. *Co, nie widziałoś tego nigdy? Nie przyszło ci do głowy że mogę być inna niż opanowana, wyrachowana, sądowa. A to jest we mnie, zawsze było, od lat, głęboko, geologicznie. Ale warstwy się fałdują, narastają naprężenia. Pęka powierzchnia. Marina mnie taką widziała. Abena widziała. Teraz ty widzisz.*

— Dostyc tego twojego pierdzielenia. Dostyc. Moja rodzina to nie laleczki, które możesz sobie w domku przestawiać. Won!

Bogowie, jak jej się chce martini. Dobrego, czystego, najwspanialszego we wszechświecie. Za wąskim okienkiem suną w górę i w dół gondole kolejek linowych. Światelka jak w wesołym miasteczku, świętowanie, radość. Powinna je przeprosić. Przeprosi Vidhyę Rao. Ale jeszcze nie. Niech sobie jeszcze trochę pocierpi w urażonej świętości. Miało rację. Ariel zawsze wiedziała, że ostatnia bitwa będzie między nim i Lucasem. Siostrą i bratem. Dwie rafy wśród ludzkich wraków zniszczonych przez rodzinę.

— Szprycer limonkowy — rozkazuje Beija Florowi. — W kieliszku do martini.

Dobrze wygląda w jej dłoni. I robi dobre wrażenie. Oto jasność i precyzja umysłu. Od dawna wiedziała, co ma zrobić. Teraz wie także jak. Patrzy przez okno na krater Coriolisa, popija z kieliszka do martini i płyną do niej pomysły.

To szaleństwo. Teraz już tylko szaleństwo się sprawdzi.

— Beija Flor, daj mi Dakotę Kaur Mackenzie.

Ghazi w okamgnieniu pojawia się na soczewce Ariel.

— Czym mogę służyć?

Ariel uśmiecha się.

— Rzuć wyzwanie.

Delikatny ruch powietrza z klimatyzacji. Otworzyły się drzwi.

— Luna?

— *Tia*.

— Wchodź, wchodź, *anjinho*.

— Słyszałam, jak krzyczysz.

— Podśluchiwałaś?

Pauza. Nieznaczące potaknięcie.

— Ty wszędzie masz te tunele?

— Tak.

Podchodzi do niej. Ariel przesuwając palcami po jej włosach.

— Myślałam, że zmyjesz to z twarzy, kiedy Lucasinho będzie bezpieczny.

— Jeszcze nie jest.

Ariel śmieje się przez moment.

— Prawda. Ale będzie. Już zaraz.

Dziewczynka rozgarnia kurtynę serpentyn i za rękę wprowadza ghazi do serca karnawału. Atakuje je muzyka z dziesiątki sound systemów — staroświecka samba z placu przed dworcem walczy z funkkiem z mostu na Pierwszej Ulicy; głęboki bas popisuje się brawurą znad prospektu, idąc o lepsze z bezczelnym *house foro* z Drugiej Wschodniej; neo—

tropicalia krzyczy riffami waltorni z pulpitu na skrzyżowaniu Primeiro Serviço, podczas gdy okrąża ją wóz pchany przez wyznawców dmących w gwizdki z meczu piłki ręcznej, bombardujący ją *baile*. A wszędzie — bębny, bębny, bębny. Dziewczynka i ghazi, trzymając się za rękę, prześlizgują się przez rytmy — przekradają się pomiędzy szeregami maszerujących bębniarzy, blisko jak pałka skóry bębna, kompletnie niewidzialne. Gdzie gra muzyka, ludzie tańczą. João de Deus to miasto pracujące, nie tańczące — tym lepsze są tu imprezy. Jeśli już tańczy, robi to radośnie i bez zahamowań. A każda muzyka ma swoich tancerzy. Napór i ciżba ciał w króciutkich szortach i brokacie wokół głośników z baile—funkiem, staroświeckie szkoły samby w farbie na ciele i piórach, oszałamiająco wywijające biodrami podczas swego marszu—tańca. Uroczę kiwanie się par do synkop bossy i jazzu brasileira. Tupot i zamaszysty krok *batterias*. Pot i perfumy. Rozfalowane włosy, szeroko rozstawione nogi. Wyginaj ciało, wyginaj śmiało ciało. Oczy szeroko otwarte, źrenice rozszerzone, wystawione języki. Ciała nachylające się ku sobie, chłonec nawzajem swój rytm, odginające się tam i z powrotem. Prawie — ale tylko prawie — się dotykające. Pomiedzy nimi, jak zjawy, przemyka dziewczynka i ghazi. Prospekt jest zasłany po kostki papierowymi serpentynami, papierami po ulicznym jedzeniu i porzuconymi szklankami po drinkach. Dziewczynka odkopuje je na boki.

I głosy, głosy, głosy. Przekrzykujące rytmy, wrzeszczące sobie nawzajem do ucha, roześmiane, rozkrzyczane. Ghazi nie słyszy

nic, co mówi dziewczynka — porozumiewają się chowańcami, spojrzeniami, dotykiem.

Nadmuchiwane podobizny herosów João de Deus nad głowami świętujących — gwiazdy piłki ręcznej, muzycy, aktorzy z telenoweli, mistrzowie wyścigów na luncyklach, celebryci z kanałów plotkarskich oraz legendy ze Starej Ziemi — Ayrton Senna, Capitaó Brasil z dłońmi na biodrach, Pele, Maria „Funk” Fujiwara, jednonogi Saci Perere w czapeczce, z laską. I *orixas*: groźny Xango, piękna Yemenja. Ale najwięcej ze wszystkiego jest podobizn pancерnej, zaciśniętej pięści. Żelazna Ręka. Capitaó Brasil leci swobodnie puszczony przez dzieci. Podlatuje do linii słonecznej, dołączając do cumulusa zbiegłych balonów. Dzieciaki na kładce na poziomie 4 walą do niego z proc.

Dziewczynka zatrzymuje się, gdy wokół Mostka 3 owija się zwojami smok, unosi się na moment przed nią, grożąc jej, co będzie, jeśli przejdzie, potem unosi się łukiem w górę, sunąc obok niej swym stumetrowym ciałem. Łypie na nią jeszcze ze szczytu miasta, potem, falując, oddala się w głąb prospektu.

I jedzenie. Och, jedzenie! Hot—shopy całego miasta wyszły na ulice z kuchnią i stołami — w końcu mamy karnawał! — i rozlały się rozmaitością dwudziestu kuchni świata. Tutaj tacos, tam makarony w pudełkach. Pierożki i sałatki. Zupa, dla tych, co muszą, słodyczne, baklawy, podpłomyki i kofta z tofu. Największe tłumy tłoczą się wokół roznów *churrascarias*. Z elektrycznych grillów bucha dym, wypełniający powietrze zakazanym zapachem niebezpieczeństwa i palonego ciała. Tam dają mięso. Prawdziwe mięso!

Dziewczynka waha się — jadła pół świata temu, a uwielbia słodycze. Ghazi ściska ją za rękę i przypomina sobie — jest na misji. Idą dalej, ku wielkiej masie ciał i świateł w samym sercu karnawału.

Ile jest warte jedzenie bez picia? João szczyli się tysiącem barów dla luniarzy, a dziś każdy wyszedł na ulicę z partyzanckim *barzinho* — składany stół, drzwi na dwóch koźlach, rufa zezłomowanego łazika. We wściekłym skupieniu miksują, mieszają, macerują. Nalewają z dużej wysokości, na lód, dodają owoce i przyprawy. Ale dla nich to też jest karnawał, więc mieszając, wstrząsając, podając, kiwają się do rytmu i mamroczą teksty piosenek.

Od barów dziewczynka trzyma się z daleka. Prowadzi ghazi naokoło, poziom wyżej, ulica jeszcze wyżej. Widziała, co alkohol robi z ludźmi. Nie są już wtedy ludźmi. Dziewczynka zna to miasto, ale na wyższych ulicach też nie czuje się komfortowo. Ludzie tutaj mają na twarzach farbę, maski i patrzą na nią i ghazi, gdy pędzą pomiędzy nimi. A oczy za maskami są wypełnione żądzami. Tutaj każdy czegoś szuka — czegoś nowego od narko—DJ—ów, partnerki, szybkiego seksu, każdy taksuje i ocenia. Przed nią pojawia się pysk wilka. Zatrzymuje się z krótkim okrzykiem.

— Twoja twarz.

Maska wilka podsuwa się bliżej, patrzy badawczo. Głos mężczyzny — jest nagi, nie licząc stringów. Ciało ma pomalowane na szaro, jak u wilka. Gdy kuca, żeby zrównać się wzrokiem z dziewczynką, wzdłuż konturów jego mięśni jarzy się świecąca farba.

— Kim ty jesteś?

Ghazi robi krok naprzód.

— To śmierć — mówi.

Wilk odskakuje w tył, unosi błagalnie dłonie.

— Przepraszam, nie chciałem... ja pier... to nie jest kostium.

— Nie jest — potwierdza ghazi.

— Zejdźmy na dół, jak tylko się da — decyduje Luna.

Schodzą *ladeira*, są sto metrów od celu, ale tutaj, wokół dawnych biur Mackenzie Helium, tłumy są najgęstsze. Dziewczynka wzdycha ze złością.

— W życiu się przez to nie przebijemy.

— Przebijemy się — odpowiada ghazi i robi pierwszy krok.

Dziewczynka przyszła na karnawał z bagażem — podłużną, płaską skrzynką zawieszoną na pasku na plecach. Ghazi odwraca się, żeby podać jej rękę. Dziewczynka przyjmuje ją. Muzyka jest głośna, głosy ogłuszające, a tłum potwornie zbity. Przed ghazi się jednak rozstępuje. Dziewczynka sunie o krok za nią — czuje pot, wódkę, tanie perfumy i nagle jest we foyer. Nigdy nie widziała tego miejsca, kiedy było siedzibą Mackenzie Helium, więc nie wie, że neonowe litery jeszcze niedawno miały inne kształty, że z drzwi, ścian i szyb pośpiesznie pozdejmowano logo i napisy. Patrzy na pulsujący neon. C.H. C.H. Żółty, zielony. Żółty, zielony.

Escoltas w zabójczych garniturach zastępują im drogę.

— Tu jest wymagany strój — mówi jeden elegant do ghazi. —
I ograniczenie wieku.

— Wiesz, do kogo mówisz? — pyta ghazi.

— Już wiedzą — mówi dziewczynka.

Chowaniec przekazał *escoltas* jej tożsamość.

— Przepraszamy, *senhora* Corta. Zapraszamy.

— Dakota jest moją osobistą ochroną.

— Nie jestem twoją ochroną — syczy Dakota Kaur Mackenzie, gdy przechodzą przez pozbawiony korporacyjnej tożsamości hol do paradnych schodów.

Za drzwiami jazgot karnawału ustępuje miejsca głosom, brzękowi kieliszków, bossa nowe. Obowiązuje styl glamour gwiazd filmowych z lat czterdziestych XX wieku. Fraki i białe muszki dla panów, pantofle z białymi nakładkami, laski, rękawiczki. Białe zęby i wąsiki jak sznurowadła. Kobiety suną w sukniach balowych i koktajlowych, długich, obfitych, u góry obcisłych, w dole rozszerzających się w fałdy, plisy i treny. W pole widzenia buzuje świetlisty tłum chowańców. Luna Corta zamiera, ucieleśnienie zaściankowości uniwersytetu, w szarej sukience i wygodne, butach. Dakota Mackenzie, w praktycznych bryczesach, długich butach i kratce, staje jak wryta. Młoda kobieta, o czarnej skórze odcinającej się od sukienki barwy kości słoniowej, pochyla się, by się przyjrzeć i uśmiechnąć do niej.

— Fantastyczne malowanie — mruczy, potem widzi wyraz jej twarzy pod spodem i podrywa się zdumiona.

Jej zdumienie roznosi się falami po sali. Kieliszki nie docierają do ust, rozmowy wyparowują w obłoczkach plotki. Zespół przestaje grać.

— Chyba ich masz, mała kombinatorko — mówi Dakota.

Wtem spomiędzy znieruchomiałej śmietanki towarzyskiej wypada ktoś, kto z całej siły bierze ją na rękę, podrzuca w

powietrze, a kiedy opada, widzi włosy, zielone oczy Mackenziech, piegi. Robson. Luna piszczy zaśmiewa się, a on ją łapie i przyciska do siebie, tak mocno, że czuje bicie jego serca, jego drżący oddech — po chwili oboje się trzęsą, płaczą i śmieją się jednocześnie. Goście wybuchają owacją, zespół bierze instrumenty i gra coś głośnego i radosnego. Robson cofa się, elegancki i niezręczny jednocześnie, w białej koszuli i fraku. Luna ma wrażenie, że ktoś połamał mu i źle nastawił wszystkie kości. Podchodzi do niego blady, ciemnowłosy chłopak, staje razem z nim.

Przez tłum przeciskają się twarze z jej wspomnień.

Widzi Alexię Żelazną Rękę w długiej, obcisłej sukni i operowych rękawiczkach. Widzi wilka, mroczną legendę straszącą na peryferiach jej życia, *tio*, którego nigdy naprawdę nie poznała. Widzi szopa pracza wysuwającego twarz w masce pomiędzy nieskazitelnych kantów czyichś spodni. Nad jej głową przelatuje ptak — widzi matkę, złoty rozbłysk. Jej rój tworzy aureolę wokół wymyślnej fryzury—rzeźby.

Widzi *tio* Lucasa. To nie jest ten wujek, którego widziała na ślubie w Orlim Gnieździe, elegancki i opanowany, żartujący z jej ojcem. Posunął się w latach; ciało ma szerokie i pękate od mięśni, ale one mu ciążą, jest sztywny i przygięty do ziemi, opiera się na lasce, twarz ma obwisłą, oczy ciemne.

— *Przepraszam, że wam rozwalam rodzinne spotkanie, ale my tutaj z ważną sprawą* — odzywa się Dakota na prywatnym kanale Luni.

— *Tio Lucas* — obwieszcza Luna. — Posłuchaj.

— Dakota Kaur Mackenzie. Jestem ghazi Wydziału Biocybernetyki, Katedry Neurotechnologii na Uniwersytecie Farside — przedstawia się Dakota. — Biorąc tu obecnych na świadków, mam obowiązek doręczyć panu oficjalne wyzwanie. W ramach końcowego rozstrzygnięcia sporu o opiekę nad Lucasem Cortą juniorem, w akceptowanym przez obie strony sądzie i strukturze prawnej, w czasie nieprzekraczającym stu dwudziestu godzin, Ariel Corta wyzywa pana na pojedynek sądowy.

Muzyka urywa się w pół taktu. Lucas Corta się uśmiecha.

— Przyjmuję wyzwanie — mówi.

Zdumione westchnienia. Kieliszki wypadają z dłoni. Luna zsuwa skrzynkę z ramienia i podsuwa oburącz Lucasowi.

— Przyda ci się.

Lucas przyjmuje dar. Luna zauważa, że jest cięższy, niż się spodziewał.

— Ostrożnie — mówi, otwierając skrzynkę.

Lucas unosi nóż z meteorytowej stali. Lśni w odblaskach lustrzanej kuli. Zapiera mu dech.

— Nóż Carlinhosa.

— Mãe de Santo Odunlade dała mi noże bojowe Cortów. Powiedziała, że może ich użyć tylko ten Corta, który jest odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił.

Lucas obraca ostrze w świetle, zafascynowany jego groźną urodą, po czym kładzie je na dłoni i oddaje z powrotem Lunie.

— Nie jestem godny tego noża.

Luna odsuwa jego dłoń.

— Weź. Przyda ci się.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Reguła brzmi: kobiety o pewnym statusie, do tego po dziewięćdziesiątce, nigdy się nie śpieszą. Nie biegną. Możliwy jest szybki krok, ale to maksimum. Dama nigdy się nie śpieszy.

Lady Sun się śpieszy, biegnie, stukając obcasami, niedystyngowanym truchtem, przez kręte korytarze pałacu. Jej świta, niezdecydowana pomiędzy chodem a biegiem, z trudnością dotrzymuje jej kroku. Wiadomość na bezpiecznym kanale od Amandy kazała jej przyjść natychmiast. A dom wnuczki jest za blisko, żeby *moto* przybyło na czas, zbyt daleko, żeby uniknąć wstydliwego gonienia. Lektyka, jak dla dziewczeczek w starożytnych Chinach. O, to by było to. Taka, jaką popisują się Woroncowowie w Świętej Oldze, napędzana ziemskimi mięśniami i młodzieńczym zapałem. Perfidni Woroncowowie. Lady Sun nieprędko wybaczy upokorzenie z Bitwy o Hadleya. Porzucona przez VTO, pozostawiona w wyściełanej klateczce pod Hadleyem. Drwiąca uprzejmość Mackenziech. Denny pokazujący swój paskudny złoty ząb. Szczerz się, póki możesz, złoty chłopcze. Prawdziwa potęga jest gdzie indziej i kiedy zrobisz swoje, kobiety Hadleya urzędzą

gabinetowy zamach stanu i będzie cię to kosztowało więcej niż jeden palec. Okup był obraźliwie niski — Taiyang odzyska go sobie, pozywając VTO o naruszenie kontraktu, ale to kolejna niewybaczalna obelga. Jebani Australijcy.

Lady Sun każe swojej eleganckiej młodzieży poczekać przed mieszkaniem Amandy. Jest tam Zhiyuan, Tamsin. Cały zarząd. Zaskoczeniem jest Mariano Gabriel Demaria.

— Coś z Dariusem? — pyta natychmiast lady Sun. — Coś mu się stało?

— Nic mu nie jest — odpowiada Zhiyuan. — Mariano przychodzi z informacją o Księżycowym Orle.

— Milady. — Mariano skłania z szacunkiem głowę. — Skoro zarząd jest w komplecie, mogę przekazać informację. Lucas Corta wysłał Amandzie Sun, powódce w sprawie Corta kontra Corta, Sunowie i Luna Corta jako podopiecznej Uniwersytetu Farside, pismo z żądaniem satysfakcji w Sądzie Claviusa. Czas i miejsce tej satysfakcji mają być jeszcze uzgodnione, w nieprzekraczalnym terminie stu dwudziestu godzin.

— Satysfakcji? — pyta Amanda Sun.

— Pojedynku sądowego — wyjaśnia lady Sun.

— Wiem, co to znaczy — odburkuje Amanda.

— To absurd — mówi Zhiyuain. — Pojedynku sądowego nie było od czasów...

— Od czasów, kiedy Carlinhos Corta rozpruł Hadleya Mackenziego od jajec po grdykę — przerywa Amanda. Odkręca waper, zaciąga się głęboko, wydycha powoli. — Cortowie mają tu doświadczenie.

— On wie, że ma słabe argumenty — mówi lady Sun.

— Albo potrzebuje szybko rozstrzygnąć sprawę. W pięć dni.
— Zauważa Tamsin Sun.

— Ewidentnie sam też został pozwany — dodaje lady Sun.

— W tej grze jest jeszcze tylko jego siostra — mówi Amanda Sun.

— Nie widzę żadnych korzyści prawnych dla Ariel w pozywaniu go — stwierdza Zhiyuan.

— Bo nie widziałeś, jak na pierwszym wysłuchaniu wzięła na świadka swojego bratanka — odpowiada Tamsin Sun. — Z wielką korzyścią dla siebie.

— Dziewczyno, weź sobie zaszczytnika — mówi lady Sun do wnuczki.

— Już wezwałam Jiang Ying Yue.

— Jiang Ying Yue, co położyła swój nóż przed Dennym Mackenzie i dwudziestoma obdartymi *jackaroos*? Przed tobą siedzi największy mistrz noża na Księżycu, na tej czy tamtej stronie. Podpisz umowę, zapłać mu pięć milionów bitsów i wpisz na wokandę, a Lucas Corta i jakiś oprych—nożownik, którego sobie ugadał, zaraz rzucą ręcznik.

Mariano Gabriel Demaria znów pochyła z szacunkiem głowę.

—Jestem zaszczycony, milady, ale nie mogę przyjąć tego kontraktu. Jestem już zakontraktowany jako zaszczytnik w tej sprawie.

Konsternacja na luksusowej tapicerce. Zhiyuan zrywa się na nogi, chowaniec Tamsin woła ochronę. Lady Sun skinieniem myśli mogłaby zawołać swoją świtę z korytarza, ale co by to dało poza bezsensownym rozlewem krwi? Jeśli Mariano

Gabriel Demaria chce tu urządzać rzeźnię, nie powstrzyma go żadna siła w tej sali, czy w całym Pałacu Wiecznego Światła.

— Zapłacę ci pięć razy tyle, co Lucas Corta — mówi Amanda Sun.

— Bez sensu — mówi lady Sun. — On nie zechce waszych pieniędzy. To jest osobista sprawa. Był sekundanem Carlinhosa Corty w pojedynku z Mackenziem. Nauczył Carlinhosa drogi Siedmiu Dzwonów. Dawna lojalność nie rdzewieje. —I dodaje jadowicie: — Co innego lojalność wobec obecnego ucznia.

— Będę nadal poświęcać się uczeniu Dariusa — odpowiada Mariano Gabriel Demaria. — Jeśli tylko zechce kontynuować.

— Nie zechce — warczy lady Sun. — U nas w Pałacu Wiecznego Światła lojalność traktuje się poważnie. Pan zasłużył na moją wrogość. Wrogość Sunów. Proszę wyjść.

Mariano Gabriel Demaria kłania się wszystkim i wychodzi.

— Lucas Corta chce nas zastraszyć — mówi lady Sun.

— Proponuję, żeby nie dawać mu satysfakcji — odzywa się Zhiyuan.

— Popieram — dodaje Amanda Sun. — Zmierzymy się z nim w sądzie. Nasza rodzina nie będzie po raz kolejny uciekać.

— Rozgromi nas — mówi Tamsin Sun.

— Oczywiście, że tak — zgadza się lady Sun. — Nie mamy nikogo do obrony. Ale powinniście wiedzieć, że prawie sto dwadzieścia godzin to bardzo dużo czasu. Może Lucas Corta kłamie. Może blefuje. Może legenda Mariana Gabriela Demarii wyolbrzymia jego umiejętności. A może Lucas Corta w ogóle nie doprowadzi do rozprawy.

— Jak to? — pyta Tamsin Sun.

Sun Zhiyuan kiwa głową. On rozumie.

— Lucas Corta ma ważne głosowanie w LMA — mówi.

— Dokładnie. — Lady Sun łapie się na tym, że sięga po piersiówkę. Jakże dobry, triumfalny, uspokajający i dodający otuchy byłby teraz jeden łyk jej dzinu. Nie. To też jest zasada. Dziedziczki wysokich rodów, po dziewięćdziesiątce, nie piją na ulicy. — A teraz muszę iść porozmawiać z Trzema Dostojnymi.

I znów głosy za kamiennymi drzwiami. Znów stukanie obcasów, postukiwanie laski o gładki kamień. Znów trzepotanie w brzuchu, w pęcherzu, przez które Alexia przyciska palce do opiętego paska swojego dwuczęściowego żakietu od Chanel. Chce jej się rzygać.

— Mam cię zaanonsować?

Lucas Corta kręci głową.

— Masz być w ławach dla publiczności. Obserwować salę i meldować.

— O czym meldować?

— O wszystkim, co zwróci twoją uwagę.

Dziś jest dzień głosowania. Dzień, kiedy decyduje się przyszłość Księżyca. Lunar Mandate Authority obraduje w pełnym składzie. Smoki przybyły w pełnym rynsztunku ze swoich miast i pałaców. Ziemianie w kiepskich garniturach i niemodnych butach zjechali z apartamentów na środkowych poziomach. Znają księżycową zasadę, ale jeszcze jej nie rozumieją — że im wyższy status, tym dalej od promieniowania mieszkać. Dla ludzi urodzonych na Ziemi

status to zawsze wysokość. Sprowadzono radców prawnych i doradców. Obserwatorów przysłał nawet uniwersytet, od pół wieku brzydzący się zaangażowaniem w księżycową politykę.

— Wahasz się? — pyta Lucas.

Alexia krzywi się.

— Będzie tam Denny Mackenzie.

— Denny Mackenzie od teraz będzie wszędzie — mówi Lucas. — To mały świat. Przez resztę mojego życia będziesz w kółko spotykać te same osoby. Kochać je, nienawidzić ich, pieprzyć się z nimi, zabijać. I tak cały czas.

Alexia wchodzi po schodach na górę widowni.

— *Słyszysz mnie?* — pyta na bezpiecznym kanale.

— *Bardzo dobrze* — odpowiada Lucas.

— *Niezły show* — mówi Alexia.

Lousika Asamoah zostawiła swoje zwierzęta—stróże w przedsionku sali, lecz i tak jej świta — i ona sama — imponuje kolorem i widowiskiem. Suknie *kente*, laski władzy, niesamowite fryzury — skrzydła, odwrócone< piramidy, kaskady loków, plecione pętle. Jewgienij Woroncow zajmuje swe tradycyjne miejsce w pierwszym rzędzie, podczas gdy jego młodzi kontrolerzy przepychają się i usadzają w górnych rzędach, wypielegnowani z molekularną precyzją i jakże mili dla oka. Po bokach ma dwa awatary — humanoidalne boty z pikselową skórą wyświetlającą wizerunki dwóch pozostałych VTO — Siergieja Woroncowa, opóźnionego dwie sekundy, z VTO Ziemia oraz Walerija z VTO Kosmos. Siergieja Woroncowa Alexia nigdy wcześniej nie widziała, a jest mniej malowniczy i mniej teatralny od dwóch pozostałych patriarchów.

Przytłoczony. Przygnieciony polityką i grawitacją. A Walerij w formie awatara jest jeszcze większym potworem niż spotkany przez Alexię w swoim walcowym lesie pośrodku *Świętych Piotra i Pawła*. Kończyny w zaniku, słaba, chuda szyja, zwodniczo szeroka klatka piersiowa — wszystko to sprawia, że wydaje się marionetką z koszmarów, sterowaną sznurkami z orbity. Sprawę pogarsza jeszcze to, że nie dotyka stopami ziemi.

Mackenzie okupują cały sektor sali. Skończyli się szarzy faceci z czasów panowania Duncana. Teraz władzę nad salą i przyszłością Mackenzie Metals przejmują Kobiety w Bieli z Hadleya. W środku, pomiędzy białymi sukniami i garniturami, siedzi jaskrawe żółtko — to Denny Mackenzie, w bardzo eleganckim rdzawo—złotym garniturze z syntetycznego tweedu. Alexia natychmiast zwraca uwagę na kobietę u jego boku — suknia o barwie kości słoniowej kontrastuje z ciemną skórą. Irina. Irina Efoa Woroncowa—Asamoah, ze Świętej Olgi, ta, która przyszła do niej w melodramatycznych łzach, gdy miała wyjść za Kimmie—Leigh Mackenzie. A teraz, zdaje się, jest w bliskich stosunkach ze Złotym Chłopcem z Hadleya, sądząc po tym, jak odsłania złoty ząb w uśmiechu, gdy szepcze mu do ucha.

Alexia bardzo dobrze zna ten uśmiech.

Irina zauważa wzrok, potem zauważa, czyj jest. Unosi brodę na powitanie. Alexia rzuca jej zdawkowy uśmiech. Stawia, że nie dostanie zaproszenia na ten dynastyczny ślub.

Szmer zaczyna się przy głównym wejściu i okrąża salę. Przybyli Sunowie. Nie chyłkiem, zawstydzeni, nie jako pojedynczy symboliczny delegat, ale jako Smoki. Najpierw

orszak adiutantów i asystentów, dziewczyn i chłopców, mogących urodą równać się z młodymi Woroncowami, stylem — z Mackenziemi i fryzurami — rzeźbionymi, nażelowanymi, walczącymi z ciężeniem i bezwładnością — z Asamoah. Potem radcy prawni i pełnomocnicy, nieskazitelni, profesjonalni, lśniący jak diamenty.

I wreszcie wysłannicy Pałacu Wiecznego Światła. Pomruk zamienia się w rumor. Alexia odzywa się do Lucasa.

— *Taiyang właśnie się wtoczył, jak latający cyrk. A twoja eks jak Królowa Wredoty.*

Sunowie nie mieszczą się na przypisanych miejscach, rozlewają się w górę, asystenci wciskają się pomiędzy oprychów Woroncowów.

Amanda Sun zajmuje miejsce dokładnie pod Alexią. Odwraca się, uśmiecha morderczo.

— Mão de Ferro. Wiem, że masz kontakt z Lucasem. Powiedz mu, że jeśli nie wycofa pozwu przeciwko mnie, Taiyang wstrzyma się od głosu.

— Blefujesz. Dalibyście Ziemiom zwycięstwo na tacy.

— My i tak będziemy mieli swoje zwycięstwo, kiedy zaczną napływać kontrakty na prąd z pasa słonecznego. A co do wykastrowania marzeń o kosmosie Woroncowów i Mackenziech, dziwisz się nam? Nie mamy tu nic do stracenia.

Alexia streszcza to Lucasowi. Chowańce jasno wyłuszczają rachunek i skutki decyzji Lucasa. Sunowie wstrzymują się od głosu, uchwała upada. Lucas głosuje za uchwałą, to wypowiada wojnę Ziemiom. Głosuje przeciw — staje się wrogiem

Woronców i Mackenziech. Wstrzymuje się — wszyscy rzucają się na niego z nożami.

Ludzie od prezentacji z VTO są na stanowiskach, inżynierowie i projektanci zwarci i gotowi.

— *I co zrobisz?* — pyta Alexia.

Odpowiedź przychodzi od razu.

— Lucas mówi: do zobaczenia w sądzie.

Konsternacja, przeradzająca się w dezorientację, potem we wściekłość, na idealnie zrobionej twarzy Amandy Sun jest jak muzyka dla Alexii Corty. Lady Sun, usadowiona obok Amandy, odwraca się do niej.

— Ty brudna kurewko z faweli — szepcze. — Siedzisz tu w tym kostiumie i myślisz, że jesteś kimś. A jesteś tylko błaznem, złodziejką w kradzionych szmatach. Widzisz tę salę? Wszyscy na tej sali, wszyscy, się z ciebie śmieją. Wszyscy wiedzą, że nic nie znaczysz. Żelazna Ręka. Jak tytuł, który wymyśla sobie czterolatek. Dziecinny. Próżny. Dokładnie taki, jak wy wszyscy Cortowie. Jesteście śmieciami i w śmieciach skończycie, Jedno, czego żałuję, to to, że ci cholerni Australijcy nie dokończyli tego, co zaczęli, począwszy od tego nadymającego się debila prezesa, a skończywszy na jego wyjąłym bachorze.

— Panie i panowie — obwieszczają głośniki, przerywając potok żółci lady Sun. — Orzeł wylądował.

Lucas Corta idzie przez salę do swego miejsca. Śledzi go każde oko, każdy nachyla się ku niemu, czujny i uważny. Sala posiedzeń jest tak pełna napięcia, potencjału, energii, jak komora reaktora termojądrowego. Lucas odczeka, aż jazgot głosów ucichnie. Staje z jedną dłonią na lasce.

— Szanowni państwo. Przeanalizowałem swoje zachowanie jako przewodniczącego Lunar Mandate Authority i stwierdziłem, że nie byłem dość bezstronny i neutralny. Nasz system prawny uznaje uprzedzenia i stronniczość, należy je jednak oceniać i odpowiednio kompensować. Poddam się takiej ocenie, a potem kompensacji, muszę więc tymczasem zawiesić się w funkcji i obowiązkach Księżycowego Orła i przełożyć dzisiejsze głosowanie.

Odwraca się i postukując, wychodzi z Pawilonu Nowego Księżyca... Pełna osłupienia cisza, potem napięcie pęka i rada eksploduje podniesionymi głosami i wykrzykiwanymi pytaniami. Delegaci zrywają się na równe nogi, dźgają oskarżycielsko palcami, ale Lucasa już nie ma.

— *Podejdź do mnie* — mówi Lucas.

— *Lecę—pędzę* — odpowiada Alexia.

Łapie torebkę i nachyla się do ucha lady Sun.

— Pierdol się, starucho. Już raz z nami przegraliście, a przegracie jeszcze raz i jeszcze, aż zdechniecie, pobici jak bezdomny pies.

Escoltas witają ją we foyer i prowadzą do Orlego Gniazda, gdzie Lucas już czeka w gabinecie, za biurkiem. Dwie szklanki, butelka jego prywatnego dżinu w chłodziarce. Nalewa i przesuwa jedną ze szklanek w stronę Alexii.

— Wiem, że nie lubisz, ale się napij.

Alexia unosi szklankę.

— Gratulacje. Posunięcie tak *malandro*, że wżyciu takiego nie widziałam.

— Kupiłem sobie tylko trochę czasu, nic ponadto. Jeśli ma mnie uratować jakiś ruch *malandro*, to chyba musi go zrobić moja siostra.

— Nie rozumiem. — Alexia upija grzeczny łyk. Czysty dżin. Kwiatowy, cierpki smak.

— Rozprawa. Ariel przysłała wyzwanie, a wie, że zakontraktowałem Mariana Gabriela Dcmarię. Nawet jeśli zamiast tej zaszczytniczki, którą wzięła Abena na pierwsze wysłuchanie, da Dakotę Kaur Mackenzie, mojego człowieka i tak nie pokona. Musi zrobić inny ruch, taki, którego nie przewidziałem i nie domyślę się, co to takiego.

— O ile tylko uda ci się odwlec głosowanie na tyle...

— Tego dopilnowałem. Idziemy do sądu za czterdzieści osiem godzin.

— Bogowie. — Znowu ta liczba mnoga. — Jesteś gotowy?

— A ktokolwiek jest kiedykolwiek gotowy? Lê , ja nie mam pojęcia, co się będzie działo, i czuję, że to daje mi wolność.

Po kręgosłupie Alexii przechodzi entropiczny dreszcz. To bardzo ożywiająca informacja — znak dorosłości — ludzie u władzy też improwizują na bieżąco. Alexia sięga przez stół, bierze butelkę z dżinem, mocno zmrożony kryształ, oczyszczający i zimny. Dolewa Lucasowi do pełna.

— No to co robimy?

— Czekamy. Słuchamy bossa novy. — Lucas bierze łyk, syczy z przyjemnością, czując ostrość. — Dżin pijemy.

Ariel najpierw czuje zapach, dopiero potem widzi — elektryzującą mieszankę perfum, potu, pyłu, tkanin prosto z drukarki, kosmetyków do włosów, makijażu i żelów do golenia, którą potrafi wygenerować tylko jedno — gigantyczny tłum. Jej uśmiech poszerza się od ucha do ucha w zachwycie, gdy wjeżdża schodami ruchomymi z prywatnego peronu na dworcu Południk. Miasto wyszło dla niej na ulice.

Zniecierpliwiony pomruk zmienia się w szmer zharmonizowany z buczeniem dronów z kamerami, gdy ci z przodu dostrzegają najpierw sztuczne pióra na jej kapeluszu od Adele List, potem w jazgot, wreszcie w grzmiącą radość, gdy schodzi z ostatniego ruchomego stopnia.

Tak nie gościli tutaj nawet żadnej drużyny piłki ręcznej. Plac przed dworcem jest szczelnie wypełniony, wszyscy wyciągają szyje, by uszczknąć dla siebie trochę historii roku. Wołają ją po imieniu, Ariel przystaje na szczycie schodów, by pozować. Fotografuje ją tysiąc obiektywów, jedno mgnienie oka później Ariel Corta w kostiumie od Charlesa Jamesa, butach Ferragamo, z torebką Guccio Gucci i zabójczą szminką pojawia się na samej górze miliona strumieni newsów.

— Nie stój, kurwa, w przejściu — warczy Dakota Kaur Mackenzie, której ruchome schody omal nie wpychają na Ariel.

Tłum wyje jej imię, domagają się uśmiechu, spojrzenia, zaszczytowania choćby kwantem uwagi. Pytania padają lawiną — Ariel wydyma usta, uśmiecha się, unosi dłoń w rękawiczce i wyciąga tytanowy waper. Wszyscy wzdychają, a potem bucha burzliwa owacja, gdy zaciąga się głęboko i wypuszcza chmurę pachnącej pary. Dawna Ariel Corta wróciła.

— Nie fantastycznie? — szepcze zza zasłony dymnej.

— Transport powinien już być — burczy Dakota.

Nowa fala poruszenia — teraz u szczytu schodów pojawia się Luna. Te same błagalne głosy wykrzykują jej imię. Potem skandują zapamiętane „Pokaz nóż”. Nóż! Nóż! Luna przyciska skrzynkę mocno do siebie i chowa się w bezpiecznym miejscu za swoją *madrinhą*.

Nagle na Placu Dworcowym zapada cisza nagle jak dehermetyzacja. Idzie on.

Lucasinho schodzi po ruchomych schodach. Waha się przez moment oszołomiony rozmiarem tłumu. Tłum wstrzymuje oddech. Jest po szpitalnemu blady i chudy, włosy ma przerzedzone od leków, ale na ciemnej szczecinie wystrzygł sobie zygzaki i koncentryczne kręgi. Oczy ma ciemne, a kości policzkowe wciąż mogą ciąć marzenia na strzępy. W klapie marynarki ma starą przypinkę z Biegu Księżycowego. Stoi, przyglądając się ludziom. Robi niepewną minę. Macha ręką. Uśmiecha się. Tłum eksploduje. Ariel kiwa na niego, żeby stanął przy niej. Drony nurkują, tłum napiera; ochrona wchodzi do akcji i osłania Ekipę Lucasinha. Głosy, majaczące twarze, napierające ciała; pytania, pytania, pytania.

— Bogowie! — woła do tłumu Ariel. — Jak mi tego brakowało!

Dakota burczy ze złością, idąc przez apartament imienia Armstronga na parterze hotelu Han Ying. Marszczy czoło, widząc gabinet, prychna na widok głębokich kanap i szerokich

foteli. Warczy na widok prywatnego spa z sauną i pięcioosobowym jacuzzi. Przewraca oczyma na widok łóżek, które da się obejść ze wszystkich stron. Sznuruje usta, widząc spersonalizowane drukarki w każdym pomieszczeniu. Łypie na osobistego kamerdynera z taką niechęcią, że ten ucieka.

— Lepiej, żeby to nie było na koszt wydziału — mówi do Ariel.

— Ja to zarezerwowałam — odpowiada Abena Maanu Asamoah z czeluści fotela wielkości łazika.

— Klasę pokazuje się wszystkim — mówi Ariel. — Wizerunek to połowa wygranej. — Stuka lekko Dakotę w nadgarstek czubkiem wapera. — I nie bój się o swój akademicki budżet, za to wszystko płacą kanały plotkarskie. W zamian za wyłączność na „kontent”.

Wypuszcza z nosa dwie smużki pary.

— W dupę ci to wetknę — mruczy Dakota. — I nie pal tutaj. To antyspołeczne. — Staje pomiędzy Ariel i balkonem. — Tam też nie wychodź. Pewnie już czeka z dziesięć dronów. — I do Abeny: — Cała dumna jesteś ze swojego PR—owego manewru, ale kazałaś to miejsce przetrzepać ochronie? — Po czym wskazuje kciukiem Rosario de Ciołkowski, metodycznie przetrząsając kuchnię w poszukiwaniu czegoś do jedzenia: — Takie coś wynajęłaś?

— Ej! — Rosario de Ciołkowski rzuca się na Dakotę. — Jestem zaszczytniczką, mam kontrakt.

— Jesteś nedorobioną ghazi — odpowiada Dakota. — Uczelnia cię wywalila.

— Ty mi tu nie machaj swoim doktoratem — rzuca wyzywająco Rosario. — Dałabym ci radę.

— Ty?

— Szybkość i umiejętności zawsze wygrywają z wagą i zadęciem. — Rosario wychodzi bojowym krokiem z aneksu kuchennego.

Dwie kobiety mierzą się wzrokiem. Zaszczytniczka jest o głowę niższa od ghazi, ale emanuje ostrą drapieżnością.

— Dziewczynki — odzywa się Ariel. — Rosario jest zaszczytniczką Cortów i koniec dyskusji.

— Wiesz dobrze, że Mariano Gabriel Rosario pokroi ją na arenie — mówi Dakota.

— Mariano by pokroił i ją, i ciebie, lewą nogą — odpowiada Ariel. — Chyba że załatwicie go sprytem. A teraz idźcie sobie gdzieś na herbatkę. Za pięć minut mam pierwszy wywiad i muszę przewietrzyć meble, bo śmierdzą testosteronem. Wszyscy, oprócz Lucasinha i Abeny. Ty, Luna, też. — Dziewczynka najeża się. — Elis, zabierz Lunę.

Madrinha Elis bierze Lunę za rękę i ciągnie do drzwi.

— Hej. — W korytarzu Rosario kuca, żeby zrównać się z Luną. — To jest to pudełko z nożami. Mogę zobaczyć? Pottrzymać?

Ariel słyszy stanowcze „Nie!” Luny i kłótnia ghazi z zaszczytniczką przenosi się do holu.

Dakota słyszała o tych fantastycznych stworzeniach, ale dotąd nigdy nie widziała żadnego na własne oczy. Wilk i jego syn są

jak dwie kałuże mroku we foyer hotelu. Goście i obsługa omijają ich, jakby promieniowali.

Wagner Corta oczywiście nie jest żadnym wilkiem. Jest człowiekiem, który ma wyspecjalizowaną konstrukcję społeczną, wspierającą zaburzenie neurologiczne. A Robson Corta nie jest jego synem, choć z tego, co słyszała, jest dla niego ojcem i matką bardziej niż Rafa Corta i Rachel Mackenzie. Teraz nie mogą być nikim innym — tylko wilkiem i jego synem.

Wilk cały płonie stłumioną energią — wyszkolone zmysły Dakoty dostrzegają bystrą spostrzegawczość i ostry jak brzytwa umysł, z którym nawet ona nie może się równać. Czyli jest w jasnym aspekcie. A chłopak? W życiu nie widziała kogoś bardziej okaleczonego psychicznie. Rozdarty na dwoje i byle jak pozszywany z powrotem, tak że szwy ledwie trzymają. Współczuje głęboko im obu, wilkowi i synowi.

— Jestem Dakota Kaur Mackenzie. Ariel bardzo się cieszy, że przyjechaliście. Chodźcie za mną.

Spojrzenia innych gości są ukradkowe, a szepty stłumione, ale nie tak, by Dakota ich nie wyłapała.

„To on... chłopak, który zabił Bryce'a. Wbił mu igły w oczy. W oczy...”. Ładnie się ruszają, wilk i jego syn. Jak asasyni.

Intensywność powitania trochę płoszy Wagnera. Dakota widzi, że nie spodziewał się tu wszystkich. Luny. Lucasinha. Siostry.

— Irmão.

— Irmana.

Obserwując zawahania, wzdrygnięcia, chwile dyskomfortu, brak poufałości, Dakota wypełnia sobie luki w historii rodziny.

Wagnera skazali na wygnanie, Ariel sama się wygnała.

— Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, leżałaś w łóżku w szpitalu w João de Deus — mówi Wagner do Ariel.

Dakota unosi brew. Osobliwa rodzinka. Mackenzie są prostolinijni, walą prosto z mostu, od serca. Z tymi Cortami nigdy nie wiesz, na czym stoisz. Teraz kochają, a za chwilę są jak radioaktywny lód. Urazy hodują latami, pokoleniami. Patrzy na Robsona ściskającego się z Lucasinhem — dwóch pięknych chłopaków, po ciężkich przejściach, obcych sobie nawzajem.

Przysuwa się do Rosario i szepcze:

— Na słówko. Na balkonie.

Zamyka okno i zaciąga się jedyną w swoim rodzaju perfumą Południka. Hałas z zasłoniętego ścianą zieleni prospektu jest ciepły i ludzki.

— Miej na oku tego wilka i chłopca.

— A co mnie do tego? — Rosario się najeża.

— Nie będziesz miała kontraktu, jeśli ktoś ci zabije zleceniodawczynię.

— Wagner i Robson?

— Ten mały zabił Bryce'a Mackenziego. Przemycił Pięć Śmierci z Twé do jego prywatnego basenu z błotem, na golasa. Kiedy znaleźli Bryce'a, nie miał już żadnej kości ani żadnego organu. Był jak wór wypełniony płynnym tłuszczem.

—Ale to rodzina...

— Ludzie najczęściej się zabijają w rodzinie. Miej oczy otwarte i trzymaj rękę na nożu.

— *Co to Blue Moon?*— pyta Alexia i barman jej go przyrządza.

Stożkowaty, oszroniony kieliszek, lokalny dzin (z piętnastoma ziołami), niebieskie curaçao powoli lane po łyżce, macki powoli rozchodzące się w alkoholu i rozpuszczające się w błękit nieba, błękit linii słonecznej. Do tego kulka skórki pomarańczowej.

Próbuje. Nie smakuje jej.

— Nie rozumiem tego.

— Cortowie wrócili — mówi barman.

Alexia wciąż nie rozumie, ale on się spóźnia, więc dopija drinka, on nadal się spóźnia, więc zamawia kolejnego blue moona, który nie pasuje jej tak samo jak poprzedni. Da mu czas do końca tego drugiego kieliszka, a potem schowa do kieszeni odwagę, którą zebrała, żeby zaprosić go na drinka, i pójdzie sobie.

Ten bar polecił Nelson Medeiros, widać, że gust ma dobry — na tyle nisko, żeby było szykownie, na tyle wysoko, by mieć odrobinę szemranego klimatu Bairro Alto. Uderzyła ją muzyka. Uśmiechnęła się — rytmy, do których mogłaby się poruszać. Nóżka sama chodzi, główka sama się kiwa. Usiadła na stołku przy barze i poprosiła o sztandarowy koktajl.

Przychodzi w ciągu ostatniego centymetra drugiego blue moona. Głowy nachylają się do siebie. „To on. To kim jest ona?”.

Wsuwa się na stołek obok niej. Jest inny. Odmieniony. Nie potrafi określić tego w szczegółach, jedynie ogólnie. Wrażeniem. Jakby głębszy niż szerszy. Mniej błyskotliwy, bardziej wnikliwy. Intensywny, ale nie niespokojny.

Krzywi się, słysząc muzykę.

— Jeśli ci nie odpowiada, możemy pójść gdzie indziej.

— Teraz to żadna muzyka mi się nie podoba — mówi, wskazując kciukiem w górę. Nad linią słoneczną, nad dwustoma metrami kamienia, nad Sinus Medii stoi Ziemia, pięć dni po pełni. To graniczny moment pomiędzy wilkiem i cieniem. — To przechodzi.

„Tamtego dnia umarł Wagner Corta”, powiedział w zapyłonym obserwatorium w Boa Vista. „Nie jestem jedną osobą, ale dwiema”.

— Przepraszam — dodaje, wstając z krzesła i cofając się o krok. — Zróbmy to, jak trzeba. — Całuje Alexię oficjalnie w oba policzki. Wskazuje krzesło.

— Proszę bardzo — odpowiada Alexia i on znów siada.

— Przepraszam za spóźnienie. Robson chciał dłużej zostać z Luną.

— To on jest...

— Już jest w hotelu.

— A ty nie jesteś...

— Ze sforą? Nie, Robson źle się z nimi czuł.

— Chciałam powiedzieć: z Lucasem.

— Lucas też źle się ze mną czuje.

Uśmiecha się inaczej, ostrożnie, dawkując emocje.

— Robson chciał pójść spotkać się ze swoimi dawnymi kumplami parkourowcami, z czasów, gdy mieszkał na Bairro Alto. Kazałem *escoltas* nie wypuszczać go z domu.

— To ty masz *escoltas*?

— Chwilowo są mi potrzebni. Napiłbym się czegoś. — Nagłość tego stwierdzenia jest echem szybkiego, bystrego wilka.

— Ja piłam blue moony — mówi Alexia.

— Mnie nigdy nie przypasowały—mówi Wagner i zamawia caipiroshkę.

Alexia idzie w jego ślady — szczeka szkło, a muzyka staje się przyjemnym, ciężarnym pulsowaniem w brzuchu. Wódka smaruje rozmowę, ale wciąż zdarzają się długie przerwy, gdy Wagner zastanawia się nad pytaniem, dziwne wtrącenia i dygresje oraz intensywne roztrząsanie rzuconych mimochodem uwag. W tych momentach Alexia zastanawia się, czy to możliwe — kochać jednocześnie cień i wilka. Gdyby musiała wybrać jednego, który Wagner by to był? Czy wilka może pokochać ktokolwiek poza wilkiem? Potem dociera do niej, że inna kobieta już zadała sobie to pytanie i poznała odpowiedź. Kobieta, którą kochał, która go zdradziła i zapłaciła za to potworną cenę. A teraz te same kompromisy i ustępstwa obraca w głowie Alexia Corta.

Patrzy na nią. Oczy ma wielkie i widać w nich zakłopotanie.

— Przepraszam, zamyśliłam się. — E, on tego nie odpuści. — Myślę o jutrze po prostu. — Niech się trochę rozgada. — Ty też, prawda?

— Byłem w Sądzie Claviusa, kiedy Bryce wyzwał Lucasa.

— Możesz opowiedzieć? Jak to jest?

Wagner zapada się w siebie na mroczną chwilę.

— Szybko — mówi. — Szybciej, niż myślisz. Ja jestem szybki — kiedy jestem tym drugim mną, ale noże są jeszcze szybsze. Szybsze niż świadoma myśl. Jeden błąd, chwilowe zachwianie koncentracji i nie żyjesz. Nie ma w tym niczego czystego ani honorowego.

— A widziałeś... wynik?

— Śmierć? To jest właśnie wynik. Zawsze jest taki wynik. Wyciąga się noże, to ktoś ginie. Widziałem, jak Carlinhos wbił nóż w gardło Hadleya Mackenziego i cisnął jego krew w twarz jego matki. Widziałem, jak bierze nóż i staje się czymś zupełnie obcym.

— Jak wasze prawo może coś takiego dopuszczać?

— Dużo się nad tym zastanawiałem. Nie jestem prawnikiem, ale nasze prawo niczego nie zabrania i niczego nie dopuszcza, o ile to jest uzgodnione między stronami. Jeśli prawo mówi, że nie można walczyć do krwi, by rozstrzygnąć spór, to mamy coś, czego nie można uzgodnić, i to prawo jest niczym. Myślę, że jest w tym i głębsza nauka — że prawo dopuszcza rozstrzygnięcie sporów przemocą, by pokazać, że przemoc nigdy niczego nie rozstrzyga. Przemoc wraca w nieskończoność, przez lata, dziesięciolecia, stulecia i kolejne życia.

Poszły cztery caipi i Alexia wcale nie ma ochoty na piątą. W tym barze jest tłoczno od cieni.

— Jutro mamy taki właśnie dzień — mówi Alexia.

Wagner doskonale ją rozumie.

— Prawda.

— Jedno pytanie: gdzie będziesz siedział?

— Robson z Haiderem. A ja z tobą i Lucasem.

— Lucas poprosił mnie na sekundantkę. Ja nawet nie wiem, co to znaczy.

— Trzeba podać noże, sprawdzić, czy twój zaszczytnik nie narusza reguł. Załatwić, żeby zabbalini zabrali ciało, jeśli to będzie konieczne.

— Cholera.

— Sędziowie ci wszystko podpowiedzą.

Alexia się waha.

— Wagner. Po wszystkim... wszystko jedno, co będzie, czy będziemy mogli... no wiesz?

— Spotkać się jeszcze raz?

— Tak.

— Ja chętnie.

— Ja też. Bardzo.

Ariel przechwytuje Abenę przy barze. Lekko dotyka dwoma palcami wierzchu jej nadgarstka.

— Zanim pójdziesz do Lucasinha, muszę z tobą pogadać.

Ekipa Corta i ghazi zajmują tyle miejsca, że trudno w apartamencie dyskretnie porozmawiać — Ariel zabiera Abenę do spa. Przysiadają na brzegu jacuzzi. Niebieskie światło, cienie wirów i zapach ozonu.

— Fryzura mi się zniszczy od tej wilgoci — zaczyna Abena i nagle patrzy na twarz Ariel. W życiu nie widziała takiej miny. Gdzieś zniknęła arcy—wszystkowiedza, poza i sztuczność, cały cynizm. Abena widzi ostrożność, nawet strach.

— Jutro, w sądzie: cokolwiek się będzie działo, nie powstrzymuj mnie.

— A co ty chcesz zrobić? — Teraz Abena jest przerażona. To nie jest głos Ariel, to nie są jej słowa.

— Największe *malandragem* to takie, którym ogrywa się samego siebie — mówi Ariel. — Kiedyś, jeszcze w Coriolisie,

zapytałaś mnie, czy mam matczyne uczucia, czy widzę Lucasinha i Lunę pod swoimi skrzydłami. Obawiam się, że zapytałaś nie tę osobę. Widzisz, Abeno Maanu Asamoah, ja przez całe życie byłam skupionym na sobie aroganckim potworem. I wiedziałam o tym. Od zawsze o tym wiedziałam. Kochałam tego potwora. Przekonałam wszystkich ludzi, że mi z nim dobrze. Musiałam odrzucić jedyną osobę, która przy mnie trwała, która mnie wspierała, kiedy byliśmy na dnie, która mnie kochała, żeby zacząć przekonywać siebie, że tak nie jest.

— Marina — mówi Abena. — Byłam przy tym, kiedy próbowałaś ją powstrzymać od powrotu na Ziemię.

— Poleciała na Ziemię, bo ją odepchnęłam. Zrobiłabym wszystko, żeby tak się nie stało. Ale z Ziemi nikt nie wraca.

— Lucas wrócił.

Ariel uśmiecha się.

— No fakt. Powtórzę: jutro, obojętne, co się będzie działo...

— Mam cię nie powstrzymywać.

— A jeśli spróbujesz mi sprzedać coś o odkupieniu, zadośćuczynieniu... to każę Dakocie wypruć ci flaki. Cortowie nie interesują się odkupieniem.

— Myślałam, że Cortowie nie interesują się polityką.

— Zdaje mi się, że historia pokaże, że się interesują, i to jak. A teraz leć do ślicznego chłopaka, wycałuj go i powiedz mu, że go kochasz.

Ariel otwiera drzwi spa.

— A, i rzeczywiście fryzura ci się rozpięrdzieliła.

Nie smakuje tak samo.

Lucasinho zawsze był słodki w smaku. Kiedy Abena zlizywała pot z jego bicepsów, z krzyża, smakował miodem. Skórę miał miękką, o aromacie ziół i cukru.

Teraz nie smakuje tak samo, nie pachnie tak samo, nie jest taki sam w dotyku. Abena ściska go mocno i czuje zeszywnienie, chęć wyrwania się, jakby obejmowali się pierwszy raz. Wie, jak uniwersytet odbudowuje jego osobowość — jest Abeną Asamoah ze zdjęć, komentarzy w sieci, współdzielonych wpisów i wiadomości. Czy on pamięta, jak był zagubionym chłopcem w Twé, znudzonym i sfrustrowanym w azylu u Asamoah, czy pamięta, jak zdradził ją z Adelają Oladelem, a potem chciał jej zadośćuczynić ciastem i seksem? Pamięta, jak smarował jej czakry bitą śmietaną, a potem śmiali się i śmiali, gdy ją zlizywał, od Anality po Muladhare? Pamięta, jak byli daleko od siebie, a ona ubrała swojego awatara w skórę fantastycznego *futanari* i to niezwykle go podnieciło? Czy on w ogóle może teraz ufać własnym wspomnieniom?

Nie wygląda tak samo. Pełne usta, zawadiackie kości policzkowe i długie rzęsy zawsze będą łamać serca chłopców i dziewczyn, ale najważniejsze piękno było w oczach, a to tam najwięcej się zmieniło. Te oczy były martwe. Zajrzały w nicość.

Nie zachowuje się tak samo.

— Paru typów z mojego seminarium jest w barze na dwudziestym drugim — mówi. — Może się do nich wykradniemy?

Robi niepewną minę. Przesuwa mu palcem po nosie, po ustach, od podbródka do szyi.

— Parę drinków. Nie za dużo.

Nie, on nie jest niepewny. On się boi.

— Nie wiem, czy mogę...

— Jak chcesz. — Dawny on wpadłby na tę imprezę jak burza, choćby na krzywy ryj, gdyby nie było go na liście, wszedł na piechotę, pokonując dwadzieścia dwa piętra Południka. Dawny on. Chowaniec Abeny, Turni, dzwoni do kumpli, czekających z transparentami, serpentynami i pigułami. *Nie chce przyjść.* — A może zabiorę cię tylko do hot—shopu na grzeczną szklaneczkę herbaty? — Widzi, jak się wzdryga. — Albo po prostu na spacer? Na pewno chcesz stąd wyjść. Przyda ci się trochę świeższego powietrza.

Ogląda się przez ramię na balkon swojego wielkiego pokoju, na miasto pod nim. Głosy i dźwięki z prospektu kuszą go. Kręci głową.

— Dakota mówi, że to niebezpieczne.

— Weźmiemy Rosario. Jest tak samo dobra. Nawet jej nie zauważysz. A ciotka dała mi dodatkową ochronę. W stylu Asamoah. — Postukuje palcami w bransoletę z wielkimi kamieniami na nadgarstku.

Stanowczość Lucasinha słabnie, potem jednak widzi, że w jego oczach na nowo krzepnie lęk

— Może innym razem. Zmęczony jestem. Naprawdę. Chyba powinienem się położyć. — Waha się. Abena zna to wahanie. Zapiera jej dech. Jest urocze. — Trochę się... boję. — Zagryza dolną wargę. To rozkoszne. — Ja wiem, że my byliśmy... wiesz.

Jeszcze w Twé. — Patrzy na nią przez długie rzęsy. — Nie chcę być sam. Bardzo długo byłem sam. Może mogłabyś... położyć się ze mną spać?

Abenie zapiera dech. Jej serce zamienia się w światło i ruch, frunie jak świąteczny balonik. W tym momencie nie jest najjaśniejszą gwiazdą swojego seminarium politologicznego, aplikantką Ariel Corty, prawniczką, która rozgromiła Amandę Sun i Księżycowego Orła, ani przyszłą dziedziczką Złotego Stolca; jest młodą dziewczyną z chłopakiem, który jej się podoba, który zachwycał ją, odkąd wbiła mu w ucho kolczyk na znak wiecznego przymierza z Asamoah, na imprezie po jego Biegu Księżycowym. Pył do pyłu, próżnia do próżni.

— Tak — mówi Abena. — Tak. Dobrze.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Marina budzi się z krzykiem ze snu, w którym coś ją miażdży — zawalony dach, lawina, strop Południka sunący w dół jak mordercze zgniatające ściany w filmie. Światło. Wymrukuje mroczki z oczu. Bolą ją nerwy wzrokowe. Zaciska powieki. Światło jest tak jasne i tak nagłe, że widzi w nich żyłki.

— Mai?

— Kess? — Marina patrzy przez szparki oczu. Drzwi to jasny prostokąt, cień za nimi to siostra.

— Od pięciu minut cię wołam.

— A co się stało?

Cień porusza się. Marina ryzykuje otwarcie jednego oka.

— Chodź, zrobię herbatę.

Marina otwiera drugie oko.

— Ale jest... — Kiedyś jej chowaniec podpowiedziałaby godzinę, zanim zdążyłaby sformułować pytanie, zbudziłby ją szeptanym ostrzeżeniem, że siostra chce się napić z nią herbaty o trzeciej dwadzieścia siedem nad ranem. — Dobra, tylko coś na siebie narzucę.

Zanim wczłapie boso do kuchni, woda w czajniku zdąży się zagotować. Oświetlenie zapewniają diodki na podłączonych do sieci urządzeniach kuchennych. Pachnie ziołowymi herbatkami, kwiatami, owocami. Kessie rozstawia dwa kubki. Marina zanurza torebeczkę — chrzest na gorąco.

— Zrobiłam coś i mam nadzieję, że nie będę tego żałować — mówi Kessie. Podsuwa Marinie wydruk.

Ta mruży oczy w półmroku. To potwierdzenie przelewu stu tysięcy dolarów na jej rachunek w banku Whitacre Goddard w Południku.

— Obrabowałam parę starych kont — dodaje Kessie.

— Wszystko ci oddam, jak tylko zacznę zarabiać — mówi Marina. — Co do centa.

— Aby do czasu, kiedy Ocean pójdzie na studia. — Owa kubasy ziołowych naparów parują nietknięte. — Dałam na twoje księżycowe konto, bo mówiłaś, że na amerykańskie zagląda wywiad. Chyba musisz teraz szybko działać.

— Mogę od razu zrobić przelew dla VTO. Dziękuję, Kess. Bardzo dziękuję.

Kessie unosi rękę.

— I od razu będziesz musiała jechać. Jak tylko zobaczą, że kasa poszła do VTO, domyślą się, co się stało.

— Myślisz jak Corta. — I nagle łamie jej się głos, w oczach ma łzy, a słowa się plączą i więzną w gardle.

— Myślałam nad tym. Kanada. VTO ma terminal kosmiczny w Ontario. Wiem, że to nie jest jak bilet na samolot, ale polecisz stamtąd, jak najszybciej.

Mówi szybko, słowa zlewają się ze sobą. Marina rozumie — jeśli zwolni, też się zająknie i przegra ze łzami.

— Będą pilnować na granicy — mówi Marina.

— Dlatego trzeba jechać zaraz. Jutro.

— Jutro?

— Promem do Victorii. Jesteś w Kanadzie, to już nic ci nie zrobią. Możesz sobie nawet na piechotę iść do Ontario. Ale musisz być w Kanadzie, zanim kupisz bilet, bo to jest sygnał dla nich.

— Jutro?

Zaczęło padać, słyhać cichy szmer kropel na goncie. Marina słyszy każdą kroplę w odrętwieniu i szoku, wiedząc, że to jest ostatni raz. Nie ma czasu na pożegnalne rytuały. To ostatni deszcz, ostatni szmer wiatru w drzewach, ostatnie nutki wiatrowych dzwonek. Ostatni raz przy tym stole, w tym łóżku, pod tym dachem. Nie może. To za szybko. Potrzebuje czasu, żeby poskładać i spakować wszystkie wspomnienia.

— Co jutro? — Ocean staje w drzwiach w za dużej koszulce, z psami pod nogami. — Usłyszałam głosy. Pomyślałam, że... no wiecie, że ktoś zły przyszedł.

— Wracam na Księżyc. — Czar prysł. To był tylko przelotny deszczyk w dolinie.

— Jutro?

— To skomplikowane — mówi Marina.

— Ale już będziesz musiała tam zostać — stwierdza Ocean.

— Tak. Będzie mi was brakowało. Strasznie. Ale tam mam kogoś, kogo kocham. Kiedyś słyszałam taką historię o Irlandczykach, że kiedy ktoś wyjeżdżał do Stanów, wszyscy

wiedzieli, że już nigdy go nie zobaczą, więc urządzali mu stypę, jakby zmarł. „Nowojorska stypa” się na to mówiło. I wy też już mnie nie zobaczycie, to zrobmy sobie taką księżycową stypę. Porządną, jak w rodzinie. Ocean — światła. Kess, daj jakąś muzykę, a ja zajmę się żarciem.

Podnosi się od stołu i człapie do lodówki. Wyładowuje całą jej zawartość na stół — ogórki, ser, chleb, jogurty, szynkę, wszystko, co popadnie, istny bufet losowej obfitości. Otwiera wino, nalewa pełne kieliszki. Psy krążą wokół, merdają ogonami, nadstawiają uszu.

— Co się dzieje? — Teraz miejsce w drzwiach pomiędzy pomieszczeniami zajmuje Weavyr.

— Moja impreza pożegnalna! — woła Marina. — Weavyr, Kess, idźcie, zbudźcie mamę, posadźcie na wózku i dajcie tutaj.

Zanim do kuchni wtoczy się matka, Marina wypełnia kuchnię zapalonymi świeczkami. Płomienie błyszczą na kieliszkach z winem, gra stara muzyka do tańca, a stół jest pełen dobrych rzeczy. Kobiety jedzą, piją, zadowolone psy snują się pomiędzy stołowymi nogami, pije się toasty — Za Księżyc! Za panią Lunę! — póki okien nie wypełni szary blask.

Prom do Victorii to smukły, zwinny katamaran, śmigający nad spienionym, białym kilwaterem, z zawadiacko pomalowaną w Union Jacka rufą. W cieśninie jest wysoka fala — zachodni wiatr, sprężony pomiędzy półwyspem i wyspą Vancouver, pcha fale do środka. Stateczek podskakuje na białych grzywaczach. Większość pasażerów jest na zewnątrz, trzyma się relingów i

stara się unikać myśli o mdłościach. Marina sama siedzi w kabinie na dziobie. Dłonie ma w kieszeniach, głowę wsparła na piersi.

Chciałaby odgrodzić się grubą ścianą od tego, co zostawia za sobą i kilwaterem z piany.

Do promu odprowadzili ją wszyscy, włączając matkę i psy. Kessie przywiozła mamę pikapem, Ocean z Weavyr podpłynęły motorówką. Kessie była zbyt skacowana, a Ocean za młoda, więc samochody postanowiły, że będą prowadzić same. Kuchnia została, jak była, zastawiona pustymi kieliszkami, butelkami, opakowaniami po smażonym jedzeniu. Dzień był piękny — najgorszy dzień na pożegnania. Plan kazał Marinie przyjechać w ostatniej chwili, kupić bilet za gotówkę i od razu lecieć na pokład. Cieszyła się, że pożegnanie będzie krótkie i pośpieszne. Takie powinny być pożegnania.

Weavyr była stoicka, ale Ocean rozplakała się, burząc jej spokój. Mama ledwo kojarzyła, coś mamrotała, Marina widziała jednak mrok w jej oczach, rozbiegany i lśniący jak rtęć, mówiący, że ona rozumie i aprobuje.

Potem była Kessie.

— Boję się — powiedziała Marina.

Trzymając się długo w objęciach, ścisnęły się za przedramiona.

— Czego się boisz? Wszystko mamy przeciwiczone. Meldujesz się na imigracji w Kanadzie i robisz przelew dla VTO Ziemia.

— Że ja sobie polecę, a oni po was przyjdą.

— Nie przyjdą.

— Ale jeśli?

— To za księżycową kasę da się kupić dobrych prawników.

— Mogą was gnębić przez lata. Mściwi są.

— To my też wyjedziemy. — Kessie wskazała brodą nabrzeże z przybijającym promem.

— Na Księżyc? — zapytała Marina. Mózg miała zlasowany nocnym winem i nagłym wyjazdem.

Kessie parsknęła śmiechem.

— Na początek może do Kanady. — Odstąpiła od siostry. — No idź. Prom przypłynął. Idź już.

Z głośników dobiegają pouczenia celne i imigracyjne, pasażerowie schodzą do kabiny z pokładu, wyrzucają kubki po kawie, szukają papierów.

Teraz.

Marina wchodzi na pokład i idzie pod prąd ludzkiej fali, ku rufie promu. Za ciemną wodą wznoszą się jej rodzinne góry. Nie może tego znieść. Wiedziała, że będzie trudno, więc czekała aż do tej chwili, żeby uczynić swoje wygnanie nieodwracalnym. Zsuwa paski kijków z rąk i ciska je jak włócznie, raz, dwa, w białą wodę. Mewy nurkują, potem widzą, że to nic ciekawego, i wznoszą się, krzycząc ze złością. Prom rusza. Marina chwieje się, nie wie, czy lecieć w stronę ściany, czy relingu, po czym łapie równowagę. Idzie prosta i pewna siebie ku schodni. Łatwizna.

Siedzi w samochodzie, który wiezie ją przez las. Jedzie przez ten las od wielu godzin, długą, prostą drogą, od której już z dziesięć

razy usypiała i budziła się zaśliniona. Tajga w północno—zachodnim Ontario to jeden z nielicznych ocalałych ciągłych obszarów leśnych — a gdzieś w nim mieści się terminal kosmiczny.

Grunt chrupie pod kołami. Dwadzieścia minut temu minęła autokar VTO i od tego czasu nie widziała żadnego innego auta.

Samochód zjeżdża na bok i staje.

— Co jest?

— *Zbliża się zdarzenie, które zapewne będzie pani chciała obserwować.*

— Zdarzenie? Co za zdarzenie?

Nigdy nie słyszała, żeby samochód zwariował, ale zawsze kiedyś musi być pierwszy raz, pod słońcem i Księżycem. Z Victorii popłynęła kolejnym promem do Vancouver, trzy dni załatwiała sprawy w VTO Canada, potem trzy tygodnie była w Toronto na przygotowaniach do lotu. To się nie może teraz tak skończyć, że zostanie gdzieś w kanadyjskiej dziczy, porzucona przez zwariowaną AI i odnaleziona lata później jako kości obgryzione przez rosomaki. Drzwi się otwierają.

— *Z zewnątrz pojazdu widok będzie lepszy* — mówi samochód.

Marina wysiada, ale jedną dłonią trzyma klamkę. Jeśli zobaczy coś niebezpiecznego, od razu wskoczy do środka.

— *Dokładnie nad drogą.*

— Ale co... — zaczyna Marina.

I nagle to słyszy, odległy grzmot, huk rozproszony przez milion drzew, i gdy dociera do niej, co to takiego, wysoko nad linią drzew widzi słup ognia i dymu. Wystartował statek —

ognista kolumna, pnąca się wyżej i wyżej, aż po kraj świata. Zachodni wiatr zaczyna już rozwiewać smugę, ale wciąż widać statek, zimny, błyszczący romb, oddalający się od Ziemi w stronę Księżyca.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Maszyny pracowały przez całą noc, skrupulatnie polerując dziesięciometrowy krąg z zielonego oliwinu, by powstała idealna arena do zabijania. Boty odpylające roją się na przysadzistych doryckich kolumnach, w zakamarkach stropu z surowej skały, na lukach ławek, na schodach. Ich elektrostatyczne pręciki lśnią zdradzieckim księżycowym pyłem. W ciągu czterdziestu godzin grzejniki podniosły temperaturę w sali do pokojowej. Zapaliły się wpuszczane światełka, rzucające plamy światła i cienia na rzędy siedzeń. Rzędy potężnych reflektorów zalewają blaskiem arenę. Otwierają się schowki, boty sprzątające pierzchają w mrok. Niedośłyzalny syk zmienia się w gwizd, potem wycie — to pomieszczenie napełnia się powietrzem.

Sala sądowa nr 5 jest amfiteatrem wyrąbanym w skórze Doni Luny, grubo ciosaną kawerną okiełznaną przez detale pożyczone z klasycznej greckiej architektury. Miało to symbolizować sprzeczności prawa — prostotę i powściągliwość, przemysłność i brutalność. Nigdy nie była użyta. Stała w ciemności zakonserwowana próżniowo. Aż do dziś.

Kiedy kamienne drzwi rozszczelniają się i otwierają, ostatni z pyłowych botów znika w swoim dukcie serwisowym.

Ariel Corta powoli idzie w dół po schodach. Przesuwa palcami po kamiennych siedzeniach, kanelach na kolumnach. Wchodzi na środek areny do walki, ocienia oczy, by zbadać rzędy siedzeń i oświetlenie. Wchodzi po trzech stopniach i zatrzymuje się przy ławie sędziowskiej, przesuwając dłoń po krzywiźnie sędziowskiego pulpitu. Siada na miejscu środkowego sędziego, taksuje wzrokiem sąd. Potem chodzi tam z powrotem między rzędami, przystając, by ocenić widok i otoczenie.

Część podłogi odsuwa się. Dakota Kaur Mackenzie wychodzi ukrytymi schodami z ciemności na światło. Wkracza na arenę.

— Dobrze, że włożyłam praktyczne buty — mówi.

— Jak tam jest na dole? — pyta Ariel z górnego rzędu siedzeń.

— Strasznie mało miejsca — odpowiada Dakota. — Ty tak robisz na każdym procesie?

— Muszę poczuć scenę. Wiedzieć, skąd co widać, jaka jest akustyka, jak daleko sięga mój głos, ile jest kroków wzdłuż, ile w poprzek, ile stopni na górę, na dół. Muszę widzieć to, co widzą sędziowie.

— To nie jest scena — stwierdza Dakota.

— Nie jest? — Ariel jeszcze raz obchodzi rzędy, a potem stawia swoją torebkę na drugim miejscu od prawej, na parterze w lewej trybunie. — Na środku to typowy błąd amatora. Trzeba być plamką w ich peryferyjnym polu widzenia, żeby byli

zdekoncentrowani i co chwila sprawdzali, co ty takiego zrobiłaś, że to przegapili.

— A co to będzie takiego? — Dakota przysiada na krawędzi sędziowskiego pulpitu i macha nogami w długich butach.

— To znaczy?

— Ten cwany numer, po którym sędziowie się zaczną rozglądać? Co to będzie takiego? Nie jestem ekspertką od prawa, ale nawet ghazi wie, że prawnicy potrzebują strategii. Jakichś argumentów chociaż. A ja widzę tylko: „Wyzwałam brata na pojedynek sądowy, on wynajął typa, który mieni się największym nożownikiem na Księżycu, ale co tam, mam stąd świetną widoczność”.

Ariel wyjmuje puderniczkę i ogląda sobie usta i oczy. Zatrząskuje ją i wsuwa do torebki.

— Masz rację.

— I?

— Masz rację. Nie jesteś prawniczką. Za to jesteś kobietą, której przydałaby się *siririca*, jak nic. Idź gdzieś i zrób sobie dobrze. Tak porządnie. Narób hałasu. Ja tak zrobiłam. Najlepsze na świecie przygotowanie przed procesem. Wszyscy ghazi to takie sztywniaki?

Dakota dalej ma rozdziawione usta, gdy otwierają się drzwi i zagląda Abena.

— Spóźniłam się?

— To my jesteśmy niemoralnie za wcześnie — odpowiada Ariel.

Rosario Salgado de Ciołkowski schodzi za Abeną po schodach, marszcząc się na widok architektury sądu.

— To musiał zaprojektować facet. Facet, który w życiu nie bzykał. Przesuwa stopą po wypolerowanej na lustro podłodze.

— Co to, kurwa, ma być?

— To nie jest problem podłogi, tylko butów — mówi Dakota.

— Moje buty zawsze są bezproblemowe — odpowiada Rosario.

Ariel pokazuje Abenie, że ma się po jej lewej stronie.

— *Powiedz mi, co ty tu kombinujesz* — mówi ta na prywatnym kanale. — *Rosario zżarła tyle przyśpieszaczy, że mogłaby bić się z całym Południem, ale chyba jeszcze do niej nie dociera, że może tu zginąć.*

— *Nikt tu nie będzie ginąć*— odpowiada Ariel Beija Florem.

— *Ani ona, ani ghazi, którą też swędzą ręce.* — A na głos dodaje:

— A Luna i Lucasinho?

— Jada. Sędziowie zaaprobowali *madrinhę* Elis jako odpowiedniego opiekuna.

— Oni mają być ostatni — mówi Ariel. — A Luna siada koło nas.

— Dziecko tu przyprowadzasz? — dziwi się Dakota.

— To ona ma nóż — mówi Abena.

Dakota kręci głową.

— Ja pierdolę. Co za ludzie. Cortowie.

— Uwaga — mówi Ariel. — Wszyscy, sądowe miny.

Tamsin Sun i jej świta prawników czekają przed sądem. Amanda Sun miała swoje pięć minut w świetle reflektorów, a pobiła ją ta gówniara Asamoah. Niech się tym zajmą

zawodowcy. Młodszy aplikant wyciąga dłoń, pomagając lady Sun wysiąść z *moto*. Sąd Claviusa ograniczył liczebność ochrony, żeby przemoc na arenie nie rozlała się po mieście, ale nie ma limitów na zespół prawny, więc Tamsin przemałowała *wushi* Taiyangu na młodszych aplikantów. Sąd na argumenty zawiódł, będzie sąd na noże. Hol jest szczelnie wypchany widzami i śmietanką towarzyską. Niby—prawnicy ustawiają się, torując drogę do holu. Krzyki, piski. Prawnicy Tamsin Sun są prędcy do pięści i paralizatora.

Dojeżdża ostatnie *moto*, lady Sun odczekuje, aż ostatni członek jej ekipy wysiądzie spomiędzy plastikowych płatków.

— Lady Sun... — zaczyna Jiang Ying Yue.

Lady Sun unosi dłoń.

— Nie teraz.

Przystaje, by podziwiać Salę nr 5. Obniżający się strop z gołej skały, jakby za moment miał się zawalić, krótkie, brzydkie kolumny, trybuny siedzeń, oślepiający krąg areny do walki — tu się nie ma gdzie ukryć. To architektura, która zastrasza. Ewidentnie działa na Jiang Ying Yue nachylającą się do lady Sun.

— Myślałam, że nie będziemy fizycznie angażować się w walkę — szepcze. — To po co ja tu jestem potrzebna?

— Nie możemy się pokazać bez zaszczytnika — syczy lady Sun. — Już dosyć ta rodzina się nacierpiała. Nie możemy wyglądać, jakbyśmy się poddali.

Zajmuje miejsce w drugim rzędzie obok Amandy Sun. Tamsin Sun daje znać Jiang Ying Yue, że powinna dołączyć do niej w pierwszym rzędzie. Prawnicy na czoło. Lady Sun kiwa

głową Ariel Corcie po drugiej stronie areny. Sprytnie, że przyszła pierwsza, mogła sobie dowolnie wybrać miejsce. Musi mieć jakiś dobry powód, żeby zasiadać na marginesie sądu. Jest z nią ta mała Asamoah — jej lady Sun nie będzie pozdrawiać. I ghazi z Uniwersytetu. Robi wrażenie, ale nie może być jej zaszczytniczką. Uniwersytet nie miesza się w politykę Tej Strony. Czyli ta żulica z Bairro Alto. I oni będą polegać na kimś takim?

Tamsin Sun odwraca się do Amandy i lady Sun.

— Przybył Lucas.

Alexia widzi, jak płoszy go tłum, jego wielkość i hałas. Oczy rozszerzają się ze strachu, spinają się mięśnie brzucha, na czole perlą się kropelki potu ze stresu.

Splata palce z palcami Wagnera. Chwila otuchy, że nie jest sam przeciwko tłumowi. Ściska jej dłoń i rozchodzą się, zanim zarejestrują ich informatorzy plotkarskich kanałów i ich kamery. Mają jednak przed sobą bardziej ekstrawagancki spektakl — wieść roznosi się falą od pierwszych rzędów ku ostatnim. „Mariano Gabriel Demaria. Lucas Corta zakontraktował Mariana Gabriela Demarię”.

Legenda o największym nożowniku rozdziela tłum. Wchodzi Lucas, elegancki, choć powściągliwy, w tym szarym garniturze z mikrobrokatowym wzorem, który miał na bankiecie z okazji zaćmienia; potem Alexia i Wagner. Żadnych prawników, ani ludzkich, ani AI. Robson jest w Orlim Gnieździe, z Haiderem i jego opiekunami, których Lucas przywiózł z Theophilusa.

Podczas kłótni Robsona z Alexią trzęsło się całe Orle Gniazdo, wszystkie jego tarasy i półpiętra.

— Wy nie jedziecie.

— Ale on jest moim *primo!*— odwrzaskiwał Robson.

— Lucas nie chce cię tam mieć.

— Ale ja chcę tam być.

W końcu ugadała Haidera, Maxa i Arjuna żeby stanęli po jej stronie, a dla pewności kazała ochronie Orła włamać się do Dżokera, chowańca Robsona. Nie będą mu działać pieniądze, będzie odcięty od sieci, a jeśli spróbuje parkouru po ścianach Gniazda i wzdłuż linii słonecznej, Nelson Medeiros obezwładni go w trzydzieści sekund.

Argumenty były tak naprawdę słabe — Robson widział i robił gorsze rzeczy od wszystkiego, co może zobaczyć na arenie Sali nr 5. Alexia chętnie zamieniłaby się z nim na miejsca. Ale Księżycowy Orzeł musi mieć dwa kroki za sobą swoją Żelazną Rękę. I swój cień.

Wagner zajmuje miejsce w najwyższym rzędzie. Lucas, nie patrząc, kiwa łaską: „Do mnie”. Alexia znów splata palce z Wagnerem. Widziała to. Kurwa mać. Ariel Corta to widziała.

Lucas sygnalizuje, że Alexia ma zająć miejsce tuż za nim. Kiwa głową byłej żonie, potem siostrze. Odpowiadają kiwnięciami. Sunowie zajmują całą sekcję siedzeń, Ariel i jej świta kilka rzędów, ale nikt nie jest tak nieliczny i zwarty jak zespół Orła. Lucas odwraca się do Alexii.

— Pokaż.

Alexia podnosi małą walizeczkę. Przywiozła ją do sądu z Orlego Gniazda. Jest anonimowa, niepozorna, z odpornego na

uderzenia włókna węglowego i tytanu, z tych, w których typowo wozi się papiery sądowe, nawet teraz, w epoce zautomatyzowanej przez AI dokumentacji. Jest tak zaprojektowana, by nie zwracać uwagi. W środku kryje się nóż Cortów ze stali meteorytowej.

— Miej ją przy sobie.

Alexia stawia walizeczkę na ławie obok siebie.

Podnoszą się wszystkie głowy, prostują się wszystkie plecy. Sieć obiega wieść, że przyjechał Lucasinho Corta.

Najpierw Luna, obie połówki twarzy zacięte, skrzynka z nożami do walki przewieszona przez ramię. Potem Lucasinho, przedmiot sporu i nagroda. Wypiełgnowany, włosy rozczochrane z nonszalancją możliwą tylko w księżycowym ciężeniu, ogolony i obuty, przypinka z Księżycowego Biegu. Abena widzi jednak, że waha się i patrzy w dół, zanim ośmieli się zejść po stromych stopniach. Stojąca za nim *madrinha* Elis też zauważa tę niepewność. Ręce dotąd schowane w rękawach szaty uwalniają się, by łapać i podtrzymywać. Abena ma serce w gardle. Lucasinho bierze głęboki wdech i schodzi po schodach.

Luna zajmuje miejsce obok Abeny, Lucasinho idzie na prawy skraj widowni, gdzie z otworu w podłodze wychodzą sądowi zaszczytnicy i dają mu eskortę. Abena łapie jego wzrok, sprawia, że się uśmiecha.

Gwar dobiegający z holu zmienia się w ryk, gdy sala otwiera się dla publiczności. Niecierpliwi widzowie łapią się siebie

nawzajem przy schodzeniu po zdradzieckich stopniach, poszturchują się i popychają w wąskich przejściach, walcząc o miejsca siedzące. Kiedy zamykają się drzwi sali, tłum siedzi także na schodach i stoi w pięciu rzędach z tyłu. Sala nr 5 dźwięczy jak bęben. Nagle zapada cisza. Sąd idzie.

Poprzedzani zaszczytnikami sędziowie Rieko Nagai, Valentina Arce i Kweko Kumah zajmują miejsca na ławie. Sędzia Rieko rozgląda się po pełnej sali.

— Przed Sądem Claviusa ostateczna rozprawa w sprawie Sun kontra Corta kontra Corta — mówi. — Czy wszystkie strony stawiły się osobiście lub przez przedstawicieli?

Pomruki od trzech stron i *madrinhi* Elis.

— Możemy poddać sprawę pod wspólnie uzgodniony sąd w składzie: Nagai, Arce i Kumah? — pyta sędzia Arce.

Potaknięcia, kiwnięcia głowy. Widzowie nabierają powietrza. Szokuje ich nieformalność procedury — dziewięćdziesiąt procent z nich nigdy nie było na sali sądowej, choćby po to, by negocjować matrymonialną *nikah*.

— Uzgodnione jest także rozstrzygnięcie sprawy przez pojedynek sądowy — dodaje sędzia Kumah.

Widzowie wypuszczają powietrze. Pomruk aprobaty.

— Sąd czuje się w obowiązku zauważyć, że to nie pierwszy raz, kiedy Cortowie rozstrzygają sprawę przy użyciu przemocy. Sąd tego nie pochwała — mówi sędzia Rieko. — To atawistyczne i poniżające. Sąd Claviusa jest rozczarowany, że rodzina o tak szlachetnej historii jak Sunowie dała się wciągnąć w tę

potworność. Dochowano jednak wszelkich norm prawnych, a my, sędziowie, jesteśmy związani naszym kontraktem, więc sprawa zostanie rozstrzygnięta w ten staroświecki sposób.

Przez widownię przechodzi pełen napięcia szmer. Zatem tak będzie. Nikt się nie wycofuje, nikt nie ucieka. Będą noże. Krew na kamieniach.

— Najpierw zapewne rozstrzygnięcie Sun—Corta? — mówi sędzia Arce. —Kto reprezentuje Lucasa Cortę?

Z ławy wstaje Mariano Gabriel Demaria. Szmer przeradza się w pomruk. Cała Bliższa Strona zna legendę ze Szkoły Siedmiu Dzwonów. Antypoślizgowe buty niepasujące do elegancko zawiniętych mankietów spodni zdradzają, że jest ubrany do walki.

— Tamsin Sun?

— Amanda Sun zdecydowała, że... — zaczyna Tamsin Sun. Na jej ramię opada szponiasta dłoń lady Sun i ściska ją jak głód.

— Amandę Sun będzie reprezentować Jiang Ying Yue — mówi lady Sun. Tamsin Sun obraca się gwałtownie na siedzeniu. Twarz ma pełną niezrozumienia.

— *Umawialiśmy się, że się wycofamy* — rzuca na prywatnym kanale. Publiczność, wyczuwając odstępstwo od scenariusza, zaczyna pomrukiwać i gadać.

— Umawialiśmy się, że... — zaczyna Jiang Ying Yue.

Lady Sun unosi rękę i rzędy asystentów podają sobie po kolei w dół nóż w pochwie, aż ląduje w dłoni Jiang Ying Yue.

— Lady Sun... —Jakieś pytania?

— Z całym szacunkiem, ale nie mogę się równać z Demariem.

— Zawiodłaś moją rodzinę pod Hadleyem — syczy lady Sun.
— Upokorzyłaś nas na oczach Mackenziech. Musisz zmazać tę winę. Pokażesz światu, że Pałac Wiecznego Światła ma jeszcze honor i odwagę.

— Madame Sun, wasza decyzja? — pyta sędzia Arce.

— Jesteśmy gotowi — odpowiada Tamsin Sun.

Strach na twarzy Jiang Ying Yue tężeje w stanowczość. Oddaje nóż lady Sun, bowiem zgodnie z odwieczną tradycją zaszczytnicy nie schodzą do szatni z bronią, i wchodzi na arenę. Podłoga otwiera się, schodzi w ciemność. Cisza w Sali nr 5 jest aż gęsta.

— Sekundanci — mówi sędzia Kumah.

Lady Sun wręcza nóż Amandzie.

— Czyń swój obowiązek.

— Zdychaj w bólu i krzyku, ty pomarszczona starucho. — Amanda Sun wyrywa jej nóż i zdecydowanym krokiem idzie przez salę ku sędziom.

Sędziowie muszą sprawdzić, czy nie ma na nożach jakichś niewynegocjowanych trucizn.

Po drugiej stronie areny Lucas Corta kiwa głową swojej Żelaznej Ręce. Alexia unosi walizeczkę. Odwracając się do stopni, łapie wzrok Wagnera. Wagner nie jest w stanie patrzeć.

Serce mało nie wyrwie się jej z piersi, gdy idzie po posadzcę areny. Bogowie, jaka ona jest zdradziecka. Całe to Koloseum jest zdradzieckie. W Sądzie Claviusa pod sąd poddaje się wszystko, absolutnie wszystko. Jedno drobne naruszenie procedury,

przeoczenie, obraza wobec którejś ze stron, a noże wyjdą ze śpiewem ze swoich pochew i wymierzą jej sprawiedliwość.

Stawia walizeczkę na pulpicie sędziowskim. Głośno strzelają zatrzaski. Gdy unosi nóż i podaje go sędziom, nad areną unosi się dziwny dźwięk, ni to jęk, ni pisk. Światło lśni na ostrzu noża, kiedy przekazują go sobie nawzajem, udając, że go badają. Właściwą analizę wykonuje sprytna maszyna ukryta w pulpicie.

— Meteorytowa stal — mówi sędzia Kumah.

— A gdzie jest drugi? — pyta sędzia Arce.

— To nieczysta rzecz — stwierdza sędzia Rieko. Omal nie rzuca noża z powrotem Alexii, by czym prędzej się go pozbyć. — Śmierdzi krwią.

Maninho prowadzi Alexię na drugą pozycję. Wymienia spojrzenia z Amandą Sun. Mogłaby zwymiotować ze strachu. Rozpłakać się. W życiu nie czuła się gorzej niż teraz, stojąc na środku w kostiumie od Chanel, z nożem w dłoniach. A jednak tu stoi. Podłoga otwiera się, wychodzą walczący. Tłum ryczy.

Wagner pochylił głowę i ukrył ją w dłoniach.

Jiang Ying Yue bierze nóż od Amandy Sun, waży go w dłoniach. Jest wysportowana, umięśniona, atletyczna w swoich legginsach do pół łydki, topie i piszczących, świeżo wydrukowanych butach antypoślizgowych. Alexia od razu widzi, że nie ma pojęcia o walce nożem.

Mariano Gabriel Demaria rozebrał się do czarnych szortów i butów antypoślizgowych. Jego ciało to wcielenie drogi noża — same sęki i ścięgna, żyły i blizny. Porusza się z łatwością i gracją kogoś fanatycznie kompetentnego.

Odwraca ciemne oczy do Alexii, ta podsuwa mu walizeczkę. Bierze ostrze Cortów. Rozlega się jakiś głos. Dziecięcy głos.

Na arenę wmaszerowuje Luna Corta.

— Nie dotykaj mojego noża!

— Słucham?

Luna jest mała, bezbronna i niezwykle bojowa, a w głosie Mariana Demarii nie ma ani cienia protekcjonalności.

— Tego noża może używać tylko Corta.

Mariano ogląda się na Lucasa. Skiniecie głowy. Oddaje nóż Alexii. Tłum robi powolny wydech. Nóż w pochwie sunie po podłodze ringu — Mariano podnosi go, wyciąga z pochwy. Unosi przed oczy, przygląda mu się w ostrym, twardym, gorącym świetle padającym na arenę. Pochyla głowę w nieznacznym ukłonie. Z drugiej, ukrytej strony areny Dakota Kaur Mackenzie odpowiada tym samym gestem.

— Jeśli państwo pozwolą?

— Nie mamy obiekcji — mówi Tamsin Sun.

Sędziowie sprawdzają nóż pobieżnie.

— Dostyc już tych przerw i teatru — mówi sędzia Rieko. — Jeśli tego typu rozstrzygnięcie jest konieczne, najlepiej, aby odbyło się szybko. Proszę kontynuować.

Alexii staje serce. Teraz już tylko noże. Tylko noże zdecydują o wyniku. Na tych kamieniach będzie krew. I dociera do niej, że jest tchórzem. Kiedy Gularte zostawili Caio, żeby umarł w kanale ściekowym na Barra, kiedy zniszczyli mu przyszłość, przysięgła, że wymierzy im sprawiedliwość. I poszła do Seu Osvalda — poprosiła, żeby zadał braciom straszną śmierć. Była

usatysfakcjonowana, postąpiła słusznie — niczym to się nie różniło od krwawej sprawiedliwości, którą tutaj tak potępia.

— Sekundanci wychodzą — poleca sędzia Arce.

Alexia wraca na miejsce. Nie, jest różnica. Bardzo duża różnica. Nie miała odwagi wymierzyć tej sprawiedliwości własnymi rękami.

— Proszę podchodzić — mówi sędzia Kumah.

Mariano Gabriel Demaria i Jiang Ying Yue przesuwają się ku środkowi areny. Unoszą noże przed oczy na powitanie.

— Walka — mówi sędzia Rieko.

Noże rozmazują się, ciała tańczą blisko jak w seksie. Tryska krew, nóż Ying Yue sunie po lśniącym kamieniu. Wstaje, trzęsie się z szoku, dyszy, krew płynie jej z bicepsa, po nadgarstku i skapuje z drgających palców.

Tłum milczy. Nie tego się spodziewał. To nie jest dobra rozrywka.

Beija Flor dźwięczy. Dakota Kaur Mackenzie, prywatny kanał.

— *On pokroi tą Ciołkowską na parujące plasterki.*

— *Tak* — odpowiada Ariel.

— *Wywal ją. Weź mnie.*

— *Nie.*

Dakota Kaur Mackenzie nachyla się ku niej.

— Ty w ogóle wiesz, co robisz?

Ariel patrzy na Lucasinha, bladego jak ściana, przerażonego pomiędzy zaszczytnikami sądu. Wagner ukrywa twarz w

dłoniach. Alexia też jest blada z przerażenia. Madrinha Elis naciągnęła kaptur na głowę, żeby schować twarz.

— Ja? Zawsze.

Jiang Ying Yue chwiejnie podchodzi do leżącego na podłodze noża.

— Zostaw — mówi Mariano.

Ona bierze nóż w lewą rękę, rzuca się na niego. Obchodzi ją z łatwością. Ying Yue z rozpaczliwym krzykiem zamachuje się na niego. Usuwa się spod noża jak sama myśl. Szybciej niż myśl. Jak instynkt.

— Przestań — mówi.

Jiang Ying Yue, ślizgając się na kałuży krwi, zatacza się ku niemu i macha nożem jak wściekła.

— Dosyc.

Mariano upuszcza nóż, wchodzi w gardę Ying Yue i łamie jej nadgarstek Trzask odbija się echem od surowych kolumn i opadającego chaotycznie stropu.

— Czy jest pani usatysfakcjonowana? — zwraca się do Tamsin Sun. Nawet się nie spocił. Jego ciało nie wykazuje śladu napięcia ani wysiłku. — Czy ma pani satysfakcję?

Tamsin Sun ogląda się na lady Sun. Stara kobieta kręci głową.

— Jestem usatysfakcjonowana! — krzyk Amandy Sun niesie się ponad areną aż po kamienne wrota sali. — To ja jestem powódką, nie moi prawnicy i nie moja babka! I jestem usatysfakcjonowana.

— Zatem zgodnie z kontraktem zawartym pomiędzy stronami sąd oddala wniosek Amandy Sun o opiekę nad Lucasem Cortą juniorem — obwieszcza sędzia Rieko.

Po widowni przechodzi nierówny jęk konsternacji, po chwili podjęty i wzmocniony przez tłumy na zewnątrz pulsuje we wszystkich kwadrach Południka, hot—shopach, barach, biurach i domach, łazikach, pociągach oraz w hełmach skafandrów od Roźdiestwińskiego po Królową Południa, od Świętej Olgi po João de Deus.

Sunowie przegrali.

Sanitariusze zbiegają się do Jiang Ying Yue, która stoi, pokrwawiona i roztrzęsiona, z okaleczonymi rękami, na środku areny. Plasterki likwidują ból, zszywki tamują krew, rurki i kroplówki łagodzą szok. Medycy Taiyangu schodzą za botem—wózkiem do podziemi Sądu Claviusa.

— Czy możemy ogłosić trzydzieści minut przerwy, żeby posprzątać ten bałagan? — rzuca wyraźnie zde gustowana sędzia Rieko.

Ariel zrywa się na nogi.

—Jeśli strony się zgodzą, chcę od razu przystąpić do drugiego rozstrzygnięcia.

Sala się zatchnęła.

Abena otwiera prywatny kanał, Turni do Beija Flora.

— *Co ty robisz?*

— *Słuchaj mnie* — odpowiada Ariel. — *Żadnych pytań, żadnego wahania. Jesteś w stanie?*

— *Jestem.*

— *Senhor Corta?*

Lucas podnosi się. Plotkarski gwar cichnie.

— Czy Mariano jest zdolny do walki?

— Jestem — oświadcza zaszczytnik.

Sędziowie przez moment siedzą nieruchomo, naradzając się na prywatnych kanałach.

— Jeśli obie strony się zgadzają, my się nie sprzeciwimy — ogłasza sędzia Kumah. — *Senhor* Corta, rozumiem, że pozostawia pan tego samego reprezentanta?

— Tak.

Sędzia Arce zwraca się do strony Ariel.

— Kto panią reprezentuje?

Długa pauza, w końcu wstaje Rosario.

— Jestem Rosario Salgadó O’Hanlon de Ciołkowski. Zakontraktowana zaszczytniczka strony.

— Proszę wystąpić.

— Nie tak szybko. — Ariel wchodzi na skraj ringu. — Kto reprezentuje, to jedno, a kto walczy, to drugie. Luna?

Luna na dany znak zbiega po schodkach ku Ariel.

— Pozwól.

Luna odwija rytualne ostrze. Ariel chwytą je, słysząc wyraźny świst, gdy nóż tnie powietrze.

— Zgodnie z legendą mojej rodziny: ten nóż może trzymać tylko Corta, który jest odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił. Ja jestem tym Cortą i będę z panem walczyć, panie Demaria.

Sala nr 5 eksploduje.

Alexia podejrzewa, że ma rozdziawione usta. Czuje, że ma wytrzeszczone oczy, że wali jej serce, a w uszach słyszy wysoki pisk. Jak wszyscy w Sali nr 5.

Cwana, cwana z ciebie sztuka. Jeśli Lucas odmówi walki, przegra sprawę. Jeśli będzie walczył, postawi największego nożownika na Księżycu przeciw niepełnosprawnej kobiecie, która ledwie ma pojęcie, którą stroną się tnie. Przeciw własnej siostrze. Na oczach połowy Księżyca.

— *Senhor* Corta?

— Mão de Ferro — mówi Lucas. Wyciąga dłoń. — Nóż.

Alexia z namaszczeniem kładzie mu go na dłoni. Żadnych pytań, wahań, wyjaśnień. On rozkazuje, ona słucha. Lucas podnosi się, opierając się na lasce.

— Odważny, wielkoduszny, wolny od tchórzostwa i chciwości. Corta, który będzie walczył o rodzinę i zaciekle jej bronił. *Senhor* Demaria, proszę usiąść. Czas, bym ja wziął to ostrze.

Pokazuje nóż sędziom.

— Czy sąd się zgadza?

— Sąd nie zgłasza sprzeciwu — mówi sędzia Rieko.

— Siostro?

Ariel się uśmiecha. Czy ona miała to w planie? Wiedziała, że Lucas będzie miał tylko jedno wyjście z pułapki? Samemu wziąć nóż do ręki? Długi wydech — Alexia uświadamia sobie, że mimo woli wstrzymywała oddech. Ona i cała sala. To już przechodzi z szaleństwa w królestwo mitologii.

— Będę z tobą walczyć — uprzedza Ariel.

— No to zabierajmy się do tego — odpowiada Lucas. — Sekundantka?

I Alexia znów wchodzi na arenę, żeby odebrać od Lucasa marynarkę, szelki, krawat i koszulę. Rozbiera się sprawnie, równiutko składa rzeczy, zanim jej poda. Po drugiej stronie ringu Ariel przywołała ghazi. Zdejmuje kapelusz od Adele List, zrzuca buty Ferragamo, strząsa żakiet Charlesa Jamesa, pozwala opaść spódnicy. Pod modnym wierzchem ma ponadczasowy strój wojownika — krótkie szorty i top. Przez sąd przechodzi syknięcie — boczni rdzeniowy: gładki plastik, obrzęknięta, czerwona blizna. Lucas bada podłogę stopą, potem zsuwa półbuty. Jest niekształtnym klinem starych mięśni flaczejących w masie. Rozrośnięty nie tam, gdzie trzeba — potężne uda i łydki, żeby odpychać się w ziemskim ciężeniu; mięśnie wokół kręgosłupa, by trzymać go prosto. Tak robi Ziemia z ciałem urodzonym na Księżycu, tak robi z nim potem *Księżyc*, kiedy to ciało wróci do domu. Sylwetka superbohatera, a chodzi z laską, by chronić rozwalone kolana.

— Proszę. — Lucas oddaje Alexii laskę. Przygląda się nożowi. — Masz pojęcie, co się z tym robi? — pyta siostrę.

— Próbujesz mnie tym zabić — odpowiada Ariel.

Sędziowie pośpiesznie odbębniają formalności. Lucas i Ariel unoszą noże do salutów, cofają się, okrążają nawzajem.

— Idiotycznie wyglądamy — mówi Lucas. — Dwa ludzkie wraki, które bawią się nożami.

— Ktoś musi zrobić pierwszy ruch — odpowiada Ariel.

— Tak — zgadza się Lucas. — Oni muszą.

Opada na kolana i z całej siły wbija Cortowy nóż w posadzkę areny. Gładki oliwin pęka i wyszczerbia się, stal meteorytowa pęka do połowy ostrza. Odpryskujący odłamek rani go w policzek. Ariel pochyła głowę na znak szacunku, odwraca nóż w dłoni i dźga nim nieustępliwy kamień. Odłamuje się czubek, na kamieniu powstaje gwiazdziste pęknięcie. A Sala numer 5 zrywa się na nogi.

— Pogadajmy! — Ariel przekrzykuje Babel głosów, ekstatycznych, oburzonych, wściekłych, zachwyconych, nierozumiejących.

— Nie! — odkrzykuje Lucas. — Ponegocjujmy.

Boty i drony nie były tak skrupulatne w sprzątaniu szatni zaszczytników pod podłogą sądu. Pomieszczenia są ciasne i zapyłone, powietrze jest nieświeże. Lucas przysiada na skraju kamiennej półki na rzeczy, Ariel na jedynym krześle. Rzucił Lucasowi koszulę, którą zapina ze starannością i szacunkiem mężczyzny znajdującego się na ubraniach. Wciąż jest bosy. A sąd ponad nimi wciąż ryczy — ten odgłos rezonuje w całym suńcie małego pokoiku.

— Nawet w telenoweli by tego bardziej melodramatycznie nie rozegrali — zauważa Lucas.

— Dziękuję.

— Ryzykowałeś jak nie wiem.

— Nie było żadnego ryzyka. Rodzina nade wszystko...

— Rodzina zawsze najważniejsza. Co proponujesz?

Ariel wciąż ma na sobie tylko strój do walki. Jako ktoś, kto poświęcił całe luno na przebudowanie swojego ciała na siłowni *Świętych Piotra i Pawła*, Lucas podziwia rzeźbę na jej ramionach i górnej części tułowia. Ostatnim razem, kiedy ją widział, siedziała na wózku. A wcześniej, w ciężkich czasach, miała do pomocy tylko tę zieluniaczkę — jak ona się nazywała? Nie pamięta. Mieszkała w komórce na samej górze Bairro Alto, obwieszona sznurkami, żeby móc się przemieszczać z miejsca na miejsce.

To dopiero jest dyscyplina.

To jest polityka względem ciała.

— Co się gapisz?

— Przepraszam. — Lucas nie był świadom, że jego wzrok zawędrował na złącze rdzeniowe i pozostał tam. — Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

— Co, wolałbyś tę starą protezę?

Lucasowi znów stają przed oczyma paskudne, cykające i pstrykające siłowniki i silniczki. Znów widzi siostrę na łóżku w ośrodku medycznym w João de Deus, jak podnosi się z niego, żeby opierdzielić go za to, że sam próbował negocjować *nikah* swojego syna.

— A to jest...

— Na stałe? Tak, chyba że znajdę sześć lun wolnego, żeby uniwersytet mógł mi zregenerować tkankę nerwową.

— Celowałbym w to — mówi Lucas. — Gdyby doszło do walki.

— Logiczne.

— Nie oszukujmy się. Lucasinho umie chodzić i się uśmiechać, podbijać każde serce w Południku, ale do prawnej pełnosprawności jeszcze mu daleko — mówi Ariel. — Więc mam coś, czego ty chcesz. A ty masz coś, czego nie chcesz.

— Orle Gniazdo?

— Orle Gniazdo.

— Ty go nie chcesz.

— Tak Ja go nie chcę. Wiem, do czego cię zmusiło LMA, żebyś mógł dopaść Bryce'a. Przepychasz to naprzód, ale to nie zniknie. Nie mogę obiecać, że okażę się w tym gorsza od ciebie. Ale ja chociaż będę mogła popробować. Ty nie mogłeś, bo masz Lucasinha. Ciągłe byś się o niego bał. Ja nie mam dzieci, partnerów, żadnych więzów. Jestem jak z żelaza.

— I co będziesz robić?

— Będę działać dla dobra mieszkańców Księżyca. Nie jesteśmy ziemską kolonią przemysłową.

— Ariel Corta, bojowniczką o niepodległość.

— Gdybym miała waper, tobym ci dmuchnęła w twarz kółkiem z dymu. Umowa będzie taka. Ty bierzesz Lucasinha i kogo tam jeszcze, do domu, do Boa Vista. Na Morzu Żyzności budujesz sobie imperium, jakie tylko zechcesz. Ja biorę tytuł, zaszczyty i odpowiedzialność Księżycowego Orła. Prosta zamiana.

— To jest legalne?

— Prawo tego nie zabrania — mówi Ariel. — Tu jest Księżyc.

— Wszystko jest negocjowalne — odpowiada Lucas. — Jeden warunek.

— Próbuj.

— Weź Alexcię.

— Twoją Mão de Ferro?

— Przyda ci się pomoc. A ona się zna. To jak, deal?

— Deal.

W zapyłonej, ciasnej garderobie pod areną Sali nr 5 Lucas Corta i Ariel Corta ściskają sobie ręce. Obejmują się na chwilę. Ariel zwilża pod kranem chusteczkę i przemywa Lucasowi skaleczenie na policzku, gdzie drasnął go odłamek ostrza. Krew ściekła mu po szyi, po piersi, aż po pasek spodni.

— Powinna tu być chociaż apteczka — burczy.

— Na rany, jakie się tu zadaje, pierwsza pomoc nie wystarcza — mówi Lucas.

Patrzą po sobie. Marszczą twarze. Stłumiona radość zmienia się w chichot, potem w bolesny, przeciągły śmiech, od którego brakuje tchu. *Malandragem*. Najbardziej cwane z cwanych posunięć. Cortowie wracają do gry. Lucas ociera oczy.

— Długo będziemy ich tam trzymać w niepewności?

— Pewnie, że długo — odpowiada Księżycowa Orlica.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Oto obrazy ze sprawy Corta kontra Corta, które przetrwają tak długo, jak długo Księżyc będzie wisiał na niebie.

Połamane noże na spękany polerowanym kamieniu. Sędziowie, którzy zerwali się na nogi i próbują przekrzyczeć rozwrzeszczaną salę. Unosząca się w powietrzu kula, w połowie czarna, w połowie srebrna, rozwijająca skrzydła, sycąca się kolorem z powietrza i zamieniająca się w zieloną ćmę księżycówkę. Dziewięcioletnia dziewczynka ścierająca z twarzy namalowaną czaszkę. Ojciec tulący syna, niezwracający uwagi na nic innego.

— Pamiętam, że już kiedyś mówiłam, że jak jeszcze raz urządzisz taki numer w moim sądzie, to powiem zaszczutnikom, żeby wypruli ci flaki.

Pokój prawników jest jedną komorą w ulu pomieszczeń pomocniczych i korytarzy pod Salą nr 5 i jest równie ciasny, zagracony i zakurzony jak garderoba zaszczutników. Sędzia Rieko Nagai przysiada na krawędzi umywalki, gdy Ariel Corta

zdejmuje przepocony strój do walki i wrzuca go do rozdrukowania. Potem wchodzi pod prysznic, pod zaprogramowane trzydzieści sekund gorącej wody.

— Dałabym im radę! — odkrzykuje spod pryszniczka Ariel.

— Złamałaś nóż.

— Ghazi by im dała radę.

— Ona pewnie tak.

Suszarka owiewa Ariel, która odrzuca w tył głowę, dając ciemnym włosom się rozwiać, przesuwając przez nie palcami, rozczesuje, spulchnia pod gorącym powietrzem. Potem bierze szlafrok dopiero wychodzący z drukarki.

— Pamiętam też, że ostatnim razem dałam ci coś takiego.

Sędzia Rieko wyjmując z torebki małą buteleczkę dzinu na dziesięciu ziołach.

— Dziękuję, ale ja już nie — mówi Ariel. — Przyniosłaś to do sądu? Nie wierzę.

— Wiedziałam, że w ostatniej chwili wywiniesz się jakimś *malandrągem*.

— A gdyby nie?

— To byłby toast ku twojej pamięci. — Jej ton poważnieje. — Ziemniaki panikują. Złożyli ponad pięćset pozwów. AI Sądu Claviusa już je pielą, ale może lepiej przedłużyć kontrakt tej swojej ghazi.

— Oni mnie nie powstrzymają. I nie mogą już liczyć na kosmiczne armaty Woroncowów.

— Mają piętnaście tysięcy bojowych botów, do wysłania w sekundę.

— Naprawdę mają? — rzuca Ariel z podstępny
uśmiechem.

„Jeszcze jedna rzecz. Ostatnia”, powiedział wcześniej Lucas,
gdy przygotowywali się do wyjścia na arenę, żeby zatrząść
orbitą Księżyca. „Przyda ci się”.

Beija Flor sygnalizuje nadchodzący plik.

„Co to jest?”.

„Hasło do ziemskich botów. Zawarłem transakcję z Amandą
Sun”.

„I co ono robi?”.

„Co tylko chcesz, żeby piętnaście tysięcy bojowych botów
zrobiło”.

„Twój własny, prywatny Żelazny Potop”, odpowiedziała
Ariel, gdy dach się rozsuwał, rzucając wydłużający się snop
światła w głąb szatni zaszczytników.

— Znowu masz te sądowe oczy — zauważa sędzia Rieko. —
Boję się ciebie, kiedy tak wyglądasz.

— Musimy zacząć się zachowywać jak dorośli — mówi Ariel.
— Wszyscy. Rządy prawa, nie noża.

Drukarka znów ciężko pracuje.

— To jest twój pierwszy dekret?

— Drugi. — Ariel unosi świeżo wydrukowaną sukienkę od
Pierre’a Balmaina. — Lata pięćdziesiąte mają być znów w
modzie.

Winda chwyta *moto* i unosi je wysoko nad propektem
Gagarina. Ariel wyjmuje waper z torebki i rozsuwa go na pełną,

dekadencką długość.

— Nie będzie ci przeszkadzało?

— Będzie — mówi Lucas Corta.

Ariel zaciąga się i tak, po czym uchyla dach.

— Proszę.

Rozpiera się i wydycha smużkę bladej pary.

— To nic nie daje.

Tłum pod sądem wcale nie ma ochoty się rozchodzić — wydaje się, że wręcz podwaja się w liczności i głośności. Prospekt Gagarina jest cały nabity ciałami, od ściany do ściany. Pół Południka już czeka z pytaniami, żądaniami, obawami, lękami, opiniami na temat nowego ładu, który wyłonił się z Sali nr 5.

Cortowie ze świtą wyjeżdżają z tunelu flotyllą wycarterowanych *motos*, które natychmiast wjeżdżają na górę. Każdy pojazd jedzie inną drogą. Nie do Gniazda. Gniazdo to pierwsze miejsce, gdzie Ziemianie wyślą swoje boty. Ani na dworzec — tam już roi się od botów kanałów plotkarskich. Wszystkie *motos* mają się spotkać w porcie statków księżycowych VTO, gdzie już czeka Nik Woroncow z *Orłem*, zatankowanym, obsadzonym załogą i gotowym, by lecieć do Boa Vista.

Moto wiozące byłego i obecnego Księżycowego Orła jedzie górnymi ulicami, w górę, w dół, skręcając tam i z powrotem, kiedy wyczuje nadlatujące reporterskie drony. Bombkę z tytanu i włókna węglowego wypełniają wyziewy z waperów i bossa nova. Hamowanie, zakręt, wjeżdżają na pokład bagażowy kolejki linowej i opadają w dwa kilometry otwartej przestrzeni.

— *Zbliżają się boty LMA* — obwieszczają Beija Flor i Toquinho.

— Najwyższy czas, żebym ci to dał — mówi Lucas, gdy *moto* kołysze się w lśniącej pustce.

Beija Flor rozświeśla się ogromnym transferem danych. Informacja, kody, uprawnienia, dostępy, wszystko, czego potrzebuje do rządzenia Księżycowy Orzeł. Leci tak szybko, że Beija Flor zaczyna zamulać.

— Jestem Bogiem — mówi Ariel. Para wycieka jej kącikami ust, gdy zapoznaje się z ogromem władzy, który właśnie otrzymała. — Tyle czasu siedziałam w Białym Zającu, doradzałam Jonathonowi Kayodemu, a on mógł zrobić to wszystko...

— Z Bogiem jest taki problem, że może być tylko jeden — dodaje Lucas. — Podstawowa wada monoteizmu. Masz to jeszcze.

Ostatni transfer pliku.

— I co to robi?

— Zabiera uprawnienia zarządcze wszystkim poza tobą.

Ariel krzywi się.

— Czemu się wstrzymujesz? — pyta Lucas. Zamyka oczy, oddycha głęboko. *Águas de Março*.

— Strasznie to ostateczne.

— Tak ma być. Zapuść to.

Toquinho dźwięczy gitarowym akordem i mówi:

— *Usuwanie uprawnień zarządczych*.

Lucas wywołuje wizualizację i patrzy, jak jego władza ulatuje w powolnych wybuchających obłoczkach znikającego

rodu. Elis Regina podkłada przejmującą, melancholijną ścieżkę dźwiękową. *Saudade*.

— I jak się czujesz?

— Myślisz, że jak jakiś superbohater, co traci moc? Nie. Absolutnie. W ogóle. — O prawdziwych uczuciach siostrze nie powie: że przepełnia go lekkość i światło, jak noworoczny balonik. Mógłby ronić łzy ulgi wielkie jak perły. Rozumie teraz, co to jest „błogosławieństwo”.

Wagonik dokuje, *moto* skręca w stronę pochylni prowadzącej na 63. Zachodnią.

— Żałuję, że Jonathon Kayode zginął — mówi Lucas. — Adrian Mackenzie walczył jak szatan. Możliwe, że mój nieustający grzech to niedocenianie wrogów.

Moto wjeżdża windą towarową do doku statku księżycowego. *Oriol* lśni w świetle reflektorów, fantastyczny potwór składający się ze zbiorników paliwa, silników manewrowych, dźwigarów, belek, rozpórek, talerzy anten oraz elegancko pozwijanych paneli słonecznych i radiatorów. Kapsuła środowiskowa stoi otwarta, z opuszczoną pochylnią. Wszyscy już tam są — ghazi, ta zaszczytniczka z Bairro Alto, Abena Maanu Asamoah. *Madrinha* Elis. Wilk. Luna. Żelazna Ręka. Lucasinho.

— Wsiadać! Wsiadać! — Nik Woroncow, wciąż zbuntowany przeciwko gustowi i modzie w swoich wyraźnie robociarskich szortach, koszulce i buciorach zbiega po rampie, by ich wprowadzić. — Stoicie jak chuj na weselu! A ja mam okno startowe!

Wewnętrzne wrota śluzy zaczynają się poruszać. Dok *Orla* to ogromna śluza, zewnętrzna na górze, wewnętrzna na dole, prowadząca do miasta. I ta wewnętrzna powoli się otwiera.

— Boty! — wrzeszczy Nik.

Całe dziesiątki, tłoczą się za powoli otwierającymi się wrotami, rozkładając i składając ostrza z przerażającymi szczęknięciami.

— Ja coś na nie mam — mówi Ariel i każe Beija Florowi uruchomić poprawkę Lucasa.

Boty przeciskają nogi i ostrza przez poszerzającą się szczelinę.

— Lucas... — dodaje Ariel.

— Złamałem piętnaści tysięcy botów bojowych typu trzydzieści trzy a... — zaczyna Lucas.

— To nie są trzydziestki trójki — odzywa się Dakota Kaur Mackenzie. — Te są stare, podstawowego typu trzeciego, z czasów pierwszego ataku na Twé.

— Ile takich zostało? — pyta Ariel.

— Później! — krzyczy Nik. — Wszyscy na pokład! — Gdy zamyka drzwi kapsuły, z konstrukcji statku wysuwają się wielolufowe działka.

— Ukradliśmy je od Mackenzie Helium! — woła Nik Woroncow. Dok jest wypełniony tupotem botów, jakby chodziły na szpilkach. — Skoro oni mogą rozwalić w cholere nasz statek, to my też możemy sobie postrzelać. Przepraszam, młody, jeśli to budzi złe wspomnienia.

— Nie pamiętam niczego z Twé — mówi Lucasinho.

— A ja tak — odpowiada Luna.

Pięć szybkich strzałów jeden po drugim.

— Jeden strzał, jeden bot — mówi Nik. — Naokoło jest masa delikatnego sprzętu. Możemy strzelać tylko, jeśli mamy dokładną linię ognia. Zapinać się.

— Ile ich jest? — pyta Ariel, zatrzasnąwszy uprząż swojego fotela.

— Więcej niż pięć — odpowiada Nik.

Grzechot strzałów, tak szybkich, że zlewają się ze sobą. Cisza.

— *Sekwencja startowa rozpoczęta* — mówi Oriol. — *Otwieram śluzę zewnętrzną.*

— One tam są! — przerywa ludzki głos na wspólnym kanale. — Pełno ich na powierzchni!

— Posprzątajcie tam trochę! — drze się Nik, przypięty pomiędzy Luną i Lucasinhem.

— Mamy nowe okno startowe — mówi kapitan VTO. — Przygotować się.

Na każdej soczewce pojawia się odliczanie. Nik Woroncow bierze Lunę i Lucasinha za ręce.

— Dobrze sobie krzyknąć — mówi i nie kończy zdania, bo Oriol z hukiem startuje.

Kapsuła pasażerska rozbrzmiewa krzykami na całe gardło. Przez kakofonię krzyków i ryku silników raketowych przebijają się nieustające trzaski działek. Statek się trzęsie, trzęsą się fotele, trzęsie się powietrze, trzęsie się każda komórka w ciałach pasażerów.

Lucas widzi strach i ból na twarzach ludzi, których kocha. Boicie się, że wszystko się zaraz skończy i spadnięcie z nieba,

potem boicie się, że wszystko skończy się w ułamku sekundy wielkim wybuchem. A na koniec — że to się w ogóle nie skończy.

Odliczanie do wyłączenia głównego napędu — mówi Oriol — Nieważkość za trzy, dwa, jeden.

Kończy się. Lucas czuje, że żołądek mu się przewraca, ciężar ciała znika. Widząc przerażenie na twarzy Abeny Asamoah, Nik wypina się z uprzęży i podpływa do niej z torebką do rzygania. Po chwili zapada cisza, jeszcze wymamrotane przeprosiny — i w tej ciszy wyraźnie słyhać metaliczne stukanie za grodzią. Tik, tik—tik, tik — coś podchodzi do rampy.

— Kurwa mać — mówi Nik Woroncow. — Są na kadłubie.

— Jak? — pyta Ariel.

— Musiały przeskoczyć, kiedy startowaliśmy. Są poniżej łuku działek, więc nie damy rady ich trafić.

— Mogą otworzyć drzwi? — pyta Lucasinho.

— Mogą rozwalić tyle systemów, że nie wylądujemy bezpiecznie.

— To znaczy rozbijemy się — odzywa się Luna.

— To znaczy rozbijemy się.

— Jak się ich pozbyć? — pyta Alexia.

— Ktoś musi tam wyjść i je zlikwidować — mówi Dakota.

— A są skafandry?

— Są dwie piętnastki — odpowiada Dakota. — Dobrze, że ktoś pomyślał i to sprawdził, nie?

Odpina uprzęż, odpycha się od siedzenia w kierunku śluzy na suficie prowadzącej do sterowni. W przelocie lekko poklepuje Rosario de Ciołkowski po czubku głowy.

— No dawaj, wojowniczo. Dwa skafandry. Zobaczymy, czy coś z ducha ghazi jeszcze w tobie zostało.

Elastyk. Skafander do pracy na powierzchni. Obcisła, hermetyczna skóra z hełmem i odzyskującym tlen plecakiem podtrzymywania życia, zapewniająca swobodę ruchów i ochronę przed czynnikami środowiskowymi przez maksymalnie czterdzieści osiem godzin.

Piętnastka. Skafander do krótkich wyjść na powierzchnię. Jednoczęściowy kombinezon z rozciągliwej tkaniny, na tyle obcisły, by wspierać naturalną odporność na ciśnienie ludzkiego ciała i nie dopuścić do utraty płynów. Biały, żeby odbijać promieniowanie cieplne. Doklejany hełmo—respirator, szczelny, jeśli użytkownik starannie zakleja taśmy. Maksymalnie piętnaście minut pracy w próżni.

Loty balistyczne statków księżycowych trwają średnio piętnaście minut. Jeśli problemu nie da się rozwiązać przy użyciu piętnastki, to nie uda się w ogóle.

Śluzza serwisowa jest tak mała, że Rosario i Dakota muszą poowijać się wokół siebie jak bliźniaczki w macicy.

— Uwięź, uwięź, uwięź! — woła kapitan Ksenia, zamykając wyjście w próżnię.

— Piętnaście minut — mówi Dakota na kanale skafandrów.

Rosario przypina do siebie broń, a samą siebie do karabińczyka wewnątrz śluzzy. Mają topór i trzy flary do walki z bojowymi robotami, które potrafią rozłożyć sto ostrzy.

Śluza zewnętrzna otwiera się. Rosario podciąga się na kadłub. Od razu czuje dezorientację. Wisi głową w dół, pas słoneczny pod nią jest linią czerni tak głębokiej, jakby ktoś rozciął Srebrny Glob na pół. Krzyczy, łapie się z całej siły, boi się spaść. Ale nie, Księżyc nie jest w dole, nie jest też w górze, tu nie ma góry ani dołu, jest tylko ruch. Tak, spada. Wszystko spada. Sprawdza jeszcze raz ten karabińczyk — jeden zbyt agresywny ruch i łatwo odpaść od statku.

Pod nią pędzi Morze Spokoju. Aż żołądek się przewraca.

Czternaście minut.

HUD skafandra jest prymitywny, ale pokazuje dość szczegółów, by namierzyć wroga — dwa boty po drugiej stronie kadłuba, pomiędzy zbiornikami z paliwem. *Oriol* to goła konstrukcja, do lotów tylko w próżni — po belkach i kratownicach łatwo się wspinać. Nie, nie wspinać — wspinanie sugeruje walkę z grawitacją, a to jest jakiś inny rodzaj ruchu. Gramolenie się. Rosario gramoli się po konstrukcji statku. Za nią rozwija się uwięź.

— Działajcie — przerywa kapitan Ksenia. — Jedna pompa paliwa już poszła.

Już nie potrzeba HUD—a. Wróg jest w polu widzenia — dwa boty piłujące przewód paliwowy. Statki księżycowe — jak rowery — mają wszystkie mechanizmy na wierzchu. Rosario wyciąga flare, Dakota przygotowuje topór.

— Jak to robimy? — pyta Rosario.

Odpowiedź przychodzi sama, gdy boty rejestrują zagrożenie. Napinają się syntetyczne mięśnie, tężeją ścięgna, skorupa rozsuwa się na części i ustawia do akcji. Bot atakuje, Rosario

odbija mordercze pchnięcie, szarpie za ramię i wyłamuje mu stawy. Tryskający smar zachlapuje szybkę, ale nie ma czasu jej oczyścić. Przekręca kapsel flary, składniki mieszają się i zapalają. Dźga nią baterię czujników bota. Ten zatacza się, zasłania mnóstwo, mnóstwo oczu ramionami. Flara iskrzy — skończył się udtleniacz — i gaśnie. Bot rozprostowuje się i skacze. Igłowata noga zawadza o brzuch Rosario i rozcina cienką skórkę jej skafandra. Wolna ręka sięga do uchwytu, żeby się okręcić i wrócić z decydującym ciosem. A topór, wprawiony w ruch całą siłą Dakoty, trafia bota centralnie w korpus i wyrzuca go, wirującego, na orbitę.

— Cholera! — krzyczy Rosario, czując precyzyjne cięcie przez powłokę skafandra. — Cholera. Krew mi leci. Cholera, cholera, cholera.

— To nic — mówi Dakota. — To był topór. — Zostały dwie flary i jeden bot.

Drugi bot wyraźnie dochodzi do tego samego wniosku, bo prostuje się znad urządzeń. Jakby wykluwało się jakieś okropieństwo — prostują się długie kończyny, wyciągają się, łapią się uchwytów. Rosario zaciska zęby. Kurwa mać, jak to boli. Boli boli boli. Ile ludzkie ciało może przeżyć w próżni? Hełm jest szczelny, ale z przerwana powłoką jej ciało jest praktycznie nagie. Jest opasana wstęgą unoszących się drobniutkich kropelek krwi, rozmazujących się przy każdym ruchu na bieli jej skafandra.

Ma sekundę—dwie, zanim drugi bot będzie gotowy do ataku. Rzuca flarę Dakocie.

— Kiedy powiem, wal go tym w ryj.

— Co ty...?

Walka w nieważkości to same pytania bez odpowiedzi. Rosario rzuca się głową naprzód na bota. Zapala flarę, omija rozkładające się ostrza, gdy oślepiiony światłem i ciepłem bot próbuje ją namierzyć, potem hamuje ostro i boleśnie na skrzynce wymiennika ciepła.

— Teraz!

Dakota Kaur Mackenzie atakuje z ogniem i furją. Jest szybka, prawie tak szybka jak bot, robi uniki, paruje flarą i cały czas dźga nią okrągłe, błyszczące oczy bota.

Oślepiona blaskiem i brudną szybką Rosario odpina swoją linkę i przypina ją do jednego ze stawów kolanowych bota. Ten wierzga, Rosario odkoziółkowuje, jedną ręką rozpaczliwie łapiąc się wspornika podwozia. *Oriol* leci wysokim łukiem nad wykopami i wałami Twé, prawie w szczycie swej balistycznej paraboli.

Oto jak Rosario Salgado O'Hanlon de Ciołkowski wygrywa.

— Dakota, łap mnie!

Rzuca się w kierunku ghazi. Swobodnie. Bez uwięzi. Jeśli źle to wyliczyła, jeśli Dakota zareaguje nie w porę, jeśli bot za szybko dojdzie do siebie, wleci na własną częściową orbitę. Nie będzie m usiała przejmować się ograniczeniami zniszczonego skafandra. O wszystkim zdecyduje zderzenie ze wschodnim Morzem Spokoju z prędkością 2,75 kilometra na sekundę. Będzie ładny krater. Może go nawet nazwą jej imieniem.

Dakota zatyka przedramię za jej pasek. Domyśliła się, co zamierza. Uderza w szpulę swojej uwięzi i ciska iskrzącą flarą

w bota, gdy zwijająca się linka wynosi ich z zasięgu zabójczego cięcia.

— Ksenia! — krzyczy Rosario. — Obrót statkiem!

— Nie jesteśmy w wierzchołku! — zaczyna Ksenia.

Dakota ją przekrzykuje:

— Rób, co ona mówi! Trzysta sześćdziesiątka, już!

Pauza. Bot pełźnie ku nim, ostrza ma uniesione jak jakieś wielorekie bóstwo nożowników. Rosario podciąga się w kierunku śluzy, końca uwięzi — karabińczyka na drugim jej końcu.

— Trzymać się tam — mówi kapitan Ksenia.

I cały świat wiruje. Przyśpieszenie odrywa jej palce od uchwytu. Ale Dakota ją trzyma. Dakota ją utrzyma. Księżyc z gwiazdami wiruje wokół niej. Nie patrz. Nie patrz, bo zrzygasz się do hełmu. Ale musi. Zresztą wystarcza jedno spojrzenie przez ramię — bot nie utrzymał się i wisi teraz na pełnej długości uwięzi, pociągnięty przez przyśpieszenie kątowe. Za moment zacznie się po niej wciągać. *Oriol* koziółkuje po księżycowym niebie, istne wesołe miasteczko plujących błękitnym ogniem silniczków. Rosario wspina się po Dakocie do krawędzi śluzy. Odpina karabińczyk. Pęd wyrywa go z palców. Bot leci swobodnie, po własnej, bezradnej krzywej balistycznej. Po tobie krateru nie nazwą, stworze jeden.

Czysta fizyka. Bezwładność ciał na uwięzi.

— Wal się, przestarzały złomie typu trzy — szepcze Rosario. A do mikrofonu mówi: — Wróg wyeliminowany, pani kapitan.

— Dobra robota. Dziękuję — odpowiada Ksenia. — Wracajcie do środka.

— Dobra robota, ghazi — mówi Dakota, gdy obie wciskają się do śluzy.

Tu i teraz są to najmilsze słowa, jakie Rosario w życiu słyszała. Zna te straszne historie o tym, jak ktoś zrzygał się do hełmu w nieważkości. Ale są podobne legendy o łzach?

Kopnięcie grawitacji, potem jeszcze jedno — silniczki manewrowe obracają *Orla* do lądowania. Zwinięta w embrion, łkająca z napięcia i ulgi, umazana kleksem własnej krwi Rosario Salgado O'Hanlon de Ciołkowski spada w kierunku Morza Żyzności.

Ariel pociąga nosem, widząc pomieszczenia biurowe. Unosi brew, widząc zatechłe, pozbawione okien gabinety, patrzy spode łba na odnowioną salę posiedzeń. Kiedy dociera do Lucasowego azylu w gałce ocznej, nie jest w stanie już skrywać niechęci.

— Teraz pamiętam, czemu się z tej kupy wyprowadziłam.

Pędzi dalej, zostawiając za sobą smugę pary z wapera, powoli rozwiewaną przez ospałą klimatyzację.

— Kamienie, kamienie, kamienie, kamienie — narzeka, schodząc paradnymi schodami na poziom zero.

— Wyjście przez usta — podsuwa Alexia.

Ariel przewraca oczyma. Na wardze Oxali przystaje, dotyka ramienia Alexii.

— Co takiego?

Chwilę musi się poprzyglądać, żeby zobaczyć, co zainteresowało Ariel. Przyśpieszane drzewa są już pełne liści, a

kopuła, ledwie widoczna przez powoli falującą zieleń, jest jak obraz ze snu. Mieszkają tu starzy i groźni bogowie.

— Tam mnie zaprowadź.

Beija Flor mógłby jej wyświetlić mapę Boa Vista, Ariel lubi jednak stawiać przed Alexią drobne zadania, próby i pułapki. Żelazna Ręka? Może dla brata, Ariel Corta nie jest tak łatwo zjednać. Gdy Alexia prowadzi ją po kamieniach pomiędzy bambusami, Ariel głęboko zaciąga się waperem. Marina zabiła napastnika poprzednikiem tego waperera, wbiła mu go pod brodę, aż wyszedł przez czubek czaszki. Siła Zieluniaczki. Dość siły, żeby zabijać dla miłości, dość, żeby pomóc jej w ciężkich czasach, ale nie dość, żeby zostać. Odkąd jest Orłem, Ariel coraz częściej wraca myślą do Mariny. Jak ci się podoba Ziemia? Jak ty podobasz się Ziemi? Czy widząc światło na niebie, masz ochotę wyc jak wilk? Czy patrzysz w górę i myślisz o mnie?

A twoja siła na czym polega, Alexio, co mienisz się Mão de Ferro, i co na tym świecie jest w stanie ją złamać? Bo coś musi.

Kręta ścieżka kończy się pod pawilonem — postument, kolumny, kopuła. Brzegi postumentu opływa woda. Ariel wchodzi po schodach. Powietrze jest świeże od płynącej wody, linia słoneczna niebieska, a w bambusach szeleści sztuczny wiatr. Pędy osłaniają pawilon przed spojrzeniem *orixas*, to zacienione, prywatne miejsce. Ariel obchodzi je w kółko, gładząc kolumny palcami. Ciepły kamień.

— Tak, to jest to miejsce — oznajmia. — Będzie mi potrzebne biurko, trzy fotele, jeden wygodny, dwa nie za bardzo. Napoje na żądanie. Dasz radę to załatwić?

— Ludzie zaraz się tym zajmą. Lucas prosił o spotkanie w cztery oczy. Ariel delectuje się chwilą.

— Oczywiście. Powiedz mu, gdzie mnie zastanie.

Słyszysz stukanie jego laski na kamieniach, zanim jeszcze wyłoni się z bambusowego labiryntu.

Dwa ludzkie wraki spotykające się w kamiennym kręgu.

— Ulubione miejsce matki — mówi Lucas. — Pod koniec przychodziła tutaj rozmawiać z Mãe de Santo Odunlade. Nazywają ją swoją spowiedniczką.

— Z Zakonu coś w ogóle zostało? — pyta Ariel.

— *Madrinhe*. Ołtarzyk w João. Legendy. — Lucas wspiera się ciężko na lasce. — Czy to wystarczy? Nie wiem. Ja nie mam wiary. Tu będziesz urzędować?

— Póki nie będę mogła się wynieść z powrotem do Południka. Ale najpierw muszę zrobić jedną rzecz. Lucas, ty sobie tak po prostu stąd nie pójdziesz.

Lucas uśmiecha się sarkastycznie, opiera się na lasce.

— Czekałem, kiedy to nastąpi. Kiedyś miałem takie sny, że palę się, nie mogę złapać powietrza. Tonę w roztopionym metalu. Potworne sny.

— Bo zrobiłeś coś potwornego.

— Zrobiłem to dla Ruffy, Carlinhosa. Dla matki. Dla ciebie.

— Nasze długi są spłacone.

— Teraz już są.

— Odejdiesz w stan spoczynku — mówi Ariel. — Będziesz sobie uprawiał ogródek. Zostaniesz największym na dwóch światach ekspertem od bossa novy. Zajmiesz się sportem, masz

teraz własny klub piłkarski. Nauczysz się polityki, będziesz komentował wnikliwie i ostro. Syna będziesz wychowywał.

Ariel widzi, jak twarz tężeje mu od zadawnionego bólu.

— Łagodny wymiar kary, siostra.

— Poważnie? — pyta Ariel. — A w ogóle, to czemu chciałeś się spotkać, *irmão*?

— Dlaczego ty to zrobiłaś? Cortowie nie interesują się polityką. A tu proszę, rodzinne zgromadzenie Orłów.

— Vidhya Rao pokazało mi przyszłość.

Lucas przez chwilę nie kojarzy nazwiska.

— A, ten ekonomista. Z Whitacre Goddarda. Co, jego komputery coś ci przepowiedziały? Jak to ono je nazywa?

— Trzech Dostojnych. Nie, opowiedziało mi o swojej rozmowie z Wang Yongqing, Anselmo Reyesem i Monique Bertin. Rzuciło im ideę Giełdy Księżycowej.

— Widziałem tę prezentację?

— A byłeś też na spotkaniu, kiedy Ziemiaki zaproponowały, że ją sfinansują, dlatego że nie wymaga zaangażowania ludzi?

— Jak to? — Lucas obraca się wsparty na lasce.

— Vidhya Rao poprosiło swoje komputery, żeby wymodelowały prawdopodobne ścieżki przyszłości. Wszystkie widziały Księżyc wyludniony od chorób. Epidemii. Lucas, to jest ich plan dla Księżycy. Masa komputerów w ciemności, produkujących wartość dodaną. I tylko ja jedna miałam możliwość działania. Miałam prostą drogę do władzy, żeby ich powstrzymać.

— Użyj tych kodów.

Jedno polecenie — i Beija Flor rozkłada wszystko w jej polu widzenia, wszystkie opcje i prerogatywy Księżycowej Orła. Mogłaby posłać pod nóż bota każdego Ziemianina.

— Lucas, musimy okazać się lepsi od nich.

Nie urządzi kolejnego Żelaznego Potopu.

— Oni by się nie zawahali.

Ariel przegląda wirtualną tablicę poleceń, edyktów i decyzji zarządczych. Jest. Wystarczy jedna myśl.

— Nie zrobię tego, Lucas.

— No to trudno. — Składa kciuk i palec wskazujący w Cortowskie pozdrowienie. — Ja odejdę, ale nie całkiem w stan spoczynku. Planuję być maksymalnie denerwujący i wścibski. Ktoś musi cię rozliczać, siostrzyczko.

— Lucas.

Odwraca się na najwyższym stopniu.

— To, co ci mówiłam. Że trzeba to zrobić w pierwszej kolejności. Właśnie to zrobiłam.

Pod Leeuwenhoekiem królowa torów VTO podłącza skafander do portu diagnostycznego uszkodzonego wagonu towarowego.

Na szklanych polach na południe od Abul Wała szklarz wypuszcza boty serwisowe na poszukiwanie pęknięć.

Na polach helowych Morza Wężowego luniarz zdejmuje zatyczkę próżniowego mazaka i bazgrze „Corta Helio” na logo Mackenzie Helium.

W Południku w hot—shopie Seven Funk na prospekcie Tierieszkowej słynny artysta makaronu kręci, rozciąga i

wyciąga placek ciasta, podczas gdy klienci plotkują o szokującym i zaskakującym procesie Corta kontra Corta.

W Twé ogrodniczka sprawdza dostępność farm wieżowych i porównuje ją ze stanami banków nasion AKA. Słyszała, że będzie wielki dynastyczny ślub — Mackenzie—Woroncowa—Asamoah. Ktoś będzie musiał dostarczyć kwiaty.

Na osiemdziesiątym siódmym piętrze Wieży Perth w Królowej Południa uczennica odwraca się od swoich kolegów z sieciowej klasy, by wyrzucić przez okno mieszkania — bo co to jej mignęło w dolnym prawym kąciuku oka? Fruwacz? Uwielbia fruwaczy.

W dolnym prawym kąciuku oka ich wszystkich, każdego oka, odkąd żyją i sięgają pamięcią, zawsze znajdowały się cztery małe ikonki. Powietrze, woda, dane, węgiel — Cztery Żywioły.

Nagle i jednocześnie u wszystkich te cztery światełka gasną.

Najpierw pojawia się panika. W ciągu pół wieku te kontrolki decydujące o życiu, zdrowiu i bogactwie nigdy się nie zepsuły.

Potem cały Księżyc wstrzymuje oddech. Wstrzymuje, bo nie wie, czy będzie kolejny. Wstrzymuje go, aż oczy wychodzą z orbit, po mózgu rozlewa się czerwień, a serce krzyczy. Póki nie da się go już wstrzymywać.

Księżyc robi wydech.

I wdech. Bez opłat. Licznik bitsów na złotej ikonce nie cyka, nie przychodzą powiadomienia o cenach. Powietrze jest bezcenne. Drugi oddech, trzeci, następny i następny. Oddychają za darmo.

Ariel Corta zlikwidowała Cztery Żywioły.

Młody człowiek jest bardzo przystojny, po księżycowemu — wysoki, ciemna skóra, łagodne brązowe oczy, ciemne włosy, ścięte krótko na poziomie kwantowym. Oczywiście wysoki i przyjemnie zbudowany. Kiedy pierwszy raz przyleciała na Księżyc, tutejsi ludzie wydawali jej się paskudni — zaburzone proporcje, za ciężka góra, kończyny za długie, stawy jakoś dziwnie poprzemieszczane. Nauczyła się patrzeć na nich przez pryzmat ich własnej estetyki — i zgodnie z nią ten typ jest bardzo przyjemny dla oka. A na zewnątrz czeka pięciu jego równie przystojnych rodaków, gotowych, by wpaść do mieszkania, gdyby stawiała mu jakikolwiek opór. Urzędniczka Lunar Mandate Authority, w średnim wieku, kontra młody, sprawny Portugalczyk.

Ciekawe, gdzie w rym garniturze udało mu się schować nóż.

Moda znowu się zmieniła. Tego nigdy nie rozumiała — tej księżycowej fascynacji historycznymi stylami i dawnymi modami. Wie, że oni mają ją za niegustowną, gdy patrzą na jej praktyczny, polityczny kostium. Ona ma ich za dekadenczkich i reakcyjnych.

— *Senhora* Wang? Jestem Nelson Medeiros. Przysyła mnie Księżycowy Orzeł. Pani pozwoli?

Wskazuje drzwi.

Bory ścięłyby elegancki garniak z tego zarozumiałego bubka, a potem pokroiły go na plasterki. Ale kiedy usnęły i przestały słuchać poleceń, wiedziała, że taka wizyta jest nieunikniona.

— Więc jak to będzie? — pyta Wang Yongqing. — Za służę czy nóż w kręgosłup?

— *Senhora?*— mówi Nelson Medeiros. — Obraża mnie pani. Tak się może u was na dole postępuje, ale my tutaj jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

Escoltas, których sobie wyobrażała, czekają za drzwiami, z Monique i Anselmo. czeka też stadko *motos*.

— Jedziemy na dworzec? — pyta Wang Yongqing.

Anselmo i Monique nigdy nie nauczyli się trójwymiarowej kartografii Południka, ona jednak dorastała między wieżowcami Guizhou i poziomy z pochylniami i windami czyta równie dobrze jak korytarze, kładki i galeryjki z dzieciństwa.

— Czekaj na was wagonik — wyjaśnia Nelson Medeiros. — Zawiezie was w bezpieczne miejsce, gdzie będziecie mieli zapewnione bezpieczeństwo i komfortowe warunki podczas politycznych zmian.

— Jako zakładnicy — mówi Wang Yongqing.

— Zakładnik to staromodne słowo — protestuje Primo Escolta. — Teraz mamy inny Księżyc. Jesteście naszymi gośćmi.

— Gośćmi, którzy nie mogą się wymeldować.

— Zależy, jak skłonne do negocjacji będą wasze rządy. Ale komfort będziecie mieli sześciogwiazdkowy.

— Dokąd nas wieziecie?

Młody człowiek uśmiecha się jak niebo pełne gwiazd.

— Do Boa Vista.

— To jak? Może być?

— Jesteś Księżycowym Orłem — mówi Alexia Corta.

Ariel cmoka poirytowana.

— Co mój brat w tobie widział? *Może być.* — Teatralnie przesuwając dłoń wzdłuż swojego stroju.

— *Sukienka: Cristobal Balenciaga, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci* — mówi Maninho.

Alexia nie zna się i nie interesuje się modą z lat pięćdziesiątych XX wieku.

— *Czarna wełna bez podszewki, obszyta delikatnie prążkowaną jedwabną satyną. Kapelusz Aage Thaarupa, buty Rogera Viviena, torebka i rękawiczki Cabrelli.*

Alexia poprawia jej kapelusz z szerokim, płaskim rondem.

— Idealnie.

— Słabo kłamiesz, Mão de Ferro. A ty będziesz mnie przedstawiać tak ubrana?

Ileż to razy Alexia stała tutaj z Lucasem, w przedsionku Pawilonu Nowego Księżycy, i trzęsła się nad jego spinkami, węzłem krawata, ułożeniem marynarki? Przyzwyczajenia i przesady szybko zmieniają się w rytuały.

— Mnie się podoba — mówi Alexia. Sama dopiero co nauczyła się nosić lata czterdzieste. Podobają jej się. Może nimi zadać szyku.

— Ty po prostu lubisz wyglądać jak uchodźca — rzuca Ariel.

— Jak ktokolwiek był w stanie w ogóle z tobą pracować?

Ariel rozpromienia się, widząc bunt.

— Kochana, bo mnie podziwiali. No dobra, to może jeszcze zaczekać. Zniecierpliwione Smoki to złe Smoki. Chcę, żebyś weszła i zapowiedziała mnie tak, że i bóg by pozazdrościł.

— Lucas miał taki... tekst.

— Z dawnych czasów. Pierwszych dni na Księżycu. „Szanowni państwo, Orzeł wylądował”.

Ariel syczy z niesmakiem.

— Bez sensu, skarbie. Moje nazwisko, tytuł, chwila pauzy dla dramaturgii.

— Nic ma sprawy, *senhora*.

Teraz Ariel już się szczerze uśmiecha.

— Wiesz co, przerażona jestem, że kurwa mać — wyznaje.

— Przecież mierzyłaś się z Lucasem w Sądzie Claviusa.

— Ale to był mój teren. Moja działka. Tutaj nie mam pojęcia, co w ogóle robię.

— Jeśli to ci coś pomoże. Lucas też nie miał — mówi Alexia.

— Kiedy Jonathon Kayode zlikwidował LDC, byłam po drugiej stronie płotu — odpowiada Ariel. — On też nie miał. Nikt nie ma.

— Ty jesteś bohaterką. Zniosłaś Cztery Żywioly, aresztowałaś Ziemniaków...

— Dałam ich Lucasowi pod opiekę — rzuca radośnie Ariel. — Rozweselasz mnie, Mão. Dobra. Czas na występ.

Alexia, otwierając drzwi do sali posiedzeń, przyłapuje Ariel na korygowaniu nachylenia kapelusza, który jej poprawiała. Wchodzi w światła. Znajomy szmer rady cichnie. Wśród blasku widzi wypełnione wszystkie rzędy zarezerwowane dla Smoków i wielkich rodów. Sektor przeznaczony dla Ziemian jest pusty. W galerii na samej górze tłoczą się akademicy, dziekani, szefowie katedr z Uniwersytetu Farside,

— Szanowni państwo — mówi. — Ariel Corta, Księżycowy Orzeł.

Ariel zajmuje miejsce Alexii w reflektorach. Twarz ma ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. Cisza jest absolutna. Unosi głowę, uśmiecha się, rozkłada szeroko ręce. I Pawilon Pełnego Księżyca rozbrzmiewa głosami jak grzmotem.

— Dzwonisz do mnie od razu, jak dojedziesz, rozumiesz?

Robson przewraca oczyma i próbuje odpłynąć przez zatłoczony hol stacji do schodów ruchomych na peron, ale Ziemia świeci jasno i Wagner ma oczy i refleks wilka, więc bez wysiłku sunie za chłopcem.

— Dobrze, dobrze, jak tylko dojadę.

Wagner wie, że jest nadopiekuńczy. Podpisał kontrakt o wspólnej opiece z Maxem i Arjunem — kiedy Ziemia jest okrągła i Wagner wraca do sfory, Robson będzie mieszkał z Haiderem. Są prostolinijni, dobrzy, kochający i godni zaufania, na tyle, że obaj zmienili pracę i przenieśli się do Hypatii, żeby zerwać więzy z Theophilusem. Robson będzie bezpieczny, szczęśliwy i pod dobrą opieką. Ale kto może go winić za tę nadopiekuńczość, po okropnych rzeczach, które wydarzyły się w Theophilusie, po zabójstwie Bryce'a Mackenziego w João de Deus?

Zabójstwo. Trzynastoletni chłopak wbił pięć zatrutych igieł w gałki oczne Bryce'a Mackenziego. Już jedna zabiłaby go na dwieście procent. Pięć miało rozgłosić całemu Księżycowi, że to jest nierychliwa sprawiedliwość Cortów. Zatrute igły zorganizował dzieciakowi wuj, a przyniósł najlepszy przyjaciel.

Potem musiał je ukryć we włosach, bo Bryce chciał, żeby był nagi i bezbronny.

Wagner nie jest w stanie o tym myśleć. Gdy Ziemia płonie jasno, emocje palą się goręcej i jaśniej — Wagner nie może zbyt długo patrzeć na słabość i bezradność, którą czuje, gdy myśli o Robsonie jako o zakładniku. Zabaweczce.

Lucas zrobił to, czego on nie był w stanie. Lucas urządził zemstę. Nie z poczucia lojalności wobec brata — i bratanka — ale przez wzgląd na imię Cortów. Rodzina nade wszystko. Rodzina zawsze najważniejsza.

To dla rodziny Analiese zdradziła Robsona. Nienawidzi jej, ale nie może jej winić. Dla Bryce'a i Pięć Śmierci Asamoah to za mało.

Wjeżdża pociąg, tłum przesuwa się ku schodom. Wagner i Robson zjeżdżają na dół, stojąc obok siebie. Bogowie. Jak ten chłopak rośnie. Wydaje się, że ledwie parę godzin temu uciekali z tego miasta pod ochroną długu Mackenziech, a Robson był słodkim dzieckiem, które spało mu na ramieniu w pociągu jadącym na wschód, ku Morzu Spokoju.

— Nie musisz iść ze mną aż do samej śluzy — mówi Robson, gdy schodzą z ruchomych schodów.

Pociąg czeka za pancerną szybą, wielki, dwupiętrowy Równikowy Ekspres. Południk wciąż jest oszołomiony i niedowierzający, skacowany niemal, po zniesieniu przez Ariel Czterech Żywiołów. Obalono jeden z filarów życia, a dach tego świata nadal się trzyma. Kwadry aż płoną ekscytacją. Co dalej? Zniesie Sąd Claviusa i zarządzi nowe prawa? Wybory? Politykę? Zараźliwy entuzjizm udziela się nawet wsiadającym do

pociągu tłumom — ludzie się uśmiechają, ustępują sobie nawzajem, śmieją się, gawędzą. Ogólny luz, na jaki cię stać, kiedy każdy twój oddech nie jest już pozycją w rachunku zysków i strat.

Robson stanowczo staje pomiędzy Wagnerem i służą, dając jasno do zrozumienia, że tu się żegnają.

— Do zobaczenia w João — mówi Wagner.

Zajmie się swoją nową pracą gdy tylko Ziemia się zmniejszy. Corta Hélio wróciło, ale to już nie będzie to, co kiedyś. Epoka Helu się skończyła, zaczyna się nowa era. Sunowie zasilają, Mackenzie wydobywają, Asamoah uprawiają, Woroncowowie latają. A co robią teraz Cortowie?

Cortowie robią politykę.

Wagner i Robson obejmują się mocno i ciasno. Chłopak to wciąż tylko ścięgna i kości.

— Do zobaczenia w João — mówi Robson. Odwraca się do służy. — *Pãe...*

Serce Wagnera fika koziołka.

— Co powiedziałeś?

Robson rumieni się, potem podnosi wzrok, mocny i zdecydowany.

— *Pãe!*

— Co, *filho?*

— Uważaj na siebie.

Potem odwraca się, wsiada przez służę do wielkiego pociągu, a Wagner odchodzi, serce mu płonie, oddech więźnie w płucach, gardło ma ściśnięte — wjeżdża ruchomymi schodami

w światło Południka, stojącej wysoko błękitnej Ziemi — jedzie do miejsca, gdzie czekają wilki.

W jednym, dwóch, trzech krokach Robson jest dwadzieścia metrów od dachu świata. Hypatia jest o wiele większa od Theophilusa, a jej tajemna parkourowa geografia o wiele bardziej ekscytująca. Są ciemne studnie, tak głębokie, że rezonują echem, sklepienia tak wysokie, że mają własną pogodę. Pod nimi rzędy rur, z których można niepostrzeżenie szpiegować całe dzielnice. Galeryjki, dukty, drabiny i uchwyty dla rąk. Jest też starsza—już podczas pierwszych eksploracji Robson znalazł imiona i daty z zeszłego stulecia. Grubo pokryte pyłem. Wabiły go takie stare, dziewicze miejsca. To było jego świątynią i miejscem uzdrowienia.

Rozumie, dlaczego Max i Arjun prosto z Południka przywieźli ich tutaj. Theophilus już zawsze by Robsonowi śmierdział krwią i strachem. Ale to Haider znalazł Analiese.

— Ja to widzę — powiedział. — Widzę ją każdego dnia. Kątem oka. Coś się ruszy, patrzę i ona tam leży.

Wracał do Świątyni Pyłu codziennie, aż znalazł tam trop. Odcisk antypoślizgowej podeszwy, mały. Krok długi. Trop parkourowca. Doskonałość została zbrukana, dodał więc do śladu swoje własne odciski, idąc jego śladem przez pył, potem tik—takiem pomiędzy dwiema rurami, aż do węzła.

Inny parkourowiec. Nie był sam.

Najpierw poczuł pełen niechęci, zawężlony gniew.

„Gniew jest dobry” — mówił terapeuta — „gniew jest słuszny. Rzecz w tym, do czego cię doprowadza”.

„Do wbijania zatrutych igieł w oko Bryce’a Mackenziego mnie doprowadza”, miał ochotę powiedzieć na każdej sesji. Miał ochotę, ale nie powiedział. Zachował ten gniew dla Świątyni Pyłu, gdzie mógł go z siebie wyrzucić, popatrzeć na niego i patrzeć, jak go doprowadza przez dziewiczy pył w jakieś nowe miejsce. Póki nie okazało się, że ktoś tam już przed nim był. To jednak jest inny gniew, gniew, który szybko rozpadł się połowicznie na inne emocje — ciekawość, ekscytację. Inny parkourowiec.

Kocha Haidera. Haider jest drugą połówką jego duszy, ale nie jest i nigdy nie będzie parkourowcem, a bliskości parkourowców nie da się wyjaśnić nikomu, kto nim nie był.

Nie jest sam.

— Ej—ho!

Haider. Robson przeskakuje przez grubą rurę wodociągową, ląduje na wąskiej galeryjce i siada, spuszczaając nogi w przepaść. Haider jest na dole, patrzy na niego, jedyną ciemną plamą jest zasłaniająca oko grzywka.

— Mógłbyś przestać, niedobrze mi się od tego robi! — woła w górę.

— No to chodź tutaj.

Haider robi nieprzyzwoity gest.

— Znowu rozwaliliś swojego terapeuta.

Po Theophilusie, po tym, co kazał im zrobić dla rodziny Lucas Corta, po João de Deus, Robsonowi i Haiderowi

przepisano terapię. „Pracy na całe miesiące”, powiedzieli lekarze. „Może i na lata”.

— Teraz mam człowieka — mówi Robson.

Haider krzywi się, jakby poczuł posmak wymiocin.

— Od kiedy?

— Od kiedy przy AI zacząłem utrudniać.

— „Utrudniać”?

— Tak to Damien nazywa.

— Twój terapeuta nazywa się Damien?

— Tak i strasznie dużo się uśmiecha.

— Może łatwiej by ci było po prostu gadać z tą AI?

— Podoba mi się tutaj.

— Wszystko się ułoży.

— Zawsze się układa. Albo nigdy.

— Mam coś dla ciebie. — Haider unosi dłoń. Ma na niej małą paczkę zawiniętą w przepiękną tkaninę. Mieści się łatwo, bezbłędnie w dłoni.

Robson wstrzymuje oddech.

— Skąd ty to masz?

— Przyszło do Maxa i Arjuna! — woła Haider. — Z Pałacu Wiecznego Światła. Myślisz, że to może być...

Robson odbija się od kładki. Haider wytrzeszcza oczy, ale dwadzieścia metrów to jest nic dla kogoś, kto kiedyś spadł z trzech tysięcy. Po czym wstał i poszedł. Kilka kroków. Rozkłada ręce, żeby workowata koszulka wydeła się i wyhamowała upadek. Ląduje zgięty, elastyczny na stopach. Roztrząsa sterczące włosy.

— ...niebezpieczne? — kończy Haider.

— Teraz już nie — dopowiada Robson i bierze malutką paczuszkę. Rozwija piękną tkaninę. Pół talii kart. Tak jak podejrzewał. — Dziękuję, Darius — szepcze.

— Darius? — pyta Haider. — Znaczy... ten Darius?

Robson wyjmuje swoje karty z kieszeni szortów do parkouru, składa z nimi drugą połówkę, przekłada, tasuje. Znów w komplecie. W jednej całości.

— Ten Darius. Wyjaśnię ci. Ale nie teraz. A, wiesz co, znalazłem nowy hot—shop do wypróbowania.

— Możemy — mówi Haider.

Hot—shop to ważna rzecz w życiu chłopaka. Ważniejsza niż jakaś tam terapia. To centrum życia towarzyskiego. To tam się ma kolegów.

— Dobra — odpowiada Robson. — Zobaczmy, jaką tu mają horchatę w tym mieście.

Wang Yongqing zażądała kolejnego spotkania, piątego, odkąd znalazła się w Boa Vista.

— Co tym razem? — pyta Lucas Toquinho.

— *Dostęp do drukarek* — odpowiada chowaniec. — *Niektórzy delegaci, od finansów, trzy dni musieli nosić to samo ubranie.*

Lucas wzdycha. Odwraca fotel, by patrzeć na soczystą zielen swego królestwa. Marzyła mu się dzicz. A został naczelnikiem więzienia ze złotymi kratami. Przykładna kara.

— Kalendarz? — Toquinho pokazuje mu ciąg kratek. — Przełoż Naomi Allain, standardowe przeprosiny. Wbij *senhorę* Wang na jej miejsce.

Lucas niewiele może zrobić, zasoby są ograniczone, a o wiele bardziej politycznie jest wysłać nowe drukarki do João de Deus. Wang Yongqing złoży swój protest, jak zawsze na stojąco.

On wygłosi kolejne standardowe przeprosiny, potem zaprosi ją, żeby usiadła. Porozmawiają. Jest świetna w sztuce rozmowy. Sztuka, polityka, obyczaje dwóch światów. Jazz. Jest entuzjastką. Zbyt inteligentna, by kiedykolwiek popełnić błąd i założyć, że mają wspólnego wroga. Rodzina nade wszystko. Rodzina jest najważniejsza.

A jednak te krótkie rozmówki doskonale zabijają czas.

Dzisiaj rozmowa będzie wyjątkowo dobra. W swoim inauguracyjnym przemówieniu na nowym Zgromadzeniu Księżycowym Ariel wymieniła coś, co nikomu nie daje spokoju, odkąd wyczerpała się ekstaza spowodowana likwidacją Czterech Żywiołów. Euforia ma krótki okres połowicznego rozpadu. „Niepodległość”. W kwestii retorycznych popisów na Ariel można liczyć, ale Lucas, na emigracji wewnętrznej, rutynowo przechwytuje łączność pomiędzy Ziemią i jej przedstawicielami na Księżycu. Słowa są coraz bardziej mroczne, ton coraz ostrzejszy, nastawienie jest coraz bardziej kamienne.

Może będzie tu musiał siedzieć bardzo długo, jeśli Ariel postanowi przetrzymywać Ziemię jako gwarancję, że Ziemia nie rzuci bomby atomowej na Południk i Królową Południa. Nie wątpi, że znajdzie się i jedna głowica z wypisanym próżniowym mazakiem „João de Deus”. Wang Yongqing już go

postraszy przy herbatce i jazzie modalnym świetnymi przerażającymi opowieściami.

Ale to się nie zdarzy. Ziemiańskie myślenie, że są twardzi i umieją twardo negocjować, ale nie dorastali, negocjując każdy oddech, każdy łyk wody, każdy skrawek wygryzionego w skale schronienia. Nie walczyli o życie z Panią Luną. Ariel zawsze wyciągnie na nich jakieś *malandragem*.

Ciężka walka będzie o tę niepodległość. Mieszkańców Księżyca jest niewiele, broni mają mało, a przeciwnik jest liczny jak gwiazdy na niebie. Ale mają przewagę wysokości. To, myśli Lucas Corta, powinno wystarczyć.

Toquinho dźwięczy. *Dostawa z Królowej Południa*.

Tego *escolta* nigdy nie widział na oczy. Wagner przysłała ich z João i co chwila wymienia — źle byłoby, gdyby ochrona nadmiernie spoufalila się z ochranianymi. Wilk świetnie się spisuje w João — de—Mackenziezacja idzie jak burza. Odwetowe ataki zdarzają się, choć rzadko, mimo ciągłych tarć pomiędzy *santinhos* i dawnymi luniarzami Mackenzie Helium, którzy zawarli teraz kontrakty z odbudowanym Corta Helio. Obelgi, ostracyzm, złe spojrzenia, miny. „To jest brazylijskie miasto, gadaj po portugalsku!”. Przepychanki, pogróżki, krótkie bójki. Aby tylko hel płynął. Wagner pracował kiedyś na szkłe i rozumie, że przyszłość materiałów do fuzji jest w kosmosie, nie na Ziemi.

Przesyłka to podłużna, płytki pancerna skrzynka. Lucas ma nadzieję, że nie wysyłali jej BALTRAN—em. Dziś, gdy wszystko jest drukowane, przesyłanie ręcznie zrobionych przedmiotów to zanikająca sztuka. Leży na jego biurku, on jednak waha się

przed otwarciem. Otworzyć tę skrzynkę to przyjąć ukryte w niej wyzwanie, pozwolić na próbę własnej odwagi i poświęcenia. Mimo to palce go już świerzbią, żeby trzasnąć zatrzaskami i ująć ten przedmiot w dłonie, przycisnąć do ciała, zbadać jego krągłości i kontury.

Robson jest z Haiderem w Theophilusie. Adopcja będzie prosta do załatwienia — Wagner jest jedyną osobą, która może w ogóle myśleć o zaleczeniu głębokich ran zadanych temu chłopcu. Niektóre z nich zadała jego ręka. Miałby ochotę myśleć, że tylko skanalizował jego nastoletnią złość, ale nigdy nie był mocny w oszukiwaniu samego siebie. Wie, że wymachiwał Robsonem jak nożem ze stali meteorytowej.

Luna jest z matką w Twé. Niesamowite dziecko. Jej wymalowana twarz, pół żywa, pół czaszka, stała się księżycową legendą — symbolem nadziei, wytrwałości i sprawiedliwości. Lucas nie może wyzbyć się wrażenia, że ona już zawsze będzie nosić pod skórą ten obraz.

Lucasinho przygotowuje się do pierwszej samodzielnej wizyty. Jedzie do Południka zobaczyć się z Abeną Asamoah. Lucas stanowczo się temu sprzeciwił — nie żeby podróż była dla niego zbyt ciężka; bał się, że Abena Asamoah pożre młodego żywcem. Niebezpieczna, ambitna, drapieżna młoda kobieta. Zatoki Oxali rozbrzmiały podniesionymi głosami. I to siła oporu Lucasinha przekonała Lucasa, by mu pozwolić. Zresztą pojedzie z nim ta zaszczytniczka. Nie pamięta, jak się nazywała, ale była niezła podczas walki na Orle. Może trzeba jej zaoferować stały kontrakt.

Jakże my jesteśmy pokancerowani, wszyscy co do jednego.

Ale teraz rodziny nie ma, a jego czeka tylko dzień pełen spotkań oraz specjalna przesyłka z Królowej Południa.

— Toquinho, odwołaj spotkanie o dziesiątej trzydzieści. — Otwiera zamki, zdejmuje pokrywę. — I o jedenastej i jedenastej trzydzieści.

Wyjmuje futerał z gitarą i kładzie go na biurku. Odruchy każą od razu ją otworzyć, ale to by skróciło przeżycie. Każda przyjemność i każda doskonałość ma swój czas. Lucas Corta przesuwa palcami po prawdziwej skórze, po błyszczących mosiężnych zatrzaskach i zawiasach. Potem rozpina je i otwiera futerał.

Najpierw uderza go zapach. Drewno, bezcenne organiczne lakiery, naturalne żywice i politory — prawie zatacza się od tego aromatu. Potem dostrzega kolory, słoneczne złoto i bursztyń, ciemny mahoń, pomiędzy progami romby z macicy perłowej ręcznie wycięte z muszli wyhodowanych w Twé skorupiaków, markietażowa aureola wokół otworu rezonansowego. Wyjmuje ją, ostrożnie jak noworodka. Jest lekka, mocna i pełna życia. Siada ostrożnie, ale gitara mówi mu, jak ją trzymać, gdzie przyłożyć do ciała.

Chce, żeby przemówiła, chce usłyszeć jej pierwsze samogłoski, ton i głos, palce wahają się jednak nad strunami.

Nic nie wie. Wie mniej niż nic.

Tak się zaczyna każdy związek — nieznanomym coś do siebie przyciąga. Będzie w stanie się tego nauczyć? Ma dość dyscypliny, dość czasu i dość samozaparć, by nauczyć się trudnych rzeczy, ale co, jeśli okaże się, że trzeba czegoś więcej? Co, jeśli po latach ćwiczeń i nauki dotrze do niego, że nigdy nie

będzie w stanie zmusić tych strun, by szeptały i śmiały się jak u João Gilberta?

I tak warto podjąć tę podróż. Może tylko João Gilberto może być João Gilbertem a Lucas Corta wystarczy, że będzie Lucasem Cortą. Niemniej, pewnego dnia, pewnego roku, byłoby dobrze zagrać w duecie z Jorgem Mauro.

Palce uderzają w struny. Rozstrojone. Głupio było oczekiwać, że koncertowy strój wytrzyma podróż z Królowej Południa.

Czyli strojenie. Pierwsza rzecz, którą będzie robił każdego dnia swego nowego, gitarowego życia.

Każde warte czegoś zajęcie to zajęcie na całe życie.

Mąka, cukier, masło, jaja.

Cztery podstawowe żywiły ciast.

Lucasinha wciąż zaskakuje, jak łączą się jego zrekonstruowane wspomnienia. Myślisz o Abenie Maanu Asamoah, a pamięć podpowiada: ciasto.

— Ja robiłem ciasta? — pyta Jinjiego.

— *Sławny byłeś z tego* — odpowiada chowaniec i wyświetla mu montaż materiałów z imprez, niespodzianek, prezentów.

Na końcu Lucasinho dekoruje prawdziwą krowią bitą śmietaną ze swojego truskawkowego ciasta czakry Abeny Asamoah.

— To przynoszę ciasto.

Jinji pokazuje różne przepisy, ale żaden nie jest godny Abeny.

— Jest coś takiego jak ciasto kawowe? — pyta Lucasinho.

— *Jest.* — Jinji pokazuje, jak je zrobić. Składniki są dość rzadkie, jeden nie do zdobycia w obecnym politycznym klimacie, ale drukarki potrafią zsyntetyzować sztuczny smak kawowy. Nie robi różnicy nikomu, kto nie próbował prawdziwych ziaren. Potrzebny jest też sprzęt, który onieśmiela skomplikowaniem.

— *Mogę zorganizować gastronomiczną kuchenkę mikrofalową* — mówi Jinji.

— To coś zmieni?

— *Mniej więcej tyle, co syntetyczna kawa.*

Mąka. Lucasinho marszczy czoło na widok białego proszku. Wtyka weń palec. Zdumiony jedwabistą sypkością wtyka do miski całą dłoń, napawa się dotykiem, przesypuje ją przez palce.

Cukier. Wącha kryształki, ślini palec, zanurza, smakuje. Pojawiają się obrazy, cała fala wrażeń—wspomnień, tak żywych i wyrazistych, że aż zatacza się pod ścianę kuchni.

Masło. Zestalony krowi tłuszcz. Nabiera odrobinę, ściska w palcach, delektuje się tłustą mazistością. Maluje sobie dwie tłuste kreski na policzkach. Coś brudnego i zmysłowego.

Jajka. Unosi do oczu każde z nich, zachwyca się doskonałością i kompletnością. Są jak mieszczący się w dłoni wszechświat. A jednak wyszły z żywego stworzenia. Kręci głową.

Musi coś wyczarować z tak mało obiecujących surowców.

„Ciasto kawowe mówi: Aby Cię uszczęśliwić, poruszę Ziemię na niebie”. Przypomina sobie, że coś podobnego kiedyś do

kogoś powiedział. Do Luny. W trakcie wędrówki po ciemnym szkle.

Miseczki, sprzęty, utensylia, aromaty, ozdoby — wszystko ma już przed sobą. Czegoś jeszcze brakuje. Coś jest nie tak. Lucasinho bierze głęboki wdech. Po czym zrzuca buty, ściąga koszulkę przez głowę. Wciąga brzuch, rozpina spodnie, pozwala im opaść. Wychodzi z nich, odkopuje je na bok.

Stoi nagi, wreszcie gotów, by robić ciasto.

Pstryka palcami, bierze w nie kostkę masła i zaczyna. Nad nim, ponad zakrzywionym czołem Oxali, ponad sztucznym niebem Boa Vista, po horyzont ciągnie się goła, pozbawiona powietrza, sieczona promieniowaniem powierzchnia Morza Żyzności.

SŁOWNICZEK

Na Księżycu mówi się wieloma językami i beztrąsko używa zapożyczeń z chińskiego, portugalskiego, rosyjskiego, joruba, hiszpańskiego, arabskiego czy akan.

Wymowa: portugalskie *nh* wymawia się jak *ń* — Lucasinho to w przybliżeniu „Lucasinio”. Dwuznaki *ãe* i *ão* wymawia się mniej więcej jak *ai* i *au*, z nosowym przydźwiękiem na końcu, przypominającym krótkie *n*.

A — potoczne określenie osoby asekualnej

Abusua — grupa ludzi mających wspólnego przodka w linii żeńskiej; na ewidencji linii żeńskiej opierają się zakazy małżeńskie AKA, wynikające z dbałości o różnorodność genetyczną

Adinkra — symbole wizualne w języku akan, przedstawiające pojęcia abstrakcyjne lub aforyzmy

Amor — kochanek/kochanka, partner/partnerka

Amoria — poliamoria, jedna z wielu księżycowych form partnerstwa czy małżeństwa

Anjinho — aniołek, czuły zwrot u Cortów

Auriverde — flaga brazylijska

Bania — rosyjska łaźnia parowa

Beija Flor — koliber

Czamogwiedzny, blackstar — pracownik powierzchniowy AKA (od potocznego określenia ghańskiej narodowej drużyny piłkarskiej)

Boceta — wagina w brazylijskim slangu

Bogan — wulgarne australijskie określenie osoby o niskim statusie

Bruxa/bruxaria — czasy, uroki

Czib — wirtualny wskaźnik w interaktywnej soczewce kontaktowej, pokazujący stan konta Czterech Żywiołów

Coração — serduszko, czuły zwrot

Cunhada — szwagierka

Elastyk — skafander do wyjść na powierzchnię, równoważący ciśnienie wewnętrzne ludzkiego ciała obciskającą konstrukcją

Escolta — ochroniarz

Feijoada — mięsno—fasolowy gulasz, symbol kulinarny Rio de Janeiro

Gatinha — kotka, młoda kobieta

Globo — uproszczony angielski, ze znormalizowaną wymową zrozumiałą dla maszyn

Ghazi — arabski rycerz wiary. Na Księżycu uczony—wojownik z Uniwersytetu Farside

Gupshup — główny kanał plotkarski w księżycowej sieci społecznościowej

Irmã/irmão — siostra/brat

Jackaroo — pracownik powierzchniowy w slangu Mackenziech, od australijskiego słowa określającego pomocnika pastucha

Keji—oko — druga (równoległa) małżonka/mążzonek

Kotoko — rada AKA, w której członkostwo jest rotacyjne

Kuozhao — maska przeciwpyłowa

Ladeira — schody pomiędzy piętrami kwadry

Laoda — dowódca powierzchniowej ekipy w Taiyangu

Madrinha — matka zastępcza, dosłownie „matka chrzestna”

Malandragem — sztuka oszustwa, podstęp, cecha „twardzieli”

Mamãe/mãe, papãï/pãï — matka/mama, oj ciec/ tato

Moto — automatyczny trójkołowy pojazd

Nana — akański sposób zwracania się do starszej osoby

Nikah — z arabskiego; umowa małżeńska

Ochрана — prywatna ochrona VTO

Oko — małżonek lub małżonka

Omahene — prezes AKA, o ośmioletniej kadencji

Orixas — bogowie i święci w synkretycznej afrobrazylijskiej religii umbanda

Primo — kuzyn

Santinhos — „mali święci”, slangowe określenie mieszkańców João de Deus

Saudade — melancholia; tkliwa melancholia jest niezbędnym, przydającym wyrafinowania składnikiem muzyki bossa nova

Sobrinha/o — siostrzenica/siostrzeniec, bratanica/bratanek

Terreiro — świątynia, miejsce spotkań w religiach afrobrazylijskich

Tia/tio — ciotka/wuj

Umbanda — afrobrazylijska religia oparta na oddawaniu czci orixas, w wersji praktykowanej w Rio/Sao Paulo.

Wari — akańska gra strategiczna

Wushi — ochrona Taiyangu

Zabbalini — wolni strzelcy zajmujący się odzyskiwaniem substancji organicznych, sprzedający je później LDC, która jest ich jedyną właścicielką

Zaszczytnik — wojownik wynajęty do pojedynku sądowego — dosłownie „obrońca”

Zhongqiu — drugie po Nowym Roku księżycowe święto

Zieluniak — człowiek świeżo przybyły na Księżyc

KALENDARZ KSIĘŻYCOWY

Księżycowy kalendarz dzieli się na dwanaście lun nazwanych od znaków zodiaku: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Skorpion, Strzelec, Koziorożec, Wodnik, Ryby, plus Nowy Rok.

Dni każdej luny nazywa się zgodnie z hawajskim systemem, gdzie każdy dzień ma odrębną nazwę, powiązaną z fazą Księżyca. Dlatego luna (miesiąc księżycowy) ma 30 dni i nie dzieli się na tygodnie.

- 1 — Hilo
- 2 — Hoaka
- 3 — Ku Kahi
- 4 — Ku Lua
- 5 — Ku—Kolu
- 6 — Ku Pau
- 7 — Ole Ku Kahi
- 8 — Ole Ku Lua
- 9 — Ole Ku Kolu
- 10 — Ole Ku Pau

- 11 — Huna
- 12 — Mohalu
- 13 — Hua
- 14 — Akua
- 15 — Hoku
- 16 — Mahealani
- 17 — Kulua
- 18 — Lā'au Kū Kahi
- 19 — Lā'au Kuū Lua
- 20 — Lā'au Pau
- 21 — 'Ole Kū Kahi
- 22 — 'Ole Kū Lua
- 23 — 'Ole Pau
- 24 — Kāloa Kū Kahi
- 25 — Kāloa Kū Lua
- 26 — Kāloa Pau
- 27 — Kāne
- 28 — Lono
- 29 — Maui
- 30 — Muku